



Fantasy



WRÓŻEBNA  
MACHINA

TERRY GOODKIND

TERRY GOODKIND

**WRÓŻEBNA  
MACHINA**

Przełożyła  
Lucyna Targosz



Dom Wydawniczy REBIS

# Rozdział 1

- Mrok - powiedział chłopiec.

Richard zmarszczył brwi, nie bardzo wiedząc, czy dobrze zrozumiał wyszeptane słowo. Obejrzał się przez ramię na zatroskaną Kahlan. Zrozumiała nie lepiej niż on.

Chłopiec leżał na wystrzępionym dywanie położonym na gołej ziemi tuż przed namiotem obwieszonym sznurami barwnych paciorków. Zatłoczone targowisko przed pałacem zmieniło się w niewielkie miasteczko składające się z tysięcy namiotów, wozów i kramów. Tłumy ludzi przybyłych z daleka i z okolicy na wspaniały wczorajszy ślub napłynęły na targowisko, kupując, co tylko się dało: od pamiątek i biżuterii po świeży chleb i gotowane mięsiska, wymyślne napitki i mikstury, kolorowe paciorki.

Pierś chłopca unosiła się leciutko przy każdym płytkim oddechu, lecz oczy wci aż miał zamknięte. Richard pochylił się nad słabym dzieckiem.

- Mrok?

Chłopiec lekko potaknął.

- Wszędzie dokoła mrok.

Wcale nie było ciemno. Promienie porannego słońca padały na ludzi przelewających się tysiącami w przejściach pomiędzy namiotami i wozami. Richard nie sądził, by mały w ogóle czuł ten świąteczny nastrój.

Słowa dziecka, na pozór bez sensu, kryły inne znaczenie, coś więcej. Coś ponurego, jakby dotyczyły zupełnie innego miejsca.

Richard widział kątem oka, jak mijający ich zwałniają, przyglądając się lordowi Rahlowi i Matce Spowiedniczce, którzy zatrzymali się przy chorą chłopcu i jego matce. Targowisko rozbrzmiewało skoczną muzyką, rozmowami, śmiechem i ożywionymi targami. Dla większości przechodzących w pobliżu widok lorda Rahla i Matki Spowiedniczki był wydarzeniem jedynym w swoim rodzaju, jednym z wielu w ciągu ostatnich dni, o których będą często opowiadać w nadchodzących latach.

Gwardziści z Pierwszej Kompanii stali niedaleko, równie żbacznie się przyglądając, ale obserwowali głównie tłumy przelewające się po targowisku. Żołnierze chcieli mieć pewność, że tłoczący się ludzie nie znajdują się zbyt blisko, chociaż nie było żadnego powodu, żeby spodziewać się

kłopotów.

W końcu wszyscy byli w dobrych nastrojach. Trwająca całe lata wojna się skończyła. Panował pokój, rósł dobrobyt. Wczorajszy ślub zwiastował nowy początek, wielki świat nigdy niebranych pod uwagę możliwości.

Richard pomyślał, że słowa chłopca są niczym cień zupełnie niepasujący do ogólnego entuzjazmu.

Kahlan przykuwała przy nim. Jej biała atlasowa suknia, atrybut Matki Spowiedniczki, lśniła pod wczesnowiosennym niebem, jakby dziewczyna była dobrym duchem, który zstąpił pośród nich. Richard wsunął rękę pod kościste ramiona chłopca i uniósł go trochę, a Kahlan przytknęła bukiątki do ust malca.

- Możesz wypić choć łyk?

Chłopiec jakby jej nie słyszał. Zignorował pytanie i przysunięte naczynie.

- Jestem sam - powiedział słabym głosem. - Tak bardzo sam.

Zabrzmiało to tak rozpaczliwie, że Kahlan ze współczuciem dotknęła chudego barku malca.

- Nie jesteś sam - zapewnił Richard tonem mającym rozproszyc smutek tych słów. - Są przy tobie ludzie. I twoja mama.

Pod zamkniętymi powiekami oczy chłopca poruszały się, jakby wypatrując czegoś w ciemnościach.

- Czemu wszyscy mnie opuścili?

Kahlan delikatnie położyła dłoń na unoszącej się w oddechu piersi dziecka.

- Opuścili cię?

Chłopiec, zatracony w jakiejś wizji, jęczał i kwilił. Rzucił głową na boki.

- Czemu zostawili mnie samego w mroku i chłodzie?

- Kto cię zostawił? - zapytał Richard, w skupieniu nasłuchując cichych słów malca.

- Gdzie?

- Miałem sny - powiedział chłopiec odrobinę silniejszym głosem.

Richard ściągnął brwi zaskoczony tą zmianą tematu.

- Jakie sny?

W głosie chłopca znów zabrzmiały dezorientacja i niepokój.

- Czemu miałem sny?

Richard miał wrażenie, że to skierowane jakby do samego siebie pytanie

nie wymaga odpowiedzi. Kahlan i tak spróbowała.

- My nie...

- Niebo wciąż jest błękitne?

Kahlan i Richard spojrzeli po sobie.

- Tak - zapewniła chłopca.

Ale chyba i tego nie usłyszał.

Richard uważał, że nie ma potrzeby męczyć chłopca, domagając się odpowiedzi.

Najwyraźniej był chory i bredził. Doszukiwanie się sensu w majaczeniach mijało się z celem.

Mała dziecięca dłoń zniecka wczepiła się w ramię Richarda.

A on usłyszał szcęk dobywanych z pochew mieczy. Nie odwracając się, uniósł drugą rękę, nakazując stojącym za nim żołnierzom spokój.

- Czemu wszyscy mnie zostawili? - zapytał znowu chłopiec.

Richard nachylił się trochę bardziej, mając nadzieję, że w końcu go uspokoi.

- Gdzie cię zostawili?

Chłopiec otworzył oczy tak nagle, że Richard i Kahlan się wystraszyli. Wbijał w Richarda wzrok, jakby chciał mu zajrzeć w duszę. Chude palce wpijały się w ramię z siłą, jakiej Richard nigdy by się nie spodziewał po malcu.

- W pałacu panuje mrok.

Richardem wstrząsnął dreszcz wywołany chłodnym powiewem wiatru.

Chłopiec zamknął oczy i zapadł się w sobie.

Richard starał się być wobec niego łagodny, lecz mimo woli w jego głosie zabrzmiała ostra nuta.

- O czym ty mówisz? Jaki mrok w pałacu?

- Mrok... szuka mroku - wyszeptał chłopiec, a potem już tylko niezrozumiale mamrotał.

Richard zmarszczył brwi, próbując się w tym doszukać sensu.

- Co to znaczy, że mrok szuka mroku?

- On mnie znajdzie, wiem, że znajdzie.

Ręka chłopca, nagle zbyt ciężka, żeby mógł ją utrzymać w górze, ześliznęła się z ramienia Richarda. Zastąpiła ją dłoń Kahlan, kiedy obydwójce czekali przez chwilę, czy malec jeszcze coś powie. Ale on najwyraźniej na

dobrze zamilkł.

Musieli wracać do pałacu. Czekano tam na nich.

Poza tym Richard nie sądził, żeby to, co chłopiec by ewentualnie jeszcze powiedział, było bardziej zrozumiałe. Spojrzał na matkę małego stojącą nad nim i trącą dłoń.

Kobieta przełknęła ślinę.

- On mnie przeraża, kiedy się taki robi. Wybacz, lordzie Rahlu, nie zamierzałam cię odrywać od twoich spraw.

Troski sprawiły, że przedwcześnie się postarzała.

- To jest moja sprawa - powiedział Richard. - Zszedłem tu dzisiaj, żeby pobyć wśród ludzi, którzy wczoraj nie dostali się do pałacu na uroczystość. Wielu przyjechało z bardzo daleka. Chcieliśmy z Matką Spowiedniczką okazać wdzięczność wszystkim, którzy przybyli na ślub naszych przyjaciół. Zasmuca mnie widok osób tak udręczonych jak ty i twój malec. Postaramy się przysłać uzdrowiciela, żeby sprawdził, co mu dolega.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Byłam już u uzdrowicieli. Nie potrafią mi pomóc.

- Na pewno? - spytała Kahlan. - Są tutaj bardzo uzdolnione osoby i może im by się udało.

- Już z nim byłam u kobiety o wielkiej mocy, u Zaszytej Służki, aż w Kharga Trace.

Kahlan zmarszczyła brwi.

- Zaszyta Służka? Go to za uzdrowicielką?

Kobieta zawahała się i odwróciła wzrok.

- No cóż, słyszałam, że ma wielkie zdolności. Zaszyte Służki... wiele potrafią, więc pomyślałam, że ona pomoże. Ale Jit, tak się nazywa, powiedziała, że Henrik nie jest chory, tylko wyjątkowy.

- To się często zdarza twojemu synkowi? - zapytała Kahlan.

Kobieta zacisnęła dłoń na skromnej sukni.

- Nie. Ale się zdarza. Widzi różne rzeczy. Widzi oczami innych, tak myślę.

Kahlan położyła dłoń na czole chłopca, a potem przeczesła mu włosy palcami.

- Myślę, że to gorączkowe majaki i tyle - stwierdziła. - Jest rozpalony.

Kobieta kiwała głową.

- Taki się robi, gorączka i w ogóle, kiedy widzi oczami innych. - Napotkała wzrok Richarda. - Pewnie jakieś widzenie, tak mi się zdaje. Chyba coś w tym rodzaju przeżywa, kiedy go to dopada. Jakieś jasnowidzenie.

Richard, podobnie jak Kahlan, nie sądził, żeby chłopiec widział coś więcej niż gorączkowe wizje, ale nie powiedział tego głośno. Kobieta i tak była zrozpaczona.

Poza tym nie przepadał za prorocत्वami. Lubił je jeszcze mniej niż zagadki, a zagadek po prostu nie cierpiał. Uważał, że ludzie przeceniają prorocत्वa.

- Nie ma w tym nic wyjątkowego - powiedział. - Myślę, że to tylko dziecięca gorączka.

Kobieta najwyraźniej nie uwierzyła w ani jedno jego słowo, ale nie miała ochoty sprzeciwić się lordowi Rahlowi. Nie tak dawno lord Rahl się groził w D'Harze - i to nie bez powodu.

Stare lęki, podobnie jak urazy, mają długi żywot.

- Może zjadł coś, co mu zaszkodziło - odpowiedziała Kahlan.

- Nie, nie zjadł nic takiego - upierała się kobieta. - Je to samo co i ja. - Przez chwilę badawczo się im przyglądała, a potem dodała: - Ale zjawily się psy i mu się naprzykrzały.

Richard spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Co to znaczy?

Kobieta oblizwała wargi.

- Nnno, psy... dzikie psy węszyły tu ostatniej nocy. Pobiegłam po bochenek chleba. Henrik pilnował naszych paciorków. Wystraszył się, kiedy psy się zjawily, i schował się w środku. Kiedy wróciłam, psy węszyły i warczały u wejścia do namiotu.

Miały zjezoną sierść na grzbietach. Chwyciłam kij i je przegnałam. A rano był taki jak teraz.

Richard już miał coś powiedzieć, kiedy chłopiec zniecka strasznie się wygiął.

Zamierzył się zakrzywionymi palcami na Richarda i Kahlan, jak osaczone zwierzątko.

Richard się poderwał, odciągnął Kahlan poza zasięg rąk małego, a żołnierze dobyli mieczy.

Chłopiec, szybko jak królik, umknął w plątaninę namiotów i tłum. Żołnierze natychmiast skoczyli za nim. Mały zanurkował pod niski wóz i wyskoczył po drugiej stronie. Żołnierze byli za wysocy, żeby pójść w jego ślady, i musieli okrążyć wóz, co pozwoliło chłopcu się wysforować. Richard nie sądził, żeby długo utrzymał tę przewagę.

Chłopiec i ścigający go żołnierze w jednej chwili zniknęli wśród wozów, namiotów i ludzi. Nie należało uciekać przed gwardzistami z Pierwszej Kompanii.

Richard spostrzegł, że zadrapanie na grzbiecie dłoni Kahlan krwawi.

- To tylko draśnięcie, Richardzie - zapewniła go, widząc, jak na to patrzy.  
- Nic mi nie jest. Po prostu się wystraszyłam.

Spojrzał na krwawiące zadrapania na własnej dłoni i westchnął z irytacją.

- Ja też.

Zbliżył się kapitan gwardzistów z mieczem w dłoni.

- Znajdziemy go, lordzie Rahlu. Na równinach Azrith w łaściwie nie ma gdzie się ukryć. Nie ucieknie daleko. Znajdziemy go.

Kapitanowi najwyraźniej ani trochę się nie podobało, że ktoś - choćby i mały chłopiec - przelał krew lorda Rahla.

- To tylko draśnięcie, jak powiedziała Matka Spowiedniczka. Chciałbym jednak, żebyście znaleźli chłopca.

Dwunastu gwardzistów uderzyło pięściami w pierś.

- Znajdziemy go, lordzie Rahlu - powtórzył kapitan. - Możesz być tego pewny.

Richard skinął głową.

- Dobrze. Kiedy to zrobicie, zadbajcie, żeby bezpiecznie wrócił do matki. Wśród kupców są i uzdrowiciele. Przyprawdźcie tutaj któregoś, kiedy znajdziecie chłopca, i sprawdźcie, czy zdoła mu pomóc.

Kapitan wyznaczył dodatkowych gwardzistów do poszukiwań małego. Kahlan pochyliła się ku Richardowi.

- Lepiej wracajmy do pałacu. Mamy mnóstwo gości.

Richard potaknął.

- Mam nadzieję, że twój synek wkrótce wyzdrowieje - powiedziała do kobiety, zanim ruszył ku ogromnemu płaskowyżowi, na którym stał Pałac Ludu.



Pałac ten odziedziczył wraz z D'Hara, krainą, o której istnieniu w ogóle nie wiedział, kiedy dorastał. Pod wieloma względami D'Hara - imperium, którym władał, nadal stanowiła dla niego tajemnicę.

## Rozdział 2

- Grosik za twoją przyszłość, panie?

Richard przystanął i spojrzał na starą kobietę siedzącą ze skrzyżowanymi nogami na uboczu, w jednym z wielu wspaniałych holi Pałacu Ludu. Opierała się o ścianę przy podstawie marmurowego łuku, wysokiego na kilka pięter, niepewna, czy zdobyła nowego klienta. Tuż przy niej leżała brązowa płócienna torba z jej dobytkiem i cienka laska. Kobieta była ubrana w skromną, ale czystą długą, szarą, wełnianą suknię. Na ramionach miała kremowy szal chroniący przed kęsaniem odchodzącej już zimy.

Nadeszła wiosna, lecz jak dotąd była raczej obietnicą niż faktem.

Kobieta odgarnęła ze skroni pasma kasztanowo-siwych włosów; najwyraźniej chciała zrobić dobre wrażenie na potencjalnych klientach. Mleczna mgiełka na oczach, sposób, w jaki unosiła głowę ku nikomu w szczególności, niepewne ruchy - Richard się domyślił, że ona nie widzi ani jego, ani Kahlan. Tylko słuch pozwalał kobiecie orientować się w otaczających ją wspaniałościach.

Poza miejscem, w którym siedziała, jeden z wielu pomostów przecinał hol na wysokości drugiego piętra. Przechodziły tam grupki rozmawiających ludzi; inni stali przy marmurowych balustradach, patrząc w dół, niektórzy przyglądali się Richardowi i Kahlan oraz towarzyszącym im gwardzistom. W gęstych tłumach snujących się obszernymi korytarzami było wielu gości przybyłych na wczorajszą uroczystość.

Chociaż Pałac Ludu przykrywał właściwie jeden dach, było to najprawdziwsze miasto ściśnięte na samotnym, olbrzymim płaskowyżu wyrastającym z równin Azrith.

Ponieważ pałac był rodzinną siedzibą lorda Rahla, niektóre jego części były niedostępne dla zwiedzających, lecz większość rozległego kompleksu stanowiła dom dla innych. Były tam kwatery najróżniejszych osób: urzędników, kupców, rzemieślników, robotników, a także pokoje dla gości. Korytarze spajały pałac-miasto w jeden organizm i umożliwiały dostęp do wszystkich części.

Niedaleko siedzącej pod ścianą kobiety w sklepowej witrynie widniały

bele materiału. W pałacu mieściły się najrozmaitsze sklepy. W dolnej części płaskowyzu znajdowały się setki dodatkowych pomieszczeń - żołnierskie kwatery i kolejne sklepy dla mieszkańców pałacu i gości.

Do Pałacu Ludu najszybciej można się było dostać wąską drogą biegnącą pod górę skrajem płaskowyzu, którą Richard i Kahlan przybyli po wizycie na targowisku; była ona jednak tak zdradliwa, że nie pozwalano z niej korzystać. Odwiedzający, kupcy i robotnicy wchodzili przez wielkie wrota, a potem korzystali z korytarzy wewnątrz płaskowyzu. Wiele osób nigdy si ę nie zapędzalo do stojącego na szczycie pałacu - przychodzili na targowisko, które w spokojnych czasach wyrosło na równinie, lub odwiedzali sklepy położone przy trasie.

Po podniesieniu zwodzonego mostu i zamknięciu wielkich wewnętrznych wrót pałac był nie do zdobycia. Kroniki mówiły, że oblężenia wygasaly na niegościnnych równinach Azrith na długo przedtem, nim zaczęły się dawać we znaki tym w pałacu.

Wielu próbowało, ale nie było sposobu na zdobycie Pałacu Ludu.

Stara kobieta na pewno si ę natrudziła, żeby dotrzeć wewnętrznymi korytarzami na samą górę do właściwej budowli. Ponieważ była niewidoma, musia ło jej być szczególnie ciężko. Chociaż wszędzie trafiali się ludzie chcący poznać przyszłość, to Richard przypuszczał, że tu na górze znajdowała więcej chętnych do zapłacenia za wróżby, i dlatego wspinaczka warta była wysiłku.

Spojrzał w pozornie niekończący się korytarz wypełniony ludźmi i nigdy niemilkącym szelestem kroków oraz szmerem rozmów. Domyślał się, że kobieta dostrajała się do głosów ludzi w korytarzach i po nich oceniała ogrom pałacu.

Zrobiło mu si ę jej żal, jak wtedy, kiedy j ą zobaczył siedzącą samotnie pod ścianą korytarza - lecz teraz współczuł jej dlatego, że nie mogła ujrzeć otaczających ją wspaniałości, wysokich marmurowych kolumn, kamiennych ław i granitowych posadzek w wymyślne wzory, lśniących w snopach słonecznego blasku wpadającego przez umieszczone w górze świetliki. Richard nigdy nie widział niczego tak pięknego jak ten pałac - poza lasami Hartlandu, w których dorastał. Nieustannie podziwiał intelekt i wysiłek, jakich trzeba było, żeby coś takiego zaprojektować i zbudować.

Wiele razy w dziejach D'Hary - jak wtedy, kiedy Richard znalazł si ę tu po

raz pierwszy jako więzień - pałac był siedzibą złych władców. Kiedy indziej zaś, tak jak teraz, był ośrodkiem pokoju i dobrobytu, promieniowa ła mocą spajającą imperium D'Hary.

- Grosik za moją przyszłość? - rzucił Richard.

- To uczciwa wymiana - odparła bez wahania kobieta.

- Mam nadzieję, że nie powiesz, że moja przyszłość nie jest warta więcej niż grosz.

Stara kobieta się uśmiechnęła. Zamglone oczy patrzyły, nie widząc.

- Będzie tyle warta, jeśli nie posłuchasz przepowiedni.

Wyciągnęła na oślep rękę, czekając na odpowiedź. Richard położył jej monetę na dłoni. Pomyślał, że staruszka tylko wrózeniem może zarabiać na życie. Ślepotą przydawała jej wiarygodności. Ludzie pewnie zakładali, że jako niewidoma jest obdarzona swego rodzaju wewnętrznym widzeniem, i to ułatwiało jej sprawę.

- Ach - westchnęła, znacząco kiwając głową i waząc na dłoni monetę, którą jej dał.

- Srebro, nie miedź. Najwyraźniej ktoś ceni swoją przyszłość.

- I co mi ona przyniesie? - zapytał Richard.

Właściwie nie obchodziło go, co ma do powiedzenia wróżka, ale spodziewał się czegoś za ten pieniążek.

Kobieta uniosła ku niemu twarz, chociaż nie mogła go widzieć. Uśmiech zniknął.

Wahała się przez chwilę, zanim powiedziała:

- Dach się zawali.

Sprawiała wrażenie, że powiedziała coś innego, niż zamierzała, że własne słowa ją zaskoczyły. Znienacka odjęło jej mowę.

Kahlan i czekający w pobliżu żołnierze spojrzeli na sklepienie od tysięcy lat przykrywające pałac. Nie wyglądało, jakby się miało zawalić.

Dziwna wróżba, pomyślał Richard, ale tak naprawdę nie zatrzymał się przy kobiecie dlatego, że chciał przepowiedni.

- A ja przepowiadam, że zaśniesz dzisiaj z pełnym żołądkiem. W pobliskim sklepie, po twojej lewej, sprzedają gorące posiłki. Za ten grosik kupisz sobie jedzenie.

Uważaj na siebie, dobra kobieto, i raduj się wizytą w pałacu.

Kobieta znów się uśmiechała, tym razem z wdzięcznością.

- Dzięki, panie.

Nadbiegła Rikka, jedna z Mord-Sith, i zatrzymała się przy nich. Odrzuciła na plecy długi jasny warkocz. Richard tak przywykł do Mord-Sith w czerwonych skórzanych uniformach, że teraz dziwnie mu było je widzieć w brązowym odzieniu (kolejny znak, że długa wojna się skończyła). Do budzącego mniejszą grozę stroju wyraźnie nie pasowało podejrzliwe niezadowolenie widoczne w błękitnych oczach. Do tego wyrazu oczu Mord-Sith Richard przywykł aż za bardzo.

Nieskazitelna twarz Rikki spochmurniała.

- Widzę, że mówiono prawdę. Krwawisz. Co się stało?

W jej głosie pobrzmiwało nie zwykle zatroskanie, lecz narastający gniew Mord-Sith, bo oto lord Rahl, którego przysięgała chronić za cenę własnego życia, wpakował się w kłopoty. Była nie tylko ciekawa, wręcz żądała odpowiedzi.

- To nic takiego. I już nie krwawię. To tylko draśnięcie.

Rikka z niezadowoleniem łypnęła na dłoń Kahlan.

- Czy wy musicie wszystko robić razem? Widzę, że nie powinniśmy was wypuszczać na zewnątrz bez naszej ochrony. Cara będzie wściekła i nie bez powodu.

Kahlan się uśmiechnęła, chcąc uspokoić Rikkę.

- Jak powiedział Richard, to tylko draśnięcie. I sądzę, że Cara dzisiaj powinna być zadowolona i szczęśliwa.

Rikka pozostawiła to bez komentarza i przeszła do innych spraw:

- Zedd chce cię widzieć, lordzie Rahlu. Posłał mnie po ciebie.

- Lord Rahl! - Kobieta u jego stóp uczepiła się nogawki Richarda. - Drogie duchy, nie zorientowałam się... Przepraszam, lordzie Rahlu. Wybacz mi. Nie wiedziałam, kim jesteś, bo nigdy bym nie...

Richard dotknął jej ramienia, uciszając te przeprosiny i dając znak, że nie są potrzebne. Spojrzał na Mord-Sith.

- Dziadek powiedział, o co chodzi?

- Nie, ale ton jego głosu świadczył, że to dla niego ważne. Znasz Zedda i wiesz, jaki potrafi być.

Kahlan leciutko się uśmiechnęła. Richard aż za dobrze wiedział, co Rikka ma na myśli. Cara przez lata była blisko Richarda i Kahlan, zawsze czujna i opiekuńcza, Rikka zaś wiele czasu spędziła z Zeddem w Wieży Czarodzieja.

Przywykła do tego, że Zedd często najprostsze sprawy uważa za naglące. Richard sądził, że Rikka na swój sposób polubiła Zedda i czuła się odpowiedzialna za jego bezpieczeństwo. W końcu był Pierwszym Czarodziejem i dziadkiem lorda Rahla. A co ważniejsze, wiedziała, jaki jest ważny dla Richarda.

- W porządku, Rikko. Chodźmy sprawdzić, co zdenerwowało Zedda.

Chciał odejść, ale siedząca na podłodze kobieta go zatrzymała, szarpiąc za nogawkę.

- Lordzie Rahlu - powiedziała, starając się go przyciągnąć bliżej - nie prosiłabym cię o zapłatę, zwłaszcza że jestem tylko skromnym gościem w twoim domu. Zabierz, proszę, swoje srebro i moją wdzięczność za ten gest.

- Zawarliśmy umowę - powiedział Richard uspokajającym tonem. - Ty dotrzymałaś swojej części. Jestem ci winien zapłatę za przepowiednię.

Puściła jego nogawkę.

- Więc uważaj, bo jest prawdziwa.

## Rozdział 3

Idąc za Rikką w głąb niedostępnych dla ogółu, wyłożonych boazerią korytarzy, Kahlan dostrzegła Zedda stojącego z Carą i Benjaminem przy oknie wychodzącym na niewielki dziedziniec znajdujący się na dnie głębokiej studni, którą tworzyły kamienne mury pałacu wznoszące się poza zasięg wzroku. Skromne, pozbawione ozdób drzwi w pobliżu okna prowadziły do atrium, gdzie niewielka śliwa rosła przy drewnianej ławie osadzonej na kamiennej podmurówce obrosniętej bujnym, zielonym bluszczem. Choć atrium było małe, i tak zapewniało otwartą przestrzeń i światło dnia we wnętrzu pałacu.

Kahlan cieszyła się, że już nie są w ogólnie dostępnych korytarzach, gdzie wszyscy bez przerwy im się przyglądali. Ogarnął ją głęboki spokój, kiedy Richard na chwilę objął ją i przytulił. Oparł brodę o czubek jej głowy, kiedy się ku niemu nachyliła.

Chwila bliskości, na jaką rzadko sobie pozwalali publicznie.

Cara, ubrana w białe skórzane uniformy, patrzyła przez okno na dziedziniec.

Jasny warkocz był idealnie zapleciony. Czerwony Agiel, broń Mord-Sith, zawsze w pogotowiu, zawieszony na łańcuszku okalającym przegub, odcinał się od bieli obcisłego stroju niczym plama krwi na śnieżnobiałym obrusie. Agiel, przypominający krótki pręt, był równie groźny jak kobiety, które go nosiły.

Benjamin miał na sobie nieskazitelny generalski mundur, a u biodra I śniący srebrny miecz. Bynajmniej nie dla ozdoby. Kahlan wiele razy widziała, jak Benjamin dowodzi w bitwie, znała jego odwagę. To ona mianowała go generałem.

Spodziewała się, że Cara i Benjamin będą ubrani zwyczajnie. Oni jednak wyglądali na gotowych do wojny, która się skończyła. Przypuszczała, że tych dwoje nigdy nie pozwoli sobie na złagodzenie czujności. Bo ich zadaniem było chronienie Richarda - lorda Rahla.

Człowiek, którego strzegli, był oczywiście o wiele groźniejszy niż ktorekolwiek z nich. Richard, w czarno-złotym stroju czarodzieja wojny, w każdym calu wyglądał na lorda Rahla. Lecz był kimś więcej. Nosił u biodra

Miecz Prawdy, szczególny oręż przeznaczony dla wyjątkowej osoby. Broń obdarzoną mocą, choć właściwą bronią był władający mieczem człowiek. To właśnie czyniło go Poszukiwaczem i sprawiało, że był tak groźny.

- Obserwowali całą noc? - pytał właśnie Zedd, kiedy Kahlan i Richard zatrzymali się przy nim.

Twarz Cary zrobiła się niemal tak purpurowa jak Agiel.

- Nie wiem - warknęła, nie odrywając gniewnego wzroku od okna. - To była moja noc poślubna i zajmowałam się czymś innym.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się uprzejmie Zedd.

Obejrzał się na Richarda i Kahlan i powitał ich przelotnym uśmiechem. Kahlan pomyślała, że uśmiech zniknął szybciej, niż mogła się spodziewać.

Richard wtrącił się, zanim dziadek zdążył coś dodać:

- Co się dzieje, Caro?

Przeniosła na niego gniewne spojrzenie.

- Ktoś mi się przyglądał w naszej sypialni.

- Przyglądał ci się... - powtórzył Richard. - Jesteś pewna?

Jego twarz nie zdradzała, co sądzi o tak dziwnym pomysle. Kahlan zauważyła jednak, że nie odrzucił od razu słów Cary. Zwróciła też uwagę, że Cara nie powiedziała, iż miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Powiedziała, że była obserwowana. A Cara z całą pewnością nie miała skłonności do urojeń.

- Wczorajszy dzień obfitował w różne wydarzenia. Wielu ludzi przybyło na wasz ślub, wielu przyglądało się tobie i Benjaminowi. - Richard wskazał Kahlan. - Nawet teraz, kiedy już się przyzwyczailem, że wszyscy cały czas się nam przyglądają, to kiedy wreszcie zostajemy sami, nie mogę się wyzbyć wrażenia, że nadal się we mnie wpatrują.

- Ludzie stale przyglądają się Mord-Sith - stwierdziła Cara, najwyraźniej niezadowolona z podejrzenia, że coś sobie uroiła.

- Tak, lecz kątem oka. Rzadko patrzą wprost na Mord-Sith.

- No i?

- Wczoraj było inaczej. Nie jesteś przyzwyczajona, że ktoś patrzy prosto na ciebie.

A wczoraj wszyscy przyglądali się tobie i Benjaminowi, patrzyli wprost na was.

Wszystkie oczy były na ciebie zwrócone. Nie przywykłaś do tego. Może to



tylko wrażenie pozostałe po tym, że byłaś w centrum uwagi?

Cara rozważała tę możliwość, jakby przedtem w ogóle o tym nie pomyślała.

Wreszcie zmarszczyła brwi, pewna swoich racji.

- Nie. Ktoś mnie obserwował.

- No dobrze. Kiedy po raz pierwszy wydało ci się, że ktoś cię obserwuje?

- Tuż przed świtem - odpowiedziała bez wahania. - Nadal było ciemno.

Najpierw pomyślałam, że ktoś jest w pokoju, lecz oprócz nas dwojga nikogo tam nie było.

- Jesteś pewna, że to ciebie obserwowano? - zapytał Zedd.

Pytanie zabrzmiało niewinnie, lecz Kahlan wiedziała swoje.

Dotąd milczący Benjamin zdumiał się:

- Chcesz powiedzieć, że to mnie mogli obserwować?

Zedd spojrzał znacząco na wysokiego, jasnowłosego d'harańskiego generała.

- Chcę powiedzieć, że się zastanawiam, czy faktycznie to was obserwowali.

- Poza nami nikogo tam nie było - warknęła Cara.

Zedd nachylił ku niej głowę.

- Byliście w jednej z sypialnych komnat lorda Rahla.

W błękitnych oczach Cary nagle błyśnęło zrozumienie. Głos z poirytowanego stał się lodowaty, bo przyjęła postawę przesłuchującej, równie dobrze pasującą do Mord-Sith jak skórzany uniform. Popatrzyła na czarodzieja przymrużonymi oczami.

- Sugerujesz, że ktoś zaglądał do komnaty, żeby się przekonać, czy jest tam lord Rahl?

Dobrze zrozumiała aluzję Zedda.

Czarodziej wzruszył kościstymi ramionami.

- W komnacie są lustra?

- Lustra? Cóż, bo ja wiem...

- Są tam dwa lustra - powiedziała Kahlan. - Jedno wysokie, na stojaku obok biblioteczki, i drugie, mniejsze, nad toaletką.

Komnata była jednym z darów jej i Richarda dla Cary i Benjamina. Lord Rahl, przebywając w pałacu, miał do wyboru wiele komnat sypialnych - prawdopodobnie był to dawny sposób na zmylenie zabójców. W pałacu

zapewne znajdowało się więcej prywatnych komnat, niż Richard zwiedził czy w ogóle o nich wiedział. On i Kahlan chcieli, żeby jedna z tych uroczych komnat należała do Cary i Benjamina, ilekroć będą w Pałacu Ludu. Było to zupełnie zrozumiałe, skoro Benjamin dowodził Pierwszą Kompanią, strażnikami lorda Rahla podczas pobytu w pałacu, a Cara była przyboczną strażniczką obydwójga.

Richard, dorastający jako leśny przewodnik, uważał, że jedna sypialnia w zupełności wystarczy. Kahlan była tego samego zdania. Mieli też komnaty w Pałacu Spowiedniczek w Aydindrill oraz kwatery w najrozmaitszych innych miejscach.

Kahlan nie obchodziło, jakie mają komnaty i gdzie, byle ona i Richard byli razem.

Najszczęśliwsze chwile przeżyła pewnego lata w niewielkiej chatce zbudowanej przez Richarda na pustkowiach Westlandu.

Cara chętnie przyjęła komnatę w pałacu. Bez wątpienia w dużej mierze dlatego, że mieściła się w pobliżu pokoju Richarda i Kahlan.

- Dlaczego chcesz wiedzieć, czy w komnacie są lustra? - zapytał Benjamin.

Ton jego głosu także się zmienił. Tak mówił generał odpowiedzialny za bezpieczeństwo lorda Rahla w Pałacu Ludu.

Zedd uniósł brew i utkwiał w generale wymowne spojrzenie.

- Słyszałem, że niektórzy potrafią wykorzystywać mroczną magię, żeby zaglądać przez lustra w inne miejsca.

- Masz taką pewność czy też to tylko pogłoski? - zapytał Richard.

- Pogłoski - przyznał z westchnieniem Zedd. - Lecz pogłoski często okazują się prawdą.

- Kto by coś takiego potrafił?

Kahlan pomyślała, że Richard przemawia jak lord Rahl domagający się odpowiedzi. Cała ta sprawa irytowała wszystkich.

Zedd uniósł otwarte dłonie.

- Nie wiem, Richardzie. Ja nie potrafię. Nie posiadam tej umiejętności, nawet nie wiem, czy faktycznie istnieje. Jak mówiłem, słyszałem tylko pogłoski, nigdy się z tym nie zetknąłem.

- Czemu ktoś miałby szukać lorda Rahla i Matki Spowiedniczki? - spytała Cara.

Najwyraźniej to ją bardziej denerwowało niż myśl, że ktoś miałby podglądać ją i Benjamina.

- Dobre pytanie - stwierdził Zedd. - Słyszałaś coś?

Cara zastanawiała się tylko przez chwilę.

- Nie. Niczego nie słyszałam i nie widziałam. Ale czułam, że ktoś patrzy.

Zedd się zamyślił, wykrzywając usta.

- Cóż, osłonię komnatę, żeby was nie oglądały wścibskie oczy.

- A czy magiczna tarcza powstrzyma też pogłoski? - zaciekał się Richard.

Zedd znowu się uśmiechnął.

- Nie jestem pewien. Nie wiem, czy taka umiejętność istnieje czy nie, i nie wiem, czy ktoś naprawdę zaglądał do komnaty.

- Zaglądał - upierała się Cara.

Kahlan rozłożyła ręce.

- Wygląda na to, że najprościej byłoby zasłonić lustra.

- Nie - mruknął w zadumie Richard, patrząc w atrium. - Nie sądzę, że należy zasłonić lustra czy osłonić komnatę magiczną tarczą.

Zedd wsparł się pięściami pod boki.

- A dlaczego nie?

- Jeśli ktoś w jakiś sposób zagląda do tej komnaty, a my zasłonimy lustra lub ją osłonimy, to nie będzie już mógł tego robić.

- Przecież o to chodzi - stwierdziła Kahlan.

- I ktoś się dowie, że go odkryliśmy, i nie dowiemy się, dlaczego tam zagląda.

Zedd wetknął długi kościsty palec w niesforne, faliste siwe włosy i podrapał się po głowie.

- Nie nadążam za tobą, drogi chłopcze.

- Jeśli ten, kto tam zaglądał, naprawdę szukał Kahlan i mnie, to już wie, że to nie my byliśmy w komnacie. Jeśli zostawimy lustra w spokoju i nie osłonimy komnaty, a Cara dzisiejszej nocy nie będzie czuła, że ktoś ją obserwuje, to będziemy mieć pewność, że tamtemu nie chodzi o nią i o Benjamina. Jeżeli naprawdę szuka mnie i Kahlan, to zajrzy gdzie indziej.

Kahlan na tyle dobrze znała Richarda, by wiedzieć, że ten nad czymś się zastanawia.

Cara muskała łańcuszek z Agielem, namyślała się.

- To ma sens. Jeśli dzisiaj tam nie zajrzy, będzie to oznaczało, że pewnie szuka ciebie i Matki Spowiedniczki.

Zedd lekceważąco machnął ręką.

- Albo że to się nie zdarzyło, tylko to sobie wyobraziłaś.

- Jak wykryjemy, kto potrafi zrobić coś takiego? Zajrzeć ot, tak do komnaty? - zapytał Benjamin, zanim Cara zdążyła zaprotestować.

Zedd wzruszył ramionami.

- Nie twierdzę, że coś takiego w ogóle jest możliwe. Nigdy nie słyszałem o żadnych konkretnych zaklęciach, dotarły do mnie tylko pogłoski. Chyba dajemy się ponosić wyobraźni. Tej nocy spróbujmy być bardziej obiektywni, dobrze?

Cara, po chwili zadumy, skinęła głową.

- Będę dzisiaj uważniejsza. Ale wcale sobie tego nie wyobraziłam.

Kahlan, widząc, że Richard wpatruje się w atrium pustym wzrokiem, wiedziała, że lord Rahl już myśli o czymś innym. Pozostali też to wyczuli i w milczeniu czekali, żeby się dowiedzieć, co też mu chodzi po głowie.

- Czy ktoś z was słyszał o Kharga Trace? - zapytał wreszcie.

Kharga Trace? - powtórzył Benjamin.

## Rozdział 4

Wsunął kciuk za pas i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w podłogę, próbując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszał tę nazwę. Zedd pokręcił głową.

Kahlan z oczu Rikki wyczytała, że zna ona to miejsce, ale zamiast, odpowiedzieć, spojrzała na Carę, poddając się, jak wszystkie Mord-Sith, jej autorytetowi.

- Kharga Trace leży na Mrocznych Ziemiach - powiedziała Cara.

Richard wychwycił delikatną, lecz mrozącą krew w żyłach zmianę w jej głosie.

Szare oczy odwróciły się od atrium i spoczęły na niej.

- Gdzie?

- Na Mrocznych Ziemiach, dalekich rejonach D'Hary. - Wskazała kciukiem za siebie.

- Na północ i wschód stąd.

- Dlaczego nazywa się je Mrocznymi Ziemiami?

- Większość leży poza cywilizacją. To coś w rodzaju Dżicy: zacofane, zapadłe, niegościnne miejsce. Tyle że nie jest płaskie i otwarte jak Dżicz, to głównie rozległe, pozbawione szlaków tereny górskie i mroczne lasy. Przez to trudno dotrzeć do plemion w najdalszych zakątkach, a nawet je odnaleźć. Lecz jeżeli trafisz do tych odległych rejonów, które zamieszkują, to ryzykujesz, że te plemiona odnajdą ciebie.

Cara mówiła rzeczowo, oficjalnie, jakby to był zwykły raport, którego zażyczył sobie lord Rahl, lecz w jej głosie pobrzmiwały lodowate nuty.

- Przeważnie jest tam pochmurno i ciemno. Na Mrocznych Ziemiach rzadko widzi się słońce. Być może stąd wzięła się ich nazwa.

Cara tak ostrożnie sformułowała odpowiedź, że Kahlan podejrzewała, iż nazwa może mieć inne pochodzenie.

- Lecz mieszkają tam cywilizowani ludzie i nazywają to miejsce swoim domem - powiedział Richard. - W końcu to część D'Hary.

Cara przytaknęła.

- W prowincji Fajin oprócz głównego miasta Saavedra w dolinach tu i ówdzie są rozrzucone miasteczka, górskie wioski, lecz poza tymi

forpocztami cywilizacji to zakazane ziemie. Ludzie nie zapędzają się poza miasta, a kiedy już muszą, to trzymają się nielicznych dróg. Niezbyt wiele wiadomo o tej krainie, bo nie prowadzi się tam ożywionego handlu, po części dlatego, że właściwie nie ma czym handlować.

- No a ta druga część? - zainteresował się Richard.

Cara zawahała się na moment, a potem odpowiedziała:

- Nigdy już nie ujrano tych, co się udali na Mroczne Ziemie. Większość ludzi unika oddalania się od zamieszkanym okolic. Od czasu do czasu znikają bez śladu nawet ci, którzy trzymają się dróg i barykadują na noc w domach.

Richard skrzyżował ramiona na piersi.

- Z jakiej przyczyny ludzie znikają?

Cara wzruszyła ramionami.

- Nie mam pewności, lordzie Rahlu. To kraina zabobonów, czarnej magii i zasznurowanych ust. Ludzie nie mówią o rzeczach, których się boją, bo inaczej one by po nich przyszły.

Richard na tym nie poprzestał.

- Zabobony nie sprawiają, że ludzie znikają.

Cara nie umknęła przed jego przenikliwym spojrzeniem.

- Mówi się, że na Mrocznych Ziemiach grasują drapieżcy z zaświatów.

Słyszając te ponure słowa, wszyscy wzięli głęboki oddech.

- I w Midlandach są takie miejsca - powiedział wreszcie Zedd. - Czasem to tylko przesady, jak powiedziałaś, lecz są okolice, w których takie opowieści mają solidne podstawy.

Kahlan miała co do tego pewność. Pochodziła z Midlandów.

- Pewnie tak jest i z Mrocznymi Ziemią - przyznała Cara. - Lecz niecywilizowane okolice są rozleglejsze i bardziej oddalone niż te w Midlandach. Jeśli na Mrocznych Ziemiach wydarzy się coś złego, nikt nie ruszy z pomocą.

- Dlaczego w ogóle ktoś tam mieszka? - zapytała Kahlan.

Cara znowu wzruszyła ramionami.

- Bez względu na to, jak jakieś miejsce jest dzikie, surowe i ubogie, i tak jest domem dla tych, którzy się tam urodzili. Większość ludzi rzadko oddala się od domu, od tego, co znają, bo lękają się nieznanego.

- Cara ma rację - stwierdził Richard. - Musimy też pamiętać, że tamtejsi

mieszkańcy walczyli wraz z nami o wolność, poparli nas.

I oni stracili wielu w tej wojnie.

Cara z westchnieniem się z tym zgodziła.

-To prawda. Znałam paru żołnierzy z prowincji Fajin, mężnie walczyli. Ale żaden z nich nie pochodził z Kharga Trace. Z tego, co słyszałam, wynika, że Kharga Trace jest bardziej niegościnne niż reszta Mrocznych Ziemi. Tylko nieliczni, jeśli w ogóle ktokolwiek, tam mieszkają. Niewielu ma też powody, żeby się tam zapędzać.

- Skąd tak dużo wiesz o Mrocznych Ziemiach? - zacięła się Kahlan.

- Prawdę mówiąc, nie wiem zbyt wiele. Rahl Posępny miewał jakieś sprawy na Mrocznych Ziemiach i dlatego coś niecoś o nich wiem. Pamiętam, że raz czy dwa wspominał o Kharga Trace. - Cara pokręciła głową. - Mroczne Ziemie pasowały do niego, jak przedtem do jego ojca. Obydwaj strachem i okrucieństwem sprawowali władzę nad tamtejszymi ludźmi. Często powtarzał, że to jedyna metoda, żeby utrzymać w ryzach Mroczne Ziemie. Rahl Posępny, podobnie jak jego ojciec, wysyłał czasem Mord-Sith na Mroczne Ziemie, żeby przypomnieć mieszkańcom o lojalności wobec D'Hary.

Richard zmarszczył brwi.

- Więc tam byłeś?

- Nie, mnie nigdy nie wysłał. O ile wiem, nie była tam żadna z obecnie żyjących Mord- Sith.

Przez chwilę patrzyła w dal.

- Wiele wysłanych nigdy nie wróciło.

Błękitne oczy Cary znowu spojrzały na Richarda.

- Rahl Posępny zwykł wysyłać Konstancję.

Richard pochwycił znaczące spojrzenie Cary, ale nic nie powiedziała. Poznał Konstancję, kiedy był więźniem Rahla Posępnego.

To on ją zabił.

Kiedy wojna się skończyła, Richard i Kahlan trochę lepiej poznali D'Hare, chociaż wciąż wiele spraw pozostawało dla nich tajemnicą. To była rozległa kraina, z miastami, o których nigdy wcześniej nie słyszeli, a tym bardziej ich nie odwiedzili. Były również odległe rejony, jak Mroczne Ziemie, leżące tak daleko, że właściwie były mniej lub bardziej suwerenne.

- Większość zarządców miast i dystryktów jest teraz tutaj - odezwał się

Benjamin. - O ile wiem, żaden nie ośmielił się zignorować zaproszenia od samego lorda Rahla na nasz ślub, choćby nie wiem jak odległe i prymitywne były ich ziemie. Jeżeli chcesz, możemy od nich dowiedzieć się czegoś więcej o Kharga Trace.

Richard z roztargnieniem przytaknął, rozmyślając już o czymś innym.

- Richardzie - zagaił Zedd, kiedy rozmowa się urwała, a wszyscy przyglądali się zapatrzonemu w dal chłopakowi. - Słyszałem, że robisz coś ze wszystkimi księgami w pałacu.

- Porządkujemy je - odpowiedziała Kahlan, bo Richard w ogóle nie usłyszał pytania.

- Porządkujecie?

- Tak - odezwał się w końcu Richard, który jednak słyszał pytanie. - Wśród tysięcy tomów nie sposób znaleźć tego, którego akurat się potrzebuje. Nie mam nawet jak się dowiedzieć, czy potrzebną informację znajdę w którejś z bibliotek. Nikt nie wie, gdzie co jest i co w ogóle tu jest. Więc porządkuję. Berdine zna górnod'harański i sporo wie o rozmaitych bibliotekach, więc zleciłem jej to zadanie. Nathan w tym pomaga.

Zedd odniósł się do tego sceptycznie.

- To niesłychanie skomplikowane przedsięwzięcie, Richardzie. Nie mam pewności, czy to w ogóle wykonalne, nawet jeżeli bierze w tym udział prorok.

Powinienem sprawdzić, co i jak robisz.

Richard przytaknął.

- Rozumie się. Chodź, zaprowadzę cię do jednej z większych bibliotek, w której pracuje Berdine. I tak miałem tam pójść. Chcę do czegoś zajrzeć.

Kahlan była ciekawa, co to takiego.

Kiedy ruszyli, została w tyle i ujęła ramię Cary, żeby i ona zwolniła. Pozwoliły tamtym sądzić, że chcą porozmawiać o ślubie i Carze-żonie - coś podobnego jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Przed nastaniem Richarda nikt nie wpadłby na pomysł, że Mord-Sith może wyjść za mąż.

- O co chodzi? - spytała cicho Cara.

Kahlan spojrzała ku idącym daleko przed nimi Richardowi, Zeddowi, Benjaminowi i Rikce, pogrążonym w rozmowie. Grube dywany tłumiły ich kroki i głosy.

- Coś się dzieje. Nie wiem co, ale na tyle znam Richarda, żeby się zorientować, kiedy coś go absorbuje.



- Co mam robić?  
- Chcę, żeby Mord-Sith nie odstępowała go ani na krok.  
- Matko Spowiedniczko, już to postanowiłam, kiedy Zedd nam powiedział, że ten ktoś mógł zaglądać do komnaty, bo należy ona do lorda Rahla.

Kahlan się uśmiechnęła i położyła dłoń na ramieniu Cary.

- Cieszę się, że małżeństwo nie osłabiło twojej czujności.

- Twojej też. Jak myślisz, o co chodzi?

Kahlan zagryzła dolną wargę.

- Dzisiaj gorączkujący chłopiec powiedział Richardowi, że w pałacu panuje mrok.

Myślę, że to tylko majaczenia, ale znam Richarda i wiem, że te słowa zapadły mu w umysł. A zanim tu przyszli śmy, stara kobieta, wró żka, zatrzymała Richarda i przepowiedziała mu, że dach się zawali. A potem się dowiedzieliśmy, że ktoś zaglądał do waszej komnaty.

- Jak sądzisz, co myśli lord Rahl?

Kahlan spojrzała w przenikliwe, błękitne oczy Cary.

- Jak znam Richarda, to myśli, że właśnie się pojawiło trzecie dziecko kłopotów.

- Wiedziałam, że powinnam dzisiaj włożyć czerwony uniform.

- Nie przesadzajmy. Po prostu jestem ostro żna. To, że Richard o czymś myśli, niekoniecznie oznacza, że właśnie tak jest.

- Matko Spowiedniczko, kiedy lorda Rahla nachodzi coś takiego, zwykle pojawiają się kłopoty.

- Rzeczywiście - przyznała Kahlan.

## Rozdział 5

Kahlan przyglądała się, jak Zedd chodzi tam i z powrotem po złotobłękitnym dywanie w stronę mahoniowego stołu; długie szaty czarodzieja owijały się wokół jego nóg, kiedy zawracał, jakby nie mogły za nim nadążyć. Okna na poziomie galerii oświetlały długą bibliotekę chłodnym, monochromatycznym światłem. Widziała przez nie, że od ich pobytu na targowisku napłynęły stalowoszare chmury, zapowiadając wiosenną burzę.

Chociaż na przeciwległej ścianie galerii znajdowały się okna, w samej bibliotece nie było ani jednego. Kahlan pomyślała, że biblioteka musi się mieścić prawie pod Ogrodem Życia znajdującym się w wielkiej bryle pałacu ponad nimi. Lecz konstrukcja budowli była tak skomplikowana, że trudno jej się było zorientować.

W przeciwległym kącie biblioteki Nathan opierał się o żłobkowaną drewnianą kolumnę, szerszą niż jego potężne bary. W koszuli z żabotem, wysokich butach, zielonej pelerynie na ramieniu (żeby już nie wspominać o mieczu) bardziej wyglądał na awanturnika niż na proroka. Był jednak tym drugim. Skąpany w ciepłym, złotym blasku lampy umocowanej na kolumnie w zacienionej wnęce był całkowicie pogrążony w lekturze.

Przed Kahlan na całej długości stołu książki leżały w schludnych stosach lub bezładnych stertach. Pomiędzy książkami zaś wały się pióra i puste kubki, pliki papierów, stały lampy i buteleczki atramentu. Lampy z odbłyśnikiem, na kolumnach i na końcach rzędów półek, oświetlały bardziej ustronne zakątki biblioteki. Było pochmurno, toteż pomimo lamp w cichej komnacie panował półmrok.

Berdine, w brązowym skórzanym uniformie, skrzyżowała ramiona na piersi i przysiadła na stole; ona też obserwowała przechadzającego się Zedda. Oczy miała równie błękitne jak Cara, za to włosy kasztanowe, a nie blond. Była niższa i kręglejsza niż większość Mord-Sith.

W przeciwieństwie do pozostałych Mord-Sith fascynowały ją książki i wiele razy okazała się nieocenioną pomocnicą Richarda w wynajdywaniu użytecznych informacji w tysiącach woluminów.

Chociaż Berdine z niebywałym entuzjazmem zajmowała się książkami, była równie groźna jak Cara czy każda inna Mord-Sith.

Zedd wreszcie się zatrzymał.

- Nie jestem przekonany, że to się uda, Richardzie, a przynajmniej że będzie praktyczne. Istnieje wiele sposobów klasyfikowania ksiąg oraz tych dotyczących więcej niż jednego tematu. Jeśli księga traktuje o mieście położonym nad rzeką i umieścisz ją w dziale o miastach, to potem, kiedy będziesz potrzebować informacji o rzekach, nie zorientujesz się, że tamta księga o miastach powiedziała ci też coś ważnego o rzece.

Westchnął i rozejrzył się po bibliotece.

- Całe życie czytałem i studiowałem księgi i mogę ci powiedzieć, że z mojego długiego doświadczenia wynika, iż nie zawsze zdołasz zasufladkować księgę do konkretnej kategorii.

- Bierzemy to pod uwagę - powiedział cierpliwie Richard.

Poirytowany Zedd odwrócił się ku stercie ksiąg na stole, rzucił okiem na tę otwartą leżącą na samym wierzchu i podniósł ją. Pomachał nią przed Richardem.

- No i są takie księgi jak ta. Jak zaklasyfikujesz coś, w czym w ogóle trudno doszukać się sensu?

Berdine podrapała się po policzku.

- Co to za księga? O czym?

Zedd zamknął na chwilę tom, żeby przeczytać tytuł.

- Regula - powiedziała z rozdrażnieniem. Przekartkował wolumin i pokręcił głową z rezygnacją. - Nie mam pojęcia, co oznacza ten tytuł, a po przekartkowaniu mam jeszcze słabsze pojęcie, o czym traktuje.

Kiedy podawał księgę Berdine, Kahlan zauważyła, że po słowie Regula na skórzanym grzbiecie wyciśnięto dziwny kolisty symbol z trójkątem w środku. Wewnątrz znajdował się jeszcze wygięty, haczykowany znak, jakiego nigdy nie widziała. Trochę przypominał cyfrę 9, lecz odwróconą.

- Ach, ta - mruknęła Berdine, też kartkując księgę. - Część jest w górnod'harańskim, lecz reszta nie. Podejrzewam, że to słownik.

Zedd przez chwilę patrzył na nią ze zdumieniem.

- A cóż to znaczy?

- Rozumiem to, co jest w górnod'harańskim, ale nie mam pewności, co znaczą te wszystkie zawijasy i symbole.

- Skoro nie masz pewności, co to jest, jak to sklasyfikujesz? - najeżył się Zedd.

Richard położył dłoń na ramieniu dziadka.

- Wpiszemy ją na listę ksiąg, których znaczenia nie rozumiemy. Bie żąca klasyfikacja: nieznane.

Zedd wpatrywał się w niego przez chwilę.

- No cóż, to ma sens.

- Och, to nie jest „nieznane”, lordzie Rahlu - odezwała się Berdine. - Jak wspomniałam, uważam, że to słownik.

- Słownik? - Zedd wskazał palcem księgę. - Pełno tu dziwacznych symboli, a nie słów.

- Tak, wiem. - Berdine odgarnęła z twarzy pasmo falistych kasztanowatych włosów.

- Nie mogłam się za bardzo w to wgłębić, ale podejrzewam, że te symbole są prastarym pismem. Znalazłam ustęp, w którym nazywa się je mową Początku.

Zedd skomentował ironicznie:

-Wygląda na to, że sklasyfikujesz ją jako „bezużyteczną”. Uważam, że to będzie tak częsty problem, że trudno mi się dopatrzeć sensu w całej tej pracy.

- Posłuchaj - odezwał się Richard - zdarzało się, że wpadaliśmy w poważne tarapaty albo nie mogliśmy czemuś zapobiec, bo nie potrafiliśmy odszukać potrzebnych nam akurat informacji. W przeszłości istnieli skrybowie sprawujący pieczę nad ogromem wiedzy zgromadzonej w każdej bibliotece. O ile wiem, odpowiadali za konkretne księgi lub poszczególne działy w konkretnej bibliotece. Gdy potrzebne były księgi mogące zawierać informacje na dany temat, mo żna było skonsultować się ze skrybami, a oni zaw ężali poszukiwania do tomów, w których najprawdopodobniej można było znaleźć te wiadomości. Bez znających się na rzeczy skrybów, którzy wiele wiedzieli o księgach i o nie dbali, wiedza w bibliotekach jest praktycznie niedostępna.

Musimy mieć sposób odnajdywania ksi ąg na dowolny temat, żeby uzyskiwać potrzebne informacje. Po twojej ostatniej wizycie w pałacu zaczęliśmy wszystko katalogować. Staramy si ę stworzyć system obejmuj ący wszystkie ksi ęgi ze wszystkich bibliotek, żebyśmy w razie potrzeby mogli znaleźć informacje na konkretny temat.

Zedd wskazał stół.

- To te sterty papierzysk?

Richard przytaknął.

- Nie chcę przenosić ksiąg bez potrzeby, bo nie wiem, dlaczego są w danej bibliotece lub na konkretnej półce. Poza tym, że groźne księgi o magii umieszczono w zakazanych bibliotekach, nie udało mi się wykryć żadnej logiki w ich przechowywaniu, ale całkiem możliwe, że są tam, gdzie są, z jakiegoś powodu. Nie znam go, toteż nie chcę ich przenosić z miejsca na miejsce, żeby niechcący nie stworzyć nowych problemów. Dlatego dla każdej księgi robimy kartę z jej tytułem, umiejscowieniem i krótką notką o treści. Dzięki temu, zamiast, układać w kategorii księgi, możemy sortować karty. W przypadku, o którym wspomniałeś, będziemy mieć kartę księgi w kategorii „miasta” i zrobimy kopię, żeby umieścić ją też w kategorii „rzeki”. W ten sposób ograniczymy ryzyko, że pominiemy ważne powiązane informacje.

Zedd powiódł wzrokiem po rzędach regałów. W tej bibliotece znajdowały się tysiące ksiąg, a była ona jedną z wielu w pałacu.

- To mnóstwo roboty, chłopcze.

Richard wzruszył ramionami.

- Mamy obfitość informacji w dziesiątkach tysięcy ksiąg w rozmaitych pałacowych bibliotekach i żadnego efektywnego sposobu, żeby znaleźć konkretną wiadomość, kiedy jest nam potrzebna. Zamiast się tym zamartwiać, znalazłem rozwiązanie. Jeśli masz lepsze, chętnie je poznam.

Zedd na chwilę mocno zacisnął usta, rozważając ten problem.

- Raczej nie. Muszę przyznać, że to, co mówisz, ma sens. Robiłem coś podobnego, ale na o wiele mniejszą skalę.

- Enklawa Pierwszego Czarodzieja w Wieży Czarodzieja - powiedział Richard, kiwając głową. - Pamiętam, że wszędzie leżały sterty ksiąg.

Zedd pogrążył się we wspomnieniach.

- Układałem w sterty księgi o konkretnych sprawach, chcąc je mieć pod ręką.

Zamierzałem odpowiednio ustawić je na półkach. Ale nigdy się do tego nie zabrałem, no i było tam stosunkowo niewiele ksiąg. Teraz wojna się skończyła, więc może po powrocie do Wieży wezmę się do tej dawno zapomnianej roboty.

- Lord Rahl chciał, żebyśmy zaczęli od tej biblioteki, bo chyba nie ma tu

szczególnie cennych lub rzadkich ksiąg - powiedziała Berdine, odrywając Zedda od wspomnień. - Kiedy Rahl Posepny był lordem, to o ile wiem, nie korzystał z tej biblioteki. Uznałam, że to oznacza, iż te księgi są mniej ważne.

- O ile wiesz - napomniał ją Zedd. - Na tej podstawie nie możesz twierdzić, że przynajmniej niektóre księgi nie mogą być rzadkie... lub niebezpieczne.

- To prawda - przyznała Berdine. - Lecz w pewnych innych bibliotekach są księgi, co do których mamy pewność, że zawierają niebezpieczne rzeczy.

- Uznaliśmy, że dobrze będzie zacząć tu, zanim przejdziemy do większych czy zakazanych bibliotek - odezwał się Richard. - A jeśli znajdziemy tu ważne księgi, to będziemy o tym wiedzieć, kiedy w końcu połączymy karty wszystkich ksiąg. Dzięki temu będziemy wiedzieć, gdzie są księgi na dowolny temat, bez względu na to, w której są bibliotece czy też są rozproszone w całym pałacu.

Zedd najwyraźniej się uspokoił.

- To brzmi sensownie.

Richard wskazał księgę na stole, którą wcześniej przeglądali.

- A kiedy natrafimy na księgę tego rodzaju, to oznaczymy ją jako „nieznane” lub może „słownik”, jak zaproponowała Berdine.

- Lordzie Rahl, ta księga nie jest podobna do żadnej innej. Miałam porozmawiać z tobą o tym, co powinniśmy z nią zrobić. Właściwie to ani „nieznane”, ani „słownik”.

Richard skrzyżował ramiona na piersi.

- Mówiłaś, że słownik.

- Możliwe, ale nie mogę jej tak sklasyfikować.

Richard spojrzał na nią chmurnie.

- Dlaczego?

- Hmm... przypomina słownik, ale nie mam pewności.

Richard potarł czoło.

- Przez ciebie mam mętlik w głowie, Berdine.

Berdine pochyliła się i przysunęła do siebie księgę. Otworzyła ją na stole, patrząc na Richarda, jakby miała się z nim podzielić smakowitą plotką.

- Spójrz tutaj. Księgę na nowo oprawiono. To nie jest oryginalna okładka. Zedd, Kahlan, a nawet Cara nachylili się, żeby popatrzeć.

Richard spojrział na księgę z nowo rozbudzonym zainteresowaniem.

- Skąd wiesz?

Berdine powiodła palcem po wewnętrznej stronie okładki w miejscu złączenia z grzbietem.

- Widać, że tu je połączono, ale nie pasują do siebie. Sama księga też nie jest kompletna. Większości stron brakuje. Nowa oprawa miała zawrzeć to, co zostało.

Richard przekrzywił głowę, żeby lepiej się przyjrzeć księdze.

- Jesteś pewna, że brakuje większości stron?

- Tak. - Berdine odwróciła ostatnią kartkę i postukała w słowa w górnod'harańskim na końcu. - Spójrz tutaj. Usunięto większość stron z wyjątkiem początku księgi. Jako ostatnią kartkę załączono tę notatkę wyjaśniającą, dlaczego to zrobiono.

Richard wziął księgę ze stołu, żeby samodzielnie przeczytać. Kiedy w milczeniu pracował nad tłumaczeniem, leciutko pobałdł.

- Co tam napisano? - spytała Kahlan.

Richard spojrział na nią z zaniepokojeniem.

- Napisano, że resztę księgi zabrano na przechowanie do Berglendursch ost Kymermosst. To tutaj to wstęp.

Kahlan pamiętała tę nazwę. Berglendursch ost Kymermosst to w górnod'harańskim góra Kymermosst. Tam zbudowano Świątynię Wichrów.

Trzy tysiące lat temu Świątynię Wichrów, zawierającą mnóstwo niebezpiecznych artefaktów, w jakiś sposób przeniesiono ze świata istot żywych tam, gdzie nikt nie mógł do niej dotrzeć.

Ukryto ją poza zasięgiem ludzi, w zaświatach.

W ciągu tych tysięcy lat zdarzali się śmiałkowie, którzy udawali się do świata zmarłych, żeby spróbować dostać się do Świątyni Wichrów. Nikt nie uszedł z życiem z tej próby.

Dokonał tego dopiero Richard.

Wybrał się samotnie w zaświaty i jako pierwszy po tysiącach lat postawił stopę w świątyni.

Kiedy uwolnił moc szkatuł Ordenu pod koniec wojny, naprawił wiele zła oraz usunął zagrożenia i pułapki, które zabiły wielu niewinnych ludzi.

Przywrócił również Świątynię Wichrów żywym - znowu znalazła się na swoim miejscu na szczycie góry Kymermosst.

## Rozdział 6

- Cóż, przynajmniej wiesz, gdzie jest reszta - przerwa ł ciszę Zedd. Zmarszczył krzaczaste brwi nad orzechowymi oczami. - Mówiąc mi, że przywróciłeś świątynię temu światu, oznajmiłeś też, że nikt prócz ciebie nie może tam wejść. Czyż nie, Richardzie?

Dla Kahlan zabrzmiało to bardziej jak nakaz niż pytanie.

Pomimo napięcia w głosie Zedda Richard się rozluźnił.

- Tak. Reszta księgi, cokolwiek zawiera, jest zamknięta w bezpiecznym miejscu.

Richard westchnął, zamknął dziwną księgę i położył na stole.

- Berdine, chyba powinnaś oznaczyć kartę Regula jako nieznane i napisać, że znajduje się i tutaj, i w Świątyni Wichrów.

Zedd znowu patrzył na Berdine, jakby chciał zatrzymać temat Świątyni Wichrów na później, na prywatną rozmowę z Richardem.

- A więc sporządzasz kartę dla każdej księgi w tej bibliotece?

Berdine potaknęła, biorąc gruby plik papierów.

- Każda z tych stronic to księga. W tym przypadku wszystkie księgi z tego pliku są księgami prorocत्व. Zapisujemy tytuł i dołączamy krótką notkę o treści, jeśli możemy to zrobić.

- W ten sposób - wtrącił się Richard - mając kartę każdej księgi, uzyskamy w końcu coś w rodzaju zbioru wszystkich pałacowych ksiąg. Nie sądzę, by prorocत्व okazały się dla nas szczególnie pomocne, ale przynajmniej będziemy wiedzieć, gdzie się znajdują te księgi i o czym traktują.

Kahlan pomyślała, że szanse na to są znikome. Większość ksiąg prorocत्व zawierała przypadkowe przepowiednie, a nie tematy, których dotyczyły prorocत्व.

Prorocy, ludzie mający dar, niegdyś nie aż tak nieliczni, jak się stali z upływem stuleci, spisywali każdą przepowiednię, jaka im się objawiła. W rezultacie w wielu księgach prorocत्व nie ma żadnej chronologii, a tym bardziej wspólnego tematu, przez co niezwykle trudno będzie je sklasyfikować.

Co więcej, czytać je mogli właściwie tylko prorocy. Osoba pozbawiona



daru na podstawie samych słów mogła źle zinterpretować znaczenie proroctwa. Proroctwo - wypowiedziane czy zapisane - rzadko oznacza ło to, co cz łowiek sądził. Właściwe znaczenie zawierała raczej wizja, którą wywoływało w umyśle proroka.

Wszyscy się odwrócili, kiedy po drugiej stronie stołu stanął Nathan.

- Jestem tutaj, żeby przejrzeć wszystkie ksi ęgi proroctw i pomóc je odpowiednio zaklasyfikować. Spędziłem życie na lekturze przepowiedni, więc zazwyczaj jestem już zaznajomiony z każdym woluminem. Zwykle można je tylko spisać jako proroctwa, ale przynajmniej będziemy mieć rejestr ich wszystkich i będziemy wiedzieli, gdzie je znaleźć.

- Pomoc Nathana jest nieoceniona - powiedzia ła Berdine. - Nawet nie próbuję sama zaklasyfikować ksiąg z proroctwami.

Richard skrzyżował ramiona na piersi i oparł się biodrem o stół.

- Skoro już mowa o proroctwach, Nathanie, to rankiem natkn ąłem się w holu na starą kobietę przepowiadającą przyszłość.

Kahlan się zastanawiała, ile czasu minie, zanim Richard dotrze do drugiego dziecięcia kłopotów.

- Niewidomą?

- Tak.

Nathan skinął głową.

- Sabella. Spotkałem ją. Nie udaje.

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę przepowiada przyszłość?

Nathan niemal zetkn ął kciuk i palec wskazujący, zostawiając między nimi tylko niewielką przestrzeń.

- O tyle, o ile. Ma bardzo skromny dar. Większość jej gadania to gładkie słówka, mówi ludziom to, co chcą usłyszeć, żeby mogła zarobić na życie. Przede wszystkim stara się sprawiać wrażenie, że wyczytuje przepowiednię z wizji. Może na przykład powiedzieć młodej kobiecie, że widzi jej przyszłe zamążpójście. Trudno to uznać za proroctwo, skoro większość młodych kobiet wyjdzie za mąż. Lecz ma odrobinę prawdziwego daru. Gdyby nie miała, tobym ci o niej powiedział. Nie sądzę, żebyś chciał mieć w pałacu szarlatanę oszukującą ludzi; ja też bym kogoś takiego nie chciał.

Kahlan dobrze wiedziała, że Nathan, jedyny znany jej żyjący prorok, bardzo dba o dobrą sławę prorokowania. Richard nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do proroctw i niezbyt im ufał, w przeciwieństwie do Nathana.

To, że Richard unikał prorocत्व, jego wolna wola były dla Nathana czynnikami równowagi niezbędnej dla istnienia prorocत्व, jak i wszelkiej magii.

- Jest tu ktoś jeszcze, oczywiście dysponujący mniejszym darem niż ty, lecz potrafiący choć w niewielkim stopniu przepowiadać przyszłość? - zapytał Richard.

- Jest w pałacu kilka osób o niewielkiej zdolności prorokowania. Właściwie każdy ma iskrę daru. Dzięki temu ma się kontakt z magią i z prorokowaniem. - Nathan wykonał nieokreślony gest. - Każdy od czasu do czasu nagle myśli o niewidzianym od wieków przyjacielu czy bliskiej osobie. Można odczuć przemożną potrzebę spotkania się z kimś.

Kiedy zaś podejmie się taką próbę, okazuje się, że ta osoba jest chora lub właśnie zmarła. Większość ludzi doświadczyła przecucia, że odwiedzi ich ktoś dawno niewidziany: i nagle ten ktoś puka do drzwi. Większość miewa od czasu do czasu takie przecucia. Są to skromne przypadki prorokowania. Ponieważ wszyscy mamy niewielką iszkierkę daru, ta umiejętność, nawet minimalna, niekiedy wywołuje omen. W niektórych owa iszkierka jest nieco silniejsza i regularnie doświadczają pomniejszych przypadków prorokowania. Choć nie jest to prawdziwy dar, taki jak mój, umożliwia im dostrzeżenie cienia przyszłości. Niektórzy ludzie są na tyle samoświadomi, by zważać na te wewnętrzne podszepty.

- I wiesz, że w pałacu są tacy ludzie?

Nathan wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Pewna kobieta z personelu kuchni doświadcza pomniejszych przecuć. Kolejna, Lauretta, pracuje w pałacowym sklepie z miętą. I ona ma niewielki talent. Nawiasem mówiąc, zanudzała mnie, żeby cię namówił, byś do niej przyszedł. Upiera się, że ma coś dla ciebie, jakiś omen.

- Czemu tego nie zrobiłeś?

- Richardzie, codziennie z dziesięć osób chce, żeby wpłynął na ciebie i pomógł im uzyskać jakąś łaskę, zapewnił audiencję czy nawet zaproszenie na herbatkę, żeby mogli udzielić ci porad w ważnych dla nich sprawach. Nie zwracam ci głowy tym, na co i tak nie masz czasu. Lauretta jest dobrą kobietą, ale jakoś dziwną, toteż ci o niej nie wspomniałem.

Richard westchnął.

- Wiem, o co ci chodzi. Sam spotykam wiele takich osób...

Kahlan uważała, że Richard często jest zbyt cierpliwy wobec ludzi. Że pozwala im, by zajmowali mu zbyt wiele czasu, co odrywa go od poważniejszych spraw, lecz taki właśnie był. Po prostu wszystko go ciekawiło, także życie i troski ludzi. Przypominał jej w tym Zedda. Poza tym kochała to w nim, choć od czasu do czasu ją to irytowało.

- I co usłyszałeś od niewidomej Sabelli?

Richard przez chwilę patrzył w dalszy kąt biblioteki, a potem przeniósł wzrok na proroka.

- Że dach się zawali.

Nathan dłużej niż on patrzył nieruchomo w dal.

- Taka przepowiednia jest zbyt konkretna. To przekracza jej umiejętności.

- Cóż, tak właśnie powiedziała. - Richard przyjrzał się poblądłej twarzy Nathana. - Jesteś pewien, że to wykracza poza jej umiejętności?

- Niestety tak.

- Wiesz, co oznacza ta przepowiednia?

Kahlan odniosła wrażenie, że Nathan nie odpowie, ale jednak w końcu to zrobił.

- Nie, nie mogę powiedzieć, że wiem.

- Skoro nie wiesz, co to znaczy, to dlaczego masz taką minę i skąd wiesz, że to przekracza umiejętności Sabelli? Skąd w ogóle wiesz, że to prawdziwy omen, a nie po prostu czcza gadanina w zamian za monetę?

Nathan wziął od Berdine plik papierów.

- Większość ksiąg w tej bibliotece jest dość pospolita - rzekł, kartkując stronicę. - Całe życie czytałem księgi prorocत्व. Pozwolę sobie powiedzieć, że znam niemal każdą z istniejących. Większość tutejszych woluminów, w tym te z prorocत्वami, to kopie, które można znaleźć w wielu bibliotekach.

Nathan wreszcie znalazł kartę, której szukał, i wyciągnął ją.

- Z wyjątkiem tego woluminu. To dość osobliwa księga.

- Co w niej takiego niezwykłego? - zapytał Richard.

Prorok podał mu kartę.

- Niezbyt wiele. Aż do dzisiaj. Dlatego do tej pory nie wgłębiałem się w nią.

Richard rzucił okiem na kartę.

- Zapiski kresu. Dziwny tytuł. Co oznacza?

- Tak naprawdę nikt nie wie. To bardzo stara praca. Niektórzy uważają, że to po prostu kompilacja przypadkowych fragmentów dłuższych proroczych zaginionych w ciągu wieków. Inni sądzą, że znaczy dokładnie to, co sugeruje, że zawiera zapiski o kresie.

Richard spojrział chmurnie na Nathana.

- Kresie? Kresie czego?

Nathan uniósł brew.

- Kresie czasu.

- Kres czasu - powtórzył Richard. - A ty jak myślisz?

- Najdziwniejsze jest to, że sam nie wiem, co myśleć - powiedział prorok.

- Mam dar, toteż kiedy czytam prorocтва, często miewam wizje dotyczące ich prawdziwego znaczenia. Lecz ta księga jest inna. Patrzyłem na nią wiele razy w ciągu całego mojego życia. Kiedy ją czytam, nie mam żadnych wizji. Co więcej, nie jestem w tym odosobniony. Nikt nie jest pewien znaczenia tytułu po części dlatego, że inni prorocy mieli takie same trudności jak ja. I u nich te prorocтва nie wywoływały żadnych wizji.

- Nietrudno się domyślić dlaczego - odezwała się Cara. - Moim zdaniem to po prostu wskazuje, że zapiski w tej księdze nie są prawdziwymi prorocत्वami. Jesteś prorokiem. Gdyby to były prawdziwe przepowiednie, tobys o tym wiedział. Miałbyś wizje.

Nathan uśmiechnął się szelmowsko.

- Jak na kogoś, kto nic nie wie o magii, trafiłaś w sedno. Tak twierdziło wielu, których zdaniem te zapiski to tylko przypadkowe urywki, zbyt fragmentaryczne, żeby można im wierzyć. Mówi się również, że księga jest fałszywką. - Uśmiech zniknął. - Jest tylko jeden problem z tą teorią.

- Jakiż to? - ubiegł Carę Richard.

- Pokażę wam.

Nathan pomaszerował środkiem przejściem, a za nim Richard, Kahlan, Zedd, Cara, Benjamin i na końcu Berdine. Rikka została przy drzwiach biblioteki; trzymała straż, pilnując, żeby nikt im nie przeszkadzał. Na samym końcu komnaty Nathan zaczął przeglądać grzbiety ksiąg stojących w wysokiej, zdobionej szafie bibliotecznej.

Wreszcie się pochylił i zdjął tom z niższej półki.

- Oto ona - oznajmił, pokazując im grzbiet księgi z wytłoczonym tytułem

Zapiski kresu.

Kartkował ją przez chwilę, a potem podał otwarty wolumin Richardowi i postukał wers na stronicy po prawej.

Richard wpatrywał się w słowa, jakby trudno mu było uwierzyć w to, co widzi.

- Co tam napisano? - spytała w końcu Kahlan.

Richard spojrział na nią szarymi oczyma.

- „Dach się zawali”.

- To samo, co powiedziała dzisiaj ta stara kobieta? - zachmurzyła się Kahlan. - A dalej?

- Nic więcej. Na stronicy są tylko te słowa.

Nathan powiódł wzrokiem po otaczającej go grupce.

- To fragmentaryczne proroctwo.

Richard wpatrywał się w krótkie zdanie. Benjamin był zaintrygowany. Wychudła twarz Zedda stężała, nie wyrażając żadnych emocji, co tylko pogłębiło zmarszczki.

Berdine była zatroskana.

Cara zmarszczyła nos.

- Fragmentaryczne proroctwo?

Nathan potaknął.

- Tak zwiędłe, że wydaje się zaledwie fragmentem, wyimkiem. Proroctwa są zwykle choć odrobinę bardziej złożone niż to tutaj i zazwyczaj o wiele bardziej zawile.

Richard znowu spojrział na księgę.

- Albo jest to po prostu paplanina.

Nathan zeszywniał.

- Paplanina?!

- Oczywiście. Ktoś chciał się popisać, więc wymyślił coś, co brzmi nadzwyczajnie, ale wcale takie nie jest.

Nathan przekrzywił głowę, siwe włosy musnęły bark.

- Nie nadążam.

- Jak dawno, twoim zdaniem, to napisano?

- Nie mam pewności, ale proroctwo musi liczyć przynajmniej kilka tysięcy lat. Być może jest o wiele starsze.

- A nie sądzisz, że przez ten czas zapadł się jakiś dach albo dwa?

Proroctwo zapowiadające, że dach się zawali, robi wrażenie, lecz tak naprawdę nie jest niczym więcej jak głoszeniem w słoneczny dzień, że spadnie deszcz. Wcześniej czy później zacznie padać, więc spokojnie można coś takiego przepowiedzieć. Tak samo wcześniej czy później, z upływem lat, zawali się jakiś dach. Kiedy tak się stanie, osoba, która to przepowiedziała, wyda się prorokiem.

- Dla mnie to ma sens - stwierdziła Cara, szczęśliwa, że unieszkodliwiono proroctwo.

- Jest tylko jeden problem - odezwał się Nathan.

Richard oddał mu księgę.

- To znaczy?

- Czcze przepowiednie są zazwyczaj nieokreślone. Jak mówisz, prędzej czy później zacznie padać. Lecz prawdziwe przepowiednie powtarzają się słowo w słowo.

Można by rzec, że omen się objawia, żeby przypomnieć ludziom o sobie.

Richard spojrzał na Nathana spod zmarszczonych brwi.

- Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem ta przepowiednia jest prawdziwa, bo ta kobieta ją dziś słowo w słowo powtórzyła? Że nadszedł czas jej spełnienia?

Nathan leciutko się uśmiechnął.

- W ten sposób to działa, Richardzie.

Kahlan zauważyła, że ktoś pojawił się w drzwiach. Po szatach ze złotym lamowaniem poznała, że to pałacowy urzędnik. Rikka zamieniła z nim kilka słów, a potem szybko ruszyła przejściem.

- Lordzie Rahlu, zaczyna się przyjęcie. Nowo poślubieni małżonkowie powinni witać gości.

Richard uśmiechnął się, otoczył ramionami barki Benjamina i Cary i skierował ich ku drzwiom.

- Nie pozwólmy im czekać na honorowych gości.

## Rozdział 7

Wchodząc do wspaniałego holu, Richard przepatrywał tłum, szukając mężczyzny, o którym opowiedziała mu Cara. Kiedy tak szli za Mord-Sith i jej nowo poślubionym mężem, Kahlan wsparła się na jego ramieniu, nachyliła ku niemu i szepnęła:

- Wiem, że masz o czym myśleć, Richardzie, ale postaraj się pamiętać, że to przyjęcie Cary i Benjaminu i chcemy, by miło je wspomniano.

Richard się uśmiechnął. Wiedział, o co jej chodzi. Od pierwszego przyjęcia, na które zabrał ją tego dnia, kiedy się spotkali, nigdy - z takiego czy innego powodu - się dobrze nie bawili. Dość często wszelkie spotkania kończyły się tragicznie. No ale to było w trakcie długiej wojny.

- Owszem. - Delikatnie szturchnął Kahlan, przysuwając się do niej. - Tworzą wspaniałą parę, prawda?

- Oto Richard, jakiego kocham - szepnęła z uśmiechem.

Wielką komnatę wypełniał gwar ludzi bawiących się na bankiecie. Stoły, zastawione najrozmaitszymi potrawami, przyciągały tłumy, wśród których krążył z półmiskami pełnymi przekąsek pałacowy personel w błękitnych jak niebo szatach.

To Cara wybrała kolor ich szat. Richard nie pytał, dlaczego zdecydowała się na taką barwę, ale podejrzewał, iż dlatego, że Mord-Sith nie nosiły niczego w tym kolorze.

Cieszył się, że wybrała coś miłego.

- No dalej - powiedział do Cary.

Leciutkim pchnięciem skłonił ją, żeby weszła pośród ludzi, którzy zjawili się na wydanym przez nią i Benjaminu przyjęciu. Ucieszyło go, że Cara, zagłębiając się w ludzkie morze, uśmiechnęła się do niego przez ramię. Oby cuda nigdy się nie skończyły.

Przyglądał się Carze i Benjaminowi z wdziękiem przyjmującym serdeczne życzenia od ludzi z bliższych i dalszych ziem, którzy się wokół nich tłoczyli, i prawie nie słuchał rozmowy Kahlan i Zedda. Czarodziej opowiadał jej o tym, co nowego w Aydindril, o naprawach w Pałacu Spowiedniczek, w którym dorastała, i o wszystkich innych sprawach.

- Wspaniale słyszeć, że Aydindril znów tętni życiem - stwierdziła

Kahlan. - Richard i ja nie możemy się doczekać, kiedy tam pojedziemy.

Wokół kręciły się setki kobiet ubranych w najwspanialsze stroje, lecz zdaniem Richarda żadna nie mogła się równać z Kahlan. Jej biała szata Matki Spowiedniczki, z kwadratowym dekoltem, elegancka w swej prostocie, opływała jej idealną sylwetkę.

Sprawiała, że długie, kasztanowe włosy wydawały się bujniejsze, a zielone oczy bardziej urzekające.

Chociaż uważał ją za najpiękniejszą ze wszystkich znanych mu kobiet, od pierwszej chwili ujął go inteligencja skrzęcająca się w jej oczach. W latach, które potem nadeszły, poznał i pokochał Kahlan, a ona nigdy nie dała mu powodu, by zwątpił w to, co na samym początku wyczytał w jej oczach. Budząc się każdego ranka i patrząc w jej zielone oczy, miał wrażenie, że śni na jawie.

- Tak, to wspaniale widzieć, że miasto tętni życiem - mówił Zedd - lecz powiem ci, Kahlan, że handel przepowiedniami staje się irytujący.

Richard nagle spojrzał na dziadka.

- Handel przepowiedniami? O czym ty mówisz?

Zedd przesunął palcem po kanciastej szczęce, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Kiedy wojna się skończyła i ludzie wrócili do Aydindril, pojawili się też różnego rodzaju prorocy. Wszyscy równie chętnie słuchają przepowiedni jak plotek. Niektórzy chcą wiedzieć, czy znajdą miłość. Inni, czy im się powiedzie w interesach. Jeszcze inni uważają, że przyszłość to czarna rozpacz, i chcą zawczasu usłyszeć ostrzeżenie przed nadciągającymi okropnościami. Niektórzy chcą nawet poznać przepowiednie o końcu świata i dlatego czujnie wypatrują znaków.

Richard osłupiał.

- Znaków? Jakich znaków?

- Och, no wiesz, że pewnej nocy księżyc w pełni otaczały trzy kręgi. Lub że w tym roku wiosna się spóźnia. Że podczas ostatniej pełni nie było mrozu. Takie tam głupoty.

- Och - westchnął Richard.

Ulżyło mu, że to tylko typowy strach przed końcem świata, zawsze towarzyszący takim wydarzeniom, jak zaćmienie czy nietypowa zmiana pór roku. Często najzwyczajniejsze zdarzenia łączono w niezawodne oznaki



nieuchronnie zbliżającego się końca istot żywych.

Wielu ludzi najwyraźniej odczuwa potrzebę wiary, że jakaś katastrofa położy kres światu. Zwykle w nieodległej przyszłości.

Zedd splótł dłonie za plecami.

- Nagle wszyscy chcą wiedzieć, co im przyniesie przyszłość. Wygląda na to, że ostatnio prawie wszyscy zajmują się prorocत्वami, ich rozprowadzaniem i nawet związanymi z tym interesami.

W zielonych oczach Kahlan błysnęło zatroskanie.

- Nie przypominam sobie handlu prorocत्वami w Aydindril. Widziałam coś takiego na mniejszą skalę w rozmaitych miejscowościach, lecz nie pamiętam, żeby w Aydindril było to tak powszechne, jak mówisz.

- Cóż, teraz jest. Niemal na każdym rogu ktoś oferuje prorocत्व, wróżby i przepowiednie. Każdy, kto chce poznać przyszłość, może wybierać spośród licznej grupy osób głoszących, że potrafią przewidzieć, co się wydarzy.

Richard przysunął się do Kahlan.

- Czyż nie było tak zawsze? Ludzie zawsze chcieli poznać przyszłość.

- Ale nie aż do tego stopnia. Teraz rozwinęła się działalność prorocत्व, że tak powiem, i coraz więcej ludzi jest gotowych płacić, a potem rozgłaszać każde ostrzeżenie, jakie usłyszą. Miasto stało się wylegarnią przepowiedni stających się zarzewiem plotek. Muszę przyznać, Richardzie, że zaczyna mnie to niepokoić.

Podszedł lokaj w błękitnym stroju i skłonił się, podsuwając tacę. Kahlan wzięła kielich. Upiła łyk wina i przysłuchiwała się opowieści Zedda.

- Wojna się skończyła i ludzi już nie dręczy strach. Przywykli jednak żyć w lęku i zapewne dlatego teraz, kiedy zniknęły realne przyczyny obaw, zainteresowali się złowieszczymi przepowiedniami, żeby zaspokoić naprzykrzającą się im zjawę lęku.

Richard oparł lewą dłoń na głowni miecza. Nie przyjął proponowanego napitku.

Nie dobywał broni od pierwszego dnia minionej zimy. Byłby szczęśliwy, gdyby już nigdy nie musiał tego robić.

- Kahlan ma rację. Ludzie przez lata żyli w strachu, że nie doczekają następnego dnia. Wojna wreszcie się skończyła i budzą się co rano, uświadamiając sobie, że mają przyszłość, prawdziwą przyszłość. Chcą

wiedzieć, co im przyniesie. Wolałbym, żeby sami ją tworzyli, spełniali własne marzenia, lecz przypuszczam, iż wielu wierzy, że przyszłość skrywa jakieś tajemnice, które proroctwo może ujawnić.

Zedd gestem dłoni odprawił lokaja, a potem powiedział:

- Całkiem możliwe. - Przez chwilę obserwował tłum rojący się w wielkim holu. - Lecz mnie się wydaje, że jest w tym coś jeszcze - dodał cicho.

Kahlan się uśmiechnęła.

- Widzisz? Wojna się skończyła, a nawet ty nie potrafisz przestać się martwić.

Robisz to samo co inni. Powinieneś trochę się odprężyć. Panuje pokój.

- Pokój - prychnął Zedd. Posłał im przyprawiające o dreszcz spojrzenie. - Nie ma nic groźniejszego nad czasy pokoju.

Richard miał nadzieję, że dziadek się myli, że - jak powiedziała Kahlan - po prostu tak przywykł do zamartwiania się, iż ulega starym przyzwyczajeniom. Rozumiał Zedda.

I on nie mógł przestać się martwić, chociaż panował pokój.

Niepokoili go opowieść Cary o tym, że ktoś się im przyglądał. Niepokoili go i to, że przepowiednia starej Sabelli okazała się dokładnie taka sama jak ta z księgi Zapiski kresu. Proroctwa przysporzyły jemu i Kahlan wielu kłopotów.

Richard jednak martwił się przede wszystkim tym, co mówił chłopiec na targowisku - że w pałacu panuje mrok i mrok szuka mroku. W łaściwie nie miał powodu przejmować się zrodzonymi z gorączki majakami. Zedd i Nathan nie wzięli sobie do serca słów chłopca, kiedy im o tym opowiedział. Obaj uznali, że Kahlan ma rację, że to tylko gorączkowe bredzenie.

Lecz Richarda te słowa niepokoiły. Niosły znaczenie, które zdawało się nie mieć wiele wspólnego ze zwykłą gorączką. Poruszały coś w głębi niego. Zwłaszcza teraz, kiedy w pałacu zgromadzili się ludzie ze wszystkich stron świata.

Richard zauważył, że Rikka obserwuje tłum. Przypominała jastrzębia wypatrującego zdobyczy. Cara, stojąca trochę dalej, nie spuszczała oka z niego i Kahlan, choć się uśmiechała i witała gości. Widział inne Mord-Sith stojące z boku i obserwujące ludzi. Kilka, bliżej nich, miało na sobie czerwone skórzane uniformy. Z jakiejś przyczyny nie był z tego niezadowolony. Podobało mu się, że pozostały czujne, chociaż zapanował

pokój.

Nachylił się lekko ku dziadkowi.

- Zeddzie, uważasz, że Nathan ma rację?

Czarodziej zmarszczył brwi.

- Co do czego?

Richard uśmiechnął się do przechodzących gości i dopiero potem odpowiedział:

- Że prawdziwe prorocтва powtarzają się co do słowa. Że objawiają się na nowo, żeby umocnić swoją zasadność. Powtarzają się, by przypomnieć ludziom o sobie.

Zedd przez chwilę wpatrywał się w tłum, a potem rzekł:

- Nie jestem prorokiem. Mój dar nie przejawia się w ten sposób. Lecz jestem czarodziejem i dlatego przez całe życie zajmowałem się także proroctwami, toteż sporo o nich wiem. Jest trochę prawdy w tym, co powiedział Nathan.

- Rozumiem. - Richard zauważył idącego przez komnatę kapitana gwardzistów, który rankiem towarzyszył im na targowisku.

Jego mina świadczyła, że żołnierz ma pilną sprawę.

Goście, widząc zdecydowany krok kapitana, zrobili mu przejście, ale nadal świętowali, śmiali się i rozmawiali. Benjamin też go zobaczył i zeszywniał, nagle bardziej wyglądając na generała Meifferta niż nowo poślubionego małżonka. Kilka Mord-Sith zaczęło się zbliżać. Najwyraźniej uznały, że może trzeba będzie tego ponurego człowieka trzymać z dala od Matki Spowiedniczki i lorda Rahlu - przecież byli tutaj, żeby się bawić, i nie należało im zawracać głowy innymi sprawami. Cara dała im jednak dyskretny znak i przepuściły kapitana.

Żołnierz zatrzymał się i przyłożył pięść do piersi na wysokości serca.

- Wybacz, że przeszkadzam, lordzie Rahlu.

Richard lekko skłonił głowę.

- Nic nie szkodzi. Znalazłeś chłopca, kapitanie?

- Nie, lordzie Rahlu. Wszędzie go szukaliśmy. Zniknął.

Richard pomyślał, że zabrzmiało to trochę zbyt stanowczo.

- Musi gdzieś być. Jest chory, nie mógł odejść daleko. Szukajcie nadal. Jestem przekonany, że żołnierze na niego trafią.

Kapitan odchrząknął.

- Lordzie Rahlu, niedawno znaleziono dwóch moich ludzi. Nie żyli. Dwóch spośród tych, którzy pobiegli za chłopcem.

Richardowi serce si ę ścisnęło na myśl o tym, że ci dzielni żołnierze, którzy tak długo walczyli i tyle wycierpieli, zginęli właśnie teraz, kiedy wreszcie zapanował pokój.

- Nie żyją? Jak umarli?

Kapitan przestąpił z nogi na nogę.

- Nie wiem, lordzie Rahlu. Nie mieli żadnych ran. Nie dobyli broni. Na ich twarzach nie zastygł niepokój. Po prostu spokojnie leżeli w wąskim przejściu za rzędami namiotów. Nie było śladów walki.

Richard mocniej zacisnął palce na głównej miecza.

- Nie mieli ran?

- Nie, lordzie Rahlu. Po prostu umarli.

## Rozdział 8

Ledwo Richard wysłał kapitana, żeby zebrał większy oddział do poszukiwania chłopca, a już zaczęły się wokół niego i Kahlan gromadzić delegacje z rozmaitych ziem przybyłe na uroczyste zaślubiny. Wielu dziękowało im za uratowanie przed tyranią, jednak niektórzy chcieli o to i owo zapytać. Wszyscy pragnęli usłyszeć, co lord Rahl i Matka Spowiedniczka mają do powiedzenia.

Richard poznał już wcześniej niektórych przedstawicieli, ambasadorów i emisariuszy, kiedy zjeżdżali do pałacu w ciągu kilku ostatnich dni, lecz wiele ze zgromadzonych wokół osób widział po raz pierwszy. Uśmiechy i wdzięczność, jak również pytania, wydawały się szczere.

Kiedy już podziękowali za zaproszenie, serdeczne przyjęcie i pochwalili piękno pałacu, raz-dwa zaczęli pytać o politykę handlową i ujednoczenie praw. Chcieli zapewnień, że wszystko, co słyszeli, jest prawdą, że wszyscy będą mogli w tym uczestniczyć.

Wojna, konieczność zaopatrywania i żołnierzy należały już do przeszłości, toteż każdy zaczynał się zastanawiać, jak najlepiej wykorzystać zasoby i środki dla dobra ojczystych ziem i współziomków. Wyraźnie było widać, że jedność odczuwana podczas wojny trochę osłabła i że każdy się martwi, że jego kraina może się teraz znaleźć w niekorzystnej sytuacji pod względem handlowym czy prawnym.

Richard pozwolił Kahlan zapewniać wszystkich, że nie będzie żadnych ograniczeń w handlu i że nie muszą się obawiać, iż niektórzy będą się cieszyć większymi względami niż inni. Wielu z nich pochodziło z Midlandów. Przypomniała im o zasadach, jakimi się kierowała, władając Midlandami jako Matka Spowiedniczką, i potwierdziła, że to się nie zmieni, chociaż teraz są częścią Imperium D'Hary. Jej spokój i władczy sposób bycia sprawiły, że uwierzyli, iż mówi prawdę.

Niektórzy przypomnieli Kahlan, że w Midlandach większość regionów miała przedstawicieli w Aydindril i że niekiedy zarządcy spędzali w mieście wiele czasu z emisariuszami i przedstawicielami, że stale byli pod ręką urzędnicy, dzięki czemu poszczególne regiony mogły brać udział w decyzjach rady czy w stanowieniu praw.

Kahlan zapewniła, że skoro oficjalną siedzibą władzy w Imperium D'Hary jest teraz Pałac Ludu, to poczyni się podobne ustalenia i przyzna przedstawicielom ziem stałe kwatery, żeby mogli uczestniczyć w kształtowaniu wspólnej przyszłości. Słyszając to, poczuli nie tylko ulgę, ale i szczerze zadowolenie.

Kahlan była przyzwyczajona do rządzenia i robiła to z wdziękami. Dorastała samotnie, bo jako Spowiedniczka budziła lęk. Kiedy Richard ją poznał, widział, jak ludzie trzęsą się w jej obecności. W przeszłości dostrzegali tylko jej przerażającą moc, a nie łagodne usposobienie, lecz w czasie, kiedy walczyli wspólnie o dobro tych ludzi, zaczęto ją podziwiać i szanować.

W najbardziej nieodpowiedniej chwili, gdy Kahlan mówiła, za Richardem pojawił się Nathan. Ujął go za ramię i odciągnął.

- Muszę z tobą porozmawiać.

Kahlan przerwała wyjaśnienia dotyczące dawnej granicy. Tłumaczyła, że nie ma się o co spierać, są teraz częścią Imperium D'Hary i nie ma żadnego znaczenia, w którym miejscu na mapie narysowano tę linię. Kiedy umilkła, wszyscy spojrzeli na wysokiego proroka. Wiedzieli, kto to jest.

Richard zauważył, że Nathan trzyma w ręku Zapiski kresu, używając palca jako zakładki.

- O co chodzi? - zapytał cicho lord Rahl, odsuwając się o kilka kroków od nagle ucichłych, wpatrzonych w niego ludzi.

Najwyraźniej proroctwo interesowało ich bardziej niż sprawy handlu czy granic.

Nathan nachylił się ku niemu i powiedział dyskretnie:

- Mówiłeś, że chłopiec, którego widziałeś dziś na targowisku, powiedział ci coś o mroku w pałacu.

Richard zeszytniał, odwrócił się i powiódł wzrokiem po obserwujących go ludziach.

- Przepraszam, pozwólcie, że na chwilę się oddalę.

Ujął ramie Nathana i cofnął się z prorokiem jeszcze o parę kroków ku dwuskrzydłowym drzwiom z tyłu holu. Przyłączył się do nich Zedd i Kahlan także.

Stojący w pobliżu Cara i Benjamin zrozumieli wymowę spojrzenia Richarda i zajęli się reprezentantami, pytając, jak przebiega odbudowa w ich

krainach.

Richard, upewniwszy się, że nikogo nie ma w zasięgu słuchu, zwrócił się do Nathana:

- Chłopiec powiedział, że w pałacu panuje mrok. Że mrok szuka mroku.

Nathan bez słowa otworzył księgę i podał Richardowi.

Richard natychmiast dostrzegł wers: Mrok szuka mroku.

- Dokładnie to samo powiedział chłopiec - stwierdziła Kahlan zatroskanym tonem.

Richard omal nie powiedział, że to musi być przypadek, ale zmilczał. W końcu zapytał:

- Czy w księdze jest coś o tej przepowiedni?

- Nie wiem - odparł sfrustrowany Nathan. - Nie mam jak się dowiedzieć, czy w księdze coś jeszcze wi ąże się z tą przepowiednią. Z tego, co wiem, wszystko mo że się łączyć z prorocstwem mroku albo też nic nie ma z nim związku. Nie wiem nawet, czy to drugie, to o walącym się dachu, ma związek z mrokiem szukającym mroku.

Richard wiedział, że tak jest.

Nie wierzył, że tylko przypadkiem chłopiec wypowiedział zdanie z księgi zawierającej też słowa starej kobiety. Wiedział, że ta zbieżność nie może być przypadkowa. Pamiętał zdumienie na twarzy wróżki, kiedy mu przepowiedziała, że dach się zawali; jakby nie tę wróżbę chciała wyrazić.

Richard nauczył się, że jego dar często się przejawia w wyjątkowy sposób.

Niektóre teksty nazywały go kamykiem w stawie, bo był ośrodkiem rozbiegających się fal wydarzeń. Zdarzenia, które początkowo wydawały się przypadkowe, często były tak naprawdę elementami, które w pewien sposób przyciągał lub które przykuwały jego uwagę poprzez dar, przez fale, jakie wokó ł siebie wywoływał. Takie zdarzenia mogły się wydawać przypadkowe, póki nie sięgnął głębiej.

Lub póki nie zważyło się na niego niebo.

Miał pewność, że nie powinien tego zarzucać i pozwolić, żeby wydarzenia go uprzedziły. Musiał pokopać głębiej. Westchnął głęboko.

- No dobrze. W tej chwili nie możemy nic z tym zrobić. Nie pozwólmy, żeby ci wszyscy ludzie się zdenerwowali, okazując przy nich, że coś jest nie tak.

- Nie wiemy, czy naprawdę coś jest nie tak - napomniał go Zedd.

Richard nie miał ochoty się sprzeczać.

- Mam nadzieję, że masz rację.

- Z tego, jak działają proroctwa, wynika, że to wszystko najprawdopodobniej jest ze sobą powiązane - przypomniał Zeddowi Nathan. Zedd się skrzywił, ale nie podjął dyskusji.

Richard stukał kciukiem o głownię miecza, rozmyślając przez chwilę o tym wszystkim.

Nie mógł się dopatrzeć żadnego związku pomiędzy tymi trzema zdarzeniami.

Nawet nie potrafił go sobie wyobrazić.

Nagle uświadomił sobie, że to nieprawda. Mrok szukający mroku można powiązać z odczuciem Cary, że ktoś zaglądał nocą do jej komnaty - właśnie w mroku.

- Mówiłeś, że w pałacu pracuje kobieta, która miewa przecucia - powiedział do Nathana.

- Owszem. Jest pomocą kuchenną i zazwyczaj wykonuje drobne prace, na przykład sieka różne składniki dla pałacowych kucharzy. Pomaga też w innych pracach, kiedy jest to konieczne. Nawiasem mówiąc, sądzę, że jest jedną z usługujących dziś osób w b lękitnym stroju. - Rozejrza ł się, usiłując uczynić to dyskretnie. - Ale w tej chwili jej nie widzę.

- I mówiłeś, że jest jeszcze jedna kobieta, Lauretta, o ile dobrze zapamiętałem imię, mająca odrobinę zdolności. Powiedziałeś, że chce się ze mną zobaczyć, bo ma coś dla mnie, jakiś omen.

- Owszem - przytaknął Nathan.

- Chcę, żebyś mnie do niej zaprowadził, gdy tylko uda się nam stąd wyrwać.

- Richardzie, z przyjemno ścią cię tam zaprowadzę, ale to prawdopodobnie nie ma znaczenia. Takie sprawy zwykle okazują się o wiele mniej ważne, niż się komuś wydaje. Ludzie często sądzą, że najbardziej przyziemne i najniewinniejsze sprawy mają ponure implikacje. To prawdopodobnie coś bez znaczenia.

- Bardzo by mi to odpowiada ło - stwierdzi ł Richard, przygl ądając się czekającym na niego ludziom. - Nie musiałbym się martwić.

- Tak sądzę. - Nathan wskaza ł drzwi za nimi. - Jeste śmy w pobliżu



kuchni.

Lauretta pracuje dla rzeźnika, który dodatkowo zaopatruje pałac przy takich okazjach jak wesele czy bankiet. To niedaleko. Kiedy uznasz, że możesz się oddalić, możemy do niej pójść.

Richard kiwnął głową.

- A teraz wracajmy do gości.

## Rozdział 9

Richard wrócił do czekających urzędników, burmistrzów, regentów, przedstawicieli, a nawet paru królów i królowych ziem należących przedtem do Midlandów, a teraz włączonych do Imperium D'Hary. Zedd i Kahlan poszli z nim, a Nathan wsunął księgę pod pachę, uśmiechnął się najszerzej jak potrafił i do nich dołączył.

Nathan, Rahl i jedyny żyjący prorok, był dobrze znany niemal wszystkim w pałacu. Jego funkcja i ekstrawagancja sprawiały, że był swego rodzaju osobistością.

Nosił się stosownie do pozycji - koszule z żabotem i elegancka zielona peleryna. Złotą pochwę i miecz zdobiły wymyślne grawerunki.

Richard uważał, że miecz jest potrzebny do obrony czarodziejowi o uzdolnieniach Nathana jak wyka łączka jeżozwierzowi. Sam Nathan twierdził, że dzięki mieczowi wygląda „dziarsko”. Cieszyły go spojrzenia, które przyciągał, i zwykle dziękował za nie szerokim uśmiechem oraz - je śli były to spojrzenia kobiet - niskim ukłonem. Im kobieta była bardziej atrakcyjna, tym uśmiech był szerszy. Kobiety często się rumieniły, lecz niemal zawsze odwzajemniały uśmiech.

Nathan, chociaż liczył sobie niemal tysiąc lat, podchodził do życia z dziecięcym zachwytem i ciekawością. To przyciągało do niego ludzi. Inni z kolei, choćby był nie wiem jak uroczy, uważali go za najgroźniejszą z żyjących istot.

Prorok potrafił przepowiedzieć przyszłość, a często niosła ona ból, cierpienie i śmierć. Ludzie wierzyli, że jeśli się na to zdecyduje, mo że ujawni ć, jaki los ich czeka.

Nathan prorokował - nie mógł ani wymyślić przepowiedni, ani sprawić, żeby się ziściła.

Lecz niektórzy byli przekonani, że potrafi to zrobić. Dlatego wielu uważało, że jest niebezpieczny.

Inni uznawali go za groźnego z całkiem odmiennych powodów. Bali się go, ponieważ były czasy, kiedy jego prorocтва doprowadzały do wojen.

Niektóre kobiety pociągała otaczająca go aura zagrożenia.

Zapytany, po co nosi miecz, Nathan przypomniał Richardowi, że on sam

też jest czarodziejem, a nosi miecz. Richard odparł, że jest również Poszukiwaczem i zawsze musi mieć przy sobie Miecz Prawdy. Bo stanowi on jego część, element tego, kim jest.

Miecz Nathana był bardziej ozdobą. Nathan nie potrzebował broni, by kogoś unicestwić.

Prorok przypomniał Richardowi, że bez względu na to, czy jest Poszukiwaczem czy nie, i bez względu na to, co o tym mówi, on sam jest o wiele groźniejszy niż jego miecz.

- Lordzie Rahlu, moglibyśmy się dowiedzieć, czy czeka nas jakieś profetyczne wydarzenie? - zapytał krępy mężczyzna w czerwonej tunice, kiedy się znowu wszyscy zebrali.

Wielu zebranych skinęło głowami, byli zadowoleni, że wreszcie padło to pytanie.

Tłumek się przybliżył. Richard zaczynał podejrzewać, że tak naprawdę ludzie są zainteresowani wyłącznie jego odpowiedziami na tego typu pytania. Powiódł wzrokiem po zwróconych ku niemu twarzach.

- Profetyczne wydarzenie? Co masz na myśli?

- Cóż - zaczął mężczyzna, zataczając krąg ramieniem - jest tu tylu obdarzonych darem. Pierwszy Czarodziej Zorander, prorok we własnej osobie Nathan Rahl - mówiący następnie skłonił głowę ku Richardowi - że nie wspomnę już o tobie, lordzie Rahlu, wiele razy dowiodłeś, jaki masz wspaniały dar, wszyscy bez wątplenia macie dostęp do najgłębszych tajników prorokowania. Mamy nadzieję, że skoro się tutaj zgromadziliśmy, zechcecie się z nami podzielić tym, co wam ujawniło jasnowidzenie, co nam przepowiada.

Otoczający ich ludzie potakiwali i kiwali głowami. Wszyscy uśmiechali się wyczekująco.

- Chcecie usłyszeć prorocstwo?

Głowy znowu kiwnęły potakująco, wszyscy przysunęli się jeszcze bliżej, jakby lada chwila mieli zostać dopuszczeni do pałacowej tajemnicy.

- Zważcie więc na to, co powiem.

Richard wskazał okna, przez które wlewało się smętne szare światło, w przeciwnym końcu komnaty za otaczającym ich tłumkiem. Wszyscy obejrzelik się przez ramię, a potem natychmiast znów na niego spojrzeli, jakby się bali przegapić, co powie.

- Będzie wiosenna burza, jakiej nie widziano od lat. Ci z was, którzy chcą raczej wcześniej niż później wrócić do domu, powinni wyruszyć natychmiast. Ci, którzy będą za długo odkładać podróż, wkrótce utkną tu na wiele dni.

Parę osób szeptało pomiędzy sobą, jakby Richard właśnie ujawnił najtajniejszy sekret. Jednak na większości oczekujących na jego słowa o przyszłości ta zapowiedź wywarła mniejsze wrażenie.

Krępy mężczyzna w czerwonej tunice uniósł rękę.

- Lordzie Rahlu, chociaż to fascynujące i bez wątpienia profetyczne, a także użyteczne dla nas, to mamy nadzieję usłyszeć coś bardziej... znamionego.

- Na przykład? - odezwał się Nathan głębkim głosem, który wstrząsnął niektórymi z zebranych.

Stojąca na przedzie kobieta w stroju w żółto-zielone pasy zmusiła się do uśmiechu.

- Liczymy na prawdziwe proroctwo - powiedziała. - Na poznanie mrocznych sekretów losu.

Richard czuł się coraz bardziej nieswojo.

- Skąd to nagłe zainteresowanie proroctwami?

Jego ton trochę zmroził kobietę. Szukała właściwych słów, kiedy przez tłum przecisnął się wysoki mężczyzna. Był w skromnym czarnym stroju z usztywnionym kołnierzem, zapiętym pod samą szyję, przez co kołnierz niemal się zamykał. Nosił pozbawioną rąbki, czworokątne nakrycie głowy w tym samym kolorze.

Był to opat, o którym wspomniał Richardowi Benjamin.

- Lordzie Rahlu - powiedział przybysz, kłaniając się - wszyscy słyszeliśmy ostrzeżenia wygłaszane przez osoby obdarzone możliwością wglądu w przyszły ciąg wydarzeń. Ich mroczne przestrogi wielce nas niepokoją.

Richard skrzyżował ramiona na piersi.

- O czym mówisz? Kto wygłasza te ostrzeżenia?

Opat spojrzał na pozostałych gości.

- Ludzie w naszych ojczystych stronach. Kiedy się zjawiliśmy w pałacu i porozmawialiśmy, okazało się, że wszyscy słyszemy straszne ostrzeżenia od najrozmaitszych wróżbitów...

- Wróżbitów?

- Tak, lordzie Rahlu. Przepowiadaczy przyszłości. Choć mieszkają w różnych miejscowościach i krainach, wszyscy rozgłaszają mroczne wizje na temat tego, co się wydarzy.

Richard zmarszczył brwi.

- Co to znaczy „przepowiadacze przyszłości”? Nie mogą być prawdziwymi prorokami. Nathan jest jedynym żyjącym prorokiem. Kim więc są ci ludzie, których słuchacie?

Opat wzruszył ramionami.

- Może i nie są prorokami, ale to nie oznacza, że są pozbawieni daru.

Kapnomanci wyczytali ze świętego dymu złowieszcze omeny. Haruspikowie znaleźli je we wnętrznościach zwierząt. - Rozłożył ręce. - Ludzie tego rodzaju, lordzie Rahlu. Jak mówiłem, przepowiadacze przyszłości.

Richard nawet nie drgnął.

- Skoro oni mają takie zdolności i znają przyszłość, to dlaczego mnie o nią pytasz?

Opat uśmiechnął się przepaszająco.

- Mają zdolności, lecz nie dorównują one twoim, lordzie Rahlu, oraz talentom ludzi, którymi się otaczasz. Bylibyśmy wielce zaszczyceni, gdybyś zechciał powiedzieć, co wiesz o złowieszczych ostrzeżeniach w prorocत्वach, żebyśmy mogli przekazać twoje słowa ludziom w naszych ojczystych krainach. Z tego, cośmy słyszeli, wynika, że są zaniepokojeni i mają nadzieję, że wrócimy z pałacu z wyjaśnieniami. Wiosenna burza, chociaż godna uwagi, nie jest tym, co najbardziej nas trapi. Martwią nas szeptaki i ostrzeżenia, które wszyscy słyszeliśmy.

Richard, stojąc przed wpatrzonym w niego milczącym tłumem, nie zdołał powstrzymać gniewnego spojrzenia.

- Wasi ziomkowie chcą się dowiedzieć, co lord Rahl ma do powiedzenia na ten temat?

Wszyscy potakują i skinęli głowami. Niektórzy ośmielili się jeszcze bardziej zbliżyć.

Richard opuścił ręce i wyprostował się.

- Twierdzą, że przyszłość będzie taka, jaką ją uczynicie, a nie taka, jak ktoś przepowiada. Waszego życia nie kontroluje przeznaczenie, nie jest ono zapisane w żadnej księdze, nie objawia go dym czy układ świńskich wnę

ętrności. Powinniście powiedzieć rodakom, żeby się przestali martwić proroctwami, a zaczęli planować własną przyszłość.

Nathan odkaszlnął i pospiesznie wysunął się do przodu.

- Lord Rahl chce powiedzieć, że proroctwa są dla proroków, dla osób mających dar. Tylko oni potrafią zrozumieć zawilosci prawdziwych przepowiedni. Zapewniam, że się tym zajmiemy, żebyście nie musieli się kłopotać.

Niektórzy zaczęli się z ociąganiem przyznawać, że to brzmi sensownie. Inni nie byli usatysfakcjonowani. Chuda kobieta, królowa jednej z krain Midlandów, powiedziała:

- Przecież proroctwo powinno pomagać ludziom. Słowa, przywołane przez dar, miały przebyć ciemny tunel czasu i być pomocne tym z nas, których dotyczą. Co da proroctwo, jeśli ludzie nie zostaną powiadomieni, co ono mówi o ich losie? Po co dar prorokowania, jeśli nie po to, żeby pomagać ludziom? Jaką wartość ma przepowiednia, jeśli się ją trzyma w sekrecie?

Nathan się uśmiechnął.

- Skoro nie jesteś prorokinią, Wasza Wysokość, to skąd wiesz, że istnieje wazne proroctwo, o którym powinnaś wiedzieć?

Dotknęła długiego naszyjnika znikającego w dekolcie sukni.

- Cóż, przypuszczam...

Richard oparł lewą dłoń na mieczu.

- Proroctwo to więcej kłopotów niż pomocy.

- Natrafiliśmy na proroctwo... - odezwała się Kahlan, stając obok Richarda i przyciągając uwagę wszystkich - ...zatrważające fundamentalne proroctwo mówiące o mnie i Richardzie. Gdybyśmy się podporządkowali tym ponurym ostrzeżeniom i uczynili to, co zalecały, żeby zapobiec katastrofie, skądby się to nie tylko naszą zagładą, ale zagładą wszystkiego, co żyje. Gdybyśmy postąpili tak, jak teraz wy chcecie postąpić, i kierowali się słowami straszliwych proroctw, to w najlepszym przypadku już byście nie żyli, a w najgorszym bylibyście niewolnikami bezlitosnych panów. To proroctwo okazało się prawdziwe, lecz w inny sposób, niż zakładano. Przepowiednie są ogromnie niebezpieczne w ustach nieodpowiednich ludzi i nie należy ich odczytywać dosłownie.

- Powiadasz więc, że nie zasługujemy na poznanie własnej przyszłości? - W głosie królowej zabrzmiała ostra nuta.

Richard zauważył, że w zielonych oczach Kahlan błysnął gniew, i ubiegł ją, odpowiadając:

- Powiadamy, że przyszłość nie jest z góry ustalona. Sami ją tworzycie. Jeśli zaś sądzicie, że ją znacie, zmienia to wasze postępowanie, decyzje i plany. Takie bezmyślne podporządkowanie może mieć zgubne skutki. Powinniście działać racjonalnie dla swojego największego dobra, a nie według tego, co waszym zdaniem przepowiada prorocstwo. Proroctwa nie określają przyszłości, a przynajmniej nie całkiem. I nie każdy potrafi zrozumieć, w czym może być pomocna przepowiednia.

Choć nie w pełni zadowoliło to słuchaczy, jednak trochę osłabiła ich chęć usłyszenia jakichś intrygujących omenów.

- W prorocztwie jest sens - rzekł Nathan. - Lecz jego prawdziwe znaczenie może być zrozumiane jedynie przez mających właściwy dar i mogących zapewnić, że nie objawiają tego kupy świńskich jelit.

Cara zauważyła niezdecydowanie grupki i stanęła u lewego boku Richarda.

- D'Haranie mawiają: Lord Rahl jest magią przeciwko magii, my jesteśmy stalą przeciwko stali. Wiele razy to się sprawdziło. Pozostawcie mu magię.

Słowa Mord-Sith miały w sobie mrozącą krew w żyłach stanowczość.

Zgromadzeni uświadomili sobie, że nie tylko wdzierają się tam, gdzie nie powinni, ale i przekraczają dopuszczalne granice. Nieco zawstydzeni poszeptali między sobą, przyznając, że to ma sens i że powinni zostawić te sprawy osobom, które lepiej sobie z nimi poradzą. Trochę się uspokoili, jakby zażegnali niebezpieczeństwo.

Richard kątem oka zauważył po prawej stronie błękitny strój jednej z usługujących kobiet podchodzącej do Kahlan. Kobieta delikatnie położyła lewą dłoń na jej przedramieniu, jakby prosiła o poufną rozmowę. I właśnie to przyciągnęło uwagę Richarda. Ludzie nie podchodzą ot, tak sobie i nie dotykają Matki Spowiedniczki. Kiedy kobieta odwróciła się ku Kahlan, Richard dostrzegł jej błędny wzrok i krew na szacie.

Już zaczął działać, kiedy w jej drugiej dłoni zobaczył nóż celujący w pierś Kahlan.

# Rozdział 10

Czas się zatrzymał.

Richard a ż za dobrze rozpozna ł bezkresną pustkę pomiędzy okruchami czasu, próżnię poprzedzającą uwolnienie mocy.

Był o krok za daleko, żeby powstrzymać kobietę, lecz wiedział, że jest o wiele za blisko na to, co się zaraz stanie.

Nic nie mógł na to poradzić.

Życie i śmierć zastyg ły w mgnieniu czasu. Kahlan nie mog ła sobie pozwolić na wahanie. Instynkt kazał mu się cofnąć, mięśnie się napięły, lecz dobrze wiedział, że nie zdąży.

Zebrani stali nieruchomo, zszokowani, oczy mieli szeroko otwarte. Kilka Mord-Sith w czerwonych uniformach już nadbiegało, lecz Richard wiedział, że i one nie zdążą. Widział, jak Agiel Cary unosi się ku jej dłoni, jak ręce żołnierzy sięgają po miecze, a Zedd unosi dłoń, żeby rzucić czar. Wiedział, że nikt z nich nie zdąży.

A w centrum tego wszystkiego Richard widział kobietę odsuwającą rękę Kahlan z trajektorii zakreślanej przez okrwawiony nóż zbliżający się do jej piersi.

Dopiero w owej chwili wszyscy zaczęli się poruszać.

I w tej milczącej próżni w czasie nagle uderzył bezdźwięczny grom.

Czas gwałtownie ruszył, a fala uderzeniowa rozlała się w zamkniętej przestrzeni komnaty biesiadnej.

Fala rozbiegła się kuliście.

Ludzie stojący na przedzie krzykn ęli z bólu i upadli na ziemię. Stojących z tyłu odrzuciło na kilka kroków. Przerażeni za późno osłaniali twarze ramionami.

Potrawy spada ły ze stołów i wózków; kielichy i pó łmiski roztrzaskiwały się o ściany; butle wina, sztucce, pojemniczki, czarki, serwetki i okruchy szkła mknęły przez komnatę z szybkością błyskawicy. Kiedy fala uderzeniowa dotarła na koniec pomieszczenia, wypadły wszystkie szyby. W roztrzaskanych oknach miota ły się zasłony. Noże, widelce, jedzenie, napoje, talerze i szkło spadały na podłogę.

Richard był najbliżej Kahlan, kiedy uwolniła Moc Spowiedniczki. Za



blisko.

Niebezpiecznie blisko. Ból przeszył każdą cząstkę jego ciała, osunął się na kolano.

Zedd upadł, zwalony z nóg. Nathan, stojący nieco dalej, cofnął się chwiejnie i podtrzymał Carę.

Kiedy odłamki szkła wreszcie przestały sunąć po podłodze, obrusy i zasłony opadły, a ludzie usiedli w pełnej oszołomienia ciszy, kobieta w zakrwawionym błękitnym stroju klęczała u stóp Matki Spowiedniczki.

Kahlan stała dumnie pośrodku uspokajającego się chaosu.

Wstrząśnięci ludzie patrzyli. Nikt nigdy nie widział Spowiedniczki uwalniającej swą moc. Nie robiły tego przy świadkach. Richard nie wątpił, że nie zapomną tego do końca życia.

- Kurczę, boli - mruknął Zedd. Usiadł, rozmasował łokcie, poruszył ramionami.

Kiedy wzrok i umysł Richarda uwolniły się od ostrego jak igły bólu, który w mgnieniu oka przeniknął jego ciało, dostrzegł, że kobieta zostawiła na rękawie białej szaty Kahlan krwawy odcisk dłoni.

Klęcząc przed Matką Spowiedniczką, nie wyglądała na morderczynię. Była średniej budowy, miała drobne rysy. Luźne pukle ciemnych włosów sięgały ramion. Richard wiedział, że osoba dotknięta mocą Spowiedniczki nie czuje takiego bólu jak znajdujący się w pobliżu i że w ogóle coś takiego jak ból nie ma dla niej znaczenia. Dla dotkniętego jej mocą Spowiedniczka stawała się całym światem.

Kobieta już nie była tą osobą co przedtem.

- Pani - wyszeptała - rozkazuj mi.

Głos Kahlan był zimny jak lód.

- Powtórz, co zrobiłaś, co powiedziałaś mi wcześniej.

- Zabiłam moje dzieci - zeznała kobieta obojętnie. - Sądziłam, że powinnaś się dowiedzieć.

Słowa zakłóciły ponurą ciszę. Richard był pewien, że wielu przyprawiły o dreszcz.

Niektórzy aż zachłysnęli się oddechem.

- I dlatego do mnie przyszedłaś?

Kobieta przytaknęła.

- Po części. Musiałam ci powiedzieć, co zrobiłam. - Łza spłynęła jej po

policzku. - Co musiałam zrobić.

Nie była już sobą, toteż Richard wiedział, że płacze nie dlatego, iż zabiła dzieci, lecz że zamierzała zabić Kahlan. Dla niej liczyła się teraz wyłącznie Spowiedniczka, która dotknęła ją swoją mocą. Przytłaczało ją poczucie winy z powodu tego, co chciała zrobić.

Richard pochylił się, ostrożnie ujął prawy nadgarstek kobiety i wyjął jej z dłoni zakrwawiony nóż. Rozbrojenie jej nie było już konieczne, ale pewniej się poczuł. Nie zwróciła na to uwagi.

- Czemu to? - zapytała władczo Kahlan, na moment pozbawiając wszystkich tchu.

Kobieta uniosła ku niej twarz.

- Musiałam. Nie chciałam, żeby doświadczyły tej potworności.

- Jakiej potworności?

- Pożerania żywcem, pani - odpowiedziała kobieta, jakby to było oczywiste.

Gwardziści się zbliżyli. Kilka Mord-Sith, które próbowały powstrzymać kobietę, lecz nie zdążyły, znalazło się za nią. Każda trzymała w dłoni Agiel.

Kahlan nie potrzebowała ani gwardzistów, ani Mord-Sith, nie obawiała się zwykłego noża jednego napastnika. Ten, kogo dotknęła moc Spowiedniczki, był jej całkowicie oddany i niezdolny do nieposłuszeństwa, a tym bardziej do skrzywdzenia jej. Troszczył się wyłącznie o to, żeby się jej przypodobać. Oraz wyznać wszelkie przewinienia, o które spyta.

- O czym ty mówisz?

Kobieta zamrugnęła.

- Nie mogłam dopuścić, żeby musiały przejść przez to, co nadciąga. Ulitowałam się nad nimi, pani, i dałam im szybką śmierć.

Nathan pochylił się ku Richardowi i szepnął:

- To ta kobieta, o której ci mówiłem, ta pracująca w kuchni. Obdarzona skromną umiejętnością widzenia przyszłości.

Kahlan schyliła się ku kobiecie, a ta aż się cofnęła.

- Skąd wiedziałaś, co będą musiały wycierpieć?

- Miałam wizję, pani. Czasami miewam wizje. Zobaczyłam, co się stanie, jeżeli będą żyć. Nie rozumiesz, pani? Nie mogłam pozwolić, żeby taka potworność spotkała moje dzieciątka.

- Powiadasz, że miałaś wizję, która nakazała ci zabić własne dzieci?

- Nie - zaprzeczyła kobieta, kręcąc głową. - Miałam wizję, że są pożerane żywcem.

Widziałam, jak szarpały je i rozdzierały kły, a one krzyczały z przerażenia i z bólu.

Wizja nie kazała mi ich zabić, lecz po tym, co zobaczyłam, wiedziałam, że muszę to zrobić, bo inaczej spotka je ten straszliwy los. Wyświadczyłam im przysługę, pani, przysięgam.

- O czym ty mówisz? Pożerane żywcem? Kto miałby je pożreć?

- Czarne stwory, pani. Mroczne stwory przybyłe po moje dzieciątka. Mroczne stwory, dzikie i groźne, przychodzące nocą.

- A więc miałaś wizję i dlatego postanowiłaś sama je zabić.

To był zarzut, nie pytanie. Lecz kobieta tak to potraktowała i potaknęła, chcąc się przypodobać swojej pani.

- Tak. Podciąłam im gardła. Wykrwawiły się i szybko straciły przytomność, łagodnie odeszły w śmierć. Nie będą musiały cierpieć tego, co by im zgotował los.

- Łagodnie odeszły? - spytała przez zaciśnięte zęby Kahlan, z trudem hamując wściekłość. - Próbujesz mi wmówić, że nie cierpiały, nie walczyły?

I ona, i Richard widzieli, jak podrzynano ludziom gardła. W żadnym razie nie odchodzili oni łagodnie w śmierć. Walczyli o życie w straszliwym, śmiertelnym bólu, walczyli o życiodajny oddech, dławiąc się i tonąc we własnej krwi. To była straszna, brutalna śmierć.

Kobieta lekko zmarszczyła brwi, starając się sobie to przypomnieć.

- Owszem, trochę. Ale niedługo, pani. To była krótka walka. Nie tak długa jak ta, która by je czekała, gdyby żyły, a te stwory przyszłyby nocą i obżerały się ich wnętrznościami.

Zatroskane szepty w tłumie umilkły pod spojrzeniem Kahlan.

- Tak właśnie się dzieje, kiedy sądzicie, że potraficie zajrzeć w przyszłość.

- Zacisnęła zęby i gniewnie spojrzała na obserwujących całą scenę ludzi. - Oto skutek: nagle przerwane życie.

Znów skierowała wzrok na kobietę u swoich stóp.

- Chciałaś wypróbować nóż i na mnie, czyż nie? Zamierzałaś mnie zabić.

- Tak, pani. - Kobieta znowu się rozplakała. - To dlatego musiałam ci powiedzieć, co zrobiłam.

- Co masz na myśli?

- Musiałam powiedzieć, dlaczego zabiłam dzieci, żebyś zrozumiała, czemu i ciebie muszę zabić. Chciałam ci oszczędzić.

- Oszczędzić? Czego?

- Tego samego losu, pani. - Łzy płynęły po policzkach. - Błagam, pani. Nie mogę znieść myśli o śmierci, jaka cię czeka. O tym, jak rozszarpują twoje ciało, jak krzyczysz sama jedna i nie ma nikogo, kto by ci pomógł. To dlatego muszę cię zabić: żeby ci oszczędzić takiego losu.

Pod Richardem ugięły się kolana.

- A cóż takiego pożerało mnie w twoich iluzjach?

- Te same stwory, co pożarłyby moje dzieci, pani. Mroczne stwory, prześladowające cię i tropiące. Nie uciekniesz przed nimi.

Kobieta rozłożyła ręce w błagalnym geście.

- Mogę odzyskać mój nóż? Błagam. Muszę ci oszczędzić takiego losu. Błagam, pani, pozwól na koszmar tego zabójstwa, żebym mogła ci oszczędzić agonii i grozy, jaka cię spotka. Błagam, pani, pozwól, bym dała ci szybką śmierć.

Kahlan patrzyła na potencjalną zabójczynię wzrokiem pozbawionym emocji.

- Nie.

Kobieta przycisnęła okrwawione dłonie do piersi, zaciskając je na zakrwawionej błękitnej sukni. Bez skutku starała się złapać oddech. Wyrzeszczyła oczy, jej twarz poczerwieniała. Wargi zrobiły się równie błękitne jak suknia. Osunęła się i umarła.

Resztką powietrza uszła z jej płuc.

Kahlan podniosła wzrok na osłupiałych widzów - było to milczące ostrzeżenie dla tych, co sądzą, że proroctwo może im pomóc.

Zielone oczy Kahlan wzbierające łzami spojrzały w końcu na Richarda. O mało nie pękło mu serce. Otoczył ramieniem jej kibić.

- Chodź. Potrzebny ci odpoczynek.

Kahlan potaknęła, leciutko się do niego przytulając, wdzięczna za pocieszenie.

Już otaczali ją opiekuńczym kręgiem Cara, Zedd, Nathan i Benjamin. Mord-Sith i gwardziści z Pierwszej Kompanii ochraniali ich przed napierającym tłumem.

Kahlan ścisnęła ramię Cary.

- Tak mi przykro. Chciałam, żeby twoje święto było idealne.

- Ależ było, Matko Spowiedniczko. Kobieta cię nie zraniła, jesteś cała i zdrowa, a niedoszła zabójczyni nie żyje. Cóż mogłoby być lepszego? A na dodatek mog ę cię teraz zbesztać za to, że pozwalasz ludziom tak blisko do siebie podchodzić.

Kahlan się uśmiechnęła, odchodząc z podtrzymującym ją Richardem.

## Rozdział 11

- Jak ona się czuje? - zapytał Zedd, kiedy Richard zamknął za sobą drzwi.

- Dobrze. - Richard gestem odpędził troski dziadka. - Po prostu musi odpocząć.

Zedd skinął głową. Jako czarodziej współdziałający niegdyś ze Spowiedniczkami pewnie lepiej niż inni rozumia ł, że Spowiedniczka, która uwolni swoją moc, potrzebuje wypoczynku; a żadna nie odzyskiwała sił tak prędko jak Kahlan. W przeszłości, kiedy sytuacja tego wymagała, niekiedy w ogóle zapominała o wypoczynku.

Kahlan pod wieloma wzgl ędami była silniejsza od swoich sióstr. I dlatego wybrały ją na przywódczynię, na Matkę Spowiedniczkę. A teraz wszystkie nie żyły.

Lecz uwolnienie mocy było wyczerpujące - nie tylko fizycznie, ale i emocjonalnie.

To odpowiednik dokonania egzekucji.

Nie to jednak było najgorsze. Tym razem Kahlan przytłoczyła wiadomość, że dzieje się coś złowrogiego i że odebrano już życie niewinnym istotom. Nie bardziej niż Richard wierzyła, że kobieta działała wyłącznie pod wpływem wizji. Kryło się za tym coś więcej. Tak naprawdę Kahlan wyczerpała właśnie ta świadomość w połączeniu z uwolnieniem mocy w trakcie radosnego świętowania, w obecności zaproszonych gości.

Zedd posłał wnukowi jedno z tych spojrzeń, które Richard aż za dobrze znał.

- To dość dziwne, że kobieta padła martwa.

Richard skinął głową.

- I mnie to zastanawia.

- Osoba dotknięta mocą Spowiedniczki troszczy się wyłącznie o przypodobanie się swojej pani. - Zedd uniósł brew. - Nie może jej zadowolić, jeżeli nie żyje. Oczywiście jeśli Spowiedniczka nie zażyczy sobie, by taka osoba umarła. A Kahlan tego nie zrobiła.

Dziadek najwyraźniej rozumował tak samo jak wnuk.

- To bez sensu - przyzna ł Richard. - Ludzie nie umierają od dotknięcia Spowiedniczki. Coś się dzieje.

Zedd pocierał kościstym palcem szczękę.

- Być może kobieta zrozumiała, jaką odrazę wzbudziło w Kahlan to, że zabiła własne dzieci, i uznała, że Kahlan chce jej śmierci.

- Czy ja wiem, Zeddzie. Nie widzę w tym sensu. Spowiedniczka ma uzyskać wyznanie, wydobyć prawdę o tym, co si ę stało, jakie ktoś zbrodnie popełnił.

Wyznawanie własnych przewinień nie budzi w sprawcach żadnych emocji. Wprost przeciwnie: zwykle cieszy ich, że mogą zadowolić Spowiedniczkę, mówiąc jej prawdę, kiedy tego zażąda. Chcą żyć i spełniać jej życzenia.

Cara skrzyżowała ramiona na piersi.

- Nie ruszę się stąd, póki Matka Spowiedniczka nie odzyska sił i nie wstanie.

Richard delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

- Dzięki, Caro.

Już myślał o innych sprawach, o dopasowaniu różnych części układanki. Kiedy kobieta próbowała zabić Kahlan, to chociaż z zebraniem musiało się to wydać przerażające, tak naprawdę nie miała żadnych szans. Żaden nóż nie był wystarczająco szybki, żeby ubiec Spowiedniczkę uwalniającą moc. Cara nie potrafiłaby tak skutecznie powstrzymać napastniczki, jak zrobiła to sama Kahlan. Żaden napastnik nie miał najmniejszej szansy w starciu ze Spowiedniczką.

Lecz Kahlan nie mogła znów uwolnić mocy, póki nie odzyska sił. Richard był szczęśliwy, że w tym czasie czuwa nad nią Caro. Zwrócił się do Benjamina:

- Generale, mógłbyś ustawić gwardzistów na krańcach holu?

Benjamin wskazał korytarz.

- Już to zrobiłem, lordzie Rahlu.

Richard dopiero teraz zobaczył w głębi korytarza gwardzistów z Pierwszej Kompanii. Wystarczyłoby ich do prowadzenia działań wojennych.

- Może zostałbyś tutaj z Carą. Dotrzymałbyś jej towarzystwa. Kahlan potrzebuje kilku godzin wypoczynku.

- Oczywiście, lordzie Rahlu. - Benjamin odkaslnął. - Kiedy byłeś z Matką Spowiedniczką, znaleźliśmy dwoje dzieci tej kobiety. Miały podcięte gardła, tak jak powiedziała.

Richard skinął głową. Nie wątpił w te słowa. Ktoś dotknięty mocą Spowiedniczki nie potrafił kłamać. Ale i tak zabolalo go serce, kiedy to usłyszał.

- Proszę, zrób dla mnie coś jeszcze, generale. Poślij kogoś po Nicci. Nie widziałem jej od wczoraj, od twojego ślubu. Powiedz, że muszę się z nią spotkać.

Benjamin zasalutował, przykładając pięść do serca.

- Natychmiast kogoś wyślę, lordzie Rahlu.

Richard spojrzal na proroka.

- Nathanie, chciałbym, żebyś mnie zaprowadził do tej kobiety, o której wspomniałeś. Tej, która widzi różne rzeczy. I twierdzi, że ma dla mnie wiadomość.

Nathan skinął głową.

- Laretta.

Richard i Zedd poszli za prorokiem. Towarzyszy ła im grupa gwardzistów trzymających się w pewnej odległości. Przed nimi szła Rikka w czerwonym skórzanym uniformie.

Nathan wybra ł nieco d łuższą trasę - przez korytarze w części prywatnej, a nie w ogólnodostępnej - do sektora, w którym mieszka ł personel i inni robotnicy. Richard był z tego zadowolony. Ludzie bez w ątpienia chcieliby go zatrzyma ć i z nim porozmawia ć.

Nie miał ochoty dyskutować o handlu czy sprzeczkach z w ładzami o ustanawianie praw. Ani o prorocत्वach. Miał ważniejsze sprawy na głowie.

Na czele listy znajdowało się to, co kobieta opowiedziała o swojej wizji.

Nazwała zagrożenie „mrocznymi stworami”. Powiedziała, że tropią Kahlan.

A rankiem na targowisku chłopiec mówił, że w pałacu panuje mrok.

Richard się zastanawiał, czy nie łączy tych spraw zbyt pochopnie - bo przecież tak naprawdę nie miały ze sobą nic wspólnego poza słowem „mrok”. Czy aby nie daje się ponieść wyobraźni.

Idąc za Nathanem, spojrzal na księgę, którą niósł prorok, i przypomniał sobie zapisane w niej wersy pasujące do słów, jakie dzisiaj usłyszał, do ostrzeżeń, że w pałacu panuje mrok. Uznał, że nie przesadza.

Mahoniowa boazeria korytarza nabra ła z czasem ciemnej, nasyconej barwy.



Niewielkie obrazy przedstawiające sielskie sceny wisiały w każdym górnym panelu.

Marmurową posadzkę pokrywały dywany w barwach ciemnego błękitu i złota.

Wkrótce znaleźli się w korytarzach, którymi służba wchodziła do prywatnych komnat lorda Rahla. Były o wiele skromniejsze, z otynkowanymi, pobielanymi ścianami. Niekiedy korytarz biegł wzdłuż zewnętrznego muru pałacu, po ich lewej stronie. Zewnętrzne mury zbudowano z dopasowanych granitowych bloków. Światło wpadało przez głęboko osadzone, regularnie rozmieszczone okna. Przy każdym uderzeniu wiatru o szyby wpadało trochę lodowatego powietrza.

Za oknami Richard widział mknące po niebie ciężkie, czarne chmury ocierające się o szczyty odległych wież. Zielonawo-szare niebo mówiło, że się nie mylił, zapowiadając burzę.

Płatki śniegu tańczyły w porywach wiatru. Richard wiedział, że wkrótce nad równinami Azrith rozszaleje się wiosenna śnieżycą. Goście na jakiś czas pozostaną w pałacu.

- Tędy - odezwał się Nathan, wskazując dwuskrzydłowe drzwi po prawej stronie.

Z prywatnej części pałacu przeszli do korytarzy, z których korzystała służba i inni mieszkańcy.

Napotykanie ludzi odsuwali się, robiąc im przejście. Wszyscy - tak się zdawało - patrzyli z zaniepokojeniem na Richarda i towarzyszących mu czarodziejów. Najwyraźniej wieści o tym, co się stało, już ze trzy razy obiegły wielki pałac. Wszyscy o tym wiedzieli.

Smętne miny mówiły, że ludzie już nie byli w świątecznym nastroju. Ktoś próbował zabić Matkę Spowiedniczkę, żonę lorda Rahla. Wszyscy kochali Kahlan.

No cóż, nie wszyscy, pomyślał.

Lecz większość szczerze ją kochała. Na pewno przeraziło ich to, co się stało.

Teraz, kiedy na nowo zapanował pokój, ludzie zaczęli radośniej patrzeć w przyszłość. Rósł optymizm. Wydawało się, że wszystko jest możliwe i że czekają ich lepsze czasy.

Obsesja na punkcie proroctw groziła zniszczeniem tego wszystkiego. Już

spowodowała śmierć dwojga dzieci.

Richard przypomniał sobie słowa Zedda, że nie ma nic groźniejszego nad czasy pokoju. Miał nadzieję, że dziadek się myli.

## Rozdział 12

Richard i Zedd weszli za Nathanem w wąski korytarz oświetlony znajdującym się na końcu oknem. Prorok prowadził ich przez sektor kwater, w których mieszkało wiele osób z pałacowego personelu. Pobielane ściany, podłoga z desek wydeptanych przez tysiącletnie używanie - korytarz był skromniejszy nawet od tych dla służby. Mimo to większość drzwi ozdobiono namalowanymi kwiatami lub sielskimi scenkami czy te z barwnymi wzorami, stwarzając domowy nastrój.

- Tutaj - powiedział Nathan, dotykając drzwi ze stylizowanym słońcem.

Richard skinął głową i Nathan zapukał.

Cisza. Nathan zastukał mocniej. Kiedy i na to nikt nie zareagował, uderzył w drzwi pięścią.

- Lauretto, to ja, Nathan. Możesz otworzyć? - Znowu uderzył pięścią. - Powtórzyłem lordowi Rahlowi, że masz dla niego wiadomość. Przyprowadziłem go.

Chce się z tobą zobaczyć.

Drzwi odrobinę się uchyliły, na tyle, żeby jedno oko zerknęło w korytarz. Kiedy kobieta zobaczyła trójkę przybyszów, natychmiast otworzyła.

- Lord Rahl! Przyszędłeś! - Uśmiechnęła się, ukazując język w szczelinie po brakujących przednich zębach.

Warstwy odzieży okrywały niską, korpulentną postać. Richard uznał, że na ciemnoniebieską suknię kobieta włożyła co najmniej trzy swetry. Guzik na tym spodnim, wyświechtanym i białawym, z trudem się dopinał. Na nim miała wyblakły czerwony sweter i kraciastą flanelową koszulę z za długimi rękawami.

Podciągnęła rękaw, a potem odgarnęła z twarzy strąki rudawo-złotych włosów.

- Zechciejcie wejść.

Z uśmiechem poczłapała w głąb pomieszczenia, najwyraźniej uradowana z odwiedzin.

Lauretta była dziwna, a jej domostwo jeszcze dziwniejsze. Aby wejść, Richard - wyższy od gospodyni - musiał odsunąć jakieś wyroby z przedzdy wiszące w drzwiach.

Każde z tych dziwadeł było inne, lecz wykonane z grubsza w podobny sposób.

Przędę najrozmaitszych barw opleciono wokół skrzyżowanych patyków we wzory przypominające pajęczynę. Nie mógł się zorientować, do czego to służy. Z całą pewnością nie było ładne, więc nie sądził, żeby pełniło funkcje ozdobne.

Kiedy Zedd zauważył, że Richard się temu przygląda, marszcząc brwi, nachylił się ku niemu i cicho powiedział:

- Mają bronić dostępu złym duchom.

Richard nie skomentował pomysłu, że patyki i przędza zdołają powstrzymać złe duchy, które by się tu dostały z mrocznych czeluści zaświatów.

Po obu stronach wejścia piętrzyły się, niemal sięgając sufitu, sterty papierzysk, ksiąg i pudeł. W głąb mieszkania Lauretty prowadził tunel przebijający się przez ten bałagan. Gospodyni wpasowywała się w wąskie przejście. Przypominała Richardowi kreta drepczącego w głębi nory. Szli za nią rządkiem i dotarli do oczyszczonego miejsca w głównym pomieszczeniu, gdzie akurat mieściły się mały stół i dwa krzesła.

Okno, widoczne w wąskiej szczelinie pomiędzy chwiejnymi stertami, wpuszczało mętne światło.

Blat za stołem zavalony był wysokimi stosami papierzysk. Całe pomieszczenie przypominało kryjówkę wygrzebaną w kupie śmieci. I niemal tak pachniało...

- Herbaty? - spytała przez ramię Lauretta.

- Nie, dziękuję - odparł Richard. - Słyszałem, że chcesz ze mną o czymś porozmawiać.

Zedd uniósł dłoń.

- Chętnie bym się napił herbaty.

- I skosztował słodkich ciasteczek? - spytała z nadzieją.

Zedd odwzajemnił uśmiech.

- Byłoby miło.

Nathan przewrócił oczami. Richard rzucił dziadkowi znaczące spojrzenie.

Lauretta ryła za stertą papierzysk.

Zedd siedział przy stole, czekając, aż zostanie obsłużony, a Lauretta

wzięła imbryk z żelaznego stojaka na bocznym blacie. Imbryk ogrzewała paląca się pod stojakiem świeca. Stojak zaś otaczały byle jak poukładane papierzyska. Richard się zaniepokoił, widząc, że tak się tu korzysta z ognia.

- Laretto - odezwał się, siląc się na grzeczny i spokojny ton - niebezpiecznie jest tu rozpalać ogień.

Spojrzała na niego, nalewając herbatę Zeddowi.

- Tak, wiem. Jestem bardzo ostrożna.

- Na pewno, ale...

- Muszę uważać na moje wróżby.

Richard spojrzał na góry papierów. Większość ułożono w luźne sterty, lecz były tu też wypełnione nimi skrzynie oraz wypchane do granic możliwości okładki.

Zedd wskazał wznoszącą się obok stromiznę.

- A zatem to są twoje wróżby? To wszystko?

- O tak - potwierdziła, aż się paląc, żeby im o tym opowiedzieć. - Przez całe życie nawiedzają mnie wizje. Mama powiedziała mi, że wśród moich pierwszych słów była wróżba. Powiedziałam „ogień”. I proszę, tego samego dnia z paleniska wypadła płonąca kłoda i podpaliła mamie spódnicę. Nic złego się nie stało, ale okropnie się przestraszyła. Od tamtej pory zapisywała to, co mówiłam.

Richard się rozejrzył.

- Najwyraźniej masz wszystkie jej zapiski.

- Rozumie się. - Laretta naląła sobie herbaty i odstawiła imbryk na stojak.

Postawiła na stole wyszczerbiony biały talerz z ciasteczkami. - Kiedy osiągnęłam odpowiedni wiek, sama zaczęłam spisywać swoje wróżby.

- Mmmmm... - mrucał z zachwytem Zedd, machając słodkim ciasteczką. - Cynamonowe, moje ulubione. Niezłe.

Laretta posłała mu bezzębny uśmiech.

- Sama upiekłam.

Richard był ciekaw, gdzie to zrobiła i jak.

- Czemu wszystkie je przechowujesz? - zapytał.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Przecież to moje wróżby.

- Tak, już mówiłaś. Ale w jakim celu je przechowujesz?

- Żeby je utrwalić. Mam tyle wróżb, że nie spamiętałabym, gdybym ich nie zapisała. A co ważniejsze, muszą być zachowane, udokumentowane.

Richard się zachmurzył. Usiłował nie wyglądać na zdesperowanego.

- Po co?

- No cóż - westchnęła, zakłopotana pytaniem, jakby sprawa była zbyt oczywista na wyjaśnienia. - Wszyscy prorocy spisują swoje przepowiednie.

- Sądzę...

- I czyż tych proroctw się nie przechowuje? Tych spisanych przez proroków?

Richard zeszywniał.

- Masz na myśli księgi proroctw?

- Otóż to - powiedziała cierpliwie. - To są spisane proroctwa, tak jak ja spisuję moje, czyż nie? Potem, ponieważ proroctwa są ważne, przechowuje się je, czyż nie?

Oczywiście tamte są trzymane w bibliotekach w całym pałacu. A ja nie mam żadnego innego miejsca dla nich, więc muszę wszystkie tu trzymać. - Zatoczyła krąg ramieniem. - To moja biblioteka.

Zedd, pogryzając słodkie ciasteczko, powiódł wzrokiem po bibliotece Lauretty.

- No i sam rozumiesz, że bardzo uważam z ogniem, bo to są spisane proroctwa, a proroctwa są ważne. Muszę je chronić.

Richard zaczynał postrzegać proroctwa w nowym świetle - o wiele mniej pochlebnym.

- To ma sens - oznajmił Zedd, najwyraźniej niezainteresowany kontynuowaniem tego tematu. - A twoje ciasteczka są jednymi z najlepszych, jakie kiedykolwiek jadłem.

Posłała mu kolejny bezzębny uśmiech.

- Wróć, kiedy zechcesz, po więcej.

- Może to zrobię, łaskawa pani. - Zedd wziął kolejne ciasteczko i gestykulował nim.

- A jakąż to przepowiednię masz dla lorda Rahla?

- A, prawda. - Dotknęła palcem dolnej wargi i rozejrzała się. - Gdzie też je położyłam?

- Je? - zapytał Richard. - Masz więcej niż jedną?

- O tak. Właściwie kilka.

Lauretta podeszła do ściany papierzyk i na oślep wyciągnęła jakieś zapiski.

Rzuciła na nie okiem.

- Nie, to nie to.

Wetknęła je na miejsce. Sięgnęła w bok, znowu coś wyjęła tylko po to, żeby znowu odłożyć. Wyciągała zapiski z najrozmaitszych miejsc, przeglądała je i odkładała.

Richard i Nathan wymienili spojrzenia.

- Może po prostu powiesz lordowi Rahlowi, co przepowiedziałś - podsunął Zedd.

- Ależ skąd! Obawiam się, że nie potrafiłabym tego zrobić. Mam zbyt wiele przepowiedni, żeby wszystkie spamiętać. To dlatego muszę je zapisywać. Gdy je spiszę, zawsze je mam i nie zostaną zapomniane. Czyż nie po to się spisuje przepowiednie? Żebyśmy zawsze mieli je pod ręką? Proroctwo jest ważne, więc należy je zapisać i przechowywać.

- Absolutna racja - stwierdził Nathan, najwyraźniej nie chcąc jej denerwować. - Może pomogliśmy ci szukać? Gdzie mogłaś położyć najnowsze przepowiednie?

Spojrzała na niego wielkimi oczami.

- Tam, gdzie ich miejsce.

Nathan się rozejrzył.

- Skąd wiesz, gdzie ich miejsce?

- Po tym, o czym mówią.

Nathan przez chwilę tylko patrzył.

- No to jak je znajdujesz? Skoro nie pamiętasz, o czym mówią, to skąd wiesz, gdzie ich miejsce i gdzie je położyłaś? Skąd wiesz, gdzie szukać?

Zmrużyła oczy, zastanawiając się nad tym.

- A wiesz, to zawsze było problemem. - Wzięła głęboki oddech; guziki przy swetrach omal nie odpadły przed wydechem. - Nie umiem sobie z tym poradzić.

Sami mieli kłopot z umiejscowieniem książek pozornie poustawianych bez ładu i składu w bibliotekach, toteż Richard pomyślał, że to najwyraźniej powszechny problem ze spisnymi proroctwami - bez względu na skalę.

Zedd wyciągnął ze stosu kartę i spojrzał. Pomachał nią w powietrzu.

- Tu jest napisane tylko „deszcz”.

Lauretta podniosła wzrok znad kart trzymany w dłoni.

- Tak, napisałam to tego dnia, kiedy miałam przecucie, że zacnie padać.

- To strata czasu - powiedział konfidencyjnie Richard do Nathana.

- Ostrzegałem cię, że to prawdopodobnie nic ważnego.

- Owszem - westchnął Richard.

Odwrócił się ku Lauretce. Przesunęła się, wyciągając kolejną kartę z innego miejsca, u podnó za góry dokumentów, skrzyń i okładek. Zanim zdążył powiedzieć, że wychodzą, zachłysnęła się oddechem.

- No, jest. Znalazłam. Dokładnie tam, gdzie jej miejsce.

- Cóż mówi? - spytał Richard.

Kobieta przyczłapała do niego, trzymając w dłoni kartę. Spojrzała na niego, stukając palcem w dokument.

- Mówi: „Ludzie będą umierać”.

Richard przez chwilę wpatrywał się w pełną przejęcia twarz gospodyni.

- To się stale dzieje, Lauretto. Każdy w końcu umiera.

- Tak, to prawda - powiedziała, chichocząc, i wróciła do chwiejnych stert na nowe poszukiwania.

Richard nie dopatrywał się w jej prorocत्वach większego sensu niż w wielu innych.

- Dziękujemy za...

- Oto kolejna - powiedziała, sięgając po kartę zwisającą ze sterty. Wyciągnęła ją. - Mówi: „Niebo runie”.

Richard zmarszczył brwi.

- Niebo?

- Tak, właśnie tak, niebo.

- Na pewno nie chciałaś powiedzieć, że dach się zawali?

Lauretta spojrzała na kartę.

- Nie, całkiem wyraźnie „niebo”. Mam bardzo czytelny charakter pisma.

- I co by to mogło znaczyć? - zapytał Richard. - Jak niebo może spaść?

- Jejku, nie mam pojęcia - odparła, znowu chichocząc. - Ja tylko przekazuję.

Prorocत्वo mnie nawiedza, a ja je zapisuję. A potem przechowuję, tak jak się powinno przechowywać prorocत्वa.

Nathan wskazał otaczające ich papierzyska.



- Nie masz żadnych wizji na temat tych proroctw, które cię nawiedzają?

- Nie. Zjawiają się i je zapisuję.

- Więc niekoniecznie wiesz, co oznaczają.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Hmm, jeśli proroctwo dotyczy deszczu, to rzeczywiście nie towarzyszy mu wizja, ale wydaje się całkiem jasne, czyż nie? - Kiedy Nathan potaknął, podjęła wątek: - Lecz kiedy mówi, że niebo spadnie, nie mam pojęcia, co to znaczy. Przecież niebo nie może spaść, czyż nie?

- Nie, nie może - przyznał Nathan.

- Czyli musi w tym być jakieś ukryte znaczenie - stwierdziła, unosząc palec.

- Na to wygląda - zgodził się Nathan. - A jak nawiedza cię taka przepowiednia, skoro nie w wizji?

Zachmurzyła się, spojrzała w górę, starając się sobie przypomnieć.

- Chyba objawia mi się jako słowa. Nie widzę w umyśle obrazu spadającego nieba ani nic. Po prostu nachodzi mnie, że niebo spadnie, jakby mówił to głos w mojej głowie, więc zapisuję tak, jak napływa.

- I potem tutaj składujesz?

Lauretta powiodła wzrokiem po swoich bezcennych przepowiedniach.

- Sądzę, że przyszłe pokolenia proroków będą to studiować, żeby dopatrzeć się w tym sensu.

Richard z trudem nad sobą panował. Zmuszał się do milczenia. Kobieta była nieszkodliwa. Nie próbowała celowo doprowadzić ich do szału. Po prostu taka była i nie zamierzał jej przemawiać do rozsądku, nie zamierzał wybijać jej z głowy obsesji dręczącej ją całe życie. Byłoby to bezcelowe i okrutne i tylko by ją przygnębiło.

- Och - westchnęła, nagle się odwracając i człapiąc na koniec pokoju. - Niemal zapomniałam. Mam jeszcze jedno, objawiło mi się wczoraj. Całkiem nieoczekiwanie.

To ostatnia z moich przepowiedni dla ciebie, lordzie Rahlu.

Lauretta wyciągała szpargały, pospiesznie je czytała i odkładała na miejsce. W końcu trafiła na to, czego szukała. Richard uważał, że od jej przepowiedni o wiele bardziej godne podziwu jest to, że zawsze potrafi wśród tych nieprzeliczonych papierzyśk znaleźć to, czego akurat szuka.

Pospiesznie ku nim wróciła i podała kartę Richardowi. Wziął ją i odczytał

na głos:

- Królowa bije pionek. - Spojrzał chmurnie na Laurettę. - Co to znaczy?  
Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Do mnie należy usłyszeć je i zapisać, a nie wyjaśniać.  
Jak mówiłam, tym będą się musiały zająć przyszłe pokolenia proroków.

Richard obejrzał się na dziadka i Nathana.

- Jakieś pomysły?

Zedd się skrzywił.

- Wybacz, ale nic mi nie przychodzi na myśl.

Nathan potrząsnął głową.

- Mnie także.

Richard wziął głęboki oddech.

- Dziękuję, że nam to przekazałaś, Lauretto. „Ludzie będą umierać”,  
„Niebo runie” i

„Królowa bije pionek”. To wszystko, tak? Już niczego nie chcesz mi pokazać?

- Nie, lordzie Rahlu. To już wszystkie przepowiednie. Kiedy mi się objawiły, nie znałam ich znaczenia, ale nie miałam wątpliwości, że są przeznaczone dla ciebie.

- Czy zwykle wiesz, dla kogo jest przepowiednia?

Zmarszczyła brwi, rozmyślając nad tym.

- Nie, właściwie nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wiedziała, dla kogo czy o czym są moje przepowiednie. - Spojrzała na Richarda. - Ale powiadam, że jesteś niezwykłym człowiekiem, czarodziejem o wielkiej mocy, więc uważam, że to pewnie dlatego.

Richard spojrział na imbryk i palącą się pod nim świecę.

- Wiesz, Lauretto, może będę ci się mógł jakoś odwdzięczyć za to, że przekazałaś mi przepowiednie.

Przekrzywiła głowę.

- Odwdzięczyć się?

- Tak. Uważam, że wszystkie te przepowiednie powinny się znaleźć w odpowiednim miejscu.

Zachmurzyła się.

- W odpowiednim miejscu?

- Otóż to. Nie powinny tu tkwić, w ukryciu. Powinny być w bibliotece

wraz z innymi prorocत्वami. Powinny zająć należne im miejsce w bibliotece.

- Biblioteka... - Laretta aż się zachłysnęła. - Naprawdę, lordzie Rahlu?

- Oczywiście. To są prorocत्वa. Po to właśnie są biblioteki. Mamy w pałacu wiele takich bibliotek. Co byś powiedziała, gdybyśmy przysłali ludzi, żeby przenieśli wszystkie prorocत्वa do przeznaczonej dla nich biblioteki?

Rozejrzała się z wahaniem.

- Bo ja wiem...

- Niedaleko stąd jest duża biblioteka. Jest tam mnóstwo miejsc. Moglibyśmy poukładać wszystkie twoje prorocत्वa na półkach, żeby kiedyś mogli je studiować prorocy. Mogłabyś tam zachodzić, kiedy tylko byś zechciała. A ilekroć nawiedziłoby cię jakieś nowe prorocत्व i byś je zapisała, zostałyby dodane do twojego działu w bibliotece.

Laretta zrobiła wielkie oczy.

- Specjalny dział? Dla moich prorocत्व?

- Właśnie, specjalny dział - odezwał się Zedd, włączając się do rozmowy i najwyraźniej rozumiejąc motywy Richarda. - Zajmowano by się tam nimi i je chroniono.

Przytknęła palec do ust, namyślając się.

- I mogłabym tam iść, kiedy tylko bym chciała?

- Oczywiście - zapewnił ją Richard. - Mogłabyś tam zachodzić i dodawać nowe prorocत्वa, kiedy ci się objawiają. Mogłabyś też korzystać z bibliotecznych stołów przy spisywaniu przepowiedni.

Kobieta poją śniała, ujęła dłoń Richarda, jakby król w łasnie darował jej część królestwa.

- Lordzie Rahlu, jesteście najuprzejmiejszym lordem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy.

Dziękuję. Przyjmuję twoją wspaniałomyślną propozycję chronienia moich przepowiedni.

Ten podstęp wzbudził w Richardzie leciutkie poczucie winy, ale w mieszkaniu Laretty w każdej chwili mógł wybuchnąć pożar. Nie chciał, żeby przez te prorocत्वa kobieta zginęła lub została ranna. W bibliotece było wystarczająco dużo miejsca, żeby jej przepowiednie mogły dołączyć do innych. Poza tym nie wiedział, czy mają one mniejszą wartość niż pozostałe.

- Jeszcze raz dziękuję, lordzie Rahlu - powiedziała gospodyni, towarzysząc im do drzwi.

Kiedy już szli korytarzem, Zedd powiedział:

- To bardzo wspaniałomyślne, Richardzie.

- Nie aż tak, jak się wydaje. Staralem się zapobiec pożarowi.

- Mogłeś jej po prostu powiedzieć, że przyślesz ludzi po te papierzyska, żeby nie zaproszyła ognia.

Richard spojrział chmurnie na dziadka.

- Całe życie im poświęciła. Byłoby okrucieństwem skonfiskować je, skoro w bibliotece jest mnóstwo miejsca. Uznałem, że lepiej będzie umilić jej ich oddanie, lepiej włączyć ją w rozwiązanie problemu.

- Właśnie to miałem na myśli. Sztuczka zadziałała jak czary i był to wspaniałomyślny sposób załatwienia sprawy.

Richard się uśmiechnął.

- Jak sam zawsze powtarzasz, niekiedy sztuczka to czary.

Nathan chwycił Richarda za rękaw.

- Tak, tak, naprawdę milutkie. Pami ętasz to ostatnie proroctwo, które ci przekazała, to o królowej?

Richard spojrział na proroka.

- Tak. „Królowa bije pionek”. Ale nie wiem, co to znaczy.

- Ja też nie - powiedział Nathan, machając książką, którą cały czas miał przy sobie.

- Ale jest tutaj. Dokładnie tak, jak je zapisała, słowo w słowo. „Królowa bije pionek”.

## Rozdział 13

Kahlan nagle usiadła.

W tym aż za cichym pokoju ktoś ją obserwował.

Leżała z zamkniętymi oczami, ale tylko odpoczywała. Nie spała. A przynajmniej była pewna, że nie zasnęła.

Starła się wyrzucić wszystko z myśli. Nie chciała rozmyślać o kobiecie, która zabiła własne dzieci. Nie chciała myśleć o dzieciach i o tym, jak umierały. A wszystko z powodu strachu wywołanego przez przepowiednię.

Nie chciała myśleć o zwodniczych wizjach kobiety.

Ciężkie zasłony były zaciągnięte. W komnacie paliła się tylko jedna mocno przykręcona lampa. Stała przed lustrem na toalecie i dawała zbyt słabe światło, żeby przepędzić mrok z najdalszych zakątków komnaty. Zalegał w odległych kątach, w których czaiły się rozmyte kształty ciężkich szaf.

To nie Richarda wyczuła. Dałby jej znak, że to on. Cara też dałaby się poznać.

Ten, czyją obecność wyczuła, nic nie powiedział, nie poruszył się.

Ale czuła, jak się jej przygląda.

Przynajmniej zdawało się jej, że czuje. Wiedziała, jak łatwo stracić kontrolę nad wyobraźnią, nawet Matce Spowiedniczce. Starając się podejść do tego na chłodno i obiektywnie, nie była pewna, że to nie wyobraźnia płata jej figle; zwłaszcza że poranna opowieść Cary wyczuła ją na coś takiego.

Mimo to serce jej się tłukło, kiedy wpatrywała się w mroczne zakątki komnaty, starając się dostrzec najlżejszy ruch.

Uświadomiła sobie, że zacisnęła w dłoni nóż.

Odrzuciła przykrycie. Leżała na narzucie. Zimne powietrze kłuło obnażone uda.

Ostrożnie, powoli zsunęła nogi z łoża. Stała cichutko. Czekwała, nasłuchując, spięta i gotowa do działania.

Kahlan z takim natężeniem wpatrywała się w przeciwległy, mroczny kąt komnaty, że aż rozboleły ją oczy.

Miała uczucie, że ktoś odwzajemnia jej spojrzenie.

Usiłowała wyczuć, gdzie ten ktoś się ukrywa, ale nie była w stanie ustalić

kierunku. Skoro czuła czyjeś spojrzenie, lecz nie potrafiła stwierdzić, gdzie ten ktoś jest, musiał to być wytwór jej wyobraźni.

- Dość tego - szepnęła.

Zdecydowanym krokiem podeszła do toaletki. Stukot obcasów sznurowanych butów, których nie zdjęła, wracał cichym echem z mrocznego krańca komnaty.

Stojąc przy toalecie, podkręciła lampę. Łagodne światło rozproszyło mrok. Nikogo tam nie było. W lustrze zobaczyła tylko siebie, półnągą, z nożem w zaciśniętej ręce.

Żeby mieć całkowitą pewność, pomaszerowała na koniec komnaty. Nikogo tam nie znalazła. Zajrzała za zasłony i większe meble. Tam też nikogo nie było. Richard przecież sprawdził komnatę, zanim ją do niej zabrał. Obserwowała, jak wszędzie zagląda, starając się udawać, że tego nie robi. Cara i żołnierze stali na warcie, kiedy ona odpoczywała. Nikt nie mógłby wejść.

Kahlan odwróciła się ku wysokiej, rzeźbionej szafie i otworzyła ciężkie drzwi. Bez wahania wyjęła i włożyła czystą suknię.

Nie wiedziała, czy tę, którą zdjęła, w ogóle da się wyczyścić. Trudno sprząć z białej sukni krew. W Pałacu Spowiedniczek, w Aydindril, pracownicy potrafili dbać o białe suknie Matki Spowiedniczki. Domyślała się, że i w rodzinnym gnieździe lorda Rahla powinny być osoby wiedzące wszystko o spieraniu krwi.

Myśl o tym, skąd się wzięła ta krew, rozgniewała ją, kazała jej się cieszyć, że tamta kobieta nie żyje.

Kahlan znów się zastanowiła, dlaczego napastniczka tak nagle umarła. Nie rozkazała jej umrzeć. Chciała, żeby ją zamknięto. Miała do niej jeszcze wiele pytań, ale nie chciała zadawać ich publicznie. Jeśli Kahlan była w czymś dobra, to z pewnościami w przepytывaniu tych, których dotknęła swoją mocą.

Przyszło jej na myśl, jak dogodnie się złożyło, że kobieta wyznała, co uczyniła, ujawniła, co wedle przepowiedni spotka Kahlan, a potem umarła, zanim ją przepytano.

Kiedy już zrobiono wszystko, co należało, ta jedna rzecz przekonała Kahlan, że Richard miał rację, twierdząc, że kryje się za tym coś więcej. A w takim razie kobieta najprawdopodobniej była tylko marionetką.

Uśmiechnęła się na myśl o Richardzie. Myślenie o nim zawsze ją uszczęśliwiało.

Kiedy otworzyła drzwi sypialni, Cara, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, opierała się o framugę. Była z nią Nyda, kolejna Mord-Sith. Cara obejrzała się przez ramię na Kahlan.

- Jak się czujesz?

Kahlan zmusiła się do uśmiechu.

- Świetnie.

Cara odwróciła się, rozplatając ramiona.

- Lord Rahl chciał, żebym cię do niego przyprowadziła, kiedy wypoczniesz.

Zamierza się zobaczyć z opatem.

Kahlan westchnęła ze znużeniem. Nie miała ochoty spotykać się z ludźmi, ale chciała być z Richardem, no i chciała usłyszeć, co wie opat.

Cara zmrużyła oczy.

- Czemu jesteś taka blada?

- Pewnie jestem jeszcze trochę zmęczona. - Kahlan przez chwilę wpatrywała się w błękitne oczy Cary. - Mogłabyś coś dla mnie zrobić?

Mord-Sith nachyliła się ku niej i delikatnie ujęła za ramię.

- Oczywiście, Matko Spowiedniczko. O co chodzi?

- Mogłabyś zadbać, żeby przeniesiono nasze rzeczy?

Cara znowu zmrużyła oczy.

- Przeniesiono?

Kahlan przytaknęła.

- Do innej komnaty. Nie chcę tu dzisiaj spać.

Cara przez chwilę obserwowała jej twarz.

- Dlaczego?

- Bo zasiałaś dziwne myśli w mojej głowie.

- Sądzisz, że ktoś cię tam obserwował?

- Sama nie wiem. Byłam zmęczona i pewnie tylko to sobie wyobraziłam.

Cara minęła Kahlan i weszła do komnaty z Agielem w dłoni. Nyda, posągowa blondynka, z takim samym warkoczem jak wszystkie Mord-Sith, następowła jej na pięty. Cara rozsunęła zasłony i zaglądała za meble, a Nyda do szaf i pod łożo. Nic nie znalazły. Kahlan wiedziała, że tak będzie, lecz zdawała sobie również sprawę, że stratą czasu byłoby przekonywanie

Mord-Sith, że nie muszą być podejrzliwe.

- Znalazłaś kogoś w swojej sypialni? - spytała Kahlan, kiedy Cara wsparła się pięściami pod boki i powiodła gniewnym wzrokiem po komnacie.

- Nie - przyznała Mord-Sith.

- Dopilnuję, żeby przeniesiono wasze rzeczy, Matko Spowiedniczko - odezwała się Nyda. - Cara może ci towarzyszyć.

- Dobrze.

- Masz na myśli którąś konkretną sypialnię? - spytała Nyda.

- Nie. Po prostu nie mów mi, która to będzie, póki nas tam wieczorem nie zaprowadzisz.

- Ktoś cię obserwował - stwierdziła Cara.

Kahlan ujęła ją za łokieć i odwróciła ku drzwiom.

- Chodźmy do Richarda.



## Rozdział 14

Richard wstał, kiedy drzwi się otworzyły. Kątem oka zauważył, jak Kahlan staje u jego boku, kiedy Benjamin wprowadzał opata. Przed chwilą nadeszły z Carą. Richard ledwo zdążył zapytać, jak się czuje. Kahlan z uśmiechem odpowiedziała, że dobrze.

Lecz po jej stroskanym spojrzeniu poznał, że jest inaczej. Przypuszczał, że ma powody, by nie mieć radosnej miny.

Richard zauważył też, że Cara trzyma się o krok bliżej Kahlan niż zwykle. Kahlan była w śnieżnobiałej szacie Matki Spowiedniczki.

Cara w czerwonym skórzanym uniformie.

Generał Meiffert wprowadził do wygodnej sali posiedzeń mężczyznę w zwykłym czarnym odzieniu. Benjamin zauważył, że żona się przebrała, ale nie skomentował tego.

Opat zdjął czarne nakrycie głowy, odsłaniając potargane blond włosy krótko ścięte po bokach. Przywołał na usta ciepły uśmiech. Richard pomyślał, że dość wymuszony.

- Lordzie Rahlu - odezwał się Benjamin, wskazując przybyłego - oto opat Ludwig Dreier z prowincji Fajin.

Richard nie wyciągnął ręki, jedynie skłonił głowę na powitanie.

- Witaj, opacie.

Mężczyzna niepewnie spojrzał na zebranych.

- Dziękuję, lordzie Rahlu, że zechciałeś się ze mną spotkać.

Richard pomyślał, że to dziwne przedstawienie sprawy. Opat nie prosił o audiencję. Został wezwany.

Zedd, w skromnej szacie, stał u drugiego boku Kahlan. Znajdujący się za czarodziejem, po prawej stronie Richarda, rząd okien zalewał gasnącym zimnym światłem orzechową boazerię i wnęki z szafami bibliotecznymi, przedzielone żłobkowanymi filarami z orzechowego drewna. Ciepły blask nielicznych lamp przejmował rolę dziennego światła.

Nathan poszedł sprawdzić, jak Berdine radzi sobie w bibliotece. Richard poprosił gwardzistów z Pierwszej Kompanii, żeby czuwali w korytarzu, a nie w komnacie. Nie chciał, żeby opat czuł się nieswojo. W końcu był przedstawicielem jednego z regionów, którymi Richard władał, a nie wrogiem

krainy. No ale Mord-Sith w czerwonej skórze, stojąca przy jego boku na wyciągnięcie ramienia, raczej nie mogła wprawić nikogo w dobry nastrój.

Lecz wcześniej tego dnia opat obstawał przy przepowiedniach. Kiedy kobieta próbowała zabić Kahlan, tłumaczyła, że do morderstwa popchnęła ją wizja przyszłości.

Richard i Kahlan nie okazywali pobłażliwości ludziom, pozwalającym prorocstwom kierować ich życiem lub wykorzystującym je jako usprawiedliwienie krzywd, które uczynili. Po porannych wydarzeniach opat powinien być świadomy ich odczuć i tego, że się z nim nie zgadzają.

Richard wskazał jeden z wygodnych foteli po drugiej stronie niskiego, kwadratowego stołu z blatem z czarnego marmuru ze spiralami białego kwarcu.

- Zechciej usiąść, opacie.

Mężczyzna usiadł na brzegu fotela: wyprostowane plecy, ręce splecione na kolanach, czapka zawieszona na kciukach.

- Proszę, lordzie Rahlu, mów mi „Ludwig”. Prawie wszyscy tak mnie nazywają.

- Dobrze, Ludwigu. Z zakłopotaniem przyznaję, że niezbyt wiele wiem o twoich rodzinnych stronach. Kiedy szalała wojna, mogliśmy jedynie starać się przeżyć kolejny dzień. Nie było czasu dowiadywać się czegoś więcej o tych, którzy tak mężnie walczyli u naszego boku. Zagrożenie minęło, toteż wraz z Matką Spowiedniczką mamy nadzieję, że wkrótce odwiedzimy wszystkie krainy Imperium D’Hary. A ponieważ ż tak niewiele wiemy o prowincji Fajin, byłibyśmy wdzięczni, gdybyś nam trochę opowiedział o ziemi, którą rządysz.

Opat Dreier poczerwieniał.

- Źle cię poinformowano, lordzie Rahlu. Nie ja sprawuję władzę w mojej ojczyźnie.

- Nie jesteś władcą prowincji Fajin?

- Drogi Stwórco, nie.

Prowincja Fajin, na Mrocznych Ziemiach, była jednym z małych, peryferyjnych regionów D’Hary. Richard był ciekaw, dlaczego nie przybył ten, kto nią włada. Miałby okazję zasiąść obok rządzących o wiele rozleglejszymi ziemiami i zyskać wpływ na przyszłość Imperium D’Hary.

Przywódcy bliższych i dalszych krain przybyli na wspólną uroczystość.

Chociaż głównym wydarzeniem był ślub Cary i Benjamina, zarazem dał on okazję przedstawicielom wszystkich ziem do spotkania. Nikt nie chciał przegapić tak bezprecedensowego wydarzenia. Richard widział się z wieloma przedstawicielami. Je dynie nieliczni w ładcy byli zbyt słabego zdrowia, żeby się wybrać w podróż, i musieli wysłać emisariuszy. Wielu towarzyszyła świta ambasadorów, urzędników i doradców.

- Lecz masz jakąś władzę? - drażył Richard.

- Jestem jedynie pokornym sługą, którego spotkał zaszczyt pracowania z ludźmi o wiele bardziej utalentowanymi.

- Bardziej utalentowanymi? Pod jakim względem?

- Prorokowania, lordzie Rahlu.

Richard dyskretnie wymienił spojrzenia z Kahlan. Pochylił się ku rozmówcy.

- Powiadasz, że w twoich ojczystych stronach macie proroków, prawdziwych proroków? Czarodziejów mających dar prorokowania?

Opat odkaszlnął.

- Nie ca łkiem, lordzie Rahlu, przynajmniej nie takich jak wysoki prorok, którego masz tutaj i o którym wiele słyszałem. Los aż tak się do nas nie u śmiechnął. Wybacz, że stworzyłem tak mylne wrażenie. Jesteśmy niewielką i mało znaczącą krainą. Zdolności naszych ludzi w porównaniu z darem twojego proroka są zaiste skromne. Mimo to jak najlepiej wykorzystujemy to, co mamy.

- Więc któż włada prowincją Fajin?

- Władcą naszego ludu jest biskup Hannis Arc.

- Hannis Arc. - Richard opad ł na oparcie pluszowego fotela, skrzy żował nogi w kostkach. - A dlaczego nie przybył?

Ludwig zamrugął.

- Nie wiem, lordzie Rahlu. Rzadko widuję biskupa. Rządzi z miasta Saavedra, ja zaś mieszkam i pracuję w małym górskim opactwie. Wraz z moimi pomocnikami zbieram informacje od tych, którzy mają taki dar, że nawiedzają ich jasnowidzenia.

Regularnie przekazujemy te okruchy proroctw biskupowi, żeby pomóc mu w podejmowaniu decyzji przy władaniu naszą krainą. Kiedy natrafimy na szczególnie znamienne omeny, natychmiast informujemy biskupa. Prawd ę mówiąc, jedynie wówczas go widuję.

Zedd skinął dłonią, nie mogąc się doczekać sedna sprawy.

- A więc ów biskup...

- Hannis Arc.

- Tak, Hannis Arc. Jest duchownym? Władza jako przywódca teologiczny?

Ludwig pokręcił głową, jakby się wystraszył, że znowu wywołał mylne wrażenie.

- Tytuł „biskup” jest wyłącznie urzędowy.

- Więc nie jest to władza religijna czcicieli Stwórcy? - zapytał Zedd.

Ludwig powiódł wzrokiem po twarzach zebranych.

- My nie czcimy Stwórcy. Nie można bezpośrednio oddawać mu czci. Szanujemy Stwórcę, cenimy życie, którym nas obdarzył, lecz go nie czcimy. To by łąby arogancja z naszej strony. On jest wszystkim, my niczym. Nie komunikuje się ze światem istot żywych w tak uproszczony sposób jak bezpośrednie przemawianie do nas czy wysłuchiwanie naszych błagań. Hannis Arc jest duchowym przywódcą prowincji Fajin.

Można by rzec, iż jest naszym światłem przewodnim, lecz nie jest przywódcą religijnym.

Jego słowo jest prawem w Saavedrze i w innych miastach oraz w całej naszej prowincji.

- Jeśli jego słowo jest prawem, to po co mu przepowiednie z waszego opactwa? - spytała Kahlan. - Chcę powiedzieć, że skoro kieruje się wizjami innych osób, to w gruncie rzeczy nie rządzi, czyż nie?

- Matko Spowiedniczko?

- Jeżeli trzyma się wskazania ludzi mających wizje, to tak naprawdę nie jest przywódcą prowincji Fajin. Prawem jest słowo tych, którzy mają wizje. To oni nim kierują. - Kahlan uniosła brew. - Czyż nie?

Ludwig bawił się zawieszoną na kciukach czapką.

- Cóż, ja nie...

- To by cię czyniło przywódcą prowincji Fajin - stwierdziła.

Ludwig energicznie pokręcił głową.

- Nie, Matko Spowiedniczko, to nie tak.

- A jak?

- W świecie istot żywych Stwórca nie przemawia do nas bezpośrednio. Nie jesteśmy tego godni. Łudzą się ci, którym się wydaje, że słyszą głos Stwórcy. Od czasu do czasu udziela nam jednak wskazówek przez

proroctwa. Stwórca jest wszechwiedzący. Wie o wszystkim, co było i co się wydarzy. Przemawia do nas przez proroctwa, pomaga nam w ten sposób. Ponieważ wie, co będzie, poprzez omeny ujawnia niektóre z przyszłych wydarzeń.

Twarz Kahlan stała się nieprzenikniona. Richard dobrze znał tę jej „twarz Spowiedniczki”.

- Czyli Stwórca zsyła ludziom wizje, żeby podcinali gardła swoim dzieciom? - powiedziała.

Ludwig spojrzał na Kahlan, potem na Richarda i znów na nią.

- Być może chciał im oszczędzić gorszej śmierci. Być może wyświadczył im łaskę.

- Jeśli jest wszystkim, a my niczym, to dlaczego po prostu nie sprawi, żeby dzieci nie spotkał ów ponury koniec?

- Bo jesteśmy niczym. Jesteśmy niegodni. Nie możemy oczekiwać, że interweniuje w naszej sprawie.

- Przecież interweniuje, zsyłając proroctwa.

- To prawda.

- Interweniuje w naszych sprawach.

Ludwig niechętnie potaknął.

- W ogólniejszym sensie. To dlatego wszyscy powinniśmy się kierować proroctwami.

- Ach, rozumiem - powiedziała Kahlan. Pochyliła się, stukając palcem w marmurowy stolik. - Zatem byłbyś zadowolony, gdyby ta kobieta mnie dziś zamordowała, ponieważ proroctwo, w które wierzysz, jest boskim przesłaniem Stwórcy. Żałujesz, że przeżyłam.

Twarz opata zbielelała.

- Jestem jedynie pokornym sługą, Matko Spowiedniczko, zbierającym informacje dla biskupa.

- Żeby mógł wykorzystać wiadomości, które mu dostarczysz, działając w imieniu Stwórcy? - zapytała Kahlan. - Podobnie jak ta kobieta wykorzystała przepowiednię jako pretekst do podcięcia gardel własnym dzieciom.

Ludwig popatrywał to na Kahlan, to na Richarda, to w podłogę.

- On jedynie wykorzystuje jako wskazówki omeny, które mu przekazujemy. Są jedynie narzędziem. Na przykład niektórzy przepowiedzieli, że to radosne spotkanie zmąci dramat. Sądzę, że Hannis

Arc nie chciał być świadkiem spadającej na pałac tragedii, po naszym wspaniałym zwycięstwie, i dlatego wołał nie przyjeżdżać. My jedynie dostarczyliśmy mu informacje. To on decyduje, jak je wykorzystać.

- I wysłał ciebie - odezwał się Richard.

Ludwig przełknął ślinę, a potem odpowiedział:

- Miałem nadzieję, że jeśli przybędę do pałacu, od tutejszych znawców dowiem się więcej o prorocत्वach, o tym, co kryje nasza przyszłość. Biskup sądził, że właśnie dlatego moja obecność byłaby korzystna. Mógłbym się dowiedzieć, co prorocत्व zapowiada nam wszystkim.

Zielone oczy Kahlan patrzyły gniewnie na opata.

- Skoro już tu jesteś, może poszedłbyś na groby tych dzieci, którym nie dano żyć, i przekonał się, co kryje dla nich przyszłość. Ich życie przerwała matka, która pozwoliła, żeby przepowiednia decydowała za nią.

Ludwig spuścił wzrok.

- Tak, Matko Spowiedniczko.

Najwyraźniej się z nią nie zgadzał, ale nie zamierzał się sprzeciwiać. Na przyjęciu, kiedy sądził, że inni podzielają jego wiarę w moc prorocत्व i że sam pałac to popiera, był pełen buty, lecz teraz - w obecności osób podających w wątpliwość jego przekonania - odwaga go opuszczała.

- Co możesz powiedzieć o kobiecie imieniem Jit? - spytał Richard.

Zaskoczony zmianą tematu Ludwig podniósł wzrok.

- Jit?

Z jego oczu Richard wyczytał, że opat zna to imię.

- Tak, Jit, Zaszytej Służce.

Ludwig przez chwilę wpatrywał się w Richarda nieruchomym wzrokiem.

- Obawiam się, że raczej niewiele - powiedział w końcu słabym głosem.

- Gdzie ona mieszka?

- Nie przypominam sobie... - Ludwig przesunął palcami po postawionym kołnierzu.

- Nie mam pewności.

- Powiedziano mi, że mieszka w Kharga Trace. Kharga Trace leży w prowincji Fajin, nieprawdaż?

- Kharga Trace? Tak, tak, istotnie. - Opat wysunął język i zwilżył wargi. - Teraz sobie przypomniałem, że mieszka w Kharga Trace.

Richard patrzył, a Ludwig odwracał wzrok.

- Opowiedz mi o niej. O tej kobiecie. Jit.

Opat znów spojrzał na Richarda.

- Niewiele o niej wiem, lordzie Rahlu.

- Czy dostarcza ci przepowiedni?

Ludwig z zapałem pokręcił głową.

- Nie, ona się nie zajmuje takimi rzeczami.

- A czym się zajmuje?

Opat machnął czapką.

- Cóż, mieszka w bardzo niegościnnym miejscu. Zaopatruje w leki ludzi w odleglejszych regionach. Proste leki, jak sądzę. Mikstury i wywary, jak mi się zdaje. W Kharga Trace mieszka niewielu ludzi. Jak mówiłem, to surowa i pęsepną okolica.

- Mimo to przybywają tam po leki ludzie z innych rejonów Mrocznych Ziemi? - zapytał Richard.

Ludwig obracał czapkę w palcach.

- Naprawdę nie wiem, lordzie Rahlu. Nie mam z nią nic wspólnego. Nie mogę się jednoznacznie wypowiedzieć. Ludzie są zabobonni. Sądzę, że niektórzy wierzą w to, co oferuje.

- Ale nie głosi prorocत्व.

- Nie, prorocत्व nie głosi. Przynajmniej nic o tym nie wiem. Jak już mówiłem, niewiele wiem. - Wskazał na okna. - Nie to co ty, lordzie Rahlu. Twoja przepowiednia się spełniła. Nadciąga zamieć. Myślę, że tak jak zapowiedziałeś, przynajmniej przez parę dni nikt się nie odważy wybrać na równiny Azrith.

Richard spojrzał w okna. Dygotały pod uderzeniami wichru niosącego śnieg i lodowaty deszcz. Zapowiadała się zimna, ciemna noc. Znów popatrzył na opata.

- Pozostaw prorocत्व nam, mieszkańcom pałacu. Zrozumiałeś?

Opat przez chwilę rozważał jego słowa.

- Lordzie Rahlu, nie nawiedzaj mnie wizje przyszłości. Nie mam daru. Ja tylko przekazuję to, co słyszę od ludzi, którzy go mają. Przypuszczam, że mógłbyś mnie uciszyć, gdybyś zechciał, lecz to by nie wyciszyło wizji przyszłości. Przyszłość nadejdzie, czy tego chcemy czy nie. Zawsze będą omeny. Ci, którym się one objawiają, rozgłoszą wizje, czy zechcemy o nich usłyszeć czy nie.

Richard ciężko westchnął.  
- Chyba masz rację, opacie.



## Rozdział 15

Kiedy Ludwig wychodził, Richard zobaczył w korytarzu idącą ku nim Nicci. W czarnej sukni, z powiewającymi długimi blond włosami, wyglądała jak gniewny duch, przybyły, żeby wyrzucić zemstę. Spojrzała na opata, kiedy przemykał obok niej. Ludwig rozmyślnie nie patrzył na czarodziejkę, jakby się obawiał, że może go porazić piorunem. Nie było to tak całkiem nieprawdopodobne.

Richard pomyślał, że nic nie wygląda tak groźnie jak oszałamiająco piękna kobieta, kiedy się zdenerwuje, a Nicci sprawiała wrażenie bardzo rozgniewanej.

Ciekaw był dlaczego.

- Co się stało? - zapytał, kiedy się zatrzymała.

Zanim się odezwała, przez chwilę zaciskała zęby.

- Miałam do czynienia z głupcami.

- To znaczy? - spytała Kahlan.

Nicci wskazała kciukiem za siebie.

- Chcą słuchać wyłącznie o prorocत्वach. Pragną wiedzieć, co kryje przyszłość, co mówią przepowiednie. Myślą, że jesteśmy wtajemniczeni w sekrety przyszłości i że je przed nimi skrywamy.

Kahlan patrzyła na Richarda, pytając:

- O kim konkretnie mówisz?

Nicci odrzuciła w tył pukiel blond włosów.

- O tamtych ludziach. - Skinęła w stronę, z której przyszła. - No wiesz, przedstawicielach krain. Po przyjęciu prawie wszyscy się u mnie zjawili, chcąc się wywiedzieć, co wiem o prorocत्वie i co ono mówi o ich przyszłości. Chcieli się dowiedzieć czegoś o omenie, przez który ta kobieta zabiła swoje dzieci. Uważają, że wiemy wszystko o przepowiedni skrytej za wizją, którą miała ta kobieta, i że to przed nimi ukrywamy. Chcą wiedzieć, jakie jeszcze złowieszcze omeny zatajamy.

Kahlan skinęła głową.

- Wiem, co masz na myśli. Od nas też chcieli usłyszeć prorocत्व.

Richard przeczeszał palcami włosy.

- Chociaż bardzo mi się to nie podoba i ogromnie mnie złości, to

uwążam, że można się czegoś takiego spodziewać po ludziach, którzy dopiero co usłyszeli, że kobieta zabiła własne dzieci, żeby im oszczędzić tego, co, jak powiedziała, widziała w wizji.

Zedd skrzyżował ramiona na piersi, chowając dłonie w rękawach szaty.

- Trudno, żeby ludzie się nie bali takich ponurych przepowiedni. Boją się, że są one prawdziwe, co mog ą oznaczać dla nich. Dlatego, ogarni ęci strachem, wierzą w takie rzeczy. Mo żemy się starać przemówi ć im do rozsądku, Richard i Kahlan próbowali, lecz trudno pokonać przemożny lęk. Zwłaszcza gdy usłyszeli o wizji tak przerażającej, że skłoniła matkę do zabicia potomstwa.

- Też tak sądzę - powiedziała Nicci. W jej błękitnych oczach znów błysnął gniew. - Ale to nie znaczy, że musi mi się to podobać. Wszystko przez jakąś wariatkę.

- Nie widzia łem cię na przyjęciu - odezwał się Richard. - Gdzie usłyszałaś o tym, że kobieta zabiła dzieci?

Nicci spojrzała na niego chmurnie.

- Usłyszałam o tym? Byłam tam.

- To znaczy gdzie?

Nicci skrzyżowała ramiona na piersi i przyglądała mu si ę, jakby mu rozum odebrało.

- Byłam tam. Na targowisku. Pomaga łam ludziom si ę zorganizować i kazałam szybko wchodzić do korytarzy w płaskowyżu, żeby się schronili przed nadciągającą nawałnicą. Muszą się gdzieś schować. Namioty ich nie osłonią.

- Prawda.

Nicci westchnęła, kręcąc głową.

- Byłam na targowisku, kiedy pierwsze uderzyło.

Richard zmarszczył czoło.

- Kiedy pierwsze uderzyło? Co pierwsze?

- Richardzie, czy ty mnie słuchasz? Byłam tam, kiedy pierwsze dziecko uderzyło o ziemię.

Richard aż otworzył usta.

- Co takiego?

- To była dziewczynka, nawet nie dziesięcioletnia. Spadła na wóz z drewnem, na sterczący pal. Był grubszy niż moja noga. Spadała, krzycząc.

Wbił się jej w pierś. Ludzie wrzeszczeli i miotali się wokół, spanikowani i dezorientowani.

Richard zamrugał, próbując się dopatrzeć sensu w jej słowach.

- O jakiej dziewczynce mówisz?

Nicci spojrzała na twarze zebranych osób.

- O dziewczynce, którą kobieta zrzuciła z pałacowych murów, ze skraju płaskowyżu, po tym jak miała wizję.

Richard popatrzył na Benjamina.

- Zdawało mi się, że powiedziałeś, że znalazłeś dzieci.

- Znalazłem. Obydwoje.

- Obydwoje? - Nicci zmarszczyła brwi. - Było ich czworo. Spadła cała czwórka dzieci, jedno po drugim. Dziewczynka była najstarsza. Kiedy kobieta zrzuciła je z płaskowyżu, spadały blisko mnie. Jak powiedziałam, byłam tam. To był przerażający widok.

Kahlan chwyciła Nicci za ramię.

- Zabiła jeszcze czworo?

Nicci nie strząsnęła dłoni Kahlan.

- Jeszcze czworo? O co ci chodzi? Zabiła czworo własnych dzieci.

Kahlan przyciągnęła ją ku sobie.

- Miała dwoje dzieci.

- Miała ich czworo, Kahlan.

Dłoń Kahlan opadła z ramienia Nicci.

- Jesteś pewna?

Nicci wzruszyła ramionami.

- Tak. Sama mi powiedziała, kiedy ją przepytywałam. Nawet podała mi ich imiona. Możesz ją sama spytać, jeżeli mi nie wierzysz. Kazałam ją zamknąć w lochu.

Zedd nachylił się ku niej.

- Zamknąć...?

- Chwileczkę - odezwał się Richard. - Powiadasz, że kobieta zabiła czworo dzieci, zrzucając je z płaskowyżu? I że kazałaś ją zamknąć?

- Oczywiście. Nie słuchałeś? - Nicci powiodła po nich chmurnym wzrokiem. - Wydawało mi się, że wiesz o tym. Jej mąż dowiedział się, co się stało, i chciał ją zabić. Aż się do tego rwał. Bałam się, że strażnicy, którzy ją schwytali, pozwolą mu na to.

Rozumiem go, lecz chwilowo nie mogłam na to pozwolić. Kazałam ją zamknąć, bo sądziłam, że zechcesz ją przepytwać. Ty albo Kahlan.

Richard nie mógł w to uwierzyć.

- Dlaczego to zrobiła? Co powiedziała?

Nicci patrzyła na nich jak na bezrozumne istoty.

- Mówiła, że miała wizję i że nie mogła znieść myśli o tym, że jej dzieci będą musiały stawić czoło nadchodzącym okropieństwom, więc zadała im szybką śmierć.

Twierdziłeś, że o tym wiesz.

- Wiemy o innej kobiecie - wyjaśnił Richard.

- Innej? - Nicci powiodła wzrokiem po ich twarzach, w końcu spojrzała na Richarda.

- Jakiej innej?

- Tej, która podcięła gardło dwojce dzieci, a potem przyszła na przyjęcie i próbowała zabić Kahlan.

Nicci z troską popatrzyła na Matkę Spowiedniczkę.

- Nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku. Dotknęłam ją mocą i wysłuchałam jej spowiedzi. Powiedziała nam, co zrobiła i co jeszcze zamierzała zrobić.

Nicci przycisnęła palce do czoła.

- Chwileczkę, powiadasz, że była druga kobieta, która też miała wizję i zabiła swoje dzieci?

Kahlan i Richard potaknęli.

- To by wyjaśniało, dlaczego ludzie są tacy zdenerwowani i chcą wiedzieć, co mówi prorocstwo - powiedział Richard.

- Co się dzieje? - spytała Nicci.

- Jeszcze nie wiem. - Richard wsparł lewą dłoń na mieczu. - Tego ranka widzieliśmy na targowisku chorego chłopca, który powiedział, że w pałacu panuje mrok, a potem napotkaliśmy ślepą kobietę, a ta ostrzegła nas, że dach się zawali.

Nicci odruchowo spojrzała w górę.

- Dach?

Richard przytaknął.

- I parę innych rzeczy, równie mało sensownych.

Zatroskane błękitne oczy Nicci spojrzały na Richarda.

- Kiedy spyta łaam kobietę, co zobaczyła w wizji, powiedzia ła, że nie mogła pozwolić, by jej dzieci doświadczyły tego, co się stanie, kiedy dach się zawali.

- No to mamy już trzy osoby, które powiedziały dokładnie to samo.

- Trzy?

- Tak. - Richard stuka ł kciukiem w rękojeść miecza, a jego my śli gnały po rozmaitych mrocznych ścieżkach, starał się domyślić, dokąd też owe ścieżki prowadzą. - Oprócz ślepej kobiety powiedziała mi to samo wróżbitka. Więc w sumie trzy osoby. Plus księga.

Nicci dotknęła palcem jego brody i obróciła ku sobie jego twarz.

- Księga?

- Nathan znalazł księgę Zapiski kresu, w której widnieją dokładnie te same słowa, że dach się zawali, a także inne dziwne zapowiedzi, które dzisiaj usłyszałem.

- Znam Zapiski kresu - Nicci skrzy żowała ramiona, wpatrując się w oczy Kahlan, a potem znowu spojrzała na Richarda. - Dziwne zapowiedzi... Na przykład?

- Nathan zaprowadzi ł mnie do jeszcze jednej kobiety mającej dla mnie jakieś przepowiednie. Powiedziała, że niebo runie. „Niebo” to nie to samo co „dach”, lecz oba zdania miały podobny wydźwięk. Potem przekazała mi kolejną przepowiednię i ta, słowo w słowo, znajdowała się w tej samej księdze. Ale to nie ma sensu.

- Jaka przepowiednia kobiety jest w księdze?

- Właściwie zapisała ją dzień czy dwa wcześniej. Spisuje wszystkie swoje przepowiednie. Uważa się za prorokinię. Przepowiednia brzmiała: „Królowa bije pionek”. Jak już mówiłem, to nie ma sensu.

Nicci wcale nie wyglądała na zdumioną.

- To ruch w szachach.

Richard znowu zmarszczył brwi.

- Szachy? A co to takiego?

- To tajemnicza, mało znana gra.

- Nigdy o niej nie słyszałem. - Popatrzył na pozostałych. Oni też nie znali tego słowa.

- Co to takiego? Gra się w to piłką, jak w Ja’La?

Nicci zbyła ich machnięciem ręki.

- Nie, nic z tych rzeczy. Szachy to gra planszowa. Są w niej rozmaite figury, królowa, król, goniec, pionek. Bicie królow ą pionka to ruch w szachach. Oznacza właśnie to: królowa zdobywa pionek, usuwając go z gry, można powiedzieć „zabijając go”.

Zedd westchnął z irytacją.

- Nigdy nie słyszałem o takiej grze.

- Jak powiedziałam, jest mało znana. O ile wiem, grywa się w nią tylko w paru odległych okolicach.

- Jakich? - zapytał Richard.

- Na przykład w prowincji Fajin. - Nicci znowu wskazała w głąb korytarza. - Na Mrocznych Ziemiach, z których przybył opat.

Richard także spojrział w korytarz, jakby się spodziewał, że zobaczy opata.

- A tak w ogóle co robiłeś z tym szczurkiem?

- Pytałem go o Zaszytą Służkę.

Nicci uderzyła go w pierś, przypierając do ściany. W błękitnych oczach płonął gniew. Zacisnęła zęby.

- Co powiedziałeś?

Richard ujął jej nadgarstek i odsun ął jej dłoń. Gniewne spojrzenie nadal się w niego wbijało.

- Chciałem się dowiedzieć o Zaszytej Służce zwanej Jit. Mieszka w Kharga Trace w prowincji Fajin. A co?

Palec Nicci znalazł się przed nosem Richarda.

- Słuchaj no, Richardzie Rahlu. Trzymaj się z dala od Zaszytych Służek.

Rozumiesz? Nie masz osłony przed Zaszytą Służką. Żadne z nas nie ma. Trzymaj się od niej z daleka. Ich magiczna moc jest zupełnie inna niż nasza. Nawet twój miecz cię przed nią nie obroni.

- Uważasz, że mogłaby spróbować wyrzucić nam krzywdę?

- Zaszyte Służki to źmije. Jeśli je zostawisz pod g łazem, raczej dadzą ci spokój, lecz jeżeli rozdra źnisz je w ich kryjówce, wpe łzną i w mgnieniu oka ci ę zabiją. Zaszyte Służki władają tajemnymi mocami. Trzymaj się od niej z daleka. SŁYSZYSZ?

- Nie wiem, czy...

- Najlepiej by było, gdybyś już nigdy nie wymówił jej imienia. - Nicci znowu pchnęła go na ścianę dla podkreślenia wagi swoich słów. -

ROZUMIESZ?!

Richard potarł tył głowy, którą walnął o ścianę.

- Nie, nie rozumiem. Kto to taki ta Zaszyta Służka?

Nicci opuściła rękę. Zapatrzyła się w dal niewidzącym wzrokiem.

- Zaszyta Służka to zła, wredna, złośliwa, obrzydliwa, nikczemna istota.

Wyrocznia parająca się najmroczniejszymi rodzajami cierpienia i deprawacji.

Wszystkie ich czyny obracają się wokół śmierci.

- Skąd znasz tę Jit?

- Nie znam jej. Lecz aż za dobrze wiem, kim jest Zaszyta Służka.

- A skąd to wiesz?

Zimne spojrzenie błękitnych oczu skierowało się na Richarda. Straszne słowa były odrobinę głośniejsze od szeptu:

- Tak łatwo zapomniałeś, że niegdyś byłam Siostrą Mroku? Że służyłam Opiekunowi zaświatów? Że byłam Panią Śmierci?

## Rozdział 16

- Jak twoja ręka? - zapytał Richard.

Kahlan przestała popatrywać z za zasłony na szalejącą burzę i odwróciła się ku niemu. Na zewnątrz było tak ciemno, że widziała jedynie małe skrawki powierzchni, na które padało światło z okien rozległego pałacowego kompleksu. Wyższe okna w murach i wieżach wyglądały jak zawieszony w powietrzu świetlne plamki przecinane śniegiem. Widziała, że utworzyły się wielkie zasy mokrego, ciężkiego śniegu. Czasem śnieżycą przechodziła w deszcz ze śniegiem, a potem świat znowu się pogrążał w białym chaosie.

Wyciągnęła ku Richardowi rękę w świetle lampy stojącej na stoliku przy łóżku.

Zadrapania po paznokciach chłopca zrobiły się ognście czerwone. Trochę bolało, ale nie chciała o tym mówić. Kiedy coś się z nią działo, Richard się zamartwiał. Nie chciała podsycać jego niepokoju.

Ujął jej dłoń i obejrzał w blasku lampy. Mruknął coś i powiedział:

- Spuchnięte.

- Trochę zaczerwienione - odparła, cofając rękę - ale szybko się goi. Gojące się zadrapania zwykle tak wyglądają. A jak twoja dłoń?

Pokazał jej rękę.

- Właściwie wyglądają tak samo. Raczej nie gorzej, niżby się można spodziewać.

- To nie jest największy problem.

- W żadnym razie - przyznał Richard.

Podszedł do szafki i czegoś w niej szukał. W końcu wyciągnął plecak.

- Jakiś czas go nie widziałam. - Uśmiechnęła się Kahlan.

- Od jakiegoś czasu nie podróżyowaliśmy. A może powinniśmy. Zedd chce, żebyśmy go odwiedzili, kiedy wróci do Wieży.

- Chętnie zobaczyłabym Aydindril i spędziła trochę czasu w Pałacu Spowiedniczek. Miło byłoby zobaczyć miasto rozkwitające po tym wszystkim, co przeszło.

Wiedziała jednak, że nieprędko wybiorą się do Aydindril, żeby zobaczyć Wieżę Czarodzieja i Pałac Spowiedniczek. Umierali niewinni ludzie. Jakakolwiek była tego przyczyna, Kahlan czuła, że to położy się cieniem na



wszystkim. Miała ochotę krzyknąć na nasuwający się na nich mrok, ale to by nic nie dało.

Richard zamknął szafkę.

- Nie sądzę, żeby Zedd zechciał teraz wrócić do Wieży, zanim wykryjemy, co się dzieje, i rozwiążemy tę sprawę. Cieszę się, że tu będzie i nam pomoże.

Kahlan patrzyła, jak Richard zdejmuje pendent przez głowę, a potem opiera miecz o stolik przy łóżu. Położył plecak na posłaniu i zaczął w nim grzebać. Nie miała pojęcia, czego szuka. Wreszcie, uśmiechając się, wyjął mały pojemniczek. Ona też się uśmiechnęła na jego widok.

- Usiądź tutaj. - Wskazał brzeg łóża.

Usłuchała, a Richard zanurzył palec w pojemniczku i uniósł jej dłoń. Delikatnie nałożył ziołową maść na zadrapania. Chłodziła i natychmiast zaczęła uśmierzać ból.

- Lepiej?

- Tak. - Uśmiechnęła się.

Od lat nie widziała tego pojemniczka z ziołową maścią, którą Richard zrobił między innymi z aumu. Dorastał w lasach, toteż znał się na roślinach i wiedział, jak z nich przyrządzać leki. Posmarował maścią także zadrapania na swojej ręce, a potem schował pojemniczek do plecaka.

Tyle się wydarzyło, od kiedy pierwszy raz spotkała Richarda w jego leśnej krainie. Życie ich obojga zupełnie się odmieniło. Świat wywrócono do góry nogami, wywołano koszmarną wojnę. Kahlan nie potrafiła zliczyć, ile razy myślała, że już nigdy nie zobaczy Richarda, lub bała się, że on umrze, albo - co gorsza - sądziła, że go zabito. Zdawało się, że groza nigdy się nie skończy.

Wreszcie to minęło. Nie tylko przeżyli, ale po latach walki wygrali wojnę i dali światu pokój.

Teraz jednak się zdawało, że świat na nowo osuwa się w mrok.

Kahlan, siedząc na brzegu łóża, ujęła zdrową rękę Richarda i przytuliła do policzka. Ukryła pod nią łzy.

Richard delikatnie pogładził jej włosy, przytulił jej głowę do piersi.

- Wiem - powiedział. - Wiem.

Kahlan objęła go w pasie.

- Obiecuj, że nie pozwolisz, żeby to, co nadchodzi, odebrało mi cię!

Richard pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

- Przrzekam.

- Czarodziej zawsze dotrzymuje obietnic - przypomniała mu.

- Wiem. - Uśmiechnął się.

Wszystko szło tak dobrze. Tak długo walczyli, tyle wycierpieli. To niesprawiedliwe, że znowu coś im zagraża, wiedziała jednak, że tak jest. I wiedziała, że Richard też zdaje sobie z tego sprawę. Tulił ją, a ona pozwoliła sobie na chwilę słabości i rozplakała się. Nigdy nie odsłoniłaby się tak przy kimś innym niż Richard.

- Co robimy w tej komnacie? - spytał wreszcie.

- Staramy się uchronić przed wścibskimi oczyma.

- Przedtem czułaś, że ktoś cię obserwuje?

Wzruszyła ramionami, nadal się do niego tuląc.

- Sama nie wiem, Richardzie. Tak mi się wydawało, ale nie mam pewności. To brzmiało tak strasznie, kiedy Cara o tym opowiadała. Może tylko to sobie wyobraziłam.

Spojrzała na niego i roześmiała się przez łzy.

- Ale jeśli myślisz, lordzie Rahlu, że się tej nocy rozbiorę, to się bardzo mylisz.

Richard położył się na łożu. Kahlan wtuliła się w niego, położyła mu głowę na ramieniu.

- Po prostu mnie przytul - wyszeptała. - Dobrze?

Otoczył ją ramieniem, cmoknął w czubek głowy.

Otarła łzy.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio płakałam.

Richard po długiej chwili powiedział:

- Ja pamiętam.

Przylgnęła do niego. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę jest jej, że naprawdę go ma, że on szczerze i prawdziwie ją kocha.

Nie potrafiła uwierzyć, że mógłby go jej odebrać mrok szukający mroku.

## Rozdział 17

Kahlan obudziła charakterystyczny szczepek miecza, który Richard dobywał z pochwy. Czysty dźwięk stali Miecza Prawdy wyrwał ją ze snu, przyprawił o szybsze bicie serca. Podniosła głowę z ramienia Richarda.

- Co się dzieje?

Richard trzymał nad nią zaciśnięty w garści miecz. Uciszył ją i łagodnie wysunął się z jej objęć. Oszłamiająco płynnym ruchem stanął nieruchomo obok łóżka i wpatrzył się w mrok.

Kahlan się spodziewała, że lada chwila coś na niego skoczy z ciemności. Ale tak się nie stało.

- Co się dzieje? - powtórzyła.

- Masz uczucie, że ktoś nas obserwuje? - zapytał przez ramię.

- Sama nie wiem. Twardo spałam.

- Ale już nie śpisz.

Kahlan usiadła.

- Nie wiem, Richardzie. Mogłam sobie coś wmówić, ale nie wiem, czy to prawda, czy tylko moja wyobraźnia.

Richard wpatrywał się w mrok na końcu komnaty.

- To prawda.

Serce Kahlan zabiło jeszcze szybciej. Przysunęła się do Richarda, uważając, żeby nie znaleźć się w zasięgu miecza, gdyby musiał go użyć.

- Wiesz, co to jest?

Jego mięśnie się rozluźniły.

- Zniknęło.

Kahlan zmrużyła oczy, starając się lepiej widzieć w słabo oświetlonej sypialni.

- Chcesz powiedzieć, że zniknęło, jakbyś to sobie tylko wyobrażał i w końcu to zrozumiał?

Richard spojrzał na nią.

- Nie. Chcę powiedzieć, że zniknęło, kiedy celowo odwzajemniłem spojrzenie.

Było tam. Nie mam co do tego wątpliwości.

Może rozluźnił mięśnie, ale aż za dobrze rozpoznawała gniew w jego

oczach. To była magia Miecza Prawdy, który mocno zaciska ł w ręku. Był to słuszny gniew Poszukiwacza.

Kahlan usłyszała odległy grom. Roztarła zmarznięte ramiona.

- Kto lub co mog łoby się tak zachowywać? To znaczy, kto móg łby zagłądać tu w taki sposób?

- Nie mam pojęcia. Zedd też nie.

Richard wsunął miecz do złoto-srebrnej pochwy, którą trzymał w drugiej ręce.

Kiedy miecz się schował, z szarych oczu zniknął gniew.

Przełożył pendent przez g łowę i umieścił na prawym ramieniu, a Kahlan podeszła do okna i rozchyliła zasłony. Wyjrzała na zewnątrz.

- Już jasno.

- A burza?

- Chyba się nasiliła. Dobry z ciebie prorok.

- A niech to - mruknął Richard. - Teraz wszyscy zostaną i będą nas zadręczać pytaniami o proroctwa.

- Oni się po prostu martwią, Richardzie. Musisz przyznać, że coś się dzieje. Nie są głupi. Też to wiedzą. Jesteś lordem Rahlem. Oczekują, że będziesz ich chronił przed tym, czego nie rozumieją i czego się boją.

- Pewnie tak - powiedział i obejrzał się na drzwi, bo ktoś zapukał.

Wciągnął buty, podszedł do drzwi i wyjrzał. W głębi korytarza Kahlan zobaczyła Nathana rozmawiającego z Benjaminem. To Cara pukała. Była w czerwonym skórzanym uniformie i miała ponurą minę. Kiedy Nathan z Benjaminem zobaczyli Richarda i Kahlan, szybko do nich podeszli.

- Wygl ądasz, jakbyś spała w tej sukni - stwierdzi ła Cara, kiedy Kahlan do łączyła do Richarda.

- Bo tak było.

- Ach... - Cara ze zrozumieniem skin ęła głową. - Więc to znowu było w waszej komnacie i was obserwowało.

- Nie mam zamiaru się rozbierać pod spojrzeniem wścibskich oczu.

- Czy ty i Benjamin mieli ście tej nocy uczucie, że ktoś was obserwuje? - zapyta ł Carę Richard.

- Nie, a czekałam na nich. Nie pokazali się, toteż uważam, że chodziło o was, tak jak przypuszczałeś, a nie o nas. Całą noc było spokojnie, przynajmniej do rana.

- A co się stało rano? - spytała Kahlan.

Tu niecierpliwie wtrącił się Nathan:

- Pamiętajcie tego przysadzistego regenta w czerwonej tunice, który na wczorajszym przyjęciu chciał się dowiedzieć, czy czeka nas jakieś profetyczne wydarzenie?

Richard ziewnął.

- Regenta, który powiedział, że nasza przyszłość wyrasta z przeszłości, a częścią tej przeszłości są proroctwa? Te wszystkie bzdury?

- Właśnie.

Richard ze znużeniem potarł twarz dłonią.

- Twierdzi łą, że wszyscy chcą usłyszeć, jak ja rozumiem przepowiednie i co chowa dla nas przyszłość. Chyba nie oczekuje, że się spotkam z nim i z całą resztą, żeby im wyjawić, co się wydarzy.

- Właściwie nie - odpowiedział Nathan. - Wczesnym rankiem sam miał wizję.

Richard zeszywniał i popatrzył podejrzliwie.

- Nie spodziewałem się, że któryś z przedstawicieli ma chociaż odrobinę zdolności.

Nathan nachylił się ku niemu.

- On nie ma. To najdziwniejsze. Jego przyboczni twierdzą, że regent nigdy wcześniej nie wygłaszał przepowiedni. Mówią, że zawsze go fascynowały i że wyszukiwał ludzi twierdzących, że potrafią przepowiadać przyszłość, ale sam nigdy nie przejawiał tego rodzaju zdolności.

- Cóż więc było w tym jego proroctwie?

- Powiedział tylko, że miał wizję.

- Ale jej nie ujawnił, nie powiedział, co zobaczył? - spytała Kahlan.

- Nie. Powiedział jedynie swoim przybocznym, że widział, co kryje przyszłość.

Twierdzą, że zwykle jest rozmowny, lecz po oznajmieniu, że miał wizję, stał się milczący i strapiiony.

- Skoro nie wygłosił swojego proroctwa, to czemu jest ono tak istotne? - Richard znowu potarł dłonią twarz. - Skąd w ogóle wiemy, że mówi prawdę?

- Tego nie wiemy, lecz powiedziawszy swoim przybocznym, że miał wizję, wyszedł w nocnym stroju w szalejącą burzę i skoczył z krawędzi płaskowyżu.

- Zabił się? - Richard aż zachłysnął się oddechem. - Nic nie mówiąc o swojej wizji?

- Ani słowa - potwierdził Nathan.

Richard głęboko wciągnął powietrze, rozmyślając o smutnym końcu regenta.

- Cóż, Cara słusznie stwierdziła, że to był burzliwy ranek.

- Obawiam się, lordzie Rahlu, że to nie wszystko - odezwał się Benjamin.  
- Przez wzgląd na niewytłumaczalny czyn regenta i z uwagi na to, że wczoraj te kobiety, po tym jak miały wizję, zabiły swoje dzieci, zasugerowałem Nathanowi, że powinniśmy sprawdzić wszystkie osoby, które zgodnie z jego wiedzą miały kiedykolwiek wizję, choćby były obdarzone najskromniejszym talentem.

Richard spojrział na Nathana.

- Są też inni?

Nathan wzruszył ramionami.

- Słabo znam mieszkańców pałacu. Nie wiadomo, ile osób miało pomniejsze przeczucia. Wiem jednak o mężczyźnie, który od czasu do czasu ogłasza, że przewiduje przyszłość. Nigdy tego nie sprawdzam, więc nie wiem, czy faktycznie to potrafi. Lecz z uwagi na ostatnie przypadki uznałem, że powinniśmy go odwiedzić.

Richard przytaknął. Zamyślił się.

- To brzmi sensownie.

- Kiedy dotarliśmy do jego mieszkania - odezwał się Benjamin - usłyszeliśmy dochodzące ze środka krzyki. Wyważyliśmy drzwi i zobaczyliśmy, że powalił żonę na podłogę. Siedział na niej okrakiem. Zawzięcie walczyła, usiłując go zrzucić. Zaciskał w dłoni nóż i usiłował ją zabić. Troje małych dzieci kuliło się w kącie. Krzyczały i płakały z przerażenia, czekając, aż też je pozabija, jak sądzę.

Nathan gestem przerwał tę opowieść. Nie chciał, żeby wydała się dramatyczniejsza, niż jego zdaniem była.

- Nic się nie stało. Kiedy mężczyzna uniósł nóż, posłużyłem się odrobiną magii i zrzuciłem go z kobiety, żeby nie mógł spełnić swego zamiaru. Generał z kilkoma żołnierzami wpadli do środka i go rozbroili.

- Nikt nie ucierpiał? - zapytała Kahlan.

- Nikt - odrzekł Nathan. - Zjawiliśmy się na czas, żeby zapobiec kolejnej

tragedii.

Kahlan odetchnęła.

- Co za ulga.

- Więc on także miał wizję?

Nathan potaknął.

- Jest jubilerem. Opowiedział nam, że miał wizję, iż do jego domu przyjdą ludzie, żeby go ograbić, lecz jego tam nie będzie. W tej wizji złodzieje torturowali jego żonę i dzieci, chcąc z nich wydobyć informację, gdzie ukrył złoto, z którego wytwarza precjoza.

Nieszczęśnicy nie wiedzieli. Złodzieje im nie uwierzyli i po wielu godzinach tortur zamęczyli całą jego rodzinę, chcąc ich zmusić do mówienia. Mężczyzna upierał się, że nie mógł pozwolić, żeby coś takiego spotkało jego rodzinę. Że lepiej było szybko ich zabić, niż skazywać na męki, jakie mieli wycierpieć.

Richard był zdumiony.

- To zupełnie co innego niż tamte proroctwa.

- Zamknęliśmy go na wypadek, gdybyś chciał go przepytać - powiedział Benjamin.

Zatopiony w myślach Richard skinął głową.

Generał zatknął kciuk za pas.

- Jest jeszcze coś, lordzie Rahlu.

- Co takiego?

Benjamin wziął głęboki oddech.

- Moi żołnierze zdołali wprowadzić w głąb płaskowyżu wszystkich ludzi i zwierzęta z targowiska, zanim burza na dobre się rozszalała. Kiedy ostatnich zaganiano do wnętrza, żołnierze przeczesał okolicę, żeby się upewnić, że nikt nie został albo nie zgubił się w zamieci i nie zamarzną na śmierć w jednym z tych cienkich handlowych namiotów. Wtedy znaleźli chłopca, którego tam zaciągnięto i zabito. Miało może dziesięć lat, nie więcej.

- Zabito? - zapytał Richard. - Co to znaczy, że go tam zaciągnięto? Jak go zabito?

Generał nie uchylił się od odpowiedzi.

- Był częściowo pożarty, lordzie Rahlu.

Richard zamrugał.

- Pożarty???

- Tak, lordzie Rahlu. Wy żarto mu wn ętrzności. Odgryziono twarz. Na czaszce by ły długie wyżłobienia po zębach. Brakowa ło całej jednej ręki i dłoni drugiej. Ucztowa ły na nim zwierzęta, rozszarpały mu brzuch i wyżarły prawie wszystkie wnętrzności.

Ta wieść przygnębiła Richarda.

- Maluch, zagubiony w burzy, z dala od ludzi, by łyby łatwym łupem dla wilków czy nawet stada kojotów. To prawdopodobnie Henrik, ten chory chłopiec, z którym rozmawiałem i który nam uciekł.

- Moi ludzie sprawdzali wszystkich wprowadzanych do wn ętrza płaskowyzu. Cały czas staraliśmy się znaleźć tego chłopca, o którym mówisz. Rozmawialiśmy z jego matką. Szaleje z niepokoju.

- A więc ten martwy chłopiec, którego znaleźliście, to musiał być on.

Benjamin pokręcił głową, jeszcze zanim Richard skończył zdanie.

- Też tak pomyśleliśmy, ale to nie by ł on. Opisaliśmy matce, w co by ł ubrany.

Powiedziała, że to nie odzienie Henrika. Trochę później przyszedł do nas po pomoc pewien mężczyzna. Gorączkowo szukał synka. Moi ludzie spytali, w co mały był ubrany. Mężczyzna w każdym szczególe opisał odzież nieżyjącego chłopca.

Zasmucony Richard zacisnął usta.

- Więc to oznacza, że chory chłopiec, Henrik, zgubił się na równinach Azrith. W takiej zawiei na pewno zamarzł. Jeśli wataha wilków wcześniej go nie dopadła.



## Rozdział 18

Do lochu było daleko, lecz Richard musiał tam pójść. Musiał przepytac kobietę, która zrzuciła z płaskowyżu czworo dzieci. Musiał się zorientować, co się dzieje.

Kahlan poszła się zobaczyć z przedstawicielami krain, żeby spróbować rozwiać ich obawy co do proroctw, podczas gdy Richard miał się zająć źródłem tych obaw.

Niewyparzony język nie raz wpędził go w kłopoty. Kahlan z pewnością się tak nie zirytuje jak on. Uczono ją dyplomacji.

Żałował, że Verna, ksieni Sióstr Światła, nie może pójść z Kahlan, żeby pomóc jej wyjaśnić, czym grożą nieudolne próby odczytania proroctw. Przepowiednie wcale nie są tak jednoznaczne, jak to się wydaje. A to dlatego, że nie są przeznaczone dla tych, którzy nie mają daru. Właściwie są to poufne wieści pochodzące od proroków z przeszłości. Jedynie prorok może mieć wizje wywołane prawdziwym jasnowidzeniem, co pozwala mu zrozumieć jego właściwe znaczenie.

Verna wiele o tym wiedziała. W końcu Siostry Światła przez niemal tysiąc lat więziły Nathana w Pałacu Proroków, bojąc się, że mogłby objawić proroctwa zwykłym ludziom. Mogłaby pomóc odwieść ludzi od przekonania, że potrafią właściwie zrozumieć proroctwo. Niestety, razem z Chase'em i jego rodziną natychmiast po ślubie Cary wyjechała do Wieży Czarodzieja. Przebywali tam mający dar chłopcy potrzebujący nadzoru i szkolenia. Zeddo miał wracać, lecz chciał zostać na przyjęciu.

A teraz burza i smutne wydarzenia opóźniły jego wyjazd.

Kiedy Richard zszedł z porzewiałych żelaznych stopni drabiny, kapitan straży więziennej wyprężył się i zasalutował, przykładając pięść do serca. Richard w odpowiedzi pochylił głowę. Rozejrzał się wokół w migotliwym blasku pochodni, otrzepując dłonie z kurzu. Przynajmniej woń palącej się smoły tłumiła smród.

Kapitan wydawał się zatroskany, widząc w lochu lorda Rahla we własnej osobie.

Trochę się uspokoił, kiedy zobaczył schodzącą z drabiny Nydę. Czerwony skórzany uniform wysokiej Mord-Sith i jej blond warkocz ostro kontrastowa

ły z zimnym i ponurym kamiennym pomieszczeniem. Kapitan błysnął ku niej uprzejmym uśmiechem i skłonił głowę na powitanie. Najwyraźniej ją znał.

Richard uświadomił sobie, że Mord-Sith - a zwłaszcza ta - nie były w lochach nieznane. W przeszłości wrogowie - prawdziwi lub wyimaginowani - byli tu przetrzymywani, a Mord-Sith torturami wydobywały informacje z mających dar.

Sam niegdyś był takim więźniem, więc wszystko o tym wiedział.

Wskazał żelazne drzwi.

- Chcę zobaczyć kobietę, która zabiła dzieci.

- I człowieka, który próbował zabić rodzinę?

- Tak, jego też.

Kapitan przekręcił wielki klucz w zamku, który opierał się przez chwilę, lecz zasuwa wreszcie szczęknęła i kapitan otworzył ciężkie metalowe drzwi na tyle, żeby można się było przez nie wśliznąć. Zawiesił klucze na pasie, wziął ze stołu latarnię i poprowadził ich do wewnątrz ętrznego lochu. Nyda wprawnie zdjęła drugą latarnię z żelaznego haka w ścianie.

Zanim Richard zdążył przekroczyć próg, wyprzedziła go i weszła pierwsza. Był przyzwyczajony, że Mord-Sith wolą iść przodem i sprawdzać, czy nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Już dawno się nauczył, że żyje mu się o wiele łatwiej, kiedy im pozwala działać po swojemu i nie sprzecza się o drobnostki. Zachowywał rozkazy na chwilę, kiedy naprawdę miały znaczenie.

Kapitan prowadził ich wąskimi korytarzami w większości wykutymi w litej skale.

Ślady narzędzi nawet po tysiącach lat wyglądały równie świeżo jak wtedy, kiedy powstały.

Mijali żelazne drzwi cel, w których trzymano złoczyńców. Przed nimi, w blasku niesionej przez kapitana latarni, Richard widział palce wysuwające się i wczepiające w obrzeża małych okienek. Dostrzegali oczy patrzące przez czarne otwory. Kiedy więźniowie zauważali idącą za kapitanem Nydę, palce się chowały i oczy znikwały w mroku. Nikt nie wołał. Nikt nie chciał zwracać na siebie jej uwagi.

Na końcu szczególnie ciasnego, krzywego korytarza, z szerzej rozmieszczonymi drzwiami, kapitan zatrzymał się przy celi po lewej. W

otworze nie było palców, nie spoglądały stamtąd niczyje oczy. Kiedy otwarto ciężkie drzwi, Richard przekonał się dlaczego. Nie znaleźli się od razu w celi, lecz w małej wewnętrznej izdebce z drugimi drzwiami, za którymi była cela więźnia.

Kapitan smolną drzazgą zapalił od swojej latarni drugą, wiszącą na ścianie na żelaznym haku.

- Te cele mają magiczną osłonę - wyjaśnił, widząc pytającą minę Richarda.

Chociaż pałac wzniesiono w kształcie czaru mocy, wzmacniającego dar każdego Rahla i osłabiającego zdolności innych, osłony wokół cel stanowiły dodatkowe zabezpieczenie w przypadku więźniów z darem, choćby nie wiem jak potężnym. W przypadku takich osób nie ryzykowano.

Kapitan uniósł latarnię, żeby zajrzeć w niewielki otwór w drzwiach celi. Kiedy się upewnił, że więzień nie zamierza się na nich rzucić, otworzył je. Musiał wyteńczyć wszystkie siły. Ustępujące zardzewiałe zawiasy protestowały skrzypieniem. Kiedy drzwi otworzyły się na tyle, żeby Richard mógł wejść, kapitan wycofał się na korytarz, by tam poczekać.

Nyda weszła pierwsza, trzymając Agiel w rękę. Siedząca na podłodze kobieta odsuwała się tyłem, póki nie przywarła plecami do przeciwległej ściany. Nie była to duża odległość. Osłoniła oczy przed nagłym wtargnięciem światła. Nie wyglądała groźnie. Chyba że dla dzieci.

- Opowiedz mi o swojej wizji - odezwał się Richard.

Kobieta popatrzyła na Nydę, potem znów na niego.

- O której wizji? Miałam ich wiele.

Tego Richard się nie spodziewał.

- O tej, po której zabiłaś dzieci.

W oczach kobiety odbijały się punkciki migoczącej latarni. Nie odpowiedziała.

- Czworo dzieci. Zrzuciłaś je z krawędzi urwiska. Zabiłaś je. Opowiedz mi o wizji, którą uznałaś za wystarczający powód do takiego czynu.

- Moje dzieci są teraz bezpieczne. Są w rękach dobrych duchów.

Richard wyciągnął rękę w samą porę, żeby powstrzymać Nydę od dźgnięcia kobiety Agielem.

- Nie rób tego - szepnęła.

- Lordzie Rahlu...

- Powiedziałem: nie.

Nie miał ani odrobiny współczucia dla więźniarki, lecz nie chciał, żeby ją torturowano Agielem.

Nyda łypnęła na niego gniewnie, a potem skierowała Agiel ku kobiecie.

- Odpowiedz na pytanie albo spędzę z tobą trochę czasu sam na sam, żeby się upewnić, że już nigdy więcej nie odmówisz odpowiedzi na jakiegokolwiek pytanie lorda Rahla.

Kobieta popatrzyła na Richarda.

- Lord Rahl?

- Właśnie. Lord Rahl. A teraz odpowiedz na jego pytanie.

- Jaka wizja sprawiła, że zabiłaś własne dzieci? - powtórzył Richard.

- Nie mam dzieci przez ciebie! - Kobieta osłoniła się ramieniem przed Agielem.

Richard postawił stopę na kamiennej ławie wyciętej z litej ściany celi. Oparł łokieć o kolano i nachylił się ku kobiecie.

- O czym ty mówisz?

- Nie obronisz nas przed tym, co nadejdzie, kiedy dach się zawali. Masz w pogardzie ostrzeżenia prorocत्व. - Kobieta wyzywająco zadarła brodę. - Moje dzieci przynajmniej już nie muszą się bać tego, co nadejdzie.

- A co nadejdzie?

- Coś przerażającego!

- Czyli co?

Kobieta otworzyła usta, po czym nagle wydała się zdumiona tym, że nie ma nic do powiedzenia.

- Po prostu coś przerażającego - stwierdziła wreszcie.

- Chcę, żebyś mi opowiedziała więcej o tych okropieństwach, które mają się wydarzyć - rzekł Richard.

Zdezorientowana kobieta zamrugowała.

- Ja... ja nie...

Nieoczekiwanie chwyciła się za szyję i osunęła na ciemną kamienną posadzkę.

Wstrząsnął nią spazm i znieruchomiła.

Richard obejrzał się na kogoś stojącego za nim, prawą dłońią chwycił gardę miecza.

Nikogo za nim nie było.

- Co się dzieje? - spytała Nyda, szukając wzrokiem zagrożenia.

Richard się rozejrzył.

- Miałem wrażenie, że coś wyczułem, ale to pewnie cecha tego miejsca.

Nachylił się nad kobietą. Jej usta pokrywała czerwona piana. Nie było wątpliwości, że nie żyje.

- A to ci dopiero - mruknęła Nyda. - Powinieneś był mi pozwolić użyć Agiela. Może uzyskalibyśmy wtedy odpowiedź.

- Nie chcę, żebyś wykorzystywała go przeciwko ludziom, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

Nyda obdarzyła go tym szczególnym, groźnym spojrzeniem, jakie wszystkie Mord-Sith posyłały, kiedy tylko zechciały. Richard wiedział, że to jeden ze skutków obłądzenia. A wiedział o tym, bo niegdyś zatracił się w ich świecie.

- To było konieczne - stwierdziła. - Zagroza ci coraz większe niebezpieczeństwo.

Głupotą jest się wahać lub uchylać od zrobienia tego, co niezbędne, żeby cię chronić.

Jeśli ty ucierpisz, ucierpimy wszyscy. Co zagroza tobie, zagroza też nam.

Richard nie oponował. Pomyślał, że może Nyda ma rację.

- Sądzę, że gdybyś użyła Agiela, ona by natychmiast umarła.

- Teraz już nigdy się nie dowiemy.

## Rozdział 19

Richard milczał. Nie miał ochoty dyskutować o tym, co się stało i czego nie może już być zmienić. Odwrócił się od martwej kobiety i przekroczył wysoki próg, wracając do czekającego kapitana.

- Więźniarka nie żyje. Zaprowadź mnie do mężczyzny, którego zamknęto tu rankiem, złotnika, zanim i on umrze.

Kapitan zajrzał przez otwarte drzwi, prawdopodobnie spodziewając się zobaczyć krew, a potem wskazał.

- Jego cela jest tam, lordzie Rahlu, po drugiej stronie.

Raz-dwa otworzył zewnętrzne drzwi i przekręcił klucz w zamku kolejnych. Zajrzał przez otwór i też je otworzył.

Nyda znalazła się przed Richardem i weszła pierwsza z latarnią w jednej ręce i gotowym do użycia Agielem w drugiej.

- Ty sukinsynu! - wrzasnął mężczyzna, rzucając się na Richarda, kiedy ten wszedł do celi.

Agiel Nydy trafił napastnika w gardło. Ten cofnął się z krzykiem, chwytając się za szyję i krztusząc z przeraźliwego bólu.

Tym razem Richard nie zaprotestował. Mężczyzna dał Nydzie wystarczający powód.

Richard tracił cierpliwość i nie miał zamiaru marnować czasu na uprzejmości.

- Próbowalesz dzisiaj zabić swoją rodzinę. Dlaczego?

- Przez to, co ich czeka. Oto dlaczego. - Po działaniu Agiela głos miał ochrypliwy i przeciągał słowa. Oczy pały mu gniewem. - To twoja wina!

Przy każdym słowie z ust ciekła mu krew.

- Dlaczego tak uważasz?

Mężczyzna dźgnął palcem powietrze, mierząc w Richarda.

- Bo nie chcesz służyć prorocत्व! - Musiał przelikać krew i ból. To tłumilo jego głos, lecz nie złość. - Myślisz, że jesteś zbyt ważny, żeby być posłusznym prorocत्वu.

Myślisz, że jesteś za mądry.

- Sporo wiem o prorocत्वach - powiedział Richard. - To nie takie proste, jak ci się wydaje.

- A właśnie, że proste. Już przedtem miałem wizje przyszłości i były jasne jak słońce. Co więcej, zawsze się sprawdzały.

- Jakie to były wizje?

Mężczyzna wciąż rozcierał szyję. Jego gniew trochę przygasł. Zanim odpowiedział, nieufnie łypnął na Nydę.

- Na przykład przecucie, że zjawi się ze zleceniem klient, którego dawno nie widziałem. I wkrótce przychodził. Raz robiłem pierścień dla bogacza i objawiło mi się, że ten umrze, zanim skończę pracę. Umarł następnego dnia.

- To wizje innego rodzaju - stwierdził Richard. - Pomniejsze sprawy, poślednie przepowiednie. To nie to samo co proroctwa.

- Sprawdzały się. To były przecucia i spełniały się dokładnie tak, jak mi się objawiały.

- Przecucie, że zjawi się klient, to nie to samo co wizja, która skłania do próby zamordowania rodziny.

- To nie morderstwo! To miłosierdzie!

Mężczyzna skoczył, wyciągając ręce do gardła Richarda. Nyda powaliła więźnia Agielem. Skulił się na podłodze, obejmując się ramionami, z trudem łapał oddech i dygotał z bólu. Nyda postawiła stopę na jego plecach i nisko się ku niemu nachyliła.

- Jeśli jeszcze raz spróbujesz zaatakować, sprawię, że pożałujesz, że się urodziłeś. A jak z tobą skończę, do śmierci będziesz mnie przeklinał, ale będziesz się zachowywał jak należy. Zrozumiałeś?

Mężczyzna, drżąc z bólu po dotknięciu Agiela, potaknął. Nadal spazmatycznie łapał powietrze i desperacko usiłował oddychać. Nyda popchnęła go butem.

Przetoczył się na plecy. Wreszcie usiadł, oparł się o ścianę i patrzył gniewnie na Richarda.

- Moja rodzina będzie musiała wycierpieć niewyobrażalne męki, bo mnie zamknąłeś i nie mogę im zadać szybkiej śmierci.

- Słyszałem o tej twojej wizji. Nawet gdyby była prawdziwa, sam byłbyś odpowiedzialny za ich cierpienie, i to zarówno za udługę, jak i za śmierć, bo nigdy nie pomyślałeś, że może być inaczej.

Zaskoczony mężczyzna zamrugnął.

- Inaczej? Co masz na myśli?

- Powiedzmy, że naprawdę wierysz w tę twoją wizję, że pojawią się

złodzieje i będą torturować twoją żonę i dzieci, żeby z nich wydobyć informację, gdzie chowasz złoto.

- To prawda!

- Doskonale, założmy, że tak. Dlaczego więc nie zrobiłeś nic, żeby chronić swoją rodzinę?

Mężczyzna przełknął ślinę, wciąż starając się odzyskać oddech.

- Chronić ich?

- Tak. Skoro tak się o nich troszczysz, to dlaczego najpierw nie pomyślałeś, żeby ich obronić? Dlaczego do kogoś nie poszedłeś? Do Pierwszej Kompanii, do proroka Nathana albo do mnie?

- Nikt by mi nie pomógł. Nikt by mi nie uwierzył, nie zapobiegł najściu złodziei-morderców i nie powstrzymał ich przed torturowaniem mojej rodziny. Przez ciebie. - Mężczyzna patrzył na Richarda, marszcząc brwi, a ten podjął:

- Ludzie w twojej wizji chcieli się dowiedzieć, gdzie chowasz złoto. Twoja żona i dzieci nie wiedziały, więc nie mogły tego zdradzić. Złodzieje im nie uwierzyli i usiłowali torturami wydobyć z nich tę informację.

- To prawda - powiedziała mężczyzna, znowu mierząc w Richarda palcem. - Będą znosić męki i umrą, bo nie kierujesz się wizją i nie rozumiesz, że jest prawdziwa.

- Nie, będą cierpieć, bo ty nie wierzysz, że jest prawdziwa.

Skołowany mężczyzna zamarł w bezruchu.

- Ależ wierzę.

- Gdybyś naprawdę w to wierzył, wystarczyłoby, żebyś powiedział żonie i dzieciom, gdzie chowasz złoto. Powiedziałbyś im, że to tajemnica, lecz że powinni pozwolić złodziejom zabrać kruszec, gdyby kiedykolwiek chcieli ich skrzywdzić.

Gdybyś to zrobił, zapobiegłbyś spełnieniu się wizji. Chyba że cenisz złoto bardziej niż rodzinę?

- Nie! Jasne, że nie!

- To dlaczego im nie powiedziałeś, gdzie trzymasz złoto? Albo nie pomyślałeś, żeby ich zabrać z domu, uchronić przed zagrożeniem?

Mężczyzna był naprawdę zdezorientowany.

- Nie wiem.

- Czemu najpierw pomyślałeś o tym, żeby ich zabić, a nie o tym, żeby ich



chronić?

Twarz mężczyzny pobladła. Nie znajdował odpowiedzi.

- Moim bliskim także coś groziło - powiedział Richard. - Myślałem wyłącznie o tym, żeby ich bronić, żeby udaremnić proroctwo. I w końcu to zrobiłem. Nie zamordowałem ich.

Mężczyzna odwrócił wzrok. Zniknęła jego pewność siebie, jego przekonanie i gniew.

Lecz kiedy podniósł wzrok, w jego spojrzeniu ponownie zapłonęła pewność.

- To przez ciebie będą cierpieć i umierać! Ty mnie tu trzymasz pod kluczem, chociaż wiesz, co się stanie. Moi bliscy będą niewyobrazalnie cierpieć, bo nie pozwalasz, żebym ich ocalił przed moją wizją, zadając im szybką śmierć. Będziesz winny ich cierpieniom. Wszystko przez to, że nie wypełniasz obowiązku wobec swojego ludu i nie kierujesz się proroctwami.

Richard nie odpowiedział. Obłąd nie przyjmował żadnych argumentów.

Mężczyzna sunął plecami po ścianie, aż w końcu wstał. Patrzył gniewnie na Richarda.

- Nie zasługujesz na to, żeby być lordem Rahlem. Wkrótce wszyscy to zrozumieją.

## Rozdział 20

Kahlan przypochlebia ła się przedstawicielom krain wykwintnym po łudniowym posiłkiem. Stoły w komnacie zastawiono półmiskami mięs, ryb, drobiu i najrozmaitszych słodkości. Oferowano rozmaite wina. Muzykanci grali cichą, kojącą muzykę, a lokaje roznoszący tace z kolorowymi słodkimi napitkami torowali sobie drogę w tłumie. Goście brali z tac szklanice o grubym dnie, w których podawano te cenione trunki.

Kahlan, patrząc na gości, czuła się samotna. Żałowała, że nie ma przy niej Richarda. Tęskniła za nim. Ale miał swoje zadanie do wykonania.

Ona też.

Krążąc wśród kłębiących się ludzi, częstujących się potrawami i winem oraz napojami, Kahlan - nie tracąc czasu na jedzenie - uśmiechała się i z każdym osobiście witała, dziękowała za przybycie, dbała o przyjemności i zachcianki gości. Służba się starała, żeby przedstawicielom krain niczego nie zabrakło.

Wielu rozmawiało o prorocत्वach, upierając się, że to najlepszy sposób wprowadzania w przyszłość. Nalegali, że ona i Richard powinni bardziej zważyć na to, co przepowiednie mówią im wszystkim. Kahlan cierpliwie słuchała, niekiedy uprzejmie prosząc o uzasadnienie pewnych opinii.

Cara, niedowierzająca nikomu, nawet władcóm z całego Imperium D'Hary i wojennym sojusznikom, rzadko znajdowała się dalej niż na odległość ramienia. Kilka razy goście zatrzymywali krążącą po komnacie Kahlan, pytając, czy w kuchniach mają to lub tamto. Kahlan zaspokajała te zachcianki, natychmiast prosząc służbę o spełnienie specjalnych życzeń.

Kiedy wykwintny lunch wreszcie się skończył, zaprowadziła przedstawicieli krain do przyległej komnaty, gdzie weszła na podium, żeby wszyscy mogli ją widzieć.

Ozdobione gzymsami ściany o barwie wanilii i błękitno-złote dywany stwarzały miły, spokojny nastrój.

Przez dwuskrzydłowe prowadzące na taras drzwi Kahlan widziała, że nawałnica spowiła świat bielą. Od czasu do czasu wiatr uderzał w szyby.

Goście byli najedzeni i rozluźnieni. Kahlan, stojąc na podwyższeniu, spłotła dłonie, cierpliwie czekając, aż umilkną rozmowy i wszyscy skierują

na nią uwagę. Kątem oka zobaczyła nadchodzącą Nicci. Czarodziejka stanęła obok stolika tuż za Kahlan.

Wysokie krzesła, z oparciami rzeźbionymi w orły o rozpostartych skrzydłach - Kahlan i Richard używali ich w przeszłości, przyjmując sygnatariuszy, z których wielu przebywało teraz w komnacie - stały majestatycznie za stołem. Cara, w czerwonym skórzanym uniformie, przystanęła za Kahlan po jej lewej stronie.

Kahlan wzięła głęboki oddech i zaczęła:

- Wiem, że wielu z was martwi się, co przyniesie przyszłość. Słyszałam, że wszyscy się interesujecie, co mówi o tym proroctwo. Niektórzy osobiście mówili mi wprost o tych troskach. Ponieważ wiem, że wszyscy tu obecni dbają o naszą wspólną pomyślną przyszłość, postanowiłam dać każdemu sposobność zwierzenia się ze swoich obaw.

Odczekała, aż wszyscy się uśmiechną, i podjęła:

- Wszyscy wiecie, że doszło do tragicznych incydentów spowodowanych przez tych, którzy uważają, że objawiło się im proroctwo. Paru ludzi dokonało pod wpływem strachu niewybaczalnych czynów. Świadcami jednego z nich byliście wczoraj.

Słyszeliście również, co pewna kobieta zrobiła swoim dzieciom, kierując się wizją przyszłości. Jej dzieci niestety nie żyją i nie mają już żadnej przyszłości. Proroctwo najwyraźniej w niczym im nie pomogło, a jedynie doprowadziło do przedwczesnej śmierci. To dlatego nie ma teraz z nami Richarda. Zajmuje się tym i innymi poważnymi sprawami związanymi z prorokowaniem. Należy to do jego obowiązków jako czarodziejki i lorda Rahla. Wydarzenia ostatnich lat pokazały nam, że jest więcej niż kompetentny. Jednakże on też nie zamierza ignorować waszych pytań i trosk, dlatego poprosił mnie, żebym się z wami spotkała i was wysłuchała.

Kahlan rozłożyła ręce.

- Jeżeli ktoś ma coś do powiedzenia, proszę, żeby to zrobił teraz, przy wszystkich, żebyśmy mogli oczyścić atmosferę i rozwiązać problemy.

Wszyscy wyglądali na zadowolonych.

Królowa Orneta nie traciła czasu.

- Uważamy - powiedziała, krzyżując na piersiach szczupłe ramiona i wychodząc przed zgromadzonych - że proroctwo jest naszym najważniejszym doradcą.

- To nie proroctwo jest naszym najwaźniejszym doradcą, lecz rozum - rzekła Kahlan.

Królowa zbyła ją machnięciem dłoni.

- Proroctwo mówi, co należy zrobić, żeby naszym ludom powodziło się w przyszłości.

- A więc twoim zdaniem proroctwo zapowiada, co się wydarzy.

- Istotnie - stwierdziła królowa.

- Skoro wierzysz, że przepowiednia odsłania przyszłe wydarzenia, nie ma znaczenia, czy ją znasz czy nie. Nie możesz zmienić biegu wydarzeń, bo wtedy nie byłoby to proroctwo.

Spojrzenie królowej spochmurniało.

- Proroctwo ma nam pomagać, przekazuje się je za pomocą magii, żeby nas wprowadzało w przyszłość.

- Jak już wam mówiłam, zajmujemy się tym - powiedziała Kahlan, uśmiechając się pokrzepiająco. - Nie musicie się niepokoić zawiłościami proroctw. Oprócz Sióstr Światła mamy tu również proroka Nathana, który pomaga Richardowi. A także inne osoby z darem, jak Pierwszy Czarodziej Zorander - wskazała za siebie - i czarodziejka Nicci.

Że nie wspomnę o Richardzie. Właśnie w tej chwili zajmuje się tymi sprawami, jak mu nakazują obowiązek i odpowiedzialność. Mogę was zapewnić, że lord Rahl bardzo poważnie traktuje swoje powinności.

- Tak, tak nam powiedziano - odezwała się królowa Orneto z niejaką pobłażliwością.

Kahlan wzruszyła lekko ramionami.

- Czegoż byś jeszcze chciała?

Królowa podparła dłonią kościsty łokieć i niedbale muskała palcami drugiej ręki drogocenny naszyjnik.

- Matko Spowiedniczko, chcę tego samego, co wszyscy zebrani. Słyszeliśmy złowieszcze ostrzeżenia. Chcemy wiedzieć, co proroctwo o tym mówi.

- Zapewniam cię, królowo Orneto, że i my poważnie to traktujemy. W końcu wszyscy jesteśmy po tej samej stronie i wszystkim nam zależy na dobrostanie Imperium D'Hary. Zrozum jednak, proszę, że prorokowanie to bardzo specjalistyczna dziedzina. Zajmują się tym ci, którzy mają odpowiedni dar i doświadczenie. Zrobiono już wszystko, co możliwe.

Tłum umilkł, oczy wszystkich wpatrywały się w króla Filipa z zachodnich Midlandów, który wysunął się naprzód. Był bohaterem, który mężnie walczył o ich sprawę, od początku lojalnym wobec nowo utworzonego Imperium D'Hary. Chociaż wielu obecnych dorównywało mu pozycją, wszyscy go podziwiali.

Był ubrany we wspaniałą kurtkę wojskowego kroju, o barwie mahoni, idealnie dopasowaną do krzepkiej sylwetki. U biodra, na szerokim, wzorzystym wytłaczanym, brązowym skórzanym pasie, miał lśniący, grawerowany ceremonialny miecz zdobiony srebrem i złotem. Pomimo ozdoby był w jego rękach groźną bronią. Kahlan wiedziała, że król jest mądrym przywódcą, lecz zdawała sobie również sprawę, że ma zmienne usposobienie.

Jego żona Catherine, zawsze obecny cień, znalazła się obok niego. Była w przepięknej, ciemnozielonej brokatowej sukni haftowanej w jaskrawożółte liście.

Wyglądała oszałamiająco. Chociaż była królową mającą taką samą władzę jak mąż, niewiele ją obchodziło rządy. Była w ciąży. Kahlan wiedziała, że to będzie ich pierwsze dziecko i że niecierpliwie na nie czekają, skoro wojna już się skończyła.

Król Filip szerokim gestem wskazał zebranych dostojników.

- Jesteśmy władcami krain składających się na Imperium D'Hary. Wielu z nas było lojalnych wobec ciebie, Matko Spowiedniczko, także wcześniej, w Midlandach. Nasi ludzie walczyli, wykrwawiali się i ginęli, żebyśmy mogli się dzisiaj spotkać jako zwycięzcy. Mają prawo, za naszym pośrednictwem, usłyszeć o przyszłości, o którą tak ciężko walczyli. Jako ich przedstawiciele powinniśmy być informowani o tym, co mówi proroctwo, żebyśmy mogli zadbać o to, żeby się nim kierowano, a nie je ignorowano.

Rozległ się gwar, wszyscy potakiwali królowi Filipowi.

Królowa Orneta, nie mając ochoty oddawać nieformalnego przywództwa w przedstawianiu punktu widzenia ogółu, skinęła chudym ramieniem, nakazując zebranym ciszę.

- Należy być posłusznym proroctwu. Matko Spowiedniczko, chcemy, żebyście nam ujawnili, co ono mówi, abyśmy mogli sami się przekonać, czy się nim kierujecie.

- Przecież spędziłam z wami sporo czasu, wysłuchując was i wyjaśniając,

dłaczego proroctwo nie jest przeznaczone dla niewtajemniczonych.

Królowa uśmiechnęła się protekcjonalnie - taki uśmiech to wrodzona umiejętność niektórych władczyń, bliska talentowi aktorskiemu.

- Rzeczywiście tak uczyniłaś - przyznała, spoglądając na króla Filipa, jakby dając mu do zrozumienia, że mówienie powinien pozostawić jej. - Lecz wszyscy słyszeliśmy złowieszcze ostrzeżenia rozmaitych wróżbitów w naszych rodzinnych stronach, to osoby mające odrobinę profetycznego daru. To jeden z powodów, dla którego tak chętnie tutaj przybyliśmy. Dzieje się coś ważnego, wszystkie znaki na to wskazują.

Chcemy wiedzieć, jakie mroczne zapowiedzi głosi proroctwo, żebyśmy, kiedy skończy się zamieć, mogli wysłać wieści do naszych krain, aby ludzie zdążyli się przygotować na nadciągające niebezpieczeństwa. Proroctwo będzie bezwartościowe, jeśli zachowa się je w sekrecie.

Kahlan się wyprostowała. Jej uśmiech zniknął, zastąpiła go „mina Spowiedniczki”.

Talent królowej nie dorównywał umiejętnościom Kahlan.

Zapanowała pełna niepokoju cisza.

- Nie mam pewności, czy naprawdę chcecie usłyszeć proroctwo.

Królowa Orneta nie skorzystała z okazji, którą właśnie dała jej Kahlan, i nie wycofała się.

- Matko Spowiedniczko, wszyscy sobie cenimy wspólny posiłek, którym nas poczęstowałaś. Jesteś doskonałą gospodynią, lecz to, czego naprawdę chcemy i czego się domagamy, to poinformowanie nas, co mówi proroctwo, żebyśmy zyskali pewność, iż ty i lord Rahl dacie mu posłuch i powiecie nam, co należy robić.

- Otóż to. - Król Filip pokreślił te słowa uniesieniem pięści. - Musimy wiedzieć, że ty i lord Rahl uczynicie to, co nakazuje proroctwo.

- Ach, więc sądzą, że powinniśmy się nim kierować bez względu na to, co nakazuje, chociaż wam wyjaśniałam, że wcale nie jest tak łatwo zrozumieć proroctwo?

Nadal się upieracie, że same słowa zawierają przepowiednię i że należy im ślepo ufać?

Czy tak? I obawiacie się, że zabraknie nam sił, aby tak postąpić?

Parę osób potwierdziło to okrzykami. Inni energicznie kiwali głowami. Jeszcze liczniejsi starali się jednocześnie wyjaśnić, że właśnie o to im przez

cały czas chodziło.

Kahlan ze smutkiem skinęła głową.

- Właśnie tak sądzicie?

Znowu okrzyki to potwierdziły.

- Proroctwu należy się podporządkować - oznajmiła królowa, kiedy gwar ucichł. - Należy je ujawnić i być mu posłusznym.

Król Filip stojący w pobliżu królowej Ornety zdecydowanym gestem skrzyżował ramiona na piersi na znak, że się z nią zgadza.

Gniewne spojrzenie Kahlan przeniosło się z królowej Ornety na ciężarną królową Catherine.

- I ty przedłożyłabyś proroctwo nad swoje nienarodzone dziecko? Po tym, jak widziałas, co uczyniono tamtym niewinnym dzieciom? Że przyniosło to im tylko ból i straszną śmierć?

Catherine posłała mężowi zaniepokojone spojrzenie, lecz szybko zapanowała nad sobą i krótko skinęła głową.

- Stwórca zsyła nam proroctwa. Należy się nimi kierować, Matko Spowiedniczko.

Kahlan ponownie powiodła wzrokiem po zebranych.

- Jesteście tego pewni?

Wszyscy niecierpliwie to potwierdzili. Niektórzy podkre ślili to jeszcze potrząsaniem pięściami.

- Cóż - westchnęła Kahlan, ze smutkiem kręcąc głową - miałam nadzieję przekonać was, iż proroctwo i wywodzące się zeń czyny należy pozostawiać znawcom tej materii, lecz skoro nalegacie, nie mam wyboru i muszę spełnić wasze życzenie.

Przedstawiciele krain najwyra źniej byli zadowoleni, że wreszcie postawili na swoim, nawet jeśli ich entuzjizm nieco przytłaczał ciężar odpowiedzialności, którą tak ochoczo na siebie wzięli.

- Dostaniecie to, czego żądacie - rzekła Kahlan. - Usłyszycie, co mówi wam proroctwo.

## Rozdział 21

Wszyscy przysunęli się bliżej, pragnąc wreszcie usłyszeć to, czego jeszcze nigdy nie było im dane słyszeć: prawdziwą przepowiednię z księgi proroctw.

Kahlan obejrzała się przez ramię na posępną czarodziejkę, która w milczeniu się przyglądała. Wszystkie oczy zwróciły się na kobietę władającą mocami, których działania większość obecnych nigdy nie widziała i nawet nie potrafiła sobie wyobrazić.

Nieskazitelna uroda Nicci, jej chłodne spojrzenie i absolutna pewność siebie potęgowały otaczającą ją groźną aurę.

- Nicci, czy zechciałabyś odczytać z księgi proroctwo, które niedawno odkryliśmy, mówiące o naszej bliskiej przyszłości i roli, jaką wszyscy tu obecni w niej odegrają?

Nicci skłoniła głowę.

- Oczywiście, Matko Spowiedniczko.

Ton jej uwodzicielskiego, jedwabistego głosu jedynie potwierdzał, jak jej się nie podoba postawa zebranych. Chociaż byli podekscytowani doniosłością tego wydarzenia i perspektywą wysłuchania prawdziwego proroctwa, jakie rzadko wygłaszano poza dobrze chronionymi komnatami, to byli również świadomi zagrożenia, jakie stanowi Nicci. Cara była groźna, lecz Nicci była złowroga w zupełnie odmienny sposób. W wydekoltowanej czarnej sukni wyglądała w każdym calu jak niegdysiejsza Pani Śmierci - ten jej tytuł wszyscy obecni znali, chociaż nigdy go nie wspominali, chyba że w cichych szeptach na osobności.

Jednak pragnienie wysłuchania proroctwa przeważało nad lękiem. Nikt nie zamierzał z tego zrezygnować.

- Przeczytaj, proszę, tym zacnym ludziom, co mówi proroctwo. - Kahlan spojrzała gniewnie na tłum. - Niczego nie pomijaj. Jasno się wyrazili, że chcą usłyszeć proroctwo tak, jak je zapisano, i życzą sobie, żeby się zastosować do jego nakazów.

- Czy zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy, żeby ich ostrzec, Matko Spowiedniczko?

Kahlan skinęła głową.



- Tak.

Nicci wzięła księgę ze stołu. Trzymając ją na ręku, podeszła do Kahlan. Nie uśmiechała się. Było coś w jej postawie i chłodnej minie, że niemal wszyscy odruchowo się cofnęli.

- Oto fundamentalna księga proroczw - powiedziała Nicci, unosząc księgę, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć - spisana przez znanego proroka w czasach, kiedy dar prorokowania był najbardziej rozwinięty. Jak wszyscy się spodziewacie, zawarto tu mroczne przepowiednie najwyższej rangi, które odnoszą się do obecnych.

Goście znowu się zbliżyli.

Nicci otworzyła księgę, gotowa czytać, ale znowu spojrzała na zebranych.

- To bardzo stary tekst, toteż jest spisany w jęziku górnod'harańskim używanym w dawnych czasach. Czy ktoś z was zna górnod'harański?

Większość ludzi kręciła głowami, rozglądając się w poszukiwaniu kogoś, kto by znał ten starożytny, niemal zapomniany język. Nikt taki, rzecz jasna, się nie znalazł.

Richard się go uczył, lecz poza nim jedynie garstka żyjących rozumiała górnod'harański. Jedną z tych osób była Nicci.

- No cóż - westchnęła czarodziejka z zimnym uśmiechem - biegle znam górnod'harański, więc przetłumaczę wam tekst, a nie odczytam go w jęziku, w którym go spisano, jeśli się na to zgadzacie.

- Oczywiście, że chcemy, żebyś go przetłumaczyła - warknęła królowa Orneta, jakby besztła powolną służkę. - Nie ociągaj się.

Chłodne, błąkitne oczy Nicci posłały królowej takie spojrzenie, że ta lekko zbladła.

- Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość.

Kahlan żałowała, że nie ma głosu tak delikatnego, jedwabistego i pięknego jak Nicci. Głos czarodziejki idealnie do niej pasował. Był równie nieskazitelny i uwodzicielski jak wszystko w niej. Potrafił też, choć zazwyczaj czarujący, po najdrobniejszej zmianie tonu stać się straszliwie złowieszczy.

Nicci ostrożnie i powoli odwróciła stronicę, wodząc wzrokiem po tekście, aż natrafiła na to, czego szukała.

Król Filip otoczył ramieniem żonę i lekko ją przytulił. Kahlan patrzyła, jak Catherine gładzi dłonią brzuch, jakby uspokajała dziecko. Zmusiła się,

żeby odwrócić wzrok od ciężarnej, odsunąć na bok własne myśli i uczucia.

Nicci postukała palcem w stronicę.

- Oto jest. To długie i szczegółowe proroctwo, ponieważ jest ważne, wręcz kluczowe. Wybaczcie, lecz będę musiała czytać powoli i uważnie, żeby je dokładnie przetłumaczyć.

- Tak, tak - odezwała się królowa. - Czy mogłabyś wreszcie zacząć?

Inni poparli ją zniecierpliwionymi pomrukami.

- No dobrze. - Nicci odkaszlnęła. - Proroctwo mówi: „Po zwycięstwie, podczas szalejącej wiosennej zamieci, jakiej nie widziano od lat, kiedy zgromadzą się wodzowie wszystkich krain, złe wichry zmiany przyniosą zawieruchę wydarzeń, które mogą wtrącić świat w cierpienie, grozę i spustoszenie. W ukryciu czają się mroczne zagrożenia, gotowe skraść noc, ścigać niewinnych i ich pożerać”.

Ludzie zach łysnęli się oddechem. Nicci popatrzyła na nich spod oka, czekając, aż umilkną szepty. Kiedy tak się stało, podjęła:

- „W owym prze łomowym czasie, w kulminacyjnej, niespokojnej chwili, kiedy zgromadzą się wszyscy wodzowie, los świata zależy od tego, co się wtedy uczyni, albowiem jest to jedyna szansa na zapewnienie pomyślnej przyszłości”.

Zgromadzeni z otwartymi ustami czekali, żeby Nicci ujawni ła, co proroctwo nakazuje uczynić, aby uniknąć ponurego losu i zapewnić sobie pomyślną przyszłość.

Czarodziejka - zanim wróciła do tłumaczenia proroctwa - upewniła się, czy wszyscy uważają. Nie musiała się o to martwić: czekali wpatrzeni w nią jak w obrazek.

- „Podobnie jak życie musi się zakończyć dla niektórych wejściem w śmierć, żeby mogło się stale odradzać z nową krwią, tak i przywództwo musi zostać odnowione. Aby pokonać straszliwe zrządzania losu, wodzowie wszystkich krain, zebrani w jednym miejscu, muszą zostać wyeliminowani. Jedynie tak można zapewnić nowe życie, nową nadzieję. Powstrzymanie się przed tym oczyszczaniem z obawy przed przelaniem krwi nielicznych będzie oznaczać mroczny wiek cierpie ń i śmierci ich ludów. By da ć początek nowemu życiu, zapewnić dobrobyt i bezpieczeństwo wszystkim krainom nadchodzącej wiosny, należy przelać krew ich wodzów. Zapisano, że zgromadzonych przywódców należy pozbawić życia, jeżeli chce się

oszczędzić światu niewypowiedzianych cierpień”.

Nicci podniosła przeszywający wzrok i powiodła spojrzeniem po zgromadzonych.

Ton jej głosu zmienił się z jedwabistego w złowieszczy.

- Usłyszeliście proroctwo. Zapowiada mroczną i straszliwą przyszłość, jeżeli się nie spełni jego zaleceń. Proroctwo, któremu, jak się upieraliście, należy być posłusznym, głosi, że wszyscy powinniście umrzeć.

## Rozdział 22

W komnacie zapadła głucha cisza. Nikt nie ośmielił się choćby mrugnąć. Nikt nie ośmielił się poruszyć. Wszyscy bali się nawet odetchnąć.

- Ale... ale... - wydukała wreszcie królowa Orneta.

- Ale nic - odezwała się Kahlan głosem równie złowieszczym jak przedtem Nicci. - Proroctwo nie zawsze objawia się do końca przez słowa. Może mieć ukryte znaczenie.

Mówiłam wam o tym wszystkim. Nathan wam mówi ł. I lord Rahl. Nathan i inne osoby o wielkim doświadczeniu w zawilej materii znaczeń ukrytych w słowach proroctw pomagali lordowi Rahlowi przy tej konkretnej przepowiedni, starając się wybadać, czy może ona znaczyć coś innego, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka. Taka jest rola proroków: rozszyfrowywanie prawdziwych znaczeń proroctw. Jak Richard i ja próbowaliśmy wam powiedzieć, proroctwo nie jest przeznaczone dla niewtajemniczonych, powinno się je zostawić znawcom.

Kanclerz z południowej prowincji D'Hary, odziany w sięgającą podłogi, ciemnoniebieską szatę, z szeroką talią okoloną ozdobnym złotym pasem, uniósł palec.

- Tak, oczywiście masz rację, Matko Spowiedniczko. Teraz to rozumiemy. Być może najlepiej...

- Czasem jednak proroctwo oznacza dokładnie to, co głosi - uciszyła go ostrym tonem Kahlan.

- Lecz czyż nie może być tak, że akurat ta przepowiednia ma ukryte znaczenie? - spytał król Filip.

Kahlan spojrzała na niego z nieprzeniknioną miną, którą - jak wszystkie Spowiedniczki - nauczyła się przybierać już w młodym wieku. I była ona nieodłączną częścią jej repertuaru od chwili, kiedy Kahlan po raz pierwszy poraziła swoją mocą skazańca i rozkazała mu wyznać prawdę o przerażających zbrodniach.

- Chcieliście usłyszeć proroctwo, żeby, jak twierdziliście, mieć pewność, iż ja i lord Rahl zadamy, by stało się to, co ono nakazuje. Jak to zwiędle ujęła królowa Orneta, proroctwu należy się podporządkować. Należy je ujawnić, żeby można było postępować zgodnie z jego zaleceniami.

Królowa Catherine, z twarzą zalaną łzami, obronnym gestem osłoniła brzuch i swoje nienarodzone dziecko i popatrzyła na męża. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

Królowa Orneta już nie była zatroskana, lecz oburzona.

- Nie mówisz poważnie! Po prostu nie wierzymy...

- Generale! - zawołała Kahlan.

Generał Meiffert odsunął się od ściany i zasalutował, przykładając pięść do serca.

- Matko Spowiedniczko?

- Czy oddziały egzekucyjne są na miejscu, gotowe do działania?

Słowo „egzekucja” powtarzano lęklwym szeptem w całej komnacie.

- Tak, Matko Spowiedniczko. Jesteśmy gotowi. Ścinanie głów może się rozpocząć natychmiast.

Tłum oszalał.

- Ścinanie głów?! - wykrzyknął kanclerz. - Rozum ci odjęło?! Nie mówisz poważnie... Nie możesz!

Kahlan ponownie spojrzała na niego z nieprzeniknioną miną Spowiedniczki patrzącej na skazańca.

- Proroctwo żąda krwi zgromadzonych tu osób. Nie ma co do tego wątpliwości.

Dobrze to zrozumiałam? - zwróciła się do Nicci.

- Tak, Matko Spowiedniczko. Przetłumaczyłam bardzo precyzyjnie. - Nicci znowu spojrzała w księgę. - Wyraźnie powiedziano: „By tej wiosny dać początek nowemu życiu, zapewnić dobrobyt i bezpieczeństwo wszystkim krainom, należyc przelać krew ich wodzów”.

Kahlan popatrzyła na kanclerza.

- Zapewniam cię, że ścięcie jest krwawą operacją. Proroctwu stanie się zadość.

- No a ty?! - krzyknęła królowa Orneta. - Też jesteś władczynią. Skoro przepowiednia dotyczy nas, to odnosi się też do ciebie!

- Założyłam, że proroctwo nie mówi o mnie. - Kahlan uniosła rękę, wykonując gest ponad ich głowami, i dokończyła: - Ale z pewnością obejmuje was wszystkich.

W całej komnacie ujawnili się gwardziści Pierwszej Kompanii - w skórzanych zbrojach i kolczugach, z wiszącymi u pasów mieczami,

toporami, nożami i maczugami - do tej pory stojący w niszach i pod ścianami. Nikt nie zauważył, kiedy się tam znaleźli.

Wchodzili w tłum i chwyтали ludzi za ramiona, pilnując, żeby nikt nie uciekł.

- Nie zgodzimy się na coś takiego! - protestowała królowa Orneta.

- Nie musicie - stwierdziła spokojnie Kahlan.

- Już lepiej - prychnęła królowa, przy której pojawili się żołnierze.

- Stanie byłoby kłopotliwe przy tego rodzaju egzekucji - wyjaśniła Kahlan zimnym jak lód głosem. - Każde z was będzie musiało uklęknąć i położyć głowę na ciężkim drewnianym kłocu. Wtedy kat szybko i sprawnie wykona swoją robotę. Sformowaliśmy wiele ekip, toteż mogę was zapewnić, że wkrótce będzie po wszystkim. Dzięki tej ofierze wasze krainy i ludy będą bezpieczne. Tak powiada proroctwo.

Królowa Catherine wysunęła się przed tłum, unosząc jedną rękę, a drugą osłaniając brzuch.

- Moje dziecko jeszcze nie zaczęło żyć. - Łzy płynęły jej po policzkach. - Nie możesz skazać na śmierć nienarodzonego dziecka.

- Catherine, nie skazałam twojego dziecka. Popraw mnie, proszę, jeżeli się mylę, lecz powiedziałaś: „Stwórca zsyła nam proroctwa. Należy się nimi kierować”. Widzisz więc, że to nie ja domagam się waszej śmierci, lecz proroctwo. Upierając się przy posłuszeństwie wobec przepowiedni, sama skazałaś własne dziecko.

Kahlan odwróciła się plecami do tłumy, zamierzając odejść.

- Chcesz powiedzieć ć, że naprawdę każesz nas ściąć?! - zawołał przerażony kanclerz.

- Mówisz poważnie?!

Kahlan znowu się ku nim odwróciła.

- Śmiertelnie poważnie - potwierdziła, jakby zdziwiona, że w to wątpił. - Robiliśmy, co w naszej mocy, żeby was przekonać, iż proroctwo jest przeznaczone dla tych, którzy rozumieją jego zawiłą naturę, lecz nie chcieliście słuchać. Nakazałam powołać ekipy egzekucyjne na wypadek, gdyby nie powiodła się moja ostatnia próba przekonania was i gdybyście mimo wszystko chcieli usłyszeć proroctwo i dopilnować ć, byśmy postąpili zgodnie z nim. Właśnie tak się zachowaliście, toteż nie mam wyboru, jak tylko dostosować się do waszej woli. Sami podjęliście decyzję.

Tłum znów się rozszalał. Wszyscy zapewniali hałaśliwie, że nie zamierzali uzurpować sobie władzy lorda Rahla czy Matki Spowiedniczki.

A potem kanclerz wyrwał się żołnierzom i upadł na kolana. Dotknął czołem podłogi. Kiedy inni zrozumieli, co on robi, raz-dwa poszli w jego ślady. Wkrótce wszyscy delegaci i władcy, nawet ciężarna królowa Catherine, klęczeli, dotykając czołami posadzki. Stojący wśród nich żołnierze nie zrobili nic, żeby im w tym przeszkodzić.

Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

To były modły do lorda Rahla, które do niedawna codziennie recytowano dwa razy w ciągu dnia w Pałacu Ludu przez setki, a może i tysiące lat. Na ślubie Cary Richard powiedział wszystkim, że ich życie należy do nich, a nie do niego, i że już nie powinni się kłaniać ani jemu, ani nikomu innemu. W końcu dali odpór tyranii.

Chociaż modły nie były już wymagane, zebrani najwyraźniej uznali, że to odpowiednia chwila, żeby przypomnieć sobie samym oraz Kahlan o swojej lojalności.

Kahlan pozwoliła im przez chwilę recytować, a potem rzekła:

- Powstańcie, moje dzieci.

Tradycyjne słowa wypowiedane przez Matkę Spowiedniczkę, kiedy ludzie zginali przed nią kolana. Kahlan rzadko przestrzegała tego starego obyczaju.

Teraz jednak dostosowała się do niego.

Po tych słowach ludzie zaczęli się powoli podnosić z klęczek. Byli o wiele spokojniejsi i znacznie bardziej pełni szacunku.

- Matko Spowiedniczko - odezwała się kobieta ubrana w jedwabną jasnoróżową suknię - żądaliśmy, kiedy powinniśmy byli słuchać. Nie mogliśmy mówić w imieniu innych, lecz przepraszam we własnym. Nie wiem, co nas opętało. Nie mieliśmy racji. Ty i lord Rahl zrobiliście dla nas to, czego nie zrobił nikt inny, a na pewno nie żaden z władców, których mieliśmy. Wydostaliście nas z otchłani rozpacz. Powinniśmy wam ufać i mieć świadomość, że zawsze chodzi wam jedynie o nasze dobro.

Kahlan się uśmiechnęła.

- Przeprasiny przyjęte. - Powiodła wzrokiem po tłumie. - Czy jeszcze ktoś podziela te uczucia?

Wszyscy chórem zakrzyknęli, że tak.

Kahlan nie przedłużała chwil niepokoju.

- Cóż, w takim razie niepotrzebnie zebraliśmy ekipy egzekucyjne. Skoro pozostawicie nam prorocтва, obiecuję, że będziemy pracować nad dotarciem do ich prawdziwego znaczenia i że będziemy kierować się nim zawsze, kiedy okaże się to konieczne do jak naj - lepszego chronienia was. Do naszego ostatniego tchu.

Wielu rozszlocha ło się z ulgi, w tym królowa Catherine. Niektórzy znowu padli na kolana i całowali skraj sukni stojącej na podwyższeniu Kahlan. Nie pochwałała tego.

- Wystarczy - napomniała ich łagodnie. - Powstańcie, proszę.

Wszystkim spadł z serca ogromny ciężar lęku. Nikt, nawet królowa Orneta, nie krył wdzięczności za to, że ta próba tak si ę zakończyła. Większość najwyraźniej wstydziała się swojego zachowania.

Kahlan też odczuła ulgę, że jest już po wszystkim.

Ludzie podchodzili do podwyższenia, żeby jej osobiście podziękować za to, że zmieniła zdanie, i zapewnić ją, iż pozwolą jej i Richardowi zajmowa ć się proroctwami, tak jak powinno być. Przeprasza li za swoje zachowanie i obiecywali, że już nigdy nie będą tak roszczeniowi i nierozsądni.

Kahlan łaskawie przyjmowała przeprosiny i obietnice współpracy i dała wszystkim do zrozumienia, że nie chowa urazy.

Kiedy goście w końcu wyszli, Benjamin do łączył do Kahlan, Cary i Nicci stoj ących na podwyższeniu.

- Wspaniała z ciebie aktorka, Matko Spowiedniczko. - Uśmiechnął się Benjamin. - Nawet ja się trochę spociłem, chociaż wiedziałem, co robisz.

Kahlan westchnęła.

- Dziękuję za pomoc, Benjaminie. Ty i twoi ludzie dobrze odegraliście swoją rolę.

Uchroniłeś nas przed prawdziwymi kłopotami, chociaż wolałabym inaczej przekonać ich do współdziałania.

- Zrobiłaś to w ten sposób. Przynajmniej jest już po wszystkim. - Spojrzał na nią ze zdziwieniem. - Jak wpadłaś na coś tak podstępnego?

- Tej sztuczki nauczyłam się od Zedda wkrótce po tym, jak spotkałam



Richarda. - Kahlan kręciła głową, trapiąca niemiłymi myślami. - Ale obawiam się, że to nie koniec.

Jedynie na chwilę załagodiliśmy nastroje. Dzieje się coś, co nie ma nic wspólnego z prawdziwym nastawieniem władców. Znam wielu z nich. To zacni ludzie. Wszyscy stali u naszego boku w najczarniejszych godzinach wojny i walczyli, nie szczędząc sił.

Wielu straciło rodziny. Wszyscy utracili kogoś bliskiego. Wydają się jacyś odmienieni.

Ktoś lub coś nimi manipuluje. Może na chwilę zapobiegliśmy kłopotom, lecz nie ci ludzie są ich przyczyną, więc pewnie to nie koniec problemów.

- Kahlan ma rację - orzekła Nicci. - Ale nawet zacny człowiek może się poddać nastrojowi tłumu i nabrać złych przekonań.

Cara się zachmurzyła.

- A potem wbić ci nóż między zębra.

- Właśnie temu musimy zapobiec - powiedziała Nicci. - Dopóki nie rozumiemy, co się naprawdę dzieje, po prostu reagujemy na sytuację, nie kontrolujemy jej.

Cara westchnęła.

- Miejmy nadzieję, że lord Rahl wkrótce dotrze do sedna.

Kahlan wskazała księgę, którą trzymała Nicci.

- A właściwie co to za księga?

Nicci uniosła tomiszczę.

- Ta? Kiedy przysłałaś wiadomość, że potrzebujesz mojej pomocy i w jakiej sprawie, byłam daleko od biblioteki. Zajrzałam więc do kuchni i chwyciłam tę księgę. To książka kucharska.

- Upiściłaś pyszną przepowiednię - stwierdziła Kahlan.

Nicci uśmiechnęła się chłodno.

- Żałuję, że z taką łatwością nie powstrzymaliśmy tych dwóch kobiet, zanim zabiły swoje dzieci.

- Przynajmniej przeszkadziliśmy w tym złotnikowi - wtrącił Benjamin.

Kahlan przytaknęła.

- Mam nadzieję, że Richard zdołał się od więźniów dowiedzieć czegoś, co nam pomoże.

## Rozdział 23

Richard, wszedłszy do niewielkiego holu, zamknął za sobą dwuskrzydłowe drzwi.

Powiedziano mu, że Kahlan na niego czeka. Pragnął się z nią zobaczyć, być tylko z nią.

Kiedy wszedł do sypialni, spojrzała na niego w lustrze. Siedziała na wyściełanej ławeczce przed toaletką, szciotkując długie włosy.

- I jak poszło z delegatami? - zapytał.

- W końcu zrozumieli, że proroctwa powinni zostawić nam.

Choć był tak zmęczony i strapiony, Richard nie mógł się nie uśmiechnąć na widok błyszczących życiem pięknych zielonych oczu, kiedy Kahlan odłożyła szciotkę, wstała i obróciła się ku niemu.

- Co za ulga. Wiedziałem, że sobie poradzisz. - Objął ją ramieniem w pasie, palcem drugiej dłoni odgarnął jej z twarzy pasmo włosów. - Cieszę się, że się tym zajęłaś. Obawiam się, że tylko bym się zdenerwował i śmiertelnie ich wystraszył. Nie mam twojej cierpliwości do dyplomacji. Jak ich przekonałaś, żeby ustąpili?

- Zagroziłam, że zetnę im głowy.

Richard się roześmiał, uznając to za żart, a potem pocałował ją w czoło.

- Myślę, że ich oczarowałaś i sprawiłaś, że jedli ci z ręki, zanim skończyłaś mówić.

Kahlan spłótła dłonie na jego karku.

- Richardzie, opanowałam ich na pewien czas, ale dzieje się coś więcej, niż sądzimy.

- Nie przeczę.

- Co powiedziała ta kobieta, która zabiła czwórkę swoich dzieci? Richard westchnął, cofnął ramię, którym obejmował Kahlan.

- Że wydarzą się różne okropieństwa, więc zabiła dzieci, żeby im tego oszczędzić.

- Jakie okropieństwa?

- Spytałem ją. Nie potrafiła powiedzieć nic szczególnego. Potem padła trupem, zupełnie jak tamta, która wczoraj próbowała cię zabić.

- Umarła? Tak samo? Po prostu się osunęła martwa?

- Tak. Krótki spazm i umarła, jak napastniczka, którą dotknęłaś swoją mocą. To potwierdza, że jej śmierć nie miała nic wspólnego z działaniem twojej mocy.

Kahlan odwróciła się i zapatrzyła w dal, zamyślona, a Richard rozejrzał się po obszernej komnacie. Kasetony białego sklepienia zdobiły połączone geometryczne wzory. Ścianę za łóżem okrywała miękka, gruba, ciemnobrązowa tkanina. Swobodnie zwieszające się zasłony baldachimu nad łóżem sprawiały, że wysokie narożne słupki rzeźbione w stylizowane sylwetki kobiet wyglądały jak dobre duchy rozpościerające cienkie jak pajęczyna skrzydła. Ozdobne krzesła ustawione naprzeciwko kanapy obito szarzielonym aksamitem.

- Nigdy wcześniej nie byłem w tej komnacie.

- Ja też nie - powiedziała Kahlan. - Miałam ciężką przeprawę z tymi przedstawicielami krain, więc się położyłam i trochę odpoczywałam. Nie miałam już uczucia, że ktoś mnie obserwuje. Może ta komnata jest położona na tyle daleko od poprzednich, że nie znajdą nas tutaj wścibskie oczy i będziemy mogli się wyspać.

- Wykorzystam to - mruknął w zamyśleniu Richard.

Rozglądał się po komnacie, szukając jakiejś wskazówki co do tego, czy ktoś lub coś ich śledzi. Niczego takiego nie wypatrzył.

Komnata była o wiele większa niż tamte, z których wcześniej korzystali. Wysokie szafy, pomalowane białą spękaną już farbą, stały naprzeciwko siebie we wnęce z boku łóża. Przy krzesłach umieszczono wygodną kanapę i niski stolik z półmiskiem suszonych owoców. Richard wziął parę plasterów jabłka i żuł, chodząc wokół komnaty, szukając czegoś, co by nie pasowało do całości, jakichkolwiek oznak kłopotów.

Już i tak mieli ich dość.

Był przekonany, że przedstawiciele krain zechcą się dowiedzieć, dlaczego do nich nie przyszedł. Był też pewien, że Kahlan im powiedziała, iż lord Rahl zajmuje się sprawami, które ich trapią. Pewnie uważają, że ich zlekceważył, że nic go nie obchodzi ich troski. Nie mógł przecież informować ich o wszystkim, co robi, bo na nic innego już by nie miał czasu.

- Jak myślisz, dlaczego to się zaczęło tak nagle? - spytała Kahlan. - I czemu teraz?

- Hmm... - mruknął Richard, zaglądając za parawan - ta kobieta, która

próbowała cię zabić na przyjęciu, nie mówiła zbyt rozsądnie.

- Od kiedy mordercy mówią rozsądnie?

- To był dość nieudolny zamach, nie sądzisz? Obecnie mogło się wydawać, że o włos uniknęłaś śmierci, lecz my wiemy, że niełatwo by cię było zabić w ten sposób.

Gdyby naprawdę chciała to zrobić, postąpiłaby inaczej, by zwiększyć swoje szanse.

- My to wiemy, lecz ona prawdopodobnie nie wiedziała.

- Możliwe.

- Była zdecydowana i zdeterminowana. W końcu dopiero co zamordowała własne dzieci. Pewnie liczyła na element zaskoczenia. Sądziła, że podejdzie i pchnie mnie nożem.

- A może nie.

- Co masz na myśli?

Richard rozchylił zasłony i popatrzył przez lekko wypukłe szybki w dwuskrzydłowych drzwiach. Śnieg przykrywał większość balustrad i prawie całe obrzeża dużych, okrągłych kamiennych donic. Był teraz wilgotny i ciężki. Padał, kłębiąc się szaleńczo, nieustannie pogłębiając zasy i zmieniając kształt białych wydm. Kiedy podmuch wstrząsnął drzwiami, Richard sprawdził, czy są dobrze zamknięte.

- Może tak naprawdę chciała sprawić, żeby ludzie bali się prorocत्व - powiedział. - Żeby bali się wizji, która się jej objawiła, i tych, które miewają inni, żeby bali się przyszłości. Miała wielu widzów. Brudna od krwi dzieci zamordowanych za sprawą tej swojej wizji, wywarła ogromne wrażenie. Może to był właściwy cel tego, co próbowała zrobić.

- To chyba przesada, Richardzie. W końcu jej atak na mnie i to, co wyznała porażona moją mocą, i ta kobieta, do której poszedłeś, Lauretta, i Zapiski kresu - wszystkie mówią dokładnie to samo: „Królowa bije pionek”. To nie brzmi tak, jakby moja niedoszła morderczyni chciała do czegoś nakłonić ludzi. Raczej potwierdza istnienie ważnych przepowiedni, które się spełniają. Ta się spełniła.

Richard odwrócił się do Kahlan, puszczone swobodnie, zasłony zakryły przeszkłone drzwi, uniósł brew.

- Tak to wygląda. Jeśli prorocत्व mówi, że posą się przewróci, i ktoś rozmyślnie go popchnie, żeby przepowiednia się spełniła, to czy naprawdę

można mówić o dopełnieniu się proroctwa? A może ktoś chciał sprawić, żeby wszyscy myśleli, iż proroctwo było prawdziwe?

- W jaki sposób to odróżnisz?

- To niezmienny problem z proroctwami, nieprawdaż? W tym przypadku wygląda jednak na to, że coś się za tym kryje.

Kahlan zgasiła lampę na toaletce, a potem podeszła do nocnego stolika i przykręciła knot stojącej na nim lampy tak, że ledwo się tlił. W komnacie zapanował przytulny półmrok.

- Więc myślisz, że ktoś rozmyślnie się wtrąca, żeby wyglądało na to, że proroctwo się spełniło?

- Prawdę mówiąc, martwię się, że chodzi o coś więcej, niż dostrzegamy, i że właśnie o tym tak naprawdę mówi proroctwo. Sądzę, że według przepowiedni ktoś posłużył się kobietą, która cię zaatakowała. Że przed tym ostrzega nas proroctwo.

Kahlan roztarła zziębnięte ramiona.

- Twoim zdaniem proroctwo nie mówi o tym, co uczyniła - „królowa bije pionek” - lecz ostrzega, że ktoś manipuluje wydarzeniami? Posłużył się nią jak pionkiem?

Richard potaknął.

- Otóż to. Sądzę, że ktoś coś knuje, a proroctwo nas przed tym ostrzega. Lauretta zapisała jeszcze jedno: „Ludzie będą umierać”.

Kahlan spojrzała mu w oczy.

- Ludzie ciągle umierają.

- Tak, lecz w ciągu ostatnich dni wielu zmarło w tajemniczych okolicznościach.

Dwóch żołnierzy, którzy szukali chorego chłopca, znaleziono martwych na targowisku.

Zamordowano sześćcioro dzieci. Umarły ich matki. Jeden z dyplomatów zabił się, skacząc z płaskowyżu. No i ten chłopiec, którego podczas zamieci zaatakowały i pożarły zwierzęta.

- Wszystko to razem świadczy o tym, że to proroctwo kładzie się cieniem na wielu tajemniczych zgonach. - Kahlan pocieszającym gestem położyła dłoń na ramieniu Richarda. - Ale chłopiec to coś innego. Najprawdopodobniej dopadły go wilki. To okropne, lecz nie tajemnicze.

Richard uniósł brew.

- Nie lubię zbiegów okoliczności.

Kahlan westchnęła.

- Nie dopatrujemy si ę w tej śmierci niczego, co czyni łąby ją elementem czego ́ większego, tylko dlatego, że martwi nas to, co się może kryć za pozostałymi zgonami.

Richard potaknął, chociaż się z tym nie zgadzał. Głowa go rozboleła od myślenia o tym wszystkim.

- Powinniśmy się przespać.

Kahlan rozejrzała się po komnacie.

- Nie wyczu łąam, żeby ktoś mi się przygl ądał, a jestem tu ju z jakiś czas. Może się rozbierzemy i położymy jak zwykle?

Richard widział, że Kahlan jest zmęczona. On też był wykończony. Poprzedniej nocy niewiele spali.

- Jasne. Brzmi wspaniale.

Kahlan odwróci łąa się i uniosła włosy, żeby mógł rozpiąć jej sukni ę. Richard zsun ął sukni ę z jej ramion i ka zde ucałował. Cieszyło go, że coś w tak mi ły sposób odwraca jego uwagę od czarnych myśli kłębiących mu się w głowie.

Kahlan wysunęła się z sukni i położyła ją na ławie pod ścianą. Richard przyglądał się jej kuszącemu ciału, kiedy szybko przechodziła przez komnatę do łoża i wsuwała się pod nakrycie. Jego zdaniem nic na świecie nie dorównywało gracją Kahlan.

Podciągnęła kolana i objęła je rękami.

- Richardzie, przestań rozmyślać o prorocctwie z tysiącletniej księgi. Musisz się przespać.

Uśmiechnął się do niej.

- Masz rację.

- To dlaczego tam stoisz? - Kiwn ęła na niego palcem. - Pospiesz si ę i dołącz do mnie, lordzie Rahlu. Zamarzam.

Richarda nie trzeba było prosić dwa razy.

## Rozdział 24

Richard ca łował szyję Kahlan, kiedy usłyszał cichuteńki dźwięk niepasujący do spokojnej sypialni.

Leżąca pod nim Kahlan podparła się na łokciach, łapiąc oddech i patrząc w tę samą stronę komnaty co on.

- Co to? - wyszeptała tak cicho, że ledwo usłyszał.

Richard położył palec na jej ustach, żeby już nic nie mówiła, i wpatrywał się w niewielką niszę, w której stały szafy.

Wyczuwał coś w tej ciemnej alkowie. To coś go obserwowało. Ciężkie zasłony w oknach były zaciągnięte, lecz ich rozsunięcie niewiele by dało: czarna noc tonęła w szalejącej nawałnicy. W komnacie pali ła się tylko jedna lampa, tak mocno przykręcona, że w słabym świetle można było dostrzec jedynie zarysy pękatych szaf. Nie było widać żadnych szczegółów, a już na pewno pozostawało niewidoczne to coś, co było w komnacie i ich obserwowało.

Richard zmrużył oczy, starając się jak najwyraźniej widzieć w przyćmionym świetle, próbując dostrzec ciekawie ciemniejszy od półmroku. Wydawało mu się, że widzi jakiś mglisty zarys.

Kiedy się wpatrywał, czuł, że to coś odwzajemnia jego spojrzenie. Był przekonany, że tym razem - nie tak jak poprzednio - nie tylko czuje spojrzenie, ale i wyczuwa obecność w komnacie.

Obecność czegoś zimnego jak lód. I złego.

Nie miał pojęcia, co to może być. W całym korytarzu byli rozstawieni gwardziści z Pierwszej Kompanii, a oni nie zasypiali na warcie, nie ogarniali ich nuda, nie tracili czujności. To zahartowani w bojach żołnierze, zawsze gotowi stawić czoło zagrożeniu.

Elita d'harańskiej armii. Żaden z nich nie chciałby być tym, który pozwolił, by jakiegokolwiek niebezpieczeństwo choćby przez chwilę zagrażało Richardowi i Kahlan.

Cokolwiek to było, na pewno nie przekradło się obok gwardzistów. To, co Richard widział, przycupnięte w alkowie, było ciemne, niewyraźne i niezbyt duże.

Czekało, nieruchome i ciche, świetnie wpasowane pomiędzy dwie

ciemne sylwetki wysokich szaf.

Richard się zastanawiał, na co właściwie to coś czeka.

Słyszał, jak na zewnątrz wiatr wyje i szarpie drzwiami, a potem cichnie i w komnacie znów panuje spokój. Jedyne dźwięki to oddech Kahlan i cichy syk knota palącej się lampy.

Richard nie wiedział, czy to, na co patrzy, to jedynie ciemniejszy cień, czy też tylko tak się wydaje, bo w komnacie jest tak ciemno, że rozmywają się obrysy mrocznego kształtu.

Cokolwiek to było, było czarne jak smoła.

Cokolwiek to było, patrzyło uporczywie.

Cokolwiek to było, było odpychające.

Richard pomyślał, że przypomina psa zastygłego w bezruchu i obserwującego ich.

Kiedy się tak wpatrywał, starając się widzieć wyraźniej, uświadomił sobie, że - o dziwo - to coś przypomina raczej małe dziecko, może dziewczynkę, zgarbioną, przykucniętą na podłodze, z długimi włosami okalającymi schyloną głowę.

Wiedział również, że to nie może być realne. Mowy nie było, żeby cokolwiek przedostało się do komnaty. A przynajmniej nie sądził, żeby to było możliwe.

Tak czy owak, Richard wiedział, że Kahlan widzi to samo, co on. Czuł szybkie bicie jej serca.

Miecz stał oparty o nocny stolik. On sam leżał pośrodku łóża, splątany z Kahlan.

Broń znajdowała się tuż poza zasięgiem jego ręki.

Wewnętrzny głos nakazywał mu, żeby się nie ruszał.

Później sądził, że to nie był żaden szósty zmysł, lecz po prostu zaniepokojenie tym, że coś przycupnęło w pobliżu i ich obserwuje.

Tak czy owak, bał się poruszyć.

Coś - jeśli rzeczywiście było to coś, a nie zwyczajne złudzenie wywołane grą światła czy wytwór wyobraźni - tkwiło nieruchome jak głaz.

Richard uznał, że głupio się poczuje, jeżeli to coś okaże się tylko cieniem.

Ale cienie się nie przyglądają.

A to coś się przyglądało.

Richard, nie mogąc już dłużej wytrzymać napięcia, zaczął się powolutku



odsuwać od Kahlan, żeby sięgnąć po miecz.

Kiedy się poruszył, to coś zaczęło się prostować, powoli podnosić, jakby w odpowiedzi na jego ruch. Towarzyszył temu cichy dźwięk, potrzaskiwanie, jakby pękły otulone tkaniną patyki. A może bardziej przypominało to trzask kości.

Richard zamarł.

To coś nie.

Wstawało, podnosząc głowę. Richard słyszał ciche, ostre trzaski, jakby to coś było martwe i zeszywniałe i każda kość grzbietu trzeszczała z wysiłku podczas wymuszanego ruchu.

Głowa się unosiła i Richard w końcu zobaczył oczy patrzące na niego gniewnie spod niskiego czoła.

- Drogie duchy - wyszeptała Kahlan. - Co to jest?

Richard nawet nie próbował zgadywać.

To coś nagle, z szybkością błyskawicy, skoczyło ku łóżu.

Richard zanurkował po miecz.

## Rozdział 25

Kahlan kątem oka zobaczyła mknącego ku nim ciemnego stwora. Richard przeturlał się po łożu, przesunął się na jego brzeg i chwycił głównię miecza. Stoczył się z łoża, jednym płynnym ruchem wyszarpnął miecz z pochwy i stanął na podłodze.

Charakterystyczny szcęk Miecza Prawdy rozdarł ciszę niczym przyprowadzający o dreszcz okrzyk wściekłości.

Okręcił się ku pędzącemu ku nim ciemnemu stworowi. Kahlan się uchyliła.

Miecz błyskawicznie zakreślił łuk. Ostrze ze świstem przecięło powietrze i trafiło w smugę mroku.

Ostra jak brzytwa stal cięła przez środek atramentowoczarnej sylwetki.

W tej samej chwili stwór rozwiął się w dym, zatracił kształty, rozpadł się na wirujące części i zniknął.

Richard stał obok łoża, z mieczem w dłoni, ciężko dysząc z gniewu. Na ile Kahlan się orientowała, przyczyny jego gniewu już tu nie było. Słyszała daleki odgłos grzmotu, cichy syk lampy na stole pomiędzy krzesłami a kanapą.

Przesunęła się na łożu ku Richardowi. Rozejrzała się po ciemnej komnacie, starając się dostrzec, czy stwór nie pojawił się w jakimś innym miejscu. Zastanawiała się, czy udałoby się go jej wypatrzyć, gdyby tak było.

- Nie wyczuwam, żeby coś nas obserwowało - powiedziała, nadal przepatrując mrok w poszukiwaniu milczącego zagrożenia.

- Ja też nie. Zniknęło.

Kahlan była ciekawa, na jak długo. Zastanawiała się też, czy to się znowu zniemacka objawi w innym kącie.

- Jak myślisz, co to było? - spytała.

Stała przy Richardzie. Musnęła palcami jego ramię, a potem podkręciła knot lampy.

Richard, nadal palący gniewem trzymanego w ręku miecza, badał wzrokiem każdy zakamarek komnaty wreszcie oświetlonej blaskiem lampy.

- Chciałbym to wiedzieć - mruknął w końcu, wsuwając miecz do pochwy. - Teraz zacznę obserwować każdy cień, nasłuchiwać każdego

dźwięku, martwić się, czy coś naprawdę tu jest, czy to tylko moja wyobraźnia.

- Zupełnie jak wtedy, kiedy byłam mała i myślałam, że pod moim łóżkiem są potwory.

- Jest tylko jeden problem.

- Jaki?

- To nie wyobraźnia płata nam figle. Obydwoje to wyczuwaliśmy. Obydwoje to widzieliśmy. Było tutaj.

- Uważasz, że ten sam stwór obserwował nas poprzednio?

Richard popatrzył na Kahlan.

- Chodzi ci o to, czy moim zdaniem ten wyimaginowany stwór w naszej komnacie jest tym samym wyimaginowanym stworem, który był w naszej sypialni poprzedniej nocy?

Kahlan, chociaż nadal zaniepokojona, nie mogła się nie roześmiać.

- Zabawnie to zabrzmiało.

- Sądzę, że obserwował nas ten sam stwór, czymkolwiek jest.

- Ale przedtem nic nie widzieliśmy. Dlaczego tej nocy się pokazał?

Richard nie znalazł odpowiedzi. Mógł jedynie westchnąć z frustracji.

Kahlan objęła się gołymi ramionami i umościła blisko niego.

- Richardzie, skoro nie wiemy, co się dzieje ani co zagląda do naszej komnaty i nas obserwuje, to jak możemy mieć nadzieję, że to powstrzymamy? Jak w ogóle będziemy mogli spać?

Richard opiekuńczo otoczył ją ramieniem.

- Nie wiem - westchnął z żalem. - Niestety, nie wiem.

Kahlan wpadła na pewien pomysł. Spojrzała na Richarda.

- Pałac osłabia moc Zedda, ale Nathan jest Rahlem. Jego moc tutaj się wzmacnia.

Może mogłby się ukryć w pobliżu albo wprowadzić do komnaty przylegającej do naszej sypialni i spróbować wyczuć, skąd nadciąga to stworzenie, gdzie się czai, kiedy nas obserwuje. Gdyby mu się udało zorientować, gdzie ten ktoś przebywa, mogłby posłać żołnierzy, żeby go ujęli, kiedy ten się zajmie obserwacją.

- Nie sądzę, by to coś dało.

- Dlaczego?

- Bo podejrzewam, że to ma swój początek w pałacu. Jak powiedziałaś,

pałac osłabia moc każdego, kto nie jest Rahlem. Sądzę, że obserwatorzy muszą się znajdować w innym miejscu. Że spoza pałacu przesyłają do naszej komnaty to coś, tę moc czy co to jest.

- Nie ma sposobu, żeby im przeszkodzić? Chcesz powiedzieć, że co noc będziemy musieli znosić to, że ktoś nas ogląda w naszej sypialni?

Kahlan patrzyła, jak napinają się mięśnie Richarda, kiedy ten ze złością zaciska zęby.

- Ogród Życia zbudowano jako pole ograniczające - powiedział wreszcie jakby do siebie. - Ciekaw jestem, czyby nas osłoniło przed wścibskimi spojrzzeniami.

Kahlan spodobał się ten pomysł.

- Pola powstrzymujące tworzone, żeby żadna magia, choćby nie wiem jak potężna, nie mogła się poza nie wydostać ani przez nie wniknąć.

- No to może... - mruknął z namysłem Richard.

Kahlan skrzyżowała ramiona na piersi.

- Wolalabym spać na trawie, w ściworze, jeśli bylibyśmy tam całkiem sami, niż w wielkim miękkim łóżu w komnacie, w której ktoś mi się przygląda.

- Faktycznie - stwierdził Richard. - Więc może powinniśmy tak zrobić.

- Jestem za - ogłosiła Kahlan, wkładając bieliznę.

Richard usiadł na ławie w nogach łóża i zaczął wciągać spodnie.

- Ja też. Ale nie mogę pojąć, dlaczego ktoś lub coś, a może prorocstwo, bawi się z nami w zagadki.

Kahlan wysunęła szufladę i wyjęła część swoich dawnych ubrań podróżnych.

- Może prorocstwo próbuje ci pomóc.

Richard nachmurzył się.

- Co mnie denerwuje - powiedziała ł w końcu, zapinając spodnie i schylając się po koszulę - to że prorocstwa, choć zdają się mówić to samo, wykorzystują odmienne słowa.

Jedne mówią, że dach się zawali, a inne, że niebo runie. Dach i niebo to nie to samo. A przecież oba ostrzeżenia coś łączy: zapowiadają, że coś spadnie. Poza tym dach i niebo mają pewne cechy wspólne.

- Może miały być tym samym, lecz właściwe słowa zagubiono podczas przekładu, więc tekst stał się nieprecyzyjny.

Richard wciągnął but.

- Albo ostrzeżenia o walącym się dachu i spadającym niebie są metaforami.

- Metaforami? - spytała Kahlan, wciągając spodnie na długie nogi.

- Tak, jak królowa bijąca pionek. To najwyraźniej odnosiło się do tego, że porazisz swoją mocą kobietę, która cię zaatakowała. Nazwanie jej pionkiem dało nam do zrozumienia, że ją wykorzystano. Była marionetką. Myślę, że ktoś manipulujący tą marionetką chciał, żeby jej czyn zobaczyli wszyscy zgromadzeni w pałacu przedstawiciele krain.

- Więc twoim zdaniem dach jest metaforą nieba albo na odwrót...?

- To możliwe - powiedział Richard. - No wiesz, jak nazywanie nocnego nieba sklepieniem usianym gwiazdami.

- No to do czego, według ciebie, tak naprawdę odnosi się proroctwo mówiące o spadającym dachu lub niebie?

- Może do tego, że wokół nas zacznie się walić świat, życie. Kahlan się to nie spodobało.

Obydwoje zamarli, słysząc dobiegający z korytarza wrzask przypominający wycie.

Coś ciężkiego uderzyło w dwuskrzydłowe drzwi sypialni. Kahlan przez chwilę myślała, że wylecą z zawiasów, ale wytrzymały.

Ona i Richard stali nieruchomo, wpatrując się w drzwi.

- Co to było? - wyszeptała Kahlan.

- Nie mam pojęcia. - Palce Richarda odnalazły głównię miecza. - Przekonajmy się.

Odrobinę uchylił drzwi, tak żeby mogli wyjrzeć. Wiszące na ścianach lampy z odbłyśnikami oświetlały korytarz i pobliskie odnogi. Przez wąską szparę Kahlan zobaczyła nadbiegających ciężkozbrojnych żołnierzy.

Marmurową posadzkę korytarza plamiły krwawe kałuże i smugi. Pod drzwiami, u ich stóp, leżał wielki czarny pies. Z jego boku sterczały dwie piki. Z kilku innych ziejących ran nadal płynęła krew.

Richard szeroko otworzył drzwi. Teraz łeb martwego psa zwisał z progu.

Podbiegł jeden z oficerów, zauważszy Richarda i Kahlan. Potężnie zbudowany żołnierz przełknął ślinę, łapiąc oddech.

- Wybacz, lordzie Rahlu.

- Co się dzieje, u licha? - zapytał Richard.

- Ten pies biegał korytarzami, warcząc i szczerząc kły na ludzi. W końcu musieliśmy go zabić.

- Skąd się wziął? - spytała Kahlan, stając obok Richarda.

- Sądzymy, że należał do kogoś z targowiska. Kiedy ludzi wprowadzano do wnętrza płaskowyżu ze względu na nawalnicę, musieli zabrać ze sobą zwierzęta. Konie i muły umieszczono w stajniach, ale psy zostały z właścicielami. Myślę, że w tym całym zamieszaniu niektóre zaczęły biegać swobodnie. Ten najwyraźniej uciekł właścicielowi i dotarł aż tutaj.

Richard przykucnął obok martwego psa i przesunął dłonią po szorstkiej sierści.

Nawet po śmierci zwierzę odstaniał zębiska. Poklepał bark psa, zasmucony tym, że zwierzę musiało zginąć.

- Prawdopodobnie uciekł właścicielowi?

- Tak przypuszczam, lordzie Rahlu. Zauważyliśmy go biegnącego po korytarzach, kierował się tutaj. Próbowaliśmy go złapać, ale zrobił się zbyt groźny i musieliśmy go zabić. Wybacz, że was zaniepokoiiliśmy.

Richard zbył to machnięciem dłonią.

- W porządku. I tak właśnie mieliśmy iść do Ogrodu Życia. - Znów pogłaskał czarną sierść. - Szkoda, że biedne psisko musiało tak skończyć.

Chociaż wyjaśnienia oficera brzmiały całkiem sensownie, Kahlan nie mogła myśleć o przepowiedni kobiety, która chciała ją zabić, nie była w stanie wymazać z pamięci jej słów.

„Mroczne stwory prześladowające cię i tropiące. Nie uciekniesz przed nimi”.

## Rozdział 26

Wysoko w Pałacu Ludu Kahlan i Richard, wraz z towarzyszącym im oddziałem żołnierzy, szli przez poszczególne odgałęzienia centralnej części schematu zaklęcia, na którym zbudowano pałacowy kompleks. Owe odgałęzienia, kreślące zawiłą formułę, ściągały moc ku Ogrodowi Życia.

Buty żołnierzy stukwały o wypolerowane granitowe posadzki i dźwięk odbijał się echem od wielkich kamiennych płyt pomiędzy czarnymi kolumnami stojącymi pod ścianami szerokich korytarzy. Każda z wypolerowanych płyt, pokryta koronką wielobarwnych krystalicznych żyłek, wyglądała jak dzieło sztuki.

Oprócz żołnierzy idących z Richardem i Kahlan rozlokowano w korytarzach już spore siły. Ta część pałacu zawsze była porządnie chroniona i niedostępna dla niepowołanych.

Richard zatrzymał się przy wielkich drzwiach, przez chwilę patrzył na wyrzeźbione wzgórza i lasy. Zdobienia drzwi były pokryte złotem.

Ogród Życia stworzono jako pole powstrzymujące każdy rodzaj niebezpiecznej magii, z której ewentualnie trzeba by skorzystać. Chroniło również osoby posługujące się ową mocą przed niegodziwym działaniem. Za pozłaczanymi drzwiami rzucano najniebezpieczniejsze zaklęcia, jakie zdołał wymyślić człowiek. Owe wspaniałe wrota - jak wiele innych rzeczy w pałacu - miały przypominać o pięknie i potędze życia osobom parającym się potencjalnie śmiertelnością magią.

Ogród był również świadkiem najważniejszych wydarzeń w życiu Richarda. To tutaj przyprowadzono go w najgorszej chwili.

I tutaj odniósł największe zwycięstwa.

Kahlan delikatnie dotknęła jego pleców i zrozumiał, że Matka Spowiedniczka musi wiedzieć, o czym on myśli.

Wreszcie otworzył skrzydło ciężkich wrót. Gwardziści zajęli posterunki w korytarzu, a Richard i Kahlan weszli sami do Ogródu Życia.

Spowił ich intensywny aromat kwiatów, którymi obsadzono brzegi ścieżki prowadzącej ku sercu ogrodu. Dalej niewielkie drzewa tworzyły lasek rosnący przed obrosniętym pnączami kamiennym murkiem. Za nim znajdował się niemal okrągły trawnik. Pierścień trawy przełamywał klin

białego kamienia, na którym ustawiono granitową płytę podtrzymywaną dodatkowo przez dwa niskie żłobkowane postumenty.

Wysokie sklepienie z szybek w ołowianych ramkach wpuszczało do ogromnej komnaty światło dnia. Nocą widać było przez nie gwiazdy, a Richard zawsze czuł się wtedy mały i samotny.

Tej nocy za szybkami nic nie było widać. Richard zauważył, że szkło pokryła gruba warstwa śniegu. Kiedy błysnęło, dostrzegł, że miejscami wiatr zwał śnieg, zostawiając tylko cienką powłokę, przez którą przedostawało się światło błyskawicy, lecz gdzie indziej, po zawietrznej, śniegu było tyle, że tłumiał nawet błysk piorunów. Przez ogród poniósł się grzmot i ziemia zadrżała pod ich stopami.

Richard zapalił kilka pochodni na obrzeżach trawiastego kręgu, a potem usiadł z Kahlan na niskim kamiennym murku, na skraju niewielkiego wewnętrznego lasku.

Razem patrzyli przez zieloną przestrzeń przypominającą łąkę.

Kiedy ujął jej dłoń, Kahlan drgnęła.

- Co się stało?

Kahlan uniosła rękę i rzuciła na nią okiem.

- Jest trochę obolała, to wszystko.

Richard zauważył, że zadrapania na grzbiecie dłoni Kahlan obrzmiały i zrobiły się ognście czerwone. Zadrapania na jego ręce też były zaczerwienione, ale nie tak mocno. Odwrócił jej dłoń, żeby się im przyjrzeć w blasku pochodni.

- Wygląda gorzej.

Kahlan cofnęła rękę.

- Wkrótce się zagoją. - Roztarła ramiona, bo było chłodno, i zmieniła temat. - Nie czuję, żeby ktoś nam się przyglądał. A ty?

Richard rozejrzał się po rozległej komnacie i przez chwilę nasłuchiwał cichego syku pochodni.

- Ja też nie.

Zauważył, że Kahlan jest taka śpiąca, że oczy się jej same zamykają. Podejrzenie, że ktoś ich obserwuje, nie tylko nie pozwalało im spać, ale i sprawiało, że jeśli już udało się im zdrzemnąć, spali niespokojnie. Objął ją i przyciągnął do siebie. Kahlan przytuliła się do niego i położyła mu głowę na ramieniu.



Richard pomyślał, że powinni rozłożyć śpiwory i się przespać. Lubił przebywać wśród drzew. Przypomina ło mu to czasy, kiedy sypia ł pod gwiazdami. Przywodzi ły mu na myśł hartlandzkie lasy i jego pierwsze spotkanie z Kahlan.

- Znowu w lesie - mruknęła sennie.

- Właśnie. - Uśmiechnął się Richard.

- Dla odmiany coś miłego.

Też tak myślał. Nad szklanym stropem szalała burza, ale warstwa śniegu chroniła ich przed tym widokiem. Blask pochodni o świetłał sklepienie od spodu i Richard widział ściekające po szybach strumyczki, a więc śnieg przeszedł w deszcz ze śniegiem, a może nawet w sam deszcz. To zwykle zapowiadało koniec wiosennej zawieruchy. Niekiedy była to najgwałtowniejsza część burzy, z niszczycielskimi porywami wichru i błyskawicami.

- Myślisz, że wytrzyma? - zapytała Kahlan.

Spojrzał na nią i stwierdził, że patrzy na przeszklony strop. Miejscami zasy były spore. Deszcz ubijał śnieg, przez co robił się on o wiele cięższy.

- Nie wiem. Nie wiem, jaki ciężar udźwignie szkło.

- Tak właśnie myślałam... - powiedziała cicho, na wpół do siebie. - Zastanawiam się, czy w przeszłości kiedykolwiek pękł. Niebezpiecznie byłoby się pod nim znaleźć, gdyby miał się zawalić.

Gdyby dach runął.

Oprawne w ołów szybki były tutaj dachem.

Gdyby niebo runęło.

W Ogrodzie Życia przeszklone sklepienie było niczym niebo.

Richard wstał. Zrozumiał dwa z pozoru różne proroctwa. W rzeczywistości były jednym.

- Myślę, że powinniśmy stąd wyjść.

- Masz rację. Nie podoba mi się wizja, że całe to szkło na nas spadnie.

W tej samej chwili uderzył piorun - oślepiający błysk i ogłuszający grzmot. Richard osłaniał Kahlan przed rażącym blaskiem, lecz nie umknęło mu, że metalowa konstrukcja podtrzymująca szybki połyskuje i niebezpiecznie trzeszczy.

Szkło popękało, zewsząd leciały odłamki. Jeden trafił Richarda w bark, inny wbił mu się w udo. Kolejny drasnął ramię Kahlan.

Piorun uderzył w metalową siatkę, która popękała, i środek stropu natychmiast się zawalił pod ogromnym ciężarem mokrego śniegu. Błyskawica wybiła drogę ku podłozu komnaty.

W tej samej chwili, kiedy masa śniegu zwała się z takim impetem i hukiem, że zadrzała cała komnata, kolejny piorun wpadł przez wybity otwór i uderzył w ziemię.

Upadek zwałów śniegu i piorun trzaskający w podłozie wywołały falę uderzeniową, która rozbiegła się po komnacie, gasząc pochodnie.

W ciemności Richard usłyszał głośny, zgrzytliwy jęk - to kamień pękł i zaczął się rozpadać.

## Rozdział 27

Pochylili się, żeby uniknąć fruujących wokół odłamków. Zasłonili uszy, chroniąc się przed ogłuszającym hukem gromów i pękającego kamienia. W nieustających rozbłyskach błyskawic Richard obejrzał się przez ramię i zobaczył, jak zapada się podłoga pośrodku komnaty.

Wielkie granitowe bloki rozsuwały się z jękiem i zapadały. W powiększający się otwór leciała trawa, ziemia i warstwa żwiru - jak przesypany się piasek w klepsydrze.

Kiedy wreszcie przestały spadać szklane odłamki, Richard spojrzał w górę i w blasku błyskawic zobaczył poszarpaną wyrwę w stropie, okoloną powyginanymi fragmentami ciężkiej metalowej konstrukcji. Na szczęście większość sklepienia wytrzymała. Widoczne fragmenty świadczyły o tym, że budowniczowie wzmocnili je tak, żeby wytrzymało wszystko poza najrządziej się pojawiającymi zagrożeniami. W końcu wznosiło się tam tysiące lat. Lecz wreszcie zdarzyła się niemal nieprawdopodobna kombinacja: śnieg, strasznie ciężki od zimnego deszczu, i uderzenie pioruna - i tego już szklane sklepienie nie wytrzymało.

Wiatr wpadał przez dziurę; wirujący śnieg z deszczem szalał po komnacie, wpadał w ziejącą czeluść w podłodze.

Richard - nieufnie wypatrujący w górze kawałków szkła, które mogłyby na nich spaść - wyciągnął szkło z nogi i odrzucił na bok. Pospieszenie wyjął z plecaka krzesiwo i skałkę i zapalił pochodnię w pobliskim metalowym stojaku. Martwiąc się, że ludzie pod zawałoną podłogą odnieśli rany lub nawet zginęli, pospieszył ku wyrwie, chociaż ziemia i piach nadal leciały w ciemną otchłań.

Kahlan chwyciła go za rękaw.

- Richard! Nie podchodź tam. Reszta pod łogi może się zawalić i spadniesz razem z nią.

Wyciągnął pochodnię ze stojaka i starał się jednak zajrzeć w dół. Płomień kołysał się w podmuchach wiatru wpadającego do komnaty przez dziurę w stropie. Richard się pochylił, zaglądając pod przeciwległe obrzeże wyrwy. Wyglądało to tak, jakby podłóżce Ogrodu Życia podtrzymywały łuki znajdującego się pod nim sklepionego stropu.

- Chyba już po wszystkim. Moim zdaniem piorun na tyle uszkodził konstrukcję podtrzymującą komnatę, że ciężar spadającego śniegu zniszczył najsłabszy punkt, ale wydaje się, że reszta jest stabilna. Widzisz? Błyskawica trafiła w najcieńszą część sklepienia pomiędzy dwoma mocnymi łukami.

Kahlan ostrożnie przysunęła się do Richarda.

- Jesteś pewien?

- Najzupełniej. - Richard przykucnął i opuścił pochodnię, usiłując zobaczyć, co jest pod spodem.

Nie było tam pałacowej komnaty, jak się spodziewał.

- Spójrz. - Wskazał lewą część wyrwy. - Schody.

Kahlan zmarszczyła brwi i trochę mocniej się wychyliła.

- Tu nie było żadnego wejścia na schody.

- Masz rację. Wygląda na to, że niegdyś znajdowały się tu schody prowadzące do Ogrodu Życia, ale je zasłonięto.

- To bez sensu - stwierdziła Kahlan. - Tę komnatę z rozmysłem zbudowano jako pole powstrzymujące. Po co miano by ją potem zamykać od spodu? A skoro to pole powstrzymujące, nie mogło tu być schodów. Wejście na nie osłabiłoby pole.

- Może to bez sensu, ale właśnie tak jest.

- Chyba że pod spodem też rozciąga się pole powstrzymujące - kontynuowała Kahlan, jakby myśląc na głos. - Albo kiedyś tak było.

Richard ostrożnie się przysunął. Reszta pod łogi, podtrzymywana przez łuki, wydawała się stabilna.

- Może niegdyś schody prowadziły do Ogrodu Życia, ale teraz kończą się na podeście. Widzisz? Nie sięgają na samą górę. Chcę tam zejść.

Kahlan pokręciła głową.

- Podest jest za daleko, żeby zeskoczyć.

Richard wstał, trzymając pochodnię. Chwilę się rozglądał, po czym wskazał coś.

- Tam jest szopa, w której ogrodnicy trzymają narzędzia. Drzewa trzeba przycinać, żeby się nie rozrastały, więc musi tam być drabina.

Kiedy otworzył drzwi szopy, faktycznie zobaczył drabinę. Podał Kahlan pochodnię. Drabina była ciężka, ale dał radę sam ją udźwignąć.

Kiedy dotarł do wyrwy, opuszczał drabinę, póki nie oparła się o podest.

Na tyle wystawała ponad podłogę, że można się jej było mocno chwycić.

Richard spojrział w nieregularną wyrwę w szklanym stropie. Płatki śniegu nadal spadały, ale wiatr słabł. Widział prześwit w chmurach, a w nich gwiazdy. Burza się uciszała.

- Poczekaj tutaj - powiedział do Kahlan, ruszając w dół.

- Też coś - mruknęła.

- To przynajmniej zaczekaj, a ż zejść na podest i sprawdzę, czy schody są bezpieczne.

Na to Kahlan się zgodziła. Stała na skraju wyrwy - stopę opierała na świeżo odśloniętym kamiennym bloku, w rękę trzymała pochodnię - i patrzyła, jak Richard schodzi po drabinie. Kiedy podniósł na nią wzrok, poluzowane granitowe g łązy na obrzeżach wyrwy skojarzyły mu się z rzędem krzywych zębisk - jakby zsuwał się w gardziel kamiennego potwora.

Kiedy znalazł się na pode ście, miejsce wokół niego rozjaśniło się niesamowitym zielonkawym blaskiem rzucanym przez zbli żeniową sferę osadzoną w żelaznym wsporniku. Richard już widywał te prastare urządzenia. Używano ich między innymi do oświetlania rozmaitych sektorów Pa łacu Ludu i wn ętrz Wieży Czarodzieja. Wygl ądały jak twarde kawały szkła, lecz zamknięto w nich starożytną magię, toteż zaczynały lśnić, kiedy zbliżył się do nich ktoś mający dar.

Wyjął masywną szklaną kulę ze wspornika, a ta zaślniła mocniej.

Kahlan zeszła po drabinie.

- Przynajmniej nie musimy nieść pochodni.

- Rzeczywi ście - zgodził się Richard, patrząc zmrużonymi oczami w ciemno ść. - To nie ma sensu.

- Co?

Omiótl pajęczyny.

- Spodziewa łem się, że tu, pod spodem, będzie komnata lub jakiś sektor pałacu, a wygląda na to, że nikt tu nie zagładał od tysiąca lat. A może dłużej.

Kahlan powiodła wzrokiem po grubych warstwach kurzu na ścianach.

- O wiele dłużej.

Richard ruszył w dół po schodach, ostrożnie omijając kamienie i sterty ziemi i piachu pokrywające stopnie. Kahlan, z d łonią na jego ramieniu, szła za nim, równie ż omijając rumosz.

U stóp długiego ciągu schodów dotarli do przejścia na zewnętrznym

skraju pomieszczenia. Ściany zbudowano z granitowych bloków, strzeliste łuki tworzyły sklepienie - wszystko to podtrzymywało centralną część Ogrodu Życia. Ciemny kamień, brudny i zwietrzały, wyglądał na bardzo stary. Richard pomyślał, że do tego miejsca od tysiącleci nie dotarło światło.

Środkowa część podłoga nie była płaska, wyrzuszała się, tworząc kopułę z szerokich kamiennych żeber, pomiędzy którymi umieszczono zwykłe kamienne bloki.

To zmusiło ich do przejścia zewnętrznym skrajem pomieszczenia. Kopułę pokrywał rumosz, który spadł z góry, lecz większość zsunęła się pod ścianę i zablokowała jedyną drogę. Richard zaczął okrążyć pomieszczenie, wdrapując się na sterty rumoszu. Kahlan ruszyła w przeciwnym kierunku, wspinając się na wielkie kamienie.

Pomieszczenie zdawało się służyć wyłącznie do wspierania konstrukcji Ogrodu Życia. W pałacu były i inne pomieszczenia służące jako podpory dla fundamentów lub niewidocznych kolumn podtrzymujących, sprzężeń i belek, toteż Richard nie widział w tym nic dziwnego.

Zastanawiał się jednak, czy gdyby istotnie tak by było, to odciętoby dostęp z Ogrodu Życia. Wyglądało na to, że schody powyżej podestu, na którym stała drabina, rozebrano. Ponieważ ta część podłogi ogrodowej komnaty się zapadła, nie było już sposobu, by się dowiedzieć, czy kiedykolwiek można było stąd wejść do ogrodu.

Richard podejrzewał, że mogło tak być jedynie podczas budowy, a później wejście zapieczętowano.

- Tutaj! - zawołała Kahlan. - W rogu są spiralne schody prowadzące w dół.

## Rozdział 28

Richard, schodząc po trójkątnych stopniach, wyciągnął przed siebie jarzącą się kulę. Brakowało poręczy, przez co schodzenie w mrok nie było zbyt bezpieczne, zwłaszcza że mnóstwo piachu i ziemi z podłoża Ogrodu Życia spadło też na te spiralne schody. Musiał miejscami przystawać i odsuwać stopą rumosze, żeby mogli bezpiecznie przejść.

Schodzili coraz niżej w ciemność, aż wreszcie schody doprowadziły ich do mrocznego, zupełnie cichego pomieszczenia. W blasku kuli można było jedynie zobaczyć, że skromne, pozbawione ozdób pomieszczenie zbudowano z kamiennych bloków. Richard nie dostrzegł ani drzwi, ani innych otworów. Znajdowało się tam tylko coś, co wyglądało na stojący pośrodku kamienny blok.

- Do czegoż mogło służyć to miejsce? - spytała Kahlan.

Richard, rozglądając się, kręcił głową.

- Nie wiem. Może to po prostu dawny magazyn.

- Odcinanie dostępu do magazynu nie miałoby sensu.

- Raczej nie - przyznał Richard.

Kahlan miała rację. Do tego pomieszczenia chyba nigdy nie było swobodnego dostępu.

Kiedy wszedł w głąb, zaczęły się jarzyć zbliżeniowe kule osadzone w uchwytach na ścianach. Zanim okrążył pomieszczenie, rozjarzyły się - choć słabo - wszystkie cztery kule. Każda rozjarzała się mocniej, kiedy się do niej zbliżał, i przygasiała, gdy się oddalał. Ich blask na tyle rozjaśniał mrok, że mogli coś zobaczyć.

Richard, rozglądając się za czymś, co by mu podpowiedziało, do czego mogło służyć to miejsce, tylko omiótł wzrokiem dziwny kamienny blok tkwiący pośrodku.

Pomyślał, że może pozostał tu po budowie pałacowych murów. Dziwne było jedynie to, że stał dokładnie pośrodku, jakby go pieczołowicie ustawiono. Na ile mógł się zorientować, blok do niczego nie służył.

Płatki śniegu wpadały nawet tutaj, mieszały się z kłębami kurzu, który wzbili. Nad nimi nadal szalała burza, lecz porywy wichru tu nie docierały. Unoszące się w powietrzu płatki śniegu migotały w przytłumionym blasku

zbliżeniowych kul.

Pospieszne oględziny pomieszczenia potwierdziły, że nie ma tu drzwi. Nie było też innych stopni ani żadnych otworów. Prowadziły tu jedynie spiralne schody, którymi zeszli.

To pomieszczenie sprawiało, że Richardowi jeżyły się włoski na karku, chociaż nie wiedział dlaczego.

Cichy, zastygły pokój sprawiał wrażenie zbudowanego specjalnie po to, żeby można go było zapieczętować i zapomnieć. Ale dlaczego ktoś miałby odcinać dostęp do pustego pomieszczenia?

Kahlan przysunęła się do Richarda.

- Coś tutaj budzi zimny dreszcz.

- Może dlatego, że to ślepa uliczka. Nie ma stąd innego wyjścia poza schodami, którymi zeszliśmy.

- Może. Z całą pewnością nie chciałabym tu utknąć. Nikt by mnie tu nie znalazł.

Dlaczego zapieczętowali to pomieszczenie jak grobowiec?

Richard pokręcił głową. Też nie wiedział.

Niemal się spodziewał, że zobaczy na podłodze kości, ale niczego takiego nie było. W niższych sektorach pałacu znajdowały się krypty, ale Ogród Życia mieścił się na samym szczycie. Poza tym grobowce były okazałe, budowano je przecież ku czci zmarłych. Żaden nie był taki opuszczony i zapomniany.

Richard rozejrzał się uważniej i dostrzegł coś pod przeciwległą ścianą. Pomyślał, że może to wąski kamienny występ, może blok wystający trochę bardziej niż pozostałe.

Przysunął kulę i pochylił się, żeby lepiej widzieć. Zmiotł z powierzchni warstwę kurzu i granitowych okruchów i stwierdził, że to niewielkie metalowe paski ułożone w schludne stosiki.

Wziął jeden pasek i obejrzał w blasku kuli, próbując odgadnąć, co to jest i do czego służy. Był nieco dłuższy od jego środkowego palca i tak miękki, że z łatwością mógł go wygiąć. Wszystkie paski wyglądały identycznie. Ułożone ciasno i równo, pokryte kurzem i brudem, wyglądały jak część ściany, jak kamienny występ.

Kahlan też się nachyliła, żeby się lepiej przyjrzeć.

- Jak myślisz, co to jest?

Richard rozprostował metalowy pasek i odłożył na miejsce.



- Nie ma na nich żadnych znaków. Wyglądają na zwyczajny metal.

Kahlan powiodła wzrokiem po ścianie.

- Są ułożone wokół pomieszczenia. Muszą ich być dziesiątki, może nawet setki tysięcy. Do czego mogły służyć i dlaczego je tu schowano?

- Pewnie je tu zostawiono i zapomniano o nich. Albo je tu ukryto.

Kahlan zmarszczyła nos.

- Po co ukrywać zwyczajne metalowe paski?

Richard mógł jedynie wzruszyć ramionami. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy są tu jeszcze jakieś wskazówki co do przeznaczenia pokoju. Pomieszczenie wydawało się niczemu nie służyć. Przesunął brzegiem buta po podłodze. Była to kamienna posadzka, pokryta kurzem, pewnie tysiącletnim, i okruchami zwiertzałego granitu ze ścian. Chociaż Richard wiedział - na podstawie tego, co widział na górze - że strop powinien być łukowato sklepiony, to sufit był płaski: podwieszany, niegdyś pewnie otynkowany, a teraz miał tę samą ciemną, brudną barwę co ściany.

Obskurne pomieszczenie - pomijając stosiki metalowych pasków i dziwny kamienny blok po środku - niczym się nie wyróżniało. No, może jeszcze tym, że donikąd nie prowadziło. Gdyby podłoga Ogrodu Życia się nie zawaliła, nie byłoby do niego dostępu. Gdyby nie runęła część stropu, pewnie pozostałoby nieodkryte przez kolejnych parę tysięcy lat.

Kahlan wodziła palcami po ścianie, szukając jakichś wrytych na niej napisów lub ukrytego przejścia, Richard zaś zainteresował się kamiennym blokiem. Co dziwne, kamienna posadzka kończyła się przed nim, pozostawiając wokół niego wąski pasek ziemi. Blok sięgał Richardowi nieco powyżej pasa. Gdyby on i Kahlan stanęli naprzeciwko siebie i wyciągnęli nad nim ręce, ich palce by się nie zetknęły. Nie potrafił zgadnąć, co to może być ani co to tutaj robi.

Richard przykucnął wśród wirujących w powietrzu płatków śniegu, przysunął do bloku jarzącą się kulę, żeby lepiej widzieć, i przesunął dłoń po bocznej ścianie monolitu.

Ścierał kurz i brud nagromadzone przez wieki. Metalowa powierzchnia była skorodowana i brudna, przez co upodobniła się do kamienia, ale już nie miał wątpliwości, że to metal. Tam, gdzie Richard przesunął dłoń, połyskiwał w blasku kuli.

- Spójrz na to.

Kahlan obejrzała się przez ramię.

- Co to?

Richard stuknął pięścią. Chociaż blok wydawał się ciężki, głuchy odgłos wskazywał na to, że jest pusty.

- To jest metal. I spójrz tutaj.

Podniósł kulę, żeby Kahlan lepiej widziała. Z boku bryły widniał niewielki podłużny otwór zaczynający się u góry i biegnący w dół. Tkwiło w nim kilka tych tajemniczych metalowych pasków.

Kahlan wyjęła jeden z nich i przyjrzała mu się. Zdaniem Richarda nie było na nim żadnych znaków, podobnie jak na tych leżących pod ścianą. Oczyszczył kolejny fragment bocznej powierzchni.

- Jest tu jakiś symbol albo coś w tym rodzaju. Trudno powiedzieć co to.

Z głuchym łupnięciem, od którego zadrżała ziemia, a oni aż się wzdrygnęli, ze środka górnej powierzchni bryły wystrzeliło światło. Kurz z rowka pomiędzy metalowym monolitem a kamienną posadzką wzbił się w nieruchome powietrze.

Obydwoje cofnęli się o krok.

- Co zrobiłeś?

- Nie wiem - odparł Richard. - Pocierałem dłonią, żeby oczyścić to z brudu i przyrzeć się temu znakowi z boku.

W środku bryły rozległ się niski, mechaniczny jęk. Metal tarł o metal, wydając nieprzyjemny zgrzyt. Dźwięk - niczym obracających się ciężkich przekładni - narastał, jakby machina budziła się do życia. Richard i Kahlan odsunęli się jeszcze trochę, nie wiedząc, co począć.

Nagle słup światła zmienił barwę na bursztynową.

Richard pochylił się i zobaczył, że blask bije z niewielkiego otworu. Zauważył, że to samo dzieje się po drugiej stronie. Obiegł bryłę i starł brud z metalowej powierzchni.

Wyłobienie - szerokie na dwie dłonie, lecz krótkie - zakrywała płytka grubego szkła, tworząc niewielkie okienko w górnej ścianie tej metalowej skrzyni.

Szkło było grube i nierówne, ale dzięki światłu bijącemu z wnętrza Richard mógł zajrzeć do środka. Przekonał się, że całą skrzynię wypełniają zębatki, koła, dźwignie i ruchome części tworzące skomplikowaną maszynę.

Niektóre przełączniki i wałki napędzające mniejsze elementy były niewielkie, grubości małego palca Richarda. Z kolei podstawki większych wałków musiały ważyć tysiące funtów, a wraz ze wspartymi na nich zębatkami pewnie o wiele więcej. Średnica niektórych zębatek przewyższała Richarda, ich zęby były szersze od jego dłoni.

Spajająca to wszystko konstrukcja porażała nie tylko ogromem, ale i stopniem złożoności.

Powierzchnie wewnętrznych elementów maszyny były zardzewiałe i powgniatane. Trące o siebie zęby przekładni wyglądały na wypolerowane do połysku.

Rdzawy pył - rezultat niezliczonych wieków bezruchu - był teraz ścierany i unosił się we wnętrzu metalowej skrzyni, tworząc rudawą mgłę.

Richard usiłował ją przebić wzrokiem, ale nie mógł zobaczyć dna skrzyni. Trudno było coś dostrzec przez te wszystkie wymyślne, skomplikowane ruchome części, okazałych rozmiarów dźwignie, wałki grubości nadgarstka i masywne koła zębate - lecz mignęły mu kolejne elementy mechanizmu, o wiele niżej, bardzo głęboko, aż w końcu nie widział już tego, co znajdowało się dalej. We wnętrzu maszyny unosiło się tyle kurzu i rdzawego pyłu, że zdawała się wypełniona dymem.

Richard się odsunął, żeby Kahlan też mogła zajrzeć przez małe okienko. Przy okazji zauważył kolejny otwór w ścianie skrzyni, na lewo od szybki. Schylił się, przysuwając doń jarzącą się kulę. Otwór był po prostu wąskim rowkiem. Leżało w nim parę metalowych pasków.

- Spójrz, Richardzie. - Kahlan wskazała strop.

Światło bijące z małego otworu na górnej powierzchni skrzyni rzutowało na sklepienie jakiś symbol. Obracał się powoli zgodnie z ruchem wewnętrznych zębatek.

Richard, patrząc w okienko, zobaczył, że przekładnie i koła ustawiają nad snopem światła otwory w metalowych płytach, dzięki czemu rozmaite znaki układają się w jeden symbol na stropie. Inne zębateki obracały cały układ, przez co znak na suficie powoli wirował.

- To ten sam symbol, co na bocznej ścianie.

- Skąd to światło? - spytała Kahlan.

- Pewnie to coś w rodzaju blasku zbliżeniowych kul.

Richard chodził wokół maszyny, usuwając skorupę narosłą w trakcie jej

długiego snu. Na każdej ścianie widniał ten sam symbol - taki jak rzutowany na sufit i obracający się powoli nad ich głowami.

Wpatrywał się w ten rysowany światłem znak i nagle go rozpoznał.

- Drogie duchy - wyszeptał ledwo słyszalnie.

## Rozdział 29

Kahlan przeniosła spojrzenie z zatroskanej twarzy Richarda na jarzący się symbol, rysowany liniami bursztynowego światła i wolno obracający się na suficie.

- Rozpoznałeś to, prawda?

Richard potaknął, patrząc na skomplikowany świetlny znak.

- Regula.

Kahlan nie spodobało się to słowo. Stwierdziła, że je pamięta. W zamyśleniu zmrużyła oczy, starając się przypomnieć sobie, gdzie je słyszała. W końcu jej się to udało.

- Regula jak tytuł tej książki, którą przeglądaliśmy w bibliotece?

- Otóż to - przyznał Richard. - Ten symbol był na jej grzbiecie.

- Racja - potwierdziła ze zdumieniem. - Teraz sobie przypominam.

Richard skupił się na studiowaniu świetlnego symbolu nad ich głowami, a Kahlan przycisnęła pulsującą bólem dłoń do brzucha. Było gorzej niż wcześniej tej nocy, zanim zobaczyli stwora obserwującego ich w sypialni. Tak bolało, że omal nie zapłakała.

Wreszcie ból się zmniejszył. Odetchnęła.

Miała o wiele gorsze rany i czuła większy ból, więc się zbytnio nie niepokoila.

Raczej ją to irytowało. Wiedziała jednak, że nawet niewielkie zadrażnienia mogą dać początek poważnemu zakażeniu, więc pomyślała, że poprosi Zedda, żeby rzucił na to okiem, zanim się pogorszy. Powinien to uleczyć.

Richard w przeszłości wykorzystywał swój dar do uzdrawiania, lecz nie mógł tego robić mocą własnej woli, jak inni czarodzieje. A przynajmniej nie w ostatnich przypadkach. Jego dar był nie tylko o wiele potężniejszy od daru Zedda, Nicci czy Nathana, ale i objawiał się w jedyny w swoim rodzaju sposób. Być może dlatego, że Richard był czarodziejem wojny, moc budziła się w nim w razie palącej potrzeby czy potężnego gniewu. Zadrapanie, choćby coraz bolesniejsze, do tego nie wystarczało.

Lepiej, żeby Zedd na to spojrział.

Lecz były ważniejsze sprawy - przedstawiciele krain niepokojący się

dziwnymi przepowiedniami; stwór obserwujący ich w sypialni, który zniecał zaatakował; a teraz osunięcie się podłogi Ogrodu Życia i odkrycie tego, co pod spodem. Powinna była pokazać rękę Zeddowi, póki miała czas.

- Wiesz, co oznacza Regula? - spytała Richarda.

Ten, nie odrywając spojrzenia od symbolu na suficie, przytaknął.

- Tak, ale trochę ę trudno to dokładnie przetłumaczyć. W górnod'harańskim regula oznacza „przywrócić ład”, „wyregulować”.

- To brzmi dość zwyczajnie.

Szare oczy Richarda wreszcie spojrzały na Kahlan.

- Może, lecz tak nie jest. Dokładne znaczenie jest o wiele bardziej złożone, niż na to wskazuje ten prosty przekład.

Kahlan przez chwilę patrzyła Richardowi badawczo w oczy.

- A mógłbyś mi to lepiej wytłumaczyć?

Richard przecesał włosy palcami, najwyraźniej się zastanawiając, jak to ująć.

- Chyba najlepiej powiesz, że regula to rodzaj niezależnej siły kontrolującej... - Skrzywił się, szukając właściwych słów. Wreszcie je znalazł:

- Działająca jako najwyższa władza.

- Najwyższa władza?

- Tak. Przypomina to prawa natury regulujące świat istot żywych.

Kahlan się to nie spodobało.

- Skoro ten symbol jest również w księdze, to może ona pomogłaby się nam zorientować, o co chodzi. A może nawet co to tutaj robi.

- Całkiem możliwe - przyznał Richard, znowu wpatrując się w świetlne linie. - Jest jednak pewien problem.

- Jaki?

- Ten symbol jest odwrotnością tego z grzbietu księgi.

Kahlan pokręciła głową. Dla niej było to niemal nie do pojęcia: zbiór małych kótek i drapni ęc kurzym pazurkiem we wnętrzu okręgów, trójkątne połączenia elementów oraz inne osobliwe wzory, których nigdy przedtem nie widziała.

- Skąd w ogóle wiesz, że to ten sam symbol? Skoro jest tak zawiły, to jak możesz mieć pewność, że naprawdę jest taki sam, na dodatek w lustrzanym odbiciu?

Richard spojrzał na nią.

- Bo częściowo rozumiem mowę symboli. Wiele zaklęć to w gruncie rzeczy idee wyrażone za pomocą wzorów, a nie słów. Symbole, nawet takie, których nigdy wcześniej nie widziałem, zapadają mi w pamięć. Dzięki temu w przeszłości rozwiązałem wiele spraw. Ta jest dla mnie w dużej mierze nowością. Chociaż elementy wydają się dziwnie znajome.

Kahlan westchnęła, odruchowo sięgając po jeden z metalowych pasków z otworu w pobliżu szklanego okienka. Coś na nim przykuło jej uwagę. Ze zdziwieniem zauważyła, że na pasku są jakieś znaki. Uniosła go i dokładniej się przyjrzała.

Zdumiała ją to, co zobaczyła.

- Spójrz. - Richard nachylił się ku paskowi, który Kahlan odpowiednio ustawiła w świetle. - Ten tutaj nie jest gładki.

Richard wziął od niej pasek i dobrze się przyjrzał linijce symboli wypalonych w metalu.

- Każdy jest inny - powiedział jakby do siebie.

Kahlan zajrzała w szczelinę, z której wyjęła pasek.

- Są tam jeszcze dwa. - Sięgnęła po nie, rzuciła na nie okiem i podała Richardowi.

Obejrzał je kolejno, badawczo się im przez chwilę przyglądając.

- Następne symbole. Inne. Na każdym pasku są charakterystyczne znaki. Spójrz, na tym jest ich cała linijka, a na tym spod spodu jest ich tylko parę.

Kiedy machina zaczęła bardziej hałasować, jakby się włączyły dodatkowe przekładnie. Richard pochylił się i zajrzał w wąskie okienko. Kahlan zobaczyła, jak na jego twarzy grają świetlne zarysy ruchomych elementów.

- Widzę, jak wciąga metalowy pasek z dna stosu po drugiej stronie. Dostaje się do maszyny i przesuwają w dół.

Kahlan przysunęła głowę do Richarda, starając się zobaczyć to, co opisywał. Na dole, wśród przekładni, dźwigni i wałków, niewielki chwytak trzymał koniec metalowego paska. Chwytnak był przymocowany do dużego koła, które obracając się, ciągnęło za sobą pasek i przenosiło na prowadnicę, gdzie układ dźwigni go przesuwają, póki nie ujął go następny chwytak.

Kahlan i Richard odrobinę się odchyliłi, kiedy w głębi maszyny błysnęło silne, biało-pomarańczowe światło. Kątem oka dostrzegła, jak jaskrawy świetlny punkt tańczy po metalowym pasku. Bijąca z głębi skupiona wiązka

poruszała się z oszalamiającą prędkością, lecz w precyzyjnie kontrolowany sposób. Blask był tak jaskrawy, że Kahlan widziała poruszający się biały punkt przeświecający przez metal w miejscu, gdzie od spodu uderzała węć wiązka światła.

Kiedy pasek zatoczył krąg wraz z kołem, przejął go kolejny mechanizm i obrócił tak, że wypalony od spodu symbol znalazł się na wierzchu. W doskonale dobranym punkcie przekładni chwytak się otworzył i dźwignia na zębatce tak ustawiła pasek, żeby przepchnąć go przez szczelinę z boku maszyny.

Kahlan usłyszała, jak metal wpadł do pojemnika.

Obydwoje cofnęli się od okienka i spojrzeli na siebie.

- Widziałaś?

Kahlan potaknęła.

- Trudno było nie zauważyć.

Richard wziął z pojemniczka metalowy pasek. Natychmiast rzucił go na wierzch skrzyni i pomachał dłonią, a potem dmuchnął na palce. Przez chwilę popychał paznokciem rozgrzany metal, pozwalając mu ostygnąć, a potem ostrożnie podniósł pasek i wpatrzył się w wypalony na nim niewielki symbol.

- No a ten? Rozpoznajesz go? - zaciekała się Kahlan.

Richard z niepokojem wpatrywał się w znak.

- Nie mam pewności. Nie jest dokładnie taki sam, ale bardzo podobny.

- Bardzo podobny do czego? Co to jest?

Richard spojrzał na nią.

- To symbol ognia.



## Rozdział 30

Korytarz przed Ogrodem Życia wypełniały setki ciężkozbrojnych gwardzistów.

Wszyscy byli - delikatnie mówiąc - bardziej niż zdenerwowani. Kahlan uświadomiła sobie, że musieli słyszeć, jak piorun uderza w Ogród Życia. Zapewne słyszeli też, jak pęka i sypie się szklane sklepienie. Z całą pewnością zastanawiali się, co się, u licha, dzieje za drzwiami.

Mogli się nawet obawiać, że to jakiś magiczny atak, więc stali w pogotowiu, na wypadek gdyby im kazano bronić pałacu.

Wiedziała jednak, że pomimo niepokoju żaden z nich, nawet Mord-Sith, nie ośmieliłby się wejść do Ogrodu Życia, kiedy przebywał tam lord Rahl, jeśli sam by ich nie przywołał.

Ponura mina i wysunięta szczęka Richarda, kiedy wymaszerowała z Ogrodu Życia, tylko utwierdziły ich w przekonaniu, że właściwie postąpili, pozostając na zewnątrz.

Do ogrodu regularnie wchodził jedynie ogrodnicy, pielęgnujący trawę, kwiaty, krzewy i drzewa. Wyłącznie najbardziej zaufanym osobom z pałacowego personelu pozwalano pracować w ogrodzie. A nawet ich cały czas obserwowali podczas pracy oficerowie z Pierwszej Kompanii.

Podczas wojny - kiedy nieustannie coś im groziło, a w Ogrodzie Życia zamknięto niebezpieczne magiczne przedmioty obdarzone potężną mocą - nawet ogrodnikom nie wolno było tam wejść i zająć się roślinami. Ogród zdziczał i zarósł, zaczął niesamowicie, wręcz upiornie wyglądać, co pasowało do ponurych nastrojów mieszkańców pałacu.

Kiedy wojna się skończyła, trzeba było mnóstwa pracy, żeby przywrócić mu wspaniały wygląd.

Kahlan czuła jednak, że prace dobiegają końca i że Ogród Życia znowu stanie się niedostępny dla wszystkich z wyjątkiem tych, którym lord Rahl pozwoli tam wejść.

W historii D'Hary Ogród Życia był miejscem, w którym lord Rahl od czasu do czasu uprawiał najpotężniejszą magię. Bywało, że stawał się bramą prowadzącą w zaświaty.

Dla większości ludzi magia stanowiła tajemnicę i dlatego ogromnie się

jej bano.

Kahlan wiedziała, że magia może być cudowną, zachwycającą, wspianą afirmacją życia. Lecz знаła też inną jej stronę - mroczną i niebezpieczną. Zwykli ludzie znali magię wyłącznie jako tajemnicze zagrożenie. Dla D'Haran lord Rahl był tarczą chroniącą przed niebezpieczeństwami magii. Żołnierze byli stalą przeciwko stali. Oddaliby życie, gdyby zaszła taka konieczność. Lecz to do Richarda jako lorda Rahla należały wszystkie związane z magią sprawy.

Wyglądało na to, że Ogród Życia znowu stał się sceną działania groźnej magii.

Nyda stała przed szeregami żołnierzy. Skrzyżowała ramiona na piersiach i patrzyła na zbliżających się Richarda i Kahlan. Mord-Sith była w czerwonym skórzanym uniformie. Miała paskudny nastrój, ale w przypadku Mord-Sith nie było to nic niezwykłego.

- Co się dzieje? - spytała.

Richard, mijając ją energicznym krokiem, chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą, a do dowódcy żołnierzy przemówił:

- Nikomu nie wolno tam wejść. Nikomu. Rozumiesz?

Dowódca przyłożył pięść do serca.

- Oczywiście, lordzie Rahlu.

I natychmiast wyznaczył strażników, którzy stanęli przy drzwiach, a potem rozmieścił żołnierzy w korytarzach i na ich skrzyżowaniach. Pospiesznie ruszyli na stanowiska, wypełniając hol tupotem i szcękaniem stali.

Richard pochylił się ku Nydzie.

- Idź po Berdine. Przeprowadź ją do biblioteki.

Nyda, którą nadal ciągnął za ramię, wskazała w dół.

- Chodzi ci o tę bibliotekę pod nami, w której pracowała?

- Tak. Znajdź ją i przyślij tam. Potem znajdź mojego dziadka i też go sprowadź.

Przeprowadź też Nicci, Nathana i Carę.

- Wszystkich? Teraz? W środku nocy?

- W środku nocy - potwierdził Richard.

Nyda wychyliła się zza Richarda i spojrzała na Kahlan.

- Co się dzieje?

- Dach się zawalił.

## Rozdział 31

Kahlan siedziała na bibliotecznym krześle, trzymając na kolanach pulsującą bólem dłoń. Pracowała z Richardem nad przekładem paru ustępów z książki napisanej w mało znanym języku, który akurat znała. Z trudem skupiała wzrok. Richard potrzebował jej pomocy przy paru odsyłaczach w księdze, którą czytał z Berdine.

Kahlan ziewnęła i podniosła oczy, bo usłyszała tumult - to Zedd energicznie wkraczał przez drzwi w przeciwnym końcu komnaty. Szaty kościstego czarodzieja najwyraźniej z trudem za nim nadążały. Richard tylko na moment oderwał wzrok od książki, w której lekturze był zatopiony.

Kahlan wróciła do pracy, od czasu do czasu zerkając kątem oka na Zedda kroczącego zdecydowanie po złoto-błękitnych dywanach. Jego twarz, wykrzywiona w ponurym grymasie, co chwilę nikała w cieniu pomiędzy lampami wiszącymi na kolumnach przy końcach rzędów półek.

- Do licha, Richardzie, co się dzieje?

- Nie musisz się tak wyrażać. Musiałem się z tobą zobaczyć, to wszystko.

Zedd zatrzymał się po drugiej stronie ciężkiego mahoniowego stołu. Skromna szata wreszcie go dopędziła i zawirowała mu wokół nóg. Przyjrzał się twarzy Kahlan, szukając jakiejś wskazówki co do natury problemu, a potem przeniósł wzrok na Richarda.

- Mam dobry powód, żeby się wyrażać. Masz pojęcie, jakie to uczucie zostać zbudzonym w środku nocy przez Mord-Sith?

Kahlan spojrzała na balkonowe okna. Nie zobaczyła nic poza ciemnością. Ranek wciąż był daleko. Wiedziała, że nie będą mieć okazji, żeby choć trochę się przespać.

Przynajmniej burza się skończyła.

Richard nie odrywał oczu od książki.

- Tak się składa, że wiem. Czy obudziła cię Agielem?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Więc uwierz mi, nie masz się na co skarżyć.

Zedd wsparł się pod boki. Znowu rzucił okiem na Kahlan i powściągnął język. Jego głos złagodniał.

- Co się dzieje, chłopcze?

- Zdarzył się wypadek.

Zedd przez chwilę patrzył gniewnie na wnuka.

- Jaki wypadek masz na myśli? Kucharz przypalił sos? Tego rodzaju wypadek?

- Nie do końca - westchnął Richard, odchylając się na oparcie krzesła i patrząc na dziadka. Kahlan widziała frustrację w szarych oczach. - Znaleźliśmy coś pod Ogrodem Życia.

Zedd przekrzywił głowę.

- Co to znaczy „znaleźliśmy”? Jak?

- Dach się zawalił.

- Dach...

Znowu spojrzął na Kahlan. Nawet się nie uśmiechnęła. Zedd obejrzał się przez ramię, bo do biblioteki wpadł Nathan, a za nim Nicci, Cara, Benjamin i Nyda.

- Co się dzieje? - pytał grzmiącym głosem Nathan z połowy komnaty.

- Wygląda na to, że zawalił się dach nad Ogrodem Życia - oznajmił Zedd.

- Jeszcze nie wiem, co chłopak zrobił, że to się stało.

- Ja?! Nic nie...

- Czyli potwierdziła się fragmentaryczna przepowiednia - stwierdził Nathan. - Ale nie wydaje się to aż tak ważne. Przynajmniej nie na tyle, żeby nas budzić w środku nocy.

Richard skrzyżował ramiona na piersi i odczekał, aż obaj czarodzieje umilkną.

Kiedy spojrzeli na niego niewinnie, czekając na wyjaśnienia, i miał pewność, że będą milczeć, przemówił:

- Chodzi o coś jeszcze. Szklany strop pokrywały zwały ciężkiego, mokrego śniegu. Kiedy wszystko runęło, wylądowało na środkowej części podłoża Ogrodu Życia.

Ciężar, impet uderzenia i piorun spowodowały, że zapadła się podłoga. - Richard ze znużeniem przesunął dłoń po twarzy. - Pod spodem jest pomieszczenie, które wygląda tak, jakby nikt tam nie wchodził od tysiący lat.

Zedd oparł dłonie na stole i pochylił się z gniewną miną.

- W tym pomieszczeniu najwyraźniej musi być coś, co cię skłoniło do wysłania Nydy, żeby nas obudziła w środku nocy.

- Najwyraźniej.

- Co twoim zdaniem może tam być? - zwrócił się do Zedda Nathan.

- Skąd mam to wiedzieć?

Nicci spojrzała gniewnie na czarodziejów.

- Może tak pozwolilibyście mu dokończyć?

Zedd skrzywił się z irytacją.

- W porządku. Cóż tam znalazłeś?

Berdine nachyliła się i poklepała księgę, którą studiowała z Richardem.

- Lord Rahl mówi, że to przemawia w tym języku.

Nathan i Zedd aż zamrugali ze zdumienia.

- To? - spytała Nicci. - O czym ty mówisz? Co masz na myśli?

- Tak, co masz na myśli? - zawtórował Nathan.

- Berdine lubuje się w dramatycznych efektach. - Richard posunął po stole metalowy pasek w stronę dziadka. Metal przesunął się po mahoniowym blacie, migocząc w blasku lampy. - W drugim pomieszczeniu pod Ogrodem Życia stoi machina zapisująca symbolami takie paski.

Zedd patrzył ze zdumieniem.

- Machina...?

Nathan przekrzywił głowę, łypiąc na metalowy pasek.

- Machina wypisująca symbole?

- Tak. Uważam, że to rodzaj języka. To właśnie miała na myśli Berdine, kiedy oznajmiła, że „to mówi”.

Zedd odgarnął do tyłu niesforne pasmo falistych siwych włosów.

- Machina... - Bardzo ostrożnie podniósł metalowy pasek.

Zmarszczył krzaczaste brwi, wpatrując się w rząd znaków. Nathan zaglądał mu przez jedno ramię, Nicci przez drugie. Cara, Benjamin i Nyda patrzyli z boku.

- Co to za symbole? - pytał Zedd. - Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Richard uniósł księgę, żeby zobaczyli jej grzbiet. Nie miał radośniejszej miny niż dziadek.

- To symbole z Reguli.

Zedd zerknął na księgę, jakby była zdradzieckim szpiegiem samego Opiekuna.

- Musiała być akurat ta.

- Niestety - mruknął Richard.

Zedd wskazał księgę.

- Trochę znam górnod'harański, lecz nie spotkałem się ze słowem reguła.  
Co oznacza?

- Niezawisła władza zaprowadzająca.
- Niezawisła władza - nastroszył się Zedd.

Nathan uniósł brew.

- Richard oględnie to przetłumaczył.
- Nad wyraz - dodała cicho Nicci.

Kahlan milczała, martwiąc się, co też ta machina, Reguła, miałyby „regulować”.

Wszystko w tej maszynerii - rozmiary, stopień złożoności, sposób, w jaki skupioną wiązką światła wypalała na metalowych paskach wieści w starożytnym języku, a zwłaszcza to, że ją ukryto i zabezpieczono na wieki, ona zaś nadal działała - sprawiało, że żołądek skręcał się jej w supeł.

Nathan wziął od Zedda pasek, żeby mu się lepiej przyjrzeć, a Zedd znów wskazał księgę.

- A co ona ma wspólnego z paskami?

- Uważam, że jest tym, czym od razu wydała się Berdine: słownikiem, swego rodzaju podręcznikiem. Pozwala odcyfrować symbole i zrozumieć, co jest napisane na paskach.

- Dobrze się składa, że ją mamy - stwierdził Nathan ostrożnie, jakby chciał zaznaczyć, że to nie takie proste. - I co udało ci się z niej wyczytać?

Richard przez chwilę wpatrywał się przed siebie, najwyraźniej mając opory przed wypowiedzeniem tego na głos.

- Obawiam się, że nic.

Nathan jeszcze bardziej się nachmurzył.

- Wydawało mi się, że powiedziałaś, iż księga umożliwia odcyfrowanie symboli?

- Tak sądzę. Ale nie potrafimy tego zrobić.

Dziadek Richarda mocniej zmarszczył brwi.

- Co to znaczy „nie potrafimy”? Gdyby księga była słownikiem, to powinno być dość proste.

- Wiem - powiedział cicho Richard. - Ale tak nie jest.

## Rozdział 32

Zedd znowu zerknął na metalowy pasek, który oddał mu Nathan. Przymrużył oczy i obracał go w świetle lampy. Wreszcie z westchnieniem się poddał.

- Powiadasz, że te symbole wypisuje machina, którą znaleźliście? Jaka maszyna potrafiłaby zrobić coś takiego?

- To wielka, prostokątna metalowa skrzynia. - Richard machnął ręką. - Niemal tak duża jak stąd do końca stołu. Jest w niej oszklony otwór, więc można zajrzeć do środka.

Jest pełna najrozmaitszych sprzęgniętych ze sobą przekładni i dźwigni. Patrząc w dół, widzisz, że sięga w głąb o wiele dalej, niż to się wydaje z zewnątrz. Nie stoi na ziemi, lecz wynurza się z niej.

Zedd popatrzył na leżącą na stole otwartą księgę.

- Czy na podstawie tej księgi możesz w ogóle cokolwiek powiedzieć o znakach, które wypisuje machina?

- Cóż, skoro symbole są swego rodzaju językiem, tak jak na przykład karczmarz może mieć na szyldzie wyrysowany kufel piwa, a kowal przybitą do bramy podkowę, to oznacza, że wzory na paskach coś nam mówią, tyle że jest to zawiłe. Niektóre z symboli są znajome, lecz całe mnóstwo nie przypomina żadnych znaków, jakie wcześniej widziałem. Ponieważ te same symbole pojawiają się w księdze, uważam, że musi ona być pomocna w odcyfrowywaniu zapisków na metalowych paskach.

- Właśnie to ma na myśli Berdine, twierdząc, że „to mówi”? - zapytała Nicci.

Richard potaknął. Postukał w księgę, patrząc znacząco na stojącą przed nim trójkę.

- Ta księga, Regula, nazywa symbole mową Początku.

- W tej chwili to przesadne założenie - odezwał się Nathan. - Zwłaszcza że księga nie pozwala rozszyfrować symboli, choć tak zakładasz.

- Wiem, że może to tak wyglądać, lecz uważam, że spisano ją właśnie w tym celu.

Nie zmienia tego fakt, że jeszcze nie doszedłem do tego, jak z niej korzystać. Po prostu brakuje mi klucza pozwalającego dotrzeć do ukrytych w



niej tajemnic.

Zedd odwrócił wzrok od Richarda i jeszcze raz spojrzął na metalowy pasek, który trzymał w ręce. Na koniec powiedział cichym głosem zabarwionym nutą niepokoju:

- Rozpoznaję parę elementów tych symboli.

- Z Wieży Czarodzieja. - Richard pokiwał głową.

- A więc są podobne do znaków na ścianach Wieży i oznaczają konkretne rzeczy?

- Coś w tym rodzaju, ale nie do końca. To bardziej złożone.

- Jak to może być bardziej złożone? - dopytywał się Nathan. - Jeżeli symbol coś oznacza, na przykład czaszka i skrzyżowane piszczele wskazują na śmiertelne zagrożenie, to właśnie o to chodzi. Jak mo że kryć się za tym coś jeszcze?

- Uważam, że tak naprawdę liczy się to, w jakiej kombinacji są wypisane symbole - powiedział Richard. - Na podstawie tego, co zrozumiałem z tej książki, wynika, że te piktogramy same w sobie nie są prostym symbolicznym odwzorowaniem, jak kufel czy podkowa albo kości i czaszka. To prawda, że niektóre z nich są odrębnymi symbolicznymi jednostkami, ale myślę, że nie w takim znaczeniu ich tutaj użyto.

Studiując książkę, zrozumiałem, jak połączono te proste elementy w bardziej złożone obrazy, co uczyniło z nich nie tyle pojedyncze pojęcia, ile części złożonego języka.

Uważam, że symbole nabierają nieco innego znaczenia w zależności od tego, jak się je połączy. Ten - Richard postukał w leżący na stole metalowy pasek - jest najprostsz.

Różni się od innych. To symbol oznaczający jedną rzecz, jeśli dobrze zrozumiałem. Nie jest połączony z żadnym innym, więc uważam, że nie chciano zmodyfikować jego wymowy. I dlatego ma konkretne znaczenie. Machina chciała powiedzieć dokładnie to i tylko to.

Zedd z niedowierzaniem łypnął na wnuka.

- Co machina chciała powiedzieć? W takim razie cóż to oznacza? Co takiego machina chciała powiedzieć, jak to ująłeś?

- Ogień.

Zedd znów się nachmurzył.

- Ogień?

- Tak, to symbol ognia. Z jakiejś przyczyny nie radzę sobie z tłumaczeniem za pomocą księgi, ale wiem, co oznacza ten znak, bo widziałem go przedtem w sieci weryfikującej zakłęcie Chainfire. Pamiętacie?

Nicci skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Świetnie pamiętam.

Zedd burknął, że on też aż za dobrze pamięta.

- Dlaczego machina napisała „ogień”, jeśli w tym przypadku symbol na pewno to oznacza?

- Nie wiem - przyznał z westchnieniem Richard. - Miałem nadzieję, że wy troje zejście na dół, przyjrzyście się maszynie i spróbujecie się domyślić, z czym mamy do czynienia. Może jest to tylko jakaś ciekawostka z odległej przeszłości, lecz jeżeli nie, chciałbym to wiedzieć. Z pewnością zasila ją magia. Może któreś z was już się zetknęło z tego rodzaju mocą i ją rozpozna.

- Skąd wiesz, że zasila ją magia? - zapytał Nathan.

Richard wzruszył ramionami.

- A cóż innego? Z całą pewnością nie napędza jej koło wodne. Bijący z wnętrza blask przypomina ten, którym jarzą się zbliżeniowe kule. Mam nadzieję, że któreś z was wie coś o magii wykorzystywanej przez maszynę, a może nawet jaki miała czy ma cel.

Martwi mnie to, że maszyna znajduje się w samym sercu pałacu, pod Ogrodem Życia, w środku skomplikowanego zakłęcia, na którym zbudowano pałac.

Zedd obracał w palcach metalowy pasek, wpatrując się weń nieufnie.

- No dobrze - powiedziała wreszcie. - Rzucimy na nią okiem. Udało ci się dowiedzieć z księgi, co mogą oznaczać inne symbole na paskach?

- Jak dotąd wiem tylko, że części rozmaitych znaków powinno się łączyć i że ich rząd to coś więcej niż suma elementów. Tak przynajmniej powiada objasnienie w górnod'harańskim: linijka złożonych części składowych tworzy mowę.

- Mowę Początku - stwierdził kwaśno Zedd.

- Tak. Dlatego uważam, że błędem byłoby interpretować każdy z osobna. Kiedy się tego próbuje, zatracają się właściwe znaczenie wynikające z ich kombinacji. Owe linie symbolicznych inskrypcji są mową Początku. Tyle że nie mogę dojść, jak je rozszyfrować.

Zedd machnął metalowym paskiem.

- Powiadasz, że te linie symboli trzeba czytać łącznie, jak wyrazy w zdaniu, wtedy niosą jakąś informację lub opowiadają historię?

Berdine spojrzała na Richarda, unosząc brew.

- Drogie duchy, czyż to nie cud? Chyba wreszcie zaczął słuchać!

Zedd ją zignorował.

- Skoro nie zrozumiałeś nic z książki, to nawet nie potrafisz zgadnąć, co mogą oznaczać dłuższe zestawienia symboli.

Richard przez chwilę stukał czubkiem pióra w stół.

- Tego się obawiam.

## Rozdział 33

Nicci, bardziej zaniepokojona niż Zedd i Nathan, nie była tak jak oni sceptyczna czy lekceważąca. Kahlan wiedziała, że Nicci nauczyła się ufać Richardowi i wierzyć weń głęboko, na swój sposób, i że nic tym nie może zachwiać. Kahlan, rzecz jasna, jeszcze bardziej wierzyła Richardowi, jako że bezwarunkowo go kochała. Z kolei Zedd go wychowywał, toteż lepiej niż Nicci wiedział, że można mu ufać, lecz jako opiekunowi trudno mu się było do tego zaufania przyznać lub powstrzymać się od dokładnego przepytывania wnuka, żeby mieć absolutną pewność.

Nicci nie potraktowała lekko żadnego słowa Richarda, toteż drążyła:

- Dlaczego księga się nie sprawdza? Czego brakuje?

Richard westchnął.

- Nie wiem.

Nicci to nie zadowoliło.

- Musiałeś się czegoś dowiedzieć.

Przesunął dłonią nad otwartym tomem.

- Z tego, co wiem, wynika, że powinna funkcjonować jak słownik, ale tak nie jest.

Wraz z Berdine kręcimy się w kółko i do niczego nie dochodzimy. W zasadzie księga mówi: „jeśli te elementy połączysz w taki sposób, to rysunek będzie oznaczał to i to”.

Lecz kiedy zastosujesz te zasady, rząd symboli daje jakieś bzdury. Za nic nie potrafię zrozumieć, dlaczego to nie działa.

Zedd lekceważąco skinął ku księdze.

- Być może Regula w rzeczywistości nie ma nic wspólnego z maszyną, choć tak przypuszczasz, lub ich związek nie jest tak znaczący, jak zakładasz. W końcu maszyna pozostawała w ukryciu przez niezliczone wieki, a pochodzenia księgi nie znamy, brakuje w niej połowy stron, więc jak możesz mieć pewność, że naprawdę istnieje pomiędzy nimi bezpośredni związek?

Richard wzruszył ramionami.

- To proste. - Przewrócił strony do początku i obrócił księgę ku dziadkowi. - Symbol zajmujący całą pierwszą stronę jest taki sam jak ten na

grzbiecie. Określa, czym jest księga, czego dotyczy. Taki sam symbol widnieje na wszystkich czterech bokach maszyny.

- Taki sam symbol jest na księdze i na maszynie?

Richard potwierdził skinieniem głowy.

Zedd przez chwilę nad tym rozmyślał.

- Masz jakąś wskazówkę co do tego, co ów symbol oznacza?

- Obawiam się, że nie.

Poruszony Zedd chodził jakiś czas tam i z powrotem.

- To jest na maszynie? Taki sam rysunek? Dokładnie to samo w każdym szczególe?

- Dokładnie to samo - powiedział Richard. - Cały symbol, każda linia, motyw, szczegół. Próbowałem to rozszyfrować za pomocą księgi, ale nic sensownego nie uzyskałem. Powinno się udać, a nic z tego nie wyszło. - Postukał palcem w środek rysunku. - Ten znak pośrodku wygląda na stylizowaną dziewiątkę.

Zedd patrzył z nieszczęśliwą miną.

- Faktycznie.

- Dlaczego w środku znaku miałyby być dziewiątki? - spytała Kahlan.

Dziwiło ją, że tyle tajemniczych elementów miało w samym centrum dziewiątkę. A już szczególnie nie podobało się jej to, że górna część cyfry wyglądała jak łeb węża.

Kahlan nie cierpiała węży.

Zedd spojrzał przelotnie na zawity symbol.

- Dziewięć to ważny element inicjujący. Zespala wiele magicznych zasad mocno oddziałujących na wydarzenia. Między innymi używa się go w magii osłaniającej.

Dziewiątkę tworzą trójki: trzy trójki to dziewiątka. Nadają im moc, czynią z nich element procesu stwarzania. - Zedd pokręcił palcem nad rysunkiem. - Pewnie stąd ten trójkąt, który to otacza. Są trzy boki. Powiadam ci, Richardzie, wielokrotnie śc trójek często oznacza kłopoty.

- Jak troje dzieci nieszczęścia? Złe wieści nadchodzące trójkami? Coś w tym rodzaju?

Zedd przytaknął.

- Uważam, że stąd się wzięły te porzekadła. Te trzy symbole na wierzchołkach trójkąta to elementy wspierające strukturę sieci. Pomagają ją zespolić z

dziewiątką, żeby wzmocnić połączenie, nadać mu większą moc.

- Domyślasz się, co by to mogło oznaczać?

Zedd podrapał się w policzek.

- Nie mam bladego pojęcia.

Nicci pochyliła się i obrysowała palcem symbol, nie dotykając go.

- Widzisz, że dziewiątka w środku jest zakończona haczykiem?

Spokojnie weszła w rolę nauczycielki, którą niegdyś była dla Richarda, jego mentorką w posługiwaniu się darem. Okazało się to daremnym wysiłkiem, lecz nie z winy Nicci. Po prostu dar Richarda był jedyny w swoim rodzaju. Ponieważ nikt nie rozumiał, jak i dlaczego działa, nikt też nie mógł go nauczyć, jak zeń korzystać.

Po leciutkiej zmianie w zachowaniu Nicci Kahlan się domyśliła, że czarodziejka coś wie o znaku pośrodku symbolu. Nie wątpiła, że Richard także to podejrzewa.

- I co?

- Co ci mówi ten haczyk? Co sugeruje? Skąd takie zakończenie?

- Haczykowata dziewiątka jest czymś więcej niż zwykła - myślał na głos Richard. - Ma na celu szczepienie czegoś lub przyczepienie do czegoś.

- Jest tu z konkretnego powodu - ponaglała Nicci.

- Łączy to wszystko, cokolwiek to jest. - Zedd z irytacją powiódł palcem wokół symbolu.

- Lub przyczepia do nosiciela - stwierdziła Nicci.

Richard oderwał wzrok od ryciny.

- Nosiciela?

Nicci pochwyciła jego spojrzenie.

- To ten, dla kogo jest to przeznaczone. Nosiciel. Ma je mocno szczepić. No a co oznacza haczyk?

- Symbolizuje po prostu hak? - Richard bacznie śledził podsuwane mu wskazówki, chociaż jeszcze nie potrafił uchwycić ich znaczenia.

- Co Zedd powiedział o tej cyfrze?

Richard spojrzął przelotnie na dziadka, a potem znowu na Nicci.

- Że to element inicjujący.

- I co ci to mówi?

Richard odparł brodę na czubkach palców, spoglądając na odwróconą dziewiątkę w księdze.

- To ma sens - powiedziała jakby do siebie. - To ma związek z Początkiem. Zwińnięta dziewiątka przypomina embrion...

- A haczyk? - spytała znowu Nicci tak cicho, że Kahlan pojęła, że zwraca się wyłącznie do Richarda.

- Dziewi ątka to początek, to życie - szeptał Richard. - Życie to cykl. Narodziny, żywot, śmierć. Życie i śmierć. Początek potrzebuje końca, żeby umożliwić życiu nieustanne odradzanie się. Śmierć musi towarzyszyć narodzinom.

Nagle podniósł wzrok.

- Haczyk to śmierć.

W komnacie zaległa głucha cisza.

Richard wpatrywał się w oczy Nicci.

- Haczyk symbolizuje śmierć, Opiekuna zaświatów, który nieustannie czyha, żeby zniszczyć życie.

Kahlan dostała gęziej skórki.

Błękitne oczy Nicci jaśniały zadowoleniem, że Richard to pojął.

- Bardzo dobrze, Richardzie.

Kiedy tak czarodziejka i czarodziej patrzyli sobie w oczy, miało się wrażenie, że są sami w komnacie, że nikt inny nie istnieje. Kahlan się zastanawiała, czy nawet Zedd jest świadomy wszelkich niuansów znaczenia tego symbolu, jakie Nicci właśnie ukazała Richardowi.

Uśmiech Nicci zniknął.

- Nie podoba mi się to, Richardzie. Ani trochę. Ludzie nie zadają sobie tyle trudu, nie poświęcają czemuś tyle wysiłku tylko po to, żeby to potem pogrzebać... chyba że spowodowało to ogromne kłopoty. Potwierdzają to komponenty powiązane z mrocznymi mocami, umieszczone pośrodku wzoru.

Zaintrygowany Richard przez chwilę wpatrywał się w symbol.

- Czemu dziewiątka jest odwrócona?

Wszyscy się pochylili i patrzyli, jakby widzieli to po raz pierwszy. Nathan się zachmurzył, nie potrafiąc tego wyjaśnić. Nicci pokręciła głową, woląc nie snuć domysłów.

- Odwrócona? - powtórzył Zedd, patrząc na symbol.

- Tak. Cały symbol jest odwrotnie.

- Dobrze pytanie - stwierdził Zedd. - Po prostu uznałem, że tak miało być.

Ale skoro już o tym wspomniałeś, faktycznie wygląda to na lustrzane odbicie.

Richard długo wpatrywał się w rysunek. Nagle spojrzał na dziadka.

- Lustrzane odbicie... otóż to! - Zerwał się na równe nogi. - Zedd, jesteś genialny!

- Cóż, sam to wiem. - Czarodziej przekrzywił głowę. - Ale... jak właściwie tym razem przeszedłem samego siebie?

- Właśnie pomogłeś mi zrozumieć, jak działa księga. Dałeś mi klucz otwierający wszystkie zamki! - Richard spojrzał na Berdine. - Na odwrót. Wszystko w księdze jest lustrzanym odbiciem.

- Na odwrót? - skrzywiła się Berdine.

Richard przytaknął, a potem spojrzał na dziadka.

- Zasady, które stosowaliśmy, nie sprawdzały się, toteż z tłumaczenia nic nie wychodziło. Powinno być stosunkowo łatwo przetłumaczyć komponenty, żebyśmy zaczęli rozumieć język z pasków, lecz przekład nie był prawidłowy. Pomogłeś mi zrozumieć dlaczego.

Zedd łypnął podejrzliwie.

- No więc?

- To sztuczka mająca skrywać informację. - Richard opadł na krzesło. - Wszystko jest odwrócone, bo machina właśnie tak widzi symbole.

- Co rozumiesz przez to, że „machina tak widzi symbole”? - spytała Nicci.



## Rozdział 34

Zedd pomachał ręką, chcąc pierwszy zadać pytanie.

- Jak to „na odwrót”? Co jest odwrócone?

- Symbole w księdze - powiedział Richard. Uniósł tom, żeby pokazać Kahlan znak na grzbiecie. - Jest taki sam jak te, które wyryto na machinie. Pamiętasz?

- Tak. - Kahlan nie rozumiała, do czego on zmierza. - Wszystkie są jednakowe: te po bokach maszyny, ten z pierwszej strony książki i ten z grzbietu. Ponieważ są takie same, musiano je z rozmysłem tak narysować, bo są elementem mowy Początku.

Dlaczego uważasz, że są odwrócone?

- Właśnie - wtrącił się Zedd. - Sam mówiłeś, że za pomocą książki nie możesz niczego rozszyfrować i że jedyne, co zrozumiałeś, to że dziewiątka we wszystkich symbolach jest odwrócona. W końcu jest stylizowana i nie musi wyglądać jak zwykle.

Elementy symboliczne często są stylizowane. Nie zawsze wyglądają identycznie jak to, co oznaczają. Głowa węża tworząca czubek dziewiątki jest stylizowana, nie jest dokładnym odwzorowaniem. Symbol ognia na tamym pasku nie wygląda jak płomień, jest stylizowany. Równie dobrze może być tak, jak mówi Kahlan: że miało tak być, bo to element języka.

- Symbole nie są prawidłowe - upierał się Richard. - Są odwrócone. Wszystkie są inne, niż powinny być.

Zedd wyrzucił w górę rękę.

- Jeżeli wszystkie są identyczne, to jak mogą być nieprawidłowe? Nicci uciszyła poirytowanego czarodzieja, a potem zwróciła się do Richarda, chcąc wysłuchać jego wyjaśnień.

- Skąd to wiesz? Skąd wiesz, że są odwrócone?

- Bo to widzimy, zaglądamy do środka skrzyni - odparł. - Lecz nie to widzi machina.

Nicci spochmurniała, co zaparłoby dech w piersiach większości ludzi, a może na moment zakłóciło rytm ich serca. Nie odrywała przenikliwego spojrzenia od oczu Richarda.

- Już to mówiłeś: to odwrotność tego, co widzi machina. O co ci chodzi?

Jak machina widzi?

Richard przycisnął do siebie nasady dłoni, odchylając uniesione palce.

- Machina wykorzystuje światło, żeby rzutować symbol na sufit, o ten, taki jak na grzbiecie księgi.

Zaniepokojona Nicci zeszywniała. Zrozumiała.

Zedd, nadal nie pojmując, wsparł się pod boki.

- No i?

- Wszystkie inne symbole, te po bokach maszyny i w księdze, są takie same, lecz ten rysowany na suficie światłem z głębi maszyny był odwrócony. Na suficie dziewięć nie była lustrzanym odbiciem. Symbol rzutowany z maszyny na sufit wyglądał tak, jakby był widziany z wnętrza skrzyni. To machina zobaczyłaby na suficie. Tak widzi własny symbol.

- Tak widzi własny symbol? - powtórzył sfrustrowany Zedd. - Nie mówisz poważnie.

Richard przysunął sobie kartkę, zanurzył pióro w kałamarzu i narysował dużą, czarną cyfrę dziewięć. Pokazał ją Zeddowi.

- To machina rysuje światłem i to widzi: dziewięć.

Zedd skinął dłonią.

- Kontynuuj.

Richard odwrócił kartkę i trzymał ją przed lampą, tak żeby Zedd widział dziewięć na drugiej stronie.

- Kiedy patrzysz w maszynę, na to, co machina widzi jako 9 i co rysuje światłem, widzisz tak jak teraz - odwrócone. Symbol, który wszędzie widzimy, znaki, napisy, są tym, co byśmy zobaczyli, patrząc w maszynę na znaki tworzone światłem. Lecz to odwrotność tego, co widzi machina, zaglądając w nasz świat. - Richard odwrócił kartkę, żeby Zedd mógł zobaczyć dziewięć tak, jak on ją narysował. - Tak widzi symbol, który wyświetla na suficie.

Kahlan wstała z krzesła. Zrozumiała.

- Oczywiście. Richard ma rację, wszystkie symbole są odwrócone.

Zedd się im przyglądał, jakby pomieszanie zmysłów stało się zaraźliwe.

- Mówicie tak, jakby machina żyła. A sami twierdziliście, że to zębatki i dźwignie.

Maszynieria.

- Oczywiście.

Zedd, z jedną ręką na biodrze, chodził tam i z powrotem, zastanawiał się.

- Niechętnie to przyznaję - rzekł wreszcie - ale to ma sens, chociaż brzmi jak wariactwo. Niebezpieczne księgi traktujące o magii zwykle mają zabezpieczenia, które nie pozwalają postronnym z nich korzystać. Może to się wydaje szaleństwem, kiedy pierwszy raz o tym słyszysz, ale z pewnością byłoby solidne zabezpieczenie.

- Wydaje się łatwe do pokonania - odezwała się Berdine. - Pewnie, lordowi Rahlowi zajęło to trochę czasu, ale w końcu na to wpadł. Zabezpieczenie powinno być trudniejsze do przełamania, jeśli naprawdę miałyby chronić niebezpieczną księgę.

- Tak uważasz? - Zedd kręcił głową, odrywając wzrok od oczu Berdine i patrząc na Richarda. - Wpadł na to tylko dlatego, że obudził magię, która ukazała mu wyświetlany symbol. Mam wrażenie, że mogła tego dokonać wyłącznie właściwa osoba. Wiele rodzajów magii jest sprzężonych z konkretnymi użytkownikami. Ktoś inny mógł odnaleźć machinę, lecz mam wrażenie, że jedynie Richard mógł ją obudzić. A ona podsunęła mu rozwiązanie umożliwiające korzystanie z księgi, żeby mógł zrozumieć, co machina chce mu przekazać. Wątpię, żeby ktoś inny dostał tę wskazówkę. To podwójnie wzmacnia zabezpieczenie.

Zedd rzucił na stół metalowy pasek.

Richard przez chwilę wpatrywał się w starego czarodzieja.

- Teraz ty mówisz tak, jakby ona żyła.

Zedd tylko się uśmiechnął.

Richard w końcu usiadł i przysunął krzesło do stołu.

- Berdine, musimy odwrócić wszystkie reguły, które spisaliśmy, i zastosować je do tłumaczenia z górnod'harańskiego.

Berdine zanurzyła pióro w kałamarzu i wzięła kartkę.

- Niech no spojrzę na któryś z tych pasków.

Richard podniósł pasek leżący na stole. Przez chwilę obracał go w palcach, potem spojrzął na wypisane na nim symbole. Położył go u góry kartki Berdine, żeby jej służył jako odnośnik.

- To trochę potrwa - powiedział do Zedda, odsuwając księgę. - Ale już ustaliliśmy wszystkie odniesienia, więc miejmy nadzieję, że tym razem pójdzie nam łatwiej.

## Rozdział 35

Richard popatrzył na Benjamina stojącego z boku wraz z Carą i Nydą i obserwującego ich.

- Chcę, żebyś coś zrobił, generale.

Benjamin się zbliżył.

- Lordzie Rahlu?

Końcem pióra Richard wskazał sufit.

- Chcę, żebyś zabrał robotników do Ogrodu Życia i kazał im naprawić szklany strop. Trzeba to zrobić jak najszybciej.

Benjamin przyłożył pięść do serca.

- Dopilnuję tego, lordzie Rahlu.

- Zedd, Nathanie, Nicci, może byście zeszli do pomieszczenia i spróbowali się czegoś dowiedzieć o maszynie. Ja i Berdine popracujemy tutaj.

Zedd skinął głową.

- Chętnie bym rzucił na nią okiem.

- Aha, Benjaminie, mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie. - Richard wskazał przez ramię. - Widzisz ten dziwny występ w ścianie? Niepotrzebnie tak sterczy.

Jesteśmy pod Ogrodem Życia. Chciałbym, żebyś postarał się znaleźć plan piętra tej części pałacu.

Benjamin spojrzał na wystający narożnik.

- Plan piętra?

- Tak. Chcę wiedzieć, co oprócz maszyny znajduje się pod Ogrodem Życia. Chcę wiedzieć, jak głęboko sięga machina. Chcę wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Gdzie jest spód maszyny. Nie jesteśmy zbyt daleko od poziomu ogrodu, więc przypuszczam, że odkryjesz, iż machina mieści się za tym dziwnym narożnikiem sterczącym w komnacie.

Berdine, marszcząc brwi, przyglądała się występowi.

- Lordzie Rahlu, tamten regał, przy ścianie...

- Wiem - powiedzia ł spokojnie Richard. - To tam znale źliśmy księgę. Między innymi dlatego przypuszczam, że machina jest za tamtą ścianą. Chcę wiedzieć, jak głęboko wnika w pałac.

Benjamin wsunął kciuk za pas.

- Dowiem si ę tego, lordzie Rahlu, kiedy ędziesz pracowa ć nad tłumaczeniem symboli.

- Ja i Nyda ci pomo ęemy - odezwała si ę Cara. - Mord-Sith znają wszystkie korytarze, zarówno ogólnie dostępne, jak i prywatne. Musia łybyśmy szybko si ę przemieszczać podczas ewentualnego ataku, toteż znamy wszystkie hole, przechodnie komnaty i sekretne przejścia.

- Dobrze - powiedział Richard. - Miejmy nadzieję, że odcyfrujemy te paski, zanim skończycie mapowanie „siedliska” maszyny.

Nathan pokiwał palcem nad księgą.

- Jest kompletna? Zawarte w niej informacje wystarczą do rozszyfrowania symboli?

- Tak sędzę - odparł Richard.

Nathan nie wyglądał na usatysfakcjonowanego.

- Skoro księga ma służyć do tłumaczenia symboli i zawiera wystarczające informacje, żebyś mógł to zrobić, w takim razie której części brakuje? Którą część zabrano do Świątyni Wichrów?

Richard przez chwilę wpatrywał si ę w proroka, a w końcu powiedział:

- Ponieważ bardzo niewiele jest tu na ten temat, mo żna założyć, że w świątyni ukryto część wyjaśniającą, po co stworzono maszynę.

- To niezbyt pocieszające - stwierdził Zedd.

Kahlan te ż wydało si ę to niepokoj ące. Nie znaj ąc celu istnienia maszyny, nie mieli pojęcia, z czym tak naprawdę mają do czynienia. Złym omenem wydało si ę jej to, że maszynę ukryto i zabezpieczono.

Richard delikatnie objął Kahlan i zmienił temat:

- Może poszłabyś z nimi?

Spojrzała na niego chmurnie.

- Dlaczego?

- Już przetłumaczyłaś to, na czym mi zależało. Zapewne Berdine i ja spędzimy tu resztę nocy. Na razie nie ma dla ciebie nic do roboty. Mo że byś trochę odpoczęła?

Myślę, że w Ogrodzie Życia nie będą ci ę śledzić żadne wścibskie oczy. Trochę byś si ę przespała, podczas gdy my będziemy rozszyfrowywać symbole, a Zedd i pozostali zajmą si ę maszyną.

- Będziemy nad nią czuwać, Richardzie - odezwała si ę Nicci. - Nikt nie

będzie się jej przyglądać, kiedy zaśnie.

- Dzięki, Nicci. Zedd, może uleczyłbyś dłoń Kahlan, gdy już będziecie w ogrodzie.

Coraz gorzej to wygląda.

Zedd się zatroskał.

- Oczywiście.

Kahlan uświadomiła sobie, że wcale jej nie dziwi to, iż Richard doskonale wie, jak bardzo dokucza jej ręka. Nie potrafiła niczego przed nim zataić.

Usłyszała odległe wycie i spojrzała na wysokie okna. Pojęła, że dźwięk nie dobiega z zewnątrz. Musiał dochodzić skądinąd, lecz nie mogła się zorientować skąd.

Przypomniała sobie przepowiednię kobiety, którą ta wyjawiała przed śmiercią - że mroczne, dzikie stwory przyjdą po nią nocą. Przeszył ją dreszcz, kiedy wspomniała słowa: „Mroczne stwory prześladowające cię i tropiące. Nie uciekniesz przed nimi”.

Kiedy zauważyła, że nikt inny nie słyszał wycia, pomyślała, że pewnie pomyliła ten dźwięk ze skowytem wilka. Richard miał rację: jest zmęczona, ponosi ją wyobraźnia.

Kahlan pocałowała Richarda w policzek i mijając go, musnęła dłonią jego barki.

Pochwyił jej dłoń. Ponad wszystko pragnęła, żeby mógł położyć się przy niej, dotrzymać jej towarzystwa, chronić ją. Wysunęła jednak dłoń z jego rąk i poszła za innymi do Ogrodu Życia.

## Rozdział 36

Hannis Arc - pracujący nad siecią i liniami łączącymi konstelacje elementów tworzących mowę Początku, zapisaną na starożytnym zwoju Cerulean rozłożonym pośród rupieci na biurku - wcale się nie zdziwił na widok siedmiu zwiewnych kształtów wpływających do jego komnaty niczym niesiony wiatrem gryzący dym. Jak duchy z zaświatów, unoszone prądami powietrza, przesuwały się wśród nieruchomych, milczących wypchanych zwierząt i bestii tkwiących na postumentach, wśród niewielkiego skupiska kamiennych podstaw, na których spoczywały ciężkie księgi z prorocत्वami, i pomiędzy równomiernie rozstawionymi gablotami pełnymi osobliwości.

W szkiele odbijał się blask ognia płonącego w wielkim kominku z boku komnaty.

Ponieważ owa siódemka rzadko korzystała z drzwi, nie zamykano okiennic na parterze, parę pięter niżej. Chociaż często wchodziły przez okna, to właściwie nie były im bardziej potrzebne niż drzwi. Mogły się wśliznąć przez każdy otwór, każdą szparę, niczym mgła podnosząca się wczesnym rankiem nad rozlewiskami stojącej wody, tworzącymi ciemne pasy na jałowych torfowiskach.

Otwarte okiennice miały być jasną dla wszystkich - w tym i dla tej siódemki - deklaracją, że Hannis Arc niczego się nie lęka.

Wiele osób w Saavedrze, stolicy prowincji Fajin, w szerokiej dolinie poniżej cytadeli zamykało się szczelnie na noc.

Robili tak wszyscy na Mrocznych Ziemiach.

W końcu takie odgradzanie się z lęku przed tym, co może czyhać nocą na zewnątrz, świadczyło o rozsądku. Dotyczyło to mieszkańców miasta, lecz przede wszystkim tych mieszkających w odleglejszych okolicach. Pośród nocy czekały realne niebezpieczeństwa - polowały stwory, mające kły i pazury; stwory, których należało się bać. Były też inne stworzenia budzące uzasadniony lęk, jednak rzadko, jeśli w ogóle, dostrzegano, że się zbliżają, aż było za późno.

Hannis Arc nie lękał się stworów grasujących nocą. Zapanował nad nimi, wykorzystywał je do własnych celów, nie był ich ofiarą - to one się go bały. Podsycał strach tłący się w sercach innych, żeby w razie potrzeby

buchał płomieniem.

Hannis Arc chciał, żeby ludzie się go bali. Bo wtedy czuli przed nim respekt, byli mu posłuszni, nisko się kłaniali. Starał się, żeby zawsze mieli powód, by się go lękać.

W przeciwieństwie do większości mieszkańców Mrocznych Ziemi sam Hannis Arc się nie bał. Powodowała nim niegasnąca, zaciekła furia, która tkwiła w nim niby żywa istota. Furia, która nie pozostawiała nawet odrobiny miejsca na strach.

Była niczym płonąca gwiazda przewodnia. Zawsze gotowa, żeby go do czegoś zmusić, a nawet złać, nakazywała mu naprawiać większe zło. Gniew był nie tylko jego nieodłącznym towarzyszem, ale i zaufanym przyjacielem. Jedynym.

Blask świec umieszczonych na wielkim świeczniku w przeciwległym końcu komnaty zamigotał, kiedy zawirowała wokół nich siódemka familantek, jakby zwolniły specjalnie po to, żeby się pokołysać na płynących od płomyków ciepłych prądach.

Mohler, stary skryba, zgarbiony nad otwartą ciężką księgą leżącą na stojącej w pobliżu podstawce, wyprostował się, jakby coś usłyszał. Jedna z siedmiu jarzących się postaci opłynęła go, muskając dłonią jego twarz. Skryba się rozejrzył, jakby poczuł dotknięcie, lecz nie mógł się zorientować, kto go dotyka.

Nie mógł zobaczyć familantek.

W przeciwieństwie do kobiety trzymającej straż w pobliżu drzwi.

Mohler dotknął policzka sękatymi palcami powykręcany artretyzmem, lecz nie znalazł przyczyny tamtego wrażeń, i opuścił dłoń, wracając do zapisywania najnowszych prorocत्व z opactwa, siódemka zaś uniosła się ku sklepieniu - sunęła wzdłuż wybruszeń kamiennych łuków, przemykała tuż pod ciężkimi belkami, przypatrując się oświetlonej jedynie świecami komnacie.

- Teraz twój ruch - przypomniał zgarbionemu skrybie Hannis Arc.

Mohler podniósł wzrok i zobaczył, że pan mu się przygląda.

- A tak, istotnie - powiedział, odkładając pióro.

Zostawił grubą księgę i poczłapał do kamiennego postumentu, na którym leżała plansza z alabastrowymi i obsydianowymi pionkami.

Miał aż nadto czasu na przemyślenie następnego ruchu. Prawdę mówiąc,



miał na to większość nocy. Hannis Arc go nie popędzał. Sam ustalił, jakie ruchy może wykonać skryba. Żaden nie prowadził do niczego dobrego, chociaż niektóre nie kończyły rozgrywki tak szybko.

Mohler niepewnie wyciągnął rękę i przesunął alabastrowy pionek na inny kwadrat, zbijając atramentowoczarne pionki. Zdjął go z planszy i odłożył na bok. Był to ruch, który prawdopodobnie obmyślał od wielu godzin; ruch, który pozwolił mu na zabicie cennego pionka i dał możliwość zagrożenia przeciwnikowi.

Hannis Arc wstał i z rękami splecionymi za plecami podszedł do planszy.

Pogładził kłękami palca wskazującego wychudły policzek, żeby się wydawało, iż utrata pionka go zaskoczyła i że musi się teraz zastanowić nad swoim ruchem. Wcale tak nie było.

Przesunął czarne pionki ku białym. Mohler na to właśnie liczył i był przygotowany. Bez namysłu wziął pionek, postawił na jego miejscu alabastrową wieżę, wystawiając przeciwnika na niebezpieczeństwo.

Hannis Arc spodziewał się takiej niecierpliwości starego skryby. W przeciwieństwie do większości ludzi on sam nie splamił się tą cechą. Cały dzień ćwiczył się w powściągliwości i cierpliwości w oczekiwaniu na tę właśnie chwilę - dokładnie tak samo praktykował to przez dziesięciolecia w innych sprawach. Wreszcie wyciągnął rękę i chudym palcem wskazującym oraz kciukiem przesunął obsydianową królową na kwadrat, na którym skryba postawił wieżę, i zepchnął ją na bok. Podniósł jasną wieżę małym palcem i usunął z gry. Z przesadną ostrożnością odłożył ją na bok.

- Szach-mat.

Nagle zaniepokojony Mohler wodził wzrokiem po planszy, szukając ratunku. W końcu uniósł krzaczaste brwi i westchnął z rezygnacją.

- No cóż, stało się. Obawiam się, że znowu okazałem się kiepskim przeciwnikiem dla kogoś tak uzdolnionego jak ty, biskupie.

- Odejdź.

Skryba spojrzał na swego pana.

- Biskupie? - Wskazał księgę. - Jeszcze nie skończyłem spisywać raportów.

- Robi się późno. Wkrótce się położę. Możesz rankiem zapisać resztę doniesień z opactwa.

Mohler się skłonił.

- Oczywiście. Jak sobie życzysz, biskupie. - Chciał odejść, ale się zatrzymał i odwrócił do Hannisa. - Potrzebujesz czegoś, nim odejdziesz? Może coś byś zjadł lub wypił?

Jedna z familiantek okręciła się wokół skryby, drocząc się z nim. Mohler się rozejrzył, prawie ją wyczuwając, niemal świadom jej obecności. Wreszcie się poddał, przypisując to odczucie swoim starym kościom, i spojrzał na biskupa w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Nie. Zaraz z rana chciałbym przejrzeć najnowsze wieści z opactwa.

- Oczywiście, biskupie - powiedział skryba, znowu się kłaniając. Zatrzymał się z dłonią na klamce i odwrócił, jakby odczytał mroczne myśli swojego pana. - Będziesz miał swoją zemstę, biskupie. Ucieszysz się, wyczytując z najnowszych przepowiedni, że twoja cierpliwość zostanie nagrodzona. Zajmiesz należne ci miejsce jako władca D'Hary, wiem, że tak będzie. Tak mówią prorocтва.

Hannis Arc posłał mu gniewne spojrzenie, zastanawiając się, czy skryba mówi szczerze, czy tylko się przypochlebia. Dojrzał w jego oczach błysk nadziei i pojął, że były to szczerze słowa. Niektórymi należy kierować żelazną ręką. Mohler był jednym z takich ludzi - najlepiej mu było w cieniu wielkiego człowieka.

Poza tym Mohler był przy tym. Wie o gniewie płynącym w jego panu i zna jego przyczynę.

Na tę myśl do Hannisa Arca powróciły wspomnienia, jak wiele razy wcześniej - szarpiące nerwy, fragmentaryczne obrazy: ojciec wywlekany nocą na dziedziniec, wrywający się i zaświadczaający o swojej lojalności wobec dynastii Rahlów nawet wtedy, kiedy zaczęli go bić potężnie zbudowani żołnierze; on sam czepia się matki, która pospiesznie odsunęła jego szczupłe ramionka i wepchnęła go do skrzyni przy wejściu, zatrzasnąwszy wieko, zanim żołnierze po niego wrócili; straszliwy odgłos pojedynczego ciosu nabijanej kolcami ciężkiej maczugi, który rozłupał czaszkę stojącej w progu, skamieniałej z przerażenia starszej siostry; krzyki i jęki matki zatłuczonej na śmierć; krew w wejściu, na bruku dziedzińca; nieruchome ciało siostry leżące na progu; zwłoki rodziców na dziedzińcu; krzyki służących patrzących na te zbrodnie, które cichy były w dali, kiedy wszyscy uciekali w noc, bojąc się o własne życie. Zerkanie spod wieka i widok ciężkozbrojnych żołnierzy

wskakujących na konie i odjeżdżających w mrok po dokonaniu zleconych im zabójstw.

Ukrywanie się w ciemnościach przez całą noc, dygotanie ze strachu, że wrócą i go znajdą.

Po wielu godzinach, tuż po świcie, zjawił się Mohler, nowy służący. Przyszedł z miasta do pracy w cytadeli, znalazł go, ukrytego w skrzyni, i wyciągnął stamtąd.

A wszystko dlatego, że Panis Rahl uważał, iż należy zniszczyć każde potencjalne zagrożenie dla dynastii Rahlów, zanim zdąży się umocnić. Nakazywał żołnierzom mordować każdego, kto mógłby się stać - realnym czy wyimaginowanym - zagrożeniem dla jego władzy. Nawet pomniejszy władca prowincji Fajin z odległych Mrocznych Ziem, który nie żywił żadnych złych zamiarów wobec władającej dynastii Rahlów i zawsze był lojalny, zawinił jedynie tym, że pewnego dnia mógłby się stać groźny, i dlatego musiał zginąć wraz z całą rodziną.

Lecz z chowańcami, jak ich nazywano, nie należało igrzać. Nawet osoby mające dar słusznie się lękały ich tajemnych mocy. Panis Rahl wiedział, że takie moce i zdolności, jakie się kryją na Mrocznych Ziemiach, mogą być groźne, lecz uderzając we władcę prowincji Fajin, popełnił błąd. Uderzył o pokolenie za wcześnie.

Hannis Arc, w którym płonął gniew, wiedział, że tym razem zagrożenie dla dynastii Rahlów jest aż nadto realne. Już on o to zadba. Już nigdy nie będzie drzeć ze strachu przed Rahlem. Dopilnuje, żeby naprawiono krzywdy.

Zemści się.

Ten nowy władca, Richard Rahl, podobno jest inny niż Panis Rahl i w niczym nie przypomina Rahla Posępnego, który przebił swego ojca pod każdym względem - ale to nie miało żadnego znaczenia dla Hannisa Arca.

Rahl Posępny, tak bezwzględny i krwawy, również był owładnięty obsesją.

Ponieważ Hannis Arc nie był jeszcze gotowy do działania, odwrócił od siebie uwagę Rahla Posępnego, podsycając jego obsesję - dał mu to, czego Rahl pragnął ponad wszystko. Dał mu jedną ze szkatuł Ordenu od dawna ukrytą na Mrocznych Ziemiach.

Hannisowi nie była do niczego potrzebna, lecz Rahl Posępny jej pragnął,

toteż ów dar kupił Arcowi autonomię i pewne względy.

Jak Hannis Arc się dowiedział, obsesja Rahla Posępnego doprowadziła w końcu do jego upadku - zabił go syn, Richard Rahl. Rahl zabijający ojca nie dziwił Hannisa.

Nie miało dla niego znaczenia to, że Richard nie mieszał się do Mrocznych Ziem i nie domagał się daniny. Był władcą D'Hary, więc w każdej chwili mógł to zrobić, podobnie jak jego przodkowie.

Poza tym był Rahlem i już samo to wystarczało, żeby przypieczętować jego los.

Nowy lord Rahl poprowadził Imperium D'Hary do wielkiego zwycięstwa, pokonując tyranie, która zagrażała zgubą mieszkańcom. Przy okazji niechcący ocalił i Hannisa Arca, który teraz chciał go obalić.

Nowy lord Rahl, podobnie jak przedtem jego ojciec, nie miał pojęcia o umiejętnościach Hannisa ani o tym, jakim mocom mógł ł on rozkazywać. Hannis Arc mógł uderzyć wcześniej, kiedy Richard tworzył Imperium D'Hary i toczył wojnę, lecz wtedy sam musiałby walczyć. Trudno byłoby przetrwać, stawiając opór potędze Imperialnego Ładu.

Toteż Hannis się przyczaił, czekając na odpowiedni czas i doskonalił swoje umiejętności, a Richardowi pozwolił toczyć długą i ciężką wojnę. Nawet wysłał mu na pomoc wojska, jak zrobiłby każdy lojalny sojusznik. Uratował się i pracował nad własnymi planami. Wreszcie wojna się skończyła i nadszedł czas wywarcia zemsty na rodzie Rahlów.

Opowiadano, że nowego lorda Rahla wszyscy szanują, podziwiają, a wielu nawet kocha. Był u szczytu powodzenia, zwycięski bohater.

Hannisowi Arcowi podobało się, że Rahl jest równie potężny jak on. Przez to jego upadek będzie tym boleśniejszy, a wyniesienie Hannisa tym donioślejsze i bardziej satysfakcjonujące.

Lecz Arc wiedział, że zabicie kogoś takiego jedynie uczyniłoby zeń męczennika.

A uczynienie Richarda Rahla męczennikiem nie dałoby Hannisowi władzy nad Imperium D'Hary.

Wiedział, że nie może ot, tak zabić popularnego lorda Rahla i spodziewać się, że przejmie Pałac Ludu i panowanie nad Imperium D'Hary. To nie takie proste. W końcu jako władca odległej prowincji był prawie nieznan.

Nikt by nie uznał jego władzy. A przynajmniej jeszcze nie.

Hannis Arc musiał najpierw sprawić, żeby ludzie przestali wierzyć w lorda Rahla jako człowieka, w jego zdolność do chronienia ich. Kiedy poddani przestaną go szanować i odrzucą go, Richard Rahl prędko straci władzę.

Jedynie wtedy, w chwilach chaosu i paniki, D'Hara będzie gotowa zrzucić okowy dynastii Rahlów i zwrócić się ku komuś, kto ukoji lęki co do przyszłości.

Kiedy Rahl Posępny zajmował się szkatułami Ordenu, a Richard Rahl toczył długą wojnę o przetrwanie Imperium D'Hary, Hannis Arc pracował nad sposobami osiągnięcia swojego życiowego celu - odsunięcia Rahlów od władzy i zajęcia ich miejsca. Jego cierpliwość została wreszcie nagrodzona.

Teraz cel był w jego zasięgu. Środki były na wyciągnięcie ręki.

- Bądź pewien, Mohler, że będę władał D'Harą - powiedział cicho. - Ów dzień nadejdzie szybciej, niż kiedykolwiek ośmielaliśmy się mieć nadzieję. Uruchomiono łańcuch zmian. Fragmenty układanki wreszcie wpadają na swoje miejsca, wszystko obraca się na moją korzyść. Teraz nic mnie nie powstrzyma. Wkrótce nastąpi szach-mat dla dynastii Rahlów.

- Proroctwo jest po twojej stronie - stwierdził Mohler. - Z pewnością sam Stwórca jest z tobą, biskupie. Zawsze wierzyłem, i że cię ochrania, bo ma wobec ciebie wielkie plany od tego straszliwego dnia, kiedy zamordowano twoich rodziców. Pomógł ci urosnąć w siłę i przezwyciężyć wszelkie przeszkody. Stwórca zadba, żeby i to się ziściło.

- Zapowiada nam to w proroctwach.

- Czekam więc na ponowne wydobywanie się z mroków zapowiadane przez proroctwo.

Skryba nie wiedział, że to już nastąpiło.

Nie miał pojęcia, że siódemka familiantek zbiła się w najwyższym punkcie sklepienia, patrząc i słuchając. Hannis Arc wiedział, że powtórzą każde słowo Zaszytej Służce.

- Biskupie, wkrótce będziesz panować nad D'Harą. Będziesz władać imperium.

## Rozdział 37

Mohler nie podniósł wzroku i nie napotkał spokojnego spojrzenia niebieskookiej kobiety przyglądającej się, jak otwiera drzwi. Niewielu ludzi miało odwagę spojrzeć jej w oczy. Hannis Arc wrócił do biurka, a skryba wyszedł i zamknął za sobą ciężkie, okute żelazem dębowe drzwi.

Biskup zebrał ciemne szaty wokół nóg, żeby usiąść na masywnym, obitym skórą krześle, i kątem oka obserwował, jak siódemka podpływa bliżej.

Zwiewne suknie lśniły łagodnym niebieskawym blaskiem. Poruszały się z płynną gracją. Ich stroje nieustannie falowały, przez co miał wrażenie, że widzi je w innym miejscu, w niezemskim świecie delikatnych wietrzyków.

Z daleka każda z nich wyglądała jak najbardziej urocze ze stworzeń. Wydawało się, iż są nie tylko z ciała i kości, ale i z powietrza i światła. Kiedy się przybliżyły, Hannis pomyślał, że przypominają dobre duchy.

Wiedział jednak, że wcale nimi nie są.

Szóstka unosiła się obok siebie niczym szałwiki na stawie, obserwując, jak siódma podpływa do drugiej strony biurka.

Kiedy się nachyliła, mógł wreszcie zajrzeć pod kaptur i zobaczyć pomarszczoną, dziobatą, pokrytą bliznami twarz, gruzłowate błękitne żyły, brodawki i wrzody przetrząsane zniekształcone rysy, obwisłe skórne fałdy, oczy barwy żółtek zgniłych jajek.

Uśmiechnęła się wrednym uśmiechem obiecującym ogromny ból i cierpienie, jeśli to będzie jej kaprysem.

Hannis ani trochę się nie przestraszył. Raczej oburzył go taki brak respektu. W jego głosie zabrzmiała wyraźna nuta niezadowolenia.

- Czy Jit wykonała zadania, które jej zleciłem?

Familiantka oparła na biurku sękatą dłoń i pochyliła się ku Arcowi. Jej dłoń - z długimi, zakrzywionymi paznokciami, pomarszczoną, zgrubiałą skórą i gruzłowatymi stawami - przypominała szponiastą łapę.

Większością ludzi wstrząsnęłaby do głębi duszy, strach sparaliżowałby ofiarę.

Hannis Arc nie bardziej się przejmował wyglądem familiantki niż ona jego urodą.

Jej głos zabrzmiał jak jedwabisty syk.

- Ośmielasz się czegoś od nas wymagać? Wymagać czegoś od naszej pani?

Hannis Arc si ę zamachnął i z całej siły przyszpilił nożem do blatu biurka d łoń familiantki. Wydała skrzekliwy wrzask, zdolny roztrzaskać szkło wszystkich gablot i rozwalić kamienne mury. Taki krzyk musz ą wydawać dusze wleczone w najmroczniejsze otchłanie zaświatów, pomyślał Arc. Koszmar, który się ziścił.

Ramiona pozostałej szóstki falowały gniewnie, niczym chorągwie na wicherze.

Otoczyły ranną towarzyszkę, nie mogąc uwierzyć, że ją to spotkało, wyrażając konsternację w mowie brzmiącej niczym trzask pękających ptasich kosteczek.

- Zdziwiona? - Arc uniósł brew. - Zdumiona, że mógł ci ę zranić zwykły człowiek?

Wydała kolejny skrzekliwy wrzask, zdolny obudzi ć umarłego, i szarpała, i wykręcała przyszpiloną do biurka d łoń. Sino-czarne wargi kurczyły się w grymasie odsłaniającym kły. Nachyliła się ku Hannisowi. Nie wyszło jej to na dobre.

Ciężkie biurko trzeszczało i chwiało się, jej stopy odrywały się od podłogi, ilekroć szarpała ręką, bezskutecznie starając się ją uwolnić. Pozostała szóstka wiła się wokół niej na znak współczucia i oburzenia. Kiedy ją chwyciły, żeby spróbować jej pomóc, przeszła je bijąca z noża błyskawica i zmusiła do cofnięcia się.

- Co zrobiłeś? - wyskrzeczwała ranna.

- Przybiłem ci ę do biurka?

- Ale jak?!

- W tej chwili nie to powinno ci ę martwić. Teraz ważniejsze jest przyznanie, że nie jestem zwyczajnym człowiekiem i że w twoim najlepiej pojętym interesie leży okazywanie mi wielkiego respektu. Jak si ę przekona łaś, mam moc, która pozwala mi radzić sobie z takimi bezczelnymi zjadaczami jaszczurek. Dotyczy to równie ż waszej pani.

W oczach familiantki poza palącą nienawiścią widać było konsternację.

Hannis Arc uśmiechnął się, lecz w tym uśmiechu nie było radości.

- Czy coś podobnego powiedzia ła wam Zaszyta Służka, kiedy was

przywołała spod ziemi żebyście jej służyły? No cóż - uśmiech stał się szerszy - może miała swoje powody. Może wasza siódemka wcale nie jest dla niej aż tak ważna.

- Będziesz cierpiał - wysyczała.

- Dopiero co powiedzia łem, że powinnaś mi okazywa ć więcej szacunku, a ty mi grozisz? - Pochylił się ku familiantce, patrząc gniewnie w jej oszalałe oczy i chwytając rękojęść toporu o półksiężycowatym ostrzu, opartego o biurko przy jego prawej nodze. - Za ten postępek stracisz rękę. Kolejna pogrożka, a przestaniesz istnieć.

Mocno zamachnął się toporem. Ostrze wbiło się w biurko, odcinając w przegubie dłoń familiantki. Wyswobodzona, okręciła się z przerażeniem i obolała uciekła, obijając się o kamienne ściany, przewracając postument z księgą i tłukąc szkło jednej z gablot.

Drgająca dłoń pozostała na biurku, przybita nożem. Przegub kończył się przy ostrzu topora, głęboko wbitym w blat.

- Och, popatrz tylko, straciłaś nieco swojej bezcennej krwi - zakpił. - Co za strata.

Szóstka wycofała się na bezpieczną odległość - a przynajmniej sądziła, że to bezpieczny dystans - nagle stały się ostrożne, obawiając się, że zareagują zbyt pochopnie.

Familiantka, tuląc kikut, przyhamowała, żeby posłać biskupowi gniewne spojrzenie. Hannis Arc przywo łał ją skinieniem palca. Niech ętnie zbli żyła się do biurka, z twarzą wykrzywioną grymasem gniewu i strachu. Zauważył, że pomimo złości i wahania jednak go usłuchała.

Spodobało mu się, że zaczyna czuć przed nim respekt.

- Nigdy więcej mi nie groź - powiedział twardo. - Zrozumiałaś?

Spojrzała na swoją dłoń przyszpiloną do biurka.

- Tak - wysyczała.

- A teraz odpowiedz: Czy twoja pani wykonała swoje zadania?

- Obserwuje osob ę, którą kazałeś obserwować. Nadal czeka na tego, kogo wezwała. Psy go przyp ędzą i wydadzą jej. - Uniosła drugą rękę, wskazuj ąc na niego. - Kiedy go dostanie, zadanie będzie wypełnione i będziecie kwita.

- Mieszka w mojej krainie i zrobi dokładnie to, co i kiedy każę, bo inaczej przestanę ją chronić.

- Jit nie potrzebuje twojej ochrony.



- Bez mojej ochrony Kharga Trace przestanie być bezpieczną kryjówką przed półludźmi. Jit padnie ich łupem. Jak wy wszyscy.

Familiantka milczała chwilę, badawczo patrząc mu w oczy.

- Półludzie? Półludzie nie istnieją. To jedynie pogłoski z zamierzchłej przeszłości.

- Ależ istnieją. Czy wiesz, że wytwarzają znakomitą broń? Której można używać przeciwko martwiakom?

- Phi, plotki, nic więcej.

Uniósł brew.

- A niby kto zrobił nóż, którym przybiłem do biurka twoją dłoń?

Ponure, mordercze spojrzenie familiantki przeniosło się na nóż, a potem znów spoczęło na Hannisie. Ale wołała przemilczeć to, co naprawdę chciała powiedzieć, i tylko przybrała wyzywający ton:

- Półludzie nie są dla nas ani dla naszej pani żadnym zagrożeniem. Nawet jeżeli istnieją, pozostają zamknięci za północnym murem, jak przez tysiące lat.

Hannis Arc posłał jej cień uśmiechu.

- Już nie.

Górna warga familiantki uniosła się w grymasie.

- Kolejne kłamstwo. Półludzie nie mogą zrobić wyłomu w północnym murze.

- Nie musieli. Udałem się za mur i chodziłem wśród nich, rozmawiałem z nimi.

Słuchali i w końcu pokłonili mi się jako swemu panu i władcy. Toteż otworzyłem dla nich bramy. Teraz polują na Mrocznych Ziemiach... lecz tylko wtedy, kiedy im na to pozwolę, i na tego, kogo wskażę.

Przez chwilę badała wzrokiem jego twarz.

- Popełniłeś błąd, sądząc, że możesz kontrolować półludzi.

- O błędy powinna się raczej martwić Jit.

- Jit potrafi si ę obronić - syknęła familiantka. - Niepotrzebna jej twoja ochrona i nam też nie. Półludzie nie przyjdą do Kharga Trace. Boją się Jit, jak się bali muru. Będą się bać przemierzać nasze miasto.

Szóstka zbliżyła się do mówiącej, dodając mocy jej słowom.

- Byłyście za północnym murem? - Wiedział, że nie. Mur oddziela ł obie strony, i to przez tysiące lat. - Nie wiecie, czego oni si ę lękają, a czego nie.

Nie popełniajcie błędu, sądząc, że to wiecie.

Hannis Arc wyrwał topór z biurka i machnął nim.

- Nie nawiedzają Trance tylko dlatego, że im zakazałem. Chętnie wejdą do miasteczka, jeśli im na to pozwolę... zwłaszcza gdy dam im wasze obcięte członki na pożarcie.

Siódemka cofnęła się jednym ruchem i rozsądnie zamilczała.

- Wszyscy, w tym Zaszyta Służka, jesteście moimi poddanymi, podobnie jak mieszkańcy Mrocznych Ziem i półludzie zza północnego muru. Wszyscy podlegacie mojej władzy. Jeśli chcecie zachować przywileje, jesteście mi winni lojalność.

Ciekawość jednej z familiantek wzięła górę nad ostrożnością.

- Jakie przywileje?

Hannis Arc przechylił głowę.

- No jak to... przywilej zachowania życia, ma się rozumieć.

Żadna z siódemki nie zaprotestowała.

- Powiedzcie Jit, żeby zrobiła to, co jej kazano. Powtórzcie jej moje słowa.

Przekażcie jej, że powinna zadbać, by familiantki okazywały właściwy respekt jej władcy, bo w przeciwnym razie żadnej z was nie zostanie ani jedna ręka, żeby ją karmić.

Cofnęły się jeszcze trochę, na ich twarzach widać było strach.

Nagle odwróciły się, żeby odejść.

- Będzie, jak rozkazałeś, biskupie - powiedziała ta z odciętą dłonią. - Przekażemy naszej pani twoje słowa.

- Oby tak było.

Hannis Arc patrzył, jak zawirowały niczym dym i wyśliznęły się przez szczeliny wokół ciężkich drzwi. Uważały przy tym, podobnie jak Mohler, by nie napotkać spojrzenia kobiety trzymającej tam straż.

Hannis Arc wciążył się w gniewem. Naprawi krzywdy. Duch ojca będzie patrzył z zaświatów, jak syn wreszcie wywiera zemstę na dynastii Rahlów.

To był świt nowego dnia w D'Harze, i to pod wieloma względami. Zbliża się kres mrocznych wieków pod rządami Rahlów.

Richard Rahl lada chwila straci władzę. Wszystko straci. Hannis Arc się o to postara. A kiedy to nastąpi, strachliwi ludzie będą wołać o nowego przywódcę.

Wreszcie stanie się zadość sprawiedliwości.

Hannis Arc wyszarpnął nóż z biurka. Zwiotczała dłoń wciąż tkwiła na ostrzu.

Wyciągnął nóż ku kobiecie przy drzwiach, a ona podeszła do biurka.

- Pozbądź się tego, dobrze?

Kiedy sięgnęła po nóż, nagle go cofnęła.

- Nie, mam lepszy pomysł. - Skinął ostrzem. - Umieść to w gablocie, o tam, żeby goście widzieli.

Kobieta w czerwonym skórzanym uniformie uśmiechnęła się posępnie.

- Jak sobie życzysz, lordzie Arc.

## Rozdział 38

Richard ziewnął. Podniósł wzrok znad zawiłości tłumaczenia symbolicznych elementów, nad którym pracował, i zobaczył Zedda wchodzącego do biblioteki. Za wysokimi oknami wstawał świt, odsłaniając czyste niebo.

Dziwna wiosenna burza minęła, lecz wydawała się jedynie zwiastunem większych problemów. Richard nie miał wątpliwości, że szykują się kłopoty, chociaż nie znał przyczyny. Ogarniało go znajome, niepokojące uczucie, że nic nie wie o tym, co się naprawdę dzieje.

Tego wszystkiego - od chorego chłopca na targowisku po burzę, osobliwe zgony, najrozmaitsze dziwaczne przepowiednie i od dawien dawna pogrzebaną maszynę, która nagle ożyła - było zbyt wiele jak na zwykły zbieg okoliczności. To, co wydawało się zbiegiem okoliczności, zawsze go irytowało. Najbardziej martwiła go maszyna; niepokoił się, że to ona może być źródłem problemów.

Przekład napisów z metalowych pasków jedynie potwierdzał jego podejrzenia.

Od kiedy się domyślił, że wszystko w księdze jest lustrzanym odbiciem, tłumaczenie, chociaż uciążliwe, przebiegało gładko. Im więcej się dowiadywał, tym bardziej się niepokoił.

Kiedy dziadek szedł przez bibliotekę, Richard zauważył, że jego kroki nie są tak sprężyste jak zazwyczaj. Pomyślał przelotnie, że Zedd wygląda jak starzec, zmęczony starzec. Umiał czytać ze zmarszczek na dziadkowej twarzy, więc wiedział, że Zedd także się martwi tajemniczymi kłopotami, jakie na nich spadły. Zniknęła typowa dla czarodzieja żywiołowość i niekiedy wręcz dziecięce postrzeganie świata. I właśnie to - bardziej niż jakiegokolwiek słowa - przekonywało Richarda o powadze sytuacji.

To i przekłady symboli z pasków.

Richard włożył dłoń w księgę, żeby karty się nie przewróciły, i właśnie wtedy kątem oka pochwycił to, czego szukał.

- Tu jest pierwszy - powiedział do Berdine i postukał palcem w symbol na stronie.

- O, ten. Jak wygląda jego lustrzane odbicie?

Berdine pochyliła się, czytając objaśnienie w górnod'harańskim.

- Ma związek ze spadaniem.

Richard zaczynał już rozumieć mowę Początku i wiedział, co wiele symboli oznacza.

Szukał jedynie potwierdzenia swoich największych obaw. Berdine właśnie to zrobiła.

- To ostatni symbol, więc...

- Więc kończy działanie podmiotu - dokończyła Berdine, która jeszcze nie domyśliła się tego, co Richard już wiedział. Wysunęła czubek języka w kąciku ust i zapisała wniosek, a potem zaczęła przewracać stronicę książki. - Potrzebny mi podmiot.

Richard dotknął metalowego paska.

- Tutaj. Skoro symbol jest odwrócony, to ta część jest podmiotem.

Zedd zatrzymał się po drugiej stronie stołu, pochylił i przymrużył oczy, starając się odczytać to, nad czym pracowała Berdine.

- Co to jest? Co zapisałaś?

- To przekład mowy Początku z tego paska - odparł Richard. - Jak Kahlan?

Zdołałaś uleczyć jej rękę?

- W końcu jestem czarodziejem, prawda? - Zedd wskazał kartę, na której pisała Berdine. - A więc już wiesz, jak korzystać z książki? Jak odczytywać symbole?

- Tak - potwierdził Richard. - To niezwykle. Symbole są niezwykle związłym rodzajem języka. Mowa Początku potrafi w krótkim rzędzie symboli wyrazić to, do czego my potrzebowalibyśmy zdań, a nawet akapitów. Za pomocą paru odpowiednio połączonych elementów może przekazać całą opowieść lub mnóstwo informacji.

Bardzo precyzyjnie formułuje skondensowaną wiadomość.

Richard już dawno temu nauczył się rozumieć symbole. Pojmował ich język, to, jak odwzorowywały rzeczy i funkcjonowały we wzorach zaklęć. Okazało się, że symbole, które już znał, mają swoje źródło w mowie Początku. Już dawno temu, nawet o tym nie wiedząc, zaczął się jej uczyć.

Kiedy zaczął korzystać z książki i tłumaczyć symbole, w pewnej nocnej godzinie poszczególne elementy wskoczyły na swoje miejsca i Richard zorientował się, w jaki sposób to, co już znał, łączy się z nowym językiem, i

jak wykorzystywać tę wiedzę do interpretowania symboli, którymi posługiwała się machina. Jakby si ę otworzyły drzwi, o których istnieniu nawet nie wiedział. W przebłysku zrozumienia wszystko, co już wiedział, objawiło się, pomagając mu pojąć nową mowę.

Uświadomił sobie, że to raczej nauka odmiennego dialektu, a nie obcego języka.

Dzięki temu szybko się zorientował, jak to funkcjonuje. Już nie potrzebowa ł Reguli, żeby zrozumieć symbole.

Zedd wziął metalowy pasek i znowu mu się przyjrzał, jakby nagle, w magiczny sposób mógł zrozumieć napis. Ale tak się nie stało.

- Skoro tak, to jak brzmi tłumaczenie? Co przekazują paski?

Richard wskazał końcówką pióra.

- Na tym, który trzymasz, napisano: „Dach się zawali”.

Zedd się zachmurzył.

- Jak tamto proroctwo niewidomej kobiety? Tej wróżbitki, Sabelli, którą spotkałeś w holu?

- Otóż to.

- Po tym, jak ch łopiec z targowiska ostrzega ł przed mrokiem? Ten gorączkujący chłopiec?

Richard skinął głową.

- Właśnie.

- Myśleliście, że majaczy.

- Wtedy tak sądziliśmy, ale może wcale tak nie było. Po ostrzeżeniu przez chłopca wysłuchałem przepowiedni ślepej kobiety, jak się potem okazało, identycznej jak te, które uzyskałem od Lauretty i z maszyny. Ch łopiec powiedział coś jeszcze i wtedy sądziliśmy, że to skutek gorączki. Powiedział: „On mnie znajdzie, wiem, że znajdzie”.

- Istotnie, brzmi to jak majaki.

Richard wziął inny pasek.

- Ten leżał na spodzie sterty w maszynie. To oznacza, że zapisała go na samym początku, zaraz po przebudzeniu si ę w ciemnościach. Ledwie mogłem uwierzyć w to, co przetłumaczyliśmy. Napis powiada: „On mnie znajdzie”.

Zedd wskazał pasek w dłoni Richarda.

- Twierdzisz, że machina przewidziała, że ją odnajdziesz?

Richard wzruszył ramionami.

- Ty mi powiedz.

- Jesteś pewien, że dobrze przetłumaczyłeś?

Richard obejrzał się na drzwi i zobaczył wchodzącego do biblioteki Nathana. I on miał ponurą minę.

- Tak, bo mam klucz, którego potrzebowałem - odpowiedział Zeddowi. - Nie wątpię w to. Wszystko gładko się układa. - Sięgnął po trzeci pasek. - Myślałem, że jest na nim tylko symbol ognia, i dało się to znakomicie przetłumaczyć według górnod'harańskiego klucza. Jest tak, jak sądziłem. Mówi wyłącznie „ogień”.

- Co z tym ogniem? - zawołał Nathan, pospiesznie podchodząc.

Zedd wziął od Richarda pasek i pokazał Nathanowi.

- Przekład potwierdził przypuszczenia Richarda. Symbol oznacza wyłącznie ogień i nic poza tym.

Richard zobaczył, jak w drugim końcu biblioteki pojawia się Lauretta, dźwigając naręcze swoich przepowiedni. Za nią szli dwaj gwardziści, targając wielkie sterty papierzyśk. Solidnie się napracują, zanim przeniosą wszystkie zapiski z jej mieszkania do biblioteki. Richard poczuł ulgę, widząc, że Lauretta zabiera wszystkie papiery ze swojego pokoju.

Nathan się nastroszył.

- Ogień.

- Właśnie - powiedział Richard. - Jeden z tamtych pasków powiada: „On mnie znajdzie”. To samo powiedział nam chory chłopiec z targowiska. Jeszcze inny pasek zapowiada, że dach się zawali, co usłyszałem i od Lauretty, i od Sabelli.

Nathan wsparł pięść na biodrze.

- Tak się składa, że jestem tu z powodu Sabelli.

- Naprawdę? Co z nią?

- Przysparza kłopotów. Paru reprezentantów krain poszło do niej, żeby wysłuchać jej prorocत्व. Upierają się, że muszą się dowiedzieć, co przyniesie przyszłość.

Richard westchnął.

- No pięknie. Co im powiedziała?

Nathan nachylił się ku niemu.

- Ogień.

- Co?!

- Tylko tyle: OGIEN. Reprezentanci wrócili i powtórzyli to innym. Wszyscy się zdenerwowali i boją się, że w pałacu wybuchnie pożar. Kilkoro obudziło się z krzykiem i wybiegło ze swoich komnat w nocnym odzieniu, bo śnił im się ogień.

- To ciekawe - mruknął Zedd, pocierając brodę.

Richard spostrzegł, że Laretta idzie ku nim.

- Lordzie Rahlu! Lordzie Rahlu! - Machała kartką. - Tu jesteś. Cieszę się, że cię znalazłam.

Zatrzymała się, zasapana, a Richard wstał.

- O co chodzi?

- Mam dla ciebie kolejną przepowiednię. Zapisalam ją, jak zawsze. Miałam ją schować razem z innymi, póki cię nie znajdę, ale oto jesteś.

Richard rozprostował kartkę. Widniało na niej tylko jedno słowo. OGIEN.

- Co tam jest? - zapytał Zedd.

Richard podał mu kartkę. Czarodziej zmarszczył brwi.

- Domyślasz się, co by to mogło oznaczać? - spytał Larettę, podając kartkę Nathanowi.

Pokręciła głową.

Wysoki prorok w milczeniu czytał i spojrzał na nich.

- To samo, co mówiła.

Zedd zerknął na Richarda.

- Jak sądzisz, co to znaczy?

Richard westchnął.

- Obawiam się...

Umilkł, bo nagle go olśniło.

Rzucił pióro na stół i pognał ku drzwiom.

- Chodźcie! - zawołał przez ramię. - Wiem, co to znaczy! Wiem, gdzie się pali!

Zedd, Nathan i Berdine pobiegli za nim. Nawet Laretta ruszyła biegiem.



## Rozdział 39

Richard, biegnąc korytarzem dla służby, wyczuł dym. Znajoma woń, dolatując od ognisk, zawsze oznaczała ciepło i bezpieczeństwo, lecz w pałacu taki drażniący swąd zapowiadał coś przerażającego. Kiedy minął ostatni zakręt, zobaczył gęste i ciemne kłęby dymu wydobywające się spod drzwi w głębi korytarza.

Berdine chwyciła go za rękaw, nie pozwalając, żeby ją wyprzedził. Ilekroć pojawiała się choć najmniejsza zapowiedź z kłopotów, wszystkie Mord-Sith robi ły, co mogły, żeby się trzymać jak najbliżej Richarda. Berdine ju ż nie tryskała wesołością, stała się nieugięta jak każda Mord-Sith w obliczu zagrożenia. Biegnąc, od czasu do czasu dotykała Agiela, jakby się upewniała, że jest pod ręką.

W głębi korytarza przez kłęby dymu Richard dostrzegł żołnierzy z Pierwszej Kompanii nadbiegających z przeciwnej strony. Kilku niosło wiadra. Wylewała się z nich woda, rozchlapując się na drewnianej podłodze. Parę kobiet, zbudzonych tumultem o tak wczesnej porze, wyszło z pokoiów i sta ło w drzwiach, zaciskając przy szyi nocne koszule. Z przestraszeniem patrzyły na przebiegających żołnierzy.

- Co się dzieje? - spytał Nathan, wybiegając z za rogu i doganiając ich. Zedd następował mu na pięty.

- Pali się u Lauretty. - Richard wskazał drzwi.

Lauretta zatrzymała się chwiejnie, z trudem łapała oddech. Po biegu twarz miała zaczerwienioną, włosy rozwiane.

- Mój pokój! - Przełknęła ślinę i dalej walczyła o oddech. Chwyciła się za głowę. - Moje przepowiednie!

Żołnierze kopniakami wywa żyli drzwi. Czarny dym, przemieszany z iskrami i płonącymi strzępami papieru, buchn ął na korytarz i wzbi ł się aż pod sufit. Za nim pojawiły się jęzory płomieni. Żołnierze lali do wnętrza wodę przez otwarte drzwi. Dymu było tyle i buchało takim żarem, iż Richard nie sądził, żeby to wystarczyło do ugaszenia pożaru.

Lauretta wrzasnęła, widząc, że żołnierze leją wodę do jej pokoju. Przepchnęła się obok Zedda i Nathana.

- Nie! Zniszczycie moje przepowiednie!

Richard wiedział, że już za późno, żeby się o to martwić. Poza tym to nie woda stanowiła prawdziwe zagrożenie dla jej zapisków. Złapał Laurettę za ramię i zatrzymał.

Inaczej wbiegłaby do płonącego pokoju, próbując ocalić swoje bezcenne proroctwa.

Dym był taki gęsty, a ona tak ciężko oddychała, że w parę sekund byłoby po niej.

Żar, nawet z tej odległości, był nie do zniesienia. Richard był zadowolony, że pałac zbudowano głównie z kamienia. Jednak niektóre części - jak podłogi i belki stropów - były drewniane. Musieli jak najszybciej ugasić pożar.

Nadbiegli kolejni żołnierze z wiadrami wody. Skierowali się ku drzwiom, odwracając twarze od żaru, i chlupnęli wodą do środka. Gniewne, gorące jęzory wystrzeliły przez otwarte drzwi, nic sobie z tego nie robiąc. Cały ich wysiłek - tak jak przypuszczał Richard - był kompletnie nieskuteczny.

Zedd też zdawał sobie z tego sprawę. Przebiegł obok wnuka, kierując się w głąb korytarza, nisko schylony pod kłębiącym się pod sufitem czarnym dymem, w stronę wyważonych drzwi ukazujących rozszalałe piekło płomieni.

Gestem jednej ręki kazał się żołnierzom usunąć z drogi, a drugą wyrzucił ku otworowi, z którego buchał dym i płomień. Richard zobaczył, jak powietrze przed dłonią Zedda faluje, spychając dym do wnętrza pokoju, lecz wydobyło się stamtąd jeszcze więcej płomieni, jakby chciały odpędzić czarodzieja. Żar zmusił Zedda do wycofania się.

- Mój dar jest zbyt słaby!

Nathan znalazł się obok Zedda i obrócił wnętrza dłoni ku wypełnionym kłębam dymu drzwiom, czyniąc użytek ze swego daru. Powietrze zafalowało i tym razem płomień cofnął się do pokoju. Na koniec dym zablokował w pomieszczeniu, a w korytarzu pozostały ciemne, cuchnące opary.

Nathan był Rahlem. Magia pałacu nie osłabiała jego daru. Podszedł bliżej, zwracając otwarte dłonie ku drzwiom. Richard przytrzymał Laurettę i patrzył, jak Nathan powoli zatacza krąg dłońmi, odcinając pokój, zdławiając pożar u źródła. Po paru pełnych napięcia chwilach ogień zgasł i prorok utkał urok schładzający resztki mieszkania Lauretty.

Potem wszedł do pokoju, sprawdzając, czy już po wszystkim, a Richard

puścił Laurettę, pozwalając jej iść za prorokiem. Łkając z żalu, pospiesznie weszła do środka.

Uniosła ręce w geście rozpacz.

- Moje przepowiednie! Drogi Stwórco! Moje przepowiednie zniszczone!

Richard stwierdził, że biedaczka ma rację. Może w najdalszych zakamarkach ocalały jakieś nie do końca spalone papierzyska, lecz z większości została jedynie poczerniała, mokra warstwa zaścielająca podłogę.

Lauretta padła na kolana, zgarniając dłońmi bezużyteczny, wilgotny popiół.

- Zniszczone! - chlipała.

Richard położył jej dłoń na ramieniu.

- Spiesz kolejną, Lauretto. Możesz korzystać z biblioteki.

Z roztargnieniem skinęła głową. Zastanawiał się, czy w ogóle go usłyszała.

W korytarzu zebrali się gapie, chcąc zobaczyć, co się stało. Wielu zatykało nosy, broniąc się przed swądem.

Dalej Richard dostrzegł kilkoro przedstawicieli krain. Mieli ponure miny. Pożar był spełnieniem przepowiedni, którą rankiem słyszeli.

Tłum się rozproszył, ludzie szeptali sobie przestrogi. Cara kroczyła, jakby nikogo wokół nie było, oczekując, że wszyscy zejdą jej z drogi. Nigdy nie było z tym najmniejszego problemu. Ludzie chętnie ustępowali miejsca Mord-Sith, zwłaszcza kiedy była tak zagniewana, jak teraz Cara. Większość za nic w świecie by nie chciała, żeby Mord-Sith zwróciła na nich uwagę.

- Nic ci nie jest? - spytała Cara, a Richard dał znak, że wszystko w porządku. - Słyszałam, że są kłopoty.

- Zajęły się przepowiednie Lauretty - wyjaśnił.

Zauważył w tłumie Ludwiga Dreiera, opata z prowincji Fajin. Z kamienną twarzą przyglądał się całemu zamieszaniu. Wreszcie przecisnął się wśród gapiów i podszedł do nich.

- Czy ktoś ucierpiał? - zapytał Richarda.

- Nie - odparł zapytany. - Mieszkanie Lauretty było zawałone papierami. Pożar mógł wybuchnąć w każdej chwili.

Ludwig zajrzał do środka.

- Zwłaszcza że zapowiedziała to przepowiednia.

- Czyja?

Opat wzruszył ramionami.

- Po pierwsze, ślepa kobieta. Poza tym inni też mieli to przeczucie.

Richard popatrzył na twarze ludzi w tłumie za Ludwigiem - wielu przedstawicieli krain obserwowało i słuchało.

- Kobieta korzystała w pokoju z otwartego ognia - wyjaśnił. - Wszędzie leżały sterty papierzysk. Sam jej powiedziałem, że musi je przenieść do biblioteki, bo ryzykuje zaproszenie ognia.

- Niemniej pożar zapowiedziało proroctwo.

- On ma rację - odezwała się zrozpaczona Laretta, wychodząc na korytarz. - Mnie też się ta przepowiednia objawiła. Zapisałam ją i dałam lordowi Rahlowi - powiedziała do opata, ocierając łzy z policzków. - Teraz już wszyscy wiemy, co oznaczała.

Opat przeniósł gniewne spojrzenie na Richarda.

- Miałeś groźną przepowiednię o pożarze w pałacu, którą dostarczono bezpośrednio tobie, i nic nikomu nie powiedziałeś? Zatrzymałeś to dla siebie?

- Gdy tylko mi ją przekazałam, od razu tutaj pognał - wyjaśniła Laretta, zanim Richard zdążył się odezwać, i tym sposobem oszczędziła mu tłumaczenia si ę. - Nie było czasu, żeby kogoś ostrzec ani żeby jakoś zapobiec pożarowi.

Zatroskany opat westchnął.

- Jednakowoż powinieneś poważniej traktować przepowiednie, lordzie Rahlu.

Zwłaszcza kiedy mogą wpływać na życie i bezpieczeństwo innych. W końcu do twoich obowiązków należy ochranianie poddanych Imperium D'Hary. Jesteś magią przeciwko magii i dobro nas wszystkich zależy od ciebie. Proroctwo to magia, którą dał nam Stwórca, i powinieneś poważnie je traktować.

- Sądzę, że lord Rahl w łaśnie tak traktuje proroctwa - odezwał się Nathan, spoglądając gniewnie na opata.

- To dobrze - rzekł Ludwig. - To dobrze. Tak powinno być.

Inni potwierdzili skinieniami głowy.

Cara chwyciła Agiel w dłoń i wycelowała w twarz opata.

- Lord Rahl nie potrzebuje twoich pouczeń co do swoich powinności i tego, jak powinien je wypełniać. Lord Rahl chroni nas wszystkich.

Groźny ton Cary stanowił wyraźne ostrzeżenie, że opat przekroczył granice.

Ludwig oderwał wzrok od Cary i spojrzał na Richarda.

- Twój miecz nie ochroni cię przed proroctwem, lordzie Rahlu. Nie ochroni nikogo z nas przed przyszłością. To proroctwo nas chroni. Po to Stwórca dał ludziom dar prorokowania.

Twarde spojrzenie Richarda zmusiło opata do spuszczenia wzroku.

- Dość tego.

Ludwig cofnął się niepewnie o krok, pochylając głowę w pełnym szacunku ukłonie.

- Jak każesz, lordzie Rahlu.

Wycofał się, odwrócił i odszedł, a za nim ruszyli pozostali reprezentanci krain.

- Pozwól mi go zabić - odezwała się Cara, patrząc ze złością na plecy opata.

- Zostaw to mnie - wtrąciła się Berdine. - Poćwiczyłabym.

Richard spoglądał za odchodzącym opatem.

- Gdyby to było takie proste.

- Och, myślę, że to by było całkiem proste - stwierdziła Berdine.

Richard pokręcił głową, patrząc, jak grupka znika w głębi korytarza.

- Zabijanie ludzi to nie metoda zaprowadzania spokoju.

Cara najwyraźniej zgadzała się z Berdine, lecz porzuciła ten temat i przeszła do innych spraw.

- Benjamin chciałby się z tobą zobaczyć. Powiedziałam mu, że cię znajdę i przyprowadzę do Ogrodu Życia.

## Rozdział 40

Richard minął oddziały gwardzistów i wszedł do Ogrodu Życia. Zedd, Nathan i Cara postępowali tuż za nim. Zauważył, że już postawiono rusztowanie. Wielu robotników pracowało na górze. Jedni odcinali powyginany metal, inni zaczęli mocować nową kratownicę, żeby można było wprawić szyby i zamknąć sklepienie.

Słońce już wstało i zalewało komnatę swoim blaskiem. Żołnierze Pierwszej Kompanii patrolowali ogród, mając na oku robotników na rusztowaniu, blisko źródła światła, oraz zejście w mrok pod komnatą.

Richard stwierdził, że irytują go ci wszyscy ludzie w ogrodzie. Przyzwyczał się uważać go za swoje prywatne schronienie. Przypuszczał, że jego przodkowie przez tysiące lat tak samo traktowali ogród. Pobyt w ogrodzie przerażał, bo niekiedy posługiwano się tu najniebezpieczniejszymi na świecie czarami, a zarazem ogród przez większość czasu zapewniał spokój odosobnienia.

Benjamin, rozmawiający z jednym z oficerów, dostrzegł Richarda i pospieszył ku niemu. Robotnicy nie przerwali pracy, lecz nie potrafili się powstrzymać od zerkania w dół kątem oka.

- Nic ci się nie stało, lordzie Rahlu? - spytał Benjamin. - Słyszałem, że wybuchł pożar. Matka Spowiedniczka też się martwi.

- Nic mi nie jest. - Richard wskazał przez ramię na dziadka i proroka. - Na szczęście byli tam Nathan i Zedd. Stłumili ogień.

- Co za ulga.

Richard się rozejrzył.

- Gdzie Kahlan?

Benjamin skinął dłonią ku dziurze w podłodze.

- Ona i Nicci są na dole przy maszynie.

Richard ruszył ku drabinie, a Cara dołączyła do Benjamin.

- Powiedziałam lordowi Rahlowi, że chcesz się z nim zobaczyć.

Benjamin dogonił Richarda.

- Tak, to prawda. Mam informację, o którą prosisz, lordzie Rahlu.

Richard przystanął przy drabinie prowadzącej w ziejącą otchłań.

- O tym, jak głęboko maszyna?

Benjamin potaknął.

- Mia łaś rację. Ten dziwny występ w bibliotece, kilka pi ęter pod nami, wi ąże się z machiną. Ściana biblioteki musi być tak wypukła, żeby okrążyć to coś, co jest za nią.

Za ścianą, przy której sta ła na półce Regula. To kazało Richardowi jeszcze raz się zastanowić nad rozmieszczeniem ksiąg w bibliotekach. Pozornie poukładano je zupełnie bez sensu. Ale może tylko dlatego tak mu się wydaje, bo o wiele za ma ło o nich wie.

Richard przytrzymał drabinę i pozwolił Zeddowi i Nathanowi zejść jako pierwszym. On ruszył za nimi, a pó źniej Cara i jej m ąż. U stóp drabiny musieli się przedostać - kieruj ąc się do spiralnych schodów - przez spore od łamki rumoszu.

Kolejno zeszli do maszyny.

Ciche pomieszczenie o świetłał tajemniczy blask kul zbli żeniowych. Kahlan uśmiechnęła się na widok Richarda, ucieszona, że nic mu się nie stało. Nicci tylko przelotnie podniosła wzrok. Stała ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i zatopiona w myślach przyglądała się milczącej metalowej skrzyni. Richard ucieszył się, że jest tutaj i czuwa nad Kahlan.

- Jaka cicha - powiedział Richard.

- Milczy jak grób - potwierdziła Kahlan.

- Nie wydała żadnego dźwięku, nie pojawiło się też to dziwne światło, o którym opowiadałaś - odezwała się Nicci, otrząsając się z zadumy. - Jest taka spokojna i cicha, jak pewnie była przez tysiące lat.

Zedd musnął kościstymi palcami górn ą powierzchnię maszyny, jakby się obawiał bliższego kontaktu, lecz zarazem nie potrafił się powstrzymać od dotknięcia.

- To samo stwierdziliśmy z Nathanem. Żadnej aktywności.

Richarda to w łaściwie nie zmartwi ło. Nie mia łby nic przeciwko temu, żeby machina zasnęła na kolejne tysiąc lat.

- Jak twoja ręka? - spytał Kahlan.

Uniosła dłoń. Zniknął obrzęk i stan zapalny, zostały tylko niewielkie czerwone ślady. Uśmiechnęła się do dziadka Richarda.

- Zedd, cho ć ma trudności z korzystaniem ze swojego daru w pa łacu, zdołał mnie uleczyć. Powiedziałabym, że to spore osiągnięcie.

Zedd skwitował pochlebstwo machnięciem ręki.

- Uleczyć zadrapanie to nic trudnego. Tylko mnie nie proś, żebym ci na powrót przymocował głowę ani o nic równie skomplikowanego.

Richardowi ulżyło, że choć ta sprawa jest już pomyślnie załatwiona. Jedno zmartwienie mniej. Odwrócił się do generała.

- Udało ci się ustalić, jak głęboko sięga machina?

- Z moją pomocą - odezwała się Cara, podobnie jak Zedd przesuwając palcem po wierzchu maszyny, jakby kusiła uśpione zagrożenie.

- Na ile pięter w dół sięga?

Generał Meiffert przestąpił z nogi na nogę.

- Obawiam się, że nie umiem odpowiedzieć, lordzie Rahlu. Jeszcze nie znaleźliśmy spodu.

- Wydawało mi się, że masz mapy pałacu poniżej tego miejsca.

- Owszem. Udało się nam ustalić, że machina przebija się przez cały pałac.

Richard się zdumiał. Ogród Życia był jedną z najwyższych położonych komnat. Pod nimi ciągnęło się wiele pięter.

- Przez całą wysokość pałacu? Jest aż tak wielka?

- Jest jeszcze gorzej, Richardzie - powiedziała zatroskanym głosem Kahlan.

- Obawiam się, że Matka Spowiedniczka ma rację. Gdy tylko rozrysowaliśmy rozkład pałacu poniżej i przekonaliśmy się, że machina ciągnie się w dół poprzez sam jego rdzeń, zeszliśmy do tuneli rewizyjnych fundamentów pod najniższym poziomem.

Wywierciliśmy niewielki otwór w murze fundamentów i dotarliśmy do litego metalu - Benjamin przesunął kłykciami po bocznej ścianie metalowej skrzyni - dokładnie takiego samego jak boki tej maszyny i jak za ścianą biblioteki.

Richard wpatrywał się w milczącą maszynę oświetloną blaskiem kul zbliżeniowych.

Wcale nie wydawała się tak wielka. Musiał się pochylać, żeby zajrzeć w okienko. Lecz wtedy rzeczywiście mógł stwierdzić, że machina sięga o wiele głębiej, niż się wydawało, sporo poniżej poziomu, na którym się znajdowali.

- Jeżeli przechodzi przez fundamenty pałacu i wnika w płaskowyż, to nie można ocenić, gdzie się kończy.



Nikt nie przerwał pełnej niepokoju ciszy. Richard powiódł wzrokiem po posępnych twarzach.

- Powiedz mu - ponagliła Nicci.

- Właściwie tam na dole znaleźliśmy nie tylko maszynę - powiedział Benjamin, ciężko wzdychając.

- Tam na dole? Masz na myśli korytarze we wnętrzu płaskowyzu?

- Niezupełnie - odezwała się Cara, wyraźnie niezadowolona z przeciągających się wyjaśnień. - Gdy się zorientowaliśmy, jak maszyna przebiega przez pałac i jak układają się ułożone wokół niej komnaty i schody, mapowaliśmy coraz niższe poziomy.

Nathan i Zedd nam pomagali. Wszystkie części pałacu tworzą taki skomplikowany układ, że w ogóle nie zdawaliśmy sobie sprawy, że za ścianami rozmaitych komnat i klatek schodowych kryje się coś tak olbrzymiego.

- Zawsze wiedzieliśmy, że pałac zbudowano na planie zakłęcia. - Nathan wskazał w górę. - Ogród Życia jest centralnym splotem jego wzoru, bo działa jako pole ograniczające.

Richard spojrzał chmurnie na proroka.

- Uważasz, że skoro Ogród Życia jest polem ograniczającym, to maszynę ukryto w centralnym splotie?

- W pewnym sensie, ale nie całkiem - rzekł Nathan. - Centralny splot utrudniał zorientowanie się, że tkwi tu maszyna, po prostu dlatego, że znajduje się w środkowej części wzoru zakłęcia. Żeby zakłęcie działało, centralny splot nie może zostać naruszony ani z boków, ani od spodu, dlatego schody i korytarze poniżej biegną zgodnie z wymaganiami jego wzoru. To dlatego komnaty i korytarze okrążają maszynę.

Nie po to, żeby zrobić dla niej miejsce czy ją ukryć, lecz by nie naruszyć centralnego splotu.

Richard pograżył się w myślach, zastanawiając się nad rysunkiem wzoru zakłęcia.

Wzory zakłęcia były symbolami. Rozumiał je. Pojmował, jak działa to tutaj - przynajmniej w teorii.

- Oczywiście - powiedział. - Nie możesz naruszyć osi formy. Sieć zakłęcia nie jest dwuwymiarowa, tylko trójwymiarowa. Coś poniżej naruszyłoby centralny splot, tak samo jak korytarz biegnący przez środek Ogrodu Życia

zniszczyłby pole ograniczające. - Spojrzał na obserwujące go osoby z darem.  
- Środkowa część formy zaklęcia jest odgradzona komnatami i korytarzami znajdującymi się pod nią, żeby chronić splot.

- To prawda - odezwała się Nicci. - I tak się składa, że za tymi ścianami znajduje się machina.

Richard zaczynał pojmować wynikające z tego zdumiewające implikacje.

- Taka osiowa konwergencja formy zaklęcia jest zasilana od spodu. - Oszołomiło go nagłe zrozumienie. - To dlatego korytarze i schody, prowadzące do pałacu, do jego centralnego splotu, przez wnętrze płaskowyzu, biegną spiralnie w górę.

- Właśnie tak - potwierdziła Cara. - Schody i korytarze wznoszą się po spirali, podobnie jak komnaty w pałacu pod nami. To ułatwia mapowanie płaskowyzu. Może mieć sporą wysokość, ale podstawowy wzór, spiralne wznoszenie się komnat i schodów, jest prosty, gdy tylko się to zrozumie.

Richard nie potrafił sobie wyobrazić Mord-Sith uważającej, że magia jest prosta, czy pojmującej, jak działa. Przenosił wzrok z jednej twarzy na inną.

- Chcesz powiedzieć, że machina sięga tak głęboko w sam środek spirali wznoszącej się we wnętrzu płaskowyzu?

- Gorzej - oznajmiła Cara. - Kiedy zaczęliśmy mapować, a Nathan i Zedd pokazywali nam, jak narysować formę zaklęcia, zeszliśmy w dół przez pałac i znaleźliśmy centralny szyb będący tym splotem. Środkową część, w której tkwi machina.

Pozwoliło nam to rozrysować schemat w głąb płaskowyzu.

- Ale nie wwiercaliście się w mury, żeby sprawdzić, czy machina jest rdzeniem płaskowyzu? Więc nie macie pewności, że sięga aż tak głęboko.

- Nie musieliśmy - stwierdził Benjamin.

Cara skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Posłałam Nydę z paroma innymi Mord-Sith ze zrobioną przez nas mapą, żeby eskortowały Benjamina w głąb płaskowyzu. Rozumie się, że tam tunele tworzą podobny układ. Mają taki sam ochronny rdzeń jak pałac powyżej.

Richard potaknął.

- Tak musi być, ponieważ podtrzymują oś formy zaklęcia: pole ograniczające, którym jest Ogród Życia. Nienaruszona forma zaklęcia musi

sięgać aż do ziemi. Nie można jej naruszyć od spodu, bo całość przestałaby działać.

- Na dole, w najgłębszych zakamarkach, w centrum tuneli, odkopaliśmy z Nydą szyb rewizyjny. - Benjamin postukał palcem w milczącą maszynę. - Trafiliśmy na metalową ścianę tego czegoś.

Richardowi a ż się zakręciło w głowie od oszałamiających konsekwencji. Maszyna, wznosząc się przez wnętrze pałacu aż pod Ogród Życia, docierała tutaj, przebijając się przez płaskowyż, aż z położonych daleko w dole równin Azrith.

## Rozdział 41

Richardowi trudno było zrozumieć, co to wszystko oznacza: czym tak naprawdę jest machina, kto ją stworzył i dlaczego tak długo pozostawała w ukryciu.

Oraz - co gorsza - dlaczego tak nagle zbudziła się z długiego snu.

Podjeżdżał, że w końcu przestano z niej korzystać - bez względu na to, do czego służyła - a jako że była tak olbrzymia, że trudno byłoby ją zdemontować, po prostu ją zamurowano i z czasem o niej zapomniano.

Mogło jednak być i tak, że maszynę zabezpieczono, bo była źródłem kłopotów.

Nie po raz pierwszy proroctwo sprowadzało problemy. Być może teraz z jakiejś przyczyny machina już niczym nie zagrażała.

Lecz nic nie tłumaczyło, dlaczego ożyła.

Richard - jak na razie nie mógł sobie odpowiedzieć na żadne z tych pytań - powiedział do dziadka:

- Czego się zdołałeś dowiedzieć o naturze maszyny?

Zedd wyglądał na zirytowanego, a może też trochę zmieszanego. Zanim odpowiedział, spojrzął na Nathana i Nicci:

- Obawiam się, że niczego.

Nie takiej odpowiedzi Richard się spodziewał, a już najmniej po Zeddzie.

- Niczego? Zupełnie? Przecież coś musiałeś wykryć.

- Przykro mi, ale nie.

Richard rozłożył ręce w geście frustracji.

- Przecież korzysta z magii. Możesz przynajmniej coś powiedzieć o tej magii?

- Ty tak twierdzisz. - Zedd położył dłoń na maszynie. - Nie wykryliśmy żadnej magii. Machina była równie cicha jak grób, w którym spoczywa. Dla nas to tylko nieruchomy zestaw zębatek, dźwigni, kół, zapadni i wałków. Sięgaliśmy wzrokiem w dół, jak daleko się dało, ale do niczego nas to nie doprowadziło. Całe wnętrze wydaje się ze zwykłego metalu, choć jest imponujące.

Richard przeczeszał palcami włosy.

- Więc co ją wcześniej wprowadziło w ruch?

Zedd wzruszył ramionami.

- Zrobiliśmy wszystko, co nam przyszło do głowy, żeby ją uruchomić, żeby zareagowała, co by ujawniło jej naturę, lecz bez skutku. Podziałaliśmy na nią smużkami magii, rzuciliśmy czary analizujące i wysłaliśmy do wnętrza magiczne próbki, ale bez rezultatu.

- Może dlatego, że pałac osłabia twoją moc - odpowiedział Richard.

- Jestem Rahlem, więc moja moc wspaniale działa w pałacu - odezwał się Nathan, przesuwając dłonią nad machiną - lecz i mój dar był równie bezsilny.

Richard spojrzał na Nicci. Miała inne umiejętności niż czarodzieje. Mogła korzystać z Magii Subtraktywnej. Miał nadzieję, że jej unikatowy dar pozwolił jej wyczuć magię niedostępną dla Zedda i Nathana.

- Powinnaś móc coś o tym powiedzieć.

Pokręciła głową, jeszcze zanim skończył mówić.

- Jest tak, jak twierdzi Zedd. Żadne z nas nie mogło wykryć magii. Kahlan opowiedziała mi, co się działo, kiedy znaleźliście maszynę. Szczelina, w której znaleźliście metalowe paski z symbolami, jest pusta. Maszyna nie zapisała ani jednego paska od tamtej pory.

Sfrustrowany Richard ciężko westchnął.

- Ale jak robiła to wszystko?

Nicci rozprostowała skrzyżowane ramiona i wyciągnęła rękę ku maszynie.

- Od kiedy ją ostatni raz widziałeś, nie obróciła żadną zębatką, nie wypuściła nawet iskierki światła. Jest tak nieruchoma i milcząca, jak pewnie była przez tysiące lat.

- Przecież wszystkie wewnętrzne elementy się poruszały i obracały, oświetlone dziwnym pomarańczowym blaskiem.

- Ja też to widziałam - wtrąciła Kahlan. - Nie przywidziało się nam to.

- Nie twierdzimy, że wam się przywidziało - powiedział Zedd, wzdychając i zabierając dłoń z maszyny. - Mówimy jedynie, że my niczego takiego nie widzieliśmy.

Niczego nie ustalimy, póki znowu się nie obudzi.

Richard tak naprawdę poczuł ulgę, że maszyna zamilkła. To oznaczało mniej problemów do rozwiązania. I tak, nawet bez jej udziału, mieli aż nadto irytujących przepowiedni.

Położył dłoń na płaskim, metalowym wierzchu maszyny.

Gdy tylko jej dotknął, ziemia zadrżała, bo wszystkie ciężkie elementy nagle zaczęły się poruszać. Z głuchym łupnięciem, od którego podłoga jeszcze mocniej zadygotała, z wnętrza maszyny wystrzelił blask, niczym błyskawica w mroku, rzutując na sufit symbol - taki sam jak poprzednio, ten, który widniał na bokach maszyny i w Reguli. Masywne zębatki zaczęły się obracać, a wraz z nimi znak, wypisany światłem na suficie.

Zedd i Nathan podbiegli do maszyny i pochylili się, żeby zajrzeć w okienko.

Zedd wskazał coś i powiedział, przekrzykując łomot i stukot obracających się wielkich zębatek:

- Popatrz tam. Przesuwa przez mechanizm metalowy pasek, jak opowiadał Richard. Nicci oparła dłonie o maszynę, starając się wyczuć jej moc. Natychmiast odskoczyła, syknąwszy z bólu.

- Chroni ją pole - powiedziała, rozcierając obolałe łokcie i barki.

Zedd ostrożnie dotknął maszyny dłonią - o wiele delikatniej niż Nicci. I on musiał gwałtownie zabrać rękę. Machał nią, jakby się sparzył.

- Ona ma rację.

- Tam. - Nathan pokazał coś w okienku, uważając, żeby nie dotknąć maszyny. - Metalowy pasek przesuwa się przez wiązkę jaskrawego światła.

Przysłuchali się w milczeniu, jak Nathan i Zedd patrzą przez szybkę. Richard widział przesuwające się po ich twarzach świetlne linie, elementy symboli.

Metalowy pasek pojawił się w szczelinie.

Richard chwycił Zedda za przegub.

- Ostrożnie, jest gorący.

Zedd polizał palce i dopiero wtedy ujął metalowy pasek i pośpiesznie rzucił go na wierzch maszyny.

Richard dokładnie widział nowe symbole wypalone w metalu. Wciąż jeszcze unosiły się z nich smużki dymu. Popchnął palcem metalowy pasek i obrócił go, żeby się przyjrzeć wzorowi.

- Wiesz, co to może znaczyć? - spytała Nicci.

Richard skinął głową, wpatrując się w szereg symboli.

- Tak. „Pionek bije królową”.

- Jak przedtem - odezwała się Kahlan.

- Obawiam się...

- Patrzcie - powiedziała Nicci, wskazując w okienko. - Przygotowuje następny.

Richard chwycił pasek, gdy tylko ten się pojawił w szczelinie, i szybko upuścił rozgrzany metal na wierzch maszyny.

Zamrugnął na widok tego, co zobaczył.

Kiedy Richard wpatrywał się w pasek, Kahlan położyła mu dłoń na ramieniu.

- Co się stało, Richardzie?

- W czym rzecz? - zapytał Zedd. - Co napisała?

Richard w końcu oderwał wzrok od paska, spojrzał na dziadka, a potem na pozostałych.

- To nie powinno wyjść poza to pomieszczenie. Zrozumieliście?

## Rozdział 42

Leciutko zastukał i drzwi odrobinę się uchyliły.

- Opacie. - Kobieta całkiem otworzyła ciężkie, rzeźbione drzwi. - Rada jestem, że przyszedłeś.

Ludwig zdjął okrągłą czapkę i z szacunkiem skłonił głowę.

- Jak mógłbym odrzucić zaproszenie najpiękniejszej królowej w pałacu?

Skromny uśmiech nieco złagodził władcą minę. To było przesadzone pochlebstwo i świetnie o tym wiedziała, lecz nie mogła go nie docenić.

Odwróciła się i wprowadziła gościa do zbytelnego apartamentu; popatrywała przez ramię, upewniając się, że za nią idzie. Kanapy, obite srebrzystą materia, zaściewały barwne poduszki. Niskie stoliki i biurko w niewielkiej części dziennej miały obicie z drewna orzechowego. Dwuskrzydłowe drzwi w przeciwnym końcu komnaty prowadziły na taras z widokiem na skraj p łaskowyżu i leżące poniżej, teraz mroczone, równiny Azrith.

Komnata, o świetlna łagodnym blaskiem śwec, była godna królowej, lecz cho ć tak luksusowa, nie była lepsza od kwatery opata. Jednak nie powiedział tego.

- Usi ądz, opacie - zaprosiła gospodyni, sun ąc po wzorzystym dywanie do jednej z kanap.

- Proszę, mów mi Ludwig.

Znowu obejrzała się przez ramię i kolejny raz obdarzyła go skromnym uśmiechem.

- Dobrze, Ludwigu.

Kasztanowe w łosy upięte na czubku g łowy przytrzymawał zdobny klejnotami grzebień. Przy uszach zwieszały się pukle. Fryzura odsłaniała nieskazitelnie gładką, wdzięczną szyję.

Królowa usiadła przed rzędem poduch. Rozcięcie z przodu długiej sukni sięgało akurat tak wysoko, żeby mógł widzieć - kiedy się pochyliła i podniosła karafkę wina - gołe kolana.

- W jakiej sprawie chciałaś się ze mną spotkać, królowo?

Poklepała kanapę obok siebie, zapraszając go, żeby usiadł.

- Skoro mam mówić do ciebie „Ludwig”, ty musisz mnie nazywać



Ornetą.

Usiadł, upewniając się, że dzieli ich stosowna odległość.

- Wedle życzenia, Orneto.

Nalała czerwonego wina do dwóch kielichów i podała mu jeden.

- Królowa podająca wino?

Odwzajemniła uśmiech.

- Zwolniłam służbę i odesłałam na noc do kwater. Obawiam się, że jesteśmy całkiem sami.

Stuknęła kielichem o jego kielich.

- Za przyszłość i naszą wiedzę o niej - wzniosła toast.

Upił łyk wina, kiedy ona to zrobiła. Doceniał dobry trunek i nie rozczarował się.

- Muszę rzec, że to interesujący toast.

- Pytałeś, dlaczego chciałam się z tobą zobaczyć. Toast to wyjaśnia.

Chciałam się z tobą spotkać w sprawie proroctw.

Ludwig pociągnął spory łyk wina.

- To znaczy? - spytał, starając się, żeby w jego głosie zabrzmiało zdumienie.

Królowa zrobiła nieokreślony gest.

- Uważam, że proroctwa są ważne.

Opat skłonił głowę.

- Domyśliłem się tego parę dni temu podczas uroczystego lunchu, kiedy to Matka Spowiedniczka zagroziła nam ścięciem za to, że chcemy się więcej dowiedzieć. Byłaś godna podziwu, stawiając jej czoło. Nie można cię winić, że w końcu ustąpiłaś w obliczu śmiertelnego zagrożenia.

Uśmiechnęła się, lecz tym razem było w tym mniej skromności, a odrobinę więcej przebiegłości.

- Uważam, że to był podstęp.

- Naprawdę? - zainteresował się Ludwig. - Sądzisz, że odegrała komedię?

Ornetą wzruszyła ramionami.

- Wtedy z pewnością tak nie uważałam. Tak jak wszyscy poddałam się emocjom, nastrojowi chwili.

- To była straszliwa chwila, nie ma co do tego w ątpliwości. - Znów łyknął wina. - A teraz myślisz inaczej?

Królowa nie spieszyła się z odpowiedzią.

- Od dawna znam Matkę Spowiedniczkę. Nie osobiście, rozumie się, pochodzę z Midlandów. Przed wojną, przed powstaniem Imperium D'Hary, Midlandami rządziła Naczelna Rada, której przewodniczyła Matka Spowiedniczka, toteż w przeszłości mieliśmy z nią do czynienia. Nigdy nie uważałam, że jest okrutna czy kapryśna. Twarda - tak. Mściwa - nie.

- Więc uważasz, że tamto zachowanie było sprzeczne z jej charakterem?

- Oczywiście. Długo prowadziliśmy wojnę. Przekonałam się, że Matka Spowiedniczka nie ma litości dla wroga. Każdej nocy wysyłała dowódcę oddziałów specjalnych, kapitana Zimmera, żeby podrzynał gardła śpiącym nieprzyjaciołom.

Rankiem zawsze chciała zobaczyć sznury uszu, które zebrał.

Ludwig uniósł brwi, starając się wyglądać na zaszokowanego.

- Nigdy jednak nie słyszałam, żeby była okrutna wobec własnych ludzi, wobec niewinnych i zacnych osób. Widziałam, jak ryzykuje życie, żeby ocalić dziecko, którego nawet nie znała. Myślę, że ścięcie wszystkich zebranych wtedy w komnacie byłoby dość brutalną lekcją dla poddanych. Taka rzecz po prostu nie leży w jej charakterze, chyba że miałyby po temu ważny powód.

Ludwig przeciągle westchnął.

- Znasz ją lepiej niż ja. Wierzę ci na słowo.

- Chcę, żebyś wiedział, dlaczego zdecydowałyby się na taką ostateczność.

- Co masz na myśli?

- Że to był znakomity i przekonujący spektakl, przynajmniej dopóki sobie tego nie przemyślałam. Sądzę, że zrobiła to, ponieważ ż wraz z lordem Rahlem coś przed nami ukrywają.

Ludwig zmarszczył brwi.

- Ukrywają coś? Co?

- Proroctwo.

Wolał znowu napić się wina i milczeć, żeby królowa mogła przedstawić swoje domysły.

- Chciałam się z tobą zobaczyć, bo słyszałam, że masz do czynienia z przepowiedniami.

Uśmiechnął się.

- Tak, chyba można tak powiedzieć.

- A więc w twojej krainie respektuje się proroctwa?

- W prowincji Fajin. To stamtąd pochodzę. Biskup...

- Biskup?  
- Hannis Arc. Biskup Hannis Arc włada prowincją Fajin.  
- I uważa, że proroctwa mają znaczenie?  
Ludwig odrobinę się przysunął i powiedział konfidencjonalnie:  
- Oczywiście. Wszyscy tak uważamy. Zbieram dla niego przepowiednie, żeby mógł się nimi kierować w rządzeniu naszą krainą.  
- Tak powinni czynić lord Rahl i Matka Spowiedniczka.  
Wzruszył ramionami.  
- Tak sędzę.  
Dolała mu wina.  
- Ja też.  
- Jesteś mądrą władczynią, Orneto.  
Tym razem to ona westchnęła.  
- Na tyle mądrą, by wiedzieć, że proroctwa są ważne. - Położyła mu dłoń na przedramieniu. - To ogromna odpowiedzialność przewodzić ludowi. A niekiedy jedynie samemu wierzy się proroctwom.  
- Przykro mi to słyszeć, to znaczy o tym, że jesteś osamotniona w swojej wierze.  
Nie ma przy tobie żadnego króla?  
Pokręciła głową.  
- Nie. Od kiedy zasiadłam na tronie, a miałam wtedy dobrze po dwudziestce, po wielu latach przygotowań, obowiązek był moim jedynym towarzyszem. Trudno znaleźć czas dla siebie i dla towarzysza, który podzielałby moje przekonania.  
- Jaka szkoda. Myślę, że Stwórca nie bez powodu obdarza nas uczuciami, podobnie jak nie bez powodu zsyła nam proroctwa.  
Na chwilę zmarszczyła brwi.  
- Tak, dotarło do mnie to, o czym napomykałeś innym, że chociaż nie czcisz Stwórcy, to uważasz, iż proroctwa są z Nim powiązane. To interesująca sprzeczność.  
Ludwig napił się wina, dając sobie czas na zebranie myśli.  
- Czy kiedykolwiek rozmawiałaś ze Stwórcą?  
Zaśmiała się, przykładając dłoń do piersi.  
- Ja? Nie. Nigdy nie uznałam, że warto poświęcić czas na rozmowę ze mną.  
- No właśnie.

Śmiech umilkł.

- No właśnie?

- Tak. Stwórca wszystko stworzył: góry, morza, gwiazdy na niebie. Stwarza życie, stwarza wszystkie żywe istoty.

Królowa spoważniała i lekko pochyliła się ku opatowi.

- Mów dalej.

- Czy potrafisz sobie wyobrazić istotę zdolną dokonać czegoś takiego? To znaczy, czy potrafisz sobie wyobrazić Stwórcę? Byt, który wszystko stworzył i nadal, co dnia, stwarza nowe życie? Każde nowe źdźbło trawy, każdą nową rybę w morzu, każdą nowo narodzoną na świecie duszę? Jak moglibyśmy, zwyczajni ludzie, wyobrazić sobie taką istotę? Nikt z nas tego nie potrafi. Nie mamy żadnego punktu odniesienia dla tworzenia z nicości na tak ogromną skalę. Dlatego uważam, że Stwórca musi stać ponad wszystkim, co potrafiłbym sobie wyobrazić.

- Chyba masz rację.

Postukał się w skroń.

- Skoro nasze małe ludzkie umysły nie są w stanie sobie wyobrazić takiej istoty, to jak możemy Go poznać? Lub ośmielać się myśleć, że On dostrzega każdego z nas z osobna? Jeżeli prawdopodobnie nie możemy Go poznać, to jak moglibyśmy mieć czelność Go wielbić? Jak śmiemy myśleć, iż wiemy, że On pragnie naszego uwielbienia? Dlaczegoż miałby go chcieć? Czy ty pragniesz, żeby wielbiły cię mrówki?

- Nigdy nie patrzyłam na to w ten sposób, lecz wiem, o co ci chodzi.

- To dlatego nigdy do ciebie nie przemówił ani do nikogo z nas. Stwórca jest wszystkim, my niczym. Jesteśmy drobinkami pyłu, którym daje życie, i kiedy umieramy, nasze ziemskie ciała obracają się w pył. Czemu On miałby do nas przemawiać? Czy ty byś się zniżyła do rozmowy z pyłkiem?

- Uważasz zatem, że Stwórca o nas nie dba? Że jesteśmy dla Niego niczym?

- Tam, skąd pochodzę, wierzymy, iż Stwórca troszczy się o nas, lecz w ogólnym sensie, i dlatego przemawia do nas, lecz nie bezpośrednio.

Zasłuchana w słowa opata, Ornetta przysunęła się do niego i znów położyła dłoń na jego przedramieniu.

- Uważasz, że naprawdę Go obchodzimy? I dlatego do nas przemawia?

- Tak, przez proroctwa.

W komnacie zaległa głucha cisza.

- Proroctwo to słowa Stwórcy?

- W pewnym sensie. - Opat obliza ł wargi i pochyli ł się ku niej. - Wszystko jest dziełem Stwórcy. Stworzył samo życie. Czy nie sądzisz, że powinien się interesować swoim dziełem?

- Owszem, lecz twierdziłeś, że do nas nie przemawia.

- Nie bezpośrednio, nie do któregoś z ludzi, ale przemawia do nas na swój sposób. Stworzył życie i niektórym dał dar, magię, żeby inni mogli Go usłyszeć. Wie o wszystkim:

o tym, co by ło, i o tym, co si ę dopiero wydarzy. Poprzez dar magii, którym obdarzył ludzi, zsyła nam proroctwa, byśmy się nimi kierowali.

Królowa piła wino i rozmyślała. Po chwili znowu spojrzała na opata.

- To dlaczego lord Rahl i Matka Spowiedniczka nie chc ą, żebyśmy znali proroctwa, które zsyła nam Stwórca, byśmy się nimi kierowali? W ko ńcu obydwójce mają dar.

Ludwig uniósł brew.

- Istotnie, dlaczego?

Mocniej zmarszczyła brwi.

- Co sugerujesz?

Przez chwilę obserwował jej twarz. Była naprawdę atrakcyjną kobietą. Odrobinę za chudą, ale bardzo pociągającą.

- Orneto, kto byłby zainteresowany tym, byśmy nie znali wskazówek, które Stwórca zsyła ludziom, by pomóc im unika ć życiowych niebezpieczeństw? Wskazówek pozwalających zachować życie?

Przez chwil ę patrzyła w dał, zastanawiaj ąc się nad tym. Na jej twarzy odmalowa ło się zrozumienie. Spojrzała na opata szeroko otwartymi oczami.

- Opiekun zaświatów... - wyszeptała.

## Rozdział 43

Orneta odrobinę się wyprostowała, odpychając się dłonią wspartą o kolano i zastanawiając się nad konkluzją.

- Powiadasz, że Opiekun zaświatów... jak by to powiedzieć... rzucił urok na lorda Rahla i Matkę Spowiedniczkę? Że są opętani?

Opat nakrył dłonią jej rękę, podkreślając tym gestem wagę swoich słów.

- Śmierć nieustannie stara się zniszczyć życie. Jedynym celem Bezimiennego, jak go nazywamy tam, skąd pochodzę, jest odbieranie życia ludziom, strącanie ich ze świata istot żywych w wieki mrok zaświatów. Niekiedy rzuca uroki na ludzi, żeby ich skłonić do wykonywania swych poleceń.

Orneta cofnęła dłoń i jakby ochłonęła.

- To niedorzeczne. Lord Rahl i Matka Spowiedniczka nie są zwolennikami Opiekuna zaświatów. Nie znam osób bardziej oddanych życiu.

Ludwig nie pozwolił jej się wycofać. Znowu się ku niej nachylił.

- Sądysz, że opętani przez Bezimiennego zawsze są tego świadomi? Gdyby tak było, to nie byłiby skutecznymi wykonawcami jego ukrytych, mrocznych poleceń, czyż nie?

Znów przykuł jej uwagę.

- Powiadasz, że nieświadomie ulegają podszeptom Opiekuna zaświatów? Że bezwiednie wypełniają jego rozkazy? Że są opętani, lecz o tym nie wiedzą?

Pochylił ku niej głowę.

- Nie sądzisz, że gdyby Opiekun chciał się kimś posłużyć, nagiąć go do swojej woli, to wybrałby osoby, których nikt by nie podejrzewał? Kogoś, komu się ufa, kogo się podziwia i słucha?

Znowu odwróciła wzrok i rozważała te słowa.

- Tak mi się wydaje. Przynajmniej teoretycznie.

- Z naszych doświadczeń wynika, że opętani mogą w ogóle sobie nie zdawać sprawy z tego, co ich spotkało, jako że nadal trują się na rzecz dobra, przynajmniej pozornie.

Lecz ilekroć Bezimienny tego zapragnie, pociąga za niewidzialne

sznurki, które mocno do nich przyczepi ł. Są idealnymi nosicielami, ca łemu światu wydaj ąc się zacnymi ludźmi, którym można ufać, chociaż są gotowi wykonać każde polecenie Opiekuna.

Królowa bawiła się drogocennym naszyjnikiem znikającym między piersiami.

- Niby to bez sensu, żeby Opiekun wybrał kogoś, kogo by nie podejrzewano, że potajemnie działa na jego rzecz. A przecież...

- Tam, skąd pochodzę, zawsze jesteśmy nieufni wobec tych, którzy się odwracają od proroctw. W naszym gronie, w śród osób maj ących obowi ązek chronić lud przed mrocznymi mocami Bezimiennego, wiemy, że kiedy ktoś twierdzi, iż nie wierzy proroctwom, często jest to oznaką opętania. W końcu proroctwo to s łowa Stwórcy docierające do nas za po średnictwem daru magii, wiod ące nas ku życiu. Czemu ktoś miałby się od nich odwracać... chyba że słucha mrocznych podszeptów?

Orneta d ługo patrzyła w dal, zatopiona w my ślach, zanim si ę odezwała, a i wtedy mówiła na poły do siebie:

- Zawsze ma przy sobie tę kobietę, Nicci. Ludzie mówią, że jest znana również jako Pani Śmierci...

- A lord Rahl i Matka Spowiedniczka wydaj ą się przeciwni proroctwom, na przekór zdrowemu rozsądkowi. Sama bezskutecznie próbowałaś ich przekonywać.

Znowu na niego spojrzała z powagą i skupieniem.

- Naprawdę chcesz powiedzieć, iż wierzysz, że lord Rahl i Matka Spowiedniczka są sługami Opiekuna?

Ludwig starł palcem drobną plamkę z czapki.

- Ufamy proroctwom, tote ż dogłębnie je badamy, zarówno te pochodz ące od osób ogłaszających omeny, jak i te z ksiąg. Mamy wiele starożytnych tekstów, w których szukamy wskazówek, jak uniemożliwić Bezimiennemu zabieranie ludzi, zanim upłynie przypisany im czas życia. Studiując owe starodawne teksty, natrafiliśmy na wzmianki o lordzie Rahlu.

- Tak? - Zmarszczyła czoło, na nowo zaciekawiona. - I cóż o nim mówią?

- W starych woluminach nazywa się go fuer grissa ost drauka.

Nie rozchmurzyła się.

- To brzmi jak górnod'harański. Wiesz, co to znaczy?

- Tak, to górnod'harański, znaczy „siewca śmierci”.

Królowa odwróciła wzrok, a on nie wiedział, czy jest bliska łez czy paniki.

- Wybacz. Nie powinienem tego mówić. - Zaczął wstawać. - Widzę, że cię niepokoję. Nie powinnaś...

Chwyciła go za ramię i posadziła obok siebie.

- Nie mów tak, Ludwigu. Niewielu ludzi miałoby odwagę zmierzyć się z tak straszliwą prawdą, a tym bardziej podzielić się nią z kimś obcym, ze sprzymierzeńcem imperium D'Hary będącym u władzy.

- Modlę się, by tak nie było, naprawdę, lecz nie widzę innego wyjaśnienia tego, że obydwójce tak zdecydowanie i uporczywie odrzucają prorocтва. Jeżeli nie każesz mi odejść, powiem więcej.

Mocniej zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

- Proszę, niczego nie ukrywaj. Jeśli mam dojść prawdy, muszę wszystko usłyszeć.

- Z naszego rozeznania w tych sprawach wynika, że poplecznicy Opiekuna służą jego nieczym planom, starając się zataić prorocтва, ponieważ ujawniają one przyszłe zło, nieczne zamiary Opiekuna pragnącego odbierać życie, czyny, o których Stwórca wie i ostrzega nas przed nimi.

- Mimo wszystko trudno uwierzyć... - wyszeptała.

- Czy wiesz, że lord Rahl odnalazł ukrytą w pałacu starożytną maszynę?

Królowa odstawiła kielich i odwróciła się do opata.

- Maszynę? - Zmarszczyła brwi. - Jaką maszynę?

- Maszynę wróżebną.

Wpatrywała się w niego w napięciu.

- Jesteś pewien?

I on odstawił kielich na tacę.

- Nie widziałem jej na własne oczy, ale słyszałem szepty robotników, którzy pracowali w Ogrodzie Życia.

- Czy ktoś jeszcze wie o tej wróżebnej maszynie?

Opat się zawahał.

- Nie powinienem tego rozgłaszać, Orneto. Mówiono mi to w zaufaniu.

- To ważne, Ludwigu. Jeśli to prawda, jest to jedna z najważniejszych spraw.

- Cóż, za zamkniętymi drzwiami mówili o tym tak że inni spośród przybyłych tu władców.

- Masz co do tego pewność czy też to tylko pałacowe pogłoski?



Oblizwał wargi i znów się zawahał, zanim odpowiedział:

- Król Filip, podobnie jak ty, chciał ze mną rozmawiać o tych sprawach. Słyszał plotki o machinie, nie pytałem o ich źródło. Co więcej, słyszał również, że machina zbudziła się z długiego snu i znowu zaczęła wypisywać wróżby, jak to robiła w pradawnych czasach. Lord Rahl zataja te przepowiednie, podobnie jak istnienie samej maszyny. Król Filip, jak i ja, sądzi, że może być tylko jeden powód ukrywania proroctw i głoszącej je maszyny, zapewne zbudowanej przez przodków dzięki poradom samego Stwórcy pragnącego wspomagać ludzi.

Orneta splótła dłonie na podołku i znowu myślała jak królowa.

- Filip nie jest głupcem.

Ludwig lekko wzruszył ramionami na znak, iż trochę się krępuje, ale chętnie by powiedział więcej.

- Król Filip i inni sądzą, że lepszy dla nas byłby władca Imperium D'Hary studiujący przepowiednie i wykorzystujący je w rządzeniu. Uważa, iż to nasz jedyny ratunek w przyszłości, na co wskazują mroczne proroctwa, które wszyscy słyszeliśmy w naszych stronach od mających choćby niewielki dar jasnowidzenia. Sądzi, że potrzebujemy takiego wodza, który by dostrzegał w przepowiedniach to, czym w istocie są: ostrzeżenia Stwórcy, jakimi należy się kierować.

- Masz na myśli kogoś takiego jak twój biskup, Hannis Arc?

Opat skrzywił się odrobinę, słysząc to, jakby pomyślał, że poczuł się za bardzo pewny siebie.

- Muszę przyznać, iż wspomniał o nim król Filip, a także inni, jako o przywódcy biegłym w posługiwaniu się proroctwami, który by pozwolił im kierować sobą i ludem Imperium D'Hary, jak to czyni w prowincji Fajin.

Królowa zastanawiała się przez chwilę, a potem znów naciskała, choć nadal ledwie akceptowała to wszystko:

- Czemu lord Rahl ukrył przed nami, że znalazł wróżebną maszynę? Taka machina sprawiłaby wiele dobrego.

Opat przechylił głowę.

- Myślę, że już znasz odpowiedź, Orneta. Może być tylko jedna przyczyna, dla której nie chce, żeby ludzie dowiedzieli się o machinie i jej wróżbach.

Orneta potarła odsłonięte ramiona, szukając wzrokiem jakiegoś ratunku.

- To wszystko sprawia, że czuję się tak okropnie samotna, taka bezradna. Ludwig położył dłoń na jej ramieniu, ostrożnie ją sprawdzając.

- To dlatego tak rozpaczliwie potrzebujemy wsparcia proroców.

Orneta nie odepchnęła jego dłoni, delikatnie nakryła ją ręką.

- Nigdy się nie obawiałam pobytu w pałacu lorda Rahla. I nagle stwierdziłam, że się boję.

Kiedy spojrzała mu w oczy, zobaczyła osamotnienie, lęk zarówno przed zaufaniem mu, jak i przed niezaufaniem. Wiedział, że trzeba czegoś jeszcze, żeby ją przekonać.

- Nie jesteś sama, Orneta.

Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

Siedziała sztywno, nie poruszyła się i nie odpowiedziała na jego pocałunek.

Zmartwił się, że przesadził.

Lecz potem się poddała i wtuliła w jego ramiona. Powiedział sobie, że mógł gorzej trafić. Była od niego starsza, lecz niewiele. Prawdę mówiąc, z każdym wspólnym oddechem stawała się bardziej atrakcyjna i pociągająca.

Nie było wątpliwości, że pozwalała uczuciom przejąć nad sobą władzę. Położył ją na kanapie. Nie opierała się, ulegała mu, jego dłońom, które błądziły po jej ciele, zsuwały jej z ramion suknię.

## Rozdział 44

Kahlan zbudziła się gwałtownie, kiedy usłyszała wycie.

Wstrzymując oddech, usiadła w śpiworze. Serce tak jej waliło, że słyszała w uszach szum krwi.

Rozejrzała się gorączkowo, spodziewając się, iż lada chwila wbiją się w nią kły.

Sięgnęła po nóż. Nie znalazła go. Wpatrywała się pomiędzy drzewa, próbując wypatrzeć, skąd dobiega to mroźące krew w żyłach wycie. Nie zobaczyła żadnych bestii z obnażonymi kłami.

Uświadomiła sobie, że wcale nie jest w lesie, lecz w pałacu. Udało się jej trochę przespać na skraju niewielkiego pałacowego lasu. Nie było żadnych psów, wilków ani innych zwierząt. Była bezpieczna. Zbudzili ją gwardziści otwierający komuś dwuskrzydłowe drzwi Ogrodu Życia. Wycie było skrzypieniem zawiasów ciężkich wrót.

Odgarnęła włosy z twarzy i głęboko odetchnęła. Musiało się jej coś przyśnić.

Wydawało się to takie realne, a było jedynie snem, z którego szybko się otrząsnęła.

Rozmasowała ramiona, rozglądając się, i znowu westchnęła z ulgą, że to był tylko sen i szybko się rozwiewał. Nagie gałęzie drzew, zgodnie z porą roku, nabrzmiewały pąkami. Wkrótce okryją je liście. Strop wreszcie naprawiono i oszklono i wiosenne słońce w kilka dni nagrzało Ogród Życia, czyniąc znowu ponownie przytulne schronienie i miejsce, w którym ona i Richard mogli spać. Nie było tak wygodnie jak w łóżu, lecz o wiele łatwiej zasypiali, nie czując spojrzenia czyichś oczu.

Kahlan potarła zaspane oczy i zmrużyła je, patrząc na księżyc w pełni świecący przez szklany strop. Jego położenie na czarnym niebie wskazywało, że spała bardzo krótko. Wciąż był środek nocy.

O tym, że to noc, świadczył również upajający zapach jaśminu rosnącego na skraju niewielkiego lasu przed niskim murkiem. Małe płatki delikatnych białych kwiatów rozchyłały się wyłącznie nocą.

- Richard jest na dole? - zapytał Nathan, przechodząc obok.

Zignorował blask księżyca i zapach kwiatów i tylko wskazał ciemną,

ziewając dziurę, maszerując dróżką pośród drzew i ku środkowi Ogrodu Życia. To jego wpuścili gwardziści.

Kahlan potaknęła.

- Tak. Wspólnie z Nicci obserwuj ą maszynę na wypadek, gdyby si ę znowu obudziła. Czemu pytasz? Co się dzieje?

- Mamy kłopot - odparł, idąc ku drabinie.

Kahlan spostrzeg ła, że prorok ma co ś w ręku. Odrzuci ła koc i poderwa ła się, żeby pójść za nim.

Żołnierze Pierwszej Kompanii, zamkn ąwszy drzwi, zaj ęli pozycje. Dobre dwa tuziny najlepszych z najlepszych trzyma ło straż w Ogrodzie Życia. Zaledwie dwóch lub trzech by wystarczyło, żeby powstrzymać całą armię. Kahlan trochę krępowało, że są w pobliżu i nad ni ą czuwają, ale nie przygl ądali się jej tak jak ten stwór w sypialni. Strzegli jej bezpieczeństwa. Nie wiedziała, dlaczego potwór w sypialni si ę im przygl ądał, lecz była pewna, że nie dla ich bezpieczeństwa.

Od kiedy machina wypisała pierwszą z dwóch ostatnich przepowiedni, „Pionek bije królową”, Richard wołał nie ryzykować. Ilekroć Kahlan bez niego wychodzi ła z Ogrodu Życia, towarzyszyła jej niewielka armia, a także Nathan, Zedd lub Nicci i co najmniej dwie Mord-Sith.

Właściwie chciała mieć ochron ę przed czyhaj ącym w pałacu mrocznym niebezpieczeństwem, lecz było to niedogodne podczas spotkań z przedstawicielami krain. Denerwowało ludzi, bo miało się wrażenie, że pałac jest oblężony. Delegaci mieli jednak świadomość, że coś się dzieje i że już nastawano na jej życie, toteż ze zrozumieniem przyjmowali jej ochron ę. Lecz nikt nie wiedzia ł, o jakie zagrożenie chodzi, więc jeszcze bardziej ich ciekawiło, co proroctwo ma do powiedzenia. Mieli poczucie, że zataja się przed nimi ważne informacje.

Większość delegatów - przynajmniej na razie - rozgo ściła się wygodnie w nowych komnatach. Paru w ładców odjechało do domu, pozostawiaj ąc ambasadorów lub wysokich urzędników.

Richard i Kahlan uważali, iż to ważne, by wszystkie krainy imperium miały poczucie jedności, wspólny cel i podlega ły jednakowym prawom. Władców wszystkich obszarów rozległego imperium i ich przedstawicieli zach ęcano nie tylko do utrzymywania w pałacu urzędów, ale i do ustanowienia tu w łasnych stałych rezydencji.

Pałac był właściwie miastem na szczycie płaskowyżu i z pewnością wystarczało w nim miejsca dla wszystkich.

Nie dotyczyło to rzecz jasna wszystkich księżąt. Przynajmniej na razie odesłano ich do domu.

Ludzie chcieli jednak wyjaśnić, a Richard nie zamierzał im ich udzielić. Bo musiałby ujawnić ostatnią przepowiednię maszyny, a tego nie chciał zrobić. Nie chciał też kłamać, lecz coś musiał im powiedzieć. Toteż po prostu wyznał im część prawdy - że ostrzeżono go przed zagrożeniem.

W pałacu przebywało trzech księżąt. Jeden z nich reprezentował swojego ojca, króla Nikobarezji. Pozostali dwaj byli mniej ważni, ale Richard nie ryzykował. Odesłał ich do domu pod eskortą sporych oddziałów dowodzonych przez doświadczonych oficerów, których osobiście wybrał generał Meiffert.

W pałacu nie został żaden książę, chociaż zdziwiło to i zaniepokoiło niektórych delegatów, a paru z nich miało za złe towarzyszącą temu tajemniczość. Nic nie można było na to poradzić. Richard nie zamierzał ryzykować, ujawniając ostatnią przepowiednię maszyny. Pytania od czasu do czasu wystawiały na próbę cierpliwość jego i Kahlan, ale radzili sobie z tym najlepiej, jak mogli, i wszystko wreszcie się uspokoiło, kiedy ludzie zajęli się innymi, ważniejszymi dla nich sprawami.

Kiedy Kahlan zeszła z drabiny, musiała doganiać Nathana. Miał długie nogi i nie zwolnił, żeby na nią poczekać. Blask księżyca wpadający przez wyrwę w podłożu ogrodu oświetlał sklepienie znajdującego się niżej pomieszczenia leżącego nad

„grobowcem” maszyny. Kahlan nie wzięła pochodni, więc cieszyło ją światło księżyca ułatwiające przełazenie przez duże kamienne bloki, które niegdyś podpierały ogrodową podłogę i jeszcze nie zostały usunięte.

Czuwający przy maszynie Richard usłyszał, że nadchodzą, i czekał u stóp spiralnych schodów. Nicci dołączyła do niego, chcąc się przekonać, co tak nagli Nathana.

Kahlan zobaczyła, jak Richard lewą dłonią wyciąga na parę cali miecz z pochwy, a potem pozwala mu opaść, sprawdzając, czy luźno chodzi. To był stary nawyk, który zawsze wychodził mu na dobre.

- Co się dzieje? - spytał, kiedy prorok dotarł do stóp schodów.

- Znasz ostatnią przepowiednię, tę, którą machina wypluła po „Pionek

bije królową”?

Richard skinął głową.

- To o niej powiedziałem, że nie powinna się wydostać poza to pomieszczenie.

Jednak tak się stało. Nathan odnalazł ją w księdze Zapiski kresu. To nie tylko czyniło ją bardziej zatrważającą, ale też zdaniem proroka ją potwierdzało.

- Dziś wieczór - mówił Nathan - gdy wszedł księżyc, Sabella wygłosiła przepowiednię przed grupą delegatów. - Skinął ręką ku maszynie tkwiącej cicho pośrodku pomieszczenia oświetlonego blaskiem kul zblizniowych. - Było to dokładnie to samo proroctwo, które wypisała machina, a ja znalazłem w Zapiskach kresu.

Richard potarł twarz dłonią.

- Chętnie bym wysłał Sabellę jak najdalej, żeby sobie handlowała wróżbami.

- Niczego dobrego by to nie przyniosło - stwierdził Nathan. - Kiedy ona prorokowała, trzy inne osoby, nigdy dotąd niemające żadnych objawień, wpadły w trans i wypowiedziały dokładnie tę samą przepowiednię.

Richard przez chwilę milczał.

- Taką samą? Jesteś pewien?

- Tak. Słowo w słowo. Wiele osób zajmujących się tymi na wpół przytomnymi to słyszało. Teraz wie o niej jeszcze więcej ludzi. Cały pałac już by ją znał, gdyby większość mieszkańców nie spała. Jestem pewny, że do rana wszyscy będą o tym plotkować, zwłaszcza że odesłałeś książąt.

Richard się zachmurzył w zamyśleniu.

- Dlaczego różni ludzie prorokują to samo, a ty nie? Jesteś prorokiem, to ty powinieneś głosić proroctwa.

Nathan wzruszył ramionami.

- Może to nie jest prawdziwe proroctwo.

- Zupełnie jakby machina chciała mieć pewność, że ludzie poznają jej przepowiednie - powiedział na wpół do siebie Richard. - Przynajmniej książęta bezpiecznie odjechali. Może ludzie pomyślą...

- Jest gorzej.

Richard spojrzał na proroka.

- Gorzej?

- Kiedy Sabella wróżyła i kiedy się dowiedziałem o innych, którzy powiedzieli dokładnie to samo, poszedłem sprawdzić i oczywiście w bibliotece siedziała Laretta, gorączkowo to zapisując.

Nathan podał Richardowi kartkę, którą przyniósł. Kahlan położyła mu dłoń na ramieniu, pochylając się, żeby zobaczyć tekst w osobliwym blasku kul zbliżeniowych.

Richard ostrożnie rozprostował kartkę, jakby się bał, że go ukąsi.

„Książę z zachodu, przebywając w pałacu, podczas pełni księżyca padnie łupem kłów”.

- Dokładnie to samo napisała machina - powiedział zaniepokojony Richard. - Słowo w słowo. - Popatrz na Nicci. - Czy te przepowiednie mogą się wywodzić z gry, o której wspominałaś? Brzmią jakoś podobnie.

- Pierwsza z dwóch ostatnich, „Pionek bije królową”, jest odwrotnością wcześniejszej, „Królowa bije pionek”. Obie odpowiadają ruchom w grze w szachy. - Nicci wskazała kartkę, którą trzymał Richard. - Lecz ta ostatnia, o kłach dopadających księcia, chociaż brzmi podobnie, tak naprawdę nie ma nic wspólnego z szachami.

Richard westchnął z rozczarowaniem. Kahlan nie miała pojęcia, czy przepowiednie są powiązane czy nie.

- Lordzie Rahlu! Lordzie Rahlu!

To z góry wołała Cara. Zbiegała po spiralnych schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz, póki ich nie zobaczyła.

- Lordzie Rahlu, Benjamin mnie przysłał. Musisz natychmiast przyjść do kwater delegatów. Pospiesz się.

## Rozdział 45

Kahlan biegła tuż za Richardem. Mijali stojące w korytarzach grupki ludzi, byli tam wszyscy - od nocnej ekipy sprzątaczy po delegatów zajmujących pobliskie komnaty. Grube dywany wyciszały odgłos kroków i tłumiły szcęk oręża.

Kahlan nie spuszczała oka z migającego przed Richardem czerwonego skózanego uniformu - to Cara prowadziła ich przez labirynt korytarzy. Mijali zakręty i biegli wyłożonymi drewnem korytarzami obok luksusowych komnat, w których mieszkali delegaci.

Wśród żołnierzy stało wielu emisariuszy i oficjeli. Wykrzykiwali pytania, kiedy Richard i Kahlan ich mijali. Żadne z nich nie odpowiadało, nie zwalniali tempa.

Trudno, żeby wyjaśnili, co się dzieje, skoro sami tego nie wiedzieli.

Skręcili na skrzyżowaniu i Kahlan zobaczyła żołnierzy blokujących korytarz i niepozwalających nikomu przejść. Kiedy dostrzegli nadbiegającego Richarda, odepchnęli ludzi, robiąc mu przejście. Żołnierze Pierwszej Kompanii wyglądali na twarde i nieustępliwe, toteż ludzie zwykli robić to, co im nakazywano.

Kahlan dostrzegła królową Ornetę przepychającą się w pierwsze szeregi stłoczonych w korytarzu gapiów. Królowa była równie przejęta i zdezorientowana jak wszyscy.

Oprócz gwardzistów powstrzymujących napierający tłum w szerokim korytarzu stały również setki żołnierzy z Pierwszej Kompanii. Wszyscy byli w zbrojach - albo skórzanych, albo w kolczugach, albo w lśniących napierśnikach, zależnie od jednostki, do której należeli, i od funkcji. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby.

Oddziały żołnierzy z pikami o ostrych grotach cofnęły się pod ściany - trzymając piki przy sobie - kiedy przebiegali obok nich Cara, Richard, Kahlan, Nathan i Nicci. W razie potrzeby mogliby zewrzeć szeregi, tworząc w korytarzu niemal nieprzebytą ścianę zaostrej stali. Żołnierze z mieczami także ustępowali z drogi biegnącym, nie tracąc czujności.

Kahlan się zastanawiała, co ściągnęło tutaj aż tylu żołnierzy.

Kiedy wreszcie przedarli się przez tłum gapiów i zebrane oddziały,



znaleźli się w stosunkowo pustej części korytarza, gdzie nie wpuszczano nawet żołnierzy.

Przed rzeźbionymi dwuskrzydłowymi drzwiami jednej z komnat czekał generał Meiffert z garstką przybocznych. Chociaż Kahlan wiedziała, że mieszkają tu ważni goście, nie miała pojęcia, kto akurat zajmował tę komnatę.

Zatrzymali się przed drzwiami i Richard spojrzął na podłogę. Kahlan poszła za jego przykładem i zobaczyła wypływające spod drzwi strumyczki krwi - ciekły po marmurowej posadzce i niknęły pod dywanem.

Cara z Agielem w dłoni stanęła tuż za Richardem, a Nicci za Kahlan, tak że odgradzały ich od korytarza Mord-Sith i czarodziejka. Na koniec dołączył do nich Nathan, zabezpieczając tyły.

Richard wskazał drzwi i zapytał generała:

- Co się dzieje?

- Nie mamy pewności, lordzie Rahlu. Osoby w sąsiednich komnatach zbudziło wycie i wrzaski.

Richard dobył miecza. W korytarzu rozległ się charakterystyczny szcęk stali.

- Czy ktoś wie, czyja to komnata?

Generał Meiffert skinął głową.

- Króla Filipa.

- Dlaczego wszyscy tu stoicie?! - W głosie Richarda pobrzmiwał magiczny gniew miecza. - Dlaczego nikt nie wszedł i nie sprawdził, co się stało?!

Generał zgrzytnął zębami.

- Próbowaliśmy, lordzie Rahlu, ale nie byliśmy w stanie wyważyć drzwi.

Przynajmniej do tej pory. Wiele tych komnat jest przeznaczonych dla znamienitych gości ceniących sobie poczucie bezpieczeństwa, toteż drzwi są wzmocnione i zabezpieczone grubymi bolcami.

Kahlan zauważyła, że drzwi są uszkodzone i wgniecione.

- Skoro mimo wysiłków nie możemy się dostać do środka, może drzwi chroni jakaś magiczna tarcza - dodał generał.

- To możliwe, ale pałac osłabia magię, jeśli nie jest to magia Rahla - powiedział Richard. - Kto mógłby magicznie zablokować drzwi?

Kahlan widziała w szarych oczach gniew miecza, wyczuwała, że Richard

stara się nad nim panować.

Generał nie potrafił odpowiedzieć, toteż wyręczył go Nathan.

- Richardzie, nawet ktoś z osłabionym darem mógłby przywołać moc wystarczającą do stworzenia tarczy blokującej drzwi. - Przechyli ł głowę, jakby nasłuchiwał. - Niczego nie wykrywam, lecz to nie znaczy, że nie są chronione tarczą.

Generał się odwrócił, słysząc nadbiegających żołnierzy.

- Nie szkodzi, zaraz je otworzymy.

Do korytarza wkroczyła grupa żołnierzy z długim żelaznym taranem z uchwytami po bokach. Był tak ciężki, że musiało go nieść ośmiu krzepkich mężczyzn, a i tak nie było im łatwo.

W tej chwili do powstrzymujących napierający tłum żołnierzy podbiegł król Filip z mieczem w dłoni i próbował się przedostać poza kordon. Generał Meiffert da ł im sygnał, żeby go przepuścili, i król podbiegł do Richarda i Kahlan.

- To moja komnata. Co się dzieje?!

- Jeszcze nie wiemy - odparł generał.

Król Filip zauważył cieknącą po podłodze krew. Gorączkowo szarpnął za klamkę.

- Tam jest moja żona!

Uderzał barkiem w drzwi, ale bez skutku.

Richard chwycił króla Filipa za ramię i odciągnął.

- Zrób miejsce żołnierzom. Mają taran, przepuść ich.

Król Filip, to gniewny, to spanikowany, spojrzał na Richarda, a potem na niosących taran. Pospiesznie się odsunął i dał im znak.

Nie tracili czasu. Stęknąwszy z wysiłku, ruszyli biegiem z ciężkim taranem, rozpędzając się, na ile zdołali, w korytarzu. Taran z łoskotem uderzył w drzwi. Kahlan miała wrażenie, że od uderzenia zatrzęsa się cała ściana, lecz drzwi wytrzymały.

Żołnierze się cofnęli i znów rozpędzili, uderzyli taranem; posypały się drzazgi. W miejscu uderzenia pojawiło się spore wgłębienie wśród wyrzeźbionych pęczki i krąg rozszczonego drewna. Ale drzwi nadal się trzymały. Trzecia próba równie ż się nie powiodła.

Kahlan pomyślała, że najlepiej by było, gdyby ktoś z darem je wyłamał.

- Nathanie, Nicci, może któreś z was mogłoby coś zrobić?

Richard nie miał ochoty czekać.

- Na bok! - zakrzyknął niecierpliwie, kiedy żołnierze z taranem chcieli się znowu rozpędzić.

Cofnęli się niezwłocznie, a Richard chwycił oburącz miecz i uniósł nad głowę.

Ostrze ze świstem przecięło powietrze, mknąc ku drzwiom. Miecz Prawdy wykuto przed tysiącami lat i zaklęto w nim ogromną moc. Kiedy władał nim Poszukiwacz, przecinał wszystko, oszczędzał jedynie tych, których uważał za niewinnych.

Ostrze z ogłuszającym trzaskiem przebiło ciężkie drzwi. Ostre drzazgi śmignęły przez korytarz, odbijając się od ścian. Wszyscy w pobliżu uchylili się, osłaniając twarze ramionami. Po sekundzie drugi potężny cios wyrąbał w drzwiach kolejny otwór; w powietrzu znowu mignęły drzazgi, przemknęły po powierzchni dywanów. Kahlan zobaczyła, że miecz roztrzaskał ciężką belkę blokującą drzwi od środka.

Richard z całej siły kopnął w środek połamanych desek. Oba skrzydła wypadły z zawiasów do wnętrza komnaty.

Kiedy ciężkie drzwi runęły na podłogę, wzbijając kłęby pyłu i drzazg, Richard wskoczył do ciemnego pokoju.

## Rozdział 46

Kahlan zamierzała pójść w jego ślady, ale wyprzedziła ją Cara z Agielem w dłoni, zdecydowana osłaniać Richarda. Zanim zdążyła ruszyć za Mord-Sith, wyprzedziła ją Nicci. Wpadły do komnaty, lękając się o Richarda, jak zawsze pakującego się w kłopoty.

Kahlan, równie zatroskana, przecięła drogę Benjaminowi i wbiegła za nimi w mrok.

Rozgorączkowany król Filip chciał pójść za nimi, ale przytrzymali go żołnierze.

Benjamin nakazał królowi, żeby pozwolił lordowi Rahlowi i pozostałym sprawdzić, co się stało.

Znaleźli się w komnacie i stanęli jak wryci. Panowała głucha cisza.

Kahlan wstrzymywała oddech, czując woń krwi.

Obejrzała się przez ramię, w drzwiach widziała sylwetkę Benjamina czekającego na znak, czy potrzebuje wsparcia. Po przeciwnej stronie komnaty zasłony w oknach, wydęte wiatrem, wyglądały w księżycowej poświacie jak duchy.

- Nic nie widzę - szepnęła Cara.

Nicci zapaliła płomyk, który unosił się nad wnętrzem jej dłoni. Szybko znalazła świecznik, w którym nadal tkwiło parę świec, i podniosła go, a potem zapaliła świece.

Zrobiło się jaśniej i Kahlan zobaczyła coś więcej niż zarysy mebli, oświetlone księżycową poświatą wpadającą przez otwarte drzwi po drugiej stronie komnaty.

- Drogie duchy - wyszeptała w przeraźliwej ciszy.

Nicci znalazła w bałaganie parę lamp, zapaliła je i postawiła na stoliku, który nadal stał.

W ich blasku wreszcie zobaczyli skalę zniszczeń. Meble były porozbijane i przewracane. Poduchy porozrzucone. Skórzane obicia krzeseł poszarpały kły albo pazury - Kahlan nie była pewna.

Stojąca w pobliżu kanapa była czerwona od krwi. Ściany też były zbryzgane krwią, jakby rozchłapywał ją ktoś ogarnięty szałem. Wszędzie jej było pełno.

U ich stóp leżała na plecach królowa Catherine. Cz ęściowo zdarto jej skór ę z głowy. Ślady zębisk znaczyły odsłoniętą czaszkę i górną połowę twarzy. Miała częściowo oderwaną żuchwę. Oczy, nadal pełne przerażenia, wpatrywały się, nic już nie widząc, w sufit.

Ciało królowej było tak zalane krwią, że nie było już wiadomo, jakiego koloru miała suknię.

Cały brzuch był rozszarpany. Niemal przedarto ją na pół. Mięsień lewego uda, oddarty od kości, leżał z boku. Długie zadrapania, zapewne też zadane przez kły, znaczyły kość.

Trzewia rozrzucone po podłodze. Wyglądało to tak, jakby królową dopadła wataha wilków, szarpiąc i rozdzierając kłami. To, co pozostało, ledwo przypominało człowieka.

Pod Kahlan ugięły się kolana. Nie mogła nie pomyśleć o kobiecie, która zabiła własne dzieci, a którą ona poraziła swoją mocą. Kobieta przepowiedziała, że coś takiego spotka Kahlan.

Potem, w śród jelit i innych wnętrzności, zobaczyła wijącą się po podłodze pępowinę. Na jej końcu widniały szczątki nienarodzonego dziecka Catherine. Maleńkie paluszki stopek były śliczne. Górna część ciała zniknęła.

Kahlan zobaczyła, że był to chłopczyk.

Książę.

Król Filip, z okrzykiem wściekłości, wyrwał się żołnierzom, którzy za słabo go przytrzymywali. Przedarł się do komnaty. Kiedy zobaczył żonę, zamarł.

Potem krzyknął. Był to straszliwy wrzask, jedyna możliwa reakcja na tak potworny widok, wrzask, który zmusiłby do płaczu dobre duchy.

Richard otoczył ramieniem jego barki, spróbował go delikatnie odciągnąć, żeby na to nie patrzył.

Król Filip mu się wyrwał i obrócił do niego z furją.

- To twoja wina!

Nathan ostrzegawczo uniósł dłonie.

- W żadnym razie.

Król go zignorował. Uniósł miecz, celując nim w twarz Richarda.

- Mogłeś temu zapobiec!

Richard - nadal trzymając miecz w dłoni i czując jego gniew - powoli

uniósł klingę i odepchnął ostrze króla Filipa.

- Mogę jedynie zgadywać, co czujesz - powiedział tak spokojnie, jak tylko zdołał, bo przecież nadal szalał w nim magiczny gniew Miecza Prawdy, a okropna śmierć królowej wzmagala jego furię. - Twój gniew i cierpienie są całkowicie zrozumiałe - dodał.

- Skąd możesz to wiedzieć?! - ryknął król. - Nie dbasz o swój lud, bo inaczej byś nam pomógł, korzystając z proroctwa, żeby temu zapobiec!

- Proroctwo by temu nie zapobiegło - powiedział Richard.

- Odesłałeś tamtych książąt z powodu proroctwa! Wiedziałeś! Mogłeś temu zapobiec! Chciałeś, żeby to się stało!

Nicci nie spuszczała z oczu króla. Jeden nieostrożny ruch i jej moc poraziłaby Filipa, zanimby się zorientował, co się dzieje. Kahlan nie sądziła, żeby król w ogóle sobie uświadamiał, jak śmiertelne niebezpieczeństwo grozi mu ze strony Nicci, Richarda, Nathana oraz jej samej.

- Nie wiesz, co mówisz - ostrzegła Nicci. - Szukasz winy tam, gdzie jej nie ma.

Król skierował ku niej miecz.

- Świetnie wiem, co mówię! Dopiero teraz dowiedziałem się o proroctwie ostrzegającym, że w pałacu podczas pełni księżyca kły rozszarpia księcia. Gdyby lord Rahl nam o tym powiedział, moglibyśmy temu zapobiec!

- A gdybyś nie opuścił komnaty, goniąc za proroctwami - powiedziała groźnie Kahla - to byłbyś tu, żeby ocalić żonę i syna przed tym losem. Rozszarpały ich kły, bo ty szukałeś przepowiedni, zamiast być tutaj i ich bronić. A teraz próbujesz zrzucić na innych swoją winę.

Richard delikatnie dotknął ramienia Kahlan, dając jej znak, żeby zostawiła króla w spokoju. Miała rację, rzecz jasna, lecz w takiej chwili nie należało drążyć tematu.

Współczucie Richarda nie zrobiło wrażenia na królu. Znowu skierował ku niemu miecz. Richard nie spuszczał oka z Filipa, lecz nie drgnął i nie odepchnął ostrza.

Kahlan wiedziała, że - wbrew temu, co się królowi zdawało - nie byłby wystarczająco szybki. Kiedy Richard tego chciał, jego miecz uderzał z szybkością i siłą błyskawicy.

- Nie dopełniłeś obowiązku chronienia swojego ludu - warknął król.

- Robi ł, co mógł, żeby wszystkich chronić - powiedzia ła Kahlan, gotowa w razie potrzeby porazić Filipa swoją mocą.

Skierował na nią gniewne spojrzenie.

- Czyżby? To dlaczego nam nie powiedział, że znalazł wróżebną maszynę?

Richard zamrugał.

- Co takiego?

Król Filip wskazał mieczem ludzi poza komnatą.

- Wszyscy o tym wiemy. Pytanie, czemu zatajasz istnienie tej maszyny i głoszonych przez nią ostrzeżeń, prorocत्व, mogących pochodzić jedynie od samego Stwórcy?

- Nic nie wiemy o maszynie, a zwłaszcza o tym, czy ma nam pomóc czy zaszkodzić - powiedział ł Richard. - Nie możemy ufać słowom pochodzącym z nieznanego źródła. To dlatego...

- Co jest dla ciebie ważniejsze, lordzie Rahlu? Życie czy śmierć? Komu tak naprawdę służysz?

Cara uniosła Agiel, kierując go ku twarzy króla.

- Stąpasz po bardzo kruchym lodzie. Nie wiesz, co mówisz. Proponuję, żebyś bardziej zważał na słowa, by nie powiedzieć czegoś, czego ogromnie pożałujesz.

Richard łagodnie skłonił Carę do opuszczenia ramienia.

- Zrobiłbym wszystko, żeby temu zapobiec - powiedział do króla.

- Oprócz powiedzenia nam prawdy. - Filip przeniósł wzrok z Cary na Richarda. - Krążą pogłoski, że się boisz spa ć we własnych sypialniach. Teraz wiemy dlaczego. A jednak nie ostrzeg łeś ludzi przed niebezpieczeństwem czyhającym w pałacu. Nie dopełniłeś obowiązku wobec nas!

Richard spojrzał nań z gniewem, ale nic nie powiedział. Kahlan wiedziała, że w tak pełnej napi ęcia chwili nie ma sensu przemawia ć do rozumu człowiekowi, który stoi nad szczątkami żony i nienarodzonego syna.

Król Filip zgrzytnął zębami.

- Nie nadajesz się na władcę Imperium D'Hary.

- Przysięgam ci, że odnajdę tego, kto za to odpowiada, i dopilnuję, żeby sprawiedliwości stało się zadość - powiedział Richard.

- Sprawiedliwości? Wiem, kto za to odpowiada. - Król się wyprostował i

wsunął miecz do pochwy. - Wypowiadam ci posłuszeństwo. Moja kraina nie będzie podlegać twojej władzy. Już nie uznajemy cię za prawowitego władcę Imperium D'Hary.

Przelotnie spojrzął na ciało żony. Zamknął oczy, jakby powstrzymywał łzy lub krzyk rozpacz, a może też chęć zdobycia miecza.

Potem się odwrócił i odszedł.



## Rozdział 47

Richard, wciąż zaciskając miecz w dłoni, otoczył drugim ramieniem barki Kahlan.

Delikatnie położyła mu dłoń na plecach, milcząco okazując zrozumienie. Nie potrzebowali słów, poza tym w takiej chwili żadne nie byłyby odpowiednie.

Nie powiedziawszy nic tym, którzy mu się przyglądali, Richard wyprowadził ją z komnaty. Kahlan wiele razy widziała gwałtowną śmierć i do pewnego stopnia przywykła do niej, stworzyła sobie ochronny kokon, lecz on stopniowo zanikał, od kiedy wojna się skończyła. Śmierć nie była dla niej nowością. Jednakże ta - bardziej niż inne - wstrząsnęła nią do głębi.

Może dlatego, że Catherine była brzemienna. Może Kahlan poraził widok nienarodzonego dziecka, wydartego z łona matki. Może dlatego, że to przypomniało jej o własnym nienarodzonym dziecku, które zmarło, bo ją straszliwie pobito, kiedy była w ciąży. Stłumiła krzyk rozpacz i z całej siły powstrzymywała łzy, chociaż uważała, że Catherine zasługuje choćby na łzy, skoro mąż nie troszczy się o jej szczątki.

Gdy wyszli z komnaty, Richard przystanął. Leżący na białej marmurowej posadzce dywan był nieco zagięty tam, gdzie wpłynęła pod niego krew; pewnie butami żołnierzy próbujących taranem wyważyć drzwi.

Richard z jakiegoś powodu stał jak sparaliżowany i wpatrywał się w to miejsce.

Zdumiona Kahlan przyjrzała się dokładniej i wtedy ona tak że coś zobaczyła: jakiś znak w ciemnej fałdzie pod dywanem.

Richard odrzucił tkaninę czubkiem miecza.

Na odsłoniętej posadzce ukazał się - zabarwiony krwią królowej Catherine i nienarodzonego księcia - wydrapany w marmurze znak. Symbol był kolisty.

Przypominał Kahlan symbole z Reguli.

- Wiesz, co on znaczy?

Richard zbladł.

- „Obserwuj ich”.

- „Obserwuj ich”? - powtórzyła Nicci, patrząc na symbol. - Jesteś pewien?

Richard potaknął, a potem zwrócił się do Benjamina:

- Generale, proszę, zajmij się jak należy ciałem królowej. Zanim każesz wysprzątać komnatę, dokładnie ją sprawdź. Obejrzyj każdą drzazgę, poszukaj odcisków stóp we krwi i oceń, czy to dzieło ludzi czy zwierząt. Szukaj ułamanych zębów.

Zwierzęta niekiedy tracą kły, gwałtownie atakując. Szukaj sierści. Postaraj się znaleźć coś, co by nam pomogło zrozumieć, co się tutaj stało. Przede wszystkim chcę wiedzieć, czy zrobili to ludzie czy zwierzęta.

- Tak jest, lordzie Rahlu.

Richard skinął głową.

- Drzwi na końcu komnaty są otwarte na taras. Ludzie lub bestie na pewno się tamtędy dostali.

Generał Meiffert zajrzał do środka.

- Komnata jest położona na tyle blisko ziemi, że coś się mogło tędy wedrzeć, lecz nigdy nie słyszałem, żeby na płaskowyżu żyły wilki. Psy, owszem, ale nie wilki.

- Coś tu wtargnęło - powiedział Richard. - Może sfora psów. Psy, nawet udomowione, mogą zabijać ludzi, kiedy się zbiorą w stado.

Generał przytaknął.

- Osobiście dopilnuję, żeby komnatę dokładnie przeszukano.

- Muszę coś sprawdzić - rzekł Richard. - Powiedz innym delegatom, że jak na razie mamy wszelkie powody przypuszczać, że królową zabiły zwierzęta, najprawdopodobniej wilki lub psy. Powiedz im, żeby zamknęli i zablokowali zewnętrzne drzwi. Powinieneś również wystawić warty na zewnątrz, żeby wypatrywały wszystkiego, co się wydaje podejrzane. Jeżeli zobaczysz jakiegoś biegającego luzem czworonoga, zabij i sprawdź, co ma w żołądku.

Generał przyłożył pięść do serca i Richard ruszył truchtem. Kahlan, przez chwilę zaskoczona, pospiesznie ruszyła za nim wraz z innymi. Gwardziści ustępowali z drogi, widząc nadbiegającego korytarzem Richarda.

Kiedy dotarli do tłumu gapiów, gwardziści oczyścili im przejście, żeby mogli bez przeszkód się przedostać.

Delegaci chwyтали Richarda za rękaw, chcąc wiedzieć, co się stało i czy coś im grozi. Powiedział, że zagrożenie minęło i że żołnierze się tym zajmą, lecz nie przystanął, żeby wyjaśniać lub dyskutować.

Wreszcie wydostali się z części dla gości, minęli zawsze strzeżone drzwi i znaleźli się w wydzielonej części pałacu niedostępnej dla ogółu. Nareszcie daleko od ludzi, od ich pytań i oskarżycielskich spojrzeń. Mała grupka wybrała skrót przez amfiladę komnat oświetlonych zaledwie paroma lampami i niewielkie biblioteki rozjaśniane jedynie żarem tłącym się w kominku lub blaskiem wpadającym przez otwarte drzwi.

- Dokąd idziemy? - spytała Kahla, truchtając obok Richarda, gdy tylko się znaleźli w szerszym korytarzu.

- Do naszej ostatniej sypialni.

Kahlan zastanowiła się nad tym przelotnie, słuchając niosącego się echem odgłosu ich kroków.

- Masz na myśli te, w której... coś zobaczyliśmy?

- Otóż to.

Wkrótce dotarli do znajomego korytarza. Ściany były wyłożone drewnem, pod nimi stały postumenty z kryształowymi wazonami tulipanów. W połowie korytarza znajdowała się sypialnia, którą Kahlan dla nich wybrała, ostatnia, którą zajęli, zanim zaczęli sypiać w Ogrodzie Życia, wkrótce potem, jak kobieta, która próbowała zabić Kahlan, przepowiedziała jej, że dopadnie ją to samo, co po żarłoby jej dzieci. „Mroczne stwory”, powiedziała.

„Mroczne stwory przesiadujące cię i tropiące. Nie uciekniesz przed nimi”.

Kiedy dotarli do drzwi sypialni. Richard kopnął na bok dywan.

Ukryty pod nim, wydrapany w lśniącej marmurowej posadzce, widniał kolejny symbol. Kahlan wydał się taki sam jak ten zabarwiony krwią Catherine i jej dziecka.

- Znaczy to samo - powiedział Richard, wpatrując się w wydrapany na posadzce starożytny znak - „Obserwuj ich”.

- Tu ostatni raz poczuliśmy, że ktoś się nam przygląda - odezwała się Kahlan - Jestem ciekawa, czy Catherine wyczuła, że ktoś ją obserwuje.

- A ja chciałam wiedzieć, kto go ratuj umieścił i jak to się stało. że nikt tego nie zauważył.

## Rozdział 48

Richard stał sam, z rękami splecionymi za plecami, i wpatrywał się w machinę, starając się domyślić, co też się dzieje. Długo leżał przy Kahlan w Ogrodzie Życia, tuląc ją, aż przestała płakać, jej mięśnie się rozluźniły, a oddech wyrównał. Kiedy wreszcie zasnęła, zszedł samotnie do komnaty, w której przez niezliczone wieki tkwiła w zapomnieniu machina.

Nadal nie wiedział, kto i po co ją stworzył. Zdawałoby się, że skonstruowano ją, żeby prorokowała. Król nazwał ją wróżebną machiną.

Lecz mimo wszystko wydawało się to zbyt proste. W końcu księga nazywała machinę Regula, a to oznaczało o wiele więcej.

Przechowywana zaś w bibliotece księga zatytułowana Regula była jedynie tłumaczeniem symboli mowy Początku, którą machina wykorzystywała do spisywania przepowiedni. Księga tylko pomagała zrozumieć wróżby wypisywane przez machinę.

To nie wyjaśniało, dlaczego machinę także nazywano Regula. Regula oznacza niezawisłą władzę zaprowadzającą ład. Richard nie potrafił pojąć, co to ma wspólnego z wróżbami.

Przypuszczał, że machina poprzez wróżby kontroluje to, co się dzieje. Albo robi to ktoś, kto pilnuje, żeby to wyglądało na proroctwa wypisywane przez machinę.

Wydawało się też, że same proroctwa maszyny to nie wszystko. Takie same przepowiednie głosiły rozmaite osoby z pałacu - jakby dla pewności, że przekazy nie zostaną utajnione.

Całkiem możliwe, dumął, że machina w dużej mierze reguluje - kontroluje - to, co się dzieje, poprzez najnowsze proroctwa. W takim przypadku nazwa REGULA pasowała, chociaż wydawała się na wyrost.

Richard uważał również, że wyjaśnienie właściwych zadań maszyny znajduje się w brakującej części księgi ukrytej w Świątyni Wichrów. Ta część musi zawierać treści ważne lub niebezpieczne, co uzasadniałoby jej ukrycie.

Nie miał ochoty znowu się tam przenosić. To by nie było proste i zapewne nastęrczyło więcej problemów, niż ich rozwiązało.

Spróbował odsunąć od siebie te niepokojące myśli. Chciał być w Ogrodzie Życia z Kahlan, trzymać ją w ramionach i słuchać jej zapewnień, że

wszystko będzie dobrze...

że to nie jego wina. Wiedział o tym, ale to mu wcale nie poprawiało samopoczucia. Nie mogło cofnąć tego, co się stało.

Musiał się dowiedzieć, co się dzieje, i położyć temu kres.

Wiedział, że delegaci będą poruszeni nie tylko zamordowaniem pałacowego gościa, ale może nawet bardziej tym, że król Filip odmówił Richardowi prawa władania Imperium D'Hary i wypowiedział mu posłuszeństwo. Była to deklaracja pod wpływem niedających się kontrolować emocji, lecz Richard wiedział, że i tak znajdzie się wielu, którzy poprą króla Filipa i pójdą za jego przykładem. Nie wiedział, jak temu zaradzić, lecz chwilowo miał większe zmartwienia.

Król i inni obwiniali Richarda - on sam też się winił za to, że nie powiązał proroctwa z nienarodzonym księciem - nie pomogło to jednak dotrzeć do sedna wydarzeń. Musiał ustalić, co się tak naprawdę dzieje i dlaczego. Coś - lub ktoś - wdarło się do komnaty i zabiło królową Catherine.

Richard był przekonany, że ktoś za tym stoi, że było to zamierzone. W końcu ktoś nakazał obserwować królową. Ktoś wydrapał symbol na posadzce przed jej komnatą.

Ktoś obserwował i uderzono, kiedy została sama. Przynajmniej tak to widział Richard.

Musiał przyznać, że choć symbol sam w sobie był podejrzany, zabójstwo nie musiało mieć z nim nic wspólnego. Nie mógł poprzestać na jednej możliwości.

Jeszcze bardziej zdumiewało go, jak ktoś mógł się dostać do komnat lorda Rahla - omijając strażników - i potem, przez nikogo niezauważony, wydrapać taki sam symbol przed drzwiami ich sypialni.

Choć bardzo chciał być z Kahlan, musiał to wszystko przemyśleć. Co więcej, musiał być sam.

Nie wiedział dlaczego, lecz był przekonany, że machina potrafiąca głosić proroctwa musi być w samym sercu mroku, który spowił pałac.

Richard pamiętał, co powiedział chory chłopiec na targowisku, ten, który podrapał jego i Kahlan. Że w pałacu panuje mrok. Mrok szuka mroku.

On sam już nie wątpił, że w pałacu zapanował mrok. Ogarnął ich wszystkich.

Położył dłoń na machinie.

- Czym jesteś? - wyszeptał. - Czemu to robisz?

Jakby w odpowiedzi z maszyny dobiegł grzechot i zaczęły się kręcić wszystkie kółka i wałki. Ale inaczej niż przedtem. Wcześniej zawsze zaczynało się szarpnięciem, od którego dygotał grunt.

Tym razem rozpoczęło się delikatnie, zębatki i wałki ruszyły powoli, nabierając rozpędu, a przedtem ruch zaczynał się nagle, energicznie. Od razu pełna moc.

Teraz było całkiem inaczej. Spokojny początek narastał do mechanicznego zamętu.

Richard się pochylił i zjrzał w wąskie okienko. Zobaczył, jak we wnętrzu blask stopniowo się nasila, w miarę jak maszyna nabiera rozpędu, a machina się budzi. Na suficie pojawił się ten sam symbol, chociaż tym razem nie zapłonął od razu pełnym blaskiem, tylko powoli się rozjarzał.

Wkrótce cała maszyna pracowała na pełnych obrotach. Podłoga w komnacie się trzęsła. Bijący z wnętrza blask stale się nasilał. Symbol obracający się na suficie żarzył się.

Pod stertą pasków z przeciwnej strony maszyny odskoczył zatrask na obracającym się kole i do połowy wypchnął najniższy pasek. Potem szczypce chwyciły czysty metal.

Kiedy pasek przesuwiał się przez wnętrze maszyny, bijący z dołu blask się wzmógł i skupił w wiązkę wypalającą symbole na spodzie paska. Jarzące się punkty przeświecały przy tym na górnej powierzchni metalu.

Pasek, przepuszczony nad wiązką światła, przebył tę samą drogę we wnętrzu maszyny i w końcu wpadł do niewielkiej szczeliny w pobliżu okienka.

Richard polizał palce i wyjął pasek ze szczeliny. Rzucił go na wierzch maszyny, żeby ostygł.

Zamrugnął ze zdziwienia, kiedy do niego dotarło, że metal wcale nie jest gorący.

Ponownie go dotknął. Był chłodny. Zmarszczył brwi i przysunął bliżej pasek. W metalu, jak przedtem, były wypalone symbole, lecz z jakiegoś powodu tym razem się nie rozgrzał. Richard nie miał pojęcia dlaczego.

Obrócił pasek, żeby odczytać napis. Nachylił się ku światłu z kuli zbliżeniowej i rozszyfrował zestaw elementów tworzących jeden symbol - całe zdanie w mowie Początku.

„Śniłam”.

Stał jak sparaliżowany, wpatrując się w wyraz. Pomyślał, że musiał źle odczytać.

Okręcił metalowy pasek dokoła, przyglądając się każdemu elementowi w kręgu, tłumaczył na nowo, upewniając się, że prawidłowo rozumie, a potem powiedział na głos:

- Śniłam.

Cofnął się o krok od maszyny.

W przeszłości wypisywała ostrzeżenia, wróżby, swego rodzaju proroctwa. To słowo nie miało sensu i absolutnie nie brzmiało jak przepowiednia.

Brzmiało tak, jakby maszyna napisała... coś o sobie.

Kiedy tak patrzył, Regula na chwilę się zatrzymała - koła zwolniły, wałki się wysunęły, potem ruch znów nabierał tempa. Maszyna wyciągnęła ze stosu kolejny pasek, przepuściła go przez swoje wnętrze nad wiązką światła, wypisując nowe przesłanie.

Kiedy pasek wpadł w szczelinę, Richard długo mu się przyglądał, zanim go wreszcie wyciągnął. I ten pasek był chłodny, jak poprzedni. Uniósł go ku światłu, patrząc na układ elementów tworzących dwa wypalone w metalu symbole.

Nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, odczytał na głos:

- Dlaczego śniłam?

Jakby maszyna zadawała mu pytanie. Jeśli tak było, to nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

Wtedy sobie przypomniał, że już słyszał to, co teraz zostało zapisane w mowie Początku na obu paskach. To chłopiec na targowisku, Henrik, powiedział: „Śniłem”.

Obydwoje z Kahlan nie mogli zrozumieć, czemu to powiedział. Myśleli, że jest chory i majaczy. Potem zapytał: „Dlaczego śniłem?”

Teraz maszyna pytała o to samo.

Chłopiec nie majaczył.

To maszyna przez niego przemawiała.

Chłopiec pytał także, czy niebo nadal jest niebieskie. Maszyna ustami dziecka zapytała też, czemu wszyscy ją opuścili. Tyle że powiedziała „mnie” - dlaczego „mnie”

opuścili, zostawili w chłodzie i w mroku. Powiedziała, że jest samotna, taka samotna.

Machina pytała, czemu ją żywcem pogrzebano.

Powiedziała też: „On mnie znajdzie, wiem, że znajdzie”.

Richard zadumał się, czy to było proroctwo... omen?

A może słowa maszyny wyrażały lęk?



## Rozdział 49

Henrik przestał pić ze strumyka i podniósł głowę, patrząc wśród drzew w głęboki mrok. Słyszał zbliżające się psy. Warcząc i szczekając, przedzierały się przez zarośla.

Grzbietem zaciśniętej dłoni otarł z policzków łzy strachu. Psy go dopadną, wiedział, że tak będzie. Nie zrezygnują, póki go nie złapią. Ścigały go od tamtego dnia przy Pałacu Ludu, kiedy pokazały się przed namiotem, wężąc i warcząc.

Pozostała mu tylko ucieczka.

Wsunął stopę w strzemień i sięgnął ręką do łęku siodła, żeby łatwiej mu było wskoczyć na koński grzbiet. Owinął wodze wokół nadgarstków, zablokował kciukami w zaciśniętych dłoniach i spał kobyłę piętami, ponaglając ją do galopu.

Miał nadzieję, że uda mu się zjeść coś więcej niż suchar i kawałek suszonego mięsa. Był bardzo głodny. I chciało mu się pić, ale czasu starczyło tylko na to, żeby się położyć na brzuchu i wypić parę łyków wody ze strumienia. Potem się poderwał i biegiem wrócił do konia.

Rozpaczliwie chciał zjeść, więcej się napić.

Ale nie miał czasu. Psy były za blisko.

Musiał uciekać, utrzymywać dystans. Jeśli go dogonią, rozszarpią.

Początkowo nie wiedział, dokąd ucieka. Instynkt kazał mu wybiec z namiotu matki i gnać przed siebie. Wiedział, że matka chce go chronić, ale nie dałaby rady.

Rozerwałyby ją na strzępy, a potem dopadły jego.

Nie miał wyboru, jak tylko uciekać, ile sił w nogach, do wyczerpania. Aż natrafił na konie. Stały w niewielkiej zagrodzie. Nikogo w pobliżu nie zauważył. Musiał się stąd wydostać, toteż chwycił siodło i zabrał dwa konie. Miał szczęście, że w jukach znalazł prowiant, bo inaczej pewnie już by umarł z głodu.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że źle zrobił, zabierając konie. Chodziło o jego życie. Po prostu uciekał. Kto by mógł go za to winić? Czy ludzie naprawdę oczekiwaliby, że nie zabierze pary koni i nie ucieknie, tylko pozwoli, żeby psy go żywcem rozszarpały? Jakież miał wybór?

Kiedy robi ło się ciemno, musiał zatrzymywać się na nocleg. Parę razy trafił na opuszczony budynek, w którym mógł się ukryć przed psami, gdzie był bezpieczny.

Rankiem uciekał, zanim psy się zorientowały, że już wstał. Kilka razy spał na drzewie, żeby się przed nimi uchronić. Psy, gdzieś poniżej, w mroku, wreszcie się zmęczyły warczeniem i odeszły. Pomyślał, że może i one śpią albo polują.

Innymi razy, kiedy nie miał gdzie się schronić, mógł przynajmniej rozpalić ognisko. Kulił się przy nim, gotowy chwycić płonąca gałąź i grozić nią psom, gdyby się zbliżyły. Nigdy tego nie zrobiły. Nie lubiły ognia. Zawsze przyglądały się z daleka - ze spuszczonej łbami, ślepią jarzyły się w mroku - chodząc tam i z powrotem, czekając na świt.

Czasem ich nie było, kiedy się budził, i ośmielał się łudzić, że w końcu zmęczyły się pościgiem. Ale już wkrótce słyżał, jak biegną ku niemu z oddali, ujadając, i znowu zaczynał się wyścig.

Tak poganiał konie, utrzymując dystans, że ten, na którym jechał, w końcu nie wytrzymał. Przełozył siodło na kobyłę, a tamtego zostawił, mając nadzieję, że psy się nim zadowolą, a on będzie mógł uciec.

Ale psy nie ruszyły konia. Nadal ścigały Henrika. Gnały za nim przez góry, lasy, coraz dalej, głębiej w mroczną, dziewiczą puszcę z olbrzymimi drzewami.

Teraz zaczynał rozpoznawać ciemny las, przez który jechał. Dorastał w małym miasteczku, parę dni podróży na północ, tulącym się do wzgórz przy odnodze rzeki Caro- Kann.

Był przedtem na tym szlaku razem z matką. Pamiętał olbrzymie sosny trzymające się stromego stoku, to, jak stykały się nad ich głowami, zasłaniając zakryte chmurami niebo, przez co na dole w zaroślach i jeżynach było mroczno i ponuro.

Koń się ślizgał, schodząc stromizną, starał się znaleźć oparcie dla kopyt. Las był tak gęsty i mroczny, że Henrik nie widział, co się znajduje przed nim. Po bokach też zbyt wiele nie dostrzegał.

Nie musiał widzieć. Wiedział, co jest z przodu.

Po długiej jeździe krętym, niewyraźnym szlakiem grunt się wreszcie wyrównał - było tu ciemniej, drzewa rosły bliżej siebie, podszycie było gęstsze. Pomiedzy drzewami z rzadka migalo światło. Płatanina krzaków i

małych drzewek uniemożliwiła zjechanie ze szlaku.

Kiedy dotarł do skalnej krawędzi, koń parsknął i odmówił dalszej jazdy. Dalej nie było trasy bezpiecznej dla konia. Ścieżyna wiła się w dół, prowadząc przez skalne wypiętrzenia i półki.

Henrik zsiadł i wyjrzał zza krawędzi na mgliste dzikie pustkowia poniżej. Pamiętał, że szlak wiodący na dół jest wąski, stromy i zdradliwy. Koń na nic się już nie przyda.

Obejrzał się przez ramię, spodziewając się, że lada moment psy wypadną zza drzew. Po szczeniach i warknięciach poznał, że znowu się zbliżają.

Pospiesznie rozsiadł konia, dając mu szansę ucieczki. Zsunął mu uprząż i klepnął go w bok. Koń zarżał i pognał drogą, którą przyjechali.

Henrik dostrzegł wybiegającego spośród drzew wielkiego, czarnego psa, przywódcę sfory. Nie ruszył za koniem. To jego ścigał. Chłopiec się odwrócił i bez zwłoki ruszył w dół.

Szlak był zbyt stromy i nierówny dla konia, stok przecinały szczeliny i pęknięcia, miejscami pokrywał rumosz i ostre wypiętrzenia - lecz Henrik wiedział, że psy bez trudu pójda jego śladem wąskimi drózkami. Wiedział również, że pewnie będą zbiegać szybciej niż on. Nie miał czasu do stracenia.

Nie zastanawiał się, dokąd idzie i dlaczego, nawet o tym nie pomyślał - po prostu ruszył w dół. Od pierwszego dnia - kiedy to podrapał lorda Rahla i Matkę Spowiedniczkę i uciekł - nie zastanawiał się, co robi i dlaczego musi uciekać. Jadąc przez równiny Azrith, w ogóle się nie zastanawiał, dokąd się kieruje. Po prostu uciekał przed psami. Instynktownie wiedział, że dopadłyby go, gdyby wybrał inny kierunek.

Znał tylko jedną drogę ucieczki i ją wybrał.

Zanim dotarł na dół, twarz miał spoconą i brudną. Parę razy się obejrzał i zobaczył brązowego, krótkowłosego psa, zwykle trzymającego się czoła sfory. Psy czarny i brązowy, dwaj przywódcy - mocno zbudowani, o krzepkich karkach. Zawarczały na jego widok, z pysków ciekła im pienista ślina.

To wystarczyło, żeby Henrik rzucił się w dół najszybciej, jak się dało, prześlizgując się w zawrotnym tempie pomiędzy skalnymi wypiętrzeniami. Niekiedy po prostu zsuwał się stromymi ścieżkami pokrytymi luźnym piaskiem i rumoszem, bo tak było szybciej.

Wreszcie przedostał się na równiejszy teren w śród pnący i plątaniny krzaków.

Powietrze było okropne. Cuchnęło zgnilizną.

W głębokim cieniu gęstwiny dostrzegał drzewa o szerokich u dołu pniach, co jakby pomagało im utrzymywać równowagę na miękkim, grząskim gruncie. Tu i tam, nieco wyżej, rosły cedry, lecz w stojących rozlewiskach cuchnącej wody tkwiły jedynie drzewa o butelkowatych pniach. Z ich poskręcanych gałęzi nad samą powierzchnią wody zwisały welony mchu. Czasami mech zanurzał się w wodzie. Gdzie indziej z wysoka sięgały wody pnąca, których czepiały się krótsze gałązki o ciemnofioletowych kwiatach.

Jaszczurki śmigały po roślinach, kiedy się do nich zbliżał. Obserwowały go węże wylegające się na gałęziach, wysuwające języki. Stworzenia pod powierzchnią wody leniwie odpływały, wzbudzając przy tym niewielkie fale lizające rozmięktą drózkę.

Im głębiej wchodził w lesiste mokradło, tym gęściejsza stawała się plątanina pędów i pnący napierających z boków na ścieżkę, zamieniających ją w zielony tunel.

Gdzieś tam rozlegały się ostre głosy niewidocznych ptaków, niosąc się echem po stojącej wodzie.

Za nim słyhać było psy, zaciekle, za wszelką cenę chciały go dopaść.

Przystanął w ciemnym tunelu w gęstym lesie, niepewny, czy ośmieli się iść dalej.

Wiedział, gdzie jest. Widoczna przed nim plątanina krzaków, drzew i pnący wyznaczała obrzeża Kharga Trace. Słyszał od matki, że trzeba mieć poważny powód, by tam wejść, bo niewielu stamtąd wróciło. On i matka byli szczęśliwcami, którym się to udało, przez co tym głupsze się wydawało kuszenie losu po raz drugi.

Z bijącym sercem i z urywanym oddechem wpatrywał się wielkimi oczami przed siebie. Wiedział, co go tam czeka.

Czeka na niego Jit, Zaszyta Służka.

Tylko jedno było gorsze od ponownego stanięcia przed Zaszytą Służką: pewność, że zostanie rozszarpany i pożarty przez ścigającą go sforę psów.

Słyszał, jak się zbliżają. Nie miał wyboru. Rzucił się naprzód.

## Rozdział 50

Po szaleńczym biegu ścieżką, czasami tworzącą tunel przez gąszcz, dotarł wreszcie do bardziej otwartych rozlewisk. Ścieżkę - zawsze biegnącą jedynie o cale ponad błotami - stopniowo pokrywały splątane korzenie, patyki, pnącza i gałęzie, tworząc coś w rodzaju maty, po której się szło. Bez niej twardy grunt nikałby miejscami pod rzeszą wodną. A tak, dróżka z patyków i pnączy ledwo wystawała ponad powierzchnię ciemnobrązowej wody.

Henrik się zamartwiał, co by było, gdyby się ześliznął z tego szlaku. Bał się tego, co czeka w wodzie na nieostrożnych.

Był taki zmęczony i przerażony, że jedynie lęk gnał go naprzód. Chciałby być znowu przy matce, bezpieczny. Lecz nie mógł się zatrzymać, bo psy by go dopadły.

Niekiedy ścieżka była tak szeroka, że kilkoro ludzi mogłoby iść obok siebie, ale przeważnie miejsca wystarczało dla jednej osoby. W przewężeniach, gdzie stawała się kładką nad otwartą wodą, z podłoża sterczały uchwyty lub nawet poręcze z krzywych gałęzi powiązanych grubymi pnączami. Wszystko to trzeszczało i chwiało się pod stopami Henrika, jakby na poły zanurzone monstrum nie było zadowolone, że ktoś mu chodzi po grzbiecie.

Henrik nie mógł ocenić, jaka odległość dzieli go od psów, bo głos dobrze się niósł po wodzie. Ciekaw był, czy psom trudno stąpać po macie ze splątanych pnączy tworzącej pomost przez podmokły obszar. Zastanawiał się, czy utkną, kiedy łapy się im ześlizną w płataninę. Liczył na to.

Była mgła i nie mógł zbyt daleko sięgnąć wzrokiem pomiędzy oplątane mchem butelkowate drzewa. Za siebie, na drogę, którą przyszedł, nie spoglądał. W płataninie korzeni pobliskich drzew widział obserwujące go oczy.

Zauważył, jak tuż przy nim coś przepływa pod wodą, i przesunął się na środek prowizorycznej kładki. To coś wlokło za sobą poszarpany, mięsisty ochłap. Na bladym, rozkładającym się mięsie widniały ślady zębów. Trudno było rozpoznać, z jakiego zwierzęcia pochodziło, lecz zwisająca zeń potrzaskana kość podpowiadała, że musiało być sporych rozmiarów.

Zastanawiał się, czy to aby nie ludzka kość udowa.

Spojrzał w dół, zaniepokojony tym, że kładka z gałęzi biegnie tak nisko nad wodą.

Chwiała się i przesuwiała, kiedy po niej biegł. Nie wiedział, czy to jest pływający mostek, czy też coś od spodu go podpiera. Widział tylko, że miejscami ledwie wystaje nad powierzchnię. Bał się, że coś może sięgnąć spod spodu, chwycić go za kostkę i wciągnąć w mętną wodę.

Nie chciał zgadywać, czy byłoby to gorsze niż złapanie przez psy lub od tego, co jest przed nim. Rozpaczliwie pragnął uniknąć tych trzech możliwości, lecz nie mógł myśleć o niczym innym jak gnaniu przed siebie, uciekanie przed jednym niebezpieczeństwem, unikanie drugiego i spotkanie z trzecim.

Biegł niekończącą się kładką przez ponure bagnisko, a nogi coraz bardziej go bolały. Odzywały się niewidoczne zwierzęta, ich przenikliwe głosy niosły się echem przez mgłę i mrok. Wydawało mu się, że przecina rozległe, płytkie jezioro, lecz nie miał pewności, bo wzrokiem nie sięgał daleko. Wielkie, okrągłe liście, jakby lilii wodnych, unosiły się na powierzchni, wyciągając się usilnie w górę, licząc na muśnięcie słonecznym blaskiem, który zapewne z rzadka przedzierał się przez roślinne sklepienie.

Kilka razy Henrik się pośliznął. Uratowała go barierka. Warczenie się oddalało, toteż uznał, że psy mają trudności z dotrzymaniem tempa i zostają w tyle. Ale jednak tam były, nadal go ścigały, więc nie odważył się zwolnić.

Ściemniło się, toteż ulżyło mu, kiedy wreszcie dotarł do palących się wzdłuż kładki świec. Nie wiedział, czy ktoś przychodzi je zapalać o zmierzchu, czy też stale się palą.

Płonęły, kiedy ostatnio szedł tędy z matką. Pomędzy olbrzymimi drzewami o gładkich pniach było tak ciemno, że z pewnością światło przydawało się i za dnia.

Im dalej szedł, tym szersza i solidniejsza stawała się kładka ze splątanych gałęzi i pnączy. Drzewa, wystające z wody na gruzłach korzeni, rosły gęściej. Pnącza zwisające z góry, z mroku, stały się grubsze; niektóre wily się pomiędzy drzewami i nie dotykały powierzchni wody. Wiele z czasem obrastało i ciągnęło w dół wychylające się z wody rośliny lub własne oplatające je wąsy. Roślinność po obu stronach kładki stała się tak gęsta, że

znowu si ę wydawało, iż szlak przebija si ę tunelem przez g ąszcz gałęzi, pnący i jeżyn. Nie zmienia ła si ę tylko mętna woda. Henrik a ż za często widział poruszaj ące si ę w głębinie cienie.

W miarę jak kładka zagłębiała si ę w mroczny g ąszcz podszycia, świec przybywało.

Ustawiono je po prostu w dołkach w plątaniu gałęzi i patyków.

Nieliczne barierki z czasem zmieniły si ę w konstrukcję po obu stronach szlaku, która chyba chroniła go przed zniknięciem w podszyciu, a może też przed tym, co si ę czaiło w wodzie. Ściany gęstwiny, grube u dołu, cieńsze powyżej, niekiedy sięgały przez most konarami przypominającymi rozwarte paszczyki.

Świec było już tyle, że miejscami szło si ę jakby pomiędzy ścianami ognia. Henrik przypuszczał, że kładka si ę nie zajmie i nie spłonie, bo jest wilgotna i oślizgła. Prawie całą plecionkę korzeni, gałązek i pnący pokrywały śliski zielony mech i ciemna pleśń, co czyniło ją zdradliwą.

Im dalej Henrik szed ł, tym grubsza robiła si ę mata ze splecionych gałęzi, tworząca też ściany, aż wreszcie zamkn ęła mu si ę nad głową i miał wrażenie, że jest w kokonie z powyginanego drewna. Wygl ądać mógł jedynie przez Nieliczne szczelinki. Robi ło si ę coraz ciemniej, wi ęc i tak za du żo nie było widać. W tunelu drog ę oświetlał migotliwy blask świec.

Kiedy sobie u świadomił, że już nie słyszy psów, przystanął i nasłuchiwał uważnie.

Ciekaw był, czy si ę bały zapędzić na ścieżkę z gałęzi i dlatego zrezygnowały z pościgu.

Pomyślał, że może już nie musi iść dalej. Że psy odeszły, a on może zawrócić.

Lecz wewnętrzny przymus kazał mu si ę zagłębiać w kryjówkę Zaszytej Służki.

Ilekróć postąpił parę kroków, nie mógł nie zrobić jeszcze kilku w g łęb oświetlonego świecami tunelu.

Wreszcie, z najwyższym trudem, zmusił si ę do przystąpienia. Jeśli w ogóle ma uciec, to teraz. Odwrócił si ę i spojrzał na drogę, którą przyszedł. Nie usłyszał psów.

Ostrożnie, niepewnie, cofnął si ę o krok ku wolności.

Zanim zdążył zrobić następny, jedna z familantek, niczym stwór z

dymu, przeniknęła przez plecioną ścianę w tunel i zatarasowała mu drogę.  
Henrik stał, sparaliżowany strachem, z coraz szybciej bijącym sercem.  
Jarząca się postać podpłynęła bliżej.  
- Jit na ciebie czeka - zasyczała. - Pospiesz się.



## Rozdział 51

W miarę jak Henrik szedł przejściem ze splecionych pnączy, patyków i gałęzi, prowadzącym przez mroczne bezdroża bagniska, konstrukcja kładki stawała się coraz solidniejsza; miejscami spajały ją pasma mchu i traw. Spód zrobił się szerszy, a ściany grubsze. Miejscami wyginały się ku wnętrzu i zamykały nad głową, jakby właśnie tak same z siebie wyrastały.

Wkrótce ściany stały się elementem całej struktury zamkniętej na górze, tak że to, co najpierw było ścieżką, potem chodnikiem tuż nad powierzchnią wody, później kładką, na dobre zmieniło się w tunel. Był on dość szeroki i wiódł Henrika w labirynt komór zbudowanych - podobnie jak samo przejście - z ciasno splecionej roślinności. Z tej samej plecionki były nie tylko podłogi i ściany, ale i stropy, równie grube i ciasno splecione. W ścianach wiły się pnącza o smukłych liściach i żółtych kwiatuśkach, przez co niekiedy cała struktura była raczej zielona, a nie zgniłobrzowa.

W komorach utworzonych przez splecione gałęzie zewnętrzny świat wydawał się bardzo odległy. Tu w środku był inny świat, dziwaczne miejsce, gdzie nic nie było ani idealnie płaskie, ani nie biegło prosto. Same krzywizny, bez żadnych ostrych kątów, tylko naturalne materiały, absolutnie niewyglądające na dzieło rąk ludzkich, chociaż wszystkie starannie obrobiono. To wszystko tworzyło łagodnie zaokrąglone komory z talerzowatymi podłogami, całkowicie odgródzone od tego, co na zewnątrz.

Henrik się zastanawiał, czy można by rozsunąć gałęzie i pnącza ścian, gdyby musiał pospiesznie uciekać. Wszystko wydawało się solidne, ale w końcu to tylko plecionka z roślin.

Kiedy mijał lekko wklęsłą komorę - a familiantka sunęła za nim - szedł bliżej ściany, żeby się lepiej przyjrzeć. Zerknął w bok i zauważył, że z wielu konarów tworzących solidniejsze części konstrukcji sterczą ostre kolce. Wyglądało na to, że ścianę wykonano głównie z gałązek głogu.

Nawet gdyby zależało od tego jego życie, nie wiedział, jak mógłby się przedostać przez tę kolczastą konstrukcję. Nie były to niewielkie, choć dokuczliwe ciernie, jak te na krzewach róż, drapiące ręce i nogi. Te długie, twarde jak stal, ostre kolce bez litości każdego by poszarpały, a nawet przebiły i uwięziły na dobre.

Pilnowany przez sunącą za nim familiantkę - dbającą, żeby mu nie wpadło do głowy zawrócić i uciec - Henrik mija ł komory najrozmaitszych rozmiarów. Setki świec stale oświetlały drogę. Niekiedy były to jedynie tunele łącznikowe i musiał się schylać, przechodząc przez nie. Były czymś w rodzaju korytarzy w budynku, z mniejszymi bocznymi odnogami prowadzącymi w rozmaitych kierunkach.

W jednej ze stosunkowo dużych komór, przez które musieli przejść, zobaczył tysiące pasów płótna, sznurków i cienkich pnączy - zwieszały się z sufitu i do wszystkich były przywiązane jakieś przedmioty: od monet, przez muszle, do gnijących jaszczurek. Zwisaly zupełnie nieruchomo w martwym powietrzu. Henrik nisko się schylił, przechodząc pod kolekcją dziwacznych przedmiotów. Prawie cały czas wstrzymywał oddech, tak tu cuchnęło.

Cała konstrukcja porusza ła się i trzeszczała, kiedy tak przemierzał labirynt trasą oświetloną świecami, niczym dla mile widzianego gościa. Wydawało się, jakby wchodził w olbrzymią, rurkowatą pajęczynę, podobną do tych, jakie widział u podstawy kłód, mających kierować zdobycz ku wnętrzu, ku śmierci.

Wiedział jednak, że to tutaj jest o wiele gorsze. To kryjówka Zaszytej Służki.

Wnętrze oświetlały setki, a może tysiące świec, mimo to mrok, który usiłowały odpędzić, przytłaczał. Dźwięki, dobiegające z mokrade ł na zewnątrz, były tak stłumione, że ledwo je było słyszeć przez grubą plecionkę, lecz wilgoć i odór zgnilizny bez trudu przedostawały się tutaj wraz z parnym powietrzem. Zapach świec choć trochę tłumił ten smród.

W miarę jak zagłębiał się w kryjówkę Zaszytej Służki, kilka innych familiantek przeniknęło przez ściany i otoczyło go, żeby towarzyszyć mu tam, gdzie musiał się znaleźć. A raczej żeby mieć pewność, że nie zawróci. Ilekroć na nie spoglądał, gapily się na niego paskudnymi żółtymi ślepiami, więc natychmiast odwraca ł wzrok. Każda z nich z bliska była paskudna jak sama śmierć.

Szli szerszym korytarzem, w którym ustawiono jeszcze więcej świec - od wygiętego skraju podłogi w górę zaokrąglonych ścian z gałazek, aż nad głową Henrika.

Z owego przejścia, oświetlonego złocistym blaskiem, weszli nagle do mrocznej komory, w której prawie nie było światła.

Bo raczej nie było miejsca dla świec w tym ciemnym pomieszczeniu wypełnionym słojami i pojemnikami. Niektóre były z jasnobrazowej gliny. Słoi było o wiele więcej - jasnobrazowych, zielonych, ciemnoczerwonych. W wielu miejscach rozepchnięto splecione patyki i gałązki, robiąc miejsce słojom. Henrik wolał się nie zastanawiać, co się w nich kryje. Na podstawie tego, co dostrzegał przez barwne szkło, sądził, że większość wypełnia płyn, ciemny i ohydny, chociaż przypominał mętną wodę.

Coś w nim pływało wśród paprochów i farfocli. Henrik starał się za bardzo temu nie przyglądać. W jednym ze słoików zobaczył chyba ludzkie zęby.

Ale to nie słoje i pojemniki najbardziej go przerażały.

O lży strachu przyprawiało go to, co wpleciono w ściany z gałązek.

Ludzi.

Widział ich także w odnogach korytarzy odchodzących w rozmaitych kierunkach od tej komory. Początkowo widział dziesiątki ludzi wbudowanych w ściany.

Im dłużej się przyglądał, tym więcej ich dostrzegał, schwytych w głębsze partie plecionki.

Niekiedy były to wyschnięte ciała - szeroko otwarte usta, zapadnięte oczy, skóra ramion chropowata i pomarszczona. Inni wyglądali na zmarłych niedawno. Dławiący odór śmierci ledwo pozwalał mu oddychać.

Niektórzy z wplecionych w ściany ludzi jeszcze nie byli martwi.

Tkwili w stuporze, prawie nie oddychając, ledwie świadomi tego, co się wokół dzieje. Wszyscy byli nadzy, lecz zasłaniały ich cierniste gałązki i konary.

Henrik widział, jak niekiedy poruszają oczami, jakby się próbowali zorientować, gdzie są i co się z nimi stało. Rzadko z otwartych ust wydobywał się cichy jęk.

Kiedy oderwał wzrok od martwych i na wpół martwych ludzi wplecionych w ściany, znalazł się oko w oko z Zaszytą Służką.

## Rozdział 52

Jit siedziała ze skrzyżowanymi nogami po środku komory, umoszczona na pleciance z gałęzi, i obserwowała go nieruchomymi, dużymi, okrągłymi oczami, tak ciemnymi, że wydawały się czarne.

Rzadkie włosy sięgały nieco poniżej barków. Nie była wysoka. Prawdę mówiąc, nie była dużo wyższa od Henrika. Prosta, workowata suknia zdradzała, że kobieta jest dość płaska. Ciało miała bardziej chłopięce niż kobiece. Skóra chudych ramion rzadko widywała słońce. Trudno mu było ocenić, ile ma lat, lecz był pewien, że pomimo gładkiej, jasnej cery - wcale nie jest młoda.

Paznokcie i dłonie wyglądały na trwale zabarwione, prawdopodobnie na skutek kontaktu z tym, co pływało w słojach.

Henrik domyślał się również, że ciemne plamy na paznokciach mogły zostawić płyny wyciekające z ciał wplecionych w ściany komory.

Lecz to usta Jit przyciągały jego wzrok, przyspieszały bicie serca i sprawiały, że pod Henrikiem uginały się kolana.

Wąskie wargi były ściśle zszyte paseczkami skóry.

Rzemyki przebijały wargi, zostawiając dziury sprawiające wrażenie, że nigdy się nie goją. Ściegi nie były równe, wyglądały na zrobione byle jak. Rzemyki krzyżowały się, tworząc nad ustami X. Pozostawiały Jit jedynie taką swobodę, żeby mogła odrobinę rozchylić wargi.

Przez tę szczelinę za krzyżowym ściegiem rzemyków Jit wydała modulowany skrzek, który nie przypominał ludzkiej mowy. Przyprawił Henrika o gęsią skórę.

Ponieważ już tu był, wiedział, że to jej język, jej sposób mówienia. Chociaż nie miał pojęcia, co ów dźwięk znaczył, zdawał sobie sprawę, że skierowała go do niego.

Jedna z familiantek - zauważył, że brakuje jej ręki - nachyliła się ku niemu.

- Jit mówi, że rada znowu cię widzi, chłopcze.

Henrik przełknął ślinę. Nie potrafił z siebie wydusić, że i on się cieszy z ponownego spotkania.

Jit, chwiejąc głową, wydała niski, zgrzytliwy skrzek przepleciony paroma

młaśnięciami języka o podniebienie.

- Jit chce wiedzieć, czy to przyniosłeś - powiedziała familiantka.

Usta Henrika były jak sparaliżowane. Nie potrafił się zmusić do wydania głosu.

Bojąc się tego, co może zrobić Jit, gdy nie dostanie odpowiedzi, wyciągnął przed siebie zaciśnięte pięści. Nie sądził, by dał radę rozprostować palce po tak długim czasie.

Zaszyta Służka wydała cichy, chrypliwy dźwięk - na póły skrzek, na póły kwilenie.

- Zbliź się - przetłumaczyła familiantka. - Jit mówi, żebyś się zbliżył, by sama mogła zobaczyć.

Gdzieś z tyłu dało się słyszeć, że wszystkie familiantki się zatrzymują i odwracają, żeby spojrzeć. Czarne oczy Zaszytej Służki zogniskowały się na czymś za nim. Henrik obejrzał się przez ramię, ciekaw, co przyciągnęło ich uwagę.

W oddali panowało zamieszanie. Coś szło korytarzem prowadzącym do komór.

Płomienie świec się chwiały, ich blask zamigotał, a potem zgasł.

Cokolwiek to było, niosło ze sobą ciemność.

Świece w pobliżu gasły. Kiedy je minęło, płomyki powoli wracały do życia i znów płonęły pełnym blaskiem.

Miało się wrażenie, iż to sam mrok kroczy tunelem, nadciągając na nich wszystkich.

Kiedy się zbliżyło, ciągnąc ze sobą ciemność, gasząc świece, familiantki stłoczyły się za Jit. Henrik zauważył, że ta bez dłoni lekko się trzęsie.

Jit wydała długi, niski skrzek i parę młaśnięć. Dwie familiantki znalazły się blisko niej, pochylły się i szeptały. Kiwnęły głową na kolejne młaśnięcia i ciche, zgrzytliwe dźwięki dobywające się z gardła Zaszytej Służki.

Kiedy postać wreszcie wkroczyła do komory, wnosząc ze sobą mrok, Henrik się przekonał, że to mężczyzna.

Zatrzymał się przed Jit, w pobliżu Henrika. Płomyki świec w korytarzu za nim i te w komorze powoli się rozjarzyły i w końcu ujrzeli przybysza.

Kiedy Henrik mógł mu się wreszcie dobrze przyjrzeć, zamarł, nie mogąc oddychać.

## Rozdział 53

Mężczyzna popatrzył na ciepłą, wilgotną plamę powiększającą się pod Henrikiem i uśmiechnął się do siebie.

- To ten chłopiec? - zapytał głębokim, twardym głosem, który sprawił, że Henrik przypomniał sobie, że powinien mrugać, i zarazem kazał siedmiu familiantkom cofnąć się jeszcze dalej za Jit, jakby sam jego dźwięk je odepchnął.

Zaszyta Służka wydała krótkie mlaskanie.

- Tak, to on, biskupie Arc - przetłumaczyła wypowiedź z swojej pani bezręka familiantka.

Biskup przez chwilę patrzył gniewnie na Jit. Rozmyślnie opuścił wzrok na jej zaszyte usta, potem znowu przeniósł straszne spojrzenie na Henrika.

Białka jego oczu wcale nie były białe.

Były naznaczone jaskrawą czerwienią krwi.

Ciemne tęczówki i źrenice na tle czerwieni sprawiały, że oczy biskupa zdawały się patrzeć z innego świata, świata ognia i płomieni - może z samych zaświatów.

Lecz chociaż oczy biskupa były tak przerażające, to nie one były w nim najgorsze.

Najupiorniejsze - to, od czego Henrik nie mógł oderwać wzroku, co sprawiało, że serce chłopca szaleńczo się tłukło, przez co nie mógł głębiej oddychać - było ciało biskupa.

Każdy skrawek jego skóry by ł wytatuowany symbolami. Niezliczone warstwy znaków nakładały się na siebie, przez co skóra Arca nie przypomina ła ludzkiej. Henrik nie widział ani jednego miejsca, na którym nie byłby wytatuowany jakiś element lub część dziwnych kolistych wzorów, bez ładu i składu zachodzących na siebie, warstwa po warstwie, tak że nie było spod nich w ogóle widać gołej skóry. Ani punkcika.

Górne warstwy były najciemniejsze, spodnie jaśniejsze, te głębsze jeszcze jaśniejsze i tak dalej, jak gdyby nieustannie wsi ąkały w ciało biskupa i jakby stale dodawano nowe. Miały w sobie niesko ńczoną, bezdenną głębię, stanowiły złożoną płataninę, która przyprawia ła o zawrót głowy, jakby symbole nieustannie si ę kłębiły, wynurzając z mroku.

Coraz głębsze warstwy znaków przydawały skórze biskupa trójwymiarowości.

Ponieważ te przenikające się elementy uniemożliwiały ustalenie, gdzie właściwie znajduje się powierzchnia skóry, nadawało to biskupowi mglisty, rozmyty, upiorny wygląd. Henrik był przekonany, że gdyby biskup zechciał, mógłby zniknąć we mgle przenikających się symboli.

Ponieważ dolne warstwy zawsze były jaśniejsze, każdy symbol - bez względu na to, jak głęboko się znajdował - był wyraźny i rozpoznawalny. Symbole miały różną wielkość i - na ile Henrik się orientował - różniły się wyglądem. Niemal wszystkie wydawały się zbiorem mniejszych symboli zgrupowanych w większe, koliste elementy.

Dłonie i nadgarstki wystające z rękawów czarnego stroju były całkowicie pokryte tatuażami. Nawet paznokcie wyglądały na wytatuowane od spodu - wzory przeświecały przez płytkę paznokcia.

Kark i szyja, widoczne nad kołnierzem, również pokrywały symbole. Twarz - każdą jej część - znaczyły setki, jeśli nie tysiące wzorów. Nawet powieki były wytatuowane. Także uszy - każde zagłębienie małżowiny i kanał uszny, jak daleko sięgał wzrok Henrika - były całkowicie pokryte takimi samymi dziwnymi tatuażami kolistych symboli, warstwa na warstwie.

Tatuaże zakrywały też łysą czaszkę biskupa, a jeden dominował nad wszystkimi.

Był od nich większy. Dolna krawędź dużego kręgu przechodziła przez środek nosa, biegła pod oczami i zakręcała w górę tuż pod uszami, tak że okalała ciemię. Wewnątrz kręgu widniał drugi, a pomiędzy nimi pierścień run.

Podstawa trójkąta wpisanego w wewnętrzny okrąg biegła tuż nad czołem.

Mniejsze koliste symbole, narysowane za wierzchołkami trójkąta przecinającego okręgi, zajmowały skronie i potylicę. Sprawiało to takie wrażenie, jakby Arc spoglądał gniewnie niesamowitymi czerwonymi oczami z owego kolistego symbolu, jakby patrzył z zaświatów.

W środku trójkąta ku przodowi czaszki kierowała się odwrócona dziewiątka.

Ten duży tatuaż zakrywał czubek łysej głowy i był ciemniejszy od

pozostałych nie tylko dlatego, że wydawał się stosunkowo nowy, ale i dlatego, że tworzące go linie były grubsze. Lecz chociaż znajdował się na warstwach setek innych symboli, nie było wątpliwości, że jest jedynie elementem większej całości.

Wszystkie tatuaże, chociaż tak różne, wydawały się wariacjami tych samych podstawowych motywów. Były tam symbole ułożone w okręgach o rozmaitej średnicy, nawet kręgi w kręgach w kręgach, przy czym niektóre znaki, zawarte we wnętrzu tych okręgów, były utworzone z mniejszych wzorów.

Widok człowieka tak oddanego jakiejś tajemniczej sprawie głęboko niepokoił i wytrącał z równowagi.

Tatuaże czyniły zeń mroczny, żyjący, poruszający się obraz, którego poszczególne warstwy się przenikały, a każdy wzór był wyraźnie widoczny. Henrik pomyślał, że nawet gdyby biskup stał całkiem nagi, to i tak dokładnie skrywałaby go zasłona z symboli.

Znaków nie wytatuowano jedynie na oczach, lecz były one nastrzyknięte czerwienią.

Biskup Arc zauważył, że kilka familiantek zerka nerwowo za niego w głąb korytarza.

Uśmiechnął się.

- Nie przyprowadziłem jej ze sobą - odpowiedział na nieme, lecz widoczne w ich oczach pytanie. - Wysłałem ją, żeby coś załatwiła.

Familiantki skłoniły głowy na znak wdzięczności i zarazem przeprosin za wścibstwo.

Szeroko otwarte oczy jednej z wplecionych w ścianę osób, która znajdowała się za Jit, wpatrywały się nieruchomo w biskupa. Przerazenie wykrzywiło rysy na wpół żywego nieszczęśnika i uniemożliwiło mu odwrócenie wzroku, kiedy biskup odwzajemnił spojrzenie. Mężczyzna wciąż przetykał ślinę, jakby usiłował połknąć krzyk wyrywający mu się z gardła. Wszyscy ludzie wpleceni w ściany zdawali się niezdolni do wydania dźwięku, chociaż ten mężczyzna wyglądał tak, jakby lada moment miał wrzasnąć.

Biskup uniósł dłoń ku uwięzionemu mężczyźnie. Był to niedbaly gest - wiotka dłoń, ledwie uniesione ramiona, palce tylko trochę wyciągnięte. Niemniej był to gest wyraźnie skierowany ku mężczyźnie tkwiącemu w



ścianie i niemogącemu oderwać oczu od biskupa.

- Znieruchomiej - powiedzia ł Arc głosem nieco tylko g łośniejszym od szeptu, lecz straszniejszym od kaźdego, jaki Henrik w źyciu słyssał.

Mężczyzna zadławił się oddechem, płytkim, urywanym. Wziął długi wddech, oczy uciekły mu w głąb czaszki. Zadygotał gwałtownie, lecz krótko, potem się osunął - przynajmniej na tyle, na ile mógł ł, wpleciony w plątanie patyków, gałązek i pnączy.

Wstrząsnął nim dreszcz i jego ciało zrobiło się zupełnie wiotkie. Ostatni oddech dobył się z jego płuc z długim, cichym świstem.

Biskup powiódł wzrokiem po innych wpatrzonych weń ze ścian oczach.

- Jeszcze ktoś?

Wszystkie oczy za warstwami gałązek i konarów odwróciły się w milczeniu.

Arc uśmiechnął się znacząco do Zaszytej Służki.

- No proszę. Twoje pomocnice mogą wyssać płyny świeżego trupa i cię nakarmić.

Wielkie, czarne oczy Zaszytej Służki nie wyrażały nic. Wydała niski, zgrzytliwy dźwięk przerywany kilkoma mlaśnięciami.

Jedna z familiantek, obserwując Jit przemawiającą w dziwnym języku, odczekała, aż ta skończy, a potem pochyli ła się ku biskupowi, okazując w imieniu swojej pani pogardę.

- Jit chce usłyszeć, po co przyszedłeś.

- Czy to się nie rozumie samo przez się? - zwracając się do Jit, uniósł ramię ku Henrikowi. - Przyszedłem się upewnić, że dokończysz zadanie, które ci zleciłem.

Po długim milczeniu Jit krótko skinęła głową.

Biskup ściałnął brwi, co zdeformowa ło znaki na czole; przesunęły się wraz z brwiami.

- Zmarnowałaś już wystarczająco wiele mojego czasu. Oczekuję, że nie strwonisz już ani odrobiny. Chłopiec wreszcie się zjawił. Do dzieła.

Jit przyglądała się przez chwilę biskupowi, a potem skupiła uwagę na Henriku i dała mu znak, żeby się zbliżył.

## Rozdział 54

Henrik bał się postąpić choćby krok ku Zaszytej Służce. Kiedy wydawała cichy, gruchający dźwięk, kiwając na niego, żeby podszedł, mógł się jedynie wpatrywać w rzemyk przewleczony przez jej wargi, niepozwalający rozchylić ust bardziej niż w wąską szczelinę. Z paru dziur, przez które przechodził rzemyk, sączył się różowawy płyn, jakby wysięk związany z przywoływaniem Henrika na nowo otworzył rany.

Zastanawiał się, dlaczego zaszyto jej usta.

Uświadomił sobie, że jego stopy się przesuwają, chociaż nie miał zamiaru się poruszać. Stwierdził, że nie jest w stanie przerwać tego powolnego zbliżania się do wyciągniętych rąk Jit.

Jego ręce same się uniosły. W żaden sposób nie mógł temu zapobiec. Szedł ku niej, wyciągając przed siebie pięści.

Jej dłonie upstrzone ciemnymi plamami - bał się zgadywać, co mogło je zostawić - zacisnęły się w końcu mocno na jego nadgarstkach. Z tak bliska poczuł, że Jit otacza dziwna woń, łagodna, choć mdląca, której nie potrafił rozpoznać, ale od której marszczył mu się nos i zaciskało gardło, żeby nie mógł wciągnąć cuchnącego powietrza do płuc.

Choć była drobną kobietą, miała niezwykle silne palce. Henrik starał się cofnąć, lecz nie mógł. Uwiązał w uścisku jej ramion. Nic nie mógł na to poradzić.

Jit wydała kolejny, wibrujący, skrzekliwy dźwięk. Henrik mógł się jedynie wpatrywać w jej przenikliwe czarne oczy, zdjęty niewymownym strachem, niezdolny myśleć o tym, czego od niego chce, co zamierza mu uczynić.

Nachyliła się ku niemu i ponownie wydała ten dźwięk. Nie wiedział, co ona mówi.

Rozumiał jedynie, że czegoś chce.

Jedna z familiantek pochyliła się ku niemu nad ramieniem Zaszytej Służki.

- Otwórz pięści - syknęła niecierpliwie.

Oddychał płytko, urywanie i ze wszystkich sił starał się zrobić to, co mu kazano.

Pomimo największego wysiłku pięści nie chciały się otworzyć. Tak długo trzymał je zaciśnięte, że skamieniały w tym geście. Choć bardzo się starał, choć tak chciał usłuchać, nie mógł rozkurczyć palców. Wpatrywał się w nie, rozpaczliwie chcąc je rozprostować, pełen obaw, co go spotka, jeżeli tego nie zrobi.

Jit jakby si ę tym nie przejęła. Jej silne palce zaczęły kolejno odchyłać palce chłopca. Bardzo bolało, kiedy po takim długim czasie się poruszały. Każdy odciągany palec przeszywały ostre ukłucia bólu. Jit nie zaprzestała swojej czynności, nie okazała mu litości.

Po chwili rozprostowała chłopcu wszystkie palce. Ujęła płasko dłonie Henrika, ściskając jedną po drugiej w rękach, gładząc je, jakby po to, żeby się rozluźniły, żeby miała pewność, iż się nie zamkną, zanim je odwróci wnętrzami ku górze.

Zaszyta Służka ułamała gałązkę z płataniny za sobą. Widział, że była ona zakończona długim, strasznie ostrym kolcem. Nie wiedząc, co Jit zamierza, Henrik znowu spróbował się cofnąć, lecz ona, trzymając jego lewy przegub w stalowym uścisku, z łatwością przyciągnęła ku sobie jego rękę. Czuł się jak złapane w pułapkę zwierzątko, które zaraz obedrą ze skóry.

Jit, unieruchomiwszy rękę chłopca, przesunęła kolcem pod paznokciem pierwszego palca. Obróciła kolec ku światłu, badawczo mu się przyglądając. Henrik nie miał pojęcia, co ona robi, czego szuka.

Zobaczył, że jedna z familiantek przy ścianie wyci ąga słoję z gniazda w plecionce.

Wysiliła się i w końcu udało się jej wydostać słoik. Podeszła z nim do Jit i cierpliwie czekała, obserwując poczynania swojej pani.

Zaszyta Służka przeciągnęła kolcem pod paznokciem drugiego palca Henrika.

Tym razem do czubka kolca przywarła drobinka czegoś.

Dźwięk, jaki wydała z głębi gardła, świadczył, że jest zadowolona. Uniosła kolec, pokazując łup towarzyszkom. Zagruchały z zadowoleniem. Biskup Arc jedynie wściekle łypnął, kiedy i jemu to pokazała.

Familiantka zdjęła pokrywę słoja i podsunęła go swojej pani. Karaluchy wylewały się ze środka, oblażyły dłonie familiantki. Grzechocząc panczykami, spada ły setkami na podłogę, rozbiegały się we wszystkie strony i znikają w płataninie patyków. Po chwili żadnego nie było widać.

Nieporuszona Jit zanurzyła kolec w brudnej wodzie. Wyjęła go i sprawdziła, czy to coś, co do niego przywarło, zsunęło się z czubka. Zadowolona, na nowo zajęła się Henrikiem.

Powtórzyła całą operację z paznokciami pozostałych palców i kciuka lewej dłoni.

Znalazła więcej upragnionych skarbów, lecz pod paznokciem kciuka nic się nie kryło.

Henrik kątem oka widział, jak wytatuowane wargi biskupa Arca wykrzywiają się w uśmiechu, ilekroć Jit wyciąga coś nabitego na czubek kolca. Za każdym razem zanurzała kolec w cuchnącej cieczy w słoju, żeby to coś się zsunęło i opadło na dno.

Wreszcie puściła lewą dłoń Henrika i zajęła się prawą. Przesunęła kolcem pod paznokciem pierwszego palca i przysunęła go do oczu, żeby się przyjrzeć. Nic się nie przyczepiło. Zerknęła przelotnie na biskupa i znów powiodła kolcem pod paznokciem, ale nic to nie dało.

Starannie zajęła się drugim palcem. Na kolcu nic nie było. Powtórzyła czyszczenie, a jako że nic nie znalazła, ujęła trzeci palec. I tu nie było tego, czego szukała. Skupiła się na małym palcu, jakby w nim pokładała ostatnią nadzieję.

Kiedy i tym razem na kolcu nie znalazło się nic prócz brudu, opuściła dłoń na podolek.

Arc nieco się pochylił i pokrywające go symbole zafalowały.

- Co się stało?

Zaszyta Służka wydała z głębi gardła kilka krótkich dźwięków.

- Jit mówi, że mamy skórę kobiety - powiedziała familiantka u jej boku. Po chwili wahania dokończyła: - Ale nie mamy skóry mężczyzny.

Biskup zeszywniał i siedem familiantek się cofnęło.

Jedna z nich nie była dość szybka.

Złapał ją za gardło i przyciągnął do siebie. Wydawało się, że działa pod wpływem emocji. Krzyknęła, wijąc się jak wąż w pętli, ale nie mogła się wyrwać. Nie było wątpliwości, że biskupa ogarnęła ślepa furia. Familiantka drapała trzymającą ją za gardło wytatuowane dłonie, ale nic jej to nie dało.

- Powiedzcie swojej pani, że nie jestem zadowolony - nakazał pozostałym.

Kilka z nich skwapliwie i przemówiło do Zaszytej Służki w jej dziwnej

mowie.

Kiedy biskup jeszcze bardziej przyci ągnął ku sobie trzyman ą za gardło familiantkę i wpatrzył się wściekle w jej oczy, wydała okrzyk straszliwego bólu.

- Wracaj do grobu - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Skamieniały z przerażenia Henrik patrzył, jak familiantka traci niebieskawy poblask, który otaczał je wszystkie. Spod osłaniającego głowę kaptura p łynęły smużki dymu. Skręcała się i skręcała, jakby ją wysysano. Skóra na d łoniach i ramionach pociemniała, kurcząc się na kościach, aż zaczęły wyglądać jak odsłonięty szkielet.

Tkanki twarzy jakby si ę zagotowa ły, pokryły bąblami i wypali ły w ciemną, chropowatą maskę. Poczerniała skóra dymiła, kurcząc się na czaszce. Oczy zapadły się w oczodołach. Szczęka obwisła, wargi się skurczyły, odsłaniając kły.

Biskup Arc odrzucił na bok skręcone szczątki.

Kipiąc gniewem, ruszył ku tunelowi, którym tu przyszedł. Świece gasły, kiedy je mijał, jakby włókł za sobą całun ciemności. Warczał z frustracji i furii.

Nagle si ę zatrzymał i odwrócił. Przez chwilę wpatrywał się w Zaszytą Służkę, a potem pomaszerował ku niej. Świece ożyły, kiedy się od nich oddalił.

- Masz ciało kobiety, tak? - spytał.

Wlepiając weń ciemne oczy, Jit potaknęła, a potem wzięła słój z drżących rąk familiantki. Uniosła go nieco, jakby pokazując biskupowi.

Potał zapadnięty policzek kłykiem palca wskazującego.

- Zmiana planów - oznajmił głosem zimnym jak lód.

## Rozdział 55

Zaszyta Służka ruszyła w stronę cieniściego otworu z tyłu komory, a familiantki zaczęły się miotać, wyszarpując mniejsze słoiki z plecionki ścian lub wybierając większe z tych poustawianych na obrzeżach podłogi. Oczy ludzi tkwiących w pobliżu - tych, którzy nadal żyli - obserwowały to z bezbrzeżnym smutkiem i rozpaczą.

Henrik chciałby im pomóc, lecz nie potrafił. Nie mógł pomóc nawet samemu sobie.

Jit trzymała w ręku słoje z brudną brązową wodą, w której pływało to, co tkwiło pod paznokciami Henrika, i wchodziła w czarny otwór. Po drodze rozchlapывała wodę.

Pokrywka zatrzymywała wewnątrz większość cieczy, lecz nie wszystko. Chłopiec widział, jak z plecionki wylazą duże brązowe robale i karmią się tym, co ściekło po słoju i skapnęło na podłogę.

Biskup Arc gniewnie patrzył krwistoczerwonymi oczami, jak familiantki gorączkowo wyszukują wśród setek naczyń nagromadzonych w komorze odpowiednie pojemniki. Ciemne, pokrywające Arca symbole sprawiały, że jego furia zdawała się jeszcze groźniejsza. Sześć familiantek unikało jego wzroku, kiedy tak szukały tego, co było im potrzebne, i wyszarpywały naczynia ze ścian lub podnosiły z podłogi.

Każda z familiantek zebrała chwiejne nęcze słoje. Ta bez dłoni nie mogła udźwignąć tyle, co pozostałe, ale starała się jak mogła. Gdy tylko zgromadziły niezbędne naczynia, spieszenie ruszyły za swoją oddalającą się panią.

Jit, trzymając w jednej ręce słoje, drugą sięgnęła po laskę opartą o ścianę. Obejrzała się przez ramię na Henrika i wydała w swojej dziwacznej, skrzeczącej i mlaszczącej mowie serię krótkich poleceń. Familiantka bez dłoni zawróciła i kazała mu iść za Zaszytą Służką przed resztą familiantek.

- Jit mówi, żebyś się pospieszył. - Obejrzała się przelotnie na biskupa i nachyliła ku chłopcu. - Kiedy już będzie po wszystkim - powiedziała z jadowitym zadowoleniem - zamierzam cię wyssać do ostatka, a tym, co zostanie, nakarmię karaluchy.

Henrik znieruchomiał z przerażenia. Z cichym chichotem popchnęła go,

zmuszając do ruchu.

Idąc chwiejnie przed siebie, pomyślał, jak bardzo tęskni za mamą. Chciał znowu być z nią w namiocie, robić ozdoby z paciorków. A przede wszystkim żałował, że w ogóle przyprowadziła go do Zaszytej Służki.

Od kiedy się zorientował, że psy pędzą go z powrotem do Kharga Trace i że znowu wpadnie w łapy Zaszytej Służki, bał się, że tym razem może się nie wydostać.

Biskup zajął miejsce na końcu szeregu postępującego za Zaszytą Służką ciemnym korytarzem obrzeżonym setkami zwieszających się warstwowo ze ścian rzemyków, do których przywiązano małe nieżywe zwierzęta, skorupy żółwi, czaszki niewielkich stworzeń o ostrych ząbkach. Henrik widział, jak z wybrzuszonych przypór ścian obserwują ich oczy tkwiących tam ludzi. Kiedy napotykali wzrok biskupa Arca, pospiesznie odwracali spojrzenie. Nie wydawali żadnego dźwięku. Henrik pomyślał sobie, że gdyby to on tkwił w ścianie, nie mógłby nie wołać o pomoc.

Lecz dla nieszczęśników uwięzionych w tym strasliwym miejscu nie było ratunku.

Nie było ratunku i dla niego.

Idąc przez labirynt kryjówek Zaszytej Służki, Henrik słyszał brzęczenie owadów, głosy ptaków i innych stworzeń. Kiedy dotarli do wyjścia i wydostali się w noc, bagienne stworzenia gwałtownie zamilkły.

Nisko wiszące chmury, szybko sunące po niebie, oświetlał wznoszący się nad nimi księżyc, toteż leciutko się jarzyły. Ziemia w tym miejscu gęstego, podmokłego lasu wypiętrzała się na tyle, że była wyschnięta na kość. Ciemne sylwety otaczających ich olbrzymich drzew, obwieszane festonami mchu, wydawały się Henrikowi rękami zmarłych spowitymi w całuny.

Kiedy szli przez polanę, zauważył, że leżące tam płaskie kamienie nie są rozrzucone bezładnie, lecz ułożone w koliste wzory. Każdy kamień położono na niewielkim kopczyku ziemi. Zdawały się one wyznaczać drogę ku środkowi otwartej przestrzeni, gdzie Zaszyta Służka zaczęła zdobną laską kreślić na ziemi znaki.

Symbole wydrapywane czubkiem laski przypominały te wytatuowane na biskupie Arcu.

W połowie laski przymocowano rzemienie z kóży skóry, na których wisały opalizujące niebieskie pióra, pomarańczowe i żółte paciorki oraz

rozmaite przedziurawione monety. Henrik się zastanawiał, czemu Zaszyta Służka przywiązuje taką wagę do monet, że zdobi nimi taki bez w ątpienia ważny przedmiot. No bo w końcu jaką miała korzyść z monet w Kharga Trace?

Potem sobie u świadomił, że nie mają one dla niej żadnej finansowej wartości.

Pewnie zabrała je tym wplecionym w ściany biedakom. Dla Zaszytej Służki lśniące pieniążki były wyłącznie ozdobami, podobnie jak b łyszczące pióra. Jedne i drugie symbolizowały życie, które odebrała.

Familiantki zabrały się do ustawiania słoï na ziemi wokół Zaszytej Służki, a biskup Arc stanął z boku i ze skrzy żowanymi na piersiach ramionami gniewnymi, krwistoczerwonymi oczami obserwował przygotowania. Co jakiś czas popatrywała ku niemu któraś z familiantek. Jit nie. Spokojnie rysowała wzory na ziemi pośrodku kręgu słoï.

Rysując tak i wydając rytmiczne dźwięki, otwierała niekiedy któryś słoï, zanurzała dłoń w ciemnej cieczy i rzuca ła to, co wyłowila, na środek rysunku. Ca ły czas cicho, brzękliwe buczała.

Wyciągnęła rami ę, unosząc ku niskim chmurom lask ę. Wydała parę urywanych, rytmicznych dźwięków, potem si ę schyliła i położyła laskę na wyrysowanych na ziemi symbolach.

Wzór zaczął się jarzyć.

Ku zdumieniu Henrika chmury nad nimi się zatrzymały, kiedy Zaszyta Służka, nie przerywając cichego, melodyjnego mruczenia, uniosła ku niebu ręce.



## Rozdział 56

Henrik pomyślał, że pewnie wiatr ucichł i dlatego chmury się zatrzymały, lecz potem zauważył, że znowu się poruszają. Zamiast jednak sunąć po niebie jak przedtem, zaczęły wirować. Kołowały nad polaną, rozciągając się w długie spiralne kształty, odwzorowując jarzący się na ziemi kolisty symbol. Od czasu do czasu błyskały w nich pomarańczowe światełka.

W tym samym czasie sześć familiantek wpadło w trans wywołany mručeniem Zaszytej Służki. Zaczęły - wzorem chmur - krążyć wokół Jit. Nie dotykały stopami ziemi, poruszając się coraz szybciej. Chmury też wirowały coraz prędzej, pomarańczowe i żółte światła migotały jak blask bijący z symboli wyrysowanych na ziemi.

Niskie, rytmiczne dźwięki wydawane przez Zaszytą Służkę przybierały na sile.

Familiantki i chmury wirowały coraz szybciej, a dźwięk wydawany przez Jit stawał się nieprzyjemnym, przenikliwym skrzekiem. Robił się coraz głośniejszy, bardziej piskliwy. Henrik musiał zatkać uszy, chroniąc się przed bólem.

Sześć postaci nagle jakby się rozdwoiło. Henrik patrzył wielkimi oczami, jak ohydne stwory o długich, kościstych rękach i nogach zaczynają się wyłaniać z jarzących się postaci familiantek. Plecy miały zgarbione, ciałą plamiste i wilgotne. Były bezwłose.

W niekształtnych głowach tkwiły gniewne, wylupiate oczy. Skurczone w grymasie wargi ukazywały paskudne kły.

Te stwory - w przeciwieństwie do familiantek, z których się wyłoniły - nie jarzyły się. Błyski światła z chmur i z kolistego wzoru na ziemi odbijały się od ich połyskliwych ciał.

Henrik zobaczył też, że takie same stwory wydostają się z kopczyków pod kamieniami. Każdy szarpał się i wyteżał, wydobywając się z ziemi. Coraz więcej ich przebijało powierzchnię kopczyków, wydostawało się z ziemi i dołączało do gęstniejącej ciżby tańczącej wokół Zaszytej Służki niczym oszalałe zwierzęta.

Lecz to nie były zwierzęta.

Choć się poruszały, nie były to żywe istoty.

Henrik pomyślał, że wyglądają jak wstający z grobów zmarli, tańczący i wymachujący rękami i nogami w rytm melodii wygrywanej przez Zaszytą Służkę.

Obejrzał się na niską, ciemną budowlę ze splecionych patyków i gałęzi.

Uświadomił sobie, że te kopczyki musiały być grobami ludzi uwięzionych w ścianach, którzy już zmarli. Kiedy Zaszyta Służka ich wykorzystwała, grzebano ich tutaj. Czekali, aż ich przyzwie, by znowu jej służyli.

Henrik uznał, że Zaszyta Służka musi być istotą zrodzoną w zaświatach, nasieniem samego Opiekuna.

Pośrodku polany zgromadziły się dziesiątki groteskowych postaci, a coraz więcej ich nadchodziło z mroków spowijających bagnisko i przyłączało się do tańczących i krążących coraz szybciej. Henrik musiał mocniej przyciskać dłonie do uszu, bo miał wrażenie, że rozdzierają go dźwięki wydawane przez Jit, że rozpada się od nich powietrze.

Chmury krążyły w tempie tańczących. Blask w nich migotał coraz intensywniej, a symbole na ziemi błyskały w rytm dźwięków wydawanych przez Zaszytą Służkę i błysków w chmurach.

Dźwięk, blask, wirujące straszliwe stwory tańczące niczym demony - od tego wszystkiego Henrikowi kręciło się w głowie, która bolała go od tego rytmu, od tego naporu. Mrużył oczy, bojąc się całkiem je zamknąć, bo mógłby już nigdy ich nie otworzyć, choć z powodu tych przytłaczających obrazów i dźwięków z trudem utrzymywał je otwarte.

Jit, wokół której wszystko wirowało, co chwilę sięgała do rozmaitych słoj, wyciągając garście zębów, czegoś, co wyglądało jak kostki małych palców lub ludzkie zębra, i rzucała w kolisko. Przy każdej takiej porcji buchało i tańczyło światło.

Miało się wrażenie, że świat drga i migocze. Henrik widział pomarańczowe, żółte i czerwone rozbłyski.

A potem Jit wzięła słoję z tkanką, którą wyciągnęła spod paznokci Henrika. Postaci wirowały w takim tempie, że Henrik ledwo odróżniał pojedyncze stwory. Wszystko stawało się rozmazanym kłębowiskiem ciemnych, połyskliwych ciał i wymachujących kończyn.

Zaszyta Służka zniecka rzuciła słoję w powietrze ponad jarzące się kręgi i miotający się tłum stworów.

Henrik zobaczył, jak szkło pęka. Wydało mu się, że ciecz bucha płomieniem.

Świat tak się rozjarzył, że chłopiec miał wrażenie, iż widzi kości w ciele Jit.

Wszystko zmieniło się w blask i ogień. Drzewa wokół zapłonęły.

Gorące, jarzące się popioły zostały wciągnięte w wir wokół żaru bijącego z zawartości słoja nad środkiem ognistego kręgu.

Zaszyta Służka podniosła ręce, przyzywając niepojęte dla Henrika moce. Stała samotna na tle blasku, obrysowana nim, władając światem zmienionym w ogniste piekło.

W samym środku tego wszystkiego, w sercu oślepiającego blasku, było coś jeszcze jaśniejszego, co wyglądało jak jaskrawe gwiazdy. Drobniki tkanki, którą Jit wyjęła spod jego paznokci, płonęły takim żarem, że reszta świata przy nich przygasła.

Jit z uniesionymi rękami nakazywała jaskrawym iskierkom, żeby wirując i wznosząc się ku niebu, ciągnęły wszystko za sobą.

Samotna w sercu wyjących płomieni, Jit jeszcze wyżej uniosła ręce, nakazując, by wszystko się złączyło.

Tłumy umarłaków płonęły, wyjąc, ich ciała rozpadały się w iskrach i dymie, wciągane w straszliwy wir oślepiającego blasku.

Wszystko wokół Henrika - drzewa, pnącza, mech, zarośla, nawet ziemia - jarzyło się, płonęło i rozpadało na ogniste szczątki i popioły, wciągane długimi spiralami ku drobnutkim iskierkom oślepiającego blasku wznoszącego się przez środek wirujących chmur.

Wicher wył, ogień wył. Henrik musiał mrużyć oczy przed oślepiającym blaskiem.

Zakryłby je, lecz nie śmiał oderwać rąk od uszu, z lęku, że i jego Jit pośle w to ogniste piekło.

Chociaż zaciskał powieki, widział to samo, co oglądał, kiedy miał otwarte oczy.

To była noc jaskrawej barwy, oślepiającego blasku, ogłuszającego dźwięku...

szaleństwa.

Wszystko wciągał jarzący się blask pośrodku polany. Gałęzie i kawałki drzew, cały las, zapalały się, wciągane przez światło. Drzewa i inne rośliny

rozpadały się na tysiące iskier, które wznosiły się, wirując, podążając za żarzącymi się iskrami tkanki. Ciała powstałych z ziemi zmarłych rozpadały się - jak wszystko inne - na potrzaskujące, jarzące się węgielki.

Po twarzy Henrika płynęły łzy wywołane okrzykami przerażenia i strasznego bólu.

Zaszyta Służka jeszcze wyżej uniosła ręce. W oślepiającym rozbłysku zapłonęło powietrze pośrodku polany.

W chwili, w której Henrik pomyślał, że i on umrze w strasliwym rozbłysku światła, wszystko się skończyło.

Nagła cisza omal nie ścięła go z nóg.

Miał wrażenie, że opiera się dźwiękowi, jakby walczył z porywami wichru, próbując utrzymać równowagę. Kiedy dźwięk nagle ucichł, Henrik omal nie upadł.

W uszach mu pulsowało. Głowa go bolała. Bolało go całe ciało.

Lecz zniknął nie tylko dźwięk.

Henrik zamrugał. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nie było już wściekłego wiru ognia i blasku.

Rozejrzał się i zobaczył, że mech na pobliskich drzewach wisi spokojnie w nieruchomym, parnym powietrzu, tak jak przedtem. Każde drzewo stało jak przedtem.

Ziemia, która się otworzyła, wypuszczając zmarłych, wydawała się nieporuszona.

Jakby nie wydarzyło się to wszystko, co Henrik przed chwilą oglądał.

Zniknął tylko sój, a okruchy szkła leżały rozsiane na nagiej ziemi niczym tysiące gwiazd, które spadły.

Henrik nie mógł zrozumieć, co się wydarzyło. Nie mógł pojąć, czy ogień był prawdziwy, czy realne były stwory, które na jego oczach wylaziły z ziemi, czy straszliwy dźwięk i cała reszta były rzeczywiste.

Biskup Arc - stojący tam, gdzie stał na początku - wydawał się niewzruszony, nietknięty. Wzrok miał równie gniewny jak na początku. Jeśli zaskoczył go ten ogłuszający spektakl ognia i blasku, to nie okazał tego.

Pośrodku polany sześć familiantek powoli krążyło wokół Jit, zajmując się nią, cackając się z nią, dotykając jej opiekuńczo, jakby się upewniały, że przetrwała tę ciężką próbę. Ignorowała je, zacierając stopą znaki, które wyrysowała na ziemi laską.

Zaszyta Służka skierowała ciemne oczy na biskupa Arca. Wydała skrzekliwe dźwięki. Henrik widział, jak się wyteżyła, żeby szerzej otworzyć usta, lecz nie pozwalała jej na to rzemyki.

Jedna z familianek podleciała nieco ku biskupowi.

- Jit mówi, że zrobione.

Czerwone oczy przesunęły się z familianki na Jit.

- Postaraj się zrobić i inne rzeczy, o które prosiłem. - Ściągnął brwi. - Nie dawaj mi powodu do powrotu.

Po tych słowach odwrócił się i odmaszerował zamaszystym krokiem. Mrok skupiał się wokół niego niczym czarna peleryna, sprawiając, że wyglądał jak sunący po ziemi ciemny cień.

Henrik podskoczył, kiedy familianka pochyliła się ku niemu. Nie zauważył, jak się podkrada.

- Teraz przyszedł czas na ciebie - syknęła.

## Rozdział 57

Kahlan nagle się obudziła, dysząc ze strachu. Przez umysł przemknęły jej rozmazane obrazy. Wyciągały się ku niej ciemne ręce i pazury. Znikąd pojawiały się kły, kłapiąc i starając się dosięgnąć jej twarzy.

Nie wiedziała, gdzie jest i co się dzieje. Rozpaczliwie walczyła, wywijając się, odpychała to, co po nią sięgało, i jednocześnie usiłowała uciec od przeszywającego ją bólu.

Usiadła gwałtownie, z trudem łapiąc oddech, i przekonała się, że jest w Ogrodzie Życia. Nic jej nie ścigało, nic nie atakowało. Było spokojnie.

Śnił się jej koszmar.

We śnie coś ją ścigało, coś mrocznego i groźnego, coś przerażającego. Było nieustępliwe i coraz bardziej się zbliżało. Starła się uciec. Lecz nie była w stanie wystarczająco prędko biec. To wszystko wydawało się takie realne.

Ale wreszcie się obudziła. Już nic się jej nie śniło. Uciekła przed koszmarem i zarazem przed tym, co ją ścigało. Postanowiła dać już temu spokój, przestać się skupiać na tym śnie. To tylko sen. Już się przebudziła. Jest bezpieczna.

Lecz prędko się przekonała, że to nie żadne wybawienie. Uciekła co prawda przed tym, co ją ścigało w koszmarze, lecz nie uwolniła się od bólu. Głowa tak ją bolała, iż bała się, że zemdleje. Ścisnęła palcami skronie, ale zaraz musiała przycisnąć ręce do brzucha szarpanego bólem. Przeszywający ból głowy wywołał falę mdłości. Kahlan starła się nie wymiotować. Pulsujący ból przytłaczał, sprawiał, że coraz bardziej ją mdliło, coraz mocniej kręciło się w głowie. Ze wszystkich sił walczyła z falami mdłości.

Ale zwyciężyły.

Jej wnętrzności zaczęły się skręcać i Kahlan pospiesznie się wydostała spod pozwijanego koca i na czworakach przemieściła na trawę, byle dalej od miejsca, w którym spała. Próbowwała się powstrzymać, lecz ciało nie było posłuszne woli i zaczęła tak wymiotować, jakby żołądek miał się jej przenicować na drugą stronę. Szarpały ją torsje zgrane z bolesnym pulsowaniem w głowie.

Kahlan zdała sobie sprawę, że czyjaś dłoń dotyka jej pleców, a inna przytrzymuje jej długie włosy.

Pomiędzy spazmami walczyła o oddech. Była przekonana, że wymiotuje krwią.

Ilekoć mięśnie si ę kurczyły, straszliwy ból stawa ł się nie do wytrzymania. Mia łą wrażenie, że pękają jej wnętrzności.

Torsje zaczęły w końcu słabnąć. Pluła gorzką żółcią i ulżyło jej, że nie krwią.

- Co ci jest, Matko Spowiedniczko?

To była Cara. Dobrze było mieć kogoś przy sobie. Czyjaś obecność dodawała otuchy.

- Nie wiem - wykrztusiła.

Nagle pojawił się Richard.

- Co się dzieje?

Kahlan wstrząsały dreszcze. Szarpana nimi, walcząca o oddech, zdołała z trudem wydusić:

- Mdli mnie.

- Twoje krzyki słyszałem aż na dole w komnacie maszyny - powiedzia ł Richard, uspokajająco dotykając jej pleców.

Urwała garść trawy i otarła usta, wyrzuciła ją i powtórzyła tę czynność. Nie miała pojęcia, że krzyczała przez sen. Md łości się uspokoiły i wreszcie mog ła złapać oddech.

Ale głowa nadal ją bolała.

- Miałam koszmar, pewnie krzyczałam i wybudziłam się ze strachu.

Przycisnął dłoń do jej czoła.

- Masz lodowatą skórę i jesteś mokra od potu.

Kahlan nie mogła przestać się trząść.

- Tak mi zimno.

Richard przyciągnął ją do siebie. Bezwładnie się do niego przytuliła. Objęło ją ciepłe, silne ramię.

Lecz zamiast, tylko ją tulić, ujął jej nadgarstek i podniósł rękę. Jego dotyk sprawił jej ból.

- Drogie duchy - wyszeptał.

- Co jest? - zaniepokoiła się Cara.

Richard lekko obrócił dłoń Kahlan.

- Idź po Zedda.

Kahlan ujrzała, jak Cara pędzi dróżką wśród drzew. Dobrze było znaleźć

się w ramionach Richarda. Chciałaby już zawsze pozostać w tym dodającym otuchy uścisku.

Jej ręka pulsowała bólem przy każdym uderzeniu serca. Spojrzała i ze zdumieniem stwierdziła, że zadrapania znowu się pojawiły. Zedd je uleczył, ale się odnowiły i wyglądały gorzej niż przedtem.

- Wygląda na to, że starania Zedda nic nie dały - odezwał się Richard. - Sprowadzimy go tutaj i dowiemy się, co o tym myśli. Sporo wie o takich rzeczach, ale mnie się wydaje, że to mogło być zakażenie i dlatego nie ustąpiło od razu. Pewnie przez to cię mdli. Może po prostu nie całkiem cię uleczył.

Kahlan nie sądziła, żeby to z tego powodu tak fatalnie się czuła. W przeszłości odnosiła rany, które robiły się zaognione i obrzęknięte. Nigdy się przy tym tak nie czuła.

Prawdę mówiąc, ręka miała z jej zdrowiem najmniej wspólnego. To gwałtowny ból głowy ją obudził, przyprawił o torsje, zmusił do wymiotów. To ostre ukłucie bólu w skroniach obezwładniło ją mdłościami. Naprawdę nie sądziła, żeby zadrapania miały coś wspólnego z bólem głowy.

Parę razy w życiu miała tak silne bóle głowy, że aż wymiotowała. Richard też je miewał. Mówił, że odziedziczył je matce. Uznała, że to musi być coś podobnego. Po prostu okropny ból głowy. Na tę myśl od razu lepiej się poczuła.

Popatrzyła na mocno zaczerwienione zadrapania na ręce. Martwiło ją, że zaleczone rany nie tylko się odnowiły, ale i gorzej wyglądały. Ręka zrobiła się nieco sztywna, bo spuchła.

Kahlan znowu zadrżała z bólu. Przepłynęła przez nią fala lodowatego chłodu.

Obezwładnił ją straszliwy ból głowy.

I wtedy - bo Richard się nad nią nachylił i mocno ją przytulił - poczuła, jak wnika w nią łagodna słodycz jego daru. Przez zimne, sztywne mięśnie przepłynęła fala kojącego ciepła. Już w przeszłości leczył ją swoim darem, więc rozpoznała dotknięcie jego magii.

Dar Richarda działał w charakterystyczny sposób i zwykle budził się w nim w razie pilnej potrzeby. Teraz przywołało go współodczuwanie z Kahlan, miłość do niej, pragnienie, żeby była bezpieczna.

W serdecznym uścisku Richarda, we wnikającej w nią jego magii, czas



przestał mieć znaczenie.

Każdą cząstką siebie czuła jego dodającą otuchy, uspokajającą, kochającą obecność.

Lecz choć ogromnie pragnęła jego pomocy, zarazem nie chciała mu na nią pozwolić.

Wiedziała, że uleczając ją, przejmie jej ból. Najpierw musiał usunąć ten okropny ból, przyjął go w siebie, żeby jego dar mógł w nią wniknąć i uleczyć zło. Chociaż tak pragnęła uwolnić się od bólu, nie chciała, żeby Richard cierpiał.

Opór nic nie dał. Przeważała moc daru Richarda. Nie miała wyboru, musiała ustąpić. Miała wrażenie, że spada w nieznaną, bezdenną otchłań. To budziło lęk, a zarazem przynosiło ulgę, że pozwoliła, by ktoś inny za nią walczył z bólem, i że sama może się trzymać na uboczu tych zmaganiań.

Nie wiedziała, na jak długo zatraciła się w tym świecie bólu, z Richardem u boku, złączonym z nią, lecz kiedy otworzyła oczy i powróciła otaczającą ją rzeczywistość, wciąż była w jego ramionach.

Nie spodziewała się, że ból nie zniknie. Był równie silny i uporczywy jak przedtem.

Rozpoznała go także w oczach Richarda. Przyjął go w siebie, ale - o dziwo - nie pomógł jej tym.

Nie uleczył jej.

Pomyślała, że może zrobiła coś nie tak. Może słabo się starała lub, dokładniej mówiąc, może zbyt się bała pozwolić Richardowi działać, za mocno się opierała i dlatego nie mógł jej pomóc.

Cara pochyliła się ku Richardowi.

- Przepraszam, że tak długo szukałam Zedda. Wreszcie go znalazłam. Już idzie.

Nicci też przyprowadziłam.

Richard nie odpowiedział. Wpatrywał się w pustkę.

## Rozdział 58

Kahlan, powracaj ąca z dziwnego odleg łego miejsca, zupełnie oddzielnego od realnego świata, który znów pojawia ł się wokół niej, wiedziała, że coś jest nie tak z ni ą i z Richardem.

Widziała, jak Nicci kuca obok niego. Po zatroskanej minie czarodziejki, patrzącej w jego nieruchome oczy, poznała, że uleczenie nie przebiegło tak, jak powinno.

Richard wpatrywał się w dal, nie reagując na nic, chociaż w jego oczach widać było okropny ból, a Nicci chwyciła go za ramię i nim potrząsała.

Długie jasne włosy czarodziejki zsun ęły się przez lewe ramię, kiedy się przechyliła nad Richardem i przycisnęła dwa palce do czoła Kahlan, która poczuła znajome mrowienie Magii Addytywnej, spływające po nerwach szyi, barków i rąk.

Nicci cofnęła palce i przyłożyła je do czoła Richarda. Odsunęła się i pchnęła go w pierś.

- Puść ją. Richardzie, puść ją.

Kiedy nie zareagował, objęła Kahlan i delikatnie wysunęła ze sztywnych ramion Richarda. Kahlan się nie opierała. Nie pojmowała, czemu Nicci chce, żeby Richard ją puścił, lecz nie mogła nie zauważyć niepokoju na twarzy i w głosie czarodziejki.

Nicci ostrożnie ułożyła Kahlan na ziemi, po czym natychmiast zajęła się Richardem.

Łączność z Kahlan została zerwana i Nicci przycisnęła dłonie do jego skroni.

- Opuść, Richardzie - wyszeptała.

Richard gwałtownie wciągnął powietrze. W jego oczach na nowo pojawiły się życie i świadomość. Kahlan westchnęła z ulgą, że Nicci zdołała go ściągnąć stamtąd, gdzie przebywał. Richard się skrzywił, kiedy czarodziejka cofnęła dłonie.

- Co robisz? - zapytał. - Czemu mnie powstrzymałaś?

- Też bym o to zapytał - oznajmił Zedd, stając za Richardem.

Nicci postukała się w czoło palcami, które przykładała do czoła Richarda i Kahlan, jakby dawała Zeddowi do zrozumienia, żeby sam się przekonał.

Czarodziej natychmiast podciągnął szatę i ukląkł po drugiej stronie wnuka. Przyłożył dwa palce do czoła Kahlan, a potem Richarda.

- No? - zapytał. - Co powinienem poczuć?

Nicci przelotnie na niego spojrzała.

- Nic nie czujesz?

Zedd był wyraźnie zdezorientowany.

- Nic. A powinienem?

Nicci znowu przytknęła palce do czoła Kahlan, która jeszcze raz poczuła mrowienie Magii Addytywnej, a potem powtórzyła to samo z Richardem. Westchnęła.

- Już nic nie wyczuwam. Łączność jest zerwana, więc nie mogłeś tego wyczuć.

- Niby czego? - zapytał Zedd, marszcząc brwi.

Nicci dyskretnie zerknęła na Kahlan.

- Sama nie wiem. To pewnie nic takiego. To nieważne, potem o tym porozmawiamy.

Richard przesunął dłoń po twarzy, dochodząc do siebie po próbie uleczenia Kahlan. Ani trochę się jej nie poprawiło. Uzdrawiał już o wiele gorsze przypadki. Nie miała pojęcia, czemu tym razem mu się nie udało. A jeszcze bardziej ją niepokoiło, dlaczego Nicci wydaje się aż tak podenerwowana.

- Czemu mnie powstrzymałaś? - zapytał zapalczywie Richard. - Uleczam ją. Nie pozwoliłaś mi dokończyć.

To potwierdziło domysły Kahlan. Nicci przerwała Richardowi, zanim zdążył zakończyć proces. Lecz gdy tylko to pomyślała, uświadomiła sobie, że przecież odzyskała świadomość, nim Nicci się zjawiała. Więc nie powiodło się, zanim ich rozdzieliła.

Coś innego musiało pójść nie tak.

Nicci głęboko westchnęła.

- Nie uleczaleś jej, tylko sam się otwierałeś na tę zarazę.

Zedd jeszcze nigdy nie był taki zdumiony. Spojrzał na Richarda, potem na rękę Kahlan.

- O czym ty mówisz?

- Wiedziałam, że coś jest nie tak. Ustało wnikanie daru Richarda w Kahlan, natomiast coś przepływało z niej w niego. Wkradało się,

wykorzystując zespolenie.

To zaalarmowało Zedda.

Nicci spojrzała Richardowi w oczy.

- Wiesz, o czym mówię?

Zirytowany i zniecierpliwiony Richard pokręcił głową.

- Właściwie nie. Nie wiem, co czułem. Nie wiem, co się działo. Wiem tylko, że bolało. Staralem się odjąć Kahlan bólu, a on wymykał się spod kontroli.

- Chłopak leczy instynktownie, przez empatię - wyjaśnił Zedd. - Choć dorastał, nie wiedząc, że ma dar, i nie ucząc się, jak go wykorzystywać, ale widziałem, jak uleczal przypadki, w których ja byłbym bezsilny.

- Ja też - powiedziała Nicci. - Wykorzystuje dar we właściwy tylko sobie sposób, lecz Kahlan nie leczył.

- Jesteś pewna?

Nicci potaknęła.

- Kiedy dotknęłam jej, a potem jego, mogłam ocenić strumień mocy. Nie było harmonii. Ból płynął w odwrotnym kierunku i zdobywał kontrolę nad Richardem.

Powinno być na odwrót. Jego dar powinien opanowywać ból, śląc do Kahlan uzdrawiającą moc, lecz tak się nie działo. Może Richard działał instynktownie i robił to samo, co w przeszłości, lecz tym razem miał do czynienia z czymś odmiennym, groźnym i dlatego mu się nie udało. - Spojrzała na Kahlan. - Czulaś się lepiej?

Kahlan musiała przyznać, że Nicci ma rację.

- Nie. Ale nie rozumiem tego. Richard już mnie leczył.

- To prawda - odezwał się Richard. - Dlaczego tym razem mi się nie udało?

- Nie mam pewno ści, Richardzie, lecz z jakiejś przyczyny to, co próbowałam uleczyć, zachowywało się jak choroba zakaźna. Pewnie powiedziałbyś, że podobnie jest, kiedy opiekujesz się chorym i czasami zarażasz się od niego i obaj chorujecie.

- Przecież dar powinien mnie przed tym chronić.

- Chłopak ma rację - wtrącił się Zedd.

Nicci ociągała się z odpowiedzią:

- Bardzo możliwe, że nie miałbyś tego problemu, gdybyś z czyjąś pomocą

podszkolił się w korzystaniu z magii. Ale nie mam pewności.

Zedd nie marnował czasu na protesty i pytania.

- Cóż, nie ma wątpliwości, że zadrapania, które wyleczyłem, znowu się zaogniły.

Wyglądają na zakażone. Muszę powtórzyć procedurę i uleczyć ją, zanim się zabierzemy do czegoś innego.

- Zgadzam się z tobą - powiedział Richard, schodząc dziadkowi z drogi.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - szepnęła zagadkowo Nicci do Zedda.

Czarodzieja to zaskoczyło.

- Nie sądzę, żeby pozostawienie tego w takim stanie było dobrym pomysłem.

Mogłaby stracić rękę. Co gorsza, jeśli zakażenie się nasili i przeniesie na inne organy, może się okazać śmiertelne.

Nicci dostrzegła na twarzy Kahlan niepokój i ustąpiła, wzdychając i kiwając głową.

- Będę wdzięczny za każdą pomoc - rzekł dziadek Richarda, po chylając się nad Kahlan i przyciskając dłoń do jej czoła. Nicci od razu nakryła ją swoją dłonią.

Kahlan natychmiast poczuła, jak wnika w nią moc Zedda i odrębny strumyk magii Nicci. Chociaż były podobne, każda miała charakterystyczne cechy. Zmieszane razem, kołysły i podnosiły na duchu, lecz odmiennie niż magia Richarda. Wiedziała, że dar Zedda ma inne cechy, toteż się nie zaniepokoiła. Połączona moc magii czarodziejów odurzała.

Kahlan zdawało się jednak, że wyczuła cień czegoś innego, mrocznego, agresywnie tężejącego.

Ledwie to pomyślała, a już uniósł ją strumień mocy Zedda i Nicci. Znowu zniknęły czas i miejsce. Czowała, jak Zedd usuwa ból, podobnie jak Richard, lecz czuło się w tym jego doświadczenie.

Nagle wszystko się skończyło. W mgnieniu oka zniknęła moc Zedda i Nicci.

Kahlan otworzyła oczy, walcząc o oddech. Zdawało się, że ledwie chwilę pozostawała pod ich wpływem, lecz z doświadczenia wiedziała, że równie dobrze mogła minąć godzina lub dwie.

Zedd odchylił się na piętach. Posłał Nicci zaniepokojone spojrzenie.

- To nie Richard. Coś jest nie tak. Wiem na tyle dużo, żeby się wycofać,

Richard tego nie wiedział. - Czarodziej zacisnął usta w niezadowoleniu. - Ja też nie mogę jej uleczyć.

Z twarzy Nicci nic się nie dało wyczytać.

- Więc i ty to wyczułeś?

Kahlan była ciekawa, co to za „coś”.

Twarz czarodzieja wykrzywił grymas frustracji.

- Sam nie wiem. Nigdy nie czułem czegoś takiego. Dla mnie to zupełnie nowe.

Nie mam pojęcia, czemu nie mogłem się z tym uporać.

Nicci wpatrywała się w oczy czarodzieja.

- Co wyczuwałeś?

Pomarszczona twarz Zedda zdradzała niepokój. Wymienił spojrzenia z Nicci.

- Sam nie wiem. Coś... mrocznego.

Nicci okazała zrozumienie, lecz nic nie powiedziała.

Kahlan nie miała pewności, o czym mówią, lecz rozumiała, że obydwójce milcząco się zgadzają, a sama czuła, jak coś w niej tężeje pod dotknięciem ich magii.

Jeszcze bardziej się zaniepokoiła.

- Może Nathan mógłby pomóc - poddał Richard, nie zauważając wymiany spojrzeń pomiędzy Nicci i Zeddem. - Jest Rahlem. Może jemu by się udało, bo jego dar lepiej działa w pałacu. Może to wystarczy.

## Rozdział 59

- O co chodzi? - zapytał Nathan, zatrzymując się przy Richardzie.

Kahlan zauważyła, że prorok zaciska w ręku kartkę.

- Dłoń Kahlan, uleczona przez Zedda, znowu wygląda gorzej - powiedział przez ramię Richard. - Ma trudności z uzdrowieniem jej po raz drugi. Właśnie mówiłem, że ponieważ czar pałacu nie tłumi twojej mocy, może tobie by się udało.

Nathan spojrzawszy chmurnie na Kahlan. Uniosła nieco rękę, żeby ją obejrzał w blasku pochodni. Głowa ją bolała. Najchętniej poszłaby spać.

- Chętnie spróbuję - rzekł prorok.

- To nic nie da - powiedziała spokojnie, lecz stanowczo Nicci. - Zedd już raz ją uleczył. Rany nie powinny się odnowić. Działa tu coś jeszcze, czego ani nie dostrzegamy, ani nie rozumiemy. Skoro Zedd nie potrafi powtórzyć tego, co już raz zrobił, to i ty nie dasz rady.

Kahlan ogromnie się martwiła tym, co Nicci może jeszcze wiedzieć, lecz nie chce o tym mówić.

- Obawiam się, że ona ma rację - przyznał z westchnieniem Zedd.

Kahlan uniosła się na łokciach.

- Ale jeśli nie możecie mnie uleczyć...

Zedd poklepał ją po ramieniu i uśmiechnął się poczekaj.

- Nie martw się, kochanie. Możemy się tym zająć na mnóstwo sposobów. Mamy tu w pałacu najrozmaitsze zioła lecznicze. To tylko zadrapanie i niewielkie zakażenie.

Całe życie leczyłem takie rany ziołami i kataplazmami. Zaraz coś sporządzę i raz-dwa lepiej się poczujesz.

- Zedd ma rację - uspokajał Richard. - Zawsze leczyłem moje skaleczenia bez pomocy magii. Nawet mam trochę aumu - powiedział do dziadka.

Zedd uniósł krzaczaste brwi.

- No proszę. To przyniesie ulgę w bólu, a kataplazm wyciągnie zakażenie.  
- Znowu poklepał ramię Kahlan. - Zaraz go zrobię i w mgnieniu oka będzie lepiej.

Kahlan się uśmiechnęła i położyła.

- Dzięki, Zedd.

Czarodziej łypnął na nią, a potem spojrział na Richarda.

- Musimy ją przenieść tam, gdzie będzie jej wygodniej i sobie wypocznie.

- Tu mi dobrze - zaprotestowała Kahlan. Wcale nie była zachwycona perspektywą, że znowu coś by ją obserwowało w którejś sypialni.

- Na pewno? - Zedd obejrzał się na ziejącą w pobliżu dziurę. - Machina podpowiadała niektórym prorocтва, kiedy spali, chociaż nie mieli ani odrobiny daru.

Tylko pomyśl, jaką mocą musi emanować, że już nie wspomnę o tym, iż działa w obrębie pola ograniczającego. Podejrzewam, że właśnie od tego mogła cię rozboleć głowa.

Richard posłał chmurne spojrzenie w stronę dziury.

- Mnie głowa nie boli, a też tu spałem.

Zedd uniósł palec.

- Ale ty masz dar, oba jego aspekty. Co więcej, uważam, że łączy cię z machiną więź, toteż może na ciebie w ten sposób nie oddziaływać. Może jednak źle wpływać na innych, którzy zbyt dużo czasu spędzają w jej pobliżu, na przykład Kahlan.

Zaniepokojony Richard położył pocieszająco dłoń na ramieniu Kahlan.

Głowa nieustannie pulsowała jej bólem.

- Naprawdę uważasz, że to przez maszynę?

Zedd wzruszył ramionami.

- Niezbyt wiele o niej wiemy. Nie mamy pojęcia, co potrafi, i ogromnie mnie to martwi. Może ją otaczać pole mocy, które wywołuje u ciebie ból i mdłości. Kiedy cię próbowałem uleczyć, wyczułem, że stanowczo za mało śpisz, przez co twoje ciało się nie regeneruje. Dlatego jesteś podatna na rozmaite dolegliwości. Zakażenie się nasili, jeżeli nie będziesz odpoczywać należycie. I dlatego uważam, że powinniśmy cię ułożyć w wygodnym łóżu, a co najważniejsze - daleko od maszyny, żebyś wypoczęła, co będzie sprzyjało procesowi zdrowienia.

Musiała przyznać, że brzmi to sensownie. Mimo to...

- W pałacu z pewnością jest wiele wygodnych komnat - powiedział Richard. - Znajdziemy ci taką, w której będziesz mogła wypoczywać, a Zedd się zajmie twoją ręką.

Kahlan znowu uniosła się na łokciach.

- No a co z kłopotem, który mieliśmy w naszej sypialni?



Richard uśmiechnął się krzywo.

- Mam pewien pomysł. Nie martw się.

Jednak się martwiła. Starła się ignorować pulsujący ból głowy i ręki.

- Już mi lepiej - skłamała.

Odkasznęła, chcąc, żeby łamiący się głos zabrzmiał jak zwykle. Nic to nie dało.

- Jakoś tego nie słyszeć - stwierdził Nathan.

- Są ważniejsze powody do zmartwień, nie ma co się nade mną rozczulać. Głowa pewnie dlatego mnie rozboleła, że śniły mi się koszmary, a co do ręki... zadrapania czasem wyglądają gorzej, zanim się zagoją. Uważam, że za bardzo się przejmujecie.

Nic nie wskazywało na to, żeby przekonała któreś z nich. Może dlatego, że sama w to wątpiła, ale przede wszystkim dlatego, że miała gorączkę. Przez to ochrypla.

Ledwie mówiła. Ilekroć się odezwała, było słyszeć, jak okropnie się czuje.

- Nadal uważam, że powinienem spróbować - odezwał się Nathan.

- Skoro chcesz, z radością będę twoją pacjentką - powiedziała Kahlan, starając się, by zabrzmiało to dziarsko.

Kiedy Nathan mijał Richarda, ten zapytał:

- Co masz w ręku?

Nathan spojrzał na kartkę, jakby o niej zapomniał.

- A prawda. - Machnął nią ku Richardowi. - Od twojej osobistej prorokini z biblioteki.

Richard się skrzywił.

- I cóż Laretta tym razem przepowiada?

- Obawiam się, że to brzmi poważnie. Dlatego cię odszukałem. Trudno powiedzieć, o czym to właściwie mówi, lecz całkiem możliwe, że to kolejna przepowiednia dotycząca Kahlan. - Nathan znowu pomachał kartką, a potem ją odwrócił i głośno odczytał: - „Decyzja królowej będzie ją kosztować życie”.

- Twoim zdaniem to kolejna przepowiednia na temat Kahlan, bo przypomina te wcześniejsze? - zapytał Zedd. - Tę pierwszą, „Królowa bije pionek”?

Sfrustrowany Nathan pokręcił głową.

- Nie wiem. Nie wywołała u mnie żadnych wizji. To może znaczyć

cokolwiek.

Twarz Richarda zbieleła. Wyrwał Nathanowi kartkę i sam przeczytał, jakby nie mógł w to uwierzyć.

- Co się stało? - spytał Zedd.

Richard jeszcze chwilę wpatrywał się w kartkę, a potem spojrzął na dziadka.

- Machina znowu do mnie przemówiła - powiedział cicho.

Zedd pochylił się ku niemu.

- Jak to: przemówiła do ciebie?

Richard opuścił rękę i szukał odpowiednich słów.

- Trudno to wytłumaczyć.

Zedd nie miał zamiaru mu pozwolić tak łatwo się wykręcić.

- Uważam, że powinieneś się postarać.

Richard zacisnął wargi.

- Machina powiedziała mi, że miała sny. Potem chciała wiedzieć, dlaczego śniła.

Nicci uniosła brwi.

- Zadała ci pytanie?

Richard potaknął. Kahlan zmarszczyła brwi, starając się sobie przypomnieć - pomimo okropnego bólu głowy - gdzie już słyszała te słowa. Brzmiały znajomo.

Wreszcie sobie przypomniała.

- Czy nie to samo powiedzia ł tamten chłopiec na targowisku? Że miał sny?

Potem zapytał, czemu śnił. Pamiętasz?

- Pamiętam - odparł Richard. - Henrik. Masz rację. Powiedział dokładnie to samo.

W komnacie zaleg ła cisza, bo wszyscy starali si ę poj ąć implikacje. Już się przekonali, że prorocтва maszyny wypowiedali również inni. Kahlan się zastanawiała, czy to może dotyczyć tego samego.

Richard przeczesał palcami włosy.

- Rzecz nie tylko w tym, co machina powiedzia ła. Zaniepokoiło mnie, jak to zrobiła.

- Co przez to rozumiesz? - zapyta ła Nicci. - Wypala swoje przesłanie na metalowych paskach. Czy tym razem przekazała wiadomość w inny sposób?

- Nie, tak samo jak przedtem.

- No to o co chodzi?

- Wszyscy wiecie, jak machina się zachowuje, kiedy zamierza prorokować: głośny, nagły rozruch? - Richard powiódł wzrokiem po zebranych. Przytaknęli. - Tym razem było inaczej. Zamiast od razu ruszyć pełną parą, zaczęła powoli, cicho, jakby się budziła.

Zedd wyrzucił w górę rękę.

- Budziła się! Obudziła się i powiedziała ci, że miała sny? Drogie duchy, Richardzie, przecież to maszyna!

- Wiem, wiem - mruknął Richard, dając dziadkowi znak, żeby umilkł i słuchał. - Ale zaczęło się powoli, cicho, cała wewnętrzna maszyna stopniowo się rozpędzała. A kiedy już działała na pełnych obrotach, wypaliła dwa paski mówiące o snach: „Miałam sny” i „Dlaczego śniłam?”. Co jeszcze dziwniejsze, paski nie były gorące, kiedy wyszły z maszyny.

- Zawsze są wtedy gorące - oznajmił Zedd.

Richard lekko się pochylił i spojrzał kolejno na każde z nich.

- Cóż, tym razem wyszły z maszyny chłodne. Oba.

Zedd potarł brodę.

- Dziwne.

- Zostałem na dole przez resztę nocy - podjął Richard. - Chciałem się przekonać, czy powie coś jeszcze. Na chwilę zasnąłem. Potem zębaki nagle ruszyły, tak jak zwykle, jak sami już widzieliście: znienacka, całym pędem. Nagły hałas od razu mnie obudził.

Odchylił się, sięgnął do kieszeni i wyjął metalowy pasek.

- Kiedy to się stało, tuż przedtem, nim usłyszałem krzyki Kahlan i przybiegłem tutaj sprawdzić, co się jej stało, machina wyrzuciła tę samą przepowiednię. - Uniósł metalowy pasek. - I ten wysunął się z maszyny gorący, jak zazwyczaj.

- Jaką znowu przepowiednię? - spytał podejrzliwie Zedd.

Richard wskazał kartkę w dłoni Nathana.

- Taką samą jak ta. „Decyzja królowej będzie ją kosztować życie”.

## Rozdział 60

Richard odsunął stopą dywan. Nie zobaczył symbolu takiego jak ten wydrapany w posadzce korytarza przed drzwiami ich poprzedniej sypialni, a także przed komnatą zamordowanej królowej Catherine. To dodało mu otuchy. Symbol oznaczał: „Obserwuj ich”. Nie chciał, żeby ktoś się im przyglądał, gdy śpią, jak to się już zdarzało.

Martwiło go proroctwo wypisane przez machinę, takie samo jak przepowiednia Lauretty, lecz w tej chwili najbardziej niepokoił się o Kahlan. Nie wiedział, czy wróżba

„Decyzja królowej będzie ją kosztować życie” rzeczywiście dotyczy Kahlan, jak wcześniejsza „Królowa bije pionek”, ale teraz należało się przede wszystkim zająć zaognionymi zadrapaniami na jej ręce. O przepowiednię będą się martwić później.

Poza tym próby domyslenia się, co oznacza proroctwo, były stratą czasu.

Na razie chciał przenieść Kahlan do jakiejś wygodnej komnaty, daleko od maszyny, gdzie Zedd mógłby obłożyć zranioną rękę ziołowym kataplazmem, który by wyciągnął zakażenie, a ona mogłaby wreszcie wypocząć.

Liczył, że ta komnata będzie bezpieczna, bo nie należała do lorda Rahla. To w jego sypialniach ktoś ich obserwował. Potem na dodatek stwierdził, że przed drzwiami ktoś wyskrobał symbole, ale i tak - nawet gdyby ich nie było - nie miał zaufania do wystawnych pokoi lorda Rahla. Wydawała się zbyt łatwym celem dla mocy, których nie pojmował. Dopóki się nie dowie, jak i w jakim celu wydrapano znaki w pilnie strzeżonych korytarzach, nie uwierzy, że komnaty mogą być bezpieczne.

To była ustronna sypialnia gościnna. Teraz w tym skrzydle nie mieszkali żadni goście, więc w pobliżu nikogo nie będzie i nikt się nie dowie, że tutaj są. Znajdowała się kilka pięter powyżej dolnego poziomu, toteż nikt z zewnątrz się nie dostanie. Komnata nie była obszerna, lecz Richard o to nie dbał. Potrzebował bezpiecznego miejsca na noc.

Zanim zdążył wejść, przepchnęła się obok niego Cara. Benjamin już rozstawił żołnierzy Pierwszej Kompanii na każdym skrzyżowaniu korytarzy w całym pałacowym skrzydle. Rikka stała w pobliżu po jednej stronie

korytarza, Berdine po drugiej. Obie były w czerwonych skórzanych uniformach. Choć rad widział gwardzistów trzymających straż przed komnatą, to nie bardzo wierzy ł, że mogliby zapobiec nieszczęściu. To, co przedtem przebywa ło w ich sypialni i ich obserwowa ło, z łatwością prześliznęło się obok straży.

Tym razem Richard planował pewną niespodziankę, gdyby tajemniczy obserwatorzy znowu się zakradli.

Obejmując ramieniem kibi ć Kahlan, wprowadził ją do komnaty. Położył pod ścianą ich plecaki i inne rzeczy. Cara wróciła z inspekcji i skinieniem głowy dała mu znać, że nie zauważyła w komnacie niczego, co by ją zaniepokoiło.

- No i co myślisz? - zwrócił się do Kahlan.

Spostrzegł, że spojrzała wyłącznie na łoże.

- Wygląda nieźle.

Cieszyło go, że tęsknie spogląda na łóżko. Martwił się o nią i chciał, żeby choć trochę się przespała.

Mina przyglądającej się Cary świadczyła o tym, że i ona się o nią niepokoi.

Zedd wszedł za nimi do komnaty i delikatnie poklepał Kahlan po plecach.

- Umość się, skarbie. Przygotuję kataplazm i wrócę najszybciej, jak się da, żeby nałożyć ci go na rękę. Potem musisz się przespać. To najbardziej pomoże.

Kahlan potaknęła. Była bardzo blada. Samo spojrzenie zielonych oczu zdradza ło Richardowi, jak bardzo cierpi. Wiedzia ł też, że nie chce go martwi ć, więc się nie przyzna, jak naprawdę się czuje. Ale wyraźnie czytał to w jej oczach.

Ponieważ w Ogrodzie Życia spali na ziemi, Kahlan miała na sobie podróżny strój - spodnie, koszulę i buty.

- Może się rozbierz i połóż?

Pokręciła głową i natychmiast wdrapała się na łoże.

Zanim wyszli z Ogrodu Życia, Nathan spróbowa ł uleczyć jej rękę. Nie bardziej mu się poszczęściło niż pozostałym. Richard liczył teraz na kataplazmy Zedda, które miały

„wyciągnąć” zakażenie, i stary, dobry sen.

Zedd pochylił się ku Richardowi.

- Idę przyrządzić kataplazm i zaraz wracam - ściszył głos. - A tymczasem, tak na wszelki wypadek, pozbądź się tych luster.

Nad toaletką wisiało podwójne zwierciadło.

- Nie martw się - powiedział Richard. - Coś dla nich szykuje.

Gdy tylko Zedd wyszedł, Richard sam sprawdził komnatę. Ufał Carze, lecz po prostu chciał mieć pewność. Komnata była niezbyt duża, toteż nie miał wiele do sprawdzania.

Puste szafy pachniały cedrem. Z tyłu komnaty znajdowały się dwuskrzydłowe, przeszklone drzwi. Richard grzbietem dołoni rozchylił zasłony i popatrzył w ciemność.

Za niewielkim tarasem, z donicą z zimozieloną rośliną, stojącą przy szerokiej, wysokiej po pas kamiennej balustradzie, daleko w dole zobaczył patrol żołnierzy.

Kiedy Cara wyszła, Richard próbował nakłonić Kahlan, żeby zdjęła choć buty.

Nastroszyła się, mówiąc, że jest jej zimno i chce się tylko okryć kocem. Pamiętał, że i on chce mieć spokój, kiedy go boli głowa, wymiotuje i ma okropny ból brzucha. Ostrożnie okrył Kahlan kołdrą.

Kiedy zamknęła oczy, podszedł do zasłon przy dwuskrzydłowych drzwiach i zdjął lambrekin. Potem zdjął znad toaletki jedyne dwa lustra w komnacie. Ustawił je na podłodze, naprzeciwko siebie, i mocno związał lambrekinem. Kiedy skończył, oparł je o wyściełane krzesło.

Usiadł na skraju łóża i położył się, tuląc Kahlan, żeby ją ogrzać i żeby wiedziała, że nie jest sama. Nie otworzyła oczu i nic nie powiedziała, ale cichutko westchnęła, dając mu do zrozumienia, że jest za to wdzięczna.

Richard się obudził, słysząc pukanie. To Zedd wrócił z kataplazmem. Richard podał mu mały słoiczek z aumem, który wyjął ze swojego plecaka. Czarodziej dodał aumu do żółtawej mikstury, którą przyniósł w małej miseczce, i mieszał drewnianą szpatułką, a Richard wyjął spod okrycia dłonie Kahlan.

Chmurnie otworzyła zaspiane oczy, żeby sprawdzić, co on robi, czemu przeszkadza jej spać. Kiedy Zedd posmarował kataplazmem czerwoną, opuchniętą rękę, skrzywiła się z bólu.

- Wkrótce będzie lepiej - pocieszył ją.

Kahlan kiwnęła głową i zamknęła oczy.

Richard podtrzymał dłoń, a Zedd ją obandażował.

- To nie tylko wyciągnie zakażenie, ale i uśmierzy ból. Dodałem też odrobinę czegoś, co ułatwi sen.

Richard skinął głową.

- Dzięki, Zedd. Martwi mnie, że Kahlan jest taka otumaniona i półprzytomna.

- Po prostu nie czuje się dobrze i musi wypocząć - zapewnił dziadek, poklepując go po ramieniu. - Ty też powinieneś się przespać.

Richard nie sądził, żeby udało mu się zasnąć. Chciał siedzieć i czuwać nad Kahlan.

Obaj się odwrócili, słysząc daleki, dziwny, stłumiony okrzyk udręki i bólu.

- Drogie duchy - odezwał się Zedd. - A cóż to było?

Richard się uśmiechnął i pokazał dziadkowi.

- Ustawiłem lustro naprzeciwko siebie. Myślę, że ktoś próbował zajrzeć do komnaty i zobaczył coś, co mu się nie spodobało: własne odbicie.

Zedd zaśmiał się cicho, żeby nie obudzić Kahlan.

- Chłopcze, to milutka odrobina magii.

## Rozdział 61

- Ta sytuacja wymaga decyzji, toteż ją podjęłam - oznajmiła królowa Orneta. - Moja decyzja jest nieodwołalna.

Niewielka grupa przedstawicieli wymieniła spojrzenia. Księżna Marple odstawiła filiżankę na niski stolik i lekko się na nim wsparła, patrząc na Ornetę.

- Chcesz powiedzieć, iż naprawdę wierzysz, że lord Rahl i Matka Spowiedniczka są sługami Opiekuna? Tak naprawdę?

Orneta zauważyła, że w głosie Marple było słycać raczej zgorzenie niż niedowierzenie. Jej oczy lśniły zadowoleniem, że usłyszała tak smakowitą plotkę.

Niektórzy ludzie uwielbiają pognębiać możnych, rozpuszczając pogłoski o paskudnych sprawkach.

Orneta w żadnym razie nie była zainteresowana ani plotkami, ani tym, by rzucać kamieniami w możnych tego świata. Powodowa ły nią ważniejsze motywy. Niepokoiło ją niegodziwe postępowanie, bo zagrażało i jej, i poddanym.

Pozostali szeptem dzielili się swoim zatroskaniem. W ostatnich dniach Orneta przeprowadzała z nimi poważne rozmowy. Niektórzy bardzo si ę przejmowali przepowiedniami, nieugięcie w nie wierzyli i chcieli, żeby traktowano je jako wskazówki co do przyszłości. Bardzo ich niepokoiło, że lord Rahl i Matka Spowiedniczka nie chcą się z nimi dzieli ć proroctwami. Uwa żali, że lekceważy się ich zdanie.

Orneta nigdy nie sądziła, że ci ludzie aż tak się troszczą o przepowiednie, lecz ostatnio znalazły się one w centrum zainteresowania. Podobnie było z nią.

Przypuszczała, że wraz z nastaniem pokoju wszyscy więcej myślą o przyszłości.

Jak się dowiedzieli z poufnych narad z Ornetą i Ludwigiem, istniało tylko jedno wyjaśnienie tego, że lord Rahl i Matka Spowiedniczka ukrywają proroctwa.

Orneta dała znak Ludwigowi.

- Jak to ujawnił opat Dreier, wiele proroctw nazywa lorda Rahla „siewcą



śmierci”.

Nie sprawia mi przyjemności mówienie wam tego. Nie musicie mi te ż wierzyć na słowo. Chociaż nie sędzę, by rozsądnie było prosić lorda Rahla, żeby pokazał wam odnośne pisma, jeśli są dostępne. Pokaże je wam, choć niechętnie, biskup Arc, jeśli będziecie przy tym obstawać.

Myśl, że Opiekun świata zmarłych mógłby wywierać wpływ na ich władców i wykorzystywać ich do w łasnych celów, była ogromnie niepokoj ąca. Większość nie chciała w to wierzyć, lecz nie mogli zaprzeczać dowodom.

- Któż zna przyszłość, jeśli nie Stwórcą, którego dziełem jest wszystko? - zapytał Ludwig. - Skoro Stwórcą wszystko wie, to jak może ostrzegać nas, swoje dzieci, przed zagrożeniami, jakie niesie przyszłość?

Słuchali baczniej, szeroko otwierając oczy.

- Proroctwa - odpowiedział na swoje pytanie Ludwig. - Stwórcą zsyła omeny, żeby nas ostrzec przed niebezpieczeństwami, które tylko On widzi. Bezimienny ch ętnie by nas pozbawi ł takiej pomocy, nieprawdaż? Czyż nie chciałby opętać tych, którym najbardziej ufamy, i nakazać im, żeby ukryli przed nami przepowiednie, przez co tym łatwiej wpadlibyśmy w ramiona śmierci?

Odpowiedź sama się nasuwała. Lord Rahl i Matka Spowiedniczka, zatajając przepowiednie przed innymi władcami, bez wątpienia działają na rzecz Opiekuna.

To był ponury wniosek, którego zebrani pochopnie by nie wyciągnęli i który - nawet dla księżnej - wykracza ł poza zwykłe plotki. Ornetą pomyślała, że może niewielki pokaz determinacji ułatwiłby im podjęcie decyzji.

Dotknęła ramienia Ludwiga.

- Zechciałbyś napisać słówko do biskupa Arca, że przydałby się nam jego wskazówki w sprawach związanych z proroctwami? Powiadom go, że niektórzy z nas, podobnie jak on, uważają, że proroctwo ma istotne znaczenie dla naszej przyszłości, i że chcielibyśmy być powiadamiani, co ono zapowiada. Poinformuj go również ż, że postanowiłam, iż w podzięce za pomoc zyska lojalność moją i moich poddanych.

Znowu dały się słyszeć szepty. Niektórzy aprobująco kiwali głowami.

Ludwig się skłonił.

- Jak każesz, królowo Orneto. Wiem, że biskup Arc będzie zaszczycony

słówkiem od ciebie. Mogę cię w jego imieniu zapewnić, iż obaj będziemy się kierować prorocत्वami w sprawach przyszłości naszego ludu, żebyśmy wszyscy mogli poznać niebezpieczeństwa czyhające na nas na drodze ku powszechnemu dobru.

- Chciałbym, żeby i lord Rahl tak postępował - rzekł ambasador Grandon.

Szarpnął koniec spiczastej bródki i z prawdziwym żalem pokręcił głową.  
- Nie opowiadamy się po żadnej ze stron w tym konflikcie, bo w końcu wszystkim nam chodzi o to samo, toteż mam szczerą nadzieję, iż lord Rahl nie poczyta nam za nielojalność chęci sprzymierzenia się z biskupem.

Rozległy się szepty poparcia. Wszyscy chcieli się opowiedzieć za prorocत्वem, lecz ocierali się o zdradę. Byli lojalni wobec Imperium D'Hary, lecz pragnęli również, by D'Hara kierowała się prorocत्वem.

Orneta wsparła obie dłonie na szerokiej marmurowej balustradzie i spojrzała na znajdujące się poniżej obszerne korytarze Pałacu Ludu. Przez wysokie okna wlewał się słoneczny blask. Oświetlał ludzi tłumnie przemierzających aleje lub tak jak oni tworzących grupki w niewielkiej, lecz wygodnej części galerii wypoczynkowej.

- Masz na myśli zdradę - powiedziała Orneta, nie odwracając się. - O to naprawdę ci chodziło. Chciałeś powiedzieć, iż masz nadzieję, że lord Rahl nie uzna tej decyzji za zdradę.

- Cóż, tak - przyznał Grandon. - Ja tego tak nie traktuję i w żadnym przypadku nie zdrada jest moim zamiarem. Nadal jesteśmy lojalni wobec Imperium D'Hary i cenimy lorda Rahla, tylko że...

Ludwig, popijający wino i przysłuchujący się, uniósł brew.

- Tylko że gdyby biskup Arc został lordem, to byłby bardziej odpowiednim władcą na czas pokoju niż lord Rahl, który lepiej się sprawdza w czasie wojny.

Ambasador uniósł palec.

- To właściwe słowa. Jesteśmy lojalni wobec Imperium D'Hary i, jak powiedziałem, szanujemy lorda Rahla i Matkę Spowiedniczkę. Doceniamy to, co dla nas zrobili, lecz uważamy, że biskup, czy też lord Arc, ze swoją rozległą wiedzą i obeznaniem z prorocत्वami, byłby lepszym władcą. Ponieważ kierowałyby się przepowiedniami, łatwiej by mu było utrzymać pokój i pomóc nam wszystkim wybrać najbezpieczniejszą drogę ku przyszłości.

Kilkunastu zebranych kiwnięciami głowy i szeptami wyraziło poparcie dla mądrych słów ambasadora Grandona.

- I ja mam taką nadzieję - odezwała się Orneta. - Lord Rahl i Matka Spowiedniczka z poświęceniem walczyli o zwycięstwo. Ja... my wszyscy jesteśmy im ogromnie wdzięczni. Obawiam się jednak, że w pewnym momencie ulegli mrocznym podszeptom, i dlatego teraz musimy zrobić to, co jest najlepsze dla naszych poddanych. Mamy obowiązek przyjąć doradztwo lorda Arca. To moja decyzja. Jest nieodwołalna.

Ambasador krótko, lecz zdecydowanie skinął głową.

- Tak się powinno stać.

Księżna wolała się napić herbaty, niż wygłaszać tak doniosłe i ostateczne słowa.

Za to pozostali wyrazili poparcie.

Orneta była uradowana, że Ludwig odgrywa tak ważną rolę, zbierając proroctwa ze wszelkich możliwych źródeł i przekazując je biskupowi Arcowi, żeby ten mógł je wykorzystywać w rządzeniu prowincją Fajin. Teraz wyglądało na to, że biskup Arc lepiej by się sprawdzał jako lord Arc władający wszystkimi ziemiami, a nie tylko odległą prowincją.

Kiedy Orneta podniosła wzrok znad kielicha z winem, zobaczyła Mord-Sith w czerwonym skórzanym uniformie wychodzącą w oddali zza rogu. Szła ku nim, nie odrywając oczu od królowej.

## Rozdział 62

Towarzysze królowej Ornety umilkli, kiedy Mord-Sith się zbliżała. Wszystkie oczy patrzyły na wysoką kobietę w czerwieni, maszerującą ku nim miarowo. Omawiali tak poważne sprawy, że ogarnął ich niepokój i nie byli w stanie prowadzić nawet zwykłej, towarzyskiej pogawędki.

W końcu mieszkali w pałacu lorda Rahla, odwiecznym rodzinnym gnieździe dynastii Rahlów, o środku władzy od tysiący lat. Rozmawianie o takich sprawach w Pałacu Ludu zdawało się nieco niesmaczne, a nawet pozbawione szacunku, wręcz ocierało się o zdradę.

Lecz siedziba lorda Rahla była też zarazem domem ludu. W tym sensie był to pałac ludu, więc ludzie mieli prawo rozmawiać tutaj o sprawach ważnych dla ich przyszłości i podejmować istotne decyzje.

Mimo to zbliżająca się kobieta w czerwieni jakby to unieważniała. Lord Rahl był tutaj - oraz w całej D'Harze - niekwestionowaną najwyższą władzą. Wojna to rozstrzygnęła i jedynie umocniła pozycję lorda Rahla. Póki, rzecz jasna, Orneta i inni, z pomocą opata Dreiera i biskupa Arca, czegoś z tym nie zrobią.

Królowa niezłomnie wierzyła - podobnie jak wielu innych przedstawicieli - że proroctwa są zsyłanymi przez samego Stwórcę wskazówkami i dlatego należy się nimi kierować. Zatem trzeba było je znać. Zgoda na to, żeby Opiekun świata zmarłych zakazywał proroctw, była zdradą życia. Potrzebowali duchowego przywódcy, takiego jak biskup Arc, który by rządził jako lord, kierując się słowami przepowiedni.

W panującej na galerii ciszy obserwowana przez wszystkich przedstawicieli Mord-Sith podeszła do balustrady i spojrzała na chodzących niższymi korytarzami ludzi.

Żołnierze, podniósłszy wzrok i ujrawszy ją, bez zwłoki maszerowali dalej. Inni też ją zauważali, ale nie przyglądali się jej zbyt długo.

Nawet w Pałacu Ludu większość osób unikała patrzenia Mord-Sith prosto w oczy.

Rozumie się, że od ślubu Cary, osobistej strażniczki lorda Rahla, ta ostrożność odrobinę osłabła. Odrobinę.

Jednakże postawa tej akurat Mord-Sith nie skłaniała nikogo do wyzbycia

się starych lęków.

Jasne włosy Mord-Sith były splecione w tradycyjny idealny warkocz sięgający od szerokich ramion do talii. Każdy włos znajdował się we właściwym miejscu. Czerwony skórzany uniform przylegał jak rękawiczka do twardych mięśni i kobiecych kształtów.

Mały czerwony pręt, Agiel, zwisał z przegubu na delikatnym złotym łańcuszku, wystając tuż za koniuszki palców, zawsze w pogotowiu.

Mord-Sith przyjrzała się korytarzom w dole, potem sektorowi galerii, w którym siedziała grupka, i w końcu wbiła przenikliwy wzrok w Ornetę.

- Przyszłam z tobą porozmawiać, królowo. W cztery oczy.

Orneta zmarszczyła brwi.

- O czym?

- Omówimy to na osobności.

Orneta wcale nie była pewna, czy chce rozmawiać z jedną z Mord-Sith lorda Rahla. A z powodu swojej decyzji o scedowaniu lojalności na Hannisa Arca absolutnie nie miała ochoty przebywać z nią sam na sam.

- Cóż, nie wiem, czy chcę...

- Dziwne. Nie wiedziałam, iż sprawiam wrażenie, że pozostawiam ci wybór.

Orneta poczuła, jak jeżą się jej włoski na karku. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek słyszała tak jedwabisty głos brzmiący tak groźnie. Nie wiedząc, jak się wykręcić, uniosła rękę w zapraszającym geście.

- Tam są moje komnaty. To niezbyt daleko. Może...

- Tak. Idziemy.

Orneta spojrzała na Ludwiga, licząc na ratunek lub interwencję. Jego zagniewana mina wskazywała, że nie potrzebuje innej zachęty.

- O co chodzi?

Mord-Sith, słysząc w jego głosie gniew, ujęła Agiel w dłoń.

- O najnowszą przepowiednię.

Wszyscy byli zaskoczeni.

- Jaką przepowiednię? - zapytał Ludwig.

- Wielu osobom, w tym niewidomej wróżbitce, objawiło się proroctwo.

- I coż mówi? - zainteresował się Ludwig.

Mord-Sith, patrząc nań, uniosła brew, a potem przeniosła wzrok na pozostałych.

- Nie mam pojęcia. Nie jest przeznaczone dla niemających daru. W tym was wszystkich.

Oczy Ludwiga zapłonęły gniewem. Pokochał Ornetę, a ona jego. Już od jakiegoś czasu byli razem. Cieszyło ją, że nigdy nie miał jej dość.

- Skoro nawet nie wiesz, co ono mówi, to dlaczego powiedziałaś, że przysłaś w jego sprawie? - drążył.

- Dostałam rozkazy. Wspomniano, że wiążą się z najnowszym proroctwem. - Pochyliła się ku Ludwigowi, groźnie unosząc Agiel. - Zmarnowałam już za dużo czasu.

Musimy iść.

Zamiast się wycofać, Ludwig spróbował stanąć pomiędzy Ornetą a Mord-Sith.

- Sądzę, że powinniśmy...

Dźgnęła go Agielem w ramię. Ludwig krzyknął z bólu i cofnął się. Osunął się ciężko na kolana. Przycisnął dłoń do ramienia, jęcząc w straszliwych męczarniach.

Podniósł na nią wzrok, rozwścieczony.

- Ty suko! Jak śmiesz...

Mord-Sith wycelowała Agiel w jego twarz.

- Proponuję, żebyś tak został i milczał, bo inaczej powalę cię i uciszę na dobre.

Rozumiesz?

Ludwig patrzył na nią z wściekłością, ale się nie poruszył. Orneta wyciągnęła do niego ręce, przerażona tym, że tak cierpi. Chciała go pocieszyć, sprawdzić, czy nic mu nie jest.

Mord-Sith zastąpiła jej drogę i skinęła Agielem.

- Dość tych bzdur. Idziemy.

## Rozdział 63

Zanim Mord-Sith zdążyła ją szturchnąć Agielem, Ornetą po raz ostatni spojrziała na Ludwiga, a potem się odwróciła i poszła do swoich pokoi. Była oburzona i zła na tę kobietę za to, że sprawiła ból Ludwigowi, lecz postanowiła na razie tego nie okazywać.

Poskarży się w odpowiednim czasie w właściwym ludziom i wtedy Mord-Sith zapłaci za swoją bezczelność, nie mówiąc już o niepotrzebnym okrucieństwie.

Przynajmniej udało się jej odciągnąć Mord-Sith od Ludwiga, zanim popełnił jakieś głupstwo i został jeszcze surowiej ukarany.

Orneta, idąc eleganckim korytarzem, starała się za bardzo nie spieszyć. Szła dostojnym krokiem, żeby przypomnieć Mord-Sith, z kim ma do czynienia. Poza tym wcale jej się nie spieszyło do komnaty, gdzie będzie sama z tą kobietą.

Służąca, idąca w przeciwnym kierunku z naręczem czystej bielizny pościelowej, widząc nadchodzącą Mord-Sith, natychmiast usunęła się pod ścianę, jak najdalej od niej. Wbiła oczy w podłogę, unikając spokojnego wzroku wysokiej kobiety w czerwonej skórze.

Orneta czuła się jak skazaniec prowadzony na egzekucję. Nie mogła uwierzyć, że okazuje się jej taki brak szacunku. Przyszło jej na myśl, że - zważywszy na jej postanowienie - nie jest to tak całkiem niezastępowane. Przez całe lata była lojalna wobec Imperium D'Hary. Napomniała się, że i teraz kieruje się lojalnością, jeśli nie wobec władcy, to z pewnością wobec ludu.

Nie wiedziała, czego Mord-Sith może chcieć, lecz coraz bardziej się niepokoiła, że ma to coś wspólnego z tym, że przedłożyła lojalność wobec Hannisa Arca nad lojalność wobec Richarda Rahla. Powiedziała sobie, że to niemądre. Poza nią i Ludwigiem nikt nie wiedział o jej decyzji. I oczywiście poza grupą przedstawicieli, lecz im dopiero co o tym powiedziała.

Przyszło jej na myśl, że może się objawiło proroctwo zapowiadające jej nową przysięgę wierności. Lord Rahl nie zdradzał im, co mówią proroctwa, nie chronił ich przed ujawnianymi zagrożeniami, ale to nie oznaczało, że nie wykorzystuje proroctw do własnych mrocznych celów. Nie może znać

odgadnąć, co wie osoba wykorzystywana przez Opiekuna zaświatów ani do jakich czynów jest zdolna.

Lord Rahl to dobry, zacny człowiek, lecz nawet taki może zostać opętany i wtedy nie kieruje się własną wolą, lecz działa pod dyktando uosobienia śmierci. Jak to wykazał Ludwig, kogo bardziej by się opłacało Opiekunowi wykorzystywać w jego własnych mrocznych celach, jeśli nie tych, którym ludzie najbardziej ufali?

Orneta obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Mord-Sith z ponurą miną postępuje tuż za nią. Za nimi zaś szła cała grupa przedstawicieli. Trzymali się z dala, lecz najwyraźniej zamierzali się dowiedzieć, o co chodzi i dlaczego jedną z nich odłączono od pozostałych. Ludwig, trzymając się za ramię, jeszcze obolały po dotknięciu Agielem, szedł przed zatroskanym ambasadorem Grandonem, za nimi księżna, a potem reszta przedstawicieli. Mina Ludwiga zdradzała gniew.

Orneta się ucieszyła, że idą za nimi. Pomyślała, że to może złagodzić zapędy Mord-Sith. Świadkowie zwykle wyciszają agresję. Dodało jej też otuchy to, że Ludwig stanął w jej obronie.

Zatrzymała się i wskazała ozdobne drzwi, starając się zyskać trochę czasu dla pozostałych.

- Oto mój apartament.

Kiedy Mord-Sith posłała jej gniewne spojrzenie z rodzaju tych, co to pozbawiają sił nawet najsilniejszych, Orneta otworzyła drzwi i weszła do środka. Rozmyślnie zostawiła je uchylone, żeby świadkowie, kiedy się już znajdą na miejscu, wszystko słyszeli i mogli nawet zajrzeć do komnaty.

Mord-Sith zdecydowanym ruchem zamknęła drzwi.

Orneta, starając się zachowywać swobodnie, podeszła do niskiej szafki, na której na srebrnej tacy stały butelki wina, wody i słodkich napojów oraz sześć kryształowych kielichów.

- Mogę zaproponować coś do picia?

- Nie jestem tu po to, żeby pić.

Orneta serdecznie się uśmiechnęła.

- Wybacz, nie zapytałam, jak się nazywasz.

Błękitne oczy Mord-Sith przyprawiały Ornetę niemal o omdlenie, ale starała się tego nie okazywać.

- Jestem Vika.



- Vika. - Uśmiechnęła się Orneta. - Co mogę dla ciebie zrobić, Viko?

Mord-Sith ruszyła ku niej.

- Możesz krzyczeć.

Orneta zamrugła.

- Słucham?

Vika chwyciła ją za ramię.

- Powiedziałam, że możesz krzyczeć.

Mord-Sith zgrzytnęła zębami, przyciągnęła Ornetę i wbiła jej Agiel w brzuch.

Orneta nigdy nie doświadczyła takiego bólu, nawet sobie nie wyobrażała, że jest możliwy.

Nie mogła nie krzyczeć.

Wrzask w końcu ucichł i Orneta osunęła się na podłogę, próbując złapać oddech, po twarzy spływały jej strumienie łez.

- Czemu to robisz? - wykrztusiła pomiędzy spazmatycznymi oddechami.

Vika stała nad nią i się przyglądała.

- Żeby ułatwić ci wrzaski.

Orneta osłupiała. Nie mogła pojąć, czemu Mord-Sith zrobiła coś takiego i czemu chciała, żeby Orneta krzyczała.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ tak bardzo pragniesz, żeby ludzie kierowali się prorocत्वami, spotkał cię ten zaszczyt, iż będziesz narzędziem spełnienia się jednego z nich. A teraz chcę usłyszeć naprawdę porządny wrzask.

Orneta gapiła się na nią, sparalizowana strachem i zdumieniem, a Vika dźgnęła ją Agielem w zagłębienie u nasady szyi.

Królowa tak zawyła, iż myślała, że porozrywa sobie gardło. Nie byłaby w stanie się powstrzymać, nawet gdyby chciała. Ból ją przytłoczył, mięśnie ramion i szyi kurczyły się w niekontrolowanych spazmach.

Sącząca się z gardła i wypływająca z ust krew stłumiła krzyki. Ściekała po brodzie Ornety, skapywała długimi, gęstymi soplami i wsiąkała w gorset sukni.

Komnata pociemniała w kurczącym się polu widzenia Ornety, które stopniowo się poszerzało. Nie bardzo wiedziała, gdzie jest Mord-Sith i co robi, póki nie zobaczyła, jak znika za nią.

Vika bez słowa dźgnęła Agielem miejsce u podstawy czaszki Ornety.

Królową oślepił blask. Barwne iskierki buchnęły we wszystkie strony. W jej głowie rozlegał się straszliwy wrzask, sprawiając, że ból był jeszcze silniejszy niż poprzednio.

Ostre sztylety wbijały się jej w uszy.

Siedziała na podłodze, bezwładna i bezradna, a w jej czaszce dudnił krzyk, łomot i wycie.

Słyszała odgłos kroków Viki na marmurowej posadzce, kiedy Mord-Sith wyszła zza jej pleców i stanęła przed nią. Górowała nad Ornetą, patrząc na nią bez odrobiny współczucia, a tym bardziej bez skruchy.

Orneta w całym swoim życiu nie widziała tak zimnego, bezlitosnego spojrzenia.

- Ten był niezły - oznajmiła spokojnie Vika. - Z pewnością wszyscy słyszeli.

Orneta nie była w stanie unieść głowy. Mięśnie szyi jej nie słuchały. Pomyślała, że pewnie popękały w tym przeokropnym bólu. Opierała brodę o przesiąkniętą krwią pierś.

Widziała, jak krew rozlewa się po białej marmurowej posadzce. Jej krew.

Mnóstwo jej krwi.

Buty Mord-Sith miały taką samą barwę jak jeziorko krwi, w którym stała.

Z najwyższym wysiłkiem, pokonując palący ból w gardle, pomimo wypełniającej usta krwi, Orneta uniosła głowę i spytała:

- Czego chcesz ode mnie?

Vika uniosła brew nad chłodnym niebieskim okiem.

- Skoro już tak pięknie dla mnie pokrzyczałaś, to chcę, żebyś umarła.

Orneta spojrzała na nią wielkimi oczami. Nie była w stanie stawiać oporu, nie mogła walczyć z taką bestią.

Mimo to nie była zaskoczona. Znała odpowiedź, zanim Vika ją wypowiedziała.

Orneta po raz kolejny zobaczyła zbliżający się Agiel.

Tylko w pierwszej chwili poczuła niesamowity ból, kiedy pękało jej serce.

A potem nawet ta straszliwa udręka zniknęła w ostatnim błysku świadomości.

## Rozdział 64

Ludwig nalewał sobie ostatni kielich wina, kiedy usłyszał, jak drzwi za nim otwierają się i zamykają. Nikt nie pukał.

Lekko odwrócił głowę - mignął mu czerwony skórzany uniform. Poczł znajomy zapach krwi. Przypomniało mu się opactwo, praca nad wydobywaniem przepowiedni.

Odwrócił się, łyknął wina, oparł biodrem o stół. Było późno i czuł się zmęczony.

Vika stała dumnie wyprostowana, z dłońmi splecionymi za plecami, na rozstawionych stopach, z wysoko uniesionym podbródkiem. Nie patrzyła mu w oczy.

- Czy wszystko przebiegło zadowolająco, opacie?

Ruszył ku niej przez komnatę.

- Wszyscy byli przerażeni. Słyszeliśmy wrzaski. Kiedy wyszłaś i zanim się rozbiegli, dostrzegli zw łoki. A już szczególnie podobało mi się gniewne spojrzenie, jakim ich obrzuciłaś, wycierając o dywan krew z butów. Świetne.

Nadal nie patrzyła mu w oczy.

- Dziękuję, opacie.

- Czy Ornetta bardzo cierpiała?

- Tak. Zgodnie z twoim życzeniem postarałam się, żeby tak było.

- Dobrze. Skoro Mord-Sith robi ła coś takiego na ich oczach, z pewno ścią wielu przedstawicieli uważa teraz, że lord Rahl jest potworem, któremu nie można ufać.

- Jestem przekonana, że padną prosto w czekające na nich ramiona lorda Arca - powiedziała.

- Taaak - rzekł, przeciągając samogłoskę. - Z pewnością.

Zawahała się, oblizała wargi, a potem spytała:

- Czy z twoim ramieniem już wszystko dobrze, opacie? Bałam się, że zbyt daleko się posunęłam.

Ludwig przycisnął dłonią bolące miejsce, poruszył barkiem.

- Zrobi łaś to, co było trzeba zrobić. Pokaz wywarł odpowiednie wrażenie, jak tego chciałem. Nikomu nie wpadnie do głowy, że coś nas łączy. Nie wiedzą, że jesteś ze mną.

Błękitne, znowu lodowate oczy wreszcie na niego spojrzały.

- Jestem Mord-Sith lorda Arca, nie twoją.

Wzruszył ramionami.

- Szczegół bez znaczenia.

- Nie sądzę, żeby lord Arc uznał, że to nie ma znaczenia. Ludwig wyciągnął ku niej rękę i posłał jej w brzuch strumień mocy. Napił się wina.

Vika osunęła się na kolano, łzy napłynęły jej do oczu. Jej twarz niemal dorównała czerwieni uniformowi. Objęła ramionami szarpany bezlitośnie zadawanym bólem brzuch. Upadła na bok, jęcząc.

Mord-Sith ćwiczone w znoszeniu bólu. Lecz nie miały zbyt dobrego doświadczenia z bólem tego rodzaju ani w takim natężeniu, jaki mógł zadać opat.

Miała teraz obłąkany wzrok. Wiedział, że patrzy poza granice świata istot żywych, w świat umarłych. I że nie oczekuje z niego powrotu.

Nieczęsto ktoś zapuszczał się tak daleko za granicę śmierci i wracał.

Opat wszystko miał pod kontrolą. Trzymał Vikę w pobliżu punktu, z którego już nie było powrotu. Właściwie nie przejąłby się, gdyby nie wróciła z tego mrocznego miejsca. Była urocza, lecz zawsze mogła ją zastąpić inna.

Napomniawszy jednak, że Hannisowi by się to nie spodobało. Uwolnił ją.

Vika z trudem łapała oddech, przetoczyła się na plecy. Ręce szeroko rozrzuciła.

Znowu powracał wokół niej żywy świat. Opat widział, że jest zaskoczona tym nieoczekiwanym powrotem do życia. Wreszcie zamrugnęła, spojrzała na niego i dotarło do niej, gdzie jest.

- Nigdy więcej nie bądź wobec mnie harda. Zrozumiałaś?

- Tak, opacie.

- Nie podoba mi się twoja bezczelność.

Skinęła głową, z trudem się podnosząc.

- Proszę, wybacz mi ten brak szacunku.

Odczekał, aż wstała. Łza spływała jej po policzku.

- A co z resztą spraw? - spytał.

Sztywno splótła dłonie za plecami, robiąc, co w jej mocy, żeby nie okazywać, że cierpi. Lecz nie stała już tak prosto jak przedtem.

- Zadbaj o wszystko, opacie. - Vika przełknęła ślinę, wciąż próbując odzyskać panowanie nad sobą. - Zdołałam się dostać do korytarzy, gdzie

znajdują się sypialnie lorda Rahla, i umieścił symbol przed drzwiami. Zrobiłam go również przed drzwiami komnaty króla Filipa, kiedy zobaczyłam, że wychodzi, zostawiając żonę samą.

Ludwig znowu napił się wina.

- Czy ktoś cię wtedy widział?

- Tak, opacie. Widziało mnie wiele osób, lecz żadna mi się nie przyglądała. Jak nakazałeś, uważałam, żeby nie zobaczyła mnie żadna Mord-Sith. Dla wszystkich innych byłam po prostu jedną z Mord-Sith lorda Rahla. Nikogo nie dziwi ich widok w pałacu. Na szczęście ostatnio wszystkie chodzą w czerwonych skórzanych uniformach.

Każdy, kto mnie zobaczył, starał się nie zwracać na mnie uwagi. Można by pomyśleć, że byłam niewidzialna.

Ludwig się uśmiechnął. Wiedział, że tak jest. Sam podpowiedział Hannisowi Arcowi, że Vika będzie mogła swobodnie wszędzie chodzić - za dnia, doskonale widoczna - i nikt nie zwróci na nią uwagi. Hannis Arc, choć tak potężny, bystry i przebiegły, był zbyt odizolowany i pochłonięty swoją obsesją, żeby wiedzieć, jak to jest na świecie. Bez wskazówek Ludwiga nie osiągnąłby wiele.

- Dobrze - powiedział, kiwając z zadowoleniem głową. - Dobrze. - Odstawił kielich.

- Teraz musisz odejść. Nie chcę ryzykować, że któraś z Mord-Sith lorda Rahla zobaczy twoją twarz. Im dłużej tu jesteś, tym większe ryzyko, że ktoś się zorientuje, iż nie jesteś jedną z nich.

- Jestem przygotowana i mogę natychmiast odjechać, opacie.

Ludwig skinął głową.

- Bagaże są już w karocy, która na mnie czeka. Ja też wkrótce odjeżdżam. Kiedy zostawię za sobą pałac i równiny Azrith i znowu znajdę się w lasach, będziesz mogła do mnie dołączyć na resztę podróży. Lord Arc z pewnością niecierpliwie czeka na twój powrót.

- Tak, opacie, z pewnością.

Podniósł wzrok, szukając w jej zimnych, błękitnych oczach choć cienia bezczelności, lecz się go nie dopatrzył.

- Czy prawdą jest to, co słyszałam, opacie?

- Nie wiem. A co słyszałaś?

Vika wahała się przez chwilę.

- Że Mord-Sith wzięła ślub. Stąd ta wielka ceremonia i ci wszyscy goście. Wypełniałam rozkazy, więc nie sprawdziłam, czy to prawda.

- Nie powinno cię to obchodzić, lecz tak, to prawda. Dlatego tu jesteśmy.

Zaproszono nas na wspaniały ślub Cary.

Vika prychnęła.

- Nie rozumiem, jak Mord-Sith mogła zrobić coś takiego.

Ludwig wzruszył ramionami.

- Tutejsze Mord-Sith złagodniały pod rządami lorda Rahla.

Vika skinęła głową w zamyśleniu.

- Z pewnością.

Podszedł bliżej i okrążył ją, mierząc wzrokiem. Stał tuż przed nią, patrząc w błękitne oczy. Nie odwzajemniła spojrzenia.

- Tutaj na razie skończyliśmy. Musisz ruszać. Nie chcę, żeby cię zobaczyła niewłaściwa osoba.

Vika pochyliła głowę.

- Natychmiast odejdę i dołączę do ciebie w lasach.

Ludwig obserwował jej kształtną postać, kiedy Vika szła do drzwi, przyglądał się rozkołysanym biodrom. To byłaby ekscytująca odmiana - mieć po Ornecie takie ponętne stworzenie. Nie, żeby Orneta była kiepska, po prostu nie była Viką. Tylko nieliczne kobiety dorównywały tej ostatniej.

Na razie jednak, podobnie jak inne Mord-Sith, należała do Hannisa Arca. Lecz pewnego dnia - jeśli wszystko pójdzie po myśli Ludwiga - lord Arc nie będzie już jej potrzebował. Pewnego dnia opat Dreier będzie lordem Dreierem i będzie miał własne zachcianki.

To będzie wymagało wielkiej przebiegłości i ostrożności. Hannis Arc jest niezwykle niebezpiecznym człowiekiem. Nie można lekceważyć jego tajemnych mocy.

Dręczy go jednak obsesja.

Ludwig otrząsnął się z przyjemnych wizji. Musi ruszać w drogę. Wszyscy przedstawiciele, którzy przestali ufać lordowi Rahlowi i przysięgli wierność lordowi Arcowi, odjeżdżali do rozmaitych krain imperium. Chciał być wśród nich.

## Rozdział 65

Richard był wstrząśnięty i zły.

Ledwie mógł uwierzyć własnym oczom - królowa Orneta leżała bez życia w kałuży krwi.

To była druga królowa zamordowana w jego pałacu od dnia ślubu Cary. Oba zgony były przerażające.

Jeszcze bardziej się zdenerwował na wieść o tym, że tego zabójstwa dokonała Mord- Sith.

Nie wiedział która. Nie mógł pojąć, dlaczego to zrobiła.

- Lordzie Rahlu - odezwała się Cara. - Przyznaję, że nie lubiłam królowej Ornety i nie ufałam jej, ale bym tego nie zrobiła.

Nawet Cara wołała nie nadużywać jego cierpliwości.

- Nie powiedziałem, że to zrobiłaś.

- No to coś powiedz.

Spojrzał na nią.

- Chcę wiedzieć, czyje to dzieło.

Mocno zacisnęła wargi i skinęła głową. Chciała powiedzieć, że Mord-Sith sama by czegoś takiego nie zrobiła. Już nie. Lecz nie mogła zaprzeczyć relacji świadków.

Cara potwierdziła to, co Richard już wiedział - że królowa zginęła od Agiela.

Nie było wątpliwości, że królową Ornetę zabiła Mord-Sith. Pytanie tylko która.

Richard nie chciał myśleć, że to była któraś z nich. Wszystkie nie znały litości, chroniąc życie Kahlan i jego, nie znały lęku w boju, lecz były mu bezwzględnie wierne.

To absolutnie nie miało sensu.

Richard skinieniem dłoni przywołał stojącego w korytarzu ambasadora Grandona. Ambasador skłonił głowę na znak posłuszeństwa i wszedł do komnaty, skubiąc guzik długiego okrycia.

Podszedł do Richarda i ponownie skłonił głowę.

- Tak, lordzie Rahlu?

- Powiadasz, że zrobiła to Mord-Sith i że ją widziałeś?

- Tak.

- Opisz ją. Jak wyglądała?

Ambasador przez chwilę się zastanawiał.

- Wysoka, blond włosy. Miała błękitne oczy.

Richard starał się nad sobą panować. Wskazał stojącą obok niego Carę.

- Cara jest wysoka, ma blond włosy i błękitne oczy. Czy to była ona?

Ambasador Grandon przyjrzał się Carze.

- Oczywiście, że nie, lordzie Rahlu.

- Bardzo wiele Mord-Sith ma blond włosy i błękitne oczy. Podobnie jak wielu mieszkańców D'Hary.

Ambasador, bez przerwy skubiący guzik, znowu pochylił głowę.

- Tak, lordzie Rahlu.

- Więc powiedz mi, czym tamta kobieta się od nich różniła. Jak możemy ją wyłuskać spośród wszystkich blondwłosych i błękitnookich Mord-Sith? Skąd będziemy wiedzieć, która zawiniła?

Ambasador w końcu zostawił guzik w spokoju i zaczął szarpać spiczastą brodę.

- Nie wiem, lordzie Rahlu. Nie patrzyłem wprost na nią, nie przyjrzałem się jej dokładnie. Widziałem czerwony skórzany uniform, blond warkocz, Agiel. Zachowywała się jak Mord-Sith, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Była kobietą, której należy się lękać.

Nie wiem, czy potrafiłbym ją wskazać, gdybym ją jeszcze raz zobaczył.

Sfrustrowany Richard westchnął. Wiedział, że Grandon ma rację. Niewiele osób patrzyło Mord-Sith prosto w oczy czy odważało się na więcej niż przelotne spojrzenie.

Dobrze rozumiał to uczucie, ten strach.

Oparł lewą dłoń na rękojeści miecza, stukał kciukiem w jelec.

- Po co wszyscy się spotkaliście z królową Ornetą? Czemu usiedliście na galerii?

Pozostawione tam filizanki i kielichy świadczą o tym, że siedzieliście tam dość długo.

Co robiliście?

Ambasador pobladł i Richard wiedział, że trafił w czuły punkt.

- Po prostu rozmawialiśmy, lordzie Rahlu.

- Po prostu rozmawialiście. A o czym?



- O prorocत्वach.

- O prorocत्वach. I c6z m6wiliście? Zważywszy na to, że większość z was natychmiast się spakowała i jeśli już nie wyjechała, to właśnie się do tego szykuje.

Ambasador Grandon oblizał usta, rozważnie dobierał słowa.

- Zostałem trochę dłużej, lordzie Rahlu, ponieważ uznałem, że jestem ci winien wyjaśnienie.

Richard zmarszczył brwi.

- Wyjaśnienie?

- Dlaczego inni wyjechali i co zostało postanowione. Wysłuchaliśmy, co ty i Matka Spowiedniczka macie do powiedzenia o prorocत्वach. Co o nich sądzi prorok Nathan.

Lecz, z całym szacunkiem, mamy na ten temat własne zdanie.

Richard zatrzymał dla siebie kąśliwą odpowiedź. Zmilczał, wziął głęboki oddech.

W końcu to on sam powiedział tym wszystkim ludziom, którzy przedtem padali na kolana i zanosili modły do lorda Rahla, że ich życie należy wyłącznie do nich, że powinni powstać z klęczek i je przeżyć. Oczekiwał, że będą samodzielnie myśleć, podejmować przemyślane decyzje, żyć po swojemu.

Położył dłoń na ramieniu ambasadora.

- Jesteśmy wolnymi ludźmi, ambasadorze Grandon. Powinniśmy współdziałać na rzecz powszechnej pomyślności, lecz nie zamierzam zamęczać na śmierć tych, którym nie odpowiada mój sposób działania. O to właśnie toczyliśmy wojnę: o przekonanie, że wszyscy mamy prawo decydować o własnym życiu. Kiedy mówiłem, że wasze życie należy wyłącznie do was, mówiłem to z przekonaniem, szczerze. Miałem nadzieję, że ludzie dostrzegą w naszych słowach mądrość i doświadczenie i postanowią z własnej woli iść za nami.

Ambasador wyglądał na zawstydzonego i pełnego żalu.

- Brak mi słów, by wyrazić, jak jestem wdzięczny za te słowa, lordzie Rahlu. Lecz tym trudniej mi powiedzieć to, co mam do powiedzenia.

- Po prostu mów prawdę, ambasadorze. Nie obwinię cię za mówienie prawdy.

Grandon skinął głową.

- Zrozumieliśmy, lordzie Rahlu, że masz swój pogląd na proroctwa, i nawet pojmujemy, że bez wątpienia masz po temu powody, lecz uważamy, że powinniśmy wiedzieć, co głosi proroctwo, żebyśmy mogli to wykorzystać dla poprawy życia naszych poddanych. Królowa Orneta postanowiła przysiąc lojalność Hannisowi Arcowi i korzystać z jego wskazówek wynikających z proroctw, je śli się zgodzi nam ich udziela ć.

Nie wiemy, jak przyjmie naszą prośbę, lecz mamy podstawy sądzić, że na to przystanie.

Kiedy królowa ogłosiła swoją decyzję, wszyscy postanowiliśmy to samo: że wolimy władcę, który nie utajnia proroctw i korzysta z nich, niż... ciebie.

Richard wsunął kciuki za pas i wziął kolejny głęboki oddech.

- Rozumiem.

- Kiedy byli śmy na galerii, opat zapyta ł Mord-Sith, która przyszła po królow ą, o co chodzi, a ona odpowiedziała, że o najnowsze proroctwo. Opat Dreier spytał, co ono mówi. Mord-Sith odparła, że nie wie, lecz że objawiło się ono wielu ludziom. Kiedy opat usiłował jej przeszkodzić, pchnęła go Agielem.

Wskazał martwą Ornetę leżącą w kałuży krwi.

- Mord-Sith odeszła z królow ą Ornetą. Poszliśmy za nimi i słyszeliśmy, co zrobiła.

Kiedy wyszła po zabiciu królowej, myśleliśmy, że nadeszła nasza kolej. Dlatego nikt z nas się jej nie przyglądał. Odeszła jednak, a my ocaleliśmy. Niektórzy natychmiast poszli do wróżbitki siedzącej w korytarzu.

- Sabella - odezwał się Richard. - Znam ją.

Ambasador Grandon przytaknął.

- Istotnie.

- Co powiedziała?

- Że dzień wcześniej objawiła się jej wróżba zapowiadająca, iż „Decyzja królowej będzie ją kosztować życie”. Było to po tym, jak królowa Orneta obwie ściła nam swoją decyzję przyrzeczenia wierności Hannisowi Arcowi w zamian za wskazówki i ujawnianie proroctw. - Skin ął dłoni ą ku martwej królowej. - Wkrótce potem straci ła życie. Proroctwo się dopełniło. Kolejny dowód dla nas, i ż słusznie wierzymy, że powinniśmy być informowani o proroctwach i postępować za takim przywódc ą, który jest z nimi obeznany i nie będzie ich przed nami zatajał.

- Rozumiem.

Ambasador zwiesił głowę.

- Przykro mi, lordzie Rahlu, lecz to nasze życie i postanowiliśmy wykorzystać wszelkie dostępne środki, żeby się bronić. Taką decyzję podjęliśmy i dlatego wielu przedstawicieli wyjeżdża. Niektórzy już to zrobili, inni opuszczają pałac teraz, kiedy rozmawiamy. Jeszcze inni się pakują i odjadą przed wieczorem.

- Ty także, ambasadorze?

Grandon potaknął i znowu szarpnął brodę.

- Tak, lordzie Rahlu. Nie sądzę, proszę, że odwracamy się od ciebie, chodzi raczej o człowieka, który ujawni nam mroczne tajemnice proroctw.

Mroczne tajemnice. Richard miał już powyżej uszu tego mroku, który się wkradł do pałacu od dnia, w którym znalazł machinę wróżebną.

Stał w pobliżu ciała królowej, której śmierć zapowiedziało proroctwo wypisane na metalowym pasku spoczywającym teraz w jego kieszeni. Kłębiły się w nim emocje.

Uznał, że najlepiej zachować je dla siebie; zwłaszcza to, że najchętniej by wszystko rzucił, wrócił do Hartlandu i pracował jako zwykły leśny przewodnik.

- Rozumiem, ambasadorze. Mam nadzieję, że pewnego dnia zrozumiecie mój punkt widzenia i dlatego sądzę, że powinno być tak, jak wraz z Matką Spowiedniczką twierdzimy. Zostaniecie mile powitani w pałacu, jeżeli zmienicie zdanie.

Grandon znowu skłonił głowę, a potem - po jeszcze jednym spojrzaniu na martwą królową - odwrócił się i odszedł.

Wychodząc, minął się z Nicci, która właśnie nadeszła. Była wyjątkowo posępna.

Rzuciła okiem na zwłoki, które owijano całunem i układano na noszach, żeby je zabrać na miejsce pochówku. W korytarzu sprzątaczek w milczeniu czekały, aż będą mogły wejść i zmyć krew.

- Słyszałam, że zabiła ją Mord-Sith - powiedziała Nicci.

- Chętnie bym przyznała, że zrobiła to któraś z nas, gdybyśmy naprawdę się tego dopuściły - stwierdziła Cara.

Była w paskudnym humorze, a Richard nie mógł jej mieć tego za złe. Jego nastrój wcale nie był lepszy.

Nicci nie miała ochoty się nad tym rozwodzić. Sprawiała wrażenie, że coś ją dręczy.

- O co chodzi? - spytał Richard.

Nicci przelotnie spojrzała mu w oczy.

- Przede wszystkim chcę, żebyś wiedział, że właśnie byłam w waszej komnacie.

Kahlan spokojnie śpi. Osobiście sprawdziłam komnatę, szukając czegoś niezwykłego, śladów magii, czegokolwiek niepokojącego. Kahlan się nie obudziła. Potem sprawdziłam wszystkich żołnierzy strzegących komnaty i jej otoczenia. Były tam też Rikka i Berdine.

Powiedziałam im, żeby miały oko na wszystko, co się wyda choć odrobinę dziwne.

Richard się zachmurzył.

- Co się dzieje?

Twardo spojrzała mu w oczy.

- Byłam z Zeddem przy maszynie, kiedy ruszyła powoli, jak opowiadałeś.

Rozpędziła się, a potem wypisała proroctwo na metalowym pasku. Pasek był chłodny, tak jak wtedy, kiedy maszyna ci powiedziała, że miała sny. Potem się uciszyła i znieruchomiła. Zedd został na dole, na wypadek gdyby wypisała kolejne wróżby.

Poprosił, żebym ci przyniosła zapisany pasek. Po drodze, kiedy, jak już wspomniałam, sprawdziłam, co u Kahlan, poprosiłam Berdine, żeby to przetłumaczyła.

Richard zaczynał się poważnie niepokoić.

- I co mówi ta przepowiednia?

Głęboko odetchnęła i podała mu pasek.

- Wolalabym, żebyś sam to przetłumaczył. Nie chcę przekazywać czegoś takiego.

Richard, marszcząc brwi, wziął pasek i spojrzał na dość prosty symbol, za którym widniał drugi, bardziej złożony.

Poczuł, jak z gniewu krew napływa mu do twarzy.

Na pasku napisano: „Psy ci ją zabiorą”.

Zacisnął zęby.

- Dość tego, mam powyżej uszu tej maszyny. Zniszczę ją!

Ruszył do drzwi, a Nicci i Cara pospieszyły za nim.

## Rozdział 66

Kahlan zbudziła się, czując na twarzy ciepło oddechu. To było dziwne.

Głos wewnętrzny ją ostrzegał, żeby nie otwierała oczu i leżała zupełnie nieruchomo.

Gorączkowo starała się zrozumieć, co się dzieje, lecz nie mogła się w tym dopatrzeć żadnego sensu. Wiedziała, że to nie Richard. Troszczył się o nią i nigdy by jej nie przestraszył, zwłaszcza wtedy, kiedy źle się czuła.

Lewa ręka bolała. Kahlan mgliście sobie przypominała, że Zedd coś do niej przyłożył i owinął bandażem. Lecz nie o rękę chodziło.

Odruchowo podporządkowała się doświadczeniom wojennym, a przede wszystkim przygotowaniu Spowiedniczki. Zignorowała pulsujący ból głowy, mdłości, ból ręki i całą uwagę skupiła na tej konkretnej sprawie. Nie otwierając oczu, nie poruszając się, nie zmieniając rytmu oddechu, zaczęła oceniać sytuację.

Coś ją unieruchamiało pod kocem. Starła się domyślić, co ją tak przytrzymuje.

Uznała, że to zupełnie tak, jakby ktoś nad nią klęczał - z rękami i kolanami po obu bokach jej ciała - przyszpilając koc do łóżka.

Wiedziała, że komnata jest mocno strzeżona, toteż nie miała pojęcia, jak mógłby się dostać do środka ktoś mający złe zamiary. Nie przychodził jej też na myśl nikt, kto mógłby sobie w ten sposób żartować. Uświadomiła sobie, że woń tego czegoś nie jest przyjemna i z pewnością nie wydziela jej człowiek.

W ciężkim posapywaniu pobrzmiwało głucho warczenie.

Najostrożniej jak mogła. Kahlan uchyliła powieki.

Blisko siebie, po obu bokach, dostrzegła coś smukłego. Smukłego i kudłatego.

Dotarło do niej, że mogą to być przednie łapy wilka lub psa, ewentualnie kojota. W słabym świetle lampy stojącej na nocnym stoliku trudno było odróżnić umaszczenie.

Ta odrobina informacji wystarczyła, żeby pełne strachu oszołomienie zaczęło się rozpraszać. Myślała jaśniej.

To nie osoba nad nią stała. To było jakieś zwierzę. Łóżko tak się ugięło

pod ciężarem, że musiało być duże; zbyt duże jak na kojota, uświadomiła sobie.

Wtedy usłyszała charakterystyczne głucho warczenie i znów poczuła gorący oddech. Woń stworzenia, łapy, które widzia ła, urywane warczenie - to wszystko niemal na pewno wskazywało na dużego psa lub wilka.

Nie mogła pojąć, co zwierz robi w jej komnacie.

Przypomniała sobie, że kiedyś pies uderzył w drzwi ich sypialni; bardzo agresywny pies, którego żołnierze musieli zabić.

Nie wiedzia ła, jak ten zwierz dosta ł się do komnaty. Postanowi ła teraz tego nie roztrząsać. Nie miało znaczenia, jak wszedł do środka. Liczyło się, że to zrobił i że był niebezpieczny - co do tego nie miała wątpliwości.

Kahlan leżała unieruchomiona pod kocem, tote ż nie mogła się poderwać i pognać do drzwi. Zwierz był za blisko. Nie uciekła by mu.

Odrobinę bardziej uchyliła powieki i dostrzegła skurczony pysk, długie zęby.

Gdyby spróbowała gwałtownie wstać i wyskoczyć spod koca, bestia rozorałaby jej twarz, zanim zdążyłaby się zasłonić rękami.

Uświadomiła sobie, że zwierz stoi pomiędzy jej prawym bokiem i prawą ręką.

Lewa była unieruchomiona tuż przy ciele, lecz prawa pozostawała poza łapami zwierza.

Wiedziała, że ma tylko jedną szansę. I że nie może zwlekać. Psy i wilki miały instynkt drapieżnika. Rozjuszała je biegnąca, uciekająca ofiara. Kahlan leżała nieruchomo, więc nie wyzwalała tego odruchu.

Na razie. Nie mogła się poruszyć. Wiedziała, że pies może mimo wszystko zaatakować.

Głucho, groźne warczenie robiło się głośniejsze, głębsze. Czują wibrowanie.

Pies decydował się na atak.

Nie miała czasu do stracenia. Wiedziała, że kiedy zatopi w niej kły, nie będzie ratunku.

Musiała przejąć inicjatywę.

## Rozdział 67

Kahlan powoli wzięła głęboki oddech, przygotowując się. Pies coś wyczuł.

Warczenie przybrało na sile. Znienacka, z całej siły, najszybciej, jak zdołała, podbiła koc prawą ręką, zarzuciła go na psa. Zaczął się szarpać. Lecz zanim zdążył zareagować, skoczył do przodu i zatopił kły w jej twarzy, owinięła go kocem.

Razem spadli z łóżka i uderzyli o podłogę - Kahlan znalazła się na krzepkim, wrywającym się zwierzu. Łapy, owinięte kocem, szaleńczo wierzgały, starając się uwolnić.

Kahlan wiedziała, że za drzwiami stoją strażnicy. Próbowwała zawołać o pomoc, ale gardło miała tak obolałe, że nie mogła wydać głosu. Nie była w stanie krzyknąć.

Na szczęście udało się jej nie strącić na podłogę lampy z nocnego stolika, więc widziała, co robi. Lata doświadczenia sprawiły, że sięgnęła instynktownie po nóż wiszący u pasa, żeby się rozprawić z szarpiącą się dziko bestią.

Noża nie było.

Najpierw ją to zdziwiło. Zastanawiała się, czy go aby nie zgubiła, spadając z łóżka.

Niemal natychmiast uświadomiła sobie, że w pałacu zwykle nie nosi przy sobie noża.

Teraz trzyma go w plecaku. Szarpiąc się z psem, rozejrzała się po słabo oświetlonej komnacie, sprawdzając, gdzie są drzwi, z nadzieją, że uda się jej uciec.

Wtedy zobaczyła jarzące się ślepia trzech kolejnych psów w pobliżu drzwi. Łby miały opuszczone, uszy położone po sobie, wyszczerzone kły, ślina ciekła im z pysków. To były wielkie, silne, ciemne, krótkowłose psy o grubych, umięśnionych karkach.

Nie mogła pojąć, jak udało im się dostać do komnaty. Gorączkowo szukając drogi ucieczki, zauważyła, że jedno skrzydło drzwi z tyłu pokoju jest częściowo uchylone.

Mogła tylko przytrzymać psa unieruchomionego kocem. Wierzgał

tylnymi łapami i kłapał zębami, starając się ją ugryźć. Wepchnęła mu do mordy zwini ęty kawałek koca. Nieoczekiwana walka powstrzymała pozostałe psy od przyłączenia się do ataku.

Przynajmniej na razie. Wiedziała, że w każdej chwili mogą się na nią rzucić.

Kiedy ponownie sprawdza ła, gdzie są pozostałe trzy psiska, stwierdzi ła, że jeden z nich zbliżył się o krok.

Dostrzegła też swój plecak, niezbyt daleko po prawej stronie, w nogach łoża. W plecaku był nóż.

Mowy nie było, żeby wydostała się przez drzwi strzeżone przez trzy warczące psy.

Jedyna nadzieja w tym, że zdoła wydobyć nóż i przynajmniej będzie mogła się bronić.

Nie tracąc czasu na zastanawianie się, czy to rozsądne, przycisnęła nogą owiniętego kocem i szarpiącego się psa i sięgnęła w prawo po plecak. Udało się jej chwycić palcami rzemyk.

Kiedy przywódca trzech psów skoczył ku niej, z całej siły zamachnęła się plecakiem. Przewróciła zwierza, przejechał kawałek po podłodze.

Natychmiast si ę poderwała, z całej siły kopnęła psa w kocu w zebra i skoczyła ku otwartym drzwiom w głębi komnaty.

Z mroków pokoju rzuciły się na nią inne wielkie psy, chybiając o włos.

Kahlan zachłysnęła się ze strachu i wypadła na niewielki balkon. Uderzyła o balustradę z taką siłą, że zaparło jej dech w piersiach. Całe szczęście, że tak się stało, bo przynajmniej zobaczyła, jak daleko jest do ziemi - na pewno by si ę zabiła, spadając lub skacząc.

Okręciła się, żeby zatrzaskać drzwi, lecz psy już wyskakiwały. Dostrzegła, że w pobliżu balkonu jest drugi taras. Dzieliło je kilka stóp i przepaść.

Nie było czasu na namysły, a ponadto żadnych innych możliwości. Oparła stopę o balustradę, wybiła się i skoczyła na sąsiedni taras. O włos od jej kostki klapnęły zęby.

Wylądowała na szerokiej balustradzie, lecz ześliznęła się i spadła na posadzkę.

Podniosła wzrok i ujrzała, że po przeciwległej stronie są wąskie stopnie wiodące ku ziemi. Obejrzała się - psy stały, opierając się przednimi łapami o



balustradę balkonu jej komnaty. Rozglądały się.

Popatrzyła na stopnie. To tędy bestie musiały się dostać do jej sypialni. Weszły po schodach, przeskoczyły na jej balkon i dostały się do środka.

Zobaczyła, że psy na balkonie się cofają, żeby się rozpędzić do skoku. Nie miała czasu, żeby się zatrzymać i pomyśleć. Przerazona, poderwała się i pognęła ku schodom.

Zbiegała po trzy stopnie naraz, kiedy przeskoczył pierwszy pies. Gnała w dół, pełna strachu, zadyszana. Oparła dłoń o balustradę, żeby skrócić na podeście, i biegła dalej.

Rzuciła okiem za siebie, uznając, że odpędzi psy plecakiem, gdy się za bardzo zbliżą. Kiedy zobaczyła sięgające ku niej kłapiące szczęki, uświadomiła sobie, że takie oganianie się nic nie da. Pobiegła szybciej, na każdym zakręcie opierając dłoń o słupek.

Zakręty spowolniły też sforę warczących psów, którym się na nich plątały łapy.

Kahlan udało się je wyprzedzić. Nie bardzo, ale przynajmniej znalazła się trochę dalej od groźnych zębisk.

Głowa tak ją bolała, że Kahlan bała się, iż zemdleje i wtedy ją dopadną.

Przypomniała sobie przepowiednię kobiety, która zabiła własne dzieci, że po Kahlan przyjdą kły i ją rozszarpia.

Biegła jeszcze szybciej.

Pędziła, lecz wiedziała, że zbliża się do kresu wytrzymałości. Czuła, jak opuszczają ją siły. Kiedy stwierdziła, że w środku nocy pędzi po równinie, była bliska upadku z wyczerpania. Z tyłu nadciągały psy, znowu ją doganiały. Nie miała wyboru, musiała biec dalej.

Dudniący ból w głowie lada chwila weźmie nad nią górę. Wiedziała, że długo nie wytrzyma i wtedy psy ją dogonią.

Przypomniała sobie, jak przerażająco wyglądała Catherine rozszarpana przez zwierzęta. Kahlan była przekonana, że już wie, co zabiło ciężarną królową.

To samo teraz ścigało Kahlan. Nie było wątpliwości, że jeśli bestie ją dogonią, to rozszarpia tak samo jak Catherine. To wspomnienie dodawało sił jej nogom.

Mogła tylko uciekać. Lecz nawet gdyby nie była u kresu sił, psy i tak biegły szybciej. Szybko zmniejszały przewagę, jaką jej dały nad nimi schody.

Co gorsza, nie działał już początkowy strach, który ją napędzał i dodawał jej sił.

Musiała coś zrobić.

Zobaczyła przed sobą wóz odjeżdżający w mrok.

Odrobinę zmieniła kierunek i pobiegła tam. Nie mogła złapać tchu, lecz wiedziała, że wystarczy moment i psy ją dopadną, wbiją w nią kły i będzie po niej - były tak blisko.

Niemal krzyknęła z radości, kiedy dogoniła wóz, lecz nie mogła wydobyć głosu.

Zrównała się z pojazdem i wskoczyła na sterczący z tyłu żelazny szczebel.

Psy skoczyły, kłapiąc zębami, starając się wczepić w jej nogę, lecz podciągnęła się na drugi szczebel i ostatnim wysiłkiem wskoczyła na wóz.

Wylądowała, mocno uderzając głową o coś twardego. Ból był straszliwy.

Świat pociemniał.

## Rozdział 68

Kiedy Richard wreszcie zszedł ze spiralnych schodów do pomieszczenia z Regulą, była już głęboka noc. Od gościnnych komnat do Ogrodu Życia droga była daleka. Pałacowy kompleks był rozległy i Richard czasem miał wrażenie, że połowę życia zabiera mu chodzenie z miejsca na miejsce.

Na widok maszyny ze złością zgrzytnął zębami. Wściekało go, że jej przepowiednie skutkowały zgonami. A teraz zapowiedziała, że psy odbiorą mu Kahlan.

Nie mógł zapomnieć widoku Catherine zabitej przez zwierzęta. Dosłownie wpadał w szal na myśl, że coś takiego mogłoby spotkać Kahlan.

Idąc z komnaty królowej Ornety, zajrzał do Kahlan. Nicci zapewniała, że spokojnie śpi, ale wolał sam się o tym przekonać. Wśliznął się cicho do komnaty i zobaczył ją w blasku lampy palącej się na stoliku obok łóżka - twardo spała, okryta kocem, którym ją opatulił. Oddychała miarowo, nie przewracała się z boku na bok, więc uznał, że wygodnie i spokojnie wypoczywa. Delikatnie ucałował jej czoło i wyszedł.

Porozmawiał też z Rikką, Berdine i żołnierzami, upewniając się, że rozumieją, iż wszystko choć odrobinę odmienne należy traktować niezwykle poważnie. Wszyscy to wiedzieli.

Cały czas miał w głowie słowa: „Psy ci ją zabiorą”.

Zedd spojrzał na nadchodzącego Richarda.

- O co chodzi?

Richard skinął dłonią ku maszynie.

- Pamiętasz przepowiednię, którą wypisała wcześniej? „Decyzja królowej będzie ją kosztować życie”?

- I co? - spytał Zedd. - Domyśliłeś się, co to znaczy?

Richard kiwnął głową.

- Okazuje się, że to dotyczyło królowej Ornety. Postanowiła przysiąc wierność Hannisowi Arcowi z prowincji Fajin, bo on wierzy w prorocтва, cały czas się nimi zajmuje i będzie przeschęśliwy, dzieląc się nimi z nią i wszystkimi, którzy zechcą się kierować ich wskazówkami.

Wkrótce potem została zabita.

- Zabita? Jak?

Richard wziął głęboki oddech.

- Zabiła ją Mord-Sith. Nie chcę wierzyć, że faktycznie zrobiła to któraś z nich, lecz nie ma wątpliwości, że to dzieło Mord-Sith.

- Rozumiem.

Zatroskany Zedd się odwrócił i odszedł parę kroków, rozmyślając nad tym.

Richard wyjął z kieszeni metalowy pasek i machał nim, mówiąc:

- Potem machina wypisała tę wróżbę, którą mi posłałeś przez Nicci.

Zedd obejrzał się przez ramię.

- I co w niej mówi?

- „Psy ci ją zabiorą”.

W orzechowych oczach Zedda było widać, jak bardzo jest zmęczony. Spuścił wzrok.

- Drogie duchy - wyszeptał.

Richard wskazał machinę.

- Zedd, chcę, żeby ją zniszczono.

- Zniszczono? - Zedd, trąc brodę czubkami palców, podniósł wzrok i zmarszczył przy tym brwi. - Rozumiem twoje uczucia, Richardzie, ale naprawdę uważasz, że to rozsądne?

- Słyszałeś o jakimś proroctwie, które by wieszczyło radosne wydarzenie?

Napotkałeś takie w całym swoim życiu?

Zedd wydawał się zdumiony tym pytaniem i jeszcze bardziej się zachmurzył.

- Tak, oczywiście. Nie przypomnę sobie tak na zawołanie, lecz wiem, że się na nie natknąłem, i ogólnie przypominam sobie parę. Nie są tak liczne jak złowieszcze przepowiednie, lecz w księgach proroctw regularnie trafiają się zapowiedzi radosnych wydarzeń.

I Nathan prorokował szczęśliwe przypadki czy zakończenia trudnych spraw.

- A czy ta machina wypuściła choć jedno proroctwo, które by nie zapowiadało cierpienia i śmierci?

Zedd spojrzał na machinę, stojącą cicho pośrodku ciemnego pomieszczenia, oświetlonego tylko osobliwym blaskiem kul zblizeniowych.

- Nie wydaje mi się.

- Czy to nie dziwne?

- Dziwne? Co masz na myśli?

- Brak równowagi. Prorokowanie to magia. A magia musi być zrównoważona.

Nawet samo istnienie proroctw musi być równo wagi z istnieniem wolnej woli. Lecz proroctw tego czegoś nic nie równoważy, prawda? Nic tylko śmierć i cierpienie.

- Jest to o śnieniu - odpowiedziała Nicci.

Richard odwrócił się ku niej.

- A czy to jest radosne? A jeśli nawet, to czy to naprawdę proroctwo? Wcale tak nie uważam.

- W takim razie co to było? - spytała.

Richard przez chwilę się zastanawiał.

- Nie sądzę, że to proroctwo. Dla mnie brzmi to bardziej jak pytanie maszyny o nią samą. Miałam sny... dlaczego śniłam? O to pytała.

Znow popatrzył na Zedda.

- Te jej proroctwa o cierpieniu i śmierci są złowieszcze. I nie mają żadnej przeciwwagi.

Zedd był naprawdę zaskoczony.

- O co ci chodzi, chłopcze?

- O to, że nie mam pewności, czy to faktycznie są prawdziwe proroctwa.

Nicci potraktowała to z rezerwą.

- A jakież mogłyby być?

- Uważam za całkiem możliwe, iż ktoś podrzuca te wróżby, a potem je realizuje, żeby to wyglądało na spełnianie się proroctw. Chcą, żebyśmy uważali je za przepowiednie. Mógłbym na przykład powiedzieć, że poprzedniego wieczoru miałem przeczucie, iż dobędę miecza i dotknę nim twojego ramienia, a potem rozmyślnie to zrobić. Sprawiałoby to wrażenie, że wygłosiłem proroctwo i ono się spełniło, lecz nie byłaby to prawda.

- Sądzisz, że ktoś mógłby nadsyłać te proroctwa za pośrednictwem maszyny? - Zedd wbił kościsty palec w gęstwę niesfornych siwych włosów i podrapał się po głowie. - Richardzie, nie mam pojęcia, jak można by zrobić coś takiego i czy to w ogóle możliwe.

Richard wyrzucił w górę ręce.

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie mogę przejść nad tym do porządku i nadal na to pozwalać tylko dlatego, że nie mam pewności, czy ktoś to

faktycznie robi i jakim sposobem.

- Ale zniszczenie maszyny, o której się nic nie wie, wydaje się...

- Coś o niej wiemy - przerwa ł dziadkowi Richard, zaciskając pięści. - Zapowiadała okropieństwa, które się ziściły. Chcę, żeby te zabójstwa się skończyły. Chcę, żeby Kahlan była bezpieczna. Chcę uciszyć to coś.

Zdesperowany Zedd popatrzył na Nicci.

- Obawiam się, że nie mam żadnego kontrargumentu - odpowiedziała na niewypowiedziane pytanie czarodzieja. - Jest w maszynie coś, co mnie niepokoi, od kiedy ją zobaczyłam. Została tu zapieczętowana z jakiegoś powodu. Richard może mieć rację. Od kiedy ją odnaleziono, nie stało się nic dobrego.

Spojrzenie Zedda przesunęło się z Nicci na Richarda.

- A co z pozostałą częścią Reguli ukrytą w Świątyni Wichrów?

Richard wykonał nieokreślony gest.

- Jak powiedziała łoś, jest w Świątyni Wichrów. Nawet gdybyśmy się tam udali, nie byłoby łatwo dostać się do środka. A gdyby si ę nam to udało, świątynia jest ogromna.

Nie wiadomo, ile czasu by nam zajęło odnalezienie reszty ksi ęgi, jeśli nadal tam jest.

Nie wiadomo też, czy w ogóle by się nam na coś przydała. Mamy problem i znajduje się on tu, w tym pomieszczeniu.

Zedd wziął głęboki oddech, a potem westchnął.

- Cóż, może masz rację - rzekł na koniec. - Muszę przyznać, że mnie też ta maszyna się nie spodobała od razu, jak tylko ją znaleźliśmy. Jak powiedziała Nicci, ukryto ją z jakiegoś powodu. Nikt nie zadaje sobie tyle trudu, żeby coś zakopać i zataić jego istnienie, jeśli to coś nie przysparza poważnych problemów.

- No to nie marnujmy czasu - stwierdził Richard. - Musimy natychmiast z tym skończyć.

Zrezygnowany Zedd da ł im znak, żeby się odsunęli aż na podest spiralnych schodów, na którym trzymała straż Cara.

Potem, bez dalszych ceregieli, obróci ł się ku maszynie i zapali ł ogień czarodzieja pomiędzy wyciągniętymi dłońmi.

Pomieszczenie rozświetliły falujące wstęgi pomara ńczowozłocistego blasku, odbijające się refleksami od kamiennych ścian. Siwe włosy Zedda

zrobiły się pomarańczowe w blasku ognistej kuli, którą obracał w dłoniach, zmieniając w śmiertelnośnego posłańca. Wrząca kula ognia nabierała intensywności, sycząc i potrzaskując.

Czarodziej, zadowolony, że jest tak zwarta, jak sobie życzył, cisnął w końcu jarzącą się kulą płynnego ognia w przysadzistą metalową skrzynię pośrodku pomieszczenia. Kula, lecąc, rzucała migotliwy blask na podłogę, ściany i strop, cały czas groźnie sycząc.

Richard poczuł w piersi potężny wstrząs, kiedy płynny ogień wybuchł, uderzając o twardą powierzchnię maszyny. Płynny ogień czarodzieja, jedna z budzących największą groźbę substancji - bo tak gwałtownie płonęła - otoczył całą maszynę, spływając po bokach i palając białym żarem.

Ogień czarodzieja, przywołany w zamkniętym pomieszczeniu, był niezwykle intensywny i w najwyższym stopniu niebezpieczny. Chociaż Richard, Nicci i Cara odwrócili twarze od płomienistego piekła, i tak musieli się zasłonić rękami przed żarem i blaskiem skondensowanej pożogi. Ryk ognia był ogłuszający.

Miało się wrażenie, że płonie cały świat.

## Rozdział 69

Kiedy gwałtowne płomienie ognia czarodzieja wreszcie przygasły, Richard mógł w końcu otworzyć oczy i odsunąć dłonie od twarzy. Ostatnie strzępki magicznego ognia spłynęły na podłogę i zgasły z sykiem, dym się rozwiął i Richard spodziewał się zobaczyć Regulę zmienioną w kałużę roztopionego metalu.

Nic podobnego nie nastąpiło.

Machina nadal tkwiła pośrodku komnaty i wyglądała dokładnie tak jak wtedy, kiedy ją pierwszy raz zobaczył. Była nieuszkodzona.

Richard był przekonany, że obudowa maszyny będzie niesamowicie gorąca, lecz kiedy do niej podszedł, nie wyczuł bijącego od metalu żaru. Ostrożnie wyciągnął rękę, a potem delikatnie dotknął metalowej powierzchni. Była chłodna.

Richard widywał spustoszenia poczynione przez ogień czarodzieja - lecz maszynie ogień nic nie zrobił. Nawet nie usunął z niej warstwy rdzy. Symbole na bokach, takie same jak w księdze Regula, wciąż były w świetnym stanie.

Gdyby na własne oczy nie widział, jak ogień czarodzieja ogarnia maszynę, to nie uwierzyłby, że w ogóle coś się działo, a już tym bardziej w to, że była celem ataku jednej z najpotężniejszych magicznych mocy.

Nicci, stając obok Richarda, dotknęła palcami powierzchni maszyny.

- Magia Addytywna najwyraźniej nie zadziałała. Może czas spróbować czegoś trochę bardziej niszczycielskiego.

Gestem dała im znak, żeby się cofnęli.

Richard zapędził Zedda i Carę na schody. Wiedział, co Nicci zamierza. Widział otaczającą czarodziejkę aurę mocy. Nadawała jej świetlisty wygląd jak nie z tego świata, miało się niemal wrażenie, że jest duchem.

Czarodziejka wyciągnęła ręce ku maszynie. Otaczająca ją aura zamigotała.

Richard wiedział, że pozostali tego nie widzą, lecz on zawsze dostrzegał pole mocy wokół ludzi. Żadna aura nie była tak intensywna jak ta wokół Nicci.

Czarna błyskawica - Magia Subtraktywna - rozbłysła w pomieszczeniu z



potężnym hukiem. Z podłogi uniósł się kurz. Kule zblizeniowe od razu zgasły.

Czarny piorun splótł się z oślepiającym rozbłyskiem Magii Addytywnej. Pasma Magii Subtraktywnej było tak czarne, jakby się zagłębiało przez szczelinę w świecie istot żywych w same zaświaty.

I w pewnym sensie tak było.

Atra men towocza rna błyskawica dotknęła maszyny. Końcówka śmigła po jej powierzchni, to w górę, to w dół. Reszta - pomiędzy Nicci a maszyną - miotła się szaleńczo po pomieszczeniu, trzaskając i iskrząc w miejscach zetknięcia się dwóch strumieni mocy: straszliwej czerni i oślepiającego blasku. Powietrze w komnacie cuchnęło palącą się siarką i wibrowało siłą dwóch zmagających się ze sobą przeciwstawnych mocy. Czerń i blask skręcały się w szaleńczym wysiłku zdobycia przewagi nad sobą nawzajem. Maszyna to była skąpana w żarze Magii Addytywnej, to nikała w próżni Magii Subtraktywnej.

To był budzący grozę pokaz działania odmiennych sił niszczycielsko zogniskowanych na maszynie.

Skończyło się równie nagle, jak się zaczęło.

Od nagłej ciszy Richarda rozboleły uszy. Kule zblizeniowe powoli się rozjarzyły.

- Nie udało się - powiedziała Nicci, opuszczając ręce.

Otoczająca ją aura uspokoiła się, a potem zniknęła.

Richard zszedł ze schodów.

- Jak mogło nie podziałać? Co poszło nie tak?

- Nigdy przedtem czegoś takiego nie wyczuwałam. - Nicci przesunęła dłoń po szczycie maszyny, jakby próbowała w ten sposób przeniknąć jej wewnętrzne tajemnice. - Po prostu się nie podłączało.

- Co to znaczy?

Nicci, wpatrzona w maszynę, z niedowierzaniem kręciła głową.

- Na drugim końcu, od strony celu, wytwarzam węzeł. Potem strumień mocy wypełnia próżnię pomiędzy mną a celem. Węzeł to łącze dla mocy, robi drogę dla niej.

Gdy tylko wytworzy się połączenie, oba strumienie energii są uwalniane do węzła i niszczą to, do czego jest przyczepiony. To się dzieje automatycznie i niemal natychmiast. Tym razem, kiedy się ugnęłam mocą,

węzeł po prostu nie mógł odnaleźć celu, nie umiejscawiał się tam, gdzie chciałam, niemal tak, jakby tam nie było żadnego obiektu. Dlatego moja moc nie mogła się złączyć z celem. - Odwróciła się i spojrzała na Richarda. - Przykro mi. Staralam się. Machina powinna była zostać całkowicie zniszczona, a nawet nie udało mi się zadrasnąć metalu obudowy.

Richard nie był usatysfakcjonowany.

- Musi być jakiś sposób.

- Żadne z nas nigdy czegoś takiego nie widziało. - Nicci nadal kręciła głową. - Nic dziwnego, że ją tu zakopali.

Richard znalazł coś, co powinno naruszyć każdy metal.

Dobył Miecza Prawdy i w ciemnym pomieszczeniu rozległ się charakterystyczny szcęk stali.

Otworzyły się bramy dla magii miecza i poczuł, jak się weń wlewa. Poddał się jej, pozwolił, by się w nim rozszalała. Trwał tak przez chwilę, by magia przeniknęła każdą jego cząstkę.

Wszyscy się cofnęli, wiedząc, co zamierza.

Richard, pełen magicznej furii miecza połączonej z jego własną wściekłością, powoli uniósł połyskliwą klingę i dotknął nią czoła.

Pozwolił, by wypełnił go gniew na groźące Kahlan niebezpieczeństwo, żeby splótł się ze słusznym gniewem miecza.

Z zamkniętymi oczami poddał się gwałtowności magii.

- Nie zawieź mnie, mieczu - wyszeptał.

Oburącz uniósł ostrze wysoko nad głowę. Od razu, z całej siły, z pełnym gniewem, uderzył w maszynę.

Czubek miecza ze świstem przeciął powietrze.

Moc szalejącego w Richardzie gniewu - jego własnego i magicznej furii miecza - sprawiała, że nie mógł powstrzymać krzyku. Ostrze jak błyskawica mknęło ku maszynie.

O włos od maszyny znieruchomiło.

Richard osłupiał. Tego się nie spodziewał. Zabrakło rozładowania dla boleśnie skurczonych mięśni.

Magia miecza działała poprzez intencję. Jeśli dzierzący miecz wierzył, że atakuje wroga lub zło, ostrze rozsiekaloby cel. Jeżeli Poszukiwacz uznał, że ktoś uosabia zło, nie było obrony przed mieczem; nie chroniła przed nim nawet stalowa ściana.

Lecz je śli Poszukiwacz w g łębi ducha, w najtajniejszym zakątku umysłu wierzył, że przeciwnik jest niewinny, ostrze nie przecięłoby nawet papieru, żeby tamtego ukrzywdzić.

Richard stał, mocno trzymając miecz w zaciśniętych rękach. Po skroniach spływał mu pot, ostrze tkwiło nieruchomo tuż nad szczytem maszyny.

I wtedy machina zaczęła się budzić.

Osie zaczęły się powoli obracać, zębatki ruszyły, reszta maszynerii zaczęła nabierać rozpędu.

## Rozdział 70

- To ci dopiero - mruzczył Zedd, schodząc ze stopni. - Wygląda na to, że żadne z nas nie potrafi zniszczyć maszyny.

Richard zastanawiał się dlaczego.

Odsunął się, a wewnętrzna maszyna powoli budziła się do życia, poszczególne elementy nabierały rozpędu. Stał i w milczeniu się w nią wpatrywał, zdumiony, że miecz tak gwałtownie się zatrzymał. Nie spodziewał się czegoś takiego.

Już wcześniej mu się to zdarzało, kiedy w najgłębszych zakamarkach jaźni żywił cień wątpliwości. I tym razem jakaś jego część nie sądziła, że maszyna ponosi winę za to, co się stało. Uważał, że błędem jest obwiniać maszynę za wszystkie okropności, które się wydarzyły.

Wiedział, że gdyby nie te wątpliwości, miecz roztrzaskałby maszynę.

Ale i tak Richard całkowicie się zaangażował. Trudno mu było dojść do siebie.

Wątpliwości powstrzymały miecz od wyrządzenia szkody. Lecz to nie oznaczało, że owo zwątpienie było uzasadnione. Równie dobrze mogło być tak, że to maszyna była przyczyną wszystkich zgonów i że jednak powinni ją zniszczyć.

Maszyna nabrała rozpędu, bijący z głębi blask wyrysował na stropie symbol, a pomieszczenie wypełnił mechaniczny hałas wewnętrznych elementów.

Richard nie musiał zaglądać przez okienko. Wiedział, co się dzieje. Po chwili ze szczeliny wysunął się metalowy pasek. Richard wsunął miecz do pochwy i sprawdził - pasek był chłodny. Wziął go i zaczął w myślach tłumaczyć wiadomość.

- I co napisała? - dopytywał się niecierpliwie Zedd.

- „Możesz zniszczyć tych, co mówią prawdę, lecz prawdy nie zniszczysz”.  
Zedd posłał Reguli mroczne, podejrzliwe spojrzenie.

- To maszyna teraz wygłasza Prawa Magii?

- Na to wygląda - odparł Richard. Całym ciężarem oparł się o skrzynię, dochodząc do siebie po nagle powstrzymanym ciosie miecza i rozmyślając, jak powinien postąpić. - I tak chciałbym wiedzieć, jak ją zniszczyć, na

wypadek gdybyśmy musieli to zrobić.

- Machina najwyraźniej ma jakąś osłonę - powiedziała Nicci. - Lecz nie mogę jej wyczuć i działa zupełnie inaczej niż osłony, z którymi dotąd miałam do czynienia.

Działają tutaj moce, których nie rozumiemy.

Zedd potakująco kiwał głową.

- Można by sądzić, że w przeszłości ktoś już musiał próbować ją zniszczyć. Nikt by sobie nie zadał tyle trudu, żeby ją pogrzebać, gdyby to nie był jedyny sposób unieszkodliwienia jej.

- Szkoda, że nie znamy tej historii - stwierdziła Nicci.

- Może i my pewnego dnia będziemy musieli ją zakopać - odezwał się Richard. - Jak ktoś przed nami.

Machina, która nie znieruchomiała po wypisaniu Prawa Magii, znowu nabrała rozpędu. Po chwili wysunął się kolejny pasek. Też był chłodny. Richard go wziął i przetłumaczył napis:

- „Masz mi za złe mówienie prawdy?”

Rozpoznał słowa, które wypowiedział do ambasadora Grandona. Irytujące, że machina to powtórzyła.

Wtedy zrozumiał, dlaczego miecz nie zniszczył maszyny. W głębi ducha Richard nie wierzył, że to ona jest przyczyną kłopotów.

- Pewnie tak było - wyszeptał w odpowiedzi na jej pytanie i nachylił się do niej. - To nie twoja robota, prawda? - zapytał. - Jesteś tylko posłańcem.

Machina odrobinę zwolniła, a po chwili znowu nabrała rozpędu, zapisując kolejny pasek. Richard wyjął ze szczeliny chłodny metal i przeczytał na głos:

- „Kiedy posłaniec staje się wrogiem, grzebie się go”.

Zedd, stając obok Richarda, również położył dłoń na maszynie.

- Interesujące.

Richard się zastanawiał, jak i dlaczego machina doprowadziła do tego, że ją odkopali.

Maszynaria znowu stopniowo nabrała rozpędu, przeciągnęła następny pasek przez wiązkę światła, wypalając na nim symbole w mowie Początku. Kiedy pasek wysunął się ze szczeliny, Richard nie od razu go wyjął.

- No dalej - niecierpliwił się Zedd. - Rzuć okiem.

Richard w końcu wziął pasek i w milczeniu tłumaczył. Napis był bardziej

skomplikowany niż poprzednie, ale wreszcie go przełożył i odczytał:  
- „Mrok mnie odnalazł. Ciebie też znajdzie”.

# Rozdział 71

Nicci podeszła do Richarda.

- Mrok ją znalazł?

- To właśnie podejrzewałem. Sądzę, iż machina mówi nam, że ktoś ją wykorzystuje, przemawia przez nią. Dlatego mocz nic jej nie zrobi. Rankiem po weselu Cary i Bena ten chłopiec na targowisku, Henrik, powiedział, że mrok szuka mroku. Pytał też, dlaczego śnił. Wtedy wydawało się to bez sensu, więc pomyśleliśmy, że chłopiec jest chory i ma urojenia. Lecz to machina musiała przez niego przemawiać, informowała, że ktoś próbuje nią zawładnąć. Prawdopodobnie, kiedy to się zaczęło, mogła jedynie powiedzieć, że mrok ją znalazł, a wrażenie, że ktoś poprzez nią przemawia, opisać jako sny.

Nicci zmarszczyła brwi.

- Chcesz powiedzieć, że właściwie to nie chłopiec mówił, lecz machina? Że to było wołanie o pomoc?

Richard wzruszył ramionami.

- Całkiem możliwe.

Zedd ze świstem wypuścił powietrze i pokręcił głową.

- No nie wiem, Richardzie. Uważam, że powinniśmy się wstrzymać z wygłaszaniem sądu, że ta zbieranina zębatek, kół i osi może świadomie myśleć i się wypowiadać. Zaczynamy się zachowywać tak, jakby ta rzecz potrafiła samodzielnie rozumować, jakby była żywa. To machina. One nie potrafią myśleć.

- No to jakim sposobem odpowiada na pytania lorda Rahla? - spytała Cara.

Wszyscy na nią spojrzeli, a ona skinęła ku machinie. - Jak jej się udaje przekazać nam to, co chcemy wiedzieć, uzupełnić luki?

- Może dopatrujemy się w tym więcej, niż powinniśmy - odpowiedział Zedd.

Cara nie wyglądała na przekonaną.

- Mówi to, co mówi. To nie są nasze przywidzenia.

Zedd przyglądał grzywę niesfornych, falistych siwych włosów.

- Jest taka dziecięca zabawa Zapytaj wyroczni. Niewielkie pudełko z

okrągłym otworem w górnej ścianie. Na bocznych są wymalowane scenki z wieszczką spowitą tajemniczymi oparami i komunikującą się ze światem duchów. W pudełku są liczne niewielkie krążki, na których wypisano odpowiedzi. Dziecko zadaje pytanie (na przykład czy poślubi ukochaną osobę, kiedy dorośnie, lub czy ten-a-ten naprawdę mnie lubi), sięga do pudełka i wyjmuje krążek z odpowiedzią. Potem krążek wkłada się z powrotem i potrząsa pudełkiem, żeby kolejna osoba mogła wybrać odpowiedź na swoje pytanie.

- Naprawdę? - spytała niedowierzająco Cara. - I to działa?

- Całkiem nieźle. Odpowiedzi są utrzymane w stylu „z całą pewnością” lub „chyba że coś się zmieni” albo „duchy mówią tak”, „odpowiedź jest wątpliwa”,

„prawdopodobnie”, „tak się nie stanie” czy też „zapytaj później, kiedy duchy zechcą odpowiedzieć”. Jakikolwiek krążek dziecko wyciągnie, wydaje mu się, że pudełko odpowiada na zadane pytanie. Lecz to tylko figiel ludzkiego umysłu: każe wierzyć, że odpowiedź pasuje do pytania, że wyrocznia w pudełku słyszy pytanie i potrafi na nie odpowiedzieć. Wszyscy jesteśmy do pewnego stopnia łatwowierni. Odpowiedzi są ogólnikowe, lecz ponieważ z często wydają się trafne, dzieci sądzą, że wyrocznia w pudełku naprawdę może przepowiedzieć przyszłość. Niektóre całym sercem w to wierzą. Tak jak pewni ludzie naprawdę wierzą, że mają jakąś magiczną moc lub kontakt ze światem duchów, które pozwalają im wybrać prawidłową odpowiedź. Lecz w pudełku nie ma żadnej magii. To zwyczajna iluzja, którą mamy się ludzki umysł.

Cara skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Więc twoim zdaniem machina to tylko wielka, wymyślna sztuczka?

- Nie wiem. - Zedd splótł dłonie. - Twierdzą jedynie, że powinniśmy być ostrożni i nie wyciągać pochopnych wniosków. Często łatwo jest uwierzyć w gotowe odpowiedzi.

Richard nie sądził, żeby wyjaśnienie było takie proste.

- Czy ja wiem, Zedd... Wydaje się, że za tym kryje się coś więcej.

- Niby co?

- Maszyna rusza w charakterystyczny sposób, kiedy ma wypisać straszliwe przepowiednie. Rusza nagle, od razu. A wysuwające się metalowe paski są tak rozgrzane, że parzą. Za to kiedy... jakby to powiedzieć ć... po



prostu się komunikuje...

wtedy rusza stopniowo, a paski są chłodne. Założyliśmy, że wysuwające się paski to dzieło maszyny. Myślę, że być może zachodzą dwa całkiem odmienne procesy.

- Zgadzasz się - odezwała się Nicci. - Być może ktoś ją wykorzystuje, dając coś do wypisania czy nawet zmuszając ją do powiedzenia pewnych rzeczy. W takich przypadkach paski są rozgrzane. Kiedy mówi sama z siebie, paski są chłodne.

- Sądzisz, że maszyna jest wyzyskiwana? - Zedd, zachmurzywszy się, podrapał się w głowę. - Załóżmy, że to prawda. Kto twoim zdaniem mógłby coś takiego robić? I dlaczego?

Richard oparł się biodrem o maszynę.

- Co jest naszym problemem?

Zedd wzruszył ramionami.

- Naszym problemem?

- Powodem, dla którego jesteście w tym dawno pogrzebanym pomieszczeniu z przebywającą na wygnaniu maszyną, są proroctwa. Co robi maszyna? Wypisuje proroctwa. Co miało kluczowe znaczenie dla ostatnich zgonów? Proroctwo. Z czym chcieli się zapoznawać przedstawiciele krain? Z proroctwami. Co sprawia, że miotamy się w kółko, zawsze o krok za wydarzeniami? Proroctwa maszyny.

- Wiemy o tym. - Zedd uniósł brew. - To o czymś świadczy?

Richard potaknął.

- Pomyśl tylko, jak narastało zainteresowanie proroctwami. Przepowiednie wygłaszane przez maszynę były, niby przypadkiem, powtarzane przez inne osoby w pałacu. Dzięki temu wszyscy je znali, przez co narastało przekonanie, że proroctwa są bardzo ważne. Wszyscy plotkowali o „wroźebnej maszynie”. Ludzie uważają, że zatajamy przed nimi proroctwa, bo nie chcemy, by ich chroniły przed złem.

Zedd uważniej się przysłuchiwał.

- I jaką masz teorię?

- Uważam, że ktoś to ziarno zasiewa. - Richard pochylił się ku dziadkowi. - Co wzmocniło wiarę w proroctwa? - Postukał palcem w maszynę. - Przepowiednie maszyny, które raz-dwa się spełniły. Stało się dokładnie to, co zapowiadała. Od tego wszystko się zaczęło. To się przerodziło w

makabryczną grę podobną do tej zabawy, o której wspomniałeś, tyle że z krwawymi następstwami. Te przepowiednie zawsze się spełniają, toteż ludzie tym goręcej wierzą, iż są ważne, i jeszcze bardziej chcą się zapoznać z kolejnymi. Ponieważ machina wpasowuje się w ich przekonania, że proroctwo opisuje przyszłość, domagają się, żeby im powiedzieli, co zapowiada. I jak nam powiedziałeś, w Aydindril, a założę się, że tak jest wszędzie, wszyscy rozprawiają o proroctwach. Mówiłeś, że interes wróżbiarski wręcz kwitnie. Czy nie wydało ci się to dziwne?

- Owszem - przyznał Zedd.

- A tutaj proroctwa machiny przekonały przedstawicieli tych wszystkich zaprzątniętych przepowiedniami ludzi, że się mylimy, że przepowiednie łatwo zrozumieć, bo przemawiają wprost. I dlatego nie potrafią pojąć, czemu nie chcemy ujawniać zagrożeń tak widocznych w proroctwach, które usłyszeli. Przepowiednie machiny zmieniły wszystkich w fanatyków proroctw.

- A czego się spodziewałeś? Przecież się spełniły - stwierdził Zedd.

- Czyżby? Czy kiedykolwiek spotkałeś się z proroctwem tak jasno sformułowanym, łatwym do zrozumienia, tak jednoznacznym i nieudziwnionym? Które się spełniło słowo w słowo, i to wkrótce po tym, jak zostało ogłoszone?

Zedd odwrócił wzrok, zastanawiając się nad tym.

- Właściwie nie. Z całego mojego doświadczenia wynika, że proroctwo jest w najlepszym razie niejednoznaczne. Co więcej, niekiedy dopełnia się dopiero po stuleciach. A te spełniły się wkrótce po ogłoszeniu.

- To kolejny powód, dla którego tak mnie martwi przepowiednia mówiąca, że „psy ci ją zabiorą”. Jedyne, czego nie rozumiem, to to, że pasek z tym napisem różnił się od innych ze złowieszczymi zapowiedziami: był chłodny, nie gorący.

Zedd napotkał jego spojrzenie.

- Może to oznacza, że różni się od tamtych. Że to prawdziwe proroctwo mające ukryte znaczenie.

Richard spojrzał z ukosa na machinę.

- Albo ostrzeżenie. Powiedziała, że mrok ją odnalazł i mnie też odnajdzie. Jakby mnie ostrzegała. Wygląda na to, że machinę łączy ze mną jakaś więź.

Zedd potaknął.

- To akurat jest całkiem oczywiste.

- Wiemy też, że proroctwa wypisywane na rozgrzanych paskach nie mają przeciwwagi. Wszystkie są złowieszcze.

Zedd spojrzał chmurnie na Richarda.

- Więc nie wierzysz, że to prawdziwe proroctwa?

- Sam mi to powiedz. Kiedy ju z wszystkich ogarnęła gorączka prorokowania, to do kogo się zwrócili? Komu przysięgli lojalność w zamian za proroctwa?

- Hannisowi Arcowi - odezwała się Cara.

Richard potaknął.

- I tak się składa, że opat Dreier z prowincji Fajin opowiedział nam i wszystkim innym, jak to Hannis Arc wierzy, i z kierowanie się proroctwami pomaga mu w ładać prowincją. Dokładnie tak chcą czynić wszyscy pozostali. Myślę, że ośrodkiem tego wszystkiego jest w taki czy inny sposób Hannis Arc, a nie prawdziwe proroctwa.

- Lecz, jak sam powiedziałeś, on przebywa w prowincji Fajin. - Cara wskazała machinę. - Jak mógłby to wszystko robić?

- Nie wiem - przyznał Richard. - Ale jest tutaj opat Dreier. Mo że ma w tym swój udział.

Cara wskazała palcem w górę.

- Myślałam, że obszar wokół maszyny i leżący nad nami Ogród Życia to pole ograniczające, które nie dopuszcza, żeby z zewnątrz przedostała się tutaj niebezpieczna magia. Poza tym cały pałac jest zbudowany na schemacie zaklęcia osłabiającego dar wszystkich, którzy nie są Rahlami.

Zedd wsparł pięści na biodrach i popatrzył na Carę.

- No proszę, Mord-Sith stały się znawczyniami magii. Co dalej?

- Mówiąca machina - odezwała się Nicci.

Richard wziął jeden z ułożonych pod ścianami dziesiątków tysięcy metalowych pasków i włożył w machinę.

- Niech więc mówi.

## Rozdział 72

Kiedy Richard skończył napełniać podajnik metalowymi paskami, przeszedł na drugą stronę maszyny, tam gdzie paski się wysuwały. Nie sądził, żeby to było konieczne, ale i tak na wszelki wypadek położył dłonie na skrzyni. Wewnętrzne wałki zaczęły się obracać, dźwignie poruszyły, koła zębate zaczęły się obracać. Symbol obracający się na stropie rozjarzył się pomarańczowym blaskiem.

- Czy wiesz, kto jest odpowiedzialny za mrok, który, jak sama powiedziałaś, wniknął w ciebie? - spytał Richard maszynę. - Możesz go nazwać?

Pasek został wciągnięty do środka i przesunął się nad wiązką światła, które wypaliło na nim symbole mowy Początku. Kiedy Richard wziął pasek, odczytał tylko jedno:

- Mrok.

- Nieoceniona pomoc - mruknął Zedd.

Richard zignorował dziadka i powiedział do maszyny:

- Czy teraz jest w tobie mrok?

Ponownie przeciągnęła pasek przez wnętrze.

- Mrok nie jest moją intencją - odczytał Richard.

Cara skrzyżowała ramiona na piersiach.

- To zaczyna brzmieć tak, jakby wyrocznia z pudełka udzielała nam odpowiedzi wypisanych na krążkach.

Richard ją też zignorował.

- Czemu to robisz? Czemu przemawiasz napisami na paskach?

Pasek się wysunął i Richard znowu odczytał:

- Wypełniam swoje zadanie. Robię to, co muszę.

- Jakie jest twoje zadanie? - spytał natychmiast.

Pasek przesunął się we wnętrzu maszyny i wpadł do pojemnika.

Richard się przekonał, że jest chłodny. Popatrzył na symbole i odczytał wiadomość:

- Wypełnienie zadania.

Cara przewróciła oczami.

- Nie ma wątpliwości: dostają się nam zapisane krążki. Zapytaj, czy Ben naprawdę mnie lubi. Chciałabym usłyszeć, co duchy mają do powiedzenia w

tej sprawie.

Richard zignorował drwinę i spróbował spytać o coś innego:

- Kto cię stworzył?

Pasek trochę ę dłużej przesuwawa ł się nad wi ązką światła, machina wypisywa ła dłuższą, bardziej złożoną odpowiedź w mowie Początku. Wreszcie wysunął się ze szczeliny.

Richard uniósł go ku światłu i odczytał:

- Zostałam stworzona przez innych. Nie miałam na to wpływu.

Richard położył dłoń na maszynie, pochylił się ku niej.

- Po co inni cię stworzyli?

Kiedy pojawił się pasek, Richard przeczytał go w milczeniu, potem westchnął z irytacją i przetłumaczył:

- Zostałam stworzona, żeby wypełnić zadanie.

Rzucił pasek na wierzch maszyny.

- Dlaczego twoje zadanie musi zostać wypełnione? Czemu to takie ważne?

Machina zwolniła i zatrzymała się.

Richard pomyślał, że rozmowa się skończyła, lecz maszyneria znowu się uruchomiła, z wolna nabieraj ąc pełnej szybkości. Podpórka na kole pod paskami podskoczyła, wypchnęła jeden ze sterty niezapisanych, złapał go chwytak z następnego koła i przeciągnął przez maszynerię. Richard patrzył w okienko i widział pasek przesuwający się nad piszącą na nim wi ązką światła. Kiedy pasek znalazł się w szczelinie - wciąż chłodny - wziął go i uniósł w blask zbliżeniowych kul.

- Bo nie zawsze można ufać prorocत्वu.

- Też prawda - mruknął ze smutkiem Zedd.

Richard spojrzał na niego, a potem zadał kolejne pytanie.

- Czemu mówisz, że prorocत्वu nie można ufać? Dlaczego nie?

Machina wyciągnęła ze sterty następny pasek. Kiedy przewędrował przez jej wnętrze i wysunął się ze szczeliny, Richard już na niego czekał. Przeczytał:

- Prorocत्वu z biegiem czasu się starzeje i wypacza.

Richard opuścił rękę.

- Przecież sama prorokujesz.

Jeszcze jeden pasek przewędrował przez wnętrze maszyny i wpadł do

pojemnika.

- Wykonuj ę swoje zadanie. Robię to, co muszę. Ty powinienes wypełnić swoje zadanie. - Richard popatrzył na machin ę, marszcząc brwi. - Moje zadanie? Có ż mam wspólnego z tym wszystkim?

Przysunęli się, czekając na kolejny pasek. Richard chwycił go, gdy tylko się ukazał.

- Napisa ła „Wypełnić moje zadanie”. - Przeczesał włosy palcami, odszed ł na parę kroków. - Moim zadaniem jest wypełnić twoje zadanie, które polega na wypełnieniu twojego zadania? To bez sensu. Mija się z celem. Kręcimy się w kółko.

Machina powoli się zatrzymała.

- Powiedz mi co ś użytecznego! - wrzasnął Richard, obracaj ąc się ku Reguli. - Powiedz, jak uchronić Kahlan przed psami, które mają mi ją zabrać!

Machina nie odpowiedziała.

Po długiej, przeciągającej się ciszy Nicci dotknęła pocieszająco ramienia Richarda.

- Wszyscy potrzebujemy odpoczynku, Richardzie. To nic nie daje. Możemy później tu wrócić. Powinienes pójść do Kahlan. To najlepszy sposób, żeby mieć pewność, iż proroctwo się nie spełni.

Sfrustrowany Richard westchnął.

- Masz rację.

Nie wiedział, czy prawdziwym celem maszyny jest wygłaszanie proroctw, czy też stworzono ją, żeby robiła coś innego. Nadal nie mieli pojęcia, kto ją stworzył, czemu została pogrzebana i zapomniana, a nawet czemu tak gwałtownie się zbudzi ła ze snu.

Nie miał też pewności, czy jest przekonany, iż ktoś naprawdę może nią sterować. Choć jej przekazy były zagmatwane, zaczynał się zastanawiać, czy mrok naprawdę nią zawładnął. Zaczynał myśleć, że to po prostu przekora maszyny. Nic dziwnego, że ją zakopali. Jest bezużyteczna.

Zedd poklepał Richarda po plecach.

- Jesteś Poszukiwaczem. Jestem pewny, chłopcze, że coś wymyślisz.

Richard odwrócił się od maszyny.

- Dzi ś wieczór nie uzyskamy potrzebnych nam odpowiedzi. Jak powiedzia ła Nicci, wszyscy powinniśmy wypocząć.

Richard wcale nie skończył z wypytywaniem maszyny, ale by ło późno i

chciał wrócić do Kahlan. Wiedział, że gdy się z tym prześpi, będzie miał więcej pytań. Może gdyby je zadawał we właściwy sposób, zaczęłyby rozumieć, dlaczego zbudowano machinę i jaki jest jej prawdziwy cel. Lecz te sprawy musiały poczekać.

Kiedy poszli ku schodom, machina znowu ruszyła z łomotem. Odwrócili się i wpatrzyli w nią, a ona stopniowo nabrała pełnej prędkości. Wyciągnęła pasek ze spodu sterty i przeciągnęła przez wnętrze.

Richard obserwował, jak pasek wpada do pojemnika. Nie miał ochoty go odczytywać. Miał dosyć tej zabawy. Już nie miał ochoty brać w tym udziału. Pomyślał, że może powinien zostawić wiadomość do rana.

Zanim zdążył odejść, Zedd wziął metalowy pasek, spojrzął na symbole i podał Richardowi.

- Jest zimny. Co napisała?

Richard niechętnie wziął od dziadka pasek i uniósł ku światłu, żeby odczytać koliste symbole.

- „Twoja jedyna szansa to uwolnić prawdę”.

- Co to, u licha, znaczy? - spytała Cara.

Richard zacisnął pasek w garści.

- To jakaś zagadka. Nienawidzę zagadek.

## Rozdział 73

Kahlan się ocknęła. Zdziwiła się, że nią kołysze. Skrzywiła się, przyciskając dłoń do bolącego miejsca na czubku głowy. Włosy były wilgotne. Przysunęła dłoń do oczu, lecz było za ciemno, żeby mogła zobaczyć coś ponad to, że wilgoć połyskuje w księżycowej poświacie.

Aż za dobrze wiedziała, co to jest. Z trudem przyklękła i dotknęła dłoni językiem.

Miała rację, to była krew.

Kiedy przełknęła ślinę, okazało się, że gardło ma tak obolałe, że aż się wzdrygnęła.

Wszystko ją bolało, dygotała z zimna, choć mocno się pocila.

Rozmyślała gorączkowo, starając się posklejać fragmenty wspomnień i dokładnie sobie przypomnieć, co się stało. Obrazy i odczucia migały w szaleńczym tempie.

Wyglądało też na to, że świat się porusza.

Podrzucało nią i trzęsło, aż straciła równowagę i poleciała do przodu. Musiała się podeprzeć dłonią, żeby nie upaść na twarz. Wyczuła szorstkie drewno. Rozejrzała się i dotarło do niej, że jest w niewielkim luku z tyłu wozu. Pulsowanie w głowie i ostry, kłujący ból ciemienia sprawiały, że była zamroczona i miała zawroty głowy. Zwalczyła przymus wymiotowania.

Nagle z ciemno ści wyskoczył wielki pies i uderzył w bok wozu, co ją przeraziło.

Opadł, nie był w stanie wskoczyć na wóz, ale zaczepił przednimi łapami o burtę i tak się trzymał. Gramolił się, wyciągał szyję, usiłując wetknąć do środka masywny łeb i próbując tak przemieścić swój ciężar, żeby się dostać na górę.

Z pyska zwisały mu pieniste strużki śliny, kiedy warczał i kłapał zębami na Kahlan.

Natychmiast skopała z burty jedną z psich łap. Zwierz się natężył, ale nie mógł się utrzymać jedną łapą i spadł w ciemność.

Zaczynała sobie przypominać cały koszmar tego, co się stało w sypialni - a przynajmniej fragmenty. Przypomniała też sobie, co spotkało królową Catherine, co z nią zrobiła wataha psów. Pamiętała i proroctwo wygłoszone



przez kobietę, którą dotknęła swoją mocą, tę, która zabiła własne dzieci, żeby im oszczędzić gorszej śmierci.

Owa kobieta przepowiedziała Kahlan, że czeka ją ponury los. Kiedy ją spytała, o czym mówi, odparła: „Mroczne stwory prześladowające cię i tropiące. Nie uciekniesz przed nimi”.

Teraz prześladowały ją mroczne stwory, polowały na nią. Nie zastanawiała się, skąd się wzięły psy i dlaczego ją sobie upatrzyły. Po prostu rozpaczliwie chciała przed nimi uciec.

Zmrużyła w ciemności oczy, patrząc na przód wozu w nadziei, że dojrzy woźnicę i uzyska pomoc, lecz wóz był wysoko załadowany bagażami owiniętymi sztywnym nieprzemakalnym płótnem. Żeby się dostać na kozioł do woźnicy, musiałyby przeleźć przez ładunek. Wydawał się sięgać zbyt wysoko, żeby się na niego wdrapywać w tym kołyszącym się i szarpiącym wozie, zwłaszcza że Kahlan tak się kręciło w głowie.

Spróbowała wyrzeć z boku, ale nikogo nie wypatrzyła.

Zawołała, lecz gardło miała tak obolałe, że z trudem wydała głos. Nikt nie odpowiedział. Pomyślała, że pewnie w turkocie kół woźnica nie słyszy kogoś, kto siedzi z tyłu, za ładunkiem. Co więcej, ochrypla z gorączki. Nie była w stanie odpowiednio głośno wrzasnąć. Musiała się dostać bliżej, żeby ją usłyszeli.

Kahlan z trudem wstała. Kiedy oparła stopę na burcie wozu, żeby obejść ładunek, z ciemności wynurzył się pies, szaleńczym skokiem próbując ją chwycić za kostkę.

Uskoczyła i zobaczyła całą sforę warczącą i ujadającą, biegnącą obok wozu.

Zanim zdążyła podjąć nową próbę okrążenia ładunku, jeden z psów skoczył i zaczął przednimi łapami o burtę. Wbił zęby w płótno, żeby łatwiej mu było się podciągnąć. Wierzgał tylnymi łapami, starając się na czymś podeprzeć i wleźć do wozu.

Kopnęła psi łeb. Zwierz puścił płótno i kłapnął zębami, próbując ją chwycić za stopę.

Wciąż starał się wdrapać, ale spadł.

Kolejny wielki pies skoczył z drugiej strony i niemal mu się udało. Trzeci podskoczył obok niego.

Kahlan kopała psy, strącając jednego po drugim z burt wozu. Ledwo

zrzuciła jednego, a już następny skakał i zaczepiał łapy o deskę. Ich ślepiapały czerwienią, żądzą mordy.

Wóz jechał zbyt wolno, żeby wyprzedzić sforę, lecz na tyle szybko, żeby Kahlan traciła równowagę, kiedy się kotłował i podskakiwał na wybojach. Kiedy podskoczył na kamieniu, chybiła psa i musiała natychmiast wymierzyć kolejnego kopniaka, żeby się nie wdrapał.

Kahlan spojrziała w tył. Było ciemno, ale księżycowa poświata pozwoliłaby jej dostrzec płaskowyż i stojący na nim Pałac Ludu, gdyby się znajdowali w pobliżu. Nawet gdyby odjechali już dalej, i tak z pewnościami zobaczyłaby światła w pałacu. Lecz nic nie zauważyła.

Nie wiedziała, w którą stronę jada, ale zdawała sobie sprawę, że są gdzieś na rozległych równinach Azrith.

Odpierała ataki dzikich psów, ale miała świadomość, że przegrywa walkę.

Strącała jednego, a dwa następne podskakiwały i zaczepiały przednie łapy o burtę wozu. Jedne udawało się jej zepchnąć, inne psy wskakiwały tak daleko na wóz, że musiała je kopać po łbach, żeby je strącić.

Widziała, że przegrywa. Psy nieustannie próbowały się dostać na górę i było jedynie kwestią czasu, kiedy im się to uda. A wtedy ją dopadną.

Kahlan boleśnie zatęskniła za Richardem. Nie będzie wiedział, co się stało. Gdzie ona się podziała. Nigdy się nie dowie, co ją spotkało.

Ujrzała samą siebie wyglądającą jak królowa Catherine, kiedy ją rozszarpały bestie. Stłumiła żal, że już nigdy nie zobaczy Richarda. Miała nadzieję, że on nigdy nie znajdzie jej ciała. Nie chciała, żeby ją zobaczył w takim stanie.

Okręciła się i kopnęła w zebra psa, który omal się nie wgramolił na wóz. Zaskomlał i spadł, a ona dostrzegła konia przywiązanego na długiej linie do burty wozu. Trzymał się daleko z tyłu, w mroku, schodząc z drogi psom.

Nie miała czasu na zastanawianie się. To była jej jedyna nadzieja na uzyskanie pomocy lub ucieczkę. Chwyliła plecak, a potem strąciła psa z burty w pobliżu liny.

Kiedy się wychyliła, żeby chwycić linę, z ciemności wyskoczył inny pies, kłapiąc zębami i próbując ją złapać za rękę. W ostatniej chwili zdołała się cofnąć i kły złapały wyłącznie powietrze. Pies upadł i przetoczył się, a ona prędko się pochyliła i chwyciła linę.

Koń, bojąc się rozszalałych psów, parsknął i stawiał opór, kiedy Kahlan próbowała go przyciągnąć. Oparła stopę o burtę wozu i pociągnęła z całej siły. W końcu udało się jej przyciągnąć spłoszone zwierzę trochę bliżej. Tańczyło i rzucało się, próbując się trzymać na odległość.

Psy nie interesowały się koniem. Były skoncentrowane na Kahlan. Ale koń niestety tego nie wiedział.

Kiedy zdołała w końcu jako tako przyciągnąć konia, odwróciła się i zobaczyła, że dwa psy jeden po drugim dostały się na wóz. Upadły, gdy łapy im się rozjechały.

Podnosiły się z trudem, a Kahlan zarzuciła plecak na ramię, odwiązała linę od kołka i - przytrzymując się jej dla równowagi - wskoczyła na burtę wozu. Z całej siły wczepiała się w linę, balansując na burcie podskakującego pojazdu.

Koń próbował uciec. Przybliżył się jednak akurat tyle, ile trzeba.

Kahlan skoczyła nad warczącymi, kłapiącymi zębami psami. Wylądowała plackiem na końskim grzbiecie.

Pełna ulgi, że nie wpadła w psie paszcze, oburącz chwyciła się końskiej grzywy i przerzuciła nogę przez grzbiet wystraszonego zwierzęcia.

Kiedy już dosiadła konia, spięła go piętami. Chciała podjechać do woźnicy po pomoc, ale psy nadbiegły i odcięły jej drogę. Niektóre podskakiwały, próbując ją chwycić za stopę i ściągnąć na ziemię. Przerazony koń pomknął w bok. Kahlan, nie mając czasu do stracenia, pochyliła się nad końskim karkiem i puściła wierzchowca galopem. Koń z radością pognał w noc.

Psy podjęły pościg.

## Rozdział 74

- Zupełnie nic? - zwrócił się cicho Richard do Berdine.

- Całkowity spokój, lordzie Rahlu. - Berdine wskazała kciukiem przez ramię. - Zajrzałam do Matki Spowiedniczki, spała spokojnie. Potem sprawdziłam przyległe korytarze, żeby się upewnić, iż nikt się nie zakradł i że nic nie odbiega od normy.

Wróciłam w ten koniec korytarza i już z całym czasem stałam pod drzwiami. Matka Spowiedniczka była idealnie spokojna. Nie dobiegł mnie żaden dźwięk.

Richard delikatnie położył rękę na obleczonej w czerwony skórę ramieniu Mord-Sith.

- Dziękuję, Berdine.

- Czy machina powiedziała coś jeszcze, lordzie Rahlu?

Zatrzymał się i obejrzał.

- Miała mnóstwo do powiedzenia, lecz obawiam się, że nie na wiele się nam to przyda.

- Może potrzebna nam brakująca część Reguli, żebyśmy mogli ją zrozumieć.

I jemu to przyszło do głowy.

- Może.

Richard zostawił Berdine. W głębi korytarza, pod ścianami, stali żołnierze Pierwszej Kompanii, pilnując, żeby nikt się nie przedostał do komnaty.

Wszedł do niemal ciemnej sypialni, w której spała Kahlan, i cicho zamknął drzwi.

Kiedy poprzednio tu zaglądał, przykręcił lampę, toteż mało co widział. Nie chciał podkręcać lampy, żeby Kahlan się nie obudziła.

Był wyczerpany. Wkrótce rano. Musi się trochę przespać. Żałował, że zmarnował tyle czasu przy maszynie.

Nie chciał przeszkadzać Kahlan, więc pomyślał, że może się prześpi w fotelu. Musi porządnie wypocząć, żeby przyjść do siebie po tej gorączce. Był wdzięczny dziadkowi, że nałożył jej na rękę kataplazm mający „wyciągnąć” zakażenie.

Ślady po paznokciach chłopca z targowiska na jego dłoni dawno się zagoiły.

Sądził, że u Kahlan także. Niepokojące, że tak nagle się odnowiły, zwłaszcza że Zedd je uleczył.

Kiedy szedł ku fotelowi, zaczepił stopą o koc leżący na środku podłogi.

Pomyślał, że Kahlan go zrzuciła, rzucając się niespokojnie od gorączki. Podniósł koc, żeby ją przykryć.

Idąc ku łóżu, w słabym świetle lampy, zatrzymał się. Coś było nie tak. Nawet gdyby śpiąca Kahlan zrzuciła z siebie koc, nie mógłby upaść tak daleko.

Natychmiast przypomniało mu się ostrzeżenie maszyny, że „psy mu ją zabiorą”.

Niemal w tej samej chwili wspomniał królową Catherine, leżącą na podłodze, z brzuchem rozszarpanym zwierzęcymi kłami.

Richard rzucił koc i podbiegł do łóża. Kahlan nie było. Przez chwilę wpatrywał się w skotłowaną pościel, a potem podkręcił knot w lampie i sprawdził komnatę. Nigdzie nie wypatrzył Kahlan.

Kiedy podniósł wzrok, zauważył otwarte drzwi na balkon. Najpierw pomyślał, że może Kahlan rozpalona gorączką wyszła na zewnątrz, żeby chłodne nocne powietrze przyniosło jej ulgę.

Nim poszedł na balkon, zobaczył leżący na podłodze własny plecak. Przedtem obok leżał plecak Kahlan. Sam je tam położył. Pomyślał, że może Kahlan chciała coś z niego wyjąć i gdzieś go przesunęła, ale w to nie uwierzył. Coś mu mówiło, że szukanie plecaka w komnacie to strata czasu.

Podbiegł do balkonowych drzwi. Martwił się, że Kahlan mogło się pogorszyć.

Spodziewał się ją zobaczyć, nieprzytomną, na posadzce balkonu. Nie było jej tam.

Sypialnia, podobnie jak balkon, nie była zbyt duża. Mowy nie było, żeby przeoczył Kahlan. Zastanawiając się, gdzie też ona może być, z oporami wyjrzał za balustradę, zdjęty strachem, że mogła spaść. Trudno było coś wypatrzeć w ciemnościach, ale jednak było to możliwe. Poczuli ulgę, kiedy na ziemi, daleko w dole, niczego nie zobaczyli.

Kiedy się odwracał, chcąc wrócić do pokoju, zauważył sąsiedni balkon. Nie był połączony z tym od ich sypialni, nawet dość daleko się znajdował, ale

Richard i tak podszedł do balustrady, żeby rzucić okiem. Stwierdził, że z tamtego balkonu prowadzą w dół schody.

Zauważył też ślad na balustradzie. To mógł być odcisk buta.

Richard wskoczył na balustradę i przeskoczył nad przepaścią na drugi balkon.

Drzwi były zamknięte, w środku było ciemno. Całkiem możliwe, że Kahlan weszła do środka i potem zablokowała drzwi, ale właściwie w to nie wierzył. To nie miało sensu.

Gdyby się czegoś bała, to tuż za drzwiami ich sypialni stały strażnicy i Mord-Sith.

Zamiast wylać drzwi, Richard ruszył najbardziej prawdopodobną trasą Kahlan. Pomknął w ciemnościach schodami na sam dół.

Przebijająca się przez cienką warstewkę chmur księżycowa poświata nie była zbyt jasna, lecz wystarczyła, żeby zobaczyć ślady butów Kahlan. A do świadczenia w tropieniu pozwoliło mu rozpoznać jej charakterystyczny chód. Potrafił czytać ze sposobu, w jaki szła, i ze śladów, jakie zostawiała, niemal równie dobrze jak z rysów jej twarzy.

Nie było wątpliwości: Kahlan zeszła zewnętrznymi schodami na płaskowyż.

Najbardziej go martwiło, że ślady mówiły, iż biegła najszybciej, jak mogła.

Rozglądał się, szukając innych śladów, na przykład kogoś, kto ją ścigał, lecz niczego nie dostrzegł.

To nie miało sensu.

Richard stał i patrzył na mroczny płaskowyż. Przed czym Kahlan tak uciekała?

## Rozdział 75

W oddali ścieżki wiły się w starannie utrzymanych ogrodach, lecz w miejscu, gdzie Richard zszedł ze schodów, przywożono zaopatrzenie dla pałacu. Większość pałacowych gości wchodziła schodami we wnętrzu płaskowyzu, okazały portyk pomiędzy terenami rozładunkowymi a ogrodami witał jednak znakomitości docierające na szczyt konno lub powozem. To wejście prowadziło do paradnych korytarzy i pomieszczeń dla gości. Blżej Richarda, słabiej oświetlone, znajdowały się stajnie i rampy rozładunkowe.

Dostrzegając ciemne kształty dziesiątków wozów i karoc, albo tam pozostawionych, albo właśnie załadowywanych. Ze stajni wyprowadzano konie, siodła no je lub zaprzęgano do wozów. Przedstawiciele krain nawet w środku nocy się pakowali i wyjeżdżali. Panował tu ożywiony ruch. Nikt nie przybywał. Wszystkie wozy odjeżdżały.

Richarda niepokoiło to, co się ostatnio działo, przedstawiciele opowiadający się za prorocztwami, a także ci, którzy im je przyobiecali. Chciał wiedzieć, co się za tym kryje, lecz w tej chwili zaprzętało go jedynie odnalezienie Kahlan.

Poszedł po jej śladach przez mrok na szczycie płaskowyzu. Biegła najszybciej, jak potrafiła. Po pewnych cechach śladów - tu i tam odcisk buta się przekrzywiał - wywnioskował, że oglądała się na coś, co ją ściagało. Gdyby biegła za kimś lub za czymś, ślady wyglądałyby inaczej.

To nie miało sensu. Nie było śladów pogoni, a przecież wyraźnie odczytywał strach z odcisków butów Kahlan. To, co ją goniło, musiałyby latać. Wiedział, że równie dobrze mogły ją ściagać wytwory gorączkowych majaków.

Przepowiednia maszyny mówiąca, że psy mu ją zabiorą, nie była jednak urojeniem. Przynajmniej nie widział śladów psów.

A potem, w gęstwie odcisków podków i kolein wozów, ślady butów Kahlan nagle zniknęły.

Richard przyklęknął i pochylił się, żeby się dokładniej przyjrzeć. Zobaczył wtedy ostatni odcisk jej butów wskazujący, że się odbiła do skoku. Był głębszy, z mocno zaznaczonym obrysem - wskoczyła na coś. Ponieważ jej

ślady tu się kończyły, wiedział, że najprawdopodobniej wskoczyła na wóz lub do karocy.

Richard, zdjęty lodowatym strachem, uświadomił sobie, że Kahlan zniknęła. Nie mógł zrozumieć, co się stało, dlaczego uciekła - ale całkiem wyraźnie widział, że wyszła z sypialni, zbiegła schodami na płaskowyż, przebiegła tamtędy i wskoczyła na wóz.

Wozy odjeżdżały bez przerwy. Wszędzie widniały ślady kół i podków. Nie mógł się zorientować, do którego wozu czy karocy Kahlan wskoczyła. Jeśli została w środku, mogła się teraz oddalać od pałacu w dowolnym kierunku.

Liczni przedstawiciele krain odjechali nocą. Wielu towarzyszyła eskorta.

Niektórzy mieli ze sobą całe dwory - strażników, służących, doradców, rzemieślników, całe wozy bagażu - toteż w grę wchodziło mnóstwo pojazdów.

Kahlan mogła być w każdym z nich.



## Rozdział 76

Patrole, które zauważyły Richarda, przybiegły sprawdzić, co się stało. On sam zobaczył, że w oddali pojawili się żołnierze na koniach.

Zanim potężnie zbudowany kapitan zdążył się odezwać, Richard powiedział:

- Matka Spowiedniczka przyszła tutaj po zmroku. Jej ślady są co najmniej sprzed paru godzin. Czy widziałeś ją ty lub któryś z twoich ludzi?

- Matka Spowiedniczka? - Zaskoczony kapitan pokręcił głową. - Nie, lordzie Rahlu. Ja i moi ludzie od dawna tu patrolujemy, zaczęliśmy jeszcze przed zmrokiem.

Gdyby ktoś ją zauważył, usłyszałbym o tym.

Richard ostatni raz widział Kahlan niedługo po tym, jak się ściemniło.

- Ile wozów odjechało po zmroku?

Kapitan podrapał się po krzepkiej szyi, zliczając je w myślach.

- Dziesiątki, lordzie Rahlu. Mamy spisy i listy ładunkowe. Mogę sprawdzić, ile dokładnie ich było.

- Dobrze. Poślij konnych za każdym wozem. Chcę, żeby dogonili każdego wóz, który odjechał nocą. KAŻDY. Chcę, żeby przeszukano każdy pojazd.

Kapitan kiwał głową, ale był wyraźnie dezorientowany.

- Czego mamy szukać?

- Matka Spowiedniczka wyszła nocą z komnaty. Być może coś ją ścigało. Ma gorączkę, więc najprawdopodobniej jest otumaniona. Chcę wiedzieć, czy zeszła aż tutaj i wskoczyła do wozu, który odjechał. Nie wiem, który to mógłby być, toteż żołnierze powinni odnaleźć i przeszukać każdy. Jeśli ją znajdą, niech ją bezpiecznie przywiozą do pałacu.

- Czy wiesz, lordzie Rahlu, gdzie wskoczyła do wozu? To mogłoby zawęzić poszukiwania.

Richard wskazał ostatnie ślady butów Kahlan.

- Dokładnie w tym miejscu.

Na twarzy kapitana odmalowało się rozczarowanie.

- Wszystkie odjeżdżające wozy muszą tędy przejechać.

- Więc wszystkie trzeba dogonić i przeszukać - stwierdził Richard. - Natychmiast wyślij oddziały poszukiwawcze, zanim wozy odjadą zbyt

daleko.

Kapitan przyłożył pięść do serca.

- Natychmiast, lordzie Rahlu.

- Potrzebny mi koń - dodał Richard. - Od razu.

Kapitan się odwrócił i odgwizdał sygnał. Ze wszystkich stron nadbiegali żołnierze.

W parę chwil Richarda otoczyła ponad setka.

Kiedy galopem nadjechało dwunastu konnych, żołnierze ich przepuścili. Nowo przybyli chcieli się dowiedzieć, o co chodzi. Richard, zamiast, wyjaśniać, przyjrzał się koniom. Dał znak żołnierzowi, żeby zsiadł z klaczy wyglądającej na silną. Żołnierz zeskoczył.

- Kapitan przeka że moje rozkazy - powiedział Richard, wkładając stopę w strzemię i wskakując na siodło. - Muszę jechać.

- Sprawdzimy każdy wóz, lordzie Rahlu - oznajmił kapitan. - Jedziesz z żołnierzami?

Richard na wszelki wypadek kazał przeszukać wozy, lecz wątpił, by żołnierze znaleźli Kahlan. W grę wchodziło coś innego, jeszcze nie wiedział co.

Pomyślał o ostrzeżeniu maszyny. O wszystkich kłopotach, które zaczęły się po tym, gdy rankiem po ślubie Cary spotkali na targowisku chłopca imieniem Henrik.

Ich ostatnie problemy wyraźnie były związane z prorocत्वami. Liczni przedstawiciele krain uznali, że chcą się podporządkować Hannisowi Arcowi z prowincji Fajin, bo kieruje się wskazaniem przepowiedni. Dlatego tak wielu wyjechało.

Jedna z pierwszych przepowiedni mówi ła: „Królowa bije pionek”. Nicci powiedziała Richardowi, że to ruch w grze zwanej szachami, w którą grano w prowincji Fajin na Mrocznych Ziemiach. Henrik, chory chłopiec, który pierwszy ostrzega ł, że w pałacu panuje mrok, był kiedyś w miejscu zwanym Kharga Trace w prowincji Fajin.

Richard przypomnia ł sobie, że matka chłopca powiedziała, iż zabrała go do Zaszytej Służki w Kharga Trace. Pamiętał jej rozbiegane oczy, kiedy wspomnia ła Zaszytą Służkę. I jaki nerwowo zrobił się opat Dreier na wzmiankę o niej.

Nicci go ostrzegała, że Zaszyte Służki są groźne.

Pamiętał też, że matka chłopa mówiła, iż Henrika prześladowały psy kręcące się wokół ich namiotu.

Kapitan wciąż czekał, żeby Richard mu powiedział, dokąd jedzie.

- Nie wybieram się z żołnierzami przeszukiwać wozów. - Koń Richarda tańczył, chcąc już ruszać. - Powiedz generałowi Meiffertowi i Zeddowi, że jadę do Kharga Trace i nie mam czasu na nich czekać. Nie mam chwili do stracenia, a poza tym tylko by mnie spowolnili.

- Kharga Trace? - zapytał jeden z żołnierzy. - Na Mrocznych Ziemiach?

Richard potaknął.

- Znasz to miejsce?

Żołnierz się zbliżył.

- Wiem, że nie chcesz tam jechać, lordzie Rahlu.

- Dlaczego?

- Jestem z prowincji Fajin. Nie chcesz jechać do Kharga Trace. Zdesperowani ludzie chadzają tam do pewnej kobiety ponoć obdarzonej mroczną mocą. Wielu tych, którzy tam poszli, nie wróciło. Coś takiego nie jest niczym niezwykłym na Mrocznych Ziemiach. Byłem szczęśliwy, że stamtąd odchodzę, żeby wstąpić do d'harańskiej armii.

Powiodło mi się i przyjęto mnie do Pierwszej Kompanii, dzięki czemu mogę tutaj służyć.

Nie chcę tam wracać.

Richard był ciekaw, czy żołnierz nie jest po prostu zabobonny. Kiedy był leśnym przewodnikiem w lasach Hartlandu, w Westlandzie, nigdy się nie zetknął z żadnymi złymi mocami grasującymi w dziewiczych lasach, lecz znał ludzi, którzy się ich bali i szczerze wierzyli w ich istnienie. Takie historie nie mąciły mu jednak miłych wspomnień o rodzinnych stronach.

- Naprawdę nie chcesz wrócić do domu, choć wojna się skończyła? - zapytał żołnierz.

- Nie wiem zbyt dużo o darze, lordzie Rahlu, lecz w czasach wojny widziałem wiele budzącej strach magii. To, co się kryje na Mrocznych Ziemiach, jest inne.

Tamtejsi chowańcy, jak ich nazywają, wykorzystują tajemne zaklęcia, czarną magię związaną ze śmiercią. Magia na Mrocznych Ziemiach jest zupełnie inna od daru, który widywałem gdzie indziej.

- Inna? W jakim sensie?

Żołnierz się rozejrzył, zupełnie jakby się obawiał, że cienie mogą nasłuchiwać.

- Po Mrocznych Ziemiach chodzą umarli.

Richard oparł się o łęk siodła i spojrzał chmurnie na żołnierza.

- Co przez to rozumiesz?

- To, co powiedziałem. Mroczne Ziemie to tereny demonów, gdzie polują drapieżniki z zaświatów. Za nic nie chciałbym tam wrócić.

Richard pomyślał, że takie zabobony brzmi ą dziwnie w ustach silnego, młodego człowieka, który widział wojnę i okropieństwa, z jakimi nikt nigdy nie powinien się zetknąć.

A potem przypomnia ł sobie Nicci mówi ącą, że moce Zaszytej Służki są zupełnie odmienne, że on nie ma przed nimi żadnej obrony. Nicci nie tylko była niegdyś znana jako Pani Śmierć, była też Siostrą Mroku i służyła Opiekunowi zaświatów. Znała się na takich sprawach.

Serce zaczęło mu bi ć szybciej na samą myśl o tym, że Kahlan zmierza do takiego miejsca. Richard nie chciał, żeby Kahlan rzeczywi ście pojechała na Mroczne Ziemie, a już zwłaszcza do Zaszytej Służki, lecz zbyt wiele wskazywało ten kierunek, żeby mógł to być zbieg okoliczności.

Skinął głową.

- Dzięki za ostrzeżenie, żołnierzu. Mam nadzieję, że dogonię Matkę Spowiedniczkę, zanim tam dojedzie.

Żołnierz przyłożył pięść do serca.

- Obyś prędko wrócił do domu, lordzie Rahlu. Wró ć bezpiecznie z Matką Spowiedniczką, zanim postawicie stopę na Mrocznych Ziemiach.

Richard ściągnął wodze, żeby uspokoić konia.

- Kapitanie, nie zapomnij powiedzieć Nicci, dokąd jadę. Przekaż jej, że sądzę, iż Matka Spowiedniczka może jechać do Zaszytej Służki w Kharga Trace. Zamierzam ją dogonić, zanim tam dotrze.

Podbiegł jeden z żołnierzy i przerzucił juki przez koński grzbiet.

- Weź przynajmniej trochę prowiantu, lordzie Rahlu.

Richard odrobin ę wysunął miecz z pochwy i zaraz go schowa ł, upewniając się, że luźno chodzi. Skinieniem głowy podziękował żołnierzowi i skierował konia na drogę biegnącą skrajem płaskowyżu.

Szarpnął wodze i pochyli ł się nad kłębem, a klacz natychmiast pomkn ęła galopem w noc.

## Rozdział 77

Kahlan nagle się obudziła. Spod przymrużonych powiek patrzyła na lasy w słabym blasku świtu. Nie widziała na ziemi psów. Przynajmniej na razie.

Zawsze wracały.

Wiedziała, że to tylko kwestia czasu.

Udało jej się przespać zaledwie parę godzin - i za krótko, i nie był to spokojny sen. Dobrze, że nie spadła z drzewa. Kilka zrośniętych gałęzi zapewniło dość bezpieczne, choć niewygodne miejsce odpoczynku.

Dni grozy zdawały się nie mieć końca i zlewały się ze sobą, aż Kahlan zupełnie straciła poczucie czasu. Była wykończona nieustannym pościgiem. Jedynie wszechogarniające zmęczenie sprowadzało sen.

Nocą, kiedy robiło się ciemno, psy znikaly. Sądziła, że może szukają wtedy pożywienia i odpoczywają. Początkowo żywiła nadzieję, że się zmęczą pościgiem i odpuszczą.

Pierwszych parę nocy po opuszczeniu pałacu, kiedy wciąż jeszcze była na równinach Azrith, a psy znikaly, Kahlan się łudziła, że to da jej okazję do ucieczki, do zostawienia w tyle pościgu - lecz bez względu na to, jak szybko uciekała, jak długo, czy jechała całą noc bez przerwy, i tak o świcie psy zawsze były w pobliżu i znowu ją ścigały.

Słońce wstawało przed nią po prawej stronie, a zachodziło za nią, więc wiedziała, że kieruje się mniej więcej na północny wschód. To jej mówiło, gdzie powinien być pałac. Kilka razy próbowała - kiedy psy nocą znikaly - zawrócić i jechać z powrotem, ale tylko wpadała między psiska. Ledwie uszła z życiem. Kiedy się na nią rzucały, musiała zawracać na północny wschód i skupiać się wyłącznie na wyprzedzeniu ich, na odsadzeniu się daleko od potencjalnych zabójców.

Niekiedy Kahlan miała ochotę się poddać, przestać uciekać i pozwolić, żeby to się skończyło. Lecz wspomnienie okropnego końca Catherine było zbyt przerażające, żeby się na to zdecydowała. Powtarzała sobie, że dopóki żyje, póki utrzymuje odpowiednią odległość od sfery zdziczałych psów, ma szansę. Póki da radę je wyprzedzać, ocali życie. Póki żyje, istnieje nadzieja.

Myśl o Richardzie też nie pozwalała jej odpuścić. Wizja, że ją znajdzie rozszarpaną przez psy, była tak rozdzierająco bolesna, że Kahlan tym

mocniej walczyła o uratowanie życia.

Kiedy zostawiła za sobą równiny Azrith i dostała się na górzyste tereny, przeważnie nocą nie mogła jechać. Bała się, że koń w ciemnościach złamie nogę. A gdyby nie miała konia, psy by ją z łatwością dopadły.

Koń był jej ratunkiem. Dobrze o niego dbała. Przynajmniej na tyle, na ile to było możliwe. Wiedziała, że jeśli straci konia, sama wkrótce umrze. Z drugiej strony, jeśli będzie go zbyt oszczędzać, psy ją dorwą.

Kahlan spojrzała w dół ze swojego miejsca w śród gałęzi. Koń był przywiązany do pobliskiego konaru na długiej linie, żeby mógł skubać trawę rosnącą w pobliżu. A gdyby nagle był jej potrzebny, miała pod ręką koniec liny, żeby przyciągnąć konia i zeskoczyć na niego.

Z jakiegoś powodu psy nie interesowały się koniem. Chciały dopaść Kahlan, nigdy nie zaatakowały konia. Nie mogła tego zrozumieć. Za to wierzchowca nie uspokajał brak zainteresowania ze strony psów. Sama ich obecność budziła w nim panikę.

Kahlan spojrzała w dół, sprawdzając, gdzie jest koń. Chociaż była okropnie zmęczona, wiedziała, że wkrótce powinna ruszać, bo psy się pojawią i przerażą konia.

Spanikowany wierzchowiec mógłby sobie zrobić krzywdę. Gdyby złamał nogę, byłoby po niej.

Gdyby pozwoliła psom zaskoczyć się na drzewie, trudno by jej było przyciągnąć konia do warczących, szczekających i kłapiących zębami zwierząt. Nie podobała jej się perspektywa takiej pułapki ani ryzyko, że w zamieszaniu koń się zerwie i ucieknie.

Odjedzie, gdy tylko zrobi się dostatecznie jasno.

Kahlan w łaściwie jadła głównie suchary, od czasu do czasu parę orzechów czy kawałek suszonego mięsa, które miała w plecaku. Mdliło ją i chętnie wcale by nie jadła, ale wiedziała, że musi zachować siły, więc się zmuszała do zjedzenia czegokolwiek.

Miała gorączkę, ręka pulsowała bólem, mdliło ją i bała się, że chwycą ją torsje.

Pamiętała, jak się obudziła w Ogrodzie Życia z okropnym bólem głowy, niepowstrzymanie wymiotując. Wiedziała, że musi jeść, bo osłabnie, lecz nie powinna wymiotować. Toteż jadła tylko tyle, ile uważała za konieczne.

Kiedy przepatrywała okolicę, szukając psów, wydało się jej, że coś

dostrzegła wśród drzew.

To przypominało człowieka.

Już miała zawołać o pomoc, kiedy zauważyła, że stworzenie się porusza. Właściwie nie szedł. Sunął pośród cieni.

Wychyliła się z gałęzi, żeby lepiej widzieć. Akurat wtedy spośród wierzchołków drzew dotarły na dół pierwsze promienie słońca.

Kahlan zobaczyła, że to, co wzięła za człowieka, było psem - wielkim, czarnym psiskiem. Zza drzew wyłaniał się przywódca sfory.

Nie mogła pojąć, jak mogła go pomylić z człowiekiem. Na widok zwierza ogarnęła ją panika i Kahlan mogła myśleć wyłącznie o ucieczce.

Sięgnęła w dół, zwinęła linę najszybciej, jak mogła, przyciągając konia do drzewa, zanim psy nadbiegły i go spłoszyły.

Kiedy już był pod drzewem, zeszła na niższą gałąź i zsunęła się na koński grzbiet.

Obejrzała się i zobaczyła sforę nadciągającą wśród drzew. Kiedy psy ją zauważyły, zaczęły wyc. Pochyliła się nad kłębem konia, który ruszył galopem.

Pościg na nowo się rozpoczął.

## Rozdział 78

Kahlan prowadziła konia między ogromnymi sosnami i często oglądała się przez ramię, sprawdzając, jak blisko podeszły psy. Górujące nad nią olbrzymie drzewa przesłaniały niemal całe niebo. Niższe gałęzie rosły wysoko nad jej głową.

Stalowoszare chmury sprawiały, że w zaroślach, przez które szedł koń, było jeszcze ciemniej i bardziej ponuro.

Wilgoć gromadziła się na sosnowych igłach, aż krople stały się tak ciężkie, że spadały. Kahlan drażniły krople rozbijające się na jej twarzy. Była zmarznięta, przemoczona, nieszczęśliwa. Musiała się koncentrować, żeby wypatrzyć szlak pomiędzy małymi sosenkami porastającymi niższe partie gęstego lasu.

W wielu miejscach wdzierały się na szlak, zbyt rzadko używany, by pozostał niezarośnięty. Gdzie indziej tę nieuczęszczaną drogę przez dziewiczy las zasłaniały pochylone nad nią gęste paprocie.

Kahlan dorastała w pałacu i niezbyt wiele wiedziała o podróżowaniu kiepskimi szlakami. Wypełniając powinności Spowiedniczki, zawsze wybierała drogi i często używane trakty łączące miejscowości Midlandów. I zawsze towarzyszył jej czarodziej.

Wydawało się, że było to tak dawno temu, w zupełnie innym życiu.

Psy do pewnego stopnia jej pomagały, pozwalając jechać wyłącznie w określonym kierunku. Musiała tylko znaleźć w miarę bezpieczną dla konia trasę. Pogoń nigdy nie zostawała daleko w tyle, Kahlan nie mogła jednak pozwolić, żeby koń spanikował i uciekał na oślep. Nie wiadomo, w co by się wpakowali, gdyby zbiegli ze szlaku. Koń mógłby połamać nogi, wpadłszy w dziurę pomiędzy kamieniami lub potknąwszy się o zwalone drzewo. Mogliby zniecka znaleźć się na skraju urwiska, natrafić na nieprzejezdny parów lub nieprzebyte gąszcz. Gdyby tak się stało, dopadłaby ją wataha psów i byłoby po wszystkim.

Kahlan nie chciała umierać pośrodku dziewiczego lasu, rozszarpana przez psy i pozostawiona padlinożercom, żeby oskubali kości do czysta.

Musiała się trzymać względnie bezpiecznego szlaku, żeby móc wyprzedzić pogoń. To Richard ją nauczył, jak się poruszać słabo widoczną,



rzadko uczęszczaną drogą, trudną do wypatrzenia. Kahlan nie tylko wyglądała różnych znaków, ale i badała wzrokiem teren przed sobą, szukając śladów wskazujących, którądy biegnie szlak.

Wspomnienie o Richardzie obudziło bolesną tęsknotę. W ostatnich dniach nieczęsto o nim myślała. Tak rozpaczliwie starała się uciec, że nie była w stanie myśleć o niczym innym.

Bolały ją ręka i głowa. Kahlan była tak wyczerpana, że z trudem utrzymywała się na koniu. Co gorsza, gorączka tak jej się dawała we znaki, że bała się, iż straci przytomność.

Choć akurat to przypuszczalnie przyniosłoby lekką śmierć. Jakąż ulgą byłoby stracić przytomność, kiedy psy ją dopadną.

Kahlan grzbietem dłoni otarła z policzka łzę. Tak bardzo tęskniła za Richardem.

Pewnie szaleje z niepokoju, że tak zniknęła. Jaka szkoda, że jakoś nie dała mu znać, co się stało.

Nagle z gęstwy przy szlaku wyskoczyło kilka psów, celując w jej nogi. Przerazona Kahlan skłoniła konia do biegu. Konary śmigały obok nich. Smagały ją gałęzie sosen, kiedy tak pędziła przez las. Jedna tak mocno uderzyła ją w ramię, że Kahlan omal nie spadła z konia.

Wierzchowiec nagle się zatrzymał. Przed nimi grunt opadał za skalną półką. Koń nie mógł schodzić tak stromym stokiem. Kahlan się bała, że zbczyli ze szlaku i znaleźli się w pułapce. Obejrzała się. Psy nadciągały.

Kiedy zaczęły szczekać i wyć, najwyraźniej uważając, że nareszcie ją osaczyły, przerażony koń nagle stanął dęba. Kahlan, bez siodła, nie bardzo miała się czego przytrzymać. Zaczęła się zsuwać z końskiego grzbietu, chciała się przytrzymać grzywy.

Nie zdołała.

Zanim się zorientowała, łupnęła ciężko o ziemię. Ogłuszona, jęknęła z bólu.

Upadła na skaleczoną rękę. Zdrową ręką przycisnęła bolącą dłoń do brzucha.

Zanim zdążyła chwycić linę, koń uciekł w las. Niemal natychmiast zniknął jej z oczu. Widziała za to pędzące ku niej psy. Przywódca warczał, chcąc ją wreszcie dopaść.

Kahlan się odwróciła i rzuciła w dół stromizny. Miejscami

przeskakiwała z wyższych kamiennych półek na niższe, z trudem utrzymując równowagę. Zbiegała tak prędko, że nie miała czasu się zastanawiać nad kolejnym skokiem. Wiedziała, jak jest to niebezpieczne, lecz nie była w stanie opanować impulsu uciekania przed ścigającym ją koszmarem.

Pośliznęła się na żwirze i upadła, zsuwając się rynną rumoszu i bryłek ziemi. Mijała większe kamienie i małe krzaki.

Za nią psy skakały po kamieniach, jakby się do tego urodziły. Zbliżały się.

Kahlan wylądowała twardo i poleciała na twarz. Uniosła się trochę, nie tracąc czasu na uzalanie się nad sobą. Droga przed nią wyglądała na bardziej piaszczystą, ale wilgotną. Wśród gęsto rosnących drzew snuła się mgła, więc Kahlan wzrokiem nie sięgała zbyt daleko.

Widziała gęstą plataninę roślin. Z góry zwieszały się pnącza. Po bokach rósł zbity gąszcz.

Zorientowała się, że wcale nie zgubiła szlaku. Był przed nią, przebijał się przez gęste podszycie.

Krótkowłosey, brązowy pies runął ze stromizny, przetoczył się i wylądował za Kahlan. Kiedy z trudem wstawiała, kłapnął zębami, próbując ją ugryźć w nogę.

Poderwała się i pobiegła ile sił w nogach w tunel w zaroślach. Wydawał się nie mieć końca. Mijała w pędzie roślinność. Nie widziała końca tej drogi. Psy warczały, ścigając ją poprzez zielony labirynt.

Nagle wypadła z gęstego podszycia na bardziej otwarty, bagnisty teren. W rozlewiskach stojącej wody rosły drzewa o gładkiej korze, szerokie u podstawy ze splecionych, rozcapierzonych korzeni.

Buty Kahlan zapadły się w muł. Przewróciła się. Starła się uwolnić, ganiąc się przy tym, że za dużo uwagi poświęcała ścigającym ją psom, przez co jednak zboczyła ze szlaku. Jedyna korzyść była taka, że błocko spowolniło też psy. Zachodziły Kahlan od tyłu, łukiem, przeskakując z jednego suchego miejsca na drugie, na kępy trawy, szukały sposobu, żeby się do niej dostać z boku.

Kahlan wygramoliła się na szlak i pobiegła, starając się skakać z korzenia na korzeń i nie wpaść do wody czy w grzęzawisko. Wolała nie wchodzić do wody, bo bała się, że się zapadnie i noga się jej zaplącze w ukryte pod powierzchnią korzenie.

Mogłaby złamać kostkę. Bardzo się tego obawiała.

Szlak od czasu do czasu ton ął w rozleg łym bagnisku i Kahlan zauważyła, że w takich miejscach poukładano gałęzie i pnącza. Tworzyły drogę przez bajora.

Im dalej szła, tym solidniejsze robiły się mostki z gałęzi. O wiele łatwiej było biec, mając pod stopami tę plecionkę. Kiedy tak pędziła przez bagnisko, wśród zwieszających się festonów pnączy i mchów, chodnik robił się jeszcze solidniejszy, a w końcu uniósł się nad powierzchnię stojącej wody.

Szybko rzuciła okiem za siebie - psy sobie nie radziły. Ich łapy ślizgały się i zapadały w zagłębienia w plecionce, czasami w nich więzły. Im dalej się zapuszczały, tym trudniej im było na plecionce z gałęzi, patyków i pnączy. Kahlan wkrótce tak je wyprzedziła, że przesłoniły je opary i mgły.

Kładka zrobi ła się mocna i twarda. Miejscami pojawia ły się nawet poręcze z grubych gałęzi. Potem i one stały się solidniejsze.

Kahlan poczuła ulgę. Zbliżała się do jakiegoś zamieszkanego miejsca. Była przekonana, że znajdzie tam ratunek - przemawia ła za tym porządnie zbudowana kładka.

## Rozdział 79

Kahlan zdumiała się zamkniętą, oświetloną świecami tunel. Grząskie fragmenty ścieżki, początkowo utwardzone roślinną plecionką, zmieniły się w jednolitą matę, a ta z kolei w drogę na grobli biegnącej nad powierzchnią wody. Roślinność stopniowo zamykała się nad ścieżką. Podłoga, ściany i sufit tunelu miały taką samą konstrukcję - zrobiono je ze splecionych gałęzi, patyków, pnączy i traw. Kahlan jeszcze nigdy nie widziała czegoś takiego jak ta zdumiewająco dobrze skonstruowana i solidna budowla.

Nie wiedziała, kto umieścił tu te wszystkie świece, by witały przybyszów, lecz była za to wdzięczna. Wreszcie ochroni ją przed psami, które od tak dawna ją ścigały. W końcu uzyska pomoc i wróci do pałacu i do Richarda.

Kahlan aż za dobrze pamiętała przepowiednię. „Mroczne stwory prześladowające cię i tropiące. Nie uciekniesz przed nimi... rozszarpują twoje ciało... a ty krzykniesz... sama jedna i nie ma nikogo, kto by ci pomógł”.

Teraz znalazła miejsce, gdzie z pewnością będą ludzie, i wreszcie ośmieliła się pomyśleć, że zadała kłam prorocztwu. Wkrótce będzie bezpieczna i wreszcie odpocznie.

Ta myśl sprawiała, że oczy się jej same zamykały.

Kiedy weszła w głąb tunelu, pozbyła się panicznego strachu, który tak długo zmuszał ją do największego wysiłku. Teraz, kiedy przerażenie zniknęło, czuła, że i siły ją opuszczają.

W ostatnich dniach nie jadła zbyt dużo ani nie spała długo. Teraz to i gorączka dawały o sobie znać. Kahlan z trudem szła, lecz wiedziała, że nie może się zatrzymać.

Jeszcze nie jest bezpieczna. Nie będzie, póki nie uzyska pomocy.

Coraz trudniej było jej nie zamykać oczu, stawiać kolejne kroki. Nogi były tak ciężkie, że ledwie mogła je unieść. Wkrótce była w stanie tylko przesuwając stopy.

Kahlan przechodziła przez pomieszczenia, w których z sufitu zwieszały się setki rzemyków, a do każdej przywieszano jakiś przedmiot - od monet po szczątki małych zwierząt. Nie mogła pojąć, po co to wszystko, i musiała wstrzymać oddech, tak tam cuchnęło.

Potem szła siecią korytarzy i pomieszczeń, a świece oświetlały drogę.

Zatrzymała się. Miała wrażenie, że słyszy szept.

- Matko Spowiedniczo...

Tym razem była pewna. Rozejrza ła się po komorze i zerknęła w ciemne boczne korytarze, ale nikogo nie zobaczyła.

Kiedy usłyszała te słowa trzeci raz, nasłuchiwała uważniej i zorientowała się, skąd dochodzi szept. Zdawa ło się jej, że z bocznej ściany. Poszła w tę stronę i wtedy zobaczyła, że w ścianie ktoś jest. Był nagi.

Kahlan uświadomiła sobie, że go poznaje. To był Henrik, chłopiec z targowiska.

- Matko Spowiedniczo...

Kahlan wpatrywała się w chłopca wielkimi oczami.

- Co tu robisz, Henriku?

- Wepchnęły mnie tutaj. Pomóż mi, proszę.

Kahlan wyciągnęła nóż i zaczęła ciąć oplatające go i wiążące gałęzie i pnącza.

Kiedy je odciągała, kolce kłuły ją w palce. Cofnęła się, przytknęła palec do warg, ssąc bolesne ukłucie. Widziała krew sączącą się z nakłuc na ciele Henrika.

Natychmiast wróci ła do rozcinania sieci wiążącej chłopca. Łzy spływały mu po policzkach.

- Dziękuję, dziękuję - mamrotał, łkając. - Przepraszam za to, co zrobi łem, Matko Spowiedniczo.

- A co zrobi łeś? - spytała, żeby zapomniał o bólu zadawanym przez kolce, i odcinała gałęzie i pnącza.

- Podrapałem cię. Nie miałem zamiaru, nie chciałem. Nie mogłem się powstrzymać. Ja...

- W porządku - powiedzia ła, ostrożnie przecinając ostatnią przytrzymującą go kolczastą gałąź. Pochyliła się, szukając odpowiedniego punktu, żeby ją uchwycić i odciągnąć, nie czyniąc mu krzywdy. - W porządku. Ciiiiii.

Rany od kolców na piersi, rękach i nogach, choć bez wątpienia bolesne, na pewno nie zagrażały życiu.

- Uciekaj - powiedział słabym głosem.

Kahlan popatrzyła na niego, marszcząc brwi.

- Kto ci to zrobił? Co tu się dzieje?

- Uciekaj - powtórzył. - Zmykaj, zanim i ciebie dopadną.

Uniosła mu rękę, zarzuciła sobie na ramiona i wyciągnęła go.

Skrzywił się, kiedy kolce wysuwały się z jego pleców. Niektóre miały zadziory i stawiały opór. Kiedy w końcu go wydostała, posadziła go na podłodze i wyjęła z plecaka zapasową koszulę.

- Musisz uciekać - powiedział znowu, kiedy go nią owijała.

- Nie mogę - odparła Kahlan. - Przypędziła mnie tu sfora dzikich psów. Je śli ucieknę, to mnie dopadną.

Otworzył szeroko buzię.

- Psy cię tu przypędziły? - A kiedy potaknęła, dodał: - Mnie też. Ale tu jest gorzej.

Musisz uciekać.

Zanim Kahlan zdążyła zapytać, o co chodzi, Henrik się odwrócił i pognął drogą, którą ona tu przyszła.

- Uciekaj! - wrzasnął w pędzie.

Kahlan stała, patrząc, jak chłopiec znika w tunelach. Nie mogła uciekać. Tam były psy. Poza tym już nie miała siły. Nie wiedziała nawet, jak długo utrzyma się na nogach.

Wtedy kobieta w pelerynie z kapturem wsunęła rękę pod ramię Kahlan, która wcale nie zauważyła, jak tamta podeszła od tyłu.

- Tędy - powiedziała kobieta cichym, piskliwym głosem, przeciągając zgłoski.

- Kim jesteś? - spytała Kahlan i był to dla niej niemal zbyt wielki wysiłek.

Przy drugim boku Kahlan pojawiła się kolejna postać i wsunęła rękę pod jej drugie ramię. Podobnie jak pierwsza kobieta, była w pelerynie z kapturem. Wspólnie podparły Kahlan i zaczęły ją prowadzić ku ciemniejszej izbie.

Obie otaczała dziwna, niebieskawa poświata, niczym duchy. Kahlan przemknęło przez myśl, że może umarła i oto witają ją w zaświatach. Lecz ta myśl prędko się rozwiała. Chociaż było to osobliwe miejsce, z pewnością nie były to zaświaty.

Nie bardzo wiedziała, co się dzieje, lecz po rozpaczliwych ostrzeżeniach Henrika miała ochotę uciec, nie miała jednak już na to siły.

- Spodziewaliśmy się ciebie - powiedziała przygarbiona postać po jej prawej stronie i mocniej zacisnęła dłoń na ramieniu Kahlan.

Jaśniejące kobiety wciągnęły ją do większej izby zastawionej butlami, słojami, pojemnikami i najrozmaitszymi małymi pudełkami. Słoje z barwnego szkła upchnięto w ścianach wszędzie, gdzie tylko znaleziono miejsce. Pozostałe - a także gliniane dzbanki - za ściełały podłogę. Z płytkiej misy stojącej pośrodku izby unosiły się smużki gryzącego dymu.

Kiedy Kahlan tak wleczono na środek izby, oderwała wzrok od dziwacznej zbieraniny najrozmaitszych pojemników i znalazła się oko w oko z niską kobietą, która akurat wstawiała.

W przytłumionym świetle trudno było zobaczyć coś więcej niż chłopięcą figurę i długie do ramion włosy.

A potem kobieta się ku niej pochyliła i posłała Kahlan szeroki uśmiech niemal całkiem ściśle zszytymi wargami.

Kahlan znieruchomiła, widząc zło czające się w tym uśmiechu i w czarnych oczach.

Kobieta z zaszytymi ustami wydała niskie, przeciągłe, skrzeczące dźwięki w kierunku jednej ze lśniących postaci, które najwyraźniej wychynęły ze ścian. Wszystkie zgromadziły się w pobliżu. Było ich sześć, wliczając te dwie, które trzymały Kahlan.

Zakapturzona postać, do której przemówiła w dziwnym języku kobieta, skłoniła głowę.

- Natychmiast się tam udam, pani, i powiadomię go, że ją mamy i że wkrótce dołączy do żywych trupów.

## Rozdział 80

Kahlan powtórzyła sobie w myślach te słowa, nie bardzo wiedząc, czy dobrze usłyszała.

„Wkrótce dołączy do żywych trupów”.

Postać niczym dym przeniknęła przez ściany. Kiedy Kahlan się tak przyglądała, po raz pierwszy zauważyła w ścianach innych wplecionych w nie ludzi - tak jak Henrik.

Niektórzy byli blisko powierzchni ściany, inni wciśnięci tak głęboko, że ledwo ich widziała. Nikt nie miał na sobie ubrania. Wielu z pewnością już nie żyło.

Mała kobieta, z ustami zaszytymi rzemykami, odwróciła się i wrzuciła garść jakiegoś pyłu do płytkiej misy, w której tliły się patyczki. Pojawiły się spirale migotliwego blasku. W izbie stłoczyły się kolejne groteskowe postacie, tylko częściowo widoczne.

Jakby się uczestniczyło w zgromadzeniu duchów, tyle że nie wyglądały na duchy ludzi. Były to niezgrabne, wysokie i chude, człekokształtne stwory. Ich długie ramiona i nogi miały duże, gruzłowate stawy. Skóra, tak ciasno opinająca chude członki, jakby były zupełnie pozbawione mięśni, połyskiwała lepкими plamami rozkładu. Upiorne głowy niemal nie przypominały ludzkich. Na widok Kahlan zaczęły warczeć, a uniesione wargi odsłoniły szerokie paszcze pełne spiczastych, ostrych jak igły zębów.

Kobieta z zaszytymi ustami wyciągnęła brudną, poczerniałą rękę i chwyciła Kahlan za nadgarstek.

Natychmiast przeszył ją paralizujący ból. Było to coś więcej niż zwyczajny ból.

Dotyk wywoływał również poczucie bezdennej, przytłaczającej rozpacz. Jakby dotknęła cię śmierć.

Jaśniejące, zakapturzone postacie w pelerynach stłoczyły się wokół niej i Kahlan w końcu wyraźnie zobaczyła ich przerażające oblicza. Jakby się patrzyło na rozkładające się zwłoki. Powykręcane ręce szarpały jej ubranie i zrozumiała, że musi coś zrobić, i to szybko. Nie mogła pozwolić, żeby zrealizowały swoje zamiary, jakiegokolwiek one były.

Kobieta o zaszytych ustach dotykała Kahlan.



To jej wystarczało. Aż nadto.

Świat niemal się zatrzymał. Czas należał do Kahlan. Zapomniała o wyczerpaniu, strachu, bólu, chorobie, nieszczęściu i rozpacz.

Miłosierdzie nie istniało.

Chwila należała do niej.

I w samym rdzeniu swej istoty, gdzie tkwi ła wrodzona moc Spowiedniczki, Kahlan usunęła powstrzymujące ją bariery.

Powietrzem wstrząsnął bezgłośny grzmot.

Od jego mocy zatrzęsa się cała budowla.

Ludzie w ścianach krzyczeli, trzęsąc się gwałtownie, ich nogi i ręce dygotały, na ile pozwalały na to cierniste ściany. Ich wrzaski rozdzierały powietrze.

Kiedy wszystko w końcu się uspokoiło, kobieta z zaszytymi ustami tylko się uśmiechnęła.

Moc Kahlan na nią nie podziałała.

A działała na każdego. Przynajmniej na każdego człowieka. Nie miała wpływu na pewne magiczne istoty, na osoby, które nosiły w sobie pierwiastek magii lub były odmienne.

Kahlan przypomniały się słowa Nicci, że nie mają żadnej obrony przed Zaszytą Służką. A więc to mogła być jedynie Zaszyta Służka.

Wężłaste paluchy znowu szarpały jej ubranie.

Kahlan nie mogła stawiać oporu, walczyć. Była słaba i chora, a na dodatek zużyła właśnie resztki sił na uwolnienie mocy.

Powykręcane ręce ciągnęły jej odzienie. Wychudzone stwory warczały, otwierając paszcze pełne kłów. Kahlan stała tylko dlatego, że przytrzymywała ją te wszystkie ręce, szarpiące, ciągnące, naciskające.

Kiedy ją rozbierały, Zaszyta Służka zajęła się słojami i butlami, otwierając rozmaite pojemniki, dodając coś do ognia tłącego się w szerokiej, spłaszczonej misie pośrodku izby. Kiedy w górę leciały iskry, cienkim patykiem rysowała symbole na stojących z boku tacach z popiołem.

Kahlan czuła łzy spływające jej po policzkach i skapujące z twarzy, kiedy ją ciągnęły jarzące się postacie. Diaboliczne, chude stwory syczały na nią i warczały.

Zdawało się jej, że złe duchy prowadzą ją w otchłanie zaświatów.

Z pomocą warczących stworów oplatano ją ciernistymi pnączami.

Owijano nimi kostki i nadgarstki Kahlan, mocując końce do ściany za nią, ciasno je przywiązując.

Z trudem zachowywała świadomość, a wokół niej tańczyły, śmiejąc się i podskakując, stwory z pnączami i ciernistymi gałęziami, dodając je do plecionki ściany.

Krzyknęła z bólu, kiedy się zorientowała, że niektóre stwory gryzą ją w brzuch.

Czuła wbijające się w ciało ich ostre jak igły zęby. Krzyknęła także z rozpacz i żalu na myśl o tym, że już nigdy nie zobaczy Richarda.

Patrzyła ze zgrozą, jak jarzące się postacie przyciskają do jej brzucha misę, zbierając sączącą się krew.

Kahlan nie mogła nic zrobić, żeby położyć kres temu szaleństwu. Przy każdym ruchu kolce głębiej wbijały się jej w ciało.

Jarzące się postacie i tańczące wokół izby chude stwory śmiały się i paplały w dziwnej, skrzekliwej i klekotliwej mowie.

Te, które już zebrały krew sączącą się z ukąszeń, zanosły misy Zaszytej Służce.

Kobieta piła chciwie. Stwory tańczyły wokół niej, machając rękami i wysoko podnosząc nogi. Izba pulsowała tupotem ich bosych stóp o plecionkę podłogi.

Krew Kahlan spływała po brodzie niskiej kobiety, skapywała gęstymi strużkami.

Tam, gdzie upadła na podłogę, wyłaziły karaluchy i ucztowały wraz z Zaszytą Służką.

Litościwy mrok odgradził Kahlan od szalejącego wokół niej koszmaru.

## Rozdział 81

Richard stał, wpatrując się przez delikatną mżawkę w wejście do tunelu z ciasno splecionych patyków i gałęzi. Pomyślał, że to odrobinę za bardzo zapraszająco wygląda. Cały ten dobrze utrzymany szlak przez bagniska Kharga Trace był zbyt łatwy, zbyt prosty, zbyt wabiący gości.

Zastanawiał się, gdzie w tej pajęczynie czyha pająk.

Wiedział, że Kahlan tędy szła, bo przyszedł po jej śladach. Widział, gdzie spadła z konia i ześliznęła się w dół stromizny. Widział odciski jej butów układające się w zygzakowatą linię, zbaczające z traktu w szlam i znów wracające na drogę.

Wyczytał z tych śladów, że Kahlan z trudem trzymała się na nogach. Jakaż była chora i wyczerpana!

Dawno by ją dogonił, gdyby nie stracił konia. To się stało po zmroku - wielki dzik wypadł z zarośli. To nie była pora rui, ale dziki potrafią być agresywne w każdym czasie, a ten z pewnością był rozjuszony. Zaatakował konia. Kiedy wierzchowiec się przewrócił, ostre jak brzytwa fajki dzika rozpłatały mu brzuch. Richard przeszył dzika mieczem, ale było już za późno. Nie miał wyjścia, jak położyć kres mękom konia. Nie mógł już pomóc biedakowi.

Resztę trasy gonił za Kahlan pieszo. Rozważał przerwanie poszukiwań, by zdobyć innego konia, lecz nie znał tych terenów, toteż bał się, że straciłby na to zbyt wiele czasu, i dlatego zrezygnował.

Kahlan była chora i słaba, więc nie podróżowała szybko, przez co niezbyt się przed niego wysforowała. Lecz przemieszczała się na tyle prędko, że nie mógł jej dogonić na piechotę.

Kiedy Richard tak stał u wejścia do tunelu, usłyszał, że ktoś ku niemu biegnie.

Odgłos kroków świadczył, że to mała osoba.

Po chwili wypadł stamtąd chłopiec.

Ubrany w koszulę Kahlan.

Richard przyklękł i chwycił chłopca w pasie, zanim zdążył uciec.

Malec płonął z gorączki.

- Henrik?

Płaczący ze strachu chłopiec przestał się szarpać i zamrugał.

- Lord Rahl?

- Co ty tu robisz?

Chłopcu zatrzęsła się broda, z oczu znowu polały się łzy.

- Złapała mnie Zaszyta Służka, Jit. Wepchnęła mnie w ścianę, do innych...

- Wolniej. Jak to: wepchnęła cię w ścianę?

Richard widział, że chłopiec ma krwawiące rany na rękach i nogach. Na koszuli też widniały krwawe cętki.

- Familiantki Jit ga łąziami i pnączami umocowały mnie w ścianie. Pełno tam kolców.

- Henrik wskazał tunel. - Przyszła Matka Spowiedniczka i uratowała mnie.

Wydostała. Powiedziałem jej, żeby uciekała, ale chyba ją dopadły.

Richard gorączkowo starał się zrozumieć, co się dzieje, i postanowił, co powinien zrobić. Musiał tam wejść i pomóc Kahlan, lecz wiedział również, że Zaszyta Służka czyha na każdego, kto zapędzi się do jej kryjówki. Nie pomoże Kahlan, jeżeli i jego pochwyca.

Chwycił Henrika za ramiona.

- Zrobisz coś dla mnie?

Chłopiec wytarł nos wierzchem dłoni.

- A co?

- Powinni tu nadjechać pewni ludzie. Chcę, żebyś do nich poszedł i powiedział...

- Ale psy mnie dopadną!

- Psy?

- Psy mnie tu przygnały. Zjawily się, kiedy mieszkałem z mamą przy pałacu.

Chciały mnie zagryźć, więc uciekłem. Musiałem uciekać. Musiałem. Matka Spowiedniczka powiedziała, że ją też ścigały.

Richard zaczynał rozumieć. Potrząsnął głową.

- Nie, tylko tak ci się wydawało. Nie były prawdziwe. To rodzaj magii, którą posłużyła się Zaszyta Służka, żeby cię tu zwabić. Podrapałeś nas, pamiętasz?

Henrik potaknął.

- Przepraszam, ale nie mogłem się powstrzymać.

- Wiem. Rozumiem. Byłeś wcześniej u Zaszytej Służki, kiedy

zachorowałeś.

Mama cię tu przyprowadzi ła. Sądzę, że Zaszta Służka magicznym sposobem kaza ła ci nas podrapać. Potem tu wróciłeś, prawda? Psy cię przygnały.

Henrik znowu potaknął.

- Tak. Zaszta Służka wyjęła mi naskórek spod paznokci, którymi was podrapałem, i wykorzystała do tej swojej magii. Ale znalaz ła tylko trochę naskórka Matki Spowiedniczki. Z twojego nic nie zostało, kiedy tu dotarłem.

Richard zaczynał widzieć ogólny obraz.

- Słuchaj, nie ścigają cię żadne psy. To tylko sztuczka. Uważam, że ich nie zobaczysz, skoro już tu byłeś. Zaszta Służka już nie ma powodu cię ścigać.

Henrik wyraźnie w to powątpiewał.

- Skoro tak mówisz, lordzie Rahlu.

- Musisz mi uwierzyć. Wiem, że mam rację. A teraz to, co bardzo ważne. Chcę, żebyś wrócił drog ą, którą tu przyszed łeś, i odszuka ł moich przyjació ł. Chcę, żebyś ich tu przyprowadził. Zamierzam tam wejść i wydostać Kahlan. Ale gdy wyjdę, będę potrzebować pomocy moich przyjació ł. Chcę, żebyś im powiedział ł, gdzie jestem, i od razu ich tu przyprowadził. Możesz to zrobić?

- Tak, lordzie Rahlu. Zrobi ę to. Wybaczysz mi to, co zrobi łem tobie i Matce Spowiednicze?

- Oczywiście. To nie twoja wina. Posłużyła się tobą zła osoba. A teraz si ę pospiesz i biegnij. Nie ma chwili do stracenia.

Henrik kiwnął głową i pognął uplecionym chodnikiem.

Richard stał i przyglądał się konstrukcji tunelu.

A potem zaczął się na nią wspinać.

## Rozdział 82

Richard, przykucnąwszy, przesuwiał się po szczycie konstrukcji wykonanej z roślinnej plecionki. Na szczęście była na tyle solidna, że nie ugiwała się pod jego ciężarem i nie skrzypiała, kiedy się przemieszczał. Mżawka jednak sprawiała, że było ślisko. Mech i pleśń były miejscami niczym lód. Na szczycie szorstka kora i nierówności dawały butom jaką taką przyczepność.

Pleciona konstrukcja była zadziwiająco obszerna, poszczególne części i odnogi sterczały na wszystkie strony w bagnisko. Musiał się domyślić, gdzie w tym labiryncie izb i korytarzy znajduje się Kahlan. I trafić za pierwszym razem. Wątpił, czy będzie miał drugą szansę ją stamtąd wydostać, kiedy już zacznie działać.

Wszędzie wokół w mętnej wodzie rosły drzewa o gładkiej korze, podpierając się na płataninie grubych korzeni. Z rozłożystych konarów zwieszały się festony szarozielonego mchu. Wodę pokrywała miejscami gruba warstwa rzesy, przez co wyglądała jak łąka. Richard wiedział, że pod spodem, w mrocznych głębinach, na nieostrożnych czekają rozmaite stwory.

Pleciona konstrukcja była gdzieś przymocowana do potężnych drzew, co przydawało jej stabilności. Z drzew zwisało tyle grubych, sztywnych pni, że niekiedy Richardowi trudno było się przedostać. W innych miejscach musiał się pochylać pod niskimi gałęziami, a w jeszcze innych odgarniać gęste zasłony mchu.

Wolałby iść szybciej, lecz przemieszczając się po śliskim szczycie budowli, musiał robić jak najmniej hałasu, żeby nikogo w środku nie zaalarmować.

Na bagnisku, nad ciemnymi rozlewiskami, niosły się przenikliwe głosy zwierząt.

Kiedy Richard wyrzwał za pochyłą ścianę i zobaczył cienie przesuwające się pod powierzchnią mętnej wody, napomniał się, że powinien być ostrożny. Gdyby się nie zabił, spadając, uśmierciłoby go coś innego. Tu i tam na korzeniach stały długonogie białe czaple, czekając na nieostrożną rybę. Na czaple z kolei polowały podwodne stwory. Niekiedy musiał omijać jadowite węże w żółto-czerwone pasy, leżące na gałęzi tarasującej mu drogę.

Richard znieruchomia ł, nasłuchując. Wydało mu się, że w przerwie pomi ędzy pohukiwaniami, świergotem i krzykami zwierząt usłyszał monotony zaśpiew.

Przykucnął, podpierając się dłonią, pochylił się i nasłuchiwał. Chociaż nie rozpoznawał słów, nie miał wątpliwości, że to krzyki i śpiew. Trudno było się zorientować, skąd właściwie dobiegają. Dziwne dźwięki nie przypominały niczego, co kiedykolwiek słyszał.

Kiedy jeszcze bardziej się schylił, zaglądając pod delikatne kotary mchu, dostrzegł coś, co wygl ądało jak smugi mgły. Pomyślał, że to może być dym. Wydostał się z za zielonej zasłony, żeby lepiej widzieć, i stwierdził, że to z pewnością dym. Nie buchał kłębami jak z ogniska, lecz unosi ł się delikatnymi bia ławymi smużkami, jak przy tajemnych obrzędach.

Kiedy Richard znalazł się bliżej, poczuł gryzącą woń zmieszana z odorem rozkładających się ciał.

Dotarł do rozległej powierzchni, skąd wydobywał się dym, ale nie było tam komina. Smużki przenikały przez plecionkę. Richard dokładnie pod sobą słyszał teraz szaleńczy zaśpiew, tupanie i harmider.

Powoli, ostro znie, najciszej, jak si ę dało, dobył miecza. Nie sądził, żeby na dole go usłyszano przez ten hałas, ale wolał nie ryzykować. Ostrze z cichym sykiem wysunęło się z pochwy.

Uznał - na podstawie tego, co już wiedział - że na dole nie może się dziać nic dobrego. Henrika, wysłanego, żeby zdobył naskórek jego i Kahlan, ściągnięto tu z powrotem; uciekający chłopiec był zakrwawiony. Także Kahlan - za pomoc ą jakichś tajemnych magicznych obrzędów odprawionych dzięki naskórkowi dostarczonemu Zaszytej Służce przez Henrika - zmuszono, żeby tutaj przyszła.

Richard nie miał złudzeń: to będzie walka na śmierć i życie.

Szalała w nim furia miecza, łącząc się z jego gniewem wywołanym uwięzieniem Kahlan. Nawet nie miał pewności, czy ona żyje. Z trudem kontrolował buzującą w nim wściekłość, koncentrując się na tym, co musi zrobić.

Richard aż za dobrze pamiętał, jak Nicci ostrzegła przed Zaszytymi Służkami.

Mówiła, że nie ma żadnej obrony przed ich mocą. To oznaczało, że miecz na nic mu si ę nie przyda. Doświadczył już czegoś takiego, więc poważnie

traktował ostrzeżenia Nicci.

Lecz teraz nie za wiele mógł działać. Nie miał wyboru ani czasu, żeby sprowadzić pomoc. Musiał przejść do czynów.

Przestrogi Nicci nie oznacza ły jednak, że miecz nie przyda się na innych, których słyszał na dole.

Zaskoczenie, szybkość, gwałtowność działania - to jego jedyna szansa.

Richard przeciągnął ostrzem po wewnętrznej stronie ramienia, pozwalając mu posmakować krwi. Szkarłatna kropla spłynęła z boczem i skapnęła z czubka.

Uniósł zakrwawiony miecz i dotknął nim czoła.

- Nie zawieźdź mnie - wyszeptał.

Wiedział, że musi być szybki. Wkładając w to wszystkie si ły i całą furię, uniósł miecz nad głowę, znieruchomiał na moment, a potem opuścił ostrze między szeroko rozstawionymi nogami, przecinając konstrukcję.

Ciężkie powietrze bagnisk rozdarł trzask rozstępującej się grubej plecionki.

Richard przycisną ął pięści do piersi, ustawiając miecz pionowo, złączył nogi i opad ł w wyrębany otwór.

Wylądował w samym środku obłądnego wiru.



## Rozdział 83

Wylądował na ugiętych nogach. Jaśniejące, zakapturzone postaci trzymały się z boku, a stwory rodem z koszmaru tańczyły wokół izby, wysoko unosząc nogi, uderzając kościstymi stopami o plecionkę. Cała izba aż dudniła. Głowy odrzucone w tył, obnażone ostre jak igły zęby - stwory skandowały dziwne gardłowe dźwięki w rytm przytupujących stóp.

Owe dźwięki sprawiły, że Richardowi zjeżyły się włoski na karku. Na ten widok jeszcze mocniej zacisnął w dłoniach miecz.

W powietrzu wisiał drażniący dym. Ostra woń świeżej krwi tłumiła nawet odór śmierci.

Mała kobieta po środku izby, zdumiona pojawieniem się intruza, wpatrzyła się w niego wielkimi, czarnymi oczami.

Usta miała zszyte rzemykami.

Poczerniałe dłonie i paznokcie pokrywały niezliczone warstwy brudu. Na twarzy miała ciemną patynę szarej sadzy. Jej broda po łyskiwała świeżą, jaskrawoczerwoną krwią. Zobaczył, że krew chlupocze w misie, którą trzyma.

W samym środku tego zamętu mogła tkwić jedynie Zaszyta Służka.

A potem, po drugiej stronie izby, gdzie zbiła się grupka jaśniejących postaci, Richard dostrzegł Kahlan. Wydawało mu się, że tkwi pod powierzchnią ciernistej ściany. Mocujące ją gałęzie i pnącza utrzymywały ją w pionie, lecz zwisała bezwładnie, jakby była nieprzytomna.

Biegnąc ku Kahlan, Richard uderzył kobietę w pierś nasadą dłoni, usuwając ją z drogi. Po ostrzeżeniach Nicci wołał nie używać miecza przeciwko Zaszytej Służce.

Jaśniejące postaci odwróciły się ku niemu. Ich ohydne żółtawe ślepie płonęły nieokiełznaną nienawiścią. Widoczne spod jarzących się, niebieskawych kapturów pomarszczone, dziobate twarze, pokryte brodawkami i otwartymi wrzodami, wykrzywił grymas gniewu, kiedy wściekle zawyły. Wszystkie wyciągnęły ku Richardowi powykęcane, sękaty dłonie.

On zamachnął się mieczem i czubek klingi ze świstem przeciął powietrze.

Jaśniejące postaci znikwały, kiedy przechodziło przez nie ostrze, i zaraz pojawiały się na nowo.

Lecz Richard prawie tego nie zauważył. Całą uwagę skupił na Kahlan. Była zakrwawiona. Widział ślady ukąszeń na brzuchu, rzędy mniejszych nakłuć na ramionach i szyi. Z powodu sączącej się krwi początkowo nawet nie było widać, że jest naga. Straciła przytomność.

Richard, widząc, co jej zrobili, oszalał z wściekłości i ciął mieczem wszystko wokół. Skandujące chude stwory wyszczerzyły kły, kłapały nimi na Richarda.

Przerwały taniec i zaatakowały, próbując go złapać.

Miecz opadał, miażdżąc kości, odrąbując kończyny, rozplątywał czaszki. Po izbie śmigwały odcięte dłonie i ramiona, głowy i ostre, spiczaste zęby. Ale chociaż Richard masakrował mieczem upiorne stwory, to atakowały go coraz liczniej. Szponiastymi łapami orały ciało Richarda.

Walczył jeszcze zązarciej, nie ustawał. Miecz powalał każdego, kto się zbliżył.

Odcięte członki i bezgłowe ciała leżały u stóp Richarda. Kiedy wrąbał się w nadciągające szeregi stworów, rozcinał mieczem także ściany, tłukąc słoje i dzbany. W powietrzu fruwały odłamki szkła, kawałki patyków i pnący wyszarpane z konstrukcji.

Lecz miecz nie zmniejszał liczebności kościstych stworów biegających i tańczących po izbie, bo roily się niczym mrówki, wybiegały z ciemnych korytarzy po bokach i na tyłach pomieszczenia.

Nadbiegły jaśniejące postaci i szarpały koszulę na Richardzie. Na koniec chwyciły go za ręce. Uległ ich liczebnej przewadze. Miecz przestał być groźny, więc nadciągnęły też wychudzone stwory, wysuwając ku niemu szeroko otwarte paszcze, pełne groźnych, ostrych ząbków. Rzuciły się na niego i kąsały.

Sięgnął, starając się złapać jedną z jaśniejących postaci za gardło, ale ta tylko zaniósła się śmiechem i rozwiła w dym, po czym zmaterializowała się tuż przy Richardzie, wciąż trzymając go za przegub. Szeroko rozdziawiła szczęki, ukazując kły, i nagle się na niego rzuciła. Richard się uchylił i szczęki kłapnęły, łapiąc tylko powietrze.

Szalonym wysiłkiem wyrwał się przytrzymującym go dłoniom. Nagle znalazła się przed nim Jit. Cisnęła na niego garść czegoś, co wyglądało jak

czarny pył.

Jakby dostał w twarz metalową sztabą. Upadł na ziemię, miecz wysunął mu się z ręki. Kościste paluchy odciągnęły broń na bok.

Powykręcane, szponiaste dłonie znowu się wyciągnęły ku Richardowi, złapały go i przycisnęły do podłogi. Ostre ząbki szarpały na nim koszulę, zdzierały ją kawałek po kawałku. Stłoczyło się jeszcze więcej wychudzonych stworów, kąsając go w pierś i brzuch.

Richard ledwie mógł poruszać rękami i nogami. Kręciło mu się w głowie, obraz rozmazywał się przed oczami.

Jit powiedziała coś w dziwnej, skrzekliwej mowie. Ręce go podniosły i rzuciły nim o ścianę obok oplątanej ciernistymi pnączami Kahlan. Usiłował do niej zawołać, ale nie mógł wydobyć głosu. Uświadomił sobie, że z trudem oddycha. Pył, który cisnęła na niego Jit, palił mu płuca.

Czuł ostre, bolesne ukłucia, kiedy wbijały mu się w ciało kolce pnączy, którymi stwory owijały mu nogi, uniemożliwiając wszelki ruch. Zamierzała zamknąć go w ścianie - jak Kahlan, jak wielu innych, których widział w ścianach izby.

Kiedy jeden z upiornych stworów, o skórze pokrytej zielonkawo-czarną, połyskliwą mazią, zatopił ostre kły w brzuchu Richarda, drugi stwór podstawił misę, żeby zebrać krew. Kiedy zgromadziła się odpowiednia ilość, podbiegł do Jit.

Zaszyta Służka, trzymając misę w upapranych dłoniach, łapczywie piła. Miała z tym kłopoty, bo rzemyki, niemal ściśle zszywające wargi, nie pozwalały szerzej otworzyć ust. Krew spływała jej po twarzy i skapywała z brody.

Wychudzone stwory wyglądały jak sługi samego Opiekuna. Towarzysząc Jit, poruszały się na ugiętych kolanach, wysoko podnosząc nogi. Tłoczyły się wokół niej jak wierne pieski. Z podłogi wylazły karaluchy i piły krew Richarda skapującą z brody Zaszytej Służki.

Jit odezwała się w swojej dziwnej mowie.

Jedna z jaśniejszych postaci w pelerynie z kapturem zbliżyła się do Richarda i wycelowała palec w jego twarz.

- Mówi, że ty też, podobnie jak Matka Spowiedniczka, będziesz wkrótce żywym trupem.

Richard przypomniał sobie, co powiedział mu żołnierz na płaskowyżu.

Mówił, że po Mrocznych Ziemiach chodzą trupy. Teraz Richard już wiedział, że to nie zabobony.

Zastanawiał się, dlaczego Jit zaszyto usta.

## Rozdział 84

Domyślił się.

Zrozumiał ostatnią wiadomość Reguli.

Nie wiedział jedynie, co mu z tego przyjdzie.

Dolną część torsu Richarda oplatały cierniste pnącza, za to ręce miał wolne i zaczynał odzyskiwać siłę. Wyciągnął się ku Kahlan i dotknął jej twarzy, mając nadzieję, że dziewczyna wyczuje, iż jest przy niej. Była nieprzytomna i nie zareagowała. Musi coś zrobić. I to szybko.

Stwory tańczące i hasające po izbie wśród potrzaskanych kości i kończyn swoich towarzyszy, z rozbawieniem patrzyły na czułość, jaką okazywał Kahlan. Drwiły z niego, małpując jego gesty, upajały się świadomością tego, co się z nimi stanie.

Jit wróciła do swoich zajęć - dodawała szczyptę zawartości to z tego, to z innego słoja do ognia tłącego się w płytkiej misie pośrodku izby. Od czasu do czasu brała smukły kijek przybrany l śniącymi zielonymi piórami, skórąmi w ęży i błyszczącymi monetami i rysowała zaklęcia w popiele na płaskich tacach.

Upiorne kształty unosiły się z ognia, kiedy wymawiała kluczowe słowa niskimi, gardłowymi, chrypliwymi i klikającymi dźwiękami. Każde pasmo dymu zestalało się w zdeformowane postaci wyglądające, jakby wychynęły z najmroczniejszych czeluści zaświatów.

Kiedy Jit robiła swoje, a dowodzący stwory z niego drwiły, Richard ukradkiem odrywał kawałeczki swojej podartej koszuli i mocno rolował w palcach.

Kiedy już miał dwa takie zwitki, odpowiednich rozmiarów, wychylił się ku Kahlan i demonstracyjnie gładził jej twarz. Kolce jeszcze głębiej wbiły mu się w nogi. Nie miał wyboru, musiał to znieść. Słyszał za sobą złośliwy rechot stworów przyglądających mu się i czekających, aż Jit skończy.

Lewą dłonią - żeby móc zasłonić twarz Kahlan i ukryć to, co robi - Richard wetknął płócienny zwitek w jej ucho. Mocno. Natychmiast zrobił to samo z drugim uchem.

Szpony chwyciły go za lewy przegub i odciągnęły mu rękę. Inne owinęły mu dłoń ciernistym pnączem i przywiązały do ściany. Jeszcze inne stwory

przepasa ły go kawałkiem kolczastej łodygi. Tych żywych trupów było zbyt dużo, żeby Richard mógł im stawić opór.

Wolną ręką, najszybciej jak mógł, wepchnął sobie do uszu kolejne zwitki płótna z koszuli.

Przypomniął sobie, co powiedziała machina.

„Twoja jedyna szansa to uwolnić prawdę”.

Musiał zrobić coś, czego Zaszyta Służka się nie spodziewała. Kiedy Jit się ku niemu odwróciła, uśmiechnął się do niej szeroko.

Wszystkie stwory się cofnęły, mamrotaniem kwitując jego dziwne zachowanie.

Przerazało je to, co nieoczekiwane.

Richard znowu posłał Zaszytej Służce uśmiech, dając jej znać, że wie coś, o czym ona nie ma pojęcia.

Istotnie, znał prawdę.

Zasepiona Zaszyta Służka popatrzyła na niego ze złością.

Musiał ją przywabić bliżej.

- Złapałaś mnie - powiedział ły z szerokim uśmiechem. - Puść Kahlan, a zrobi ę, co zechcesz.

Jedna z jarzących się postaci, ta, której brakowało dłoni, szturchnęła go palcem.

- Niepotrzebne nam twoje współdziałanie.

- Ależ potrzebne, potrzebne - powiedział z przekonaniem, uśmiechając się do Zaszytej Służki. - Powinniście poznać prawdę.

Zakapturzona postać zmarszczyła brwi.

- Prawdę?

Odwróciła się i przemówiła do Jit w jej dziwacznej mowie. Zaszyta Służka popatrzyła chmurnie na towarzyszkę, a potem podeszła do Richarda. By ły o wiele od niej wyższy, ale się go nie bała.

A powinna.

Jit uśmiechnęła się uśmiechem tak wrednym, jakiego Richard w życiu nie widział.

Jej wargi rozchyliły się na tyle, na ile pozwalały zespalające je rzemyki.

Richard wolną ręką wysunął nóż z pochwy u pasa. Dobrze było czuć w dłoni ostrze. Oznaczało ratunek. Było bezlitosne jak prawda.

Zaszyta Służka nie bała się noża Richarda i nie bez powodu.

W końcu jego miecz okazał się wobec niej bezsilny.

Richard wiedział, że próba skaleczenia Jit nożem byłaby nie tylko daremna, ale i stanowiłaby śmiertelny błąd. Osłaniała ją aura mocy, chroniąc przed ciosami. Dowiodła, że miecz Richarda nie może jej zranić, toteż nie wystraszyła się zwykłego noża.

A powinna.

## Rozdział 85

W mgnieniu oka, zanim Zaszyta Służka zdążyła się zastanowić lub domyślić, co on zamierza, Richard smagnął nożem przed jej twarz ą - starannie unikając zranienia Jit, a nawet samej myśli o tym, żeby nie uruchomić tajemnej osłony. Jeżeli naprawdę i szczerze nie zamierzał jej skrzywdzić, to magiczna osłona nie zareaguje.

Za to z doskonałą precyzją przesunął czubek ostrego jak brzytwa noża pomiędzy rozchylonymi wargami i... przeciął zszywające je rzemyki.

Czarne oczy Zaszytej Służki otwarły się szeroko.

Jej usta też, jak nigdy przedtem.

Szczęki się rozdziawiły. Zdecydowanie nie zależało to od jej woli.

A potem rozległ się wrzask - tak potężny, pełen takiej wrogości i zła, że miało się wrażenie, iż rozdziera samą tkankę świata istot żywych.

Był to krzyk zrodzony w świecie umarłych.

Słoje i butle eksplodowały. Ich zawartość poleciała we wszystkie strony.

Wychudzone stwory osłoniły głowy powykręcanymi rękami.

Roztrzaskane szkło, gliniane skorupy, patyki i pnącza - wszystko zaczęło to krążyć po izbie, to osiadać, jakby unoszone porywami wichru. Potem szczątki uniosły się w powietrze i zaczęły z rosnącą prędkością okrążać izbę. Nawet wychudłe stwory wciągało w tworzący się wir. Machając rękami i nogami, orbitowały bezradnie wokół izby wśród chmur strzaskanego szkła i glinianych skorup oraz niegdyś istniejącej zawartości naczyń.

Wrzask trwał, nie tracąc na sile, zagarniając wszystkie stwory i sterty rupieci.

Postaci w pelerynach z kapturami zasłaniały uszy, krzycząc z bólu i przerażenia.

Nic im to nie pomogło. W miarę jak uwolniony wrzask Jit pustoszył izbę i one zaczynały być wciągane w narastające szalejące tornado dźwięku i szczątków.

Krew płynęła z uszu ludzi uwięzionych w ścianach, gwałtownie się trzęśli.

Wychudzone stwory zaczęły się rozpadać, rozsypywać, jakby były z piachu, kurzu i ziemi. Ręce i nogi odpadały, rozsypywały się w wirze,



mieszały z resztą krążących wokół izby szczątków. Stwory piszczały i wyły. Ich pełne przerażenia krzyki zlewały się z niekończącym się wrzaskiem dobywającym się z Zaszytej Służki.

Jarzące się postaci w pelerynach zaczęły się wydłużać i rozrywać w strumieniach rozżarzonych oparów, kiedy tak bezradnie poddawały się mocy wrzasku Zaszytej Służki.

Zamigotała, zajaśniała błyskawica wciągnięta w wir. Powietrze ryczało i huczało.

Pośrodku tego chaosu stała Zaszyta Służka - z głową odrzuconą w tył, z szeroko rozdziawionymi ustami - i wyrzaskiwała z siebie życie.

Jad tego, kim była, jej zło, plugawość, oddanie śmierci i pogarda dla wszelkiego życia - wylewały się z niej w rozdzierającym krzyku, oznaczającym ostateczny kres tego, co czciła.

Wrzask był ucieleśnieniem śmierci.

Ujawnienie prawdy o jej martwej duszy odbierało Jit życie.

Dostrzegała prawdę swojej obumarłej jaźni. Życia nie dało się pogodzić ze śmiercią, którą w sobie nosiła.

Śmierć zaś nie okazywała jej ani wdzięczności, ani miłosierdzia.

W miarę jak z wi ężenia ucieka ło zło Zaszytej Służki, jej twarz zaczęła się rozpadać. Żyły pękały, mięśnie i skóra się rozrywały - aż ukazały się kości. To wszystko potęgowało jej wrzask.

Ów krzyk, jego moc i jad, wnika ł w Richarda. Nie mógł ł znieść bólu. Każda jego cząstka krzyczała w straszliwej męce. Każde włókienko nerwu wibrowało udręką dźwięku wydobywającego się z Zaszytej Służki.

I jego dotknęła uwolniona śmierć.

Kiedy zaczął tracić świadomość, pojął, że zatyczki do uszu, które zrobi ł dla siebie i Kahlan, nie wystarczały, żeby stawić tamę wrogości, jaką sam uwolnił.

Zawiódł. Zawiódł Kahlan.

Poczuł, jak po policzku sp ływa mu łza żalu za nią, za miłością do niej, a wrzeszczący, ryczący, rozbłyskujący świat powoli pogrążał się w ciszy i mroku.

## Rozdział 86

- Jeżeli przeżyje, to go zabiję - oznajmiła Cara.

Nicci się uśmiechnęła, lecz na myśl, że Richard mógłby umrzeć, na nowo ogarnęła ją panika. Zbyt okropna możliwość, żeby w ogóle brać ją pod uwagę.

Położyła mu rękę na piersi, kiedy zasępieni żołnierze ostrożnie ułożyli nieprzytomnego z tyłu wozu, przy Kahlan.

Krew przesączała się przez koce, którymi ich owinięto. Lecz Nicci wyczuwała bicie serca Richarda, jego oddech. Kahlan na szczęście również żyła. Obydwoje żyli i to było najważniejsze.

- Przeżyje - powiedziała Nicci. - Obydwoje przeżyją, już ja się o to postaram.

Biorąc pod uwagę to, co zastali w izbie, w której ich znaleźli, zadziwiające było to, że obydwójce przetrwali, a tym bardziej że pozostali cali. Okropnie było wyciągać ich z pułapki kolczastych gałęzi i pnączy, którymi ich opleciono.

- Co to takiego? - zapytał Zedd, marszcząc brwi.

Nicci otrząsnęła się z zadumy i wzięła coś od czarodzieja. Wyglądało jak zwitek płótna.

- Nie wiem. Gdzie to znalazłeś?

- W jego uchu - powiedział zdumiony i pokazał palcem. - Spójrz, w drugim uchu też jest.

Wyjął zwitek i pokazał Nicci.

Przechyliła się przez burtę wozu i sprawdziła uszy Kahlan. Też tkwiły w nich zwitki. Nicci je wyjęła i obejrzała. Potem zacisnęła w pięści i uśmiechnęła się.

- Nic dziwnego, że żyją.

- O czym ty mówisz? - spytał Zedd.

- Co wiesz o Zaszytych Służkach?

Zedd wzruszył ramionami.

- Coś tam o nich słyszałem, kiedy byłem chłopcem, ale nie za wiele. Słyszałem też, jak Richard pytał o nie opata, ale tak naprawdę nic o nich nie wiem. A o co chodzi?

Cara sprawiała wrażenie, jakby chciała kogoś uśmiercić, wszystko jedno kogo.

- Też chciałabym się dowiedzieć.

Nicci pokazała ręką w dół pochyłości, na zarośnięte bagniska, gdzie przedtem stała konstrukcja, o której powiedzia ł im Henrik. Gdyby nie on, mogliby nie odnale źć tego miejsca na czas, by uratować Richarda i Kahlan. Doprowadził ich tam, gdzie ich więziono.

Zedd ogniem czarodzieja zniszczył konstrukcję wraz z ca łą zawartością, w tym z trudnymi do rozpoznania krwawymi szczątkami Zaszytej Służki. Nawet patyk na patyku nie pozostał.

- Powiadaj ą, że głos wydawany przez Zaszytą Służkę, jeśli może ona otworzyć szeroko usta, jest głosem samego Opiekuna i że wciąga w zaświaty osobę, która go wydaje, i każdego, kto to słyszy. Niestłumiony wrzask Zaszytej Służki oznacza śmierć nawet dla niej samej, tote ż matki zaszywaj ą im w dzieci ństwie usta, zanim dziewczynki uzyskają pełną siłę głosu.

- A ojciec pozwala matce zaszyć dziecku usta? - zapytała Cara.

Nicci spojrzała na nią.

- Zaszyte Służki, podobnie jak niektóre paj ąki, ulegają, a potem wysysają krew mężczyzny, z którym się złączyły.

- Rozkoszne - szepnęła Cara.

- Skąd to wszystko wiesz? - zainteresował się Zedd.

Nicci, patrząc na czarodzieja, uniosła znacząco brew.

- Byłam kiedyś Siostrą Mroku, pamiętasz? Siostry Mroku służą Opiekunowi zaświatów. Wiele wiemy o świecie umarłych i tych, którzy są mu oddani.

Zedd podrapał się po policzku i zmienił temat:

- Więc twoim zdaniem Richard i Kahlan żyją, bo zatkali sobie uszy tymi zwitkami płótna?

Nicci nachyliła się nad niską burtą wozu i przytknęła dwa palce do głowy Kahlan.

- Sam sprawdź.

Zedd także dotknął dwoma palcami czoła Kahlan.

- Co czujesz? - spytała Nicci, patrząc mu w oczy.

Zedd marszczył brwi.

- Bo ja wiem. Jaki ś... mrok. - Nagle na nią spojrzał. - To samo wyczuwa

łem, kiedy ostatnio próbowałem ją uleczyć.

Nicci potaknęła. Rada była, że czarodziej to rozpoznał. Dzięki temu to, co muszą zrobić, będzie łatwiejsze.

- To dotknięcie śmierci, którą nosi w sobie Zaszyta Służka.

Cara ogromnie się zaniepokoiła.

- Chcesz powiedzieć, że mają w sobie śmierć? Że umrą?

- Nie, jeśli to będzie zależeć ode mnie - stwierdziła Nicci. - Działy na nich nie tylko mroczne czary Zaszytej Służki, ale też przede wszystkim jej wrzask. Poczuli dotknięcie śmierci.

- Ale potrafisz ich uleczyć - powiedziała Cara.

To nie było pytanie, lecz Nicci i tak odpowiedziała:

- Jestem tego pewna, skoro Zaszyta Służka nie żyje i nie ma z nimi więzy. - Wzięła głęboki oddech. - Richard musiał przeciąć rzemyki zszywające wargi Zaszytej Służki.

Na szczęście był na tyle bystry, żeby najpierw zatkać uszy Kahlan i sobie. To nie zapobiegło wniknięciu w nich wrzasku i śmierci, ale bardzo złagodziło skutki.

- Zatem dotknęła ich śmierć z wnętrza Zaszytej Służki - odezwał się Zedd. - I właśnie to wyczuwam w Kahlan?

Nicci potaknęła.

- Obawiam się, że tak.

- Ale potrafisz ich uleczyć - powtórzył Zedd to samo co Cara i nawet takim samym tonem.

- Tak sędzę. Byłam Siostrą Mroku, znam się na takich sprawach, lecz nie mogę działać tutaj. Muszę to zrobić w polu ograniczającym.

- Ogród Życia - poddała natychmiast Cara. - To jest pole ograniczające.

Nicci uśmiechnęła się do niej i dała znak Benjaminowi. Wóz ruszył z szarpnięciem.

- Dlatego chcę ich tam dowieźć najszybciej, jak się da. Razem z Zeddem możemy ich przez jakiś czas utrzymać przy życiu i zagoić rany, ale żeby ich w pełni uleczyć, usunąć z nich dotknięcie śmierci, musimy ich przenieść do Ogrodu Życia. - Wskazała Henrika siedzącego na koźle obok powożącego żołnierza. - I on został dotknięty mocą Zaszytej Służki, jego też trzeba uleczyć, lecz z nim sprawa nie jest tak poważna. Nie słyszał wezwania śmierci.

Kawalerzyści otoczyli wóz toczący się w mroku zalegającym wśród olbrzymich drzew.

Stalowoszare chmury płynęły tak nisko nad ich wierzchołkami, jakby wyprowadzały intruzów poza Mroczne Ziemie.

Cara wszystko sobie przemyślała, lecz nie wyglądała na usatysfakcjonowaną.

- Czemu nie możesz ich uzdrowić teraz? - dopytywała się. - Czemu musisz czekać, aż wrócimy do Ogrodu Życia?

- Dotknęła ich śmierć. Potrzebujemy pola ograniczającego, żeby ich osłoniło, kiedy będziemy robili to, co musimy zrobić. Musimy ich uleczyć, lecz trzeba także usunąć z nich dotknięcie śmierci. Gdybyśmy spróbowali to zrobić tutaj, owo dotknięcie przywołałoby do nich Opiekuna zmarłych i nie przeżyliby. Dlatego musimy poczekać i zrobić to dopiero w polu ograniczającym. W Ogrodzie Życia.

- Och - westchnęła Cara. - Rozumiem.

- W polu ograniczającym jest też wróżebna machina - przypomniał Zedd.

- Masz lepszy pomysł? - spytała Nicci.

- Nie - burknął niepokieszony czarodziej.

- Machina ocaliła im życie - stwierdziła Nicci. - Pamiętasz, co na koniec powiedziała Richardowi? „Twoja jedyna szansa to uwolnić prawdę”. Machina podpowiedziała Richardowi, jak zniszczyć Zaszytą Służkę. Nie potrafiłabym tego zrobić.

Richard się domyślił.

Zedd ściągnął krzaczaste brwi.

- Naprawdę tak uważasz?

Nicci uśmiechnęła się do dwojga leżących na wozie nieprzytomnych ludzi.

- A niby dlaczego zatkał uszy sobie i Kahlan?

Stary czarodziej zaczął się uśmiechać.

- Chłopak zrozumiał. - Nagle znowu się zachmurzył. - A twoim zdaniem czemu machina ocaliła mu życie?

- Czyż to nie oczywiste? - spytała Nicci.

- Oczywiście?

Kiedy tak szli po bokach wozu, Nicci spojrzała z ukosa na czarodzieja.

- Machina go potrzebuje.

- Potrzebuje go - powtórzył smutno Zedd.  
- Żeby wypełnić zadanie - dodała Nicci.  
- Pamiętam - mruknął czarodziej. - Na czymkolwiek ono polega -  
dorzucił cicho.

Nicci położyła dłoń na piersi Richarda, uwalniając kojący strumyczek Magii Addytywnej i dając mu znak, że nie jest sam z szepczącą w nim śmiercią. Zedd zrobił to samo dla Kahlan.

Nicci poczuła, jak Richard głębiej wciąga powietrze. Wiedział, że ona jest przy nim. Chociaż nie mógł odpowiedzieć, w głębi ducha o tym wiedział.

Nicci ośmieliła się odegnać strach. Obydwoje byli wreszcie bezpieczni. To była przerażająca podróż. Wiedząc, dokąd się kieruje Richard, nie spodziewała się zastać go przy życiu. Teraz oboje byli w dobrych rękach i odzyskują siły, gdy tylko wrócą do pałacu, gdzie ona, Zedd i Nathan będą mogli ich uleczyć.

Nicci czuła taką ulgę, że zabrakło jej słów, żeby to wyrazić. Była też zła na Richarda za to, że pojechał do Zaszytej Służki. Ostrzegając go. Mówiła mu, jakie one są groźne. Powiedziała, żeby się trzymał od nich z dala. A on i tak pojechał.

Nicci sądziła jednak, że nie miał wyboru. Musiał ruszyć za Kahlan. Któż jak nie Richard mógłby zakraść się do kryjówki Zaszytej Służki, żeby ocalić ukochaną.

Któż jak nie Richard.

- Milutko wyglądają, leżąc tak obok siebie - wyrwało się przyglądającej się im Carze. Twarz Mord-Sith nagle spurpurowiała. - Nie powtórzysz im tego.

I znowu nie było to pytanie.

Nicci się uśmiechnęła. Po raz pierwszy od wielu dni naprawdę się uśmiechnęła.

- Ani słówka - zapewniła.

- Dobrze - mruknęła Cara i spojrzała na czoło linii żołnierzy. - Generale, każ kolumnie przemieszczać się trochę szybciej. Musimy ich zawieźć do pałacu!

Benjamin obejrzał się przez ramię, uśmiechnął i zsalutował żonie, przykładając pięść do serca. Potem popędził konia.

# Spis treści

Rozdział 1  
Rozdział 2  
Rozdział 3  
Rozdział 4  
Rozdział 5  
Rozdział 6  
Rozdział 7  
Rozdział 8  
Rozdział 9  
Rozdział 10  
Rozdział 11  
Rozdział 12  
Rozdział 13  
Rozdział 14  
Rozdział 15  
Rozdział 16  
Rozdział 17  
Rozdział 18  
Rozdział 19  
Rozdział 20  
Rozdział 21  
Rozdział 22  
Rozdział 23  
Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27

Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44  
Rozdział 45  
Rozdział 46  
Rozdział 47  
Rozdział 48  
Rozdział 49  
Rozdział 50  
Rozdział 51  
Rozdział 52  
Rozdział 53  
Rozdział 54  
Rozdział 55  
Rozdział 56  
Rozdział 57  
Rozdział 58  
Rozdział 59



Rozdział 60  
Rozdział 61  
Rozdział 62  
Rozdział 63  
Rozdział 64  
Rozdział 65  
Rozdział 66  
Rozdział 67  
Rozdział 68  
Rozdział 69  
Rozdział 70  
Rozdział 71  
Rozdział 72  
Rozdział 73  
Rozdział 74  
Rozdział 75  
Rozdział 76  
Rozdział 77  
Rozdział 78  
Rozdział 79  
Rozdział 80  
Rozdział 81  
Rozdział 82  
Rozdział 83  
Rozdział 84  
Rozdział 85  
Rozdział 86